

Jeszcze ostrzejsza i bardziej nieprzewidywalna  
niż w pierwszym DOCHODZENIU – Sarah Lund powraca!

**DAVID HEWSON**

# DOCHODZENIE

NA MOTYWACH SCENARIUSZA  
NAJLEPSZEJ PRODUKCJI KRYMINALNEJ  
OSTATNICH LAT – SERIALU

**THE KILLING**

**2**



**DAVID HEWSON**

# **DOCHODZENIE**

**NA MOTYWACH SCENARIUSZA  
SERIALU TELEWIZYJNEGO  
SØRENA SVEISTRUPA**

**THE KILLING**

**ZDOBYWCY NAGRODY BAFTA**

**2**

Przełożyła

EWA PENKSYK-KLUCZKOWSKA

WYDAWNICTWO MARGINESY

# Spis treści

Karta redakcyjna

Słowo wstępne

Motto

Podziękowania

Główni bohaterowie

Rozdział 1. Czwartek, 3 listopada, 23.42

Rozdział 2. Poniedziałek, 14 listopada, 7.45

Rozdział 3. Poniedziałek, 14 listopada, 18.52

Wtorek, 15 listopada, 7.43

Rozdział 4. Wtorek, 15 listopada, 19.52

Środa, 16 listopada, 8.45

Rozdział 5. Środa, 16 listopada, 18.34

Rozdział 6. Piątek, 18 listopada, 8.04

Rozdział 7. Sobota, 19 listopada, 9.03

Rozdział 8. Niedziela, 20 listopada, 8.10

Rozdział 9. Poniedziałek, 21 listopada, 9.15

Tytuł oryginału: THE KILLING 2

Przekład: EWA PENKSYK-KLUCZKOWSKA

Redaktor prowadzący: DOROTA KOMAN

Redakcja: DOROTA KOMAN

Korekta: JOANNA ZIOŁO, MATEUSZ SZMIGIERO

Projekt okładki, opracowanie graficzne i typograficzne: ANNA POL

Łamanie, montaż: MANUFAKTURA

Zdjęcie autora: Copyright © Mark Bothwell

Zdjęcie Sofie Gråbøl: Copyright © DR / Time Harden

Wydanie pierwsze

First published 2013 by Macmillan an imprint of Pan Macmillan,  
a division of Macmillan Publishers Limited Pan Macmillan,  
20 New Wharf Road, London N1 9RR Basingstoke and Oxford  
Associated companies throughout the world

[www.panmacmillan.com](http://www.panmacmillan.com)

Copyright © David Hewson 2013

Based on Søren Sveistrup's FORBRYDELSEN II (THE KILLING 2)  
an original Danish Broadcasting Corporation TV series

co-written by Torleif Hoppe and Michael W. Horsten

The right of David Hewson to be identified as the author of this work  
has been asserted by him in accordance with the Copyright, Designs and Patents Act 1988

Copyright © for the translation by Ewa Penksyk-Kluczkowska

Copyright © by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2013

ISBN 978-83-63656-34-8

Wydawnictwo Marginesy

ul. Forteczna 1a,

01-540 Warszawa

tel./faks: 48 22 839 91 27, 48 696 451 127

e-mail: [redakcja@marginesy.com.pl](mailto:redakcja@marginesy.com.pl)

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

## SŁOWO WSTĘPNE\_

od Sørensa Sveistrupa, twórcy serialu  
*Dochodzenie (Forbrydelsen)*,  
zdobywcy nagrody BAFTA

Tworzenie scenariusza do serialu telewizyjnego *Dochodzenie* było dla mnie doznaniem wyjątkowym. Gdy teraz zasiadam do pisania, najnowsza część serialu, *Dochodzenie II*, jest emitowana w Danii, i z radością dowiaduję się, że brytyjska widownia nie może się doczekać rychłej emisji w BBC.

Kiedy padła propozycja, by w ślad za serialem powstała książka, podszedłem do niej z zainteresowaniem. Chciałem zobaczyć, co z tego wyjdzie, ale wiele osób na pewno sceptycznie podchodziło do przeniesienia serialu telewizyjnego na karty książki. Brytyjscy wydawcy zapalili się natomiast do pomysłu tak bardzo, że o prawa do publikacji zacięcie walczyło ich na aukcji aż dziesięciu. Ważne było, by zwycięzca tej walki wybrał pisarza, który doceni serial, kogoś, kto będzie umiał przeniknąć myśli Sarah Lund i kto poświęci czas, by wchłonąć duńską kulturę i poznać Kopenhagę. David Hewson okazał się właściwą osobą. I wygląda na to, że reszta świata podziela tę opinię, ponieważ prawa do publikacji książki sprzedawane są do kolejnych krajów.

Wszyscy mamy świadomość, że to, co się sprawdza na ekranie, nie zawsze sprawdza się na kartach książki, i odwrotnie – a zatem w wypadku niektórych scen konieczne mogą się okazać przeróbki dla potrzeb książki. David odwiedził mnie w Kopenhadze, omówiliśmy elementy fabuły, zastanowiliśmy się nad tymi, które on chciałby

rozwinąć. Wiedziałem wtedy, że jestem gotów powierzyć „swoje dziecko kompetentnym ręką Davida.

Cieszymy się, że historia Sarah Lund – dzięki słowu drukowanemu, e-bookom i audiobookom – dociera do coraz szerszego kręgu odbiorców. Oczekujemy, że druga część książki w każdym calu okaże się równie udana. Mam nadzieję, że jej lektura sprawi Państwu wielką przyjemność.

Søren Sveistrup

Życie można zrozumieć, oglądając się wstecz.  
Żyć jednak trzeba naprzód.

Søren Kierkegaard



## PODZIĘKOWANIA\_

Znowu jestem winien wdzięczność wielu ludziom, którzy mi pomogli. Należą do nich Søren Svestrup, twórca serialu, Susanne Bent Andersen oraz Lars Ringhof z Kopenhagi. Dziękuję też bardzo mojemu brytyjskiemu wydawcy Trishy Jackson i jej współpracownikom w Pan Macmillan za ich trafne uwagi. Podobnie jak w wypadku pierwszej książki biorę jednak na siebie pełną odpowiedzialność za wszelkie zmiany w stosunku do pierwotnej, telewizyjnej opowieści.

David Hewson



## **GŁÓWNI BOHATEROWIE\_\_**

### **POLICJA KOPENHASKA\_\_**

Sarah Lund – była podkomisarz policji kryminalnej (obecnie ta funkcja nazywa się podkomisarz policji), Wydział Zabójstw

Lennart Brix – szef Wydziału Zabójstw

Ulrik Strange – podkomisarz policji, Wydział Zabójstw

Ruth Hedeby – zastępca komendanta policji

Madsen – detektyw, Wydział Zabójstw

Svendsen – detektyw, Wydział Zabójstw

Erik König – szef Politiets Efterretningstjeneste (PET), Agencji Wywiadowczej Narodowego Bezpieczeństwa Wewnętrznego, niezależnego wydziału służb policyjnych

### **FOLKETINGET, DUŃSKI PARLAMENT\_\_**

Thomas Buch – nowy minister sprawiedliwości

Karina Jørgensen – osobista sekretarka Bucha

Carsten Plough – sekretarz Bucha, starszy urzędnik służby cywilnej

Erling Krabbe – szef Partii Ludowej

Birgitte Agger – szefowa Partii Postępu

Flemming Rossing – minister obrony

Gert Grue Eriksen – premier

Frode Monberg – były minister sprawiedliwości

## **\_WOJSKO DUŃSKIE**

Jens Peter Raben – były sierżant

Louise Raben – żona Rabena, pielęgniarka wojskowa

pułkownik Torsten Jarnvig – ojciec Louise Raben

major Christian Søgaard

Allan Myg Poulsen – były towarzysz broni Rabena

Lisbeth Thomsen – była towarzyszka broni Rabena

David Grüner – były towarzysz broni Rabena

generał Jan Arild – asystent szefa sztabu, kwatera główna

Gunnar Torpe, „Kapelan” – pastor, były kapelan wojskowy

Torben Skåning – były kapitan

Frederik Holst – lekarz wojskowy

Peter Lænkholm – były porucznik

## **\_INNI**

Anne Dragsholm – prawniczka, aktywistka

Stig Dragsholm – mąż Anne Dragsholm

Abdel Hussein Kodmani – aktywista islamski

Connie Vemmer – dziennikarka, była rzecznik prasowa Ministerstwa  
Obrony Narodowej

**CZWARTEK\_**  
**3 LISTOPADA\_**  
**23.42\_**

Trzydzieści dziewięć schodów prowadziło z ruchliwej drogi Tuborgvej do Mindelunden, z jej cichymi grobami i niezmiennie gorzkimi wspomnieniami. Lennart Brix, szef Wydziału Zabójstw kopenhaskiej policji, czuł się, jakby przez większość życia pokonywał tę drogę.

Pod łukiem wejściowym, chroniącym przed marznącym deszczem, mimowolnie wspomniął tamtą pierwszą wizytę sprzed niemal pięćdziesięciu lat. Pięcioletni chłopiec ściskający rękę ojca nawet sobie nie wyobrażał, co zaraz zobaczy.

Śmierć była dziecku równie daleka, jak koszmar senny albo bajka. Ale tu, w tym odludnym parku w Østerbro, uwiecznionym pomiędzy ruchem ulicznym a linią kolejową, leżała przyczajona niczym zgłodniałe widmo, kryjąc się w cieniach za nagrobkami i posągami, szepcząc nazwiska wycięte w zimnych kamiennych tabliczkach wmurowanych w ścianę.

Brix, wysoki i poważny mężczyzna, daleki od snucia fantazji i uleganiu iluzji, wytarł twarz rękawem płaszcza. Za nim odprawiano znajomy rytuał Wydziału Zabójstw. Funkcjonariusze w czarnych mundurach stąpali ciężkimi krokami po betonowych ścieżkach, niosąc lampy i pozostały sprzęt niczym ekipa techniczna przygotowująca

przedstawienie. Trzaski krótkofalówek niosły się w powietrzu. Mężczyźni zadawali przewidywalne pytania, na które on z krótkim machnięciem ręki udzielał przewidywalnych odpowiedzi.

Mindelunden.

Natrętne wspomnienie, dręczący strach, który od tego czasu nigdy go nie opuścił.

– Szefie?

Madsen. Dobry gliniarz. Niezbyt bystry, ale młody i pełen zapału.

– Gdzie ona jest? – spytał Brix.

– W najgorszym miejscu. Chce pan...?

Brix ruszył w górę, dotarł do schodów, wyszedł na wietrzną ciemną noc. Długa linia płyt pamiątkowych po jego lewej stronie zdawała się ciągnąć w nieskończoność, jedno nazwisko po drugim, sto pięćdziesiąt jeden, garstka partyzantów zamordowanych w czasie pięcioletniej okupacji nazistowskiej. Było ich o wiele więcej, jak powiedział jego ojciec w tamten słoneczny dzień, 5 maja, pół wieku temu, gdy w każdym domu i mieszkaniu zapalano w oknie świeczkę dla upamiętnienia tych, którzy zginęli.

Przed oczyma Brixa znowu stanął tamten zimny, spokojny poranek. Z czapką w ręku mały Lennart szedł do posągu kobiety trzymającej martwego syna, chociaż widział niewiele oprócz grobów na przodzie, rząd za rzędem ciągnących się równych kamiennych mogił, każda z pamiątkowym wazonem, wszystkie pięknie utrzymane. I tak będzie zawsze, zapowiadał jego ojciec.

Tamtego dnia dziecko, którym był wówczas Lennart Brix, odbyło pierwsze spotkanie z mrocznym potworem zwanym śmiertelnością i zrozumiało, że jego szara, wieczna obecność nigdy go już nie opuści. Śmierć ciągle tu była – w niewidzących kamiennych oczach kobiety tulącej utraconego syna. W nazwiskach wyciętych w marmurowych

płytach. Czaiła się jak dzikie zwierzę, kuląc się w cieniach lasu za uporządkowanymi, równymi grobami, czekając na sposobność, by uciec w miasto.

– Szefie?

Madsen się niecierpliwił. Miał prawo. Lennart Brix wiedział, gdzie jest najgorsze miejsce, i po tych wszystkich latach w Wydziale Zabójstw i tak nie chciał go zobaczyć.

– Mamy męża. Wóz patrolowy zatrzymał go w samochodzie na moście do Malmö. Jest cały zakrwawiony. Bełkocze jak szaleniec.

Naziści zajęli Mindelunden wraz z sąsiednimi koszarami Ryvangen w 1943 roku, gdy zacieśnili kontrolę nad Kopenhagą. W budynkach wojskowych po drugiej stronie linii kolejowej ustanowili centrum dowodzenia. Tu, na płaskim terenie wykorzystywanym do parad i ćwiczeń wojskowych, prowadzili schwytych partyzantów na strzelnicę i tam ich mordowali.

Madsen potupywał na bruku i chuchał na ręce.

– To pewnie oznacza, że połowę roboty mamy za sobą.

Brix tylko na niego spojrzał.

– Mąż – powtórzył młody funkcjonariusz, wyraźnie zniecierpliwiony.  
– Jest cały we krwi.

Dwa lata temu, kiedy na poły nieświadomie zbliżali się do rozvodu, Brix oprowadził po Mindelunden swoją żonę. Tym samym podjął daremny wysiłek, by zainteresować ją swoim miastem rodzinnym i powstrzymać przed ostatecznym wyjazdem. Pochodziła z Londynu, nigdy do końca nie pojęła więc kontekstu tego miejsca. Żeby to zrozumieć, trzeba być Duńczykiem, obowiązkowo przyprowadzonym tu w dzieciństwie przez rodzica poważnie traktującego wydarzenia z przeszłości.

Anglicy znali oblicze wojny, ale z natury okupacji naiwnie nie zdawali sobie sprawy, co było niebezpieczne. Dla nich, a także dla Amerykanów, konflikty zbrojne rozgrywały się w innych miejscach, wybuchały jak dalekie ognie, następnie je tłumiono i pod postacią popiołów i prochów zostawały na obcej ziemi. Dla Duńczyków okupacja była czymś innym, a Brix nie umiał tej inności wyjaśnić. Walczyli najlepiej, jak umieli, kiedy Niemcy wkroczyli do Jutlandii w 1940 roku. Potem na jakiś czas spokojnie się poddali w zamian za namiastkę normalności, pozornej niepodległości w rozdartej wojnę Europie, okrutnej scenerii, gdzie władza nazistów wydawała się przesądzona.

Zanim zaczęli znikać Żydzi, a śmiałe grupy partyzantów niepokoić sumienia, zmieniło się nastawienie ludności. Niektórzy walczyli, płacąc najwyższą cenę, torturowani w celach Politigården – kwatery głównej policji, gdzie Brix teraz pracował – potem przewożeni do Mindelunden, przywiązywani do słupów na tle trawiastego szanca, gdzie nigdy nie miały stanąć żywe cele.

Ciągle słyszał, jak ojciec opisuje scenę z maja 1945 roku, kiedy nadeszło wyzwolenie. W tych ostatnich miesiącach Niemcom śpieszno było wymordować jak najwięcej więźniów. Skatowane, gnijące ciała leżały półzagrzebane na nagich polach, porzucone w pośpiechu.

Nie umarli lekką śmiercią, a i doświadczenie okupacji nie chciało odejść w niepamięć. Pozostał gniew, żal i skrywane poczucie wstydu. Jako dziecko drżące przed tymi trzema słupami, zachowanymi w charakterze pomników przed trawiastą ścianą strzelnicy, Lennart Brix zastanawiał się, czy on miałby tyle odwagi. Czy może odwróciłby się plecami i żył jak gdyby nigdy nic?

To pytanie na pewno zadawali sobie wszyscy, którzy nadeszli później. Rzadko jednak na głos.

Szczekanie psa wyrwało Brixa z zamyślenia. Zerknął na techników w białych kombinezonach i czepkach, którzy maszerowali z ponurymi

twarzami między rzędami grobów w stronę miejsca, gdzie zbierała się reszta zespołu.

Pomyślał, że może tamta chwila przed pięćdziesięciu laty namaściła go na detektywa. Kogoś, kto szukał przyczyn tam, gdzie z pozoru nie istniały.

– Szefie?

Twarz Madsena jaśniała chorobliwym zapalem, którego oczekiwał od swoich ludzi. Musieli czuć głód, potrzebę pościgu. Detektywi byli myśliwymi, wszyscy. Niektórzy lepszymi od innych, chociaż najlepsza policjantka, z jaką kiedykolwiek się zetknął, teraz marnowała życie i swoje zdolności w mundurze pogranicznika w zapadłej dziurze na Zelandii.

Brix nie odpowiedział. Ruszył przed siebie, wiedząc, że musi stawić temu czoło.

Płaski prostokąt trawy, zdeptany i ubłocony przez policyjne buty, z trzech stron otoczony był ścianami.

Reflektory świeciły tak mocno, że można było odnieść wrażenie, że to księżyc w pełni jaśnieje nad ich głowami. Poza ich zasięgiem światła grupy funkcjonariuszy cierpliwie przeszukiwały teren, wysoko unosząc latarki.

Przed nimi stały trzy sękaty słupy – repliki oryginałów, które obecnie znajdowały się w niewielkim muzeum Ruchu Oporu w mieście, Frihedsmuseet. Kobietę przywiązano do środkowego, z rękoma na plecach, ciężką liną przepasując jej pierś. Blond włosy przesiąkły deszczem i krwią. Z głową zwieszoną, podbródkiem na piersi, wyglądała, jakby przycupnęła niezgrabnie na kolanach.

Ziejąca rana na jej szyi jak chory drugi uśmiech. Miała na sobie niebieski szlafrok pocięty miejscami aż do pasa, a tam, gdzie trafiło oszalałe ostrze, wyzierało poranione ciało. Jej twarz była posiniaczona



i brudna. Krew z nosa zaschła wokół ust niczym makijaż tragicznego kłowna.

– Kilkanaście ran na szyi i klatce piersiowej – referował Madsen. – Nie zabito jej tutaj. Zadzwoił do nas mąż i powiedział, że wszedł do domu i stwierdził, że wszędzie jest pełno krwi. I ani śladu żony. Potem odjechał samochodem.

Przysunął się, by popatrzeć z bliska.

– A więc tak wyglądają zbrodnie namiętności.

Pies wpadł w szal.

– Czy ktoś może uciszyć to zwierzę? – spytał Brix.

– Szefie?

– Zabierzcie męża na przesłuchanie. Zobaczymy, co ma do powiedzenia.

Madsen zaszurał nogami.

– Chyba nie jest pan przekonany.

– Ona jest prawniczką. On też. Zgadza się?

– Tak.

Brix wpatrywał się w poszarpane, pogruchotane ciało pod słupem.

– Tutaj? – Pokręcił głową. – Akurat tutaj? To nie ma sensu.

– W ogóle zabijanie ludzi nie ma sensu, prawda?

Właśnie że ma, pomyślał Brix. Czasami. Na tym właśnie polegała robota detektywa. By wśród kości i krwi dojrzeć logikę.

Myśl o utraconej funkcjonariuszce Sarah Lund nie dawała mu spokoju. Że tak trwoni swój czas w Gedser. Zastanawiał się, co ona by wywnioskowała z takiej sceny. Jakie zadałaby pytania, na co by spojrzała. Coś, z czym zetknął się przed pięćdziesięciu laty, również jemu dało ten straszliwy dar. Dało. Trochę. Ale nie miał takiego talentu

jak Lund. On umiał mówić do zmarłych, wyobrażał sobie ich odpowiedzi.

Ona...

Wysoki, poważny szef Wydziału Zabójstw kopenhaskiej policji bardzo chciał opuścić to miejsce. Tutaj nie mógł jasno myśleć, rozum go zawodził.

Nigdy nie pojmie, jakim cudem Lund słyszy, co mówią zmarli.

– Co mam zrobić? – spytał znowu Madsen.

– Już powiedziałem. Przywieź go na komendę.

Ruszył w drogę powrotną wąską, błotnistą ścieżką, przez pole nagrobków, mijając nazwiska na murze, posąg matki tulącej zamordowanego syna, tablicę pamiątkową z patriotycznymi wersetami kłopotliwego pastora Kaia Munka, dawno temu zamordowanego przez gestapo pewnej ciemnej styczniowej nocy w pobliżu Silkeborg w Jutlandii.

Zszedł betonowymi schodami, ostrożnie, tak jak kiedyś jako pięciolatek opuszczający to miejsce z zawrotami głowy i mdłościami, gdy uświadomił sobie, że świat nie jest bezpiecznym i szczęśliwym królestwem, choć tak dotąd sądził, i że pewnego dnia i jego tak jak wszystkich czeka mrok.

U stóp schodów Lennart Brix spojrział w prawo, potem w lewo, upewniając się, że nikt go nie widzi. Zszedł na pobocze ruchliwej drogi i zrobił to, co kilkadziesiąt lat temu: zwymiotował w brudne krzaki, zarzucone śmieciami, butelkami i niedopałkami.

Potem siadł milczący i żalony w nieoznakowanym radiowozie, pod obracającym się niebieskim światłem, słuchając syren i rozmów w policyjnym radiu, żalując, że nie ma w sobie tyle wiary, by modlić się, żeby Madsen miał rację. Że to tylko zaskakująco gwałtowna zbrodnia rodzinna, która zostanie szybko i jednoznacznie rozwiązana.

Zbrodnia namiętności. Nic więcej.

**PONIEDZIAŁEK\_**  
**14 LISTOPADA\_**  
**7.45\_**

Gedser leżało nad ciemnymi wodami Bałtyku. Małeńkie miasteczko liczyło sobie ośmiuset mieszkańców, z czego większość utrzymywała się z promu, przez cały dzień kursującego do Rostocku i z powrotem. W czasach, gdy Niemcy były podzielone na Wschodnie i Zachodnie, przemyt ograniczał się zasadniczo do uchodźców politycznych zza żelaznej kurtyny. W XXI wieku przemytnicy okazali się bardziej przedsiębiorczy. Narkotyki, twarde i miękkie, przemyt ludzi z Bliskiego Wschodu i odleglejszych regionów. Natura kontrabandy się zmieniła, a władze mogły tylko mieć nadzieję, że nieco powstrzymają ten zalew.

Sarah Lund, w swoim granatowym mundurze pogranicznika, z długimi ciemnymi włosami związanymi pod regulaminową czapką, nie straciła ani krztyny ze swojej ogromnej wyobraźni i dociekliwości. Po katastrofalnym zakończeniu sprawy Birk Larsen i postrzeleniu jej partnera Jana Meyera została wyrzucona z kopenhaskiej policji. Zaproponowano jej tę skromną, kiepsko płatną posadę na prowincji, gdzie nie znała nikogo ani nikt jej nie znał.

Przyjęła ją skwapliwie, rozgościła się w małym drewnianym domku, w którym przez dwa lata nie zdążyła rozłożyć swoich rzeczy, oprócz kilku praktycznych ubrań i paru zdjęć syna Marka, czternastolatka mieszkającego obecnie z ojcem pod Kopenhagą.

Jej życie trwało w stanie zawieszenia, utknęło w martwym, głuchym punkcie, choć częściowo było już wolne od dręczącego poczucia winy, które nie dawało jej spokoju w stolicy.

To przez nią sprawa Birk Larsen zakończyła się tak paskudnie. To ją należało winić, że Meyer, aktywny, szczęśliwy człowiek, bezgranicznie kochający swoją rodzinę, resztę życia spędzi na wózku.

Pracowała więc w Gedser i patrzyła, jak ciężarówki toczą się jedna za drugą z wielkich statków w porcie, a potem przyglądała się twarzom kierowców, gdy zabierali swoje pojazdy na nabrzeże, i szybko nabrała biegłości w wyławianiu tych o nerwowym spojrzeniu.

W poprzednim roku nikt nie złapał tylu nielegalnych imigrantów, co ona. Co prawda na nikim nie robiło to wrażenia. Jakie to miało znaczenie? Wyzwaniem dla uchodźców było pokonanie wąskiej cieśniny pomiędzy Rostockiem a Gedser. Kiedy już ktoś sobie z tym poradził, trafiał na duńską ziemię, skąd deportowano niewielu imigrantów, czy to legalnych, czy nie.

Wykonywała zatem swoją pracę jak najlepiej. A pomiędzy nadejściem a wypłynięciem promu czytała i pisała dziwny list do Kopenhagi.

Przed tygodniem samotnie obchodziła czterdzieste urodziny. Trzy puszki piwa i list do Vibeke, matki, opowiadający o fikcyjnym przyjęciu z fikcyjnymi nowymi przyjaciółmi. I kupiła sobie kieszonkowe radio.

Teraz, o ósmej, gdy siedziała sama w niewielkiej budce pograniczników, deszcz lał z ponurego nieba, a ona słuchała w słuchawkach porannych wiadomości.

„Przyszłość rządowego pakietu antyterrorystycznego stoi pod znakiem zapytania...” – oznajmił spiker.

Uważne oczy Lund podążyły za odpływającym promem, który manewrował przy wyjściu z portu i ociężałe kierował się na otwarte morze.

„...ponieważ minister sprawiedliwości Frode Monberg trafił do szpitala z atakiem serca. Nie mamy aktualnych informacji na temat stanu jego zdrowia. Parlament miał dzisiaj omawiać nową ustawę antyterrorystyczną. Premier Gert Grue Eriksen twierdzi, że nieobecność Monberga nie zaszkodzi negocjacjom z partnerami koalicyjnymi rządzącej Partii Centrum...”.

– Politycy – mruknęła Lund, wspominając wydarzenia sprzed dwóch lat. – Nannie Birk Larsen nie okazali żadnych względów. Dbali tylko o siebie.

Przesadnie uprzejmy głos premiera wypełnił jej uszy. Grue Eriksen od tak dawna funkcjonował na szczytach duńskiej polityki, że na sam dźwięk głosu zobaczyła jego wizerunek: srebrzyste włosy, promienna, miła twarz. Człowiek godzien zaufania. Chłuba narodu.

„Pakiet antyterrorystyczny jest w obecnej sytuacji niezbędny – powiedział Grue Eriksen wyważonym, pewnym głosem. – Prowadzimy wojnę z okrutnym wrogiem, który jest tak tchórzliwy, że musi się trzymać w ukryciu. Walka z terroryzmem musi trwać, tutaj i w Afganistanie”.

Nielegalni imigranci złapani przez Lund nie wyglądali na terrorystów. Zwykli, smutni, biedni obcokrajowcy, którzy łyknęli kłamstwo, że Zachód jest miłą i szczerą ziemią, która ich powita z otwartymi ramionami.

Kolejny serwis informacyjny.

„Podejrzany o dokonanie morderstwa w Parku Pamięci nadal przebywa w areszcie. Szef Wydziału Zabójstw Lennart Brix przez dziesięć dni, które upłynęły od zbrodni, ujawnił niewiele informacji. Źródła zbliżone do Politigården sugerują, że aresztowana osoba, podobno mąż ofiary, wkrótce zostanie zwolniona, o ile policja nie dokona jakiegoś przełomowego odkrycia...”.

Jednym szybkim ruchem wyjęła słuchawki z uszu. W kolejce do następnego promu stanęła ciężarówka. To dlatego. Tylko dlatego nie chciała dłużej tego słuchać.

Nieważne, że jej dyżur właśnie się kończył, a w stronę budki nadchodził zmiennik.

Kopenhaga to już przeszłość. I praca w policji również. Nie cieszy się z tego. Ale też nie czuje rozczarowania. Tak po prostu jest.

Wyszła więc na spotkanie zmiennikowi, porozmawiała o grafikach i raportach. O tym, co mogą dla nich oznaczać nowe ustawy antyterrorystyczne. Pewnie więcej roboty papierkowej i tyle.

Ruszyła do biura, by zakończyć dziesięciogodzinną zmianę, zastanawiając się, czy zdoła się wyspać, kiedy wreszcie wróci do swojego domku na skraju tego ponurego miasteczka.

Przy drzwiach zobaczyła czarnego forda. Plakietka parkingowa na przedniej szybie wyglądała znajomo: Politigården. Przy samochodzie stał mężczyzna w jej wieku. Wyższy od Jana Meyera, bardziej umięśniony. Ale w takich samych ciuchach: czarna skórzana kurtka i dżinsy. Ta sama zniszczona, blada twarz, krótko ostrzyżone włosy i kilkudniowy zarost.

Jan Meyer miał wyłupiaste oczy i wielkie uszy. Ten mężczyzna nie. Był przystojny, ale jakby nie zdawał sobie z tego sprawy. Uważny za tą zawodową, zdystansowaną maską, do której noszenia zmuszała go praca.

Glina do szpiku kości, pomyślała Lund. Równie dobrze mógłby nosić odznakę na piersi.

\*

– Cześć – powiedział żywym, niemal dziecięcym głosem, podążając za nią do biura.



Lund wyłączyła swoje walkie-talkie, wsadziła je do szuflady. Wzięła kubek z kawą.

On stał w drzwiach.

– Sarah Lund?

Kawa jak zwykle wydawała się zbyt mocna.

– Ulrik Strange. Dzwoniłem do ciebie mnóstwo razy. Zostawiałem wiadomości. Pewnie ich nie odebrałaś.

Zdjęła czapkę, uwolniła długie ciemne włosy. On nie odrywał od niej wzroku. Lund zastanawiała się, czy jest podziwiana. W Gedser to się nieczęsto zdarzało.

– W termosie jest kawa, jeśli masz tyle odwagi – powiedziała i wypełniła nocny raport: dwie linijki, nic do zgłoszenia.

– Jestem podkomisarzem policji...

Szczegóły, pomyślała Lund. Zawsze się liczyły.

– Podkomisarzem policji kryminalnej, chciałeś powiedzieć?

Zaśmiał się. I wyglądał przy tym życzliwie.

– Nie. W ciągu dwóch lat sporo się zmieniło. Wprowadzono mnóstwo reform. Już nie można palić w budynku. Mamy nowe stopnie. Wyrzucili słowo „kryminalnej”. Pewnie było uważane za trochę...

Podrapał się po krótkich włosach.

– Osądzające.

Wzniósł kubek z kawą, jakby wygłaszał toast. Lund sprawdziła wpis w dzienniku i zamknęła go.

– Chcielibyśmy omówić z tobą pewną sprawę.

Wyszła do szatni. Strange podążył za nią.

– Dziesięć dni temu zamordowano kobietę. W bardzo dziwnych okolicznościach.

Lund wzięła swoją cywilną kurtkę, granatowy sweter i dzinsy.

– Zaczekam, aż się przebierzesz.

– Mów dalej. – Przcisnęła się za szafki i ściągnęła zimny, wilgotny mundur.

– Pewnie o tym czytałaś. Mindelunden. Kobieta zamordowana w Parku Pamięci. Chcielibyśmy, żebyś przejrzała akta sprawy, bo może coś nam umknęło.

– My? – spytała Lund zza szafek.

– Brix o to prosił. Potrzebne nam świeże spojrzenie. Uważa, że ty możesz je nam zapewnić.

Lund siadła na krzesło i wciągnęła długie skórzane buty.

– Mogę tu zostać do południa – zaproponował Strange. – Zreferować ci sprawę, jeśli chcesz.

– Pracuję w straży granicznej. Nie zajmuję się morderstwami.

– Jesteśmy prawie pewni, że mamy sprawcę. Mąż ofiary siedzi w areszcie. Możemy go trzymać najwyżej do jutra, a potem musimy mu postawić zarzuty. Zapłacimy ci za przepracowany nad sprawą czas. Twój tutejsi przełożeni się zgadzają.

Wstała, nie patrząc na niego.

– Powiedz mu, że nie jestem zainteresowana.

Stał w drzwiach, nie ruszył się z miejsca.

– Dlaczego?

Lund wpatrywała się w jego klatkę piersiową, dopóki się nie ruszył, po czym minęła go i chwyciła kurtkę.

– Brix uprzedził mnie, że odmówisz. Mówił, że powinienem podkreślić, jakie to ważne. I że potrzebujemy twojej pomocy.

– Cóż... – Lund odwróciła się, by spojrzeć na niego. – Już to zrobiłeś, prawda?

Strange ścisnął kubek, zastanawiając się, co powiedzieć.

– Zanim wyjdiesz, sprawdź, czy zamknąłeś dobrze drzwi – dodała i ruszyła w stronę auta.

\*

Gdy zadzwonił telefon, Thomas Buch siedział sam w swoim biurze poselskim w Folketinget, siedzibie parlamentu, i odbijał od ściany gumową piłeczkę. Robił tak od dzieciństwa. Drażnił tym wszystkich. Siebie też.

Niektórzy uważali Bucha za intruza, kogoś, kto dostał się do duńskiego parlamentu dzięki wybitnemu człowiekowi, którego śmierć była prawdziwą stratą dla narodu. Buch miał trzydzieści osiem lat, był jednym z dyrektorów w przedsiębiorstwie rolnym w swojej rodzinnej Jutlandii. W pracy odnosił sukcesy, prowadził firmę, którą jego rodzina tworzyła przez długie lata, aż w końcu rozrosła się tak, że zatrudniała ponad czterysta osób.

Potem nadeszła druga wojna w Iraku. Jeppe, starszy brat Thomasa – ten bardziej bystry, szczupły, przystojny, elokwentny, gwiazda mediów, która wkrótce miała wkroczyć w świat polityki – postanowił wrócić do wojska.

Jeppe rzucał długi cień. Stał się on jeszcze dłuższy, gdy Jeppego zamordowali rebelianci, którzy zaatakowali jego oddział dostarczający wsparcie medyczne szpitalowi na przedmieściach Bagdadu.

Thomas Buch w zasadzie sam nie do końca rozumiał, dlaczego zgodził się walczyć o miejsce w parlamencie, które obiecano jego bratu, tym samym zamieniając złożoność Wspólnej Polityki Rolnej na zawilóści duńskiego prawa parlamentarnego. W gruncie rzeczy nie była to wielka zmiana. Ze zdziwieniem odkrył, że może wygodnie prosperować w ławach Partii Centrum. Większość go tolerowała, niektórzy traktowali podejrzliwie, a dla wszystkich zawsze był grubym

młodszy bratem Jeppego. W każdym razie on sam tak się czuł postrzegany.

Tęsknił za swoją żoną Marie, która została w domu w Jutlandii z dwójką ich dzieci, nie znosił cynicznej miejskiej atmosfery miasta. Niemniej obowiązek to obowiązek, a rodzinna firma została w dobrych rękach.

Pomysł awansu w szeregi rządu nawet nie postał mu w głowie. Otyły, z łagodną twarzą morsa i wątlą rudą brodą, nigdy nie był ulubieńcem mediów. W głębi serca miał nadzieję, że kiedy obecna kadencja dobiegnie końca, cichcem powróci do spokojnych pól ojczystych stron i znowu stanie się anonimowy. Tymczasem zaś poradzi sobie z każdą legislacją, która się nadarzy, potrzebami wyborców, codziennymi obowiązkami parlamentarnymi.

I uderzeniem gumowej piłeczki o ścianę gabinetu. Zawsze próbował przewidzieć, jak zareaguje ona na niewielką zmianę kąta. Obserwowanie piłeczki pomagało mu się skupić, a telefon, który niedawno odebrał, dał mu mnóstwo do myślenia. Było to wezwanie na egzekucję albo wyniesienie na wyższe stanowisko.

Kazano mu włożyć marynarkę i krawat. Odbił więc piłeczkę po raz ostatni, ocenił bezbłędnie, którądy wróci, złapał ją i wsadził do kieszeni, po czym ściągnął bluzę i z małej szafy przy oknie wyciągnął swoje najlepsze ubranie.

Na krawacie zobaczył żółtko. Na jedynej dość czystej białej koszuli też. Zeskrobał je, ale została żółta plama. Znalazł więc w zastępstwie czarne polo i wyszedł na listopadowy chłód. Przeciął brukowany plac, który oddzielał siedzibę parlamentu od pałacu Christiansborg, wspiał się długimi czerwonymi schodami i dotarł do gabinetu Gerta Grue Eriksena, premiera Danii.

\*

W domku zawsze panował przenikliwy ziąb, choćby nie wiadomo jak Lund podkręcała żalosne ogrzewanie. Wiedziała, że nie zaśnie. Usmażyła więc bekon, spaliła kilka tostów i sprawdziła rozkład jazdy pociągów.

Autobusem do Nykøbing Falster, potem pociągiem. Dwie i pół godziny. Kursował regularnie.

Od czasu sprawy Birk Larsen rzadko bywała w domu. To nie miasto ją odstraszało. To wspomnienia. I poczucie winy. W Gedser jej życie wypełniał szary Bałtyk, nudna, rutynowa praca w porcie, samotne godziny w pustym domku, oglądanie telewizji, błąkanie się po sieci, czytanie, spanie.

W mieście było inaczej. Przestała być panią swojego życia napędzanego przez wydarzenia z zewnątrz, poza jej kontrolą, pełne ciemnych ulic, do których przemierzania tęskniła.

Chodziło o miejsce, nie o nią.

„Ściągnęłaś Meyera do tego budynku. Wygnałaś ze swojego życia Bengta Roslinga. Przepędziłaś też Marka i jego ojca. Dokonałaś tych wszystkich fatalnych wyborów, próbując dociec, kto zabił Nannę Birk Larsen”.

Od jakiegoś czasu nie słyszała już tego głosu.

Zdjęcie Marka miała na lodówce. Nie widziała go od pięciu miesięcy. Pewnie jest teraz jeszcze wyższy.

Na urodziny kupiła mu bluzę w Netto. Tani prezent. Przy swoich mizernych zarobkach nie mogła sobie pozwolić na inny.

Powinna czasami spotkać się z matką. Z powodów, których Lund nie rozumiała, wojna pomiędzy nimi, kiedyś taka zacięta i nieustanna, wygasła, odkąd ją zwolniono z Politigården. Niewykluczone, że Vibeke znalazła w sobie cień współczucia, a może nawet żalości, którego jej córka nigdy wcześniej nie zauważyła. A może po prostu obie się starzały

i brakowało im energii, by podtrzymywać wieloletnie sprzeczki, które dzieliły je, odkąd Lund sięgała pamięcią.

Zerknęła na kalendarz. Trzy dni wolne od pracy. I żadnego pomysłu na zabicie czasu.

Sięgnęła po laptopa, rzuciła okiem na wiadomości. Przeczytała to, co powiedzieli o morderstwie w Mindelunden, bo coś musieli powiedzieć. Nie było tego dużo. Lennart Brix doszedł do wprawy w knebłowaniu mediów, a w każdym razie był teraz lepszy niż dwa lata temu, gdy połowa polityków w kopenhaskim ratuszu próbowała wyjść cało ze sprawy Birk Larsen.

Brix.

Nie był złym człowiekiem. Tylko ambitnym. Nie zwolnił jej od razu. Zapropozował wyjście, dzięki któremu zostałaby w policji, gdyby tylko zechciała schować dumę do kieszeni, powiedzieć, że kłamstwa są prawdą, ukryć rzeczy, które należało wydobyć na ostre, bezlitosne światło.

Nie zrobi tego dla Brixa. I na pewno nie dla jego uroczego posłańca Ulrika Strangeo. Może dla Marka. Może nawet dla matki.

Nie, gdyby to zrobiła, to dla siebie. Bo tak chciała.

Telefon błysnął, gdy włączył się przypominacz. Dzisiaj urodziny Marka.

– Cholera – zakląła, pędząc po tanią bluzę. Stwierdziła, że jedyny papier do prezentów, jaki ma w domu, jest w renifery.

Pakując prezent w papier i taśmę, zadzwoniła do domu. Vibeke nie było. Ostatnio zwykle jej nie było, nie wiedzieć czemu.

„Cześć, mamó – nagrała się Lund. – Przyjeżdżam na Marka urodziny, tak jak obiecałam. Zostaję tylko do jutra. Jeden dzień. Do zobaczenia”.

Potem sięgnęła po zniszczoną torbę na ramię, zapakowała do niej ciuchy, które się jej nawinęły pod rękę, i ruszyła na przystanek

autobusowy.

\*

Kiedyś był to gabinet króla, przynajmniej tak powiedziała sekretarka, która przywitała Bucha. Pałacowe krzesła i wielkie biurko, słynne duńskie lampy. Z okna roztaczał się widok na plac do jazdy konnej, gdzie samotny trener z dwoma rumakami z królewskiej stajni krążył i krążył po błocie. Duńskim państwem kierowano głównie z budynków na maleńkiej wysepce Slotsholmen, dawnego grodu warownego, który niegdyś był całą Kopenhagą. Pałac Christiansborg, Folketinget, siedziby rozmaitych ministerstw... wszystko to tłoczyło się w kilku połączonych budynkach wzniesionych na szczątkach zamku walecznego biskupa Absalona. Ogólnodostępność całego kompleksu przypominała o liberalnej naturze nowoczesnego państwa.

Buchowi nawet się to podobało, choć wolałaby, żeby Marie i dziewczynki częściej go odwiedzały.

Miał w kieszeni swoją gumową piłeczkę i chwilę się zastanawiał, jakby to było odbić ją od wyłożonych panelami ścian gabinetu powstałego dla króla Danii. Nagle jednak wszedł Gert Grue Eriksen i coś w jego twarzy mówiło Buchowi, że to nie jest właściwy moment. Minister leżał w szpitalu ciężko chory. Rozgrzebana ustawa antyterrorystyczna ugrzęzła w labiryncie pokrętej polityki koalicyjnej. Grue Eriksen był kapitanem statku o nazwie Państwo, odpowiedzialnym za nawigację jednostką sterowaną przez wiele rąk. Niski, energiczny mężczyzna w wieku pięćdziesięciu ośmiu lat, o srebrnych włosach i dostojnej, przyjacielskiej twarzy. Odkąd Buch pamiętał, Eriksen znajdował się na szczytach duńskiej polityki. Od tak dawna, że człowiek z Jutlandii ciągle czuł przed nim respekt niczym dziecko przed dyrektorem.



Grue Eriksen nie lubił prowadzić czczych gadek.

Krótkie powitanie, zwyczajowe pytanie o rodzinę, uścisk ręki.

– Słyszał pan o Monbergu? – przeszedł szybko do rzeczy.

– Wiadomo coś nowego?

– Mówią, że będzie żył.

Premier gestem skierował gościa do krzesła stojącego przed jego biurkiem, po czym sam zajął wielki skórzany fotel naprzeciwko.

– Nie wraca do pracy. Nie w tej chwili. I później też nie.

– Przykro mi – powiedział Buch ze szczerym współczuciem.

Grue Eriksen westchnął.

– To zły moment. Potrzebujemy pakietu antyterrorystycznego. A utkwiliśmy pomiędzy prawicą a lewicą. Z jednej strony tak zwani patrioci Krabbego w Partii Ludowej. Z drugiej krwawiące serce Birgitte Agger i Postępowych. Jeśli oni wszyscy nie odpuszczą, ustawa przepadnie. Monberg miał sobie z tym poradzić.

Grue Eriksen wpatrywał się wyczekująco w rozmówcę.

– A więc, Thomasie? Co zrobimy?

Buch się roześmiał.

– Schlebia mi, że pyta pan o to właśnie mnie. Ale...

Nie był tępy. Jego umysł pracował całą drogę po długich schodach do gabinetu Grue Eriksena.

– Ale dlaczego? – spytał.

– Bo kiedy wyjdzie pan z tego pokoju, uda się pan na spotkanie z królową. Musi poznać nowego ministra sprawiedliwości. – Grue Eriksen ponownie się uśmiechnął. – Znajdziemy panu koszulę i krawat. I proszę w jej obecności nie bawić się tą cholerną piłeczką. Potem znajdziemy jakiś sposób na uchwalenie naszego pakietu antyterrorystycznego. W przyszłym tygodniu głosowanie, a tu panuje

kompletny chaos. Krabbe ciągle żąda kolejnych ustępstw. Postępowcy wykorzystają każdy pretekst...

– Przykro mi – przerwał mu Buch – ale muszę coś powiedzieć.

Grue Eriksen zamilkł.

– To dla mnie zaszczyt. Naprawdę. Ale jestem biznesmenem, rolnikiem. Znalazłem się...

Spojrzał za okno, na budynek parlamentu.

– Znalazłem się w niewłaściwym miejscu. Czekaliście tu na Jepeggo. Nie na mnie.

– To prawda – przyznał premier.

– Nie mogę...

– Mamy pana. Nie Jepeggo. Przyglądam się panu od lat. Zauważyłem pański spokój i prawość. Oddanie. Sporadyczne... – wskazał na czarne polo – problemy z protokołem.

– Nie jestem prawnikiem.

– A ja nie jestem premierem. W tej roli obsadziło mnie życie i próbuję wykonywać tę pracę jak najlepiej. Będzie pan miał najświetniejszych w kraju urzędników służby cywilnej. I moje pełne wsparcie. Jeśli...

– Muszę odmówić – przerwał mu Buch.

– Dlaczego?

– Bo nie jestem gotowy. Za mało wiem. Może za kilka lat, kiedy pobędę tu dłużej. Nie jestem moim bratem.

– Nie. Nie jest pan. Dlatego panu składam propozycję. Jeppe był jasną gwiazdą. Aż za jasną. Był pochopny i gwałtowny. Nigdy nie zaproponowałbym mu tego stanowiska.

Buch gwałtownie wciągnął powietrze i spojrzał za okno na dwa konie krążące po błotnistym placu do jazdy konnej. Za nimi trener, mężczyzna

z pejczem w dłoni. Trzymanym delikatnie. Nieużywanym. Ale jednak obecnym.

– Na ten pakiet antyterrorystyczny postawiłem moją reputację, fotel premiera – ciągnął Grue Eriksen. – Pan lepiej niż ktokolwiek inny wie, jak bardzo ten projekt jest potrzebny. Niech pan przywoła do porządku tych tam, na korytarzach po drugiej stronie placu. Niech zobaczą, że to ma sens.

– Ale...

– To wojna, Thomasie! Nie mamy czasu na tchórzostwo i skromność. Oni pana posłuchają, i to tak, jak nigdy nie słuchali Monberga. On był czeladnikiem, umiejętnym działaczem partyjnym. Nie wnosił nic więcej. Nie miał siły moralnej.

Grue Eriksen kiwnięciem głowy wskazał rozmówcę.

– Pan wnosi. Nikt lepszy nie przychodzi mi do głowy.

– Panie pre...

– Ma pan kompetencje. Nie wątpię w to. Naprawdę brakuje panu woli? Poczucia obowiązku?

Obowiązek.

Obok tego słowa trudno było przejść obojętnie.

Premier wstał i podszedł do długiego okna. Buch dołączył do niego. Patrzyli obaj na konie i dwukólkę brnącą przez błoto na placu.

– Mogłem wyznaczyć kogoś innego z naszego ugrupowania – powiedział Grue Eriksen – ale wtedy ustawa byłaby zagrożona. Myśli pan, że to leży w interesie Danii?

– Nie – odrzekł Buch. – Oczywiście, że nie. Pakiet, który mamy, jest uzasadniony i konieczny...

– Proszę więc doprowadzić go do końca. Dla mnie. Pytam pana ostatni raz: zostanie pan naszym nowym ministrem sprawiedliwości?

Buch nie odpowiedział.

– Biała koszula, klasyczny krawat – orzekł Grue Eriksen i wezwał sekretarkę. – Znajdziemy coś panu. Lepiej niech pan pośle po zapas oficjalnych strojów, panie ministrze. Koniec z koszulkami polo.

\*

Herstedvester, placówka łącząca funkcję więzienia i szpitala psychiatrycznego, leżało dwadzieścia kilometrów na zachód od Kopenhagi. Oznaczało to długą, nudną podróż, której Louise Raben miała już trochę dość.

Znała procedurę. Torba przejeżdża przez skaner. Obszukanie. Przepustka.

Potem strażnicy wprowadzali ją do środka i dalej, do pokojów widzeń, a ona zastanawiała się, gdzie jest jej mąż i co robi.

Dwa lata osadzenia, każda prośba o zwolnienie warunkowe odrzucona. Jens Peter Raben był żołnierzem, ojcem, mężem. Człowiekiem, który służył państwu duńskiemu przez niemal połowę swojego trzydziestosiedmioletniego życia.

Teraz został zdegradowany do roli więźnia w zamkniętym zakładzie psychiatrycznym, odizolowany jako zagrażający sobie i społeczeństwu, któremu kiedyś w swoim mniemaniu służył.

Dwa lata. Nic nie zapowiadało końca udręki. Gdyby był skazany za zwykłe przestępstwo – rabunek, rozbój – już by wrócił do domu, a może do wojska – to było jej tajemne życzenie, którego nie wypowiadała w obecności ojca – szukałby pracy w cywilnym świecie. Ale stan umysłu Rabena po tym, gdy ranny wrócił z Afganistanu, nie dawał nadziei na wolność, do której mieli prawo zwyczajni przestępcy. Odkupienie było niedostępne dla tych, których uznano za niespełna władz umysłowych.

Coraz częściej przychodziła jej do głowy straszliwa myśl. A jeśli nigdy go nie wypuszczą? Jeśli jej mąż, ojciec Jonasa, zostanie w Herstedvester na zawsze?

Ich syn właśnie skończył cztery lata. Potrzebował obecności mężczyzny. Oboje potrzebowali. Ona była młoda. Brakowało jej przyjaźni męża, a także jego obecności, ciepła, bliskości. Na samą myśl, że mógłby nigdy nie wrócić, zaczynała sobie tworzyć absolutnie niedopuszczalne scenariusze.

Gdyby on nigdy nie wrócił... Ile jest warta lojalność? Wierność?

Louise Raben pochodziła z rodziny wojskowego, wychowała się w koszarach, gdy jej ojciec sięgał po kolejne stopnie. Niektóre kobiety czekały, inne korzystały z okazji, by przejąć kontrolę nad własnym życiem. Ona nie chciała dokonywać takiego wyboru.

Strażnik wprowadził ją na blok dla odwiedzających. Na zewnątrz widziała skrzydło więzienne i dalej szpital, w osobnym budynku. Wszędzie wysokie mury. Druty kolczaste. Mężczyźni z walkie-talkie i bronią. Potem wpuścili ją do prywatnego pokoju zarezerwowanego na wizyty małżeńskie. Tania tapeta, zwykły stół, pod ścianą tapczan. I mężczyzna, który coraz częściej wydawał się daleki, choćby nie wiadomo jak się starała.

– Jonas? – spytał.

Podeszła i uściskała go. Ciągle miał na sobie te same stęchłe ciuchy – czarny sweter, wytarte płócienne spodnie. Broda mu posiwiiała, twarz stała się szczuplejsza. Zawsze ją zdumiewało, że choć nie wydaje się muskularny, ma w sobie jakąś siłę, widoczną chociażby w szaroniebieskich oczach, które sprawiały wrażenie niestrudzonych.

Jens Peter Raben był sierżantem w batalionie jej ojca. Kimś, komu ludzie ufali i kogo czasami się bali. Była w nim zaciekłość i gniew, które chyba nigdy nie słabły, w każdym razie takie miała wrażenie.

– W przedszkolu był bal – powiedziała, kładąc dłoń na jego policzku i czując szczecinę. – Koledzy go zaczepiali...

– Jasne. Rozumiem.

– Odzywał się do ciebie Myg?

Raben pokręcił głową. Na dźwięk tego imienia jakby trochę się zmartwił. Allan Myg Poulsen należał do jego oddziału w Afganistanie. Aktywnie działał w klubie weteranów, dbając o byłych żołnierzy. Poprzedniego ranka Louise zadzwoniła do Myga z prośbą, by znalazł jakąś pracę dla jej męża.

– Myg mówi, że mógłby ci załatwić jakąś robotę. Na budowie. Stolarkę. Pomógłby nam znaleźć mieszkanie.

Wtedy się uśmiechnął.

– Może gdybyś miał zapewnioną pracę...

– Może.

Podczas każdego spotkania wydawał się jej taki spokojny. Trudno było zrozumieć, dlaczego każde jego podanie o warunki odrzucano, argumentując, że jest tak niebezpieczny, iż nie można go zwolnić.

Przyniosła ze sobą kilka rysunków Jonasa, rozłożyła je teraz na stole. Bajki i smoki. Zamki na niebie.

– Tata kupił mu miecz i tarczę. Prosił o nie.

Raben kiwnął głową, nic nie mówiąc. Tylko patrzył na nią zagubionymi oczami.

Czegokolwiek w tej chwili chciał, nie mogła mu tego dać. Wlepiła więc wzrok w mur za oknem i powiedziała:

– Niewiele się dzieje. Gdyby nie to przedszkole. Mieszkanie w koszarach... to nie jest...

Zawsze to ona musiała zapytać. Wstała i wskazała tapczan.

– Chcesz...?

– Zaczekajmy chwilę.

Ostatnio zawsze tak mówił.

Louise już nie usiadła. Postanowiła nie płakać.

– Kiedy będziesz miał informacje o warunku?

– Niedługo. Adwokat uważa, że mam duże szanse. Dyrektorka kliniki mówi, że zrobiłem duże postępy.

Znowu wpatrzyła się w mur.

– Tym razem nie mogą odrzucić. Nie odrzucają.

Znowu zaczęło padać. Za oknem biegali inni więźniowie, w kapturach, z twarzami na mroźnym wietrze, znudzeni tak jak on. Próbowali wypełnić czymś czas.

– Nie odrzucają, Louise. Co się dzieje?

Siadła, wzięła go za rękę i starała się spojrzeć mu w oczy. Było w nich coś, do czego nigdy nie umiała dotrzeć.

– Jonas nie bardzo chce tu przychodzić.

Twarz mu pociemniała.

– Wiem, że uwielbiasz się z nim spotykać. Ma cztery lata. Byłeś za granicą, gdy się urodził. Połowę jego życia spędziłeś tutaj. On wie, że jesteś jego ojcem, ale...

Te myśli nie dawały jej spokoju, a były tak wyraźne.

– To tylko słowo. Nie uczucie. Nie ma... – Wyciągnęła rękę i dotknęła jego piersi. – Nie ma go tutaj. Musisz wrócić do domu. Potrzebuje cię. Oboje cię potrzebujemy.

Nagły gniew zniknął, a jego miejsce zajęła odrobina wstydu.

– Nie zmuszaj go – powiedział.

– Nie zmuszam. – Łzy same popłynęły. Była żoną wojskowego, chociaż nigdy tego nie chciała. To było bez sensu. – Nie zmuszam, Jens!



Ale on już nie jest niemowlęciem. Nie chce nawet o tobie mówić. Niektóre dzieciaki w przedszkolu mu dokuczają. Coś słyszały.

Wyraz jego twarzy – rozdarcie pomiędzy żalem a bezsilną wściekłością – sprawił, że jeszcze bardziej zachciało jej się płakać.

– Przepraszam. – Wyciągnęła rękę i na chwilę dotknęła jego szczeciniastych policzków. – Coś na to zaradzę. Nie martw się.

– Razem coś zaradzimy.

Nie mogła tak po prostu patrzeć mu w oczy. Wiedział o tym, więc wziął jej rękę i czekał, aż podniesie wzrok.

– Wyjdę stąd, Louise. Nie mają powodu dłużej mnie trzymać. Wyjdę i znów będziemy rodziną. Zdobędę pracę. Znajdziemy mieszkanie. Będzie dobrze. Obiecuję.

Próbowała się uśmiechnąć.

– A ja dotrzymuję obietnic – dodał. – Będziemy razem tak bardzo, że szybko się wam przejem. Zateśkniesz za czasami, kiedy byliście tylko we dwoje.

Zamknęła oczy. Łzy płynęły.

– Znienawidzisz moje chrapanie – ciągnął z uśmiechem, nieustępliwy. – Moje cmokanie i to, że brudzę wszystko pastą do zębów.

Roześmiała się, sama nie wiedząc już, czy to szczerzy śmiech, czy nie.

– Wracam do domu – powiedział, a jedyne, co jej przyszło do głowy, to zatrzymać jego słowa i obietnice nagłym pocałunkiem, dłonią na jego głowie, zerknięciem na prowizoryczne łóżko, które wstawiano tu na wizyty małżeńskie.

– Proszę, Jens. Muszę...

– Nie tutaj. Nie w tym przeklętym miejscu.

Trzymał jej dłonie. Ten sam mężczyzna, którego poznała przed laty, gdy była córką oficera rozpaczliwie próbującą wyrwać się z ciasnego

kręgu wojskowego życia, pewną, że nigdy nie zakocha się w żołnierzu.

– Kiedy będziemy wolni...

Jens Peter Raben przycisnął ją mocno do siebie i szeptał obietnice wprost do jej ucha, czym znowu doprowadził ją do śmiechu.

Nagle – jak zawsze za szybko – rozległo się pukanie do drzwi. Ich czas się skończył.

Zanim się obejrzała, stała przed Herstedvester w deszczu i patrzyła na wysokie mury i drut kolczasty, zastanawiając się, ile warta jest obietnica złożona w więzieniu.

\*

Brix analizował właśnie ostatnie przesłuchania Stiga Dragsholma, męża zabitej kobiety, kiedy jego posłaniec wrócił z Gedser. Szef podniósł wzrok znak akt.

– Przykro mi – powiedział Strange. – Lund odmówiła. Chyba nieźle się tam zadomowiła.

– Zadomowiła? – powtórzył Brix zdumiony. – Lund?

– To ty ją znasz. Nie ja. Moim zdaniem wyglądała nieźle. Jak idzie?

Brix się skrzywił. Zadzwoił telefon Strangego.

– Nie – powiedział. – Szef jest zajęty. W czym mogę pomóc? – Swobodny, pewny siebie uśmiech. – Lund? Zmieniłaś zdanie. Widzisz, jestem jasnowidzem.

Brix strzelił palcami. Wziął telefon.

– Jeśli nadal uważasz, że jestem w stanie pomóc – powiedziała – przyjeżdżam dzisiaj na urodziny syna. I tylko po to. Ale mogę podejść po jakieś dokumenty, jeśli naprawdę chcesz.

– Nie prosiłbym, gdybym cię nie potrzebował.

Długa cisza.

– Dlaczego? – spytała.

Nic się nie zmieniła. Spokojny, monotony głos stawiający niezręczne pytania.

– Przyjdź, to pogadamy.

Gdzieś w tle usłyszał dźwięk klaksonu. A potem: „Muszę kończyć”.

I połączenie przerwano.

Strange patrzył na szefa.

– Przyjeżdża czy nie?

– Przyjeżdża. Na własnych warunkach. I nigdy nie było inaczej. Z tym mężem ofiary stoimy w martwym punkcie. Nie wiem, czy w ogóle...

Urwał. Spojrzał w długi korytarz, na ściany wyłożone czarnym marmurem i lampy z brązu o kształcie starodawnych pochodni.

W ich stronę szła Lund. Tym samym miarowym krokiem, jak mężczyzna; mężczyzna, który wie, dokąd zmierza.

Dwa lata. W biurze wszystko się zmieniło. Zniknął mały bunkier, w którym gnieździła się z Meyerem. Teraz królowała tu otwarta przestrzeń. Mnóstwo ludzi. Ci, którzy pozostali, pewnie nie darzyli jej najcieplejszymi uczuciami, sądząc po spojrzeniach, które przyciągała, gdy kroczyła przez Wydział Zabójstw.

Kobieta, którą zesłał do Gedser, podeszła i stanęła przed nim. Strangego jakby tu w ogóle nie było.

– Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł – powiedziała.

– Przeczytaj tylko akta, dobra? Co ci szkodzi? Zapłacę ci. Za każdą godzinę, którą nad tym spędzisz. Będziemy potrzebować...

Robiła to, co zawsze. Rozglądała się. Zauważała wszystko. Odnotowywała zmiany.

– Wcześniej było tu lepiej.

– Nie prosiłem o poradę wnątrzarską.  
Brix wskazał Strangemu otwarte biuro.  
– Oprowadź ją. Znajdź dokumenty. – Spojrzał na Lund. – Przeczytaj wszystko dokładnie.  
Sprawiała wrażenie zadowolonej.  
– Potem chcę ci coś pokazać – dodał.  
– Powiedziałam, że przeczytam dokumenty. Nic poza tym.  
– Muszę...  
– Jeden dzień. Jutro wracam do Gedser.  
– Lund, zamordowano kobietę. Bardzo brutalnie. Jest w tym coś dziwnego. Coś, czego nie mogę zrozumieć.  
Jej wielkie jasne oczy otworzyły się szeroko z oburzenia.  
– Za mało masz tu ludzi? Co jest we mnie tak wyjątkowego, że swojego chłopca na posyłki fatygowałeś aż do Gedser?  
Strange zasłonił dłonią usta, tłumiąc śmiech.  
– Przyjechałaś zobaczyć się z rodziną, prawda? – W bladym uśmiechu Brixa błysnęła ironia.  
Lund usiłowała znaleźć jakąkolwiek odpowiedź.  
– Nieważne – dodał Brix. – Spójrz tylko do akt. A potem Strange zabierze cię na przejażdżkę.

\*

Ministerstwo Sprawiedliwości zajmowało budynek po północno-wschodniej stronie Slotsholmen, nieopodal mostu Knippelsbro. Buch wrócił tam po oficjalnej audiencji u królowej w pałacu Amalienborg i ani trochę się nie zdziwił, że jako pierwsza zadzwoniła do niego żona.

– Tak, tak, uścisnąłem jej dłoń. Teraz jestem w ministerstwie. To...  
eee...

Biuro, pomyślał, jak biuro.

– Którym ministerstwie? – spytała Marie.

– Moim chyba. Muszę kończyć.

Następnie, wciąż w koszuli i krawacie od premiera, został oprowadzony po departamencie, przedstawiony personelowi wyższego i niższego szczebla, a wreszcie zabrany do sali bankietowej, gdzie podano szampana i koreczki.

Chyba śnię, pomyślał. Chwała Bogu, zaraz się obudzę.

Po budynku oprowadziła go młoda blondynka Karina Jørgensen.

Gdy prezentacje najwyraźniej dobiegły końca, z kieliszkami w dłoni weszli do niewielkiego gabinetu z biurkiem i komputerem. Buch siadł ochoczo na krześle i uśmiechnął się promiennie do niej i otaczających go urzędników uśmiechających się z kolei pobłaźliwie.

W radiu powiedziano, że jego nominacja była nieoczekiwana. Ci ludzie najwyraźniej podzielali to zdanie.

– Podoba mi się – oznajmił Buch pogodnie, po czym wziął pióro z blatu, gotów ruszyć do pracy.

– To moje miejsce, panie ministrze – powiedziała blondynka. Zmarszczyła twarz w zdumieniu, gdy pochyliła się nad nim, by poruszyć myszką.

– Co to jest?

Na ekranie widniał dziwny mail. Bez tematu. Tylko link do strony. I wiadomość: „Ponów próbę”.

Kliknęła na link.

– Jakiś kretyn ciągle nam przysyła tę durną wiadomość. Nie wiem, jak się tego pozbyć. Ten link donikąd nie prowadzi. Przepraszam...

Blondynka podeszła do dwuskrzydłowych drzwi i otworzyła je. Wiodły do pomieszczenia, które przywodziło na myśl pracownię

dżentelmena z wiejskiej posiadłości w rodzaju tych, do których Thomas Buch raczej nie był zapraszany.

Na ścianach wisiały portrety jego poprzedników, poczynając od XIX wieku. Stół do narad. Lśniące mahoniowe biurko.

Pachniało tu świeżością i nowością, jakby sprzątaczkę usunęły każdy najdrobniejszy ślad po Frodem Monbergu.

Buch podszedł do okna. Widział stąd pojazdy pędzące po Inner Harbour, słyszał syreny statków, czuł puls miasta. Dokładnie naprzeciwko miał Børsen, starą giełdę i jej dziwną iglicę z czterema smokami o splecionych ogonach i otwartych dziko paszczach.

– Musimy jeszcze wymienić kilka rzeczy – powiedziała Karina. I niepewnym tonem dodała: – W pańskiej gestii pozostaje decyzja, czy sprowadzi pan swoją asystentkę. Proszę się mną nie przejmować. Sekretariat wyznaczy...

– Umie się pani tu poruszać? – spytał Buch, oszołomiony widokiem portretów na ścianach i walczących smoków oraz zapachem nowego miejsca.

– Pracuję tu od trzech lat.

– A więc moją pierwszą decyzją na nowym stanowisku będzie ta, że pani zostaje. Jeśli to pani odpowiada...

Miała owalną, uroczą twarz, bardzo ładną, zwłaszcza gdy się uśmiechała.

– Te rzeczy... – Buch uderzył w stos dokumentów na biurku – to pewnie Monberga.

– Nie. – Do gabinetu wszedł wysoki mężczyzna około pięćdziesiątki, o krótkich, przyprószonych siwizną włosach i w poważnych okularach w ciemnych oprawkach. – To dokumentacja procesu negocjacyjnego w sprawie pakietu antyterrorystycznego. Carsten Plough, sekretarz.

Pewny uścisk dłoni. Buch pomyślał, że Plough jest uosobieniem urzędnika służby cywilnej, każdego, jakiego w życiu poznał. Tak szary, że aż niewidoczny, grzeczny, chętnie się uśmiechał, ale przede wszystkim chciał sprawiać wrażenie rzeczowego profesjonalisty.

– Na czym stoimy? – spytał Buch.

– Przed nami umowa z Krabbem i Partią Ludową. Opozycja nas nie poprze. To wszystko może pan jednak wyczytać z dokumentów.

– Wyczytam. Ale najpierw musi pan poznać moje zdanie. Prowadzimy wojnę. Czy nam się to podoba, czy nie, musimy osiągnąć porozumienie. Z Krabbem, a także z Postępowcami. Chcę wypracować globalny kompromis. Wojna to nie czas na partie polityczne.

Plough westchnął.

– To dobre stanowisko. Monberg też tak myślał. Niestety...

– Nie jestem Monbergiem.

Buch przerwał wertowanie papierów na biurku. W teczce znajdował się plik zdjęć. Tak krwawych i drastycznych, że poczuł się, jakby ten dzień ze snu zmienił się w koszmar.

Kobieta w niebieskim szlafroku przywiązana do słupa, zakrwawiona, zsiniałe rany na szyi i klatce piersiowej. Zbliżenie bladej twarzy, która – choć martwa – nadal była pełna strachu i zszokowana.

Plough przysunął się do ministra, zakrywając usta dłonią, nagle skruszony.

– Przepraszam. Przekazałem panu akta Monberga, a nie sprawdziłem, co w nich jest.

– Kobieta z Mindelunden – powiedział Buch, przypominając sobie artykuły prasowe. – To ona?

– Monberg interesował się tym osobiście. Prosił, żeby mu dostarczać bieżące informacje.

– Nie wiedziałam o tym – wtrąciła Karina. – Nie powiedział mi...

– Prosił, żeby mu dostarczać bieżące informacje – powtórzył Plough trochę zły. – Przepraszam. Mogę panu później zreferować...

– Jeśli Monberg musiał wiedzieć, to ja też muszę – orzekł Buch.

Nie wstrząsnął nim widok krwi. Buch w głębi serca był rolnikiem, człowiekiem praktycznym, nie unikał okrutnych realiów.

– Później – obiecał Plough, po czym spakował zdjęcia do teczki.

\*

Raben spędził cały dzień w warsztacie więziennym, robiąc karmniki dla sklepów ogrodniczych. Jeden wzór. W kółko ten sam. Nabierał w tym wprawy. Może był już na tyle dobry, by zdobyć pracę stolarza.

Po południu miał dostać wiadomość o losach swojego ostatniego podania o zwolnienie warunkowe. Czekał więc do czwartej, znudzony, niecierpliwiąc się, aż w końcu wymknął się bocznymi drzwiami i podszedł do ogrodzenia oddzielającego szpital od więzienia.

Po drugiej stronie dyrektor Toft, blada blondynka, lodowa piękność świadoma swojej urody, szła ścieżką w kierunku parkingu.

Raben podszedł do siatki, wsadził palce między druty i czekał, aż kobieta się zatrzyma.

Zobaczył go jeden ze strażników i krzyknął. Toft się uśmiechnęła i zapewniła, że wszystko w porządku.

Rabenowi stanęło serce. Życzliwość zwykle towarzyszyła złym wieściom.

– Jak pani sądzi, jak idzie? – spytał, gdy strażnik się wycofał.

– Nie mogę panu powiedzieć. Powinien pan porozmawiać ze swoim adwokatem.

– On przyjdzie dopiero w przyszłym tygodniu.

Wzruszyła ramionami.



– Więc musi pan poczekać.

Ruszyła do samochodu.

– Nie chodzi o mnie! – krzyknął, podążając za nią po swojej stronie płotu. – Moja żona się martwi. Muszę do niej zadzwonić. Nie wiem, co powiedzieć.

– Niech pan powie prawdę. Że nic pan jeszcze nie wie.

– Mogę znaleźć pracę przez klub weteranów. I mieszkanie.

– Szkoda, że pan wcześniej o tym nie wspomniał.

– Jeśli coś się dzieje, chcę wiedzieć, na miłość boską.

Toft się zatrzymała. Raben starał się uspokoić. Ta kobieta rozkoszowała się władzą nad osadzonymi. Lubiła, gdy o tym wiedzieli.

– Jeśli chodzi o personel medyczny, dostał pan ocenę pozytywną. Ale to nie koniec. Ostateczna decyzja należy do komisji. Do władz. Nic więc nie jest pewne.

– A jeśli odmówią?

– To poczeka pan pół roku i znowu złożę wniosek...

Raben próbował zajrzeć w jej zimne niebieskie oczy, nawiązać osobisty kontakt przez siatkę ogrodzenia.

– Za pół roku nie będę już miał żony. Ani syna. Ona postawi na mnie krzyżyk.

– Musi pan być cierpliwy, Raben.

– Siedzę tu od dwóch lat. Nic mi nie jest. Sama pani tak powiedziała.

Toft się uśmiechnęła, odwróciła i odeszła.

Strażnik znowu zaczął krzyżeć, każąc mu wrócić do warsztatu.

– Nic mi nie jest! – warknął Raben na nią, gdy oddalała się w stronę parkingu bloku psychiatrycznego.

– Raben! – Sądząc po głosie, strażnik niezbyt się złościł. – Masz gościa. Chodź tu.

Wsadził ręce do kieszeni i wrócił do drzwi.

– Moja żona?

– Mówi, że jest twoim kolegą z wojska. Myg Poulsen. Chcesz się z nim spotkać czy nie?

Raben patrzył, jak dyrektor Toft wsiada do swojego małego jaskrawego sportowego wozu i odjeżdża w stronę bramy.

Allan Myg Poulsen. Chudy, nieduży dzielny człowiek. Raben nie mógł sobie przypomnieć, co się wydarzyło w tamtym zapyłonym, zimnym domu w Helmand. Miał w głowie tylko dźwięk broni, krzyki i wrzaski umierających, zapach krwi.

Ale Myg tam był. On też należał do ocalonych, do rannych.

– Spotkam się z nim – powiedział Raben.

\*

Lund przeczytała akta w Politigården, a potem, gdy zapadał zmierzch, Strange zawiózł ją do domu zabitej kobiety. Anne Dragsholm mieszkała w willi na końcu ślepej ulicy dziesięć minut samochodem od Mindelunden.

Chodziła z dokumentami w dłoni, mówiąc głównie do siebie.

– A więc mąż mówi, że przyjechał do domu i stwierdził, że wszędzie jest pełno krwi. Przestraszył się i odjechał?

W domu, oddzielonym od świata taśmą „Policja, nie przekraczać”, panował chłód. W oczy rzucały się ślady pozostawione przez techników. Minęły dwa lata, odkąd Lund po raz ostatni widziała miejsce zbrodni. A jakby to było wczoraj.

– Cieszę się, że zmieniłaś zdanie – powiedział Strange. – Naprawdę się cieszę. Jesteś trochę... – Szukał właściwego słowa. – Taką jakby legendą.

Był nieśmiały w sposób niemal dziecięcy. Zupełnie niepodobny do Jana Meyera.

– Tak się teraz na to mówi? – spytała, próbując go rozpracować.

– Staralem się być miły.

– Nie fatyguj się. Nie zmieniłam zdania. I tak tu jechałam. Nie powinniśmy poczekać na Brixa?

– Spóźni się. Chciał, żebym cię oprowadził.

Włożył lateksowe rękawiczki, a drugie podał jej. Poczwała się, jakby wkładała stary mundur.

– Rozwodzili się – podjął Strange. – On miał romans ze swoją sekretarką. Miesiąc temu żona go wyrzuciła. Nie rozmawiała z nim. Rozłączała się, kiedy dzwonił.

Podążyła za nim korytarzem. Na ścianie wisiała fotografia. Zdjęcie ślubne. Ładna kobieta o długich blond włosach. Pod ramię z promiennie uśmiechniętym mężczyzną w eleganckim garniturze. Uśmiechy iście prawnicze, wymierzone w obiektyw. Dalej późniejsze zdjęcie, z małym dzieckiem.

– Gdzie dziecko?

– Córka. U dziadków.

Wąska kuchnia. Ściany bliżej pokoju pokryte dziecięcymi rysunkami. Brudna patelnia na kuchence. Brudny talerz, wokół niego kółko zrobione długopisem.

– O dziewiętnastej czterdzieści jeden skorzystała tu z laptopa, żeby się połączyć z internetem – kontynuował Strange. – Otworzyła wino, zerknęła na kilka stron biur pośrednictwa nieruchomości i wzięła kąpiel.

Lund wczytywała się w raport z autopsji.

– Czy to był jej codzienny porządek dnia? Późno wracała do domu, brała kąpiel? Jadła sama?

- Skąd mamy wiedzieć?
- Moglibyście spytać męża.
- Mąż mówi niewiele. Została zaatakowana, zanim siadła do jedzenia. Tutaj. Potem napastnik zawlókł ją do jadalni.

Przeszli dalej. Okna sięgające od podłogi do sufitu wychodziły na niskie drzewa ledwie widoczne w świetle dalekich latarni. Na zakrwawionym dywanie leżał przewrócony skórzany fotel biurowy, a niedaleko podnózek z tej samej skóry. Z boku stała wysoka lampa podłogowa.

– Została dźgnięta dwadzieścia jeden razy – powiedział Strange, stukając palcem w raport. – Raz w serce i ta rana okazała się śmiertelna. Nie wiemy, jakiego narzędzia użył sprawca.

– Noża? – spytała Lund.

Nie była pewna, czy docenił jej sugestię.

– Raczej innego ostrego narzędzia.

Podszedł do lampy przy oknie, stopą wcisnął włącznik w podstawie. Do życia obudziły się detale. Obraz na ścianie był przekrzywiony. Na drewnianej podłodze leżało szkło z jakichś stłuczonych ozdób.

Strange obszedł mebel, by stanąć przy oknie.

– Na fotelu posadzono ją siłą. Wskazuje na to ilość krwi.

Lund patrzyła na zdjęcia. Obok ciała leżał kawałek celofanu.

– On palił? Znaleźliście popiół?

– Ten celofan nie pasuje do paczki papierosów. Nie wiemy, co to jest.

– Guma do żucia?

– Nie wiemy, co to jest – powtórzył. – Mąż mówi, że zadzwonił koło północy. Chciał porozmawiać o sprzedaży domu. Zeznał, że był po paru drinkach. Sądząc po badaniach krwi, musiało ich być więcej.

– Był pijany?

– Cuchnął.  
– Gdzie był wcześniej?  
– Ze swoją dziewczyną. Zdążyłby.  
– Co się stało według niego?  
– Nie otworzyła drzwi. Zobaczył, że okno piwniczne jest otwarte. Zaniepokoił się. Wszedł tamtędy.

– Nie miał klucza?  
– Parę tygodni temu zmieniła zamki. I założyła alarm.

Lund podeszła do okna, włączyła światło na zewnątrz. Ogród ciągnął się do zarośniętego krzakami lasu. Usłyszała przejeżdżający pociąg. Jedna z linii prowadzących przez Østerbro. Może ta sama, która przebiegała przez Mindelunden, gdzie znaleziono Anne Dragsholm.

Za ich plecami ktoś zapukał do drzwi. Przyjechał Brix.

– Dragsholm musiała się go bardzo bać – powiedział. – Zwolniła firmę ochroniarską, wynajęła nową, bardzo drogą. Zamówili nowe czujniki do ogrodu.

Lund kiwnęła głową.

– Czegoś się bała.  
– Miło cię widzieć – dodał Brix. – Przepraszam. Na komendzie nigdy nie ma czasu, żeby to powiedzieć.

Westchnął głęboko jak człowiek, który ma podjąć trudną decyzję.

– Jeśli tu już skończyłaś, to może obejrzymy miejsce, w którym ją znaleźliśmy?

\*

Nie mieli pojęcia, jak zabójca przeniósł Anne Dragsholm do Mindelunden. Park Pamięci zamykano na noc, ale trudno go było uznać

za miejsce bezpieczne. Otwarty teren blisko centrum miasta. Każdy mógł się tam dostać, jeśli chciał.

Strange włączył silną latarkę policyjną i przeszli gąbczasty długi trawnik starej strzelnicy w stronę trzech pali z brązu wystających z ziemi na tle szańca.

Brix sprawiał wrażenie dziwnie milczącego.

– Anne Dragsholm miała prawo do połowy majątku męża, w tym do połowy jego firmy – powiedział Strange.

– Co ją łączyło z tym miejscem? – spytała Lund.

Brix przerwał milczenie.

– Nie mamy pojęcia. Wiadomo, że wyważył drewniane drzwi wejścia dla ogrodnika i zaciągnął ją tutaj. Dlaczego...

Lund znowu otworzyła akta z wynikami badań, poprosiła Strangego, żeby jej poświecił.

Kobieta w wieku mniej więcej czterdziestu lat, w zakrwawionym niebieskim szlafroku, spoczywająca bezwładnie na ziemi, martwa, przywiązana do środkowego pala. W tak świętym miejscu zakrawało to na bluźnierstwo.

– Mąż nie jest kretynem – powiedział Strange, wskazując ciało na zdjęciach. – Zakładamy pozorację. Chce, żeby to wyglądało na robotę szaleńca. Bo co...?

Lund nie słuchała, tylko chodziła między palami w tę i z powrotem. Brix podążył za nią, dotykając policzka palcem w rękawiczce.

– Co myślisz? – spytał.

Przyjrzała mu się, zastanawiając się nad dziwnym błyskiem w jego oku.

– Myślę, że to pomyłka. Marnuję wasz czas. Panujecie nad sytuacją. Czemu mnie pytasz?

- Bo pomyślałem, że możesz mieć jakieś zdanie.
  - Nie. – Podała mu akta. – Nie mam.
  - Prześpij się z tym. Pogadamy jutro.
  - Nie mam żadnych pomysłów.
  - Może jeszcze coś przyjdzie ci do głowy.
  - Nie przyjdzie.
  - Zadzwoń do mnie, gdyby jednak przyszło. Jeśli nie, to nie szkodzi. W obecnej sytuacji muszę jutro wypuścić męża. Nie mamy podstaw, żeby postawić mu zarzuty.
  - Zgadza się.
- Lund zerknęła na zegarek.
- Muszę się zobaczyć z matką – powiedziała. – Może mnie ktoś podrzucić do Østerbro? To niedaleko.
- Brix kiwnął głową.
- Dobra. Ale chcę, żebyś najpierw kogoś poznała.

\*

Od chwili, gdy zobaczył Erlinga Krabbego i Birgitte Agger siedzących przy stole konferencyjnym, Thomas Buch wiedział, że pierwsze spotkanie, które odbędzie w roli ministra sprawiedliwości, nie będzie łatwe.

Z tą sytuacją skojarzyły mu się smoki po drugiej stronie, na iglicy Børsen. Splecione ze sobą, ale w ciągłym konflikcie, z wyszczerzonymi zębami.

Krabbe – wysoki, chudy, ascetyczny – wyglądał, jakby za dużo czasu spędzał na siłowni. W czasie drugiej wojny światowej jego dziadek był słynnym partyzantem i cudem ocalał, nie zostawiając śladu na murze w Mindelunden. Krabbe kierował teraz nacjonalistyczną Partią Ludową,

przez lewicę porównywaną niekiedy do nazistów. Zdaniem Bucha niesłusznie. Byli przeciwni imigracji, podejrzliwi wobec obcych kultur. Nieugięci, często zgryźliwi. Z tego powodu zawsze kiepsko im się wiodło. Tę odrobinę władzy, którą mieli, zawdzięczali wymogom polityki koalicyjnej. W Folketinget nigdy nie rządziła jedna partia. Przy każdej trudnej inicjatywie ustawodawczej potrzebne były koalicje.

Birgitte Agger, szefowa partii mniejszościowej, nie była zainteresowana okruchami z pańskiego stołu. Pięćdziesięciodwuletnia zawodowa polityk przeszła niełatwą drogę, by zostać przywódcą Partii Postępu. Była największą nadzieją miękkiej lewicy, eleganckim, starannie wymanikiowanym kameleonem zmieniającym strategię zależnie od nastrojów społecznych. W sondażach szła łeb w łeb z Grue Eriksenem. Widziała się w roli premiera. Buch miał pełną świadomość, że wszelkie negocjacje dotyczące ustawy antyterrorystycznej muszą uwzględniać jej wybujałe ambicje.

Znowu pomyślał o splecionych smokach za oknem.

W tej chwili rząd utkwiał między Agger a Krabbem jak między Scyllą a Harybdą. Pierwsza ze stron zarzucała Grue Eriksenowi słabość, druga atak na dawno ustanowione prawa obywatelskie. Szczegóły ustawy – dokładniejsza kontrola graniczna, więcej pieniędzy na służby bezpieczeństwa, dłuższy okres zatrzymania dla podejrzanych o terroryzm – stanowiły teren walk dla tej dwójki, przy czym każde z nich dążyło do zwycięstwa, licząc na kapitulację przeciwnika.

– Nie ma minuty, żeby nie dała o sobie znać kolejna grupa islamskich ekstremistów...

Krabbe właśnie wygłaszał tyradę przeciwko czemuś, co rozumiał jako infiltrację duńskiego społeczeństwa przez obce wpływy.

– Chcą obalić naszą demokrację i zamiast niej wprowadzić brutalność szariatu...



– Mamy już prawa, które poradzą sobie z każdym, kto podżega do przemocy – zauważył cierpliwie Buch.

– To za mało – nie ustępował Krabbe, nieskalany w niebieskiej koszuli i granatowym krawacie, ze starannie przystrzyżonymi krótkimi włosami. Wyglądał jak przerośnięty harcerz szukający okazji do zdobycia kolejnej sprawności. – Ci ludzie chcą nas cofnąć do średniowiecza.

– To śmieszne. – Agger chwyciła swoją aktówkę, gotowa do wyjścia. – Jeśli Partia Ludowa zamierza teraz zamykać ludzi za to, co myślą, to jej problem. Wszyscy wiemy, po co tu jesteśmy. To głupia wojna. Gdyby nie...

– Owszem, to głupia wojna – przerwał jej Buch. – Zgadzam się. A na pewno wiem, co mówię.

Pozostała dwójka zamilkła. Jeppe – pomyślał Buch. I zapamiętał sobie, żeby nie korzystać zbyt często z tego chwytu.

– Niemniej jednak toczymy tę wojnę – podjął. – Tak wygląda nasza sytuacja, czy się nam to podoba, czy nie. Wszyscy wiemy, że potrzebna nam dokładniejsza kontrola graniczna. Więcej środków dla policji i służb wywiadowczych.

– Zakaz działalności dla tych cholernych islamistów – przerwał mu Krabbe.

– Widzisz? – Agger wstała i poklepała po plecach nowego kolegę. – Powodzenia. Staruszek nie wyświadczył ci przysługi, co? Kiedy ostatnio widziałam Monberga, był bliski załamania. Prosisz o rzeczy niemożliwe. Przekaż Grue Eriksenowi, żeby wracał do NATO i niech im powie, żeby poszli do diabła.

– Kiedy będziemy mogli – odparł Buch – zrobimy to. Ale nie teraz. Gdybyś siedziała na jego stołku, podjęłabyś takie same decyzje.

Zaśmiała się.

– Zobaczymy. Do widzenia, Krabbe. Wracaj do swoich fantazji o małej Danii, która nigdy nie istniała.

I wyszła.

Erling Krabbe dolał sobie trochę kawy.

– Przepraszam, jeśli byłem zbyt szczery. Ale trzeba to było powiedzieć. Musimy się bronić. Musimy pamiętać o Nowym Jorku. O Londynie i Madrycie.

– Musimy pamiętać o Oslo i Utøi – odparował Buch. – Każdy był wrywny do zrzucania winy na muzułmanów, prawda? A okazało się, że to szaleniec, Anders Behring Breivik, urodzony w Norwegii i tam wykształcony. Jeden...

Urwał. Chciał powiedzieć: „Jeden z was”, a to byłoby nie w porządku. Krabbe miał groteskowe pomysły i głęboko zakorzenione uprzedzenia. Ale był parlamentarzystą do szpiku kości.

– Co „jeden”? – dopytywał Krabbe.

– Jeden z nas.

Buch wstał od stołu, by podjąć kolejną próbę. Przejrzał wcześniej instruktaże z Politiets Efterretningstjeneste, PET, policyjnych służb bezpieczeństwa i wywiadu odpowiedzialnych za bezpieczeństwo wewnętrzne.

– Gdyby PET chciała tych środków, które pan sugeruje, poprosiliby o nie. A ja bym je położył im na stole. Ale oni, eksperci, wcale ich nie chcą. Jeśli pan sobie życzy, mogę ich poprosić, żeby powiedzieli panu dlaczego.

Krabbe lekceważąco machnął ręką.

– Wiem dlaczego. Za bardzo się tych ludzi lękamy. Boimy się, że jeśli się im przeciwstawimy, podniesie się krzyk o dyskryminacji i uprzedzeniach. Mój dziadek walczył o ten kraj z nazistami, narażał życie...

– Kampania strachu wam nie zaszkodzi, skoro sondaże i tak wypadają fatalnie, prawda?

Buch musiał to powiedzieć. Pompatyczność Krabbego przekraczała wszelkie granice.

Krabbe wstał, włożył swoją drogą marynarkę, poprawił rękawy.

– Agger na pewno pana nie poprze. To oznacza, że ja jestem jedyną pańską szansą zdobycia większości. Niech pan to sobie przeliczy. Ja już to zrobiłem.

– Erling...

– Czekam na odpowiedź do dziewiętnastej. Niech pan porozmawia z premierem. On rozumie sytuację. – Krabbe uniósł pustą filiżankę jak do toastu. – Nawet jeśli pan nie.

Rozejrzał się po gabinecie, uśmiechnął do portretów na ścianie, otaksował spojrzeniem Thomasa Bucha tak, że ten poczuł się co najmniej nie na miejscu.

– Smaczna kawa, Buch. Miłego dnia.

\*

Gdy Lund wróciła do Politigården, znowu powitały ją spojrzenia. Tych, którzy ją znali. I tych, którzy tylko o niej słyszeli. Svendsen, opryskliwy funkcjonariusz, którego kiedyś potraktowała pistoletem, minął ją z teczkami w ręku, patrząc zimnym wzrokiem, jakiego nie widziała od miesięcy.

Lund uśmiechnęła się do niego i kiwnęła głową.

– Cześć!

Potem Brix błyskawicznie zabrał ją do pokoju przesłuchań. Niska, elegancka kobieta w żakiecie i spódnicy siedziała przy stole i rozmawiała przez telefon. Była mniej więcej w wieku Lund, ale

roztaczała wokół siebie kierowniczą aurę: drogie ubrania, urocza, uśmiechnięta twarz, ciemne włosy starannie ostrzyżone nad karkiem. Doskonale wyprasowana biała koszula.

Perfumy.

Lund w swojej zimowej kurtce, dżinsach i czerwonym swetrze poczuła się niezręcznie.

– To zastępca komisarza Ruth Hedeby – przedstawił kobietę Brix, wskazując Lund krzesło. – Chce posłuchać, co masz do powiedzenia.

Hedeby uścisnęła jej dłoń.

– Dużo o pani słyszałam.

– Wyobrażam sobie.

– Mindelunden to miejsce pamięci narodowej. Chcę, żeby ta sprawa została wyjaśniona. Minęło dziesięć dni, a my ciągle nic nie mamy.

– To postawcie zarzuty mężowi.

– Nie mamy podstaw. – Hedeby skrzyżowała ramiona. – Coś pani przychodzi do głowy?

– Nie widzę błędów po stronie śledczych. Ślady wskazują chyba jednoznacznie...

– Oczywiście. Ale co pani myśli?

Lund zerknęła na Brixę. On też czekał.

– Nie sądzę, żeby to on ją zabił.

Hedeby przymknęła oczy i westchnęła. Nie takiej odpowiedzi oczekiwała.

– Mogę się mylić – zastrzegła Lund. – Ale wątpię w to.

Hedeby bawiła się swoją ślubną obrączką.

– Bo? – spytała.

Przewertowała akta na biurku.

– Tu stawia się tezę o zbrodni w afekcie. Ale ciało wyciągnięto z domu, zabrano do Mindelunden...

– Żeby zmylić śledczych – przerwała Hedeby. – Żebyśmy myśleli, że to robota szaleńca. Technicy powiedzieli, że on miał na ubraniu jej krew. Jak...

– Posłuchajmy, co Lund ma do powiedzenia – zasugerował Brix. Hedeby zgromiła go wzrokiem. – Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Lund spojrzała na nich i zastanowiła się, kto tu tak naprawdę jest szefem. Sądząc po randze – Hedeby. Ale Brix miał przyjaciół, wpływy. Wyrobił je sobie na początku sprawy Birk Larsen. Ciągle pewnie miał te kontakty.

– Anne Dragsholm bała się swojego mordercy – powiedziała Lund. – Bała się od jakiegoś czasu. Mąż miał motyw. Jest manipulatorem, ale nie mamy żadnych doniesień o przemocy. Nigdy nie składała policji skargi na niego. Myślę...

Przerwała. Hedeby nie odrywała od niej jasnych oczu.

– Moim zdaniem morderca chciał coś przekazać, składając jej ciało w takim miejscu. Przy słupie w Mindelunden. To zbyt znaczące, żeby można to ignorować. Zbyt... straszne, żeby kierował mordercą impuls, takie rzeczy nie przychodzą człowiekowi do głowy po pijaku w czasie kłótni.

Ruth Hedeby skrzyżowała ramiona.

– Próbował coś przekazać?

– Właśnie.

– No to chyba mu się nie udało? Bo gdyby mu się udało, nie siedzielibyśmy tutaj, rozgryzając, o co chodzi.

– Otóż to. – Lund odsunęła akta. – Chyba że prawdziwy morderca na coś czeka.

– Czemu miałby czekać?

– Nie wiem. Czym ta kobieta zajmowała się przed ślubem?

– Długa lista. – Brix otworzył drugą teczkę. – Anne Dragsholm miała trzydzieści dziewięć lat. Edukację w college’u zakończyła w Stanach Zjednoczonych. Pracowała dla organizacji charytatywnych i pozarządowych w Afryce oraz Azji. Wykonywała jakieś zlecenia prawne dla Amnesty International i armii duńskiej. Nigdzie nie zagrzała miejsca.

– Co robiła w wojsku? – spytała Lund.

– Była radcą prawnym. Jeździła na Bałkany, do Iraku, na Cypr i na koniec do Afganistanu.

– Ma jeszcze kontakty w wojsku?

Brix przejrzał dokumenty.

– Nie wygląda na to. Co miesiąc dokonuje wpłat na konto organizacji kombatanckiej. Tysiąc koron. To dużo.

Pukanie do drzwi. Brix poszedł otworzyć, zostawiając Lund z Hedeby. Zastępca komisarza postukiwała w stół zadbanymi paznokciami.

– Ja tylko zgaduję – powiedziała Lund.

– Zawsze pani tylko zgaduje, z tego co słyszałam.

To się Lund nie spodobało.

– Jeśli mam rację, coś przeoczyliście. Musicie tam wrócić. Do domu. Do parku. Do miejsc, w których bywała Dragsholm. Musicie dokładnie poszukać...

Hedeby patrzyła jej prosto w oczy.

– Tak pani uważa?

– Powiedziałam już, że zgaduję.

– A uważa pani, że byłoby inaczej, gdyby ciągle tu pani pracowała?

– Nie mam pojęcia. Przyjechałam na prośbę Brixa. Przykro mi, jeśli panią rozczarowałam...

Wrócił Brix z rękoma w kieszeniach.

– Mąż się przyznał. Do morderstwa i do przeniesienia ciała.

– Powiedział, dlaczego zabrał ją do Mindelunden? – spytała Lund.

– Przyznał się! – krzyknęła Hedeby i uderzyła pięścią w stół. – Bóg raczy wiedzieć, jak długo staraliśmy się to z niego wyciągnąć.

– Gratuluję.

Lund sięgnęła po torebkę.

Hedeby już stała, mówiła o adwokatach, zarzutach i posiedzeniach sądu.

– Na chwilę przysporzyła mi pani zmartwień – powiedziała, zerkając na Lund ostrym wzrokiem, po czym wyszła.

Brix siadł przy stole.

– Dziękuję, Lund, że się fatygowałaś. Jak mówiłem, załatwię ci dniówkę.

– Nie ma sprawy. To było tylko kilka godzin. Nic nie zrobiłam. I tak musiałam się spotkać z matką. Dlatego przyjechałam. Wezmę taksówkę. Nie przejmuj się.

Nie ruszył się.

– Gratulacje – dodała.

– Svendsen to z niego wyciągnął. Nigdy za nim nie przepadałaś.

– Nie słuchał. Nie robił tego, co mu kazałam. A, i jeszcze jedno. To bandzior.

Lennart Brix wstał, uściśnął jej dłoń, po czym podszedł do drzwi i je otworzył.

– I tak dziękuję – powiedział.

\*

Raben spotkał się z Mygiem Poulsenem w tym samym pokoju widzeń. Tapczan stał teraz inaczej. Po odwiedzinach u innego więźnia. W pomieszczeniu unosiła się woń potu i pospiesznego seksu.

Poulsen był niedużym mężczyzną o żałośnie wymizerowanej twarzy. Ogólnie wylizal się z ran, chociaż utykał. Znowu nosił mundur polowy. Rozłożył ramiona na powitanie i ze śmiechem uściskał Rabena.

– Przepraszam, że nie przychodzę częściej. – Mówiąc to, nie patrzył koledze w oczy. – W klubie weterana mam mnóstwo roboty. I sprawy...

Jego słaby głos zamilkł.

– Louise mówiła, że mógłbyś mi pomóc w szukaniu roboty.

– Postaram się. – Poulsen wyjął z kieszeni kartkę. – Nie wiem, czy to jakaś pomoc. Szukają stolarza. Szef firmy był w wojsku. Może trochę nagnie zasady dla jednego ze swoich.

Podał Rabenowi nazwisko i numer telefonu.

– Sierżant w stanie spoczynku. Boże, ileż ja się musiałem nasłuchać wojennych opowiastek, żeby to zdobyć. Za kilka miesięcy będzie jakaś robota.

– Wie, kim jestem?

– Wie. Już nam kiedyś pomagał. Niech Louise zadzwoni, to on przyśle papiery. – Chwilę milczał, jakby bał się coś powiedzieć. – Jesteś już zdrowy, Jens? Wyglądasz lepiej.

Raben schował kartkę do kieszeni.

– Czuję się lepiej.

– Pomagamy sobie. O to właśnie chodzi. Klub może ci również pomóc w szukaniu mieszkania. Przekażę Louise szczegóły, zanim wyjadę.

Znowu zerknął podejrzliwie, wiercąc się tak jak wtedy, gdy przygotowywali się do misji.



– Dokąd wyjeżdżasz? – spytał Raben głosem sierżanta. Głosem, którego nie sposób zlekceważyć.

Poulsen kręcił się na krześle.

– Wracam do Afganistanu. Z kontyngentem, który jedzie w przyszłym tygodniu. Na pół roku. Nie mogę się doczekać. Co tu jest do roboty dla takich jak ja?

– Dokąd?

– Do Helmand. Na początek Obóz Viking. Jestem zwykłym szeregowcem. Skąd mogłem wiedzieć? Złożyłem podanie parę dni temu. Jest OK. Nie ma sprawy.

Raben wstał, stanął na drodze do drzwi.

– Kiedy się ostatnio widzieliśmy, mówiłeś, że masz tego dość.

– Muszę iść.

Poulsen usiłował go minąć. Raben chwycił go za ramię. Drobnym mężczyzną wyrwał się i już nie wyglądał tak życzliwie.

– O co chodzi, Myg? Coś ty zrobił? Może dam radę ci pomóc...

– Jesteś świrem – warknął Poulsen. – Jak możesz mi pomóc?

– Nie pamiętam, co się stało. Wiem, że coś złego...

– Gównu wiesz! I niech tak zostanie.

Błada twarz Poulsena poczerwieniała z gniewu i wściekłości.

– Już po całym tym gównie, Raben. Pozamiatane. Jeśli ktoś będzie zadawał pytania...

– Jakie pytania?

– Dobrze, że nie wiesz. – Jego głos zrobił się piskliwy. – Strażnik!

– Myg...

– Strażnik! Wypuście mnie stąd!

Raben znowu go chwycił. A tamten znowu się wywinął z jego silnego uścisku.

– Mogę ci załatwić pracę – krzyknął do niego Poulsen. – I tyle. Ale otwórz tylko dziób, a koniec umowy. Tym razem nie pociągniesz mnie za sobą. Nie ma mowy...

Drzwi się otworzyły. W progu stanął strażnik, kołysząc pałką. Raben się odsunął i patrzył, jak Myg Poulsen w pośpiechu opuszcza pokój.

Coś wiedział. Tak jak kiedyś Raben. Prawda wciąż gdzieś tam była. Rozumiał to. Kołatała z tyłu głowy jak wściekły, otępiały potwór zagubiony w ciemnościach.

\*

Mieszkanie jej matki w Østerbro wypełniały wspomnienia, spośród których tylko niewielka część była miła. Ale nie w tej chwili. Teraz był tu Mark, wysoki i przystojny, szczęśliwszy niż w czasach, gdy z nią mieszkał. Nie była złą matką. Po prostu nie zdołała być naprawdę dobrą matką. Mark zamieszkał więc z jej eksmężem. I dostawał tyle kieszonkowego, że ona nie mogłaby sobie na taką sumę pozwolić przy obecnych zarobkach. I nienawidził Gedser, czemu trudno się dziwić.

Czternaście świeczek na torcie. Vibeke, jej matka, też była szczęśliwa, a towarzyszył jej chyba nowy chłopak. Mnóstwo krewnych, których imiona usiłowała sobie przypomnieć. Potem odśpiewali *Sto lat* i patrzyli, jak Mark schyla się, by zdmuchnąć świece.

Był na tyle miły, że włożył granatową bluzę z Netto, którą mu kupiła, i to od razu po wydobyciu z okropnego opakowania. Paskudna taniocha, w dodatku o numer za mała.

Chłopak matki miał na imię Bjørn. Krągły, łysiejący, wesoły, Lund oszacowała jego wiek na sześćdziesiąt parę lat. Szczęśliwy, nagrywał każdą sekundę przyjęcia na kamerę wideo. Kiedy świece zgasły, Vibeke klasnęła w dłonie i wszyscy jak na komendę ucichli.

– Skoro tu jesteście – oznajmiła donośnym, szczęśliwym głosem – Bjørn i ja chcieliśmy wam coś oznajmić.

Jej matka się zarumieniła. Lund zaczęła się zastanawiać, kiedy ostatnio to widziała.

– Ten cudowny mężczyzna na tyle zgłupiał, że mi się oświadczył. – Vibeke promieniała jak dziewczyna. – Co miałam powiedzieć?

– Tylko „tak” – podsunął Bjørn z szerokim uśmiechem.

– No i tak właśnie zrobiłam. Nie ubiorę się na biało. Nie będzie dużo zamieszania. No. I tyle. – Po chwili wahania dodała: – W sobotę. Najbliższą. Wszyscy jesteście zaproszeni. Czy staruszkowie nie mogą się kierować impulsem?

Chwilę trwała cisza pełna zdziwienia, a potem wybuchły oklaski. Lund stwierdziła, że chichocze, zasłaniając usta dłonią.

Podszedł do niej Mark.

Pogłaskała go po piersi, śmiechem kwitując absurdalnie ciasną bluzę.

– Przepraszam. Tak szybko urosłeś.

– Nie przejmuj się. – Głos miał głęboki i spokojny. Ledwie mogła uwierzyć, że to ten sam trudny dzieciak, który mieszkał tu z nią w czasie sprawy Birk Larsen. – Fajnie, że przyjechałaś. Kiedy musisz wracać?

– Zaraz.

– Babcia powiedziała, że masz rozmowę o pracę. Mogłabyś wrócić do Kopenhagi.

– Nie. Co u ciebie?

– W porządku.

Dostrzegła rozczarowanie na jego twarzy. Przez chwilę znowu stała z dwunastoletnim Markiem. Znowu go zawiodła.

Wziął ją za ramiona, pocałował w policzek i powiedział coś słodkiego, straszliwie dorosłego i wyrozumiałego.

Vibeke wykrzykiwała polecenia, by jeść więcej ciasta.

Wzrok Lund zbłądził na podłogę. Coś tam leżało. Kawałek celofanu obok papieru zdartego z prezentu.

Tej samej wielkości, co niezidentyfikowany naddarty kawałek znaleziony w domu Anne Dragsholm.

Ruth Hedeby bardzo się nie podobało, gdy Lund powiedziała, że wszyscy powinni szukać uważniej. Ale naprawdę do tego właśnie sprowadza się ta robota. Do patrzenia. Nigdy nie odwracać wzroku, choćby to było nie wiadomo jak trudne.

Lund pochyliła się i podniosła celofan z podłogi. Na stole powyżej leżało plastikowe pudełko, tuż obok włączonej kamery Bjørna. Nowa kasetka czekała na swoją kolej.

Wsadziła opakowanie do kieszeni, wyszła na korytarz i wyjęła telefon.

Dodzwoniła się dopiero za drugim razem.

– Strange, słucham.

– Mówi Lund. Nie mogę złapać Brixa.

– To ważne? Jestem zajęty.

Był gdzieś na dworze. Słyszała uliczny szum.

– Chodzi o morderstwo Dragsholm. Ten kawałek celofanu...

– Myślałem, że z tym skończyliśmy.

– On to wszystko sfilmował. Jeśli nie uważasz, że mąż byłby do tego zdolny, to macie niewłaściwą osobę.

Strange milczał.

– Chcę jeszcze raz iść do tego domu – powiedziała Lund. – Dobra?

Długie westchnienie pełne rezygnacji.

– Daj mi godzinę.

– Coś nie pasuje? Strange?

– Godzinę – powtórzył, a potem się rozłączył.

Goście w głębi mieszkania znowu śpiewali. Miała nieprzyjemne poczucie, że powinna do nich dołączyć.

\*

Koszary Ryvangen znajdowały się na trójkątnym wycinku terenu w Østerbro, gdzie rozwidlały się biegnące na północ tory kolejowe. Louise Raben, wraz z synkiem Jonase, wprowadziła się do ojca, pułkownika Torstena Jarnviga, prawie rok temu, gdy skończyły się pieniądze na mieszkanie, które miało być ich domem rodzinnym. Raben nigdy go nawet nie zobaczył. Niedługo po powrocie z misji osadzono go w Herstedvester. Z powodu zaburzeń psychicznych. Doszło do gwałtownego zajścia, którego nikt do końca nie zrozumiał, sprawy sądowej, niejasnego wyroku.

Przeprowadziła się więc z Jonase do Ryvangen tymczasowo, a w każdym razie takie było założenie. Nadal chciała mieć coś własnego. Pragnęła życia poza ciasną społecznością, taką jak wojsko. Ale to było niemożliwe. Datę zwolnienia Jensa ciągle przesuwano. Nie miała tyle pieniędzy, żeby samodzielnie płacić za mieszkanie. Wraz z Jonase zajęła więc wolny pokój w mieszkaniu ojca. Skromny, ale i tak lepszy od kwatery sierżanta, którą kiedyś dzieliła z mężem.

Jarnvig był samotnym mężczyzną, bez reszty oddanym wojsku. Jego żona, matka Louise, uciekła dawno temu – nienawidziła wojskowego życia. Teraz był pułkownikiem, dowódcą koszar.

Louise kochała ojca, chociaż za często go widywała. Na swój sposób starał się zastąpić Rabena i zameczał ją, że trzeba znaleźć Jonasi szkołę w okolicy, zająć się suteroną, zrobić tam dwa pokoje, by mieli więcej miejsca. Dzisiaj wieczorem, przy stole jadalnym, skubiąc kanapkę, podjął tę samą śpiewkę.

– Musisz go zapisać jak najwcześniej, żeby miał najlepszą szkołę. To ważne...

Jonas siedział na podłodze pokoju gościnnego. Bawił się najnowszą zabawką, którą dostał od Christiana Søgaard. Søgaard był majorem, przystojnym, pewnym siebie, krocącym dumnie mężczyzną, prawą ręką jej ojca. Kręcił się wokół ich domu, uśmiechał do Louise, klepał chłopca po głowie. Dawał mu żołnierzyki z bronią i mundurami. Jonas je uwielbiał, lubił siadać obok Søgaard, który śmiał się, gdy mały krzyczał: „Pif-paf!”.

Tego popołudnia Jonas wdał się w bójkę w przedszkolu. Jakieś dziecko natrzęsało się z jego ojca. Søgaard pojechał go odebrać, interweniował i przywiózł do domu.

Louise wiedziała, czego naprawdę chce Søgaard. Podejrzewała, że jej ojciec chce tego samego. Wojskowe małżeństwa rozpadały się na wszystkie przewidywalne sposoby. Rozstanie albo je cementowało, albo niszczyło. Zniknięcie Rabena w paszczy duńskiego psychiatrycznego systemu penitencjarnego było gorsze nawet od półrocznej misji w Iraku czy Afganistanie. Wtedy przynajmniej wiedziała, kiedy mąż wróci do domu. No chyba że trafiłby na szpitalne łóżko albo do trumny.

– Szkoła zależy od miejsca zamieszkania, tato. Jensa powinni już niedługo wypuścić. Może dostać pracę. Myg mówi, że jest robota na budowach. Stolarstwo...

– I zostawisz nas? W szpitalu cię uwielbiają. Jesteś nam potrzebna.

Była pielęgniarką w koszarowym szpitalu. Dobra praca. Marna pensja. Ale ona czuła się potrzebna, doceniana, a to było ważne.

Jarnvig podniósł kubek z kawą.

– Naprawdę myślisz, że go wypuszczą?

– Czemu nie? Polepszyło mu się. Nie mają powodu go tam trzymać. Gdybyś się z nim spotkał, też byś to zauważył.

- A jeśli nie? Czekasz już dwa lata.
- Wiem, jak długo czekam. Liczę każdy dzień.
- Ciągłe wszystko odkładasz. To źle na ciebie wpływa. Na Jonasa też...

Zawsze uważała ojca za przystojniaka. Wysoki, wyprostowany, pewny siebie, szczery i przyzwoity. Louise miała piętnaście lat, gdy jej mama odeszła. Wsiadła do samolotu do Hiszpanii, żeby ułożyć sobie nowe, osobne życie. Ona wciąż czuła ból po jej stracie, oboje go czuli.

- Jens jest ojcem Jonasa i kocha go. Jeśli to dla ciebie problem, mogę się natychmiast wyprowadzić.

Odgryzł kawałek kanapki i zaczął wertować dokumenty leżące na stole.

Pukanie do drzwi. Said Bilal. Jeden z najmłodszych oficerów. Nowego typu. Urodzony w Danii muzułmanin, syn imigrantów. Ciemnowłosa, ciemnoskóry; nie słyszała, żeby miał przyjaciół. Nie widziała też, żeby się kiedykolwiek uśmiechał.

Stał z hełmem w rękę, w pełnym umundurowaniu polowym, sztywny i wyprostowany.

- Major Søgaaard powiedział, że prosił pan o informacje o zaawansowaniu przygotowań do wyjazdu.

- Później – rzucił Jarnvig, nie podnosząc wzroku.
- Muszę z panem porozmawiać o starszym szeregowym...
- Później. Dziękuję.
- To nie jest szczęśliwy żołnierz – zauważyła Louise po wyjściu Bilala.

- I co z tego? Niedługo będzie w Helmand. Robią to, bo muszą. Nie możemy oczekiwać, że będą tańczyć i śpiewać.

Wróciła do swojego pokoju, by dołączyć do Jonasa i Christiana Søgaard na podłodze.

– Chcę pokazać tacie nową zabawkę – powiedział chłopiec. – Kiedy się z nim zobaczymy?

Pocałowała go w delikatne blond włosy.

– Niedługo.

Søgaard bardziej skupiał się na niej niż na Jonasie, a ona w pewnym sensie nie miała nic przeciwko temu. Był atrakcyjny i troskliwy. Od dwóch lat żyła jak wdowa albo jak dziewczica. Dobrze było mieć pod ręką kogoś, kto od czasu do czasu patrzył na nią z uwielbieniem.

– Kiedy niedługo? – nie ustępował Jonas.

– Naprawdę niedługo – odparła Louise Raben bez cienia wahania, odwzajemniając uśmiech Christiana Søgaard.

\*

Carsten Plough głęboko nienawidził wszelkich zmian, więc nie podobało mu się również przybycie nowego ministra. Kojarzyło mu się to z braniem ślubu z obcym człowiekiem. Urzędnik służby cywilnej nigdy nie wiedział, w co się pakuje.

– Gdzie on teraz jest? – jęknął Plough do sekretarki Bucha.

– Nie wiem.

– Musi zacząć się zachowywać jak przystało na ministra.

– Dla Bucha to wszystko jest nowe. – Znowu przyszedł dziwny mail, który w kółko dostawali. – Jest tu dopiero od rana.

– Niesamowite, ile szkód można wyrządzić w jeden dzień. Całkowicie zaprzepaścił swoje szanse u Birgitte Agger. Teraz Krabbe uważa, że może nam wejść na głowę.

Karina znowu spróbowała kliknąć na link.



– Co to jest, na Boga?

Plough podszedł i stanął za nią.

– Mail od ministra finansów. Ich kolej na zorganizowanie piątkowych drinków. Pewnie ktoś uważa, że to żart.

Wyciągnęła pasmo blond włosów i zaczęła je zagryzać.

– Jestem pewna, że już przysyłali zaproszenie na drinki. A tego adresu nie ma w książce.

Kroki przy drzwiach. Żwawym krokiem wszedł Buch. Granatowy sweter, gryząca się z nim fioletowa koszula, bez krawata.

– Krabbe już przyszedł – powiedział Plough. – Gdzie pan był?

– Wychodziłem. Spotkanie miało być o dziewiętnastej. Nie cierpię, kiedy ktoś zjawia się przed czasem. Chodźmy...

Usadzony przy stole konferencyjnym Erling Krabbe patrzył triumfująco.

Wstał, niemal ciepło uścisnął Buchowi rękę. Uśmiechnął się do Plougha i Kariny.

– Przyszedłem z lekkim wyprzedzeniem. Przepraszam. Mam za sobą ciężki dzień. Głowa mnie boli. Proszę o wybaczenie. No to do rzeczy...

– Sytuacja jest bardzo prosta – przerwał Buch radośnie. – Ani teraz, ani nigdy nie pójdziemy na kompromis w kwestii chronienia naszych podstawowych konstytucyjnych wartości demokratycznych.

Szczupły polityk spojrzał na niego szeroko otwartymi oczami.

– Nie damy się zastraszyć ani terrorystom, ani panu. Czy wyraziłem się jasno?

– Bardzo – odrzekł Krabbe z krótkim kiwnięciem głowy. – Zatem rząd uważa, że najlepiej będzie mu się pracowało bez nas?

– Wręcz przeciwnie. Ale to pańska decyzja. Jeśli rzeczywiście miałby pan zrezygnować, chciałbym wyjaśnić nasze stanowisko.

Buch położył na stole swoją aktówkę i wyjął z niej plik dokumentów.

– Nie jestem historykiem ani prawnikiem. Ale zasięgnąłem informacji w sprawie obu pańskich sugestii. O ile wiem, rząd duński tylko raz w historii zakazał działalności legalnej organizacji tylko z powodu jej poglądów. Proszę...

Podał dokumenty Krabbemu. Plough przysunął się powoli, zerknął i jęknął. Zdjęcia z drugiej wojny światowej. Nazistowscy żołnierze na ulicach, wyciągnięte karabiny, bagnety w górze, tłum przerażonych gapiów.

– Działo się to w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym roku. Gdy zakazaliśmy działalności Partii Komunistycznej. Wtedy Wehrmacht wywarł na nas presję. Nie muszę panu mówić, do czego to doprowadziło. Pański dziadek na pewno wspomniał coś na ten temat.

Krabbe rzucił zdjęcia na stół.

– Tych sytuacji nie można porównywać.

– Mam ekspertów konstytucjonalistów, którzy zaklinają się, że wręcz przeciwnie. Jeśli jest pan zainteresowany, znajdzie pan w teczce ich oświadczenia. Proszę śmiało dzielić się tym z kolegami.

– Proszę mnie nie obrażać.

Buch machnął mu przed nosem swoją wielką prawą dłoń.

– Słowo honoru, Krabbe, absolutnie nie mam takiego zamiaru. Zadam panu jedno proste pytanie. Czy Partia Ludowa chce być partią szerokiego porozumienia i wprowadzić takie prawa, których domagają się służby bezpieczeństwa? Czy chce pan samotnie głosić poglądy, których Dania nie zna od czasów, gdy do Kopenhagi wtargnęli naziści i potraktowali nas jak niewolników i marionetki?

– Panie ministrze... – zaczął Plough.

– Nie. – Buch uśmiechnął się do jednego i drugiego. – On może sam odpowiedzieć.

– To żalosne – warknął Krabbe, kierując się do drzwi. Dokumenty zostawił na stole. – Gubi się pan, Buch. Mój błąd polega na tym, że nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo.

\*

– Nie mogę tu zostać całą noc – gderał Strange. – Przejdźmy do rzeczy. Po co miałyby to filmować?

Wrócili do domu Dragsholm i właśnie obchodzili salon. Wszystkie światła były włączone. Szare cienie drzew majaczyły na końcu ogrodu. Skądś dobiegało bębnienie deszczu.

Była dziewiętnasta piętnaście. Powinna zadzwonić do matki i powiedzieć, że się spóźni. Ale Vibeke wyglądała na tak szczęśliwą z Bjørnem, że pewnie w ogóle nie zauważyła jej nieobecności.

– Powiedziałaś, że ślady krwi wskazują, że kobietę najpierw pchnięto nożem, a potem siłą posadzono na tym krześle. – Lund spojrzała na skórzany fotel dyrektorski wciąż leżący na boku, tak jak go znaleziono. – A jeśli się mylisz? Jeśli najpierw posadzono ją na krześle, a potem raniono?

Strange zmarszczył czoło.

– Gubię się. Jeśli to była zbrodnia w afekcie...

– Musisz tworzyć teorię zgodną z faktami, nie odwrotnie.

Chyba poczuł się skarcony. Lund wzięła teczkę, przejrzała raport z sekcji zwłok, zdjęcia ran na ciele Anne Dragsholm.

– Jedno głębokie pchnięcie w serce – przypomniała Lund. – Zdaniem lekarza zadane prawdopodobnie nożem. Pozostałe rany są inne. Płytsze. O postrzępionych krawędziach.

– Nie mamy żadnej broni.

– Chciałeś powiedzieć, że nie znaleźliście.

– Tak – odparł, udając cierpliwego. – To właśnie chciałem powiedzieć.

– Co Svendsen wycisnął z męża? Zeznał, jak ją zabił?

– Nożem. Gdzieś go wyrzucił.

Wpatrywała się w niego.

– Gdzieś?

– Nie byłem na przesłuchaniu.

– Ale to nie był tylko nóż, prawda? Dlaczego Dragsholm się nie broniła? Dlaczego nie ma ran na rękach?

Myśl. Patrz. Wyobrażaj sobie.

Wracały stare nawyki. Czasami umiała wyśnić sobie drogę do miejsca zbrodni. Tak, że niemal tam była, kiedy rozgrywał się dramat.

Lund spojrzała na skórzany fotel. Miał mocne poręcze z lśniącego metalu i solidną podstawę. Czerwona plama na skraju lewej poręczy po wyschnięciu nabrała połysku metalu.

Postawiła fotel. I podnózek. Następnie chwyciła wysoką lampę na metalowym stojaku i umieściła ją przed nimi, przy czym lampę wycelowała w oparcie fotela, znalazła wtyczkę, wetknęła ją do gniazdka i włączyła światło.

Lampa zaświeciła bardzo jasno. Promień światła padał wprost na oparcie krzesła. Wyglądało to jak scena z pokoju przesłuchań. Taka scena, która podobałaby się zbirowatym gliniarzom w rodzaju Svendsena, gdyby tylko wolno im było ją przygotować.

– Odtwarzasz to – powiedział Strange głosem pełnym podziwu.

– Właśnie.

Odsunęła podnózek i umieściła go przy lampie.

– Tutaj siedział. Świecił jej prosto w oczy. Przede wszystkim torturował ją, żeby zmusić do mówienia. Kiedy dostał to, co chciał,

wziął nóż i dźgnął ją w serce.

Strange potrząsnął głową.

– Była w trakcie rozwodu. Po co by ktoś przeprowadzał takie niby przesłuchanie...?

– Nie ma w tym żadnego niby. Przyszedł tu w określonym celu. Tego właśnie chciał. Cały czas miał taki zamiar.

Światło padało na półki z książkami za fotelem.

Powoli, metodycznie przesunęła wzrokiem po rzędach tomów. Tytuły prawnicze. Historyczne. Podróżnicze i wojskowe.

– Sprawdzili w tym pokoju wszystko, Lund. Niczego by nie przeoczyli.

– Jasne. Nigdy niczego nie przeoczają.

Pomiędzy tomiszczami ksiąg prawniczych stał mały posążek. O połowę od nich mniejszy. Nic specjalnego.

Klasyczny symbol sprawiedliwości, kobieta z zawiązanymi oczami trzymająca wagę.

Było w niej coś dziwnego.

Posążek był z brązu. Srebrna zasłona na oczach przypominała łańcuszek. Był luźny. Osobny. Dłonią osłoniętą rękawiczką Lund chwyciła dziwny przedmiot, obróciła go. Coś się chowało z tyłu, pobrząkując o podstawę.

Strange dołączył do Lund.

– Co to jest? – spytała.

Na łańcuszku, schowany za posążkiem, wisiał kawałek lśniącego metalu. Wyglądał jak prostokąt prymitywnie przecięty na pół. Odcięta krawędź była ostra, poplamiona krwią i inną tkanką. Wybito na niej rząd krzyżyków. Przy krawędzi widniał napis: „Dania”.

– Nieśmiertelnik – wyjaśnił Strange.

- Tym ją pociął. Jest przełamany na pół.
- Nie odpowiedział.
- Strange...
- Przełamuje się go, kiedy żołnierz ginie. Kiedy odsyłają jego ciało z pola bitwy. To taki...
- Wojskowy rytuał – przerwała. – Masz adres tego klubu weteranów, dla którego Dragsholm wpłacała pieniądze?
- Musimy zadzwonić do Brixa. Będzie chciał przysłać techników.
- Machnęła mu przed nosem zakrwawioną blaszką.
- Mówisz o tych ludziach, którzy to przeoczyli?
- Tak, ale...
- Chcę zobaczyć ten klub weteranów, któremu posyłała pieniądze.
- Lund! Mam robotę...
- Odłóż ją na później – przerwała mu, po czym wsadziła nieśmiertelnik do plastikowej torebki dowodowej i schowała ją do kieszeni.

\*

Kolejna noc w Herstedvester. Raben przechadzał się korytarzami, nie mówiąc zbyt wiele. Zastanawiał się, dlaczego nie pozwalają mu zadzwonić do domu.

Louise mu się wymykała. Wyglądało na to, że on niewiele może z tym zrobić.

Nagabywał więc znowu strażnika, prosił o pozwolenie na nadprogramowy telefon.

- Jutro – odparł mężczyzna. – Wtedy zajmie się tym nadzorca.
- Jutro będzie za późno.

Strażnik był potężny i nie był rodowitym Duńczykiem.

– Skończyły ci się telefony, Raben. Nie trzeba było tyle dzwonić.

– To ważne.

Kilkoro drzwi dalej dyrektor Toft rozmawiała z jednym z więźniów. Raben podszedł, przerwał jej, spytał, czy nadzorca może zerknąć na jego wniosek o rozmowę telefoniczną.

Lodowaty piękny uśmiech.

– Raben! – zawołał nadzorca z głębi korytarza. – Czas wracać do celi.

– Był u mnie kolega z wojska – powiedział, nie ruszając się z miejsca.

– Martwię się o niego.

– Czemu? – spytała.

– Coś mu jest. Myślę, że może sobie zrobić krzywdę. Muszę z nim pogadać. I z żoną. Ona może pomóc.

– Przekażę nadzorcy, że pańskim zdaniem to pilne.

– Nie moim zdaniem. To naprawdę jest pilne.

– Tak mu powiem.

Za plecami usłyszał kroki. Szedł po niego krzepki strażnik.

– Musimy porozmawiać o innej sprawie, Raben.

– Mogę najpierw zadzwonić?

– Nie. Komisja odrzuciła pańskie podanie o zwolnienie warunkowe. Zwykle rozpatrzenie podania z naszą rekomendacją zajmuje im z tydzień. Ale... – Wzruszyła szczupłymi ramionami. – Po prostu odmówili. Nie wiem, na jakiej podstawie.

Zabrakło mu powietrza, nie mógł myśleć.

– Kiedy się dowiem, wszystko panu przekażę. Przykro mi.

– Co? – Słyszał, że strażnik się zbliża. – Co to ma być?

Ruszyła w swoją stronę. Kolejne pół roku w więzieniu, a ona mu to oznajmiła w ułamku sekundy.

– Toft! Zakończyłem terapię. Zrobiłem wszystko, co mi kazali...

– Nie wiem dlaczego. – Ledwie się odwróciła, a już wyciągała kluczyki do swojego sportowego wozu. – Kiedy...

– Mam małego synka. Rodzinę.

– Za pół roku może pan znowu złożyć podanie. Proszę kontynuować leczenie...

– Kurważeż mać, kobieto, co ja jeszcze mam zrobić?!

Strażnik był już przy nim, pięści zaciśnięte, uśmiech; szukał okazji do bitki.

– Odsuń się od pani dyrektor – rozkazał.

– Nie dotknąłem jej.

Wielki chłop chwycił go za ramię. Raben był znowu w dobrej formie, wyleczył się ze wszystkich ran. Silny i dobrze wyszkolony. Odwrócił się, pchnął strażnika w klatkę piersiową, ten zatoczył się i padł na plecy.

Toft patrzyła, jakby dobrze bawiąc się tą sytuacją. Ramiona skrzyżowane, nieruchome blade oblicze, wzrok skupiony na jego twarzy.

– Musi pan zachować spokój – powiedziała.

– Jestem spokojny. Tylko nie rozumiem.

Usłyszał hałas za sobą. Strażnicy realizowali procedury. Nigdy nie prowadzić walki w pojedynkę. Niektórzy z tutejszych osadzonych byli wielcy i trudni. Wycofać się. Czekać na właściwy moment.

– Nie jestem psycholem. Ani pedofilem. Ani kryminalistą.

Strażnik wrócił z pałką w ręku, uderzał nią o dłoń.

– Odsuń się od niej, Raben.

– Nie dotknąłem jej! Nie...

– Nie zdołamy ci pomóc, jeśli sam sobie nie pomożesz – powiedziała spokojnie Toft.

– Wciskacie mi to gówno, łajdaki...



Nagle nadszedł atak. Ten sam czerwony ryk, co w Iraku, w Afganistanie. Wrzask wściekłości i gwałtowna furia, w której go szkolili i do której zachęcali.

Podniósł stolik, choć chyba nawet o tym nie wiedział. Machał nim przed sobą, zbliżając się do strażnika.

Ciemna skóra o barwie helmandzkiego błota. Widział je wszędzie dokoła, gdy wyjeżdżał na patrol, nie wiedząc, czy spotkają się z przyjacielem, czy z wrogiem.

Jeden szybki rzut i z krzykiem cisnął stół przed siebie, celując w mężczyznę.

Nie wiadomo skąd pojawiły się jakieś ręce, podcięto mu kolana, czyjeś pięści tłukły niemilosierdzie.

Jens Peter Raben leżał na podłodze, duszony i okładany razami.

Ktoś chwycił go za nogi. Ktoś inny wcisnął jego krzyczącą twarz w podłogę.

Słowa Toft, wypowiedane bezbarwnym, wytwornym tonem, który zdążył znienawidzić, krążyły gdzieś nad nim. Podniósł wzrok, zobaczył ją, jej niebieskie oczy, skupione.

– Podajcie mu środki uspokajające – poleciła. – Zamknijcie w celi.

Silne ramiona ciągnęły go, gdy krzyczał i kopał, po czym wepchnęły do izolatki, podniosły na stalowy stół, zapięły skórzane pasy na jego walczącym ciele, gdy przeklinał ich i opluwał.

Igła strzykawki wbiła się w jego ramię. Zobaczył przed oczami wspomnienia o innym miejscu, innym rodzaju przemocy.

Jens Peter Raben zastanawiał się, czy kiedykolwiek pozbędzie się tego koszmarnego snu, znajdzie schronienie i spokój w domu z Louise i małym chłopcem, który ledwie rozpoznawał jego twarz.

Zastanawiał się, w co się zamieni – do czego wróci – jeśli go nigdy nie wypuszczą. Pomyślał o Mygu Poulsenie, przerażonym żołnierzyku,

który był z nim w Helmand, gdy ściany ich małego wspólnego świata zaczęły obracać się w gruz i pył.

Poulsen nigdy nie chciał wracać na wojnę. Wróciliby z jednego tylko powodu. Gdyby był zbyt przerażony, żeby zostać.

Potem zadziałała chemia, mocno, głośno i szybko. I już nie mocował się ze skórzanymi pasami ani nie myślał za dużo.

\*

Plough wciąż był na tyle wściekły, na ile pozwalał mu kontrolowany urzędniczy temperament. Erling Krabbe wypadł z gabinetu Bucha, a po dziesięciu minutach zadzwonił, potulnie proponując poparcie jego partii dla ustawy z kilkoma drobnymi poprawkami.

– A jednak – rzekł Buch, gdy rozmowa dobiegła końca, a on pakował się do wyjścia – nie wyglądasz na zadowolonego, Carsten.

– Nie jestem zadowolony. Prawa z czterdziestego pierwszego roku w żaden sposób nie da się porównać z sugestiami Partii Ludowej. Następnym razem doceniłbym, gdyby pan zasięgnął mojej opinii, zanim się skonsultuje ze swoimi ekspertami.

– Masz rację. Jestem nowy w tej robocie. Okaż mi trochę wyrozumiałości, proszę. Jestem też politykiem. Chcę pracować po swojemu.

Plough zebrał całą swoją odwagę i siłę, by stoczyć spór. Natychmiastowe przeprosiny Bucha zbiły go z tropu.

– Rozumiem to, panie ministrze, ale w przyszłości...

– Pierwszy dzień! – Buch poklepał go po ramieniu. – Nie poszło mi jakoś fatalnie, prawda?

Wielki chłop z Jutlandii miał miły uśmiech i wiedział, kiedy go wykorzystać.

– Tego nie powiedziałem. Są różne sposoby załatwiania spraw. Ministerialne sposoby...

Do gabinetu zdecydowanym krokiem weszła Karina.

– Musicie to zobaczyć.

– Nie – odparł Buch, zbierając swoje rzeczy. – W polskiej ambasadzie jest przyjęcie. Kiełbaski...

– Odwołałam. Proszę...

Wyglądała na bliską łez, a była silną, pewną siebie młodą kobietą.

– PET już jedzie – dodała, wracając do swojego biurka.

Mężczyźni podążyli za nią. Siadła przed komputerem. Na ekranie widniała stop-klatka filmu wideo. Dom w ciemnościach, w środku włączone światła.

– Co to jest, Karino? – spytał Buch.

– Ten mail, który ciągle przychodził z adresu w Ministerstwie Finansów. Fałszywego, jak się okazało. Link się otworzył dopiero o dziewiętnastej trzydzieści. To...

Wzięła głęboki oddech i kliknęła „play”.

– Sami zobaczcie.

Ekran obudził się do życia. Włączyło się światło. W oknie na górze pojawiła się kobieta, zawijała włosy w ręcznik, jakby przed chwilą wyszła spod prysznic. Z kamery dobiegał niespokojny, płytki oddech. Obiektyw podążył za kobietą przez okna kuchni. Wypiła szklanekę wody, chyba na coś popatrzyła i odeszła.

– Wszystko w porządku – powiedział Buch. – Ale polska ambasada...

– Niech pan o niej zapomni – odparła stanowczo Karina.

Odgłos kroków, kamera przysunęła się bliżej. Kobieta w kuchni sieka warzywa na desce. Ma mokre włosy. Ubrana jest w niebieski szlafrok. Coś słyszy, patrzy w okno, wydaje okrzyk, niemy, upuszcza nóż.

Szybki ruch, dźwięk tłuczonego szkła.

Potem przeskok w czasie, nie wiadomo jak duży. Zbliżenie. Kobieta siedzi w fotelu przy lampie, ciągle w niebieskim szlafroku. Krew płynie jej z nosa, jedno oko ma czarne, podbite, skórę rozciętą nad brwią. Szlafrok jest ściągnięty aż do piersi, odsłoniętą skórę znaczą okrutne cięcia.

Wygląda na wściekłą i zbuntowaną zarazem. Wpatruje się w obiektyw.

– Mój Boże – mruknął Carsten Plough i przyciągnął krzesło.

Buch przysunął się bliżej, a jednocześnie kamera się wycofała. Zobaczyli sznury na jej klatce piersiowej. W lewej ręce kobieta trzymała kartkę papieru. Jej zakrwawiona, przerażona twarz odwróciła się do kamery. Kobieta zaczęła czytać łamiącym się, drżącym głosem.

– Oskarżam zakłamaną duński rząd i niewierny naród duński o zbrodnie przeciwko ludzkości.

Kartki w jej dłoni zadrżały. Oczy przesunęły się na kamerę, szukając litości, reakcji. Bezskutecznie.

– Nadszedł czas zemsty Allaha. Liga Muzułmańska pomści cierpienia spowodowane przez Duńczyków... w Palestynie, Iraku i Afganistanie.

Wilgotne włosy na jej nagich ramionach. Kręciła głową. Łzy zaczęły tworzyć zasmarkane rozlewiska, które płynęły z jej ust, nosa; pół płakała, pół szeptała.

– Przyznaję się do winy. Moja krew zostanie przelana. A wraz ze mną umrze wielu.

Kamera zrobiła zbliżenie. Jej twarz przerażona i udręczona.

– Nic nie zrobiłam... Mam małą córeczkę... Na miłość boską...

Jeszcze bliżej, i jeszcze. Zakrwawione usta, zakrwawione zęby, krzyk, stop-klatka. I cisza.

Na ekranie. I w pokoju.

Karina wstała, przeprosiła i czym prędzej wyszła.  
Thomas Buch siadł ciężko obok jej biurka.  
To była kobieta ze zdjęcia, które widział w teczce Frodego Monberga.  
Anne Dragsholm. Buch nauczył się już jednej politycznej sztuczki.  
Teraz był dobry w nazwiskach. Tego nie zapomni szybko.

\*

Klub weterana w Christianshavn, niedaleko dawnych terenów wojskowych, z których powstało hipisowskie Wolne Miasto Christiania. Strange prowadził; przez całą drogę wyglądał na naburmuszonego.

– Coś się stało? – spytała Lund, gdy minęli Slotsholmen, ciągle oświetloną, a potem most Knippelsbro.

– Ty.

Nic z Meyera. Zero figlarności. Wydawał się porządny, spokojny, odpowiedzialny. Do tej pory jej się to podobało.

– Przykro mi, jeśli praca koliduje z twoim życiem towarzyskim.

Spojrzał na nią krzywo. Może jednak jakieś ślady poczucia humoru?

– To był żart, Strange.

– Policja nie jest całym moim światem. Mam inne sprawy. Ty nie?

Nie odpowiedziała.

– No bo wiesz – ciągnął – przyjechałaś do Kopenhagi spotkać się z matką. A nie wtykać nos w sprawę o morderstwo.

– Brix mnie poprosił.

– Żebyś przeczytała akta.

– I to zrobiłam.

– I proszę, co mamy. Jesteśmy na służbie.

Miał niezwykłą twarz. Bardzo czujną, młodszą, niż wskazywałyby jego wiek, a jednocześnie dojrzałą w swojej powadze. Przystojną, ale udręczoną.

– Nie masz tu żadnej władzy, Lund.

– Brix mnie prosił.

– Kiedy tam dotrzemy, siedzisz w samochodzie i czekasz na mnie.

– Nie bądź śmieszny.

To mu się nie spodobało. Zerknął w lusterko, wjechał w boczną ulicę i wyłączył silnik.

– Zostajesz w samochodzie i czekasz na mnie – powtórzył. – Albo się na to zgadzasz, albo wysiadasz w tej chwili i idziesz do domu. Gdzie i tak powinnaś być. A nie tutaj, ze mną, w tym cholernym deszczu.

Skrzyżował ramiona i czekał.

– Przyjdiesz po mnie? – spytała.

– Kiedy już stwierdzę, że jest bezpiecznie.

– Nie jestem dzieckiem, Strange! Kiedyś byłam ci równa stopniem.

– Kiedyś. – Spojrzał jej w oczy. – A co się stało potem?

Czekał. Lund ani myślała złapać się na ten haczyk. Nie z tym obcym facetem. Z nikim zresztą.

– Nieważne – powiedział Strange dość łagodnie. – Ludzie gadają. Czego się spodziewasz?

– Nie wiesz nawet połowy.

– Chcesz mi o tym opowiedzieć?

Znowu cisza.

– Dobrze. Bo ja nie chcę słuchać. – Uruchomił silnik. – Ja tu jestem gliną. Nie ty.

Nie czekając na odpowiedź, włączył się ponownie do wieczornego ruchu.

\*

Deszcz padał pionowymi strugami, gdy wjechali na pusty parking za zrujnowanym budynkiem obok zaułków prowadzących do Christianii.

– Sprawdziłem klub. Liczy sobie jakieś dziesięć, jedenaście tysięcy członków z całej Danii. Sekretarz nazywa się Allan Myg Poulsen. Ma pokój przy biurze. Numer dwadzieścia sześć.

– Jest czynnym żołnierzem?

– Nie wiem.

– Służył w Afganistanie?

Strange milczał.

– Dragsholm dawała tym ludziom pieniądze – przypomniała Lund. – Co miesiąc. Musicie się dowiedzieć dlaczego.

– Popytam. – Strange wyłączył silnik, wziął kluczyki, otworzył drzwi po swojej stronie. – Zaczekaj tu, aż wrócę. – Odwrócił się i spojrzał jej w twarz. – Zrozumiałaś?

Lund zasalutowała i przybrała najpoważniejszą minę, na jaką było ją stać.

Patrzyła, jak Strange wysiada z wozu, mija kolejne drzwi, znajduje wspólne wejście do budynku i znika w środku.

Zakłęła i rzuciła coś uszczypliwego i bardzo niesprawiedliwego.

Wyleciałby za to, że wziął ze sobą osobę postronną. Może. A może po prostu miał rację. Jan Meyer zawsze czuł się przy niej jak niepełnosprawny, czego ona nie do końca rozumiała. Był dobrym gliną, bystrym i z polotem. I szybko się uczył. Głównie od niej.

Patrzyła, jak w budynku przed nią przesuwa się światło.

Strange był inny. Przede wszystkim o wiele bardziej pewny siebie. Chciała posłuchać, jak rozmawia. Ocenić, jak zadaje ludziom pytania.

Najbardziej chciała sama to robić. W śledztwie w sprawie morderstwa była jakaś woń, przecucie, smak. Zagubiona w Gedser, szukając żalonych, nielegalnych emigrantów próbujących przedostać się do Danii, zapomniała, jak to jest. Teraz znów poczuła ten zapach i znów jej się spodobał.

– Potrzebujesz mnie, Brix – wyszeptała w fotelu pasażera czarnego nieoznakowanego radiowozu.

Umiem patrzeć, pomyślała. Widzę.

Na pierwszym piętrze na szczycie budynku wisiał żelazny pomost. Lund przebiegła wzrokiem po kracie. Ciężka kłódka z łańcuchem. Przecięta.

Gdy tak patrzyła, jakaś postać w czerni, w kapturze, na tle paskudnej nocy, wyszła z głównego budynku kompleksu, z rękoma w kieszeniach i głową pochyloną, po czym szybko ruszyła w stronę schodów na końcu.

Przygarbiona, w pośpiechu, próbując się skulić w środku czarnej zimowej kurtki.

Lund opuściła szybę i krzyknęła:

– Hej!

Jedno słowo i postać ruszyła biegiem.

Lund bez namysłu wyskoczyła z auta.

Tylko jedno wyjście z zastawionego samochodami parkingu. Lund puściła się biegiem, cały czas wołając.

Gdy wypadła zza zasłony budynków, uderzył w nią nagły podmuch wiatru – ciężki i lodowaty. Uciekający mężczyzna kierował się do bram Christianii, prymitywnych malowideł przedstawiających skręty, pacyfki i inne hipisowskie symbole.

Wpadli do Wolnego Miasta. Zero samochodów. Labirynt budynków, grupki ludzi spacerujących nocą.

Tylko dwoje ludzi biegło. On był tym drugim.



Przyspieszyła, mknąc przez leniwe, gderające tłumy, przez opary narkotyków, mijając prowizoryczne knajpki. W powietrzu muzyka, głupkowany śmiech.

Ulica Dilerów. Zatłoczona ciekawskimi turystami i miejscowymi klientami kluczącymi pośród obleganych straganów.

Stoiska z prochami zastawione tacami z haszyszem; podejrzliwe oczy śledziły ją, gdy gnała w tę i z powrotem z latarką w podniesionej ręce, tak jak to robią gliniarze.

Jeszcze raz dojrzała uciekającą postać w kapturze. Potem mężczyzna zniknął. Lund próbowała podążyć jego śladem. Zagubiła się w zaułkach i uliczkach Christianii; musiała wyjąć telefon, by spojrzeć na plan miasta i ustalić, gdzie się znajduje.

Potem ruszyła z powrotem do klubu weteranów, znalazła normalne ulice z samochodami i ludźmi niosącymi zakupy w torbach, a nie skręty.

Była mniej więcej w połowie drogi, gdy ktoś wyskoczył z boku i chwycił ją za ramię.

– Jezu – zachłysnęła się, a potem zobaczyła zmartwioną i zdumioną twarz Strangego.

– Kojarzysz, że kazałem ci zostać na miejscu?

– Z budynku wybiegł jakiś mężczyzna. Zawołałam go, a on się rzucił do ucieczki. Było w tym coś dziwnego.

Strange oparł się o szarą ceglana ścianę, deszcz spływał mu po twarzy.

– Prawda?

– Skąd mam wiedzieć?! Ledwie wszedłem do środka, a zaczęłaś krzyżeć. Pobiegłem więc za tobą. Co miałem zrobić?

– Znalazłeś Myga Poulsena?

Pokręcił głową.

– Naprawdę bawi cię rola samotnego gliniarza obwieszczającego swoją obecność bandzie dilerów?

– Nie jestem gliniarzem – odparowała Lund. – Tak powiedziałeś.

Ruszyła w stronę mieszkań i klubu weterana.

Zdażyła wejść do środka, zanim ją powstrzymał.

Drzwi do pokoju Poulsena stały otworem. Wyglądało na to, że w środku nikogo nie ma.

– Dotąd właśnie dotarłem, gdy zaczęłaś wrzeszczeć – oznajmił Strange, doganiając ją. – Może powinienem skontaktować się z centralą...

– I co powiesz?

Weszła. Na podłodze leżało przewrócone krzesło. Wyglądało to tak, jakby ktoś stoczył tu walkę.

Niczego więcej nie znaleźli. Lund wyszła i ruszyła korytarzem. Na drzwiach przed nią widniał wymalowany napis: „Klub weteranów”.

Krzesła. Stół do ping-ponga. Tani komputer. Czajnik, parę kubków i kuchenka gazowa.

– Ci to dopiero korzystają z życia – stwierdził Strange. – Może przejrzymy książki. Zobaczymy, na co poszły pieniądze Dragsholm.

W rękę trzymał latarkę, węszył nią dokoła. Lund znalazła włączniki światła i nacisnęła wszystkie.

Rozbłysnął rząd wielkich, silnych jarzeniówek. Pomieszczenie wyglądało na wilgotne, zakurzone i puste.

W głębi nieprzezroczysta plastikowa płachta odcinała róg pokoju. Może malowanie. Albo jakiś inny remont.

Lund podeszła bliżej. Na wewnętrznej stronie płachty zobaczyła rozmazane czerwone plamy.

Nie czekała na Strangego, który dalej rozglądał się wokół biurka.

Podeszła, odsunęła plastik ramieniem, spojrzała.

Mężczyzna do góry nogami, stopy związane sznurem przerzuconym przez stalową belkę pod sufitem.

Krew sącząca się z rozciętego gardła utworzyła na podłodze ciemną, lepka kałużę.

Lund wyjęła latarkę, przyjrzała się dokładniej. Czuła za plecami, że Strange się zbliża, przeklinając pod nosem.

Ciągle miała rękawiczki ochronne, z których skorzystała w domu Anne Dragsholm. Wyjęła je z kieszeni, włożyła na ręce, przykucnęła, przysunęła się do powieszonoego ciała kołyszącego się powoli w lewo i w prawo jak obłąkane wahadło.

Długopisem wyciągnęła przedmiot zwisający z szyi martwego mężczyzny.

Srebrny łańcuszek oblepiony krwią. Kawałek metalu przecięty na pół.

Nieśmiertelnik, krawędź postrzępiona szkarłatną tkanką, ostra, nierówna i zniszczona.

\*

Stojąc obok ciała Myga Poulsena, z którego powoli wyciekała krew na twardą zimną podłogę, Strange zadzwonił do Brixa.

Lund słuchała. Odniosła wrażenie, że rozmowa się przedłuża.

– O co chodzi? – spytała, gdy Strange się rozłączył.

– Jedzie z zespołem.

– Co jeszcze?

Patrzył na nią. Zdumiony. Ale i zainteresowany, jak się jej zdawało.

– Alarm przeciwterrorystyczny zmieniono z żółtego na czerwony. Rząd dostał coś na kształt groźby. Związanej z tą Dragsholm. Ona jest

podobno pierwsza. – Przerwał i spojrział na martwe ciało zwisające z haka. – No właśnie.

Lund powoli obróciła się na pięcie o trzysta sześćdziesiąt stopni, oglądając brudne, nagie pomieszczenie. Pomyślała, że niewiele tu znajdują. Chyba że technicy. Mężczyzna, którego goniła po Christianii, musiał uciec tylnymi schodami, na pomost.

Powinna była go dopaść. Co prawda nie miała broni. Ani niczego tego typu.

– Cały czas wiedziałaś, że to nie mąż, prawda? – spytał Strange.

– A ty nie?

Mylił się ten, kto sądził, że natura zbrodni jest skomplikowana. U źródeł zbrodni leżą najprostsze popędy i potrzeby: strach, żądza, zazdrość, nienawiść, chciwość. Zadaniem policji – kiedyś jej zadaniem – było zdjąć warstwy oszustwa, osłonę kłamstw skrywającą ten prosty fakt.

– Jeśli popatrzeć na statystyki, to większość wskazuje na sprawcę z kręgu najbliższych – powiedział Strange.

Lund pomyślała o nieśmiertelniku na posążku przy książkach. O odłamanym kawałku metalu na szyi Myga Poulsena. Oba na pewno były fałszywe. Żadnych numerów, tylko rząd krzyżyków z jakiejś amatorskiej maszyny.

– Najpierw trzeba popatrzeć – odparła.

Dziesięć minut później usłyszeli hałas przy drzwiach. Zobaczyła Brixa i widok, którego nie spodziewała się już ujrzeć: funkcjonariuszy gotowych do pracy przez tyle godzin, ile szef zażąda. Mężczyźni i kobiety w białych kombinezonach, białych ochraniaczach na buty i czepkach.

Sprawa w toku.

## **PONIEDZIAŁEK\_**

### **14 LISTOPADA\_**

#### **18.52\_**

Brix zabrał ich przed budynek, rozmawiali w niebieskim świetle błyskających kogutów. Wcześniej na islamistycznej stronie internetowej pojawiło się nagranie wideo, do którego prowadził link z maila wysłanego do Ministerstwa Sprawiedliwości z fikcyjnego adresu. Na filmie zakrwawioną Anne Dragsholm zmuszono do odczytania zapowiedzi kolejnych ataków na „niewiernych” w Danii.

Zarządzono blokadę informacyjną, ale szczegóły już wyciekały do mediów. PET zajęła się aspektem terroryzmu wewnętrznego tej sprawy. Śledztwo dotyczące morderstwa miało pozostać na razie w Wydziale Zabójstw. Oficjalny komunikat o zwiększeniu zagrożenia terrorystycznego powinien zostać wydany lada chwila.

Weszli do środka, podszedł do nich Strange.

– Ofiara to Allan Myg Poulsen. Lat trzydzieści sześć, kawaler. Żołnierz zawodowy. Przez dziesięć lat służył w jednostce stacjonującej w Ryvangen. Przemieszczał się od domu do klubu weteranów i z powrotem. Dwa lata temu na jakiś czas odszedł z wojska, ale w zeszłym miesiącu znowu się zaciągnął. Czasami zostawał tu na noc. W koszarach nocował, gdy miał służbę.

Na ścianie wisały plakaty nawołujące do werbunku. Zdjęcia mężczyzn na służbie w dalekich, zapyłonych rejonach świata.

Mocno zniszczone buty wojskowe Poulsena stały na gazecie na podłodze, obok nich leżała szczotka i pudełko pasty. Przy nich rozrzucono stos ulotek, chyba po arabsku: widniał na nich rysunek przedstawiający wrzeszczącego wojownika dzierżącego zakrwawiony miecz.

– Prowadzimy poszukiwania mężczyzny, który uciekł – powiedział Strange. – Lund właściwie go nie widziała.

– Było ciemno – wyjaśniła. – Biegł. Pognał prosto na ulicę Dilerów. Był młody i wysportowany. – Spojrzała na Strangego. – Mniej więcej jego wzrostu i budowy.

– Jacyś świadkowie? – spytał Brix.

– Drzwi od zaplecza wyglądają na wyłamane. Może zabójca na niego czekał.

Lund wpatrywała się w brudne buty i pastę. Brix patrzył na nią.

– Myślę, że żołnierz nie zaczyna nowego zajęcia, zanim skończy poprzednie – stwierdziła. – Obstawiam, że Poulsen siedział tu, gdy ktoś wszedł.

– Nie ma śladu walki – zauważył Strange.

Lund wróciła do ciała. Mężczyźni podążyli za nią.

– Torturowano go – powiedział Strange. – Te wszystkie cięcia...

Rany były podobne do tych na ciele Anne Dragsholm. Metodyczne ciachnięcia.

– Musiał wiedzieć, że budynek jest opuszczony. Nie spieszył się.

– Narzędzie zbrodni...? – zaczął Brix.

– Na początku ciął go nieśmiertelnikiem – odparła Lund. Na klatce piersiowej widniała rana szersza i głębsza. – Musimy ściągnąć ludzi do przeszukania okolicy. Musimy wejść do Christianii. Wiedział, jak się tam poruszać. Sprawdźcie, jak się tu dostał. To niełatwe. Może nie był sam. Tylko że...

– Co? – spytał Strange.

Przykucnęła i przyjrzała się ciemnej kałuży pod udręczonym ciałem Poulsena.

– Myślę, że powstała z godzinę temu, może dwie.

– Musimy pogadać. – Brix zerknął na Strangego. – Sami.

Przy bramie zbierał się tłum. Miejscowi, fotografowie, reporterzy machający dyktafonami. Deszcz padał miarowo i nieustępliwie.

– Widziałam jednego, ale mogło ich być więcej. – Lund ani na chwilę nie milkła, podążając za Brixem. – Co mówi PET?

Z rękoma w kieszeniach i markotną miną podprowadził ją na róg budynku.

– Pewnie dali się zaskoczyć – dodała, skoro nie odpowiadał. – Musimy zacząć od początku. Chcę, żeby przetłumaczono te ulotki. Jeśli możesz mi załatwić nagranie filmu, od razu bym go obejrzała...

Coś ją niepokoiło.

– Żołnierz nie żył już od jakiegoś czasu. Dlaczego więc tamten wrócił? Szukał czegoś. Sprawdźmy archiwum, komputer...

– Lund – przerwał jej Brix z długim, bolesnym westchnieniem. – Nie prowadzisz tej sprawy. Prosiłem, żebyś przeczytała akta. To wszystko.

Pokręciła głową.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Przysłałeś po mnie Strangego do Gedser.

– Żebyś rzuciła okiem. Podzieliła się swoją opinią. Nic poza tym.

Nieczęsto wpadała w złość. Ale miała za sobą długi dzień. I była niewyspana. Kiedy kończyła zmianę, odwiedził ją obcy facet. Prawie zapomniała o urodzinach Marka. Jej matka wychodziła za mąż.

Przede wszystkim jednak widziała dwa ciała. Zakrwawione nieśmiertelniki. Zagadkę, która błagała o rozwiązanie. Błagała właśnie

ją, nikogo innego.

– Wiesz, że to nie mąż, Brix. Skończ te gierki, proszę.

To mu się nie spodobało.

– Czemu więc się przyznał?

– Żeby spławić tę świnię, Svendsena. On jest prawnikiem. Wie, że nie macie podstaw do postawienia mu zarzutów. Pewnie już przygotowuje pozew przeciwko policji...

– Może sprawa przybrała inny obrót – przerwał jej. – Ale twoje akta się nie zmieniły. Dwa lata temu musiałem walczyć, żebyś nie trafiła przed sąd. Nie wykonałaś rozkazów. Groziłaś bronią koledze.

– Tak. Już ci mówiłam. Svendsenowi. Bo mnie nie słuchał.

– W Politigården wciąż o tym pamiętają. I pewnie nigdy nie zapomną. Twoje zaniedbanie...

– Walczyłam ze wszystkimi. Z tobą również...

– Meyer już nigdy nie będzie chodził. Ani pracował. Myślisz, że wini za to mnie czy ciebie?

Tego było za wiele. Szturchnęła go w pierś osłoniętą drogim czarnym zimowym płaszczem.

– Myślę, że wini nas wszystkich. Wiem to.

– Pytałaś go ostatnio?

Zawsze umiał zadać właściwe pytanie. Każdego dnia czuła na sumieniu ciężar odpowiedzialności za to, że Meyer został postrzelony. Oczywiście, że z nim o tym nie rozmawiała.

– Czego chcesz? – spytała.

– Powodu, dla którego miałbym ci zaufać.

Lund wepchnęła ręce w kieszenie, zastanawiała się, co ze sobą zrobi, jeśli przyjdzie jej wrócić do Gedser. Jakim cudem zapomni o takiej sprawie?



– Popęłniałam błędy. Nie ja jedna.

Podniosła wzrok na jego szarą, nieuśmiechniętą twarz.

– Gdybym mogła cofnąć czas... – Nie umiała odgadnąć, czy coś dociera do tego człowieka. – Ale nie mogę.

Spojrzała na błyskające niebieskie światła, na funkcjonariuszy przeszukujących podwórko, przemieszczających się techników w białych kombinezonach.

– W tym jestem najlepsza – powiedziała. Do niego i do siebie. – To jedyna rzecz, jaką umiem robić. I jestem w tym dobra. Dlatego...

Silnym palcem wskazującym dźgnęła go w pierś.

– ...dlatego mnie wezwałeś. Nie dlatego, że chciałeś. Tylko dlatego, że jestem ci potrzebna. – Wyciągnęła telefon, zerknęła na godzinę. – Jeśli sobie życzysz, zdążę jeszcze na pociąg do Gedser...

– Zadzwoń do nich rano – powiedział szybko. – Pożyczymy cię na jakiś czas. Na początek na kilka dni.

Kiwnęła głową.

– Jesteśmy umówieni? – spytał.

– Chcę ten sam stopień, co ma Strange – odparła, i to nie było pytanie. – Jakkolwiek się teraz nazywa.

– Podkomisarz policji.

– Chcę odznakę. I chcę to wideo. Chcę wszystko. – Uśmiechnęła się do Brixa. – I chcę, żeby on robił to, co mu się mówi.

– Nie spieprz niczego tym razem – burknął Brix. – W co ja się pakuję?

– Postaram się ze wszystkich sił – odparła. I tylko tyle.

\*

Thomas Buch zadzwonił do domu. Zastanawiał się, co mówią i myślą ludzie w dalekiej Jutlandii. Poprosił żonę, żeby ucałowała córeczki na dobranoc. Potem siadł z Erikiem Königem, szefem PET, i z Ruth Hedeby, zastępcą komisarza policji, zastanawiając się, czy ten dzień nigdy się nie skończy.

König był mężczyzną o ascetycznej powierzchowności, jak na oficera policji trochę za bardzo wyglądał na inteligenta. Miał pięćdziesiąt parę lat, zadbane siwe włosy, okulary bez oprawek. Wchodził pierwszy, siadał pierwszy, od początku traktował Hedeby, spokojną kobietę, jak podwładną. I miał po temu powody. PET zajmowała się sprawami bezpieczeństwa wewnętrznego, takimi jak terroryzm. Policja zawsze jej podlegała.

– Wideo umieszczono na serwerze w Londynie – relacjonował König.  
– Strona ma duński adres. Zamknęliśmy ją, ma się rozumieć.

– Ilu ludzi to widziało? – spytał Buch.

– Sporo. – König wyjął dokumenty. – Link, który pan dostał, został wysłany do paru ministerstw, do mediów naszych i zagranicznych. Panujemy... – König zdjął okulary i przetarł je chusteczką – panujemy nad sytuacją. Myślę, że można tak powiedzieć.

– Można – zgodził się Buch. – Są jakieś koncepcje, kto wysłał te maile?

Człowiek z PET skrzywił się, jakby pytanie było zbyt oczywiste.

– Oczywiście, że nie. Fałszywe adresy, maile wysłane przez serwery proxy. Witryna internetowa stanowiła forum fundamentalistów. To nasz najbardziej obiecujący trop. Jak powiedziałem, została zarejestrowana w Danii.

Carsten Plough, który protokołował spotkanie, podniósł głowę.

– Przez kogo? – spytał. – Kiedy?

– Pół roku temu. Usiłujemy wyśledzić właściciela domeny.

Buch kiwnął głową.

– A Liga Muzułmańska?

König wyglądał, jakby miał pretensje o te pytania.

– To dla nas coś nowego. Może to grupa już istniejąca, ale działająca do tej pory pod inną nazwą. Liczba osób powiązanych z takimi organizacjami jest nieznaczną. Ciężko pracują, żeby sprawić wrażenie liczebniejszych, niż są w rzeczywistości.

– Kobieta? – pytał Plough.

– To ofiara z Mindelunden – odparła Ruth Hedeby. – Anne Dragsholm. Prawniczka.

– A teraz jest druga ofiara? – spytał Buch.

– Znalaziono ją, gdy uaktywnił się link z nagraniem – ciągnęła Hedeby. – To żołnierz. Allan Myg Poulsen. Lat trzydzieści sześć.

Podążyła Carstenowi Ploughowi teczkę.

– Żołnierz? – spytał urzędnik. – Prawniczka? Coś ich łączy?

– Poulsen służył na misjach, w Iraku i Afganistanie. Kobieta też tam pracowała, krótko, jako wojskowy radca prawny.

Plough puścił teczkę wokół stołu. Buch zerknął na nią, a potem na Hedeby.

– Sugeruje pani, że to symboliczne cele dobrane ze względu na powiązanie z wojskiem?

– Właśnie. – König znowu przejął dowodzenie nad spotkaniem. – To oczywisty akt zemsty zaplanowany z dużym wyprzedzeniem, z precyzją...

– A jednak nas zaskoczyli – przerwał mu Buch. – Jak mam to wyjaśnić premierowi? Opinii publicznej?

Ruth Hedeby opadła na oparcie krzesła i milczała. König został sam.

– To niecodzienna sprawa – nie ustępował. – W przypadku morderstwa w Parku Pamięci nic nie wskazywało na powiązania z terrorystami. Policja uznała, że sprawcą jest mąż ofiary. On się przyznał do winy, prawda?

Spojrzeni na Ruth Hedeby.

– Dzisiaj odwołał te zeznania – odpowiedziała cicho wicekomisarz. – Może przesłuchanie było trochę... intensywne.

– Czy wcześniej pojawiała się informacja, że w domu Dragsholm znaleziono nieśmiertelnik? – spytał König.

– Nie szukamy teraz winnego – odezwał się znowu Carsten Plough. – Zastanówmy się, jak to rozwiążemy? Co dalej?

König kiwnął głową na zgodę.

– Pogrożki wydają się skierowane przeciwko wojsku, więc wyślemy ostrzeżenie do wszystkich jednostek. Podniesiemy stopień zagrożenia terrorystycznego na lotniskach i dworcach kolejowych. W uczęszczanych miejscach. Nie chcę, żeby gazety pisały o drugiej ofierze. Wyciszmy to na razie.

Te słowa przeraziły Bucha.

– Wyciszmy? W Kopenhadze zamordowano dwie osoby. Pod naszym nosem uknuto spisek terrorystyczny, a wyście niczego nie zauważyli. Ludzie mają prawo wiedzieć, co się dzieje. Poinformujemy ich, odpowiedzialnie i dokładnie, w niezbędnym zakresie.

– Panie ministrze, niezupełnie tak się załatwia... – wtrącił cicho Plough.

– Właśnie widzę. Od dwóch tygodni, a może od miesiący, w naszym kraju działa ugrupowanie terrorystyczne... A teraz nie mamy pojęcia, kim są ci ludzie ani co robią. König?

Szef PET wiercił się na swoim krześle.

– Pan odpowiada bezpośrednio przede mną, tak? Świetnie. Zatem jutro, kiedy będzie miał pan czas, proszę mi wyjaśnić, dlaczego błądzimy po omacku.

– Panie ministrze...

– Czy coś jeszcze muszę wiedzieć?

König milczał.

– Świetnie. – Buch zerknął na drzwi. – Muszę porozmawiać z premierem. Proszę informować mnie na bieżąco.

Wyszli w milczeniu, zostawiając Bucha z Ploughiem i Kariną Jørgensen.

– Protokół – zaczął Plough.

– Pan tego słowa używa bardzo często – przerwał mu Buch obcesowo.  
– W tej chwili nie chcę go słyszeć.

Karina przyniosła krawat, który Buch miał założyć na spotkanie z Grue Eriksenem.

– Frode Monberg wiedział o sprawie Dragsholm – wyjaśnił Plough. – Ale nikt z nas nie sądził, że to się tak rozwinie. Istne szaleństwo.

Z Ministerstwa Sprawiedliwości do starego pałacu, gdzie znajdował się gabinet premiera, szło się okrężną drogą. Na tyle długą, żeby przemoknąć do suchej nitki.

– Pada jeszcze? Muszę mieć parasol? – spytał Buch.

Tamci spojrzeli po sobie.

– Co was tak bawi? – spytał minister.

– Nie musi pan już wychodzić na zewnątrz – wyjaśniła Karina i delikatnie ujęła go pod ramię. – Idziemy?

Poprowadziła go korytarzem, o którym sądził dotąd, że jest ślepy. Umiała znaleźć inną jego odnogę, otwierała drzwi, o których istnieniu nie miał pojęcia, wpisywała kod. Szli przez kręty labirynt tajemnych

przejsć, które łączyły rządowe gabinety Danii na wyspie Slotsholmen, przecinając budynki, pokonując całą szerokość Folketinget, aż w końcu nietknięty deszczem ani nawet podmuchem zimnego przeciągu Thomas Buch dotarł do samego pałacu Christiansborg i stanął przed gabinetem premiera.

Po czym odbył najkrótsze ze swoich spotkań, krótsze niż jego przechadzka przez labirynt.

Za terroryzm wewnętrzny, podkreślił Gert Grue Eriksen, odpowiadał Buch. Po czym zerknął na zegarek, mruknął coś o spotkaniach z zagranicznymi dygnitarzami, uśmiechnął się i zaczekał, aż Buch wyjdzie.

\*

Po powrocie do siedziby Politigården Brix zrobił odprawę dla nocnej zmiany: przeszukać rejon, przesłuchać wszystkich mieszkańców okolicy. Sprawdzić zapis pobliskich kamer przemysłowych. Poulsen był samotnikiem, często zostawał sam w klubie. Nie widziano żadnych gości, nagrania też nie ujawniły niczyjej obecności.

– A co z PET? – spytał Strange. – Mogą dać nam listę podejrzanych? Na pewno jakąś mają.

– PET zwróci się do nas we właściwym czasie. Zbierzcie informacje o ofiarach. Ich przeszłość, akta z wojska. Czy jest jakieś powiązanie pomiędzy Dragsholm a Mygiem Poulsenem? Spróbujmy rozpracować, dlaczego wybór padł akurat na tę dwójkę.

Lund siadła przy komputerze, żeby obejrzeć nagranie z przywiązaną do fotela kobietą. Teraz biuro było jedną wspólną przestrzenią, nie skupiskiem klitek, w których mogła się ukryć z Meyerem. Nie podobało jej się to.

– Sprawdźcie klub weteranów – ciągnął Brix. – Mają bazę danych żołnierzy. Może kogoś szpiegowano. Jeśli sprawcy planują jeszcze jakieś ataki, niewykluczone, że ofiary wybiorą tą samą drogą.

Lund oderwała na chwilę uwagę od monitora i przyglądała się Brixowi. Zmienił się. Wydawał się mniej pewny siebie. W tym człowieku zawsze było coś zagadkowego. Ale teraz zastanawiała się, czy aby nie wygląda on na bezradnego.

– Znalezione przy ofiarach nieśmiertelniki to fałszywki – kontynuował.

Kolekcja zdjęć rosła na ścianach. Kobieta przywiązana do słupa, w fotelu, podczas kręcenia wideo. Świeże zdjęcia zamordowanego Poulsena. Spotkała go śmierć jeszcze bardziej okrutną, w jeszcze większych męczarniach. Był to akt ostentacyjnej brutalności. Ktoś się dobrze przygotował.

Lund wróciła do wideo i ponownie je uruchomiła. Kobieta w niebieskim szlafroku, twarz zakrwawiona, z ust – krzyk strachu czy udręki; odczytywała groteskowe oświadczenie, które dał jej mężczyzna za kamerą. Musiał to być mężczyzna.

– Sarah Lund ma nam pomóc – obwieścił Brix.

Podniosła głowę. Zastanawiała się, dlaczego musiał to powiedzieć.

– Niektórzy z was ją chyba znają.

Odwrócili się, by na nią spojrzeć. Głównie obcy. Cieszyła się, że nie ma wśród nich Svendsena. Ani przez chwilę nie żałowała, że groziła mu bronią. Sam się o to prosił.

– Oczekuję, że serdecznie ją powitacie – zakończył Brix.

– Dobra. – Przed ekipą stanął Strange. Dowódca. – Zabierajmy się do roboty. Jakież pytania?

Brix zostawił mu wprowadzenie ludzi w szczegóły, a sam podszedł do biurka Lund.

- Pracujesz ze Strangem. Podlegasz bezpośrednio mnie.  
Nie odrywała wzroku od monitora.
- Lund? Słyszysz mnie?
- Liga Muzułmańska. Dlaczego nic o nich nie wiemy?
- To nic nadzwyczajnego. Ci ludzie do każdej sprawy wymyślają nową nazwę. Już mieliśmy z tym do czynienia.
- A co ze stroną internetową?
- Nic nowego. PET to sprawdza.
- Mówią nam tylko tyle, ile chcą. I co im się podoba. Uważają się za lepszych...
- Proszę. – Brix stanął nad nią. – Nie zaczynaj.
- To była luźna uwaga – wyjaśniła z uśmiechem, wstała i włożyła kurtkę.

Wrócił Strange, a Bix oddalił się do ekipy.

– Musimy pogadać z ludźmi w koszarach Poulsena w Ryvangen – powiedziała Lund. – Z tego, co widzę, to jedyna rodzina, jaką miał.

– Słuszna uwaga.

Strange wpatrywał się w biurko. Stała tam tabliczka z jego nazwiskiem. Lund postawiła kubek z kawą na dokumentach, zostawiła wielką plamę na raporcie z sekcji. Podniósł go i spojrzał groźnie. Odłożył do przybornika długopisy, które powyciągała.

Lund wyjęła gumę, zastanowiła się, czy nie przykleić jej ostentacyjnie pod blatem, zmieniła zdanie i wyrzuciła ją do śmietnika.

Wskazał jej drugą połowę biurka.

– Tu jest wolne. Ta część – dodał – jest moja.

– To tylko biurko, Strange. To nie jest żadna twoja mała ojczyzna czy coś takiego.

Schylił się i palcem narysował linię przez środek.



– Owszem, teraz jest, a tu przebiega granica. Nieprzekraczalna.

Lund wzięła swoje długopisy, kubek, laptop, klucze i paczkę chusteczek, otwartą. Przeniosła to wszystko za linię. Uporządkowała rzeczy tak, jak umiała.

– To tylko biurko – powtórzyła.

Leżała tam mała czerwono-biała duńska flaga na patyczku. Może pozostałość po jakimś przyjęciu.

Strange wziął ją z poważną miną, umieścił obok przybornika, który wyznaczał koniec jego strefy, i wbił w Lund spojrzenie zmrużonych oczu.

Zasalutowała, obeszła biurko i zajęła swoje miejsce.

Wrócił Brix. Trzymał coś w rękę. Identyfikator. Skorzystali z jej starego zdjęcia. Lund spojrzała na nie: nieuśmiechnięta kobieta z wielkimi oczami i długimi ciemnymi włosami, wpatrująca się w aparat takim wzrokiem, jakby ścigała coś, co znajduje się poza zasięgiem. Nie zmieniła się przez dwa lata. Ale nadal nie znosiła tej fotografii.

Nowy stopień: podkomisarz policji. Cokolwiek to znaczyło.

– I musisz to nosić.

Brix podał jej przydziałowy policyjny pistolet. Glocka kaliber 9 mm, kompakt. Meyer lubił ten typ tak bardzo, że zawsze paradował z nim u pasa, nawet w siedzibie policji.

– Strange może ci pokazać, gdzie są szafki. Odkąd odeszłaś, wiele się zmieniło. Jesteśmy bardziej...

Brix spojrzał jej prosto w oczy.

– Bardziej jacy? – ponagliła go Lund.

– Bardziej profesjonalni – odrzekł, po czym odszedł, by porozmawiać z kimś innym.

– Idziemy? – spytał Strange.

Nie mogła oderwać wzroku od pistoletu w czarnej płóciennnej kaburze. Nie lubiła broni. Zawsze wydawała się jej wstępem do klęski.

Strange znów stał ze splecionymi ramionami, z tym samym półkomicznym, półapodyktycznym wyrazem twarzy.

– Idę, idę – powiedziała i wepchnęła glocka do torebki, obok chusteczek i paczek gum.

\*

Pułkownik Torsten Jarnvig siedział na kanapie w swojej prywatnej kwaterze i oglądał wiadomości w telewizji. Stojąca za jego plecami córka prasowała i porządkowała ubrania. W Ryvangen obowiązywał już podniesiony stopień zagrożenia. Koszary miały regulamin, procedury, system komend, hierarchię służbową, od Jarnviga po Søgaard, i dalej do podwładnych, takich jak Said Bilal.

Wojsko – miniaturowy świat, podzielony przez rangi i ustalone hierarchie wśród oficerów i szeregowców. W tym świecie Jarnvig przepracował całe swoje dorosłe życie. Wiedział, że bez tych granic nic nie funkcjonuje jak należy.

W telewizji pokazywano Thomasa Bucha, nowego ministra sprawiedliwości. Dziwnie wyglądał jak na polityka: otyły, z niesforną brodą, rozwichrzonymi brązowymi włosami i wprawiającym w zakłopotanie, niezgrabnym sposobem bycia.

– Obie ofiary brały udział w misjach zagranicznych naszej armii – mówił Buch do lasu mikrofonów. – Niewykluczone, że ich mordercy dokonali odwetu za nasz udział w wojnie z terroryzmem.

Zadzwoił telefon. Stary, znajomy głos. Generał Arild, jeden z asystentów szefa sztabu z kwatery głównej w Aalborgu. Oschły, twardy mężczyzna, niegdysiejszy towarzysz broni Jarnviga.

– Oglądasz wiadomości? – spytał.

– Oczywiście.

– I?

– Mamy wartowników przy wszystkich wejściach i potrójne patrole w terenie.

– To są tchórze. Nie ośmielą się zaatakować was otwarcie. Zamknij ludzi w kwaterach, jak się da. Spróbuj ograniczyć ruch rodzin na zewnątrz.

Jarnvig zerknął na córkę pochyloną cierpliwie nad deską do prasowania. Dużą część dnia spędziła w szpitalu koszarowym, przygotowując wyposażenie medyczne do wysłania na front w Helmand.

Polityk w telewizji składał obietnice.

– Policja i PET współpracują z innymi służbami wywiadowczymi nad śledztwem – mówił Buch do kamer. – Nic więcej w tej chwili nie mogę powiedzieć.

Louise przerwała prasowanie, weszła do pokoju i wraz z ojcem zaczęła oglądać wiadomości.

– Zrobi się – rzucił Jarnvig do Arilda.

– W przyszłym tygodniu wysyłasz do Afganistanu ośmiuset ludzi. To jest najważniejsze. Chcę, żeby byli gotowi do walki w chwili, gdy wylądują.

– Rozumiem...

– Żadnych zakłóceń – rozkazał generał i rozłączył się.

Thomas Buch próbował opuścić stado dziennikarzy. Jeden z nich robił się coraz bardziej natarczywy, krzyczał na ministra.

– Skąd to zaskoczenie, panie Buch? Czy agencje bezpieczeństwa nie powinny nas ostrzec?

Grubas się uśmiechnął. Wyraz twarzy polityka.

– Analizujemy wszystkie aspekty sytuacji. Dziękuję.

– Pakiet antyterrorystyczny?

Buchowi opadła maska. Zabrakło mu słów. Odwrócił się więc i odszedł.

– Co się dzieje, tato? – spytała Louise Raben.

Jarnvig podniósł słuchawkę telefonu i wybrał numer.

– Jest alarm antyterrorystyczny. Miałaś wiadomości z więzienia?

Spojrzała niepewnie, jakby coś ukrywała.

– Pojechaliśmy tam, ale nie wpuszczono nas do Jensa. Nie wiem czemu. Komisja znowu odrzuciła jego wniosek. Myślę, że on...

– Co?

– Myślę, że on nie przyjął tego dobrze. – Stała nieruchomo przed ojcem. – Co się dzieje?

– Podobno ktoś obiera za cel żołnierzy. Nic więcej nie wiem. Najlepiej, żebyś została na razie w koszarach. Tutaj jest twoje miejsce. Jonasa też.

– Nie. – Pokręciła głową. – Muszę się jutro spotkać z adwokatem. W Herstedvester.

– Czemu?

– Żeby złożyć zażalenie. Toft powiedziała, że Jens jest zdrowy, wyleczony. Nie było powodu, żeby go nie wypuścić. Jeśli nic z tym nie zrobię, trzeba będzie czekać kolejne pół roku, żeby znowu mógł złożyć wniosek. Nie wiem, czy dam radę...

Jej ręka powędrowała do ciemnych, potarganych włosów. Przypomniał sobie dawną Louise, jaka była młoda i atrakcyjna. Królowa każdego balu oficerskiego, olśniewająca i dbająca o swój wygląd. Teraz jej uroda skrywała się pod troskami macierzyństwa, pod niepokojem o męża zagubionego w systemie penitencjarnym, odsiadującego niekończący się wyrok za zbrodnię, której nikt nie pojmował, a już na pewno nie on sam.

– Jeśli Departament Więziennictwa odrzucił wniosek Jensa, to na pewno miał powód.

– Chcę więc go poznać – odparła stanowczo. – W Herstedvester orzeczono, że może wyjść. Dlaczego Departament Więziennictwa w Kopenhadze go blokuje? To nie w porządku.

Raben został zwolniony z wojska po powrocie z trudnej misji w Afganistanie. Kilka tygodni później schwytał cywila na ulicy, zabrał go do odludnego lasu i tam pobił do nieprzytomności. Sąd orzekł, że jest groźny dla otoczenia. Louise nigdy niczego takiego w nim nie zauważyła.

– Cierpliwości – powiedział Jarnvig. – Jeśli musicie czekać pół roku, odmalujemy suterенę, żeby dało się tam mieszkać. Jonas miałby swój pokój. Możesz go zapisać do szkoły...

Czasami patrzyła tak ostro i buntowniczo. Odziedziczyła to spojrzenie po matce. Jarnvig znał je aż za dobrze, wiedział, kiedy nie ma sensu dłużej się spierać.

– Nie obchodzi cię, czy Jens wyjdzie, czy nie. Nigdy nie chciałeś za zięcia zwykłego żołnierza, prawda?

Jarnvigowi zabrakło słów. Ktoś ostro zapukał do drzwi. Major Søgaard, wysoki blondyn. zerknął na Louise i uśmiechnął się do niej. Został w progu, widocznie miał przekazać coś poufnego. Jarnvig podszedł i słuchał, a Søgaard szeptał mu do ucha.

– Dobry Boże... – wyszeptał. – Wiadomo, kto to zrobił?

Søgaard pokręcił głową, zaczekał na rozkazy, a skoro się nie doczekał – wyszedł.

Torsten Jarnvig rozejrzył się po swoim niewielkim wygodnym mieszkaniu. Służył tam, gdzie go wysyłano, na Bałkanach, w Iraku i Afganistanie. Znał to uczucie, gdy traci się ludzi. Ale nie tutaj. Wojny na ojczyźstiej ziemi zupełnie się nie spodziewał.

– Tato? – spytała Louise niespokojnie. – Co się dzieje?

– Widziałaś się ostatnio z Mygiem Poulsenem?

Wróciła już do układania ubranek Jonasa.

– Nie. Wczoraj widział się z nim Jens. Myg miał mu znaleźć pracę.

Jarnvig podszedł do stołu jadalnego, usiadł, spojrzał na rozrzucone na blacie papiery. Ośmiuset ludzi wyjeżdżało do Afganistanu na półroczną zmianę. A teraz, przed wyjazdem, będą musieli pochować jednego ze swoich.

– Tato? – spytała Louise. – Co się dzieje?

\*

Przywiązany do pryczy w izolatce, przy włączonym świetle, Raben wpatrywał się w sufit. Nagle drzwi się otworzyły i po chwili podeszła do niego dyrektor Toft, w obcisłym swetrze i obcisłych dzinsach.

Zduślił to, co chciał powiedzieć.

„Przykro mi, że odciągam panią od chłopaka”.

– Jak się pan czuje, Raben?

– Przepraszam. To było głupie. Nie wiem, co mnie napadło.

Na nadgarstkach i kostkach miał pasy. Mógł tylko podnosić głowę. I błagać.

– Mogę porozmawiać z Louise?

– Przyszła tu. I Jonas też. Oczywiście... – Toft się uśmiechnęła – wizyta nie wchodziła w rachubę.

Bawiło ją, że go rani? Czy to stanowiło część terapii? Nie wiedział. Nie obchodziło go to. Chciał tylko wyjść z tego piekła. Być w domu z żoną i synem.

– Powiedziałaś jej, co się stało. I dopilnowałam, żeby chłopiec mnie nie słyszał.

Raben trzymał głowę w górze tak długo, jak mógł. Ból wydawał się OK. Był jego, własny.

– Jest pan gotów wrócić do celi?

– Jonas przyszedł?

– Tak. To uroczy chłopczyk.

– Muszę porozmawiać z Louise.

– Wszystko w swoim czasie.

– Co to znaczy?

To pytanie zadał za głośno, wiedział o tym.

– To znaczy, że trzeba sobie zasłużyć na różne rzeczy. Musisz się nauczyć, że twoje działania powodują określone konsekwencje – przerwała. – Musisz też wrócić do lekarstw.

– Nie chcę, żebyście mnie odurzali.

– Jeśli nie będziesz robił tego, o co proszę, nigdy nie będę mogła cię stąd wypuścić.

– Nic mi nie jest!

Znowu długa pauza.

– Pamiętasz, co się stało w Afganistanie? Co zrobiłeś po powrocie? Te wszystkie szalone historie...?

„Nie były szalone – odpowiedział w myślach. – Po prostu oni nie chcieli o nich słyszeć”.

– Nic. Mi. Nie jest.

– Porwałś obcego człowieka. Tu, w Kopenhadze. Omal go nie zabiłeś.

To wydarzenie ciągle widział jak za mgłą.

– To była pomyłka. Już za nią odpokutowałem.

– Jeszcze nie, ja o tym zdecyduję.

– Proszę...

– Policja chce cię zapytać o Allana Myga Poulsena. Myślę, że powinni poczekać. Nie czujesz się dobrze.

Jego głowa opadła na twardą więzienną pryczę. Poddał się. Tego właśnie chcieli.

– Dlaczego chcą ze mną rozmawiać o Mygu?

– Podobno nasz numer był w jego komórce. Dzisiaj po południu był u ciebie z wizytą, prawda?

– I co z tego?

Przyglądała mu się bardzo uważnie.

– Dzisiaj wieczorem znaleziono go martwego. Został zamordowany. Przykro mi.

Umysł Rabena pracował gorączkowo. Tak jak wtedy, gdy ogarniała go wściekłość. Prawdziwa wściekłość. Czerwony ryk.

– Co się stało? – spytał jak najspokojniej.

– Kazałam im przyjść jutro. Nic więcej nie wiem.

– Co...?

– Jutro. W tej chwili twój stan zdrowia nie pozwala na spotkania.

Zerknęła na zegarek, skrzywiła się przelotnie.

Przepraszam, że panią zatrzymuję, chciał powiedzieć.

\*

Lund siedziała na przodzie nieoznakowanego wozu Strangego i żuła gumę. Już nie tęskniła za papierosami. Tamta przemożna ochota bezpowrotnie odeszła do historii. Strange prowadził ostrożnie, przyjmował telefony na zestaw słuchawkowy i rozmawiał spokojnie.

Politigården przetłumaczyła ulotki znalezione przy ciele Poulsena. Głosiły: „Walczyć w imieniu Boga. Zabić tych, którzy stawiają innych na równi z Bogiem”.



– Co to znaczy? – spytała Lund.

– To pewnie coś z Koranu.

– Coś jeszcze?

– Próbują dojść, gdzie je wydrukowano.

Przeglądała otrzymane od Brixa dokumenty w sprawie wojskowej przeszłości Dragsholm.

– Dobra – zagaił Strange. – Ponieważ teraz, zdaje się, będziemy pracować razem, czas na właściwą prezentację. Mam na imię Ulrik.

Zdjął rękę z kierownicy i podał ją Lund. Długie palce, niemal delikatne. Jakby grał na fortepianie, chociaż to się wydawało nieprawdopodobne.

– Pracuję w Politigården mniej więcej od roku – ciągnął z uśmiechem, który mógłby zarezerwować do rozmów rekrutacyjnych. – Trochę wcześniej się rozwiódłem, spokojnie, na przyjacielskiej stopie. Mam dwójkę cudownych dzieci, które to gładko przełknęły. W każdym razie na tyle gładko, na ile można.

– Naprawdę, nie potrzebuję...

– Dzieciom jest trudno, gdy rodzice się rozstają. Ale na dłuższą metę jest im lepiej, w każdym razie tak uważam. Lubię piłkę nożną i operę, do pewnego stopnia. Kiedy chodziłem do szkoły, uwielbiałem biwaki, obserwowanie ptaków i biegi na orientację. Wszystkie rozrywki na świeżym powietrzu. Ale teraz... czas mi nie pozwala.

– Sarah – zrewanżowała się Lund i szybko uścisnęła mu dłoń. – Następna w lewo. Poulsen był odznaczony.

– A ty?

– Ja nigdy.

– Nie chodziło mi o odznaczenie, tylko...

– Wiem, o co ci chodziło. Nie mam o czym mówić.

Spojrzał na nią krzywo.

– Każdy ma o czym mówić.

– Byłeś w Gedser. Słyszałeś plotki w pracy.

– Nie słucham tych bzdur.

– A ja o tym nie gadam.

Zamilkł.

– Możemy rozmawiać o wszystkim innym – podsunęła. – O piłce nożnej. Operze. Biwakach. – Zaśmiała się. – Obserwowaniu ptaków.

– Teraz robisz sobie jaja.

– Nieprawda. O wszystkim innym. Nie w tym rzecz, że nie chcę z tobą rozmawiać.

– Pod warunkiem, że nie o tym.

Zamilkł na chwilę. Uraziła go, ale nie do końca rozumiała czym.

– Następna w lewo?

Pojawił się drogowskaz: Koszary Ryvangen. Mnóstwo żołnierzy na bramie. Z karabinami.

– Ja to załatwię – powiedziała Lund.

\*

Wojsko zajmowało Ryvangen od ponad stu lat – rozmaite budynki, baraki, place musztry. Przejście przez kontrolę bezpieczeństwa trwało dziesięć minut. Lund w tym czasie rozmyślała o Mindelunden odległym o kilometr.

Koszary od Parku Pamięci oddzielała ruchliwa linia kolejowa, ale dałoby się ją pokonać. Na pewno żołnierz by sobie z tym poradził. Pamiętała z dzieciństwa, że oba tereny były kiedyś połączone i dlatego właśnie naziści, kiedy przejęli te budynki, użyli dawnych strzelnic do egzekucji więźniów.

Zbieg okoliczności. Prawdopodobnie.

Kiedy wjechali do środka, poczuła się jak w innym, obcym świecie. Grupy uzbrojonych żołnierzy biegły w szyku przez deszcz. Wszędzie przemykały zamaskowane ciężarówki i terenowe mercedesy G-wagen. Większość budynków stanowiła przykład skażonej wersji gotyku ceglanego – buroczerwone, solidne, imponujące.

Tutaj Lund nie była pewna swojej władzy. Wojsko miało własne siły policyjne. Co gorsza, nie wiedziała, gdzie dokładnie kończy się zakres działań Politigården, a zaczyna PET. Ale popełniono dwa morderstwa, oba w mieście, nie za tym wysokim ogrodzeniem.

Wydział Zabójstw znowu stanowił jej terytorium. Każdy, kto na nie wkroczył, powinien mieć się na baczności.

W biurze spotkali się z pułkownikiem Jarnvigiem, jak zrozumiała – dowódcą jednostki. Niewiele po pięćdziesiątce, wysoki, ascetyczny mężczyzna, nieuszcześliwiony ich przybyciem. Towarzyszył mu major Christian Søgaaard, pewny siebie blondyn o posiwiałej brodzie myśliwego. Obaj mieli na sobie mundury polowe, kilka medali, epolety. Przywitali się uściskiem dłoni, ale patrzyli głównie na Strangego. To był męski świat.

Siedli naprzeciwko Jarnviga przy jego biurku, podczas gdy Søgaaard stał sztywno, niemal na baczność.

– Wiem, o co chodzi – powiedział pułkownik. – O Myga Poulsena. Dzwoniono do mnie.

– Kto dzwonił? – spytała natychmiast Lund.

– Dzwoniono z Aalborga – odrzekł, jakby to wszystko wyjaśniało.

– Kto z Aalborga? – nie ustępowała.

– Aalborg to kwatera główna – wyjaśnił Strange. – Brix miał ich powiadomić. Procedura...

– Procedura – powtórzył Jarnvig.

– Co łączyło Poulsena z tutejszą jednostką? – spytał Strange.

– Starszy szeregowy Poulsen od wielu lat pełnił tu służbę – odrzekł Jarnvig. – Był dobrym człowiekiem. Dzielnym i solidnym żołnierzem. Ta wiadomość głęboko nas poruszyła.

– Jak długo służył?

– Zaczął jako poborowy, a potem sam się zaciągnął – odezwał się Søgaaard. – Zgłaszał się do misji zagranicznych. W standardowych miejscach.

– Kiedy widzieli go panowie po raz ostatni?

– Wczoraj rano na apelu. Zaciągnął się ponownie miesiąc temu. Za tydzień miał wyruszyć do Helmand z nową zmianą.

– Czy to nie jest niezwykle? – spytała Lund. – Opuszczać armię, a potem do niej wracać?

– Nie – odrzekł Søgaaard ze wzruszeniem ramion. – Niektórzy z nich stękają jak diabli, kiedy są w wojsku. A kiedy wychodzą, zdają sobie sprawę, że tu wcale nie jest najgorzej.

– Jak został zabity? – spytał Jarnvig.

Strange już miał odpowiedzieć na to pytanie, gdy odezwała się Lund:

– Nie możemy ujawniać szczegółów.

– Czy dobrze zgaduję, że podwyższony stopień zagrożenia terrorystycznego ma związek z jego śmiercią? Czy jest on jedną z dwóch ofiar, o których się mówi? – Jarnvig nie zamierzał odpuścić.

– Niewykluczone – odparła. – Czy ktoś mu groził? Czy dlatego ponownie się zaciągnął?

– Zaciągnął się, bo chciał wrócić – odrzekł Søgaaard z westchnieniem pełnym znużenia. – Nie wspominał o żadnych problemach.

– Dostawaliście jakieś pogróżki? – spytał Strange.

Jarnvig zaśmiał się ponuro.

– Cały czas dostajemy. Od dzieciaków. Szalenców. Wichrzycieli. Codziennie odbieramy telefony i maile. Ale nie od Ligi Muzułmańskiej.

Lund milczała. Strange też.

– To było w wiadomościach w telewizji – dodał pułkownik. – Tam słyszałem tę nazwę.

– Poprosimy o wydruk meldunków w sprawie wszystkich pogrózek – powiedział Strange.

– I akta osobowe Allana Myga Poulsena – dodała Lund. – Wszystko, co się łączy z okresem jego służby.

Jarnvig zastanowił się nad tym.

– Søgaard da wam to, co możemy ujawnić.

– Chcę wszystko – odparła Lund i lekko postukała palcem w biurko.

Jarnvig pokręcił głową.

– Poulsen był żołnierzem. Możecie dostać wszystko, co nie ma związku z kwestią bezpieczeństwa narodowego. Tyle mogę zrobić...

– To jest śledztwo w sprawie morderstwa. Jesteśmy z policji.

– A to jest jednostka wojskowa. Wysyłam ośmiuset ludzi do Afganistanu, gdzie będą narażać życie dla ojczyzny. Nie wyjdzie stąd nic, co stanowiłoby dla nich choćby cień zagrożenia. To, co mogę przekazać, dostarczy wam Søgaard. A teraz...

Wstał zza biurka i wyciągnął rękę. Strange zerwał się od razu i wyciągnął swoją.

Kolejny były żołnierz – domyśliła się Lund. W Danii służba wojskowa była obowiązkowa. Ten szacunek do przełożonych zostawał w człowieku chyba raz na zawsze.

– Jeśli pozwolicie, chciałbym osobiście poinformować swoich ludzi – dodał Jarnvig.

Lund wyjęła zdjęcie Dragsholm, uśmiechniętej, zrobione niedawno.

- Zna pan tę kobietę? – spytała.
- Nie – odrzekł Jarnvig bez wahania.
- To Anne Dragsholm. Radca prawny wojska. Może wykonywała jakieś obowiązki na terenie Ryvangen?

Pułkownik podał zdjęcie Søgaardowi, który spojrzał na nie i pokręcił głową.

- Chcielibyśmy porozmawiać z kimś, kto dobrze znał Myga Poulsena
- włączył się Strange.

Jarnvig skinął głową.

- Rozumiem. Dowódca jego kompanii może was oprowadzić.

Podał im wizytówkę i poprosił Søgarda, by zrobił to samo.

- Ważne, by policja wykazała zrozumienie dla naszej sytuacji. Ta sprawa wywołuje niepokój, a to ostatnia rzecz, jakiej moi ludzie potrzebują przed wyjazdem na misję. Wszelkie informacje muszą przechodzić przeze mnie albo przez majora Søgarda. Chcę, żeby to było jasne.

- Oczywiście – zgodził się Strange bez wahania.

Lund wzięła zdjęcie Anne Dragsholm i nic nie powiedziała.

\*

Dowódcą kompanii Poulsena był porucznik Said Bilal, młody człowiek o posępnym wyrazie twarzy; sądząc po wyglądzie – syn obcokrajowców, sądząc po akcencie – wychowany w Danii.

Bilal zabrał ich do sali, którą Poulsen dzielił z siedmioma innymi mężczyznami, gdy był na służbie. Prycze, jakieś rzeczy osobiste. Całość pusta i nijaka jak klub weterana, w którym zginął.

- Większość ludzi jest teraz w domu – powiedział Bilal, wprowadzając ich do środka.

Wskazał górną pryczę pod oknem.

– To było jego łóżko.

I wysoką metalową szafkę.

– To była jego szafka.

Lund otworzyła drzwiczki. Ubrania, buty. Bielizna. Fotografie kobiet w bikini.

– Dobrze go pan znał? – spytał Strange.

– Niezbyt. – Bilal stał przy pryczy, wyprostowany, markotny. Miał bardzo ciemne włosy i twarz znudzonego nastolatka. – Nikt go dobrze nie znał. Nie utrzymywał wielu kontaktów.

– Prowadził klub weterana, prawda? – spytała Lund.

Bilal kiwnął głową.

– Pewnie lubił coś robić dla ludzi, którzy odeszli.

– Kiedy go pan widział po raz ostatni? – ciągnął Strange.

Lund wróciła do szafki i zaczęła przeglądać rzeczy.

– Na apelu wczoraj rano.

– A później?

– Nie. Przez resztę dnia mieli przepustkę.

Strange dalej zarzucał go pytaniami.

– Kiedy się zgłosił, że chce wrócić do Helmand?

Bilal zastanawiał się chwilę.

– W zeszłym tygodniu – odrzekł wreszcie. – Niedługo po tym, jak ponownie się zaciągnął.

– Czy to była nagle decyzja?

– Nie sądzę.

Zadzwoił telefon Strangego. Lund przeglądała grafik spotkań: szkolenie, badania lekarskie, odprawy.

Na poprzednie popołudnie wpisano jakieś nazwisko.

– Kim jest Raben? – spytała.

Bilal rozejrzał się po pokoju, wyjrzał za okno i, nie patrząc jej w oczy, odparł:

– Nie wiem.

– To nikt z koszar?

– Już powiedziałem. Nie wiem.

Strange zakończył rozmowę.

– Znaleźli drukarnię. Ulotki dostarczono do księgarni w Nørrebro. Mamy nazwisko. Aisha Oman.

– Coś jeszcze? – spytał Bilal.

– Nie – odrzekł Strange.

Lund zamknęła szafkę.

– Brix mówi, że mamy się rozejrzeć – przekazał jej Strange.

– Świetnie – odparła, po czym stanęła przed Saidem Bilalem, uśmiechnęła się i powiedziała bardzo grzecznie: – Dziękuję za wszystko.

\*

Buch siedział w biurze, choć minęła właśnie dwudziesta druga. Karina posłała wcześniej po japońskie jedzenie. Dwa brudne talerze i kilka par rozrzuconych pałeczek zaścięłało stół wraz z rosnącym stosem dokumentów. Buch zadzwonił już do domu, potwierdził, że jego rodzinę objęto ochroną. Nie można powiedzieć, żeby jego żonie się to spodobało.

A pakiet antyterrorystyczny – ta działka, z którą chciał sobie poradzić – znowu zawisł w próżni. Początkowo miał nadzieję, że po wiadomościach o atakach Krabbe i Agger wróca, by stanąć u boku rządu. Powoli docierało do niego, jak naiwne z perspektywy władzy



wydawało się jego przeświadczenie o jedności narodowej, które żywił, gdy jeszcze zasiadał w tylnych ławach poselskich.

– Oboje mówią, że popierają ogólne stanowisko... – zaczęła Karina, skończywszy drugą z dwóch długich rozmów telefonicznych.

– Do diabła z ogólnym stanowiskiem. Zagłosują za pakietem?

– Chcą być informowani o sprawie, panie ministrze.

– Na miłość boską, mów mi po imieniu.

– Nie mogę – odrzekła błagalnie. – To niestosowne. I nie powinien się pan zwracać do Plougha po imieniu. On się czuje wówczas niezręcznie.

Buch dokończył sushi.

– Mam zamówić jeszcze? – zapytała.

– Nie. To byłoby łakomstwo. Dlaczego wszyscy tutaj są tacy sztywni? To pytanie wywołało w oczach Kariny psotny błysk ubawienia.

– To służba cywilna. Tak to się tu odbywa.

– Mów do mnie Thomas, kiedy nikt nie słyszy.

– Nie. Przykro mi.

– To śmieszne. Zatem dzisiaj nie wydadzą oświadczenia o ugodzie?

– Nie, dopóki nie dostaną od pana wiadomości, nie wydadzą.

Zwinął serwetkę, bardzo uważnie rzucił ją do kosza w kącie i ucieszył się, że trafił w sam środek.

– Plough miał rację – powiedział. – Tylko czekają na jakąś wymówkę, żeby zacząć swe polityczne gierki. Krabbe zażąda czegoś nowego. Agger też. Albo będzie próbowała nas jakoś potępić. Spróbuję jeszcze raz. Zobaczymy, czy dam radę obudzić w nich choć resztki poczucia przyzwoitości.

Na to Karina wybuchnęła śmiechem, co Bucha ucieszyło. Wydawała się za młoda, żeby pracować do tak późnych godzin.

Zadzwoił do Krabbego.

- Chciał pan być informowany.
- Jak wygląda sytuacja? Bardzo źle?
- W tej chwili wolałbym nie mówić. To ważne, żebyśmy zaprezentowali jednolity front...

Trel innego telefonu. Podniósł wzrok. Karina trzymała swoją komórkę.

- Chwileczkę. – Buch zawiesił połączenie z Krabbem.
- Policja wie już, do kogo należy witryna z nagraniem – powiedziała. Kiwnął głową i wrócił do Krabbego.
- Spotkajmy się jutro rano. Powiem panu tyle, ile mogę.
- Dlaczego nie teraz?
- Bo jestem zajęty. A spodziewał się pan, że jest inaczej?
- Nie dojdziemy do porozumienia, prawda?

Thomas Buch się zachnął.

– Ależ oczywiście, że dojdziemy. Mam nadzieję. Dla dobra wszystkich. Co pan powie na ósmą rano? Chciałbym, żeby Agger wzięła udział w spotkaniu.

- Ósma – potwierdził Krabbe i się rozłączył.

\*

Szeregowiec po drugiej stronie Sørerne, czyli Jezior, przy moście Dronning Louises. Na parterze tradycyjna knajpka z pizzą i kebabem. Nad nim mieszkania, co najmniej piętnaście.

Szli od drzwi do drzwi aż na piętro.

- Gdzie ta księgarnia? – gderała Lund.

Do schodów podeszła kobieta. Młoda, o bliskowschodniej urodzie, w fioletowym hidżabie.

– Dzień dobry – powiedziała Lund, wyjmując odznakę. – Szukamy Aishy Oman.

Za kobietą pojawił się młody mężczyzna z dzieckiem na ręku. Lund domyśliła się, że to mąż.

– Trafiliście pod niewłaściwy adres – powiedział. – My tu mieszkamy.

– Prowadzi księgarnię.

Mężczyzna zastanawiał się chwilę.

– Spróbujcie na parterze – odezwał się w końcu. – Za pizzerią. Tam chyba ktoś trzyma książki.

– Kto? – dopytywał Strange.

– Kodmani. Dzisiaj go nie widziałem.

– A jego żonę? – spytała szybko Lund.

– Umarła kilka lat temu.

Lund zerknęła na Strangego.

– Myślałam, że pukałeś do tamtych drzwi.

– Pukałem. Nikt nie otwierał.

Zeszła na dół, znalazła przycisk dzwonka, przycisnęła go raz, odczekała kilka sekund, po czym przyłożyła do niego kciuk i trzymała, słuchając cienkiego trełu zza drzwi.

Nic.

Cofnęli się. W środku paliły się światła. Skądś dobiegała muzyka.

Lund zerknęła na Strangego. Podniosła ciemną brew. Czekala.

Patrzyła, jak on kopniakiem wywala drzwi, wpada z wrzaskiem, z podniesioną bronią.

Przynajmniej w tym wydawał się dobry.

Ściany jasno oświetlonego pomieszczenia były zakryte egzotycznymi gobelinami w orientalne wzory, zasłony z koralików oddzielały przestrzeń jadalni od niewielkiej czystej kuchni.

Kroki. Pistolet drgnął. Wysoki, silnie zbudowany mężczyzna o gęstej czarnej brodzie wyszedł zza koralików i zaczął na nich krzyczeć, najpierw w obcym języku, a potem po duńsku.

– Moje dzieci śpią. O co chodzi? Czego chcecie?

Mały chłopczyk, ośmio-, najwyżej dziewięcioletni, stanął za nim, przylgnął do białej szaty ojca. Nieco dalej dziewczynka, chyba dwuletnia, patrzyła gniewnie na intruzów. Jej twarzyczka była pełna nienawiści.

Strange kazał mężczyźnie podnieść ręce i go obszukał.

– Ty jesteś Kodmani?

– Czego chcecie?

Ciągle się bawił różańcem, gdy przemykał wokół niego pistolet.

– Nie bójcie się – powiedziała Lund do dzieci. – Wracajcie do łóżek. Nic się nie dzieje. – Spojrzała na mężczyznę. – Kodmani? Niech nam pan pomoże. Nic nie mamy do pańskich dzieci.

Po tych słowach trochę się uspokoił, polecił dzieciom, by wracały do swoich pokojów.

Te wielkie stare domy, pomyślała Lund, rozglądając się, sprawiają wrażenie, jakby się ciągnęły bez końca.

– Trzy miesiące temu zamówił pan ulotki na nazwisko żony – powiedziała Lund, gdy dzieci znalazły się poza zasięgiem głosu. – Dlaczego pan to zrobił?

Wypiął pierś. Podobnie jak mężczyźni w Ryvangen Kodmani uważał, że kobiety nie powinny zadawać żadnych pytań.

– Macie nakaz? Znam swoje prawa...

– Gdzie pan był dzisiaj?

– Chcę adwokata.

– Dlaczego? – spytał Strange. – Co złego pan zrobił?

– Znam swoje prawa. – Machał im przed nosem palcem prawej dłoni, tak jak terroryści przed zamachem samobójczym na nagraniach, które Lund oglądała. – Wiem, że nie możecie się tu wdzierać...

Lund zerknęła na orientalny dywanik, na przewody, które biegły wokół niego. Część kabli była poprowadzona prowizorycznie wzdłuż listwy przypodłogowej.

Potem schodziły w dół. Gdzieś blisko miejsca, w którym Kodmani stanął najwyraźniej nieprzypadkowo.

– Proszę się odsunąć – rozkazała.

Ani drgnął.

– Odsuń się! – wrzasnął Strange.

Kodmani zszedł z dywanika. Lund odrzuciła go na bok.

Spora kłapa w podłodze ciągnęła się aż do nieużywanego kominka. Lund złapała uchwyt i ją podniosła.

– To mój magazyn – krzyknął Kodmani, rozzłoszczony i przerażony. – Nie możecie tam wchodzić. Pokażcie mi nakaz rewizji.

Lund znalazła włącznik światła, zeszła po nowoczesnych metalowych schodkach.

Na dole było ciepło, śmierdziało stęchlizną i wilgocią. Jedno duże puste pomieszczenie z rurami. Na podłodze rozrzucone jakieś narzędzia. Ale zza kolejnego zestawu koralikowych zasłon dobiegało słabe światło.

Przeszła przez paciorki.

Biurko. Akwarium. Przechylona lampka. Mnóstwo pudeł świeżo wydrukowanych ulotek i plakatów. Całe stosy książek pod tytułem *Dżihad*, po angielsku.

Na regałach sprzęt komputerowy, kartony, kable, coś, co wyglądało na starą antenę satelitarną, i jeden wielki monitor.

Usiadła przed nim, stwierdziła, że rozpoznaje miejsce z wygaszacza ekranu. Mekka w czasie hadżu. Tysiące, wiele tysięcy pielgrzymów kołujących się wokół czarno-złotego sześcianu Kaaby.

Lund poruszyła myszką na biurku, by obudzić ekran.

Jedno okno, przeglądarka. Na ekranie Anne Dragsholm odczytująca ostatnie słowa, jakie w życiu wypowiedziała.

Wróciła na górę i skinęła głową Strangemu.

– Ma pan jakichś krewnych, którzy mogliby się zaopiekować dziećmi? – spytała Kodmaniego.

– Bo co?

Mężczyzna w długiej białej szacie już nie był tak pewny siebie.

– Bo chyba przez jakiś czas ich pan nie zobaczy.

**WTOREK\_\_**  
**15 LISTOPADA\_\_**  
**7.43\_\_**

Odgłosy porannego ruchu ulicznego. Nieświeże miejskie powietrze. Dopiero po chwili Sarah Lund zdała sobie sprawę, gdzie się znajduje. Potem weszła do maleńkiej łazienki w mieszkaniu matki i przygotowała się do wyjścia.

Mark zniknął, a wraz z nim każdy skrawek papieru do prezentów. Teraz był nastolatkiem, który sprzątał. Jak to się wszystko zmienia.

Vibeke jeszcze nie wstała. Strange zadzwonił, gdy Lund piła kawę i jadła tosta.

– Nazywa się Abdel Hussein Kodmani. Wdowiec. Marokańczyk.

Weszła do pokoju gościnnego. Zostały tu jeszcze ubrania sprzed dwóch lat. Koszule, dzinsy i swetry z Wysp Owczych, które tak polubiła. Nie pojechały z nią do Gedser. Kiedy teraz na nie patrzyła, nie mogła sobie przypomnieć dlaczego.

Strange relacjonował nużące szczegóły.

– Kodmani mieszka w Kopenhadze od szesnastu lat. Prowadził stronę, na której umieszczono nagranie.

O mało nie powiedziała: „Domyśliłam się”.

Swetry kiedyś coś znaczyły. Obiecywały życie, jakiego nigdy nie doświadczyła, w dzikich rejonach Szwecji z Bengtem Roslingiem, gdzie udawałaby kogoś, kim nie jest.

Podniosła ciężki, gęsto dziany pulower. Jeszcze nie wydawał się całkiem OK. Budził za dużo wspomnień. Wzięła więc gładki czerwony i włożyła czyste dzinsy. Ciągle pasowały. Gedser właściwie jej nie zmieniło.

– Policja mówi, że Kodmani działał pod kilkoma aliasami.

– Ma kartotekę?

– Nie. W szkole mówią, że jest dobrym ojcem. Bardzo grymaśny co do szczegółów edukacji dzieci. Większość tamtejszych muzułmanów uważa go za trochę stukniętego.

Lund nic nie powiedziała.

– Co myślisz? – spytał Strange.

– A kto mówi, że w ogóle myślę?

– Wiem, że myślisz.

– Tak tylko myślałam... jeśli prowadzisz komórkę organizacji terrorystycznej, wybierasz do jej prowadzenia kogoś, kto jest stuknięty?

– Tak, właśnie – rzekł Strange trochę cierpko. – Jeśli chodzi o dobre wieści, to by było na tyle. A teraz czas na złe. PET chce się spotkać.

Wkurzyli się na nas. Od jakiegoś czasu obserwowali Kodmaniego. Zwinęliśmy go, gdy oni czekali, aż trafi się grubsza ryba.

– Skąd, u diabła, mieliśmy o tym wiedzieć?

– Ich spytaj. Mamy tam być o dziewiątej.

Rozłączył się.

Weszła Vibeke. Nie wydawała się tak serdeczna jak wczoraj.

– Chyba nie zamierzasz spać dzisiaj w hotelu?

– Nie chcę ci przeszkadzać. Nie wiem, w jakich godzinach...

– Nie będziesz mi przeszkadzać.

Był jasny, blady dzień. Vibeke mieszkała przy ulicy ciągnącej się wzdłuż linii kolejowej biegnącej do koszar Ryvangen, za torami leżało Mindelunden. Ta sprawa wyglądała na lokalną.

– Możesz wziąć klucz. Ja i tak większość czasu spędzam u Bjørna. Później możemy porozmawiać o sobocie.

Lund spakowała torebkę i wzięła kurtkę.

– O sobocie?

Vibeke skrzyżowała ramiona.

– Wychodzę za mąż, pamiętasz?

– Oczywiście, że pamiętam! – skłamała Lund. – Chodziło mi o to, co w związku z sobotą mamy omówić?

– Przyjadą krewni Bjørna. Będzie ponad trzydzieści osób. Czeka, dam ci klucz.

Podeszła do stolika i znalazła klucz na krótkiej tasiemce.

– Znajdziesz czas na obiad z nami, prawda? Chcę, żebyś się poznała z Bjørnem. Jest cudowny. Taki miły i zabawny.

Lund wzięła zwyczajną gumkę do włosów, brutalnie zgarnęła włosy na kark, nie zwracała sobie głowy zerkaniem do lustra.



– Chciałabym się z nim poznać. Może nie teraz. Będę zajęta. I chcę się spotkać z Markiem.

– Na pewno masz czas na jedzenie! – Vibeke wzięła głęboki oddech. – Bjørn ma bardzo miłego przyjaciela. O wiele młodszego. Miło by było, gdybyś się z nim poznała.

Palce Lund walczyły z gumką. Milczała.

– Cóż – podjęła Vibeke. – Oczywiście to nie musi być w tej chwili.

Z zewnątrz dobiegł jakiś dźwięk. Lund spojrzała. Czarny wóz Strangego stał na chodniku przy ławce pod drzewami. On sam wychylał się przez drzwi kierowcy i trąbił. Coś jednak ma z Meyera – pomyślała. Najwyższy czas.

– Muszę lecieć – powiedziała. – Bardzo chętnie zjadłabym obiad z Bjørnem i z tobą. Na pewno kiedyś to zrobię.

Vibeke stała przy oknie.

– Kim jest ten człowiek?

– Klucz, mamó.

– Ach.

Podąła córce.

– Sarah. Widziałam wiadomości. Wiem, że nie mogę cię pytać...

– Nie możesz.

– Mówiłam! Wiem!

Lund nie radziła sobie w takich chwilach. Nie zdawała też sobie sprawy, jak niezręczne były one dla jej matki.

– Nie martw się – powiedziała i przelotnie dotknęła ramienia Vibeke.

\*

Całe spotkanie z Erikiem Königiem w sali konferencyjnej w Politigården Brix przesiedział w milczeniu. Szary mężczyzna

z agencji bezpieczeństwa najwyraźniej postanowił sobie stanowczo, że sprawi, by poczuli się jak najmniejsi i jak najbardziej winni.

– Naraziliście śledztwo, które prowadziliśmy od miesiący – oznajmił człowiek z PET, postukując w stół zadbanymi paznokciami.

– Znaleźliśmy się w takiej a nie innej sytuacji i musieliśmy sobie z nią poradzić – odparł Strange.

– Ponieśliśmy niepowetowane straty.

– Skoro obserwowaliście go od miesiący, dlaczego nie wiedzieliście nic o tym, co się dzieje? – spytała Lund.

Milczenie.

– Czy wiedzieliście? – nie ustępowała.

– Wiecie, że nie będę omawiał kwestii bezpieczeństwa narodowego. Trzymajcie się swojej roboty. Dajcie nam wykonywać naszą. I nie wchodźcie nam w drogę.

Strange się wściekał.

– Nie próbujcie zwać na nas winy. Mamy dwa ciała w kostnicy. Co mieliśmy zrobić? Kręcić młynka palcami, aż wy się zdecydujecie puścić farbę?

– Przyjmijmy, że to niefortunny przebieg wydarzeń – wtrącił Brix – i ustalmy, co dalej. Przynajmniej mamy naszego człowieka.

König parsknął.

– Nie macie. Kodmani ma alibi, a ponieważ myśmy go obserwowali, wiemy, że jest niepodważalne. Nawet gdyby nie było... To jest awanturnik, wichrzyciel. Nie ma jaj, żeby kogoś zabić. Jest marionetką. Za sznurki pociąga ktoś inny. To tylko idiota, którego wykorzystano...

– Musi coś wiedzieć – przerwała mu Lund. – Macie inne tropy?

König zdjął okulary bez oprawek i zaczął się nimi bawić.

– Musimy przeprowadzić śledztwo. Chcę, żebyście się skupili na Kodmanim i jego zwolennikach. – Okulary wróciły na miejsce. Zimne szare oczy skierowały się na Brixa. – Wszystko jasne?

Za oknem widać było przesuające się kształty. To strażnicy z aresztu odprowadzali Kodmaniego do pokoju w Politigården.

– Dobrze – rzekł König, nie czekając na odpowiedź. – Zobaczmy, jak on sobie radzi z przesłuchaniem. – Rzucił spojrzenie na Strangeo i Lund. – I jak wy sobie radzicie.

\*

Śniadanie w gabinecie Thomasa Bucha. Birgitte Agger i Erling Krabbe siedzieli przy stole z kawą i ciastkami. Buch przechadzał się po pokoju, przeglądał poranne doniesienia, Ploug robił notatki.

– Co się stało z aresztowanym? – spytała Agger.

– To wymaga czasu – odparł Buch. – Dzisiaj rano go przesłuchają. Pozwólmy policji i służbie bezpieczeństwa wykonywać ich robotę, a skupmy się na naszej.

Usiadł, pokazał im pierwszą stronę gazety: zakrwawiona twarz Anne Dragsholm z nagrania wideo.

– Musimy obwieścić, że prezentujemy jednolity front w sprawie pakietu antyterrorystycznego. Opinia publiczna oczekuje reakcji. Podobnie jak bezwzględni dranie, którzy za tym stoją. Odpowiedź w obu wypadkach jest taka sama. Jesteśmy stanowczy. Nie ustąpimy. Dania jest otwartym, demokratycznym państwem. Będziemy strzec naszych granic, zdwoimy środki bezpieczeństwa. Ale się nie zmienimy.

Agger zmarszczyła brwi.

– Niech pan przemowy zostawi dla prasy. Przede wszystkim dlaczego nas zaskoczono?

– Policja uważała, że tę Dragsholm zamordował mąż – wtrącił Carsten Plough. – Nie mieliśmy żadnych informacji o powiązaniu z terroryzmem.

To jej nie przekonało.

– Od czego jest PET? Coś jeszcze musi nam pan powiedzieć?

– Nie – odrzekł Buch. – Musimy trzymać się razem. Jeśli dopuścimy, żeby nas rozdzielili...

– Mówiłem, że to się stanie! – krzyknął Krabbe. – Pozwoliliście, żeby ci ludzie tu przyjechali, żeby robili, co chcą. Żeby zatruli nasz styl życia...

Buch głośno wciągnął powietrze.

– Zebraliśmy się tu, by omówić fragment ustawy. Nie zbrodnię, w sprawie której prowadzone jest śledztwo.

– Dwoje ludzi nie żyje, Buch. W areszcie siedzi fundamentalista. Niech pan nie strzępi języka na próżno. Nie będziemy głosować za tym pakietem w obecnej postaci. Jest tchórzliwy, asekurancki i szczątkowy. Ci ludzie mordują niewinnych Duńczyków.

Buch z trudem hamował gniew.

– Jestem ministrem sprawiedliwości, a nie wiem, kim są ci ludzie, jak ich pan nazywa. Skąd pan ma tę pewność?

– A kto inny mógłby to być? Kiedy on zostanie skazany...

– Mogę coś zasugerować? – przerwał Plough. – Omawiamy te kwestie, nie mając dostatecznej wiedzy. Dajmy szansę policji i spotkajmy się znowu wieczorem. Wtedy, mam nadzieję, będziemy wiedzieli więcej.

– Grajcie na czas, jeśli chcecie – rzekł Krabbe, po czym zgarnął dokumenty do teczki. – Fakty mówią same za siebie.

Gdy wychodził, Birgitte Agger pomachała mu palcami.

– Ten mały głupolek myśli, że przyłożył panu nóż do gardła, Buch. Problem w tym, że ma rację.

– W tej sprawie powinniśmy się wznieść ponad podziały polityczne. Dlaczego...

Roześmiała się. Śmiała się z niego.

– O co chodzi?

– Nie ma spraw, dla których trzeba zapomnieć o polityce. – Dopłała kawę i wstała od stołu. – Jeśli zmieni pan choćby słowo z obecnej ugody, może nas pan wykreślić.

– To nie wchodzi w rachubę – zapewnił Buch. – Zadzwoń do pani później.

– Jedno słowo...

I wyszła.

Przez chwilę panowała cisza, a potem odezwał się Plough:

– Będzie pan musiał napisać pakiet od nowa i dać Krabbemu to, co on chce.

Buch zamrugał powiekami.

– Co?

– Jego partia naciska na niego, żeby coś ugrał. Agger nie ma powodu panu odpuszczać. Zostawi więc pana. Pod pretekstem choćby przecinka. Już to zaplanowała...

Buch się zjeżył.

– Wie pan to, tak? Wie pan to na pewno?

– Nie – odrzekł Plough cierpliwie. – Ale mam rację. Sam się pan przekona.

\*

Lund patrzyła na Marokańczyka za stołem. Teraz miał na sobie granatowy kombinezon więzienny. I świeżo uczesaną brodę. Wydawał się spokojny, poważny. Nawet zrezygnowany. Człowiek w rękach wroga, w każdym razie on tak się czuł. Za pełnomocnika miał kogoś z lewackich kancelarii adwokackich.

– Mój klient będzie współpracował – oznajmił adwokat.

– Może nam więc powiedzieć, co wie o Lidze Muzułmańskiej – zaczął Strange.

– Usłyszałem o niej dopiero wczoraj – odrzekł Kodmani. – Kiedy wszyscy zaczęliście na mnie krzyczeć.

– Ich wideo jest na pańskiej stronie – zauważyła Lund.

Adwokat wtrącił się, by odczytać oświadczenie w imieniu Kodmaniego.

– Mój klient sprzedaje i publikuje książki, by rozpowszechnić słowo Koranu. W ramach prawa cieszy się zarówno wolnością wyznania, jak i wolnością słowa...

– W domu pan tego nie znajdzie, co? – wtrącił się Strange.

Zza lustra fenickiego przesłuchaniu przyglądali się Brix i König. Lund zastanawiała się, jak to odebrali.

– Mój klient oferuje stronę internetową jako platformę literacką i forum międzynarodowe. Nie jest odpowiedzialny, ani prawnie, ani w żaden praktyczny sposób, za treści, które są tam umieszczane. Nic nie wie na temat nagrania wideo i nigdy nikogo nie podburzał do popełnienia aktu terrorystycznego.

Kodmani siedział z zamkniętymi oczami. Sprawiał wrażenie pogrążonego w modlitwie.

– Pięknie – powiedział Strange. – Wszyscy byliśmy w tym pokoiku, który ukrył pan na dole. Wiemy, do czego jesteście zdolni. Te nagrania. Ulotki. Podżeganie...

– Nie ma w tym nic nielegalnego – upierał się Marokańczyk.

– Znaleźliśmy pańskie ulotki przy ofierze drugiego morderstwa. Pańska strona internetowa została wykorzystana do umieszczenia nagrania z kobietą, którą zamordowano z zimną krwią.

– Nie wiedziałem...

– To nie wystarczy. – Strange podniósł głos. – Ma pan alibi. Nie sądzimy, że pan kogoś zamordował. Ale jest pan w to wplątany. Albo zacznij pan mówić, albo...

– To nie wygląda dobrze – dodała Lund, patrząc prosto na niego zza stołu. – Na pewno pan to rozumie. To wygląda bardzo niedobrze.

Mężczyzna wykręcał ręce. Adwokat nachylił się ku niemu i szeptał mu coś do ucha.

– Jeśli pójdzie pan do więzienia, będziemy musieli umieścić pańskie dzieci w rodzinie zastępczej – ciągnęła. – Służby socjalne postarają się znaleźć im rodzinę muzułmańską. Gwarancji nie ma. Może...

– Nie wiedziałem! – krzyknął Kodmani. – Jasne?

Lund skrzyżowała ramiona i dalej patrzyła.

– Dotarł do mnie przez witrynę. Napisał do mnie maila.

– Kto?

Mężczyzna w granatowym kombinezonie sprawiał wrażenie zawstydzonego, że do nich mówi.

– Mówił o sobie „Brat w Wierze”. Wydawał mi się... dobrym człowiekiem. Kimś, komu się podoba to, co robię.

– Zwolennik? – spytał Strange.

– Może. Powiedział, że ma wideo o treści religijnej, które sam przygotował. Chciał je umieścić na jakiejś stronie, tak żeby wszyscy mogli je obejrzeć. Zgodziłem się. Dałem mu hasło. Nagle... to pojawiło się tam zeszłej nocy. Nie wiedziałem, co to jest.

- Musimy dostać maile, który panu wysłał – powiedziała Lund.  
Kodmani się roześmiał.
- Nie zachowuję maili. Wszystkie kasuję. Pieczołowicie. Bezpowrotnie. Myślicie, że jestem idiotą?  
Strange odsunął na bok notatnik.
- Przekonaj mnie, że to nie jest bajka. Jak sądzisz, kim jest ten Brat w Wierze?
- Nie wiem! Jeśli przestępcy mają moje ulotki... to nie moja wina. Można je wziąć z biblioteki. Tak jak mówiłem. To legalne.  
Adwokat wyglądał na zadowolonego z siebie.
- Nie oczekuję, że będziecie mnie lubić – powiedział Marokańczyk. – Stoimy po przeciwnych stronach. Ale...  
Groźący palec powrócił, wycelowany w Lund.
- Nie złamałem waszego prawa. Nie macie powodu mnie tu trzymać.  
Adwokat zerknął na zegarek i zaczął pakować swoje rzeczy.
- Mierzmy czas – oznajmił. – Jeśli będziecie trzymać mojego klienta choćby sekundę dłużej, niż pozwala prawo, spotkamy się w sądzie.

\*

Lennart Brix nie był zainteresowany anonimowym korespondentem Marokańczyka, Bratem w Wierze.

Przekazał Strangemu listę religijnych kontaktów Kodmaniego i klientów, którzy kupowali jego książki, wraz z adresami tych, którzy zarejestrowali się na jego stronie internetowej.

– Macie ich wszystkich przesłuchać. Na drucie kolczastym przy klubie weterana była krew. Na razie nie dopasowaliśmy do niej żadnej próbki z bazy danych.

– Czego on szukał w klubie? – spytała Lund. – Dlaczego wrócił?



- Nie sędę, żeby to było najważniejsze. Mam rację?
  - Ale dlaczego...?
  - To nie jest najważniejsze – powtórzył Brix i odszedł.
- Lund wzięła torebkę.
- Wychodzę na godzinę – powiedziała do Strangego.
  - Czemu?
  - Myg Poulsen odwiedził wczoraj kolegę z wojska. Nazywa się Raben. Siedzi w Herstedvester. Złożyłam wniosek o przesłuchanie, ale personel medyczny odmówił.
- Strange patrzył, jak Lund skrzętnie wertuje papiery na swoim biurku.
- Brix kazał nam się skupić na Kodmanim.
  - Po co miałyby umieszczać takie wideo na własnej stronie? To fanatyk. Nie kretyn.
  - Chcesz więc pogadać z kolegą z wojska Poulsena?
  - Tak sobie pomyślałam. – Uśmiechnęła się. To chyba działało na Strangego. – Mam coś do zrobienia po drodze. Może to mi zajmie więcej niż godzinę. Może raczej dwie. Albo...
- Jej ulubiony długopis uciekł na połowę biurka należącą do Strangego. Sięgnęła po niego, zaczęła o skraj kubka z zimną kawą, a ten się przewrócił, rozlewając brązowy płyn na wszystkie papiery.
- Ulrik Strange zamrugał powiekami i nic nie powiedział.
- Zadzwoń – powiedziała Lund, chwyciła długopis i wybiegła.

\*

Meyer nadal mieszkał na obrzeżach Nørrebro. Lund zaparkowała na ulicy, spojrzała na wjazd. Zobaczyła garaż. Drzwi otwarte. Motor zniknął. Ale w głębi było widać konsolę didżeja, teraz pokrytą kurzem.

Na chwilę przestało padać. Na podwórku Meyer bawił się z dwiema spośród swoich trzech córek. Piękne dzieci o blond włosach, wyższe, niż zapamiętała, biegały wokół lśniącego elektrycznego wózka inwalidzkiego taty.

Na ścianie wisiała obręcz do kosza. Pełnowymiarowa. Nie jak ta mała, którą Meyer miał w ich wspólnym biurze.

Odbierał piłkę, odbijał ją od twardej, nierównej ziemi i wyrzucał w stronę kosza. Jego ramiona sprawiały wrażenie silniej umięśnionych niż kiedyś. Lund nie chciała o tym za dużo myśleć.

Została za kółkiem i patrzyła.

Dwa razy trafił do kosza, trzęsąc się ze śmiechu. Potem pozwolił dziewczynkom, żeby go ograły, szturchając, zachęcając, przekonując, aż wreszcie zdobyły trzy punkty.

Myślała, że serce jej pęknie, gdy patrzyła, jak się garbi, jak chowa w ramionach swoją głowę o odstających uszach i udaje, że łka, potrząsając barkami, cichym, żalonym płaczem, który docierał do jej uszu.

Słyszała jego prawdziwy płacz w szpitalu, gdy po raz ostatni próbowała go wciągnąć w sprawę Birk Larsen i usłyszała zwierzęce wycie, które prześladowało ją do dzisiaj. Nie mogła uwierzyć, że tak się wtedy zachowała. Meyer krzyczał, że ona nie umie się związać z nikim ani z niczym.

Mark, młodszy Mark, a nie szybko rosnący, spokojny, inteligentny nastolatek, który mieszkał ze swoim ojcem, też to powiedział.

„Mamo, ciebie interesują tylko martwi ludzie. Nie ja”.

To nie była prawda. Nie mogło tak być. To było tylko...

Meyer przerwał zabawę z dziewczynkami. Patrzył na podjazd, na ulicę. Był dobrym gliną, lepszym, niż sądził. A ona go nauczyła, jak patrzeć.

Samotny samochód zaparkował przed jego domem w zacisznym zakątku Nørrebro. Oczywiście, że go zobaczył.

Zobaczył ją.

Pomyślała o tym, co powiedział Brix. „Priorytety”.

Zastanawiała się, co powinna powiedzieć Janowi Meyerowi po takim czasie. Co powinna mu powiedzieć wtedy w szpitalu. Przyszły jej do głowy słowa, które tyle razy powtarzała w bezsenne noce w samotnym łóżku w Gedser.

„Przepraszam, że cię zawiodłam. Najbardziej w świecie bym chciała, żebyś znowu chodził. Żebyś był cały. Żebyś był dobrym, zabawnym, inteligentnym mężczyzną, jakim kiedyś byłeś”.

Jeszcze jedno zdanie przewijało się jak refren.

„Na miłość boską, Meyer, gdybym mogła zająć twoje miejsce...”.

Patrzyła na podjazd i zastanawiała się, czy on wie, że to ona.

Dzieci się niecierpliwiły. Jedna z dziewczynek wykradła ojcu piłkę, krzyknęła coś i powróciła do zabawy. W jednej chwili Jan Meyer znalazł się z powrotem tam, gdzie chciał, wrócił do zabawy, do ich świata.

Lund miała odwagę przejść tę niewielką odległość od samochodu na podwórko. Nigdy w to nie wątpiła. Ale nie miała prawa tego zrobić.

Młodsza dziewczynka pisnęła radośnie. Przez okno dopłynął do Lund chropawy, żartobliwy głos Meyera.

Innym razem, pomyślała i odjechała.

\*

Czerwono-białą duńską flagę nad głównym budynkiem koszar w Ryvangen opuszczono do połowy. Louise dołożyła dwie białe lilie do bukietów pod masztem i zastanawiała się, co teraz zrobić, do kogo zadzwonić.

Tego ranka się postarała. Uczesała włosy tak, jak robiła to kiedyś, na początku małżeństwa. Włożyła elegancki granatowy wełniany płaszcz na biały fartuch pielęgniarzki. To było ważne, żeby nie odpuścić. Nawet jeśli nikt nie miał zauważyć jej starań.

Gdy odchodziła spod masztu flagowego, zobaczyła Christiana Søgarda, który przyglądał się jej z drugiej strony drogi. Mundur khaki, blond włosy, broda starannie przystrzyżona. Przystojniak. Gdyby wcześniej pojawił się w Ryvangen, ojciec pchnąłby ją ku niemu. Nie wątpiła w to. I nie miałyby nic przeciwko temu. Teraz było za późno, ale...

Był wysoki, silny i wytrwały. Oficer z krwi i kości, z dobrej rodziny o długich tradycjach wojskowych. Nie chłopak pochodzący z klasy robotniczej jak Jens, z ponurego kopenhaskiego przedmieścia.

Podeszła. Uśmiechnął się.

– Policja coś znalazła?

– My o niczym nie wiemy – odrzekł. – Przyjaźniłaś się z Mygiem?

– Służył z Jensem. Oni się przyjaźnili.

Wzruszyła ramionami.

– Ja jestem tylko armijną żoną. Nie mam dostępu do tych relacji.

– To czasem lepiej.

– Bo do nich nie dorastamy?

– Nie. Bo nie ma was tam, kiedy... kiedy to się dzieje. Trudno to wyjaśnić.

– Jens nawet nie pamięta, co się stało. Tym bardziej mu ciężko.

Søgard kiwnął głową. Gorzki uśmiech. Mężczyzny, nie oficera. Albo ona miała tak pomyśleć.

– Czasami wracają chorzy. Wręcz z urojeniami. Czasami widzi się rzeczy i... nie wiem. – Zdjął czarny beret, przeczesał palcami swoje

doskonałe włosy. – Może najlepiej by było, gdyby człowiek sobie wmówił, że one nie działają naprawdę.

Podejrzewała, że major Christian Søgaaard rzadko miał taki problem. Wyglądał na człowieka panującego nad sobą.

– Wszyscy są wstrząśnięci – dodał. – Mam nadzieję, że policja szybko to wyjaśni. Naprawdę nie potrzeba nam tego. Przykro mi słyszeć, że znowu odrzucili wniosek twojego męża.

Wbiła wzrok w zimną ziemię.

– Tak. Cóż...

– Twój ojciec mówi, że malujesz suterенę. Zostaniesz na jakiś czas.

– Na jakiś czas. Zostawiłam w szpitalu spis szczepionek. Gdybyś mógł...

– Jasne, jasne. – Wyglądał, jakby już był o jeden krok przed nią. Zwykle był. – Jeśli potrzebujesz pomocy przy malowaniu, to... – zawahał się – ...mam takie hobby. Właśnie, hobby.

Christian Søgaaard po raz pierwszy się zająknął. Spodobało jej się to.

– Jakie hobby?

– Malowanie. Majsterkowanie.

Louise Raben wsparła dłonie na biodrach i podniosła brew.

– W każdym razie miałem jakiś czas temu – dodał Søgaaard. – Ale jeśli mi powiesz, co chcesz... Mam trochę...

Wykonał nieokreślony ruch rękoma.

– Trochę pędzli? – podsunęła.

– Pędzli. Właśnie.

Ten niemądry żart doprowadził ją do śmiechu. Ostatnio rzadko się śmiała.

– Będę miała to na uwadze – powiedziała i wyjęła kluczyki do auta.

– Jedziesz gdzieś?

– Do Jensa. Jeśli mnie wpuszczą.

\*

Dyrektor Toft nie zgodziła się jednak na widzenie.

– Nie mogę – powiedziała, siedząc sztywno w swoim sterylnym gabinecie w medycznym skrzydle Herstedvester. – Ostatniej nocy sprawił wiele problemów. Gniew. Urojenia...

Kiedy wrócił z Afganistanu, bredził o koszmarach, potworach i rzeczach, które były niemożliwe. Teraz – jak kontynuowała Toft – przerodziło się to w obsesję, że jest trzymany w więzieniu z powodów, których nikt mu nie podaje.

– To bardzo proste – wyjaśniła po chwili. – Jeśli on zrobi to, o co poprosimy, przyjmie lekarstwa, nauczy się kontrolować swoje nastroje i fantazje, wtedy...

– On od miesiący jest zdrowy. Sama pani to powiedziała. Powiedziała nam pani, że można go wypuścić...

– Ostateczną decyzję podejmuje Departament Więziennictwa. Nie my.

– Dlaczego tak się stało? Skoro robił postępy?

Innym razem mogłaby się rozpląkać w czasie takiej rozmowy. Dziś już nie. Dzielił ją od męża dystans, który rósł ukradkiem jak guz przez ponad dwa lata. Louise mogła patrzeć na Jensa tak, jak patrzyła na własnych pacjentów w szpitalu w Ryvangen: beznamiętnie. I nienawidziła tego.

– Nie wiem – odparła Toft. – Miejmy nadzieję, że to nie jest całkowity nawrót choroby. On musi się nauczyć współpracować. Czuję, że mu się polepsza...

Dyrektor Toft zdawała się znudzona. Jej dzień upływał na dokładnie wyznaczonych spotkaniach. Sądząc po tym, jak spoglądała na kalendarz, nadchodziła kolej następnego.

– Pani mąż był bardzo poważnie ranny w Afganistanie. Fizyczne rany zostały wyleczone. Ale psychiczne... On nie pamięta, co się z nim działo. A nie zapominajmy, że porwał kompletnie obcą osobę, uważając, że to oficer z Helmand. Podczas gdy był to...

Bibliotekarz z Vesterbro. Ile razy muszą to powtarzać?

– On nie odróżnia tego, co prawdziwe, od tego, co nieprawdziwe. Nie możemy go wypuścić, dopóki nie zyskamy pewności, że nie ma już takich problemów. Zobaczymy za tydzień, jak się sprawy mają.

– Za tydzień? Mamy spotkanie z prawnikami. Muszę podjąć decyzję, do której szkoły posłać syna. Gdzie będziemy mieszkać.

Toft opadła na oparcie, niemal ziewnęła.

– Pani mąż potrzebuje odpoczynku. Nie może teraz stawać wobec takich problemów.

Louise Raben była gotowa krzyczeć.

– Ukarajcie jego, jeśli chcecie! Ale dlaczego karzecie mnie? Dlaczego krzywdzicie jego syna?

– Staramy się pomóc. On musi to zrozumieć. Pani też.

– Jens nie potrzebuje niczego prócz rodziny.

Błagania nie miały sensu. Ani groźby. Na tych ludziach nic nie robi wrażenia. Nic...

– Zobaczę, co da się zrobić – powiedziała Toft, zerkając na zegarek. – Ale on musi współpracować. Bez tego...

\*

Lund przeszła kontrolę w Herstedvester. Wchodząc, minęła się z jakąś kobietą. Już ją kiedyś widziała. Ładna, blada twarz, zmartwiona. Zbolała.

Koszary, pomyślała Lund. Ona tam była. A skoro przyjechała do Herstedvester...

– To żona Rabena – wyjaśniła dyrektor Toft, zauważając zainteresowanie Lund. – Właśnie jej powiedziałam, że nie może się z nim zobaczyć. A teraz mam wpuścić panią.

– Nikomu nie powiem – obiecała Lund.

Nigdy nie czuła do nikogo niechęci od pierwszego wejrzenia. Ale gdyby miała coś takiego poczuć, to właśnie do tej szczupłej, lodowato eleganckiej kobiety.

– To niedobry moment, żeby go przesłuchiwać. Ostatniej nocy mieliśmy problemy. Nie możecie poczekać?

Lund w przeszłości bywała już kilka razy w Herstedvester. Był to główny zamknięty zakład psychiatryczny w kraju i przebywało tu paru najbardziej niebezpiecznych przestępców w Danii. Dwa osobne budynki: jeden dla personelu medycznego, a drugi – pilnie strzeżony zakład karny. Toft przeprowadziła ją długimi, żółtymi więziennymi korytarzami za żelazne drzwi, a cały czas towarzyszył im strażnik.

– Nie będę długo. Dlaczego on tu przebywa? – spytała Lund, gdy czekały na otwarcie kolejnych strzeżonych drzwi.

– Niedługo po powrocie z ostatniej zmiany w Afganistanie porwał kogoś z ulicy. Potem powiedział, że myślał, że to były oficer. Ktoś, kogo Raben uważał...

– Tak?

– Nie znam szczegółów. Tamten człowiek w ogóle nigdy nie służył w wojsku. Raben go schwytał, zabrał do lasu i przywiązał do drzewa. Słukł go na miazgę, chciał, żeby się do czegoś przyznał... Nie wiem nic więcej.

Kolejny długi korytarz, kolejne drzwi.



– Sąd postanowił, że najlepszym wyjściem będzie osadzenie go tutaj na czas nieokreślony. Raben został zwolniony z wojska za niedopuszczalne zachowanie. Miał urojenia...

Toft przez chwilę wyglądała na zatroskaną.

– Wysyłamy ich tam i oczekujemy, że będą robić to, co trzeba. A kiedy wracają, to już nas nie obchodzą, prawda? Chcę, żeby temu człowiekowi się poprawiło. Ma miłą żonę. Dziecko. Oni go potrzebują, a on ich. Myślałam...

– Co pani myślała?

Toft wpatrywała się w nią. Na jej twarzy malowała się wątpliwość, a Lund domyśliła się, że to niecodzienne.

– Myślałam, że już zakończyliśmy leczenie. W zeszłym tygodniu zaopiniowałam pozytywnie wniosek o jego zwolnienie. Ale Departament Więziennictwa go odrzucił.

– Dlaczego? – spytała Lund.

– Jeszcze nie wiem. To ich decyzja. Ja zajmuję się tylko jego stanem psychicznym. A teraz... – Splotła szczupłe ręce. – Teraz wróciliśmy do punktu wyjścia.

Stały przed celą. Strażnik otworzył niewielką stalową klapkę w drzwiach. Lund zajrzała do środka. Czekał na nią. Chudy, czujna twarz, wnikliwe spojrzenie niebieskich oczu, ciemny zarost. Przeciętny mężczyzna. Z gatunku tych, którzy łatwo znikają w tłumie.

\*

Pomieszczenie było małe i zimne, z jednym nieprzezroczystym oknem. Raben stanął przy nim, patrząc na światło na zewnątrz, jakby zapragnął zobaczyć szare niebo.

– Myg chciał mi pomóc – powiedział. – Miał dla mnie pracę. Stolarkę. Nadawałbym się. Mogłem wyjść z tej dziury.

Podszedł do stołu i usiadł.

– Był zdenerwowany? Odniósł pan wrażenie, że czegoś się boi?

– Boi? Myga niełatwo było przestraszyć. Trzy razy był ze mną na misji, albo i cztery. Nie. Nie bał się.

Lund czekała.

– Wydawał się trochę niespokojny. Może miał kłopoty. Byliśmy prostymi żołnierzami, nie oficerami. Czasami robiliśmy rzeczy, które oficerom się nie podobały.

– Na przykład?

– Jakieś drobiazgi. Okazywaliśmy... – ostrożnie dobierał słowa – okazywaliśmy za mało szacunku.

– Tylko tyle?

– Nie wiem, czy on miał kłopoty, czy nie. Nie powinienem był tego powiedzieć. Co się stało?

Toft wpatrywała się w nią.

– Ktoś pociął go podrobionym nieśmiertelnikiem – odparła Lund. – Potem powiesił za nogi, głową w dół.

Oczy Rabena otworzyły się szeroko.

– Kojarzy się to panu z czymś? – spytała Lund.

Dopiero po dłuższej chwili pokręcił głową.

– Nie – odparł.

Lund zerknęła do notatnika.

– Od dwóch lat nie wyjeżdżał na misje. Ostatnia zmiana to ta, na której został pan ranny. Miesiąc temu ponownie się zaciągnął. Tydzień temu zgłosił się na misję do Afganistanu. Dlaczego tak nagle chciał pojechać?

– Powiedział, że nie jest tu szczęśliwy. Myślę, że się nudził. Myg bardzo dużo robił w klubie weterana. Był dobrym człowiekiem. Ale... –

Na twarzy Rabena na chwilę zawitał uśmiech. – Kto chce spędzać czas, pomagając takim wrakom jak ja? On był żołnierzem. Domyślam się, że chciał znowu poczuć ten dreszczyk.

– Ciągłe to samo.

– Naprawdę nie mam już pani nic do powiedzenia. Chciałbym odpocząć.

– Bardzo dobrze, Raben – pochwaliła go Toft, wstając. – Dziękuję.

– Chcę, żeby pan na to spojrział. – Lund wzięła torebkę i wyjęła z niej zdjęcie, które wcześniej pokazała pułkownikowi i Søgaardowi. – Ta kobieta nazywała się Anne Dragsholm. Była radcą prawnym w wojsku. Miała jakieś powiązania z Mygiem Poulsenem?

Raben wpatrywał się w nią. Niebieskie oczy były szeroko otwarte, zainteresowane.

– Dlaczego to ważne?

– Zamordowano ją dwa tygodnie temu. Jej śmierć i śmierć Myga są ze sobą związane. Próbuję dociec w jaki sposób.

Raben zastanawiał się chwilę.

– Nie znam jej – odrzekł, przesuwając zdjęcie po stole. – Jeśli nawet Myg ją znał, to nigdy o niej nie wspominał.

Jens Peter Raben nie wyglądał, zdaniem Lund, na chorego.

– Jest pan pewien?

– Nie znam jej – powtórzył. – Co jeszcze mogę powiedzieć?

To było wszystko. Toft zrobiła się niespokojna. A Raben zamilkł.

Lund dała mu wizytówkę.

– Jeśli cokolwiek się panu...

Odwrócił się do Toft.

– Przepraszam za ostatnią noc. To było głupie. Nie wiem, co mnie napadło. Chcę współpracować. Proszę mi tylko powiedzieć, co mam

robić.

Toft uśmiechnęła się do niego.

– Dobrze. Po pierwsze lekarstwa. Od tego zaczniemy.

Wstała. Kobiety pożegnały się z Rabenem uściskiem dłoni i wyszły.

– Zaskoczył mnie – powiedziała lekarka już za drzwiami. – Coś z niego wyciągnęłam.

– Zazdroszczę – odparła Lund i patrzyła, jak strażnicy podejmują długi, powolny proces wyprowadzania ich z powrotem na szary świat.

\*

Z parkingu zadzwoniła do Strangego. Dowodził grupą ludzi zgarniających kontakty Kodmaniego. Ponad trzydzieści osób siedziało już w areszcie, ich nazwiska wybrano z list klientów i innych baz danych.

– I? – spytała.

– Od czego zaczynamy?

– Po pierwsze, dowiadujesz się, gdzie byli wczoraj po południu.

Odpowiedziała jej długa cisza.

– Na tyle sam się orientuję – poskarżył się w końcu Strange. – Tak, sprawdzamy ich alibi. Mnie się wydaje, że wszyscy są OK. To płotki. Dużo gadają i w sumie nic poza tym. Wyglądają jak przestraszone owce. Gdyby naprawdę byli terrorystami, nie zwinęlibyśmy ich tak łatwo.

Zawahał się i spytał:

– A jak w Herstedvester? Ten Raben wniósł coś nowego?

– Raczej nie.

– Wygląda na to, że jedziemy na tym samym wózku, co? – Czasami okazywał jakąś zwawość. – Mam coś dla ciebie. Pamiętasz tego egzotycznie wyglądającego oficera z Ryvangen?

– Przypomnij mi.

Tyłu mężczyzn w mundurach. Po chwili zaczęli się zlewać w całość.

– Bilal? – podsunął Strange. – Dowódca kompanii Myga Poulsena? Pokazywał nam jego łóżko.

– Co z nim?

– Jest na liście klientów Kodmaniego. Kupił od niego dużo fanatycznej literatury islamskiej. Całe mnóstwo. W tym zdecydowane paskudztwa.

– Przyjadę po ciebie – powiedziała Lund.

\*

Kiedy weszła Karina, Thomas Buch znowu kłócił się z Krabbem przez telefon. Na widok jej miny skończył rozmowę.

– Co się dzieje? – spytał.

– Nie wiem. Właśnie się dowiedziałam, że Agger zwołała konferencję prasową, sama. W sprawie pakietu antyterrorystycznego. Mamy jakąś ugodę czy coś?

Buch chwycił marynarkę.

– Nie – odrzekł.

Pokonali labirynt korytarzy, weszli do pomieszczeń komisji w Folketinget, znaleźli Agger w pobliżu jej biura. Nie wyglądała na uszczęśliwioną widokiem Bucha.

– Zamierzałam do pana zadzwonić – powiedziała, nagle zdenerwowana.

– Ale nie zadzwoniła pani.

Elegancko ubrana, pełny makijaż. Wyglądała młodo. Wyglądała ministerialnie. Gotowa na występ przed kamerami.

– Co się dzieje, Birgitte?  
– Wycofujemy się. Obawiam się, że będzie musiał pan to zrobić z Krabbem.

– Ale...

– Omówiliśmy to wnikliwie. Nie jesteśmy już pana pewni.

– Jeden dzień w pracy i nagle jestem niekompetentny?

– Oszukał mnie pan.

Buch, zaskoczony, zmrużył oczy.

– Jak to?

– Wiem o notatce.

– Jakiej notatce?

– Notatce, którą PET przekazała Monbergowi. Ostrzegali go, że pierwsze zabójstwo było związane z terroryzmem. Że to nie była sprawa rodzinna.

Karina pokręciła głową.

– Nie widziałam takiej notatki – powiedziała – a byłam jego osobistą sekretarką.

Agger się roześmiała, odrzucając głowę.

– Och, błagam. Mam jej kopię. Z datą, pieczętką i podpisem. Nie schowa się pan za naszymi plecami, Buch...

– Ile razy mam powtarzać? Nic nie wiem o notatce!

Agger wpatrywała się w niego ubawiona.

– To jeszcze gorzej, prawda? Przepraszam. Muszę się zająć konferencją prasową. – Na chwilę położyła dłoń na jego ramieniu. – Niech się pan nie martwi. Tego im nie powiem. Może pan to zachować na okoliczność śledztwa. Bo śledztwo będzie. To mogę panu obiecać.

\*

W koszarach Ryvangen, pośród wojska, Lund tym razem nie czuła się nie na miejscu. Wraz ze Strangem przeszli kontrolę na bramie, nie oponując za bardzo, i znaleźli Saida Bilala w jednym ze składów, przy pracy nad pojazdem opancerzonym.

– Ma pan chwilę? – spytał Strange.

– Pułkownik ma spotkanie w mieście – odrzekł Bilal i wrócił do sprzętu.

– To z panem chcemy porozmawiać.

Przerwał. Odłożył klucz, zszedł z rampy. Stał sztywno, wpatrując się w Strangego, nie zwracając w ogóle uwagi na Lund.

– Zna pan Abdela Husseina Kodmaniego? – spytał Strange.

Bilal zawahał się chwilę.

– Nie – odrzekł w końcu.

Strange wyjął teczkę.

– To jakim cudem kupił pan od niego książki? Trzynaście w ciągu trzech miesięcy. Podać tytuły? *Dżihad, Radykalny islam*. Nie są to chyba komiksy?

Bilal rozglądał się, sprawdzając, czy nikt ich nie słyszy.

– Kupiłem je przez internet. Nie wiem od kogo.

Strange tylko patrzył na niego.

– Złamałem prawo?

– Po co one panu? – spytała Lund.

– A co to was obchodzi?

– Proszę odpowiedzieć – nalegał Strange. – Jest pan żołnierzem w służbie czynnej. Co pan robi z tym gównem?

Bilal zgromił go wzrokiem.

– Chcę wiedzieć, kim są te szumowiny. I chcę, żeby moi ludzie ich poznali.

Ruszył do drzwi. Oni podążyli za nim.

– Pan sam jest muzułmaninem – powiedział Strange.

– I co z tego? – Bilal nie przejął się. – Kazano mi zamówić te książki. Spytajcie pułkownika Jarnviga. Wojsko za nie zapłaciło.

Zatrzymał się przy żołnierzach stojących grupką przy przesuwanych drzwiach. Na ziemi leżała broń, większość w częściach. Ciężkie moździerze. Noktowizory. I sprzęt, którego funkcji Lund mogła się tylko domyślać.

Bilal się schylił, popatrzył, jak inni pracują.

– To wszystko, jestem zajęty.

Lund podeszła, wskazała kolano jego munduru polowego.

Materiał był wilgotny. Czerwony.

– Chyba pan krwawi – powiedziała. – Gdzie pan był wczoraj wieczorem?

– Tutaj. Wystarczy?

– Nie wiem. Ktoś pana widział? To by wystarczyło.

– Za tydzień wylatujemy! – krzyknął. – Jak możecie przychodzić tu i nam przeszkadzać?

– Chcemy pobrać próbkę pańskiej krwi – powiedziała Lund. – Wyraża pan zgodę? Czy musimy to załatwić dokoła?

Po raz pierwszy sprawiał wrażenie przejętego.

– Chcę się zobaczyć z pułkownikiem. Nic nie powiem do jego powrotu.

Podszedł Strange, stanął blisko żołnierza, spojrzał w jego ciemne oczy.

– Nie chodzi o pułkownika Jarnviga. Chodzi o ciebie.

\*



Telefon z Herstedvester. Może dojść do spotkania z adwokatem i jej mężem.

Teraz siedzieli w tym samym pokoiku z tapczanem i zmiętą narzutą, słuchając, jak adwokat mówi to, co już wiedzieli. Przed upływem pół roku nic nie można było zrobić.

– Niech pan robi, co oni mówią – naciskał prawnik. – Przyjmuje lekarstwa. Realizuje program.

– Cały czas to robi – powiedziała Louise z westchnieniem.

– Jeśli wczorajsza noc się powtórzy, zarobi pan co najmniej rok więcej. Wcześniej w ogóle nie będą chcieli z panem rozmawiać.

– To się już nie powtórzy. – Raben chwycił żonę za rękę, ścisnął ją i dopilnował, żeby mężczyzna to zauważył. – Obiecuję. Chcę wrócić do domu. Zrobię wszystko, czego żądają.

Louise pomyślała, że adwokat ma tej sprawy po dziurki w nosie. Za dużo pracy. Za mało pieniędzy.

– Możemy na chwilę zostać sami? – spytała.

Po wyjściu mężczyzny wzięła męża za ramię, spojrzała w jego jasne, inteligentne oczy.

– Strasznie mi przykro z powodu Myga. Ale jesteś mi teraz potrzebny. Jonasowi również. Nie zapominajmy...

– Co u niego?

– W porządku. Znowu chce się z tobą spotkać.

Raben się uśmiechał. Na ogół wyglądał tak normalnie.

– Musisz się na tym skupić, Jens. To najważniejsze. Mamy sześć miesięcy. Wykorzystajmy je. Mam znaleźć innego adwokata?

On już odpłynął myślami. Jego oczy i myśli były gdzie indziej.

– Jens? Składamy zażalenie na decyzję? Co robimy?

Wzruszył ramionami.

– Czekamy. Co innego możemy zrobić? Muszę się spotkać z lekarzami. Tak powiedziała Toft.

– Ale...

Patrzył, jakby był już tym znudzony.

– Wypuszczą mnie stąd dopiero wtedy, gdy zechcą, Louise. To zależy wyłącznie od nich. Nie od nas.

Musiała zdusić złość.

– Musisz ich przekonać, że jesteś zdrowy!

– Staram się, jak mogę...

– Za mało! – Sprawiała mu przykrość, ale coś w niej szeptało, że to nie szkodzi. – Mam za sobą dwa lata. Te wszystkie decyzje... Gdzie Jonas pójdzie do szkoły? Gdzie będziemy mieszkać? Jak mam za wszystko płacić? Nie mogę...

Wyciągnął rękę i dotknął jej ciemnych włosów. Pomyślała, że w ogóle nie zauważył, że inaczej wyglądają.

– Wiem, że spieprzyłem sprawę – powiedział. – Naprawię to dla ciebie. Dla Jonasa. Obiecuję.

Potem pocałował ją w policzek i musnął ręką po karku.

– Toft chce mnie widzieć. Muszę iść.

– Co to ma być? Jens? Jens?!

Raben wstał, poszedł do drzwi i opuścił pokój, nie patrząc już na nią.

\*

Krótki spacer więziennym korytarzem do gabinetu lekarskiego na drugim końcu.

Strażnik w granatowym mundurze. Pielęgniarka w białym uniformie sprawdził jego nazwisko, po czym dobył z fiołki dwie czerwone

kapsułki.

Raben się nie wahał. Wziął je, podobnie jak plastikowy kubeczek wody. Wsadził lekarstwo do ust i popił wodą.

Strażnik odprowadził go w stronę celi.

Nadszedł czas opuścić pomieszczenia więzienne, żeby spotkać się z Toft w skrzydle psychiatrycznym.

Prawie nadszedł.

– Mogę wziąć prysznic? – spytał.

– Chcesz ładnie wyglądać dla królowej śniegu? Za wysokie progi dla ciebie.

Westchnął.

– Dwie minuty – powiedział strażnik.

Raben zasalutował drwiąco, poszedł do swojego pokoju, wziął kosmetyczkę, ruszył pod wspólny prysznic.

W środku nikogo nie było. Zamknął drzwi, podszedł do umywalki, wypluł dwie kapsułki, które trzymał pod językiem, przepłukał usta wodą z kranu.

Drzwi nie zamykały się na klucz. Wziął więc z kąta mopa, jak najmocniej podparł nim klamkę, odkręcił wodę pod prysznicem, żeby zrobić hałas, i wsadził głowę pod ciepłą wodę.

Kilka miesięcy wcześniej ukrył narzędzia pod kratką odpływową, zastanawiając się, czy będzie musiał ich kiedyś użyć. Klucze, nastawny i płaski, skradzione z warsztatu. Latarkę zabrał, gdy strażnik nie patrzył. Wszystko zawinięte w natłuszczoną ceratę w celu zabezpieczenia przed wodą.

Raben ukląkł i wyrwał brudną stalową kratkę. Nadal tam były, i to w dobrym stanie.

Strażnik załomotał do drzwi.

- Raben?! – wrzasnął.
- Powiedziałeś, że dwie minuty.
- Kończ już.

Podbiegł do drzwi i wyrwał mopa. W samą porę. Strażnik właśnie sprawdzał klamkę. Kiedy otworzył drzwi, Raben stał z mokrymi włosami, mokrym ręcznikiem, a narzędzia i latarka spoczywały w jego kosmetyczce.

Strażnik warknął jeszcze, by Raben wziął kurtkę. Na zewnątrz padało. Potem sięgnął po radio, oznajmił, że Raben opuszcza blok więzienny, i ruszyli na krótki spacer przez trawnik.

Od jednych zamkniętych drzwi do drugich, za wysokimi murami, elektrycznym ogrodzeniem Herstedvester. Całą drogę obserwowały go kamery.

Byli tak pewni siebie i swoich zabezpieczeń, że zwykłym więźniom – takim jak on – pozwalali iść samym. Gdzie mieli uciekać? Jak?

- Dzięki – powiedział Raben, gdy strażnik go wypuścił.

Deszcz był lodowaty i nieprzyjemny. Noc czarna.

Zwykły więzień.

W Afganistanie nikt nie nazywał go zwykłym. Był dowódcą, kimś, kto przeszedł szkolenie jægerów. Łowcą. Samotnym wilkiem w razie potrzeby.

Narzędzia miał teraz pod kurtką. Wyszedł w ciemność.

\*

Wszędzie indziej Lund wepchnęłaby Bilala do samochodu i zawiozła do Politigården. Ale tu nie była na swoim terytorium. Znajdowali się w koszarach wojskowych, władza policji prawdopodobnie tu nie sięgała. Strange chyba tego nie wiedział.

Hierarchia.

Nikt się nie ruszy, dopóki opryskliwy, milczący dowódca kompanii nie zobaczy się ze swoim dowódcą. Dlatego dwadzieścia minut po tym, jak spotkali się z nim w magazynie, Lund i Strange stanęli przed wściekłym majorem Søgaardem.

– Bilal nie ma nic wspólnego z zabójstwem – upierał się major, podczas gdy jego podwładny stał sztywno na baczność w kącie gabinetu Jarnviga. – Mogę zapewnić...

– Nie prosimy o referencje – przerwał mu Strange. – Jeśli nie zacznie mówić, aresztujemy go...

– Musimy czekać? – zastanowiła się Lund.

W tym momencie wpadł Jarnvig. Wyglądał na jeszcze bardziej wściekłego niż Søgaard.

– Mówiłem wam! – wrzasnął. – Mówiłem, że cała komunikacja musi przechodzić przeze mnie albo Søgarda. Jak śmiecie...?

– Co tu się dzieje? – spytała Lund. – Dwie osoby nie żyją. Jedną z nich jest pański żołnierz. Bilal kupował literaturę fundamentalistyczną w serwisie powiązanim z morderstwami. Ma krew na ubraniu...

– Na pewno jest jakieś wyjaśnienie – zaczął Jarnvig.

– Chcemy je usłyszeć od niego. On umie mówić, prawda?

Jarnvig spiorunował ją wzrokiem. W jego świecie kobiety się nie odgryzały.

– Dobra – ciągnęła. – Zaczynam to ogarniać. On – kiwnęła głową na Bilala – nie będzie mówił, dopóki pan mu nie pozwoli. Więc niech mu pan każe mówić. Wysłuchajmy go.

Zastanowił się nad tym chwilę, popatrzył na mężczyznę w rogu, wyprostowanego jak struna, z rękoma na plecach, i kiwnął głową.

Patrząc prosto przed siebie, ale na nic konkretnego, Bilal przemówił znudzonym, bezbarwnym, monotonnym głosem:

– Starszy szeregowy Myg Poulsen był moim podwładnym. Niepokoila mnie jego kondycja psychiczna. Poszedłem się z nim spotkać w klubie weterana, chciałem porozmawiać, jak można mu pomóc.

Nagle spojrział na Lund i Strangego.

– Widziałem, że ktoś się wcześniej włamał. Drzwi były otwarte. Wszedłem. W środku było pusto. Nagle zobaczyłem go, jak zwisał z sufitu. Wszędzie była krew.

– I wtedy zaczął pan uciekać? – spytała Lund.

– Usłyszałem, jak przyjechaliście. Nie wiedziałem, kim jesteście.

– Nie przyszło panu do głowy, żeby wezwać policję?

Zerknął na Jarnviga.

– Przede wszystkim mam zobowiązanie wobec wojska. Wobec ludzi w jednostce.

Strange się roześmiał.

– To dopiero wyjaśnienie.

– Co takiego zrobił Myg? – spytała Lund. – Że mówi pan tak o jego kondycji psychicznej.

Bilal znowu zamilkł. Spojrział na Jarnviga. Pułkownik kiwnął głową. A Lund zaklęła pod nosem, niezbyt cicho.

– Mieliśmy poważne naruszenie zasad bezpieczeństwa – powiedział Bilal. – Możliwe...

Przerwał.

– Jeszcze chwila i zawlokę pana na komendę – warknęła Lund.

– Nasz szef bezpieczeństwa zgłosił nielegalne wejście do naszej sieci. Logi wskazują, że Myg Poulsen wszedł do poufnych danych z operacyjnej bazy danych...

Lund skierowała wzrok na Jarnviga.

– Co to były za dane?

– Ściągnął dokument.

– I? – nalegała.

– Była to lista żołnierzy, ludzi, z którymi służył w oddziale podczas ostatniej zmiany w Afganistanie. Dwa lata temu.

Lund skrzyżowała ramiona, spojrzała na Strangego, zaczęła na pytanie. Zaczynała lubić tego człowieka, ale niezbyt jej pomagał.

– Poulsen prawdopodobnie potrzebował listy do klubu weterana – zasugerował Bilal.

– Nie mógł o nią po prostu poprosić? – spytała.

Wbił wzrok w podłogę.

– Będziemy potrzebowali twojego DNA – włączył się Strange. – Gdybyś wczoraj wyjechał z tą bajeczką, może byśmy w nią uwierzyli.

Lund znowu zakłęła i podeszła do ściany. Była obwieszona zdjęciami. Domyśliła się, że z Afganistanu. Ludzie w suchym, pustym kraju, z bronią i pojazdami wojskowymi.

– Mówię prawdę – odezwał się do niej Bilal.

– Mogę to potwierdzić – dołączył Jarnvig.

– A to niespodzianka – mruknęła Lund.

Lubiła zdjęcia. Opowiadały historie. Czasami skomplikowane. Tu były ich całe stosy, zachodziły na siebie, poprzipinane pinezkami.

– Po waszym wyjściu wczoraj wieczorem Bilal przyszedł do mnie i opowiedział mi wszystko – dodał Jarnvig. – Natychmiast skontaktowałem się z PET i przedstawiłem im wyczerpujące wyjaśnienie. Przyjęli je bez zastrzeżeń. Nie możecie tak sobie wchodzić i grozić moim ludziom. Nie pozwolę...

Lund zamknęła oczy, zastanawiała się, czy uwierzyć w to, co słyszy. Odwróciła się powoli i zmierzyła wzrokiem tych mężczyzn, pułkownika, majora, porucznika. Schludna mała trójca władzy, która nie miała

zamiaru rozmawiać z jakimiś zwyczajnymi cywilnymi glinami, takimi jak ona czy Strange.

– PET – powiedziała – zajmuje się sprawami bezpieczeństwa. My prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa. Ten człowiek...

Strange już trzymał telefon.

Jarnvig podszedł do niej.

– Gdybyście zgodnie z ustaleniami zgłosili się do mnie albo do majora Søgaaarda, dowiedzielibyście się tego wszystkiego. To wasza wina. Nie nasza. – Uśmiechnął się, ale nie był to miły uśmiech. – Jak sądzę, wkrótce to zrozumiecie. Dobranoc. Traficie do wyjścia.

Trzej żołnierze wyszli z pokoju w należyтым, zgodnym z hierarchią porządku.

Strange się rozłączył.

– I co mówi Brix? – spytała Lund.

– Służby specjalne aresztowały trzech ludzi powiązanych z Kodmanim. Brix każe nam wracać. Nie rozumie, dlaczego tutaj przyjechaliśmy.

– Naprawdę?

Ulrik Strange wzruszył ramionami i podszedł do drzwi. Wyglądał na lekko ubawionego. Lund podążyła za nim, ale wcześniej ostrożnie zdjęła ze ściany upatrzone zdjęcie, a na jego miejsce przesunęła inne.

Na dworze znowu padało.

– Jeszcze nigdy nie pracowałem z PET – powiedział Strange. – To zawsze tak wygląda?

– Jak? – spytała, wyciągając telefon, gdy już oddalili się od budynku i żołnierzy.

– Jednostronnie.

– Nie. Nie zawsze.



Połączyła się.

– Proszę wysłać dwóch funkcjonariuszy do Herstedvester – rzuciła do centrali.

Wyjęła zdjęcie, podała je Strangemu i powiedziała:

– Lewy dolny róg.

Na samochodzie leżał szron. Byli niedaleko magazynu, w którym pracował Bilal. Zobaczyli, że już wrócił. Patrzył na ludzi pracujących przy moździerzach.

– Co dokładnie mam zobaczyć?

Nie jest głupi, pomyślała. Tylko mało spostrzegawczy, jak większość.

– Obok Myga Poulsena. – Wskazała palcem odpowiednie miejsce na zdjęciu. – To Jens Peter Raben. Jego kolega. Ten, którego odwiedziłam dzisiaj w Herstedvester.

– I co?

Centrala się nie zgłaszała. Lund zastanawiała się dlaczego.

– Anne Dragsholm? – spytał Strange.

– Moim zdaniem to ona. Ale Raben powiedział, że jej nie znał. Wtedy mu nie uwierzyłam...

Centrala się zgłosiła.

– Tak – powiedziała Lund. – Jest tam więzień, Jens Peter Raben. Chcę, żeby go natychmiast przywieziono na przesłuchanie.

Szarpnęła za klamkę drzwi. Zamknięte.

– Dostarczcie go prosto do pokoju przesłuchań. Strange?

Wpatrywał się w zdjęcie, jakby ciągle czegoś nie rozumiał.

– Strange? – powtórzyła. – Drzwi?

– Ach.

Wyjął kluczyki, wcisnął guzik pilota, podał jej zdjęcie. Wsiedli.

Lund ciągle trzymała telefon przy uchu. Centrala się nie rozłączała. Lund posłuchała, rozłączyła się, wzięła głęboki oddech, po dziecięcemu udała, że wali głową w deskę rozdzielczą, tak jak robił to Mark, gdy powiedziała coś głupiego.

Strange patrzył na nią.

– Nie wracamy do Politigården – oznajmiła.

– Dokąd jedziemy?

– Do Herstedvester. Słyszałeś o nim? Pilnie strzeżony zamknięty zakład psychiatryczny, z którego nikt nigdy nie uciekł? – Spojrzał na nią z nieruchomą twarzą, a ona pomyślała, że naprawdę jest trochę zagubiony. – No to Jens Peter Raben właśnie ustanowił nowy rekord. Uciekł.

**WTOREK\_**  
**15 LISTOPADA\_**  
**19.52\_**

Dotarcie na miejsce zajęło im pół godziny. Strange prowadził ostrożnie, nawet gdy się spieszył.

Herstedvester zastali oświetlone rześcicie niczym liniowiec w nocnym rejsie. Syreny zawodziły. Psy szczekały. Strażnicy więzienni i policja przeczesywali zakład i teren wokół niego, ścigając zbiegłego Jensa Petera Rabena.

Lund znalazła dowódcę ochrony, obejrzała kilka fragmentów nagrań telewizji przemysłowej z jego biura przy bramie.

– Miał się spotkać z dyrektorką kliniki. Pozwalamy im chodzić z bloku do skrzydła medycznego. To niedaleko.

Mężczyzna postukał w monitor.

– To bezpieczne. Nigdy wcześniej nikt stąd nie uciekł.

Lund skrzyżowała ramiona i spojrzała na niego.

– Raben nie jest zwyczajnym żołnierzem, wie pani – powiedział, jakby to była jakaś wymówka. – Jeśli ktokolwiek mógł się stąd wydostać...

– Co w nim jest wyjątkowego?

– Sami zobaczcie. Dostał się do studzienki kanalizacyjnej. Otworzył wąż.

Wyszli na zewnątrz. Zdążyło się zrobić bardzo zimno. Mgiełka ich oddechów, oddechów psów obwąchujących teren.

– Wiecie, jak daleko dotarł? – spytał Strange.

– Ucieka pieszo. Jego zniknięcie stwierdzono od razu. Tam jest ciemno jak diabli, a on jest sam. Na zewnątrz nie ma śladu po żadnym samochodzie. Musi być gdzieś w pobliżu.

Trójka funkcjonariuszy stała wokół otwartej pokrywy wjazdu. Jeden schodził w dół. Z wahaniem. Lund zastanawiała się, czy do niego dołączyć.

Schyliła się i palcami w rękawiczce podniosła klucz leżący obok wjazdu.

– Wasz czy jego?

Nikt nie odpowiedział.

– Chcę obejrzeć jego celę – oznajmiła Lund i ruszyła do budynku.

Po ogłoszeniu alarmu wszyscy więźniowie zostali zamknięci w celach. Mężczyźni walili w drzwi, wykrzykując ochoczo. W końcu ktoś się stąd wydostał.

Poprosiła strażnika, by pokazał jej maleńki pokoik Rabena. W środku było bardziej ludzko, niż się spodziewała. Na ścianach wisiały rysunki – dziecięce, pewnie syna. Wszystkie o jednej tematyce: żołnierze i wojna. Mężczyźni w zieleni, uśmiechnięci, z podniesioną bronią. Ciemne śmigłowce z duńską flagą zrzucające desant z czystego niebieskiego nieba. Myśliwiec w barwach maskujących spuszczał bomby na krzyżących wieśniaków w turbanach, wymachujących bronią, gdy ich świat wybuchał we krwi.

Zdjęcie Rabena z chłopcem dwu-, może trzyletnim, uroczym blondynkiem wpatrującym się w tatę z uwielbieniem. Pomyślała, że zrobiono je tutaj, w pokoju spotkań. Inne, dawniejsze zdjęcie: Raben z żoną. Ona wyglądała o wiele młodziej, piękna, wolna od trosk. Na

odwrocie data. Pięć lat temu. Raben nawet wtedy sprawiał wrażenie wymizerowanego i trudnego.

Lund przejrzała szuflady, otworzyła trzy książki w miękkich okładkach należące do Rabena, same thrillery wojskowe. Przekartkowała je. Zajrzała do szafy. Tam inne zdjęcie. Czarno-białe. Raben z żoną może dziesięć lat temu. Oboje młodzi, szczęśliwi, jej głowa na jego ramieniu, on z policzkiem przy jej włosach. Zakochani. Biło to ze zdjęcia.

Hałas. Lund spojrzała. W drzwiach stał Strange.

– Ciągłe przeszukują kanały – powiedział. – Ten koleś jest sprytniejszy, niż sądzą.

– Co to znaczy, że on nie jest zwyczajnym żołnierzem?

– Sprawdziłem jego kartotekę. Odbył szkolenie w Jægerkorpset.

Jæger. Łowca. Lund słyszała to słowo. To nieuchwytny wojownik. Siły specjalne. Nigdy nie interesowała się kwestiami wojskowymi. Nigdy nie musiała.

– I co? – spytała.

– Tych gości można rzucić gdziekolwiek, a oni sobie poradzą. Tak są wyszkoleni. Najwyższy stopień survivalu. Nigdy się nie zatrzymują. Nigdy się nie poddają. Trudno będzie złapać tego drania.

Lund nie mogła oderwać wzroku od czarno-białego zdjęcia. Raben wydawał się na nim taki szczęśliwy, taki młody. Nie niewinny. Nie do końca.

– Byłeś żołnierzem, Strange?

– Przez jakiś czas. Odbyłem służbę.

– Byłeś jægerem?

Odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się. Było to tak spontaniczne i zabawne, że sama niemal poszła w jego ślady.

– Żartujesz sobie? Czy ja wyglądam na bohatera? Dla tych gości jestem za mało macho. Nawet gdybym chciał. A nie chcę.

Po raz ostatni omiotła pokój spojrzeniem.

– Z tego co pamiętam – dodał Strange, drapiąc się po swoich krótkich włosach – nigdy nikomu się nie mówi, że się było w siłach specjalnych. Może więc Raben był.

Lund spojrzała na niego. Czekwała.

– I może ja też – dorzucił szybko. – Tyle że ja nie byłem.

Wróciła do przeglądania rzeczy Rabena.

– Czego szukasz?

– Czegoś, co mi powie, kim on jest. Dlaczego uciekł.

– Odrzucili jego wniosek o zwolnienie warunkowe.

– Tak. I pewnego dnia go znajdą. I on tu wróci na lata. To głupie zachowanie jak na kumatego faceta, nie sądzisz? Albo rozpaczliwe.

Tyle rysunków na ścianie, a wszystkie wykonane przez jego synka.

– Raben wszystko zaprzepaścił. Dlaczego?

– Brix nas prosi.

– Jest tu dyrektor kliniki?

– Jest. Ale Brix każe nam się zgłosić. PET aresztowała trzech...

– Brix może poczekać.

\*

Teczka Jensa Petera Rabena u dyrektor Toft wydawała się osobiście chuda jak na człowieka osadzonego na czas nieokreślony.

– Rozpatrywano jego podanie o zwolnienie warunkowe, ale ostatecznie Departament Więziennictwa je odrzucił – powiedziała. – To pewnie stało się przyczyną nawrotu...

– Nawrotu czego? – spytała Lund.

– Zespołu pourazowego. Jak już wspomniałam, uczestniczył w pewnym incydencie w Afganistanie. To się zdarza często, niestety. Ale przypadek Rabena był skrajny. On posuwał się do przemocy, miał urojenia, obsesje...

– Co to był za incydent?

Toft pokręciła blond głową.

– Są pewne zasady...

– Właśnie mi pani powiedziała, że mamy na wolności bardzo niebezpiecznego człowieka. Prawdopodobnie kieruje się on do Kopenhagi. Jeśli pani cokolwiek ukrywa...

Toft opadła na oparcie krzesła. To było nowe doświadczenie i wcale się jej nie podobało.

– Kilku jego towarzyszy zginęło w akcji w prowincji Helmand. Uważał, że to jego wina. Pod pewnym względem amnezja oszczędziła mu bólu. Pod innymi względami go nasiliła.

– Jak to? – spytał Strange.

– Ponieważ on nie wiedział, co się dokładnie stało. Jego umysł tworzył więc fantazje, żeby wypełnić pustkę. Czasami uważał ludzi tutaj za żołnierzy. Martwych żołnierzy. Krzyczał na nich. Atakował, jeśli miał taką sposobność. Mówiłam już. Zanim został skazany, porwał całkowicie obcą osobę. Niemal ją zabił. Miałam nadzieję, że tę fazę choroby mamy już za sobą...

Lund podsunęła jej fotografię.

– Proszę mi opowiedzieć o Mygu Poulsenie.

Toft kiwnęła głową.

– Z jakiegoś powodu Raben chciał do niego zadzwonić. Powiedział, że się martwi.

– Czym się martwi?

Lekarka zastanawiała się chwilę.

– Powiedział, że Poulsen może sobie zrobić krzywdę.

– A pani zdaniem to nie było ważne?

Toft się roześmiała.

– Raben miał urojenia. Gdybym wierzyła we wszystko, co mówi, byłabym równie chora jak on.

– A co z nią? – Lund położyła na blacie zdjęcie kobiety. – Anne Dragsholm. Prawniczka. Radca w wojsku.

Toft pokręciła głową.

– Raben od miesiący nie mówił o wojnie. Koncentrował się na przyszłości i rodzinie.

– Czy to możliwe, że był w kontakcie z tą kobietą?

– Nie sądzę. Sprawdzam wszystkie kontakty. O co chodzi? Proszę posłuchać, przykro mi, że on uciekł. Ale to wszystko. Ktoś, kto się stąd wydostaje... – Toft przez chwilę wyglądała na zdziwioną, zagubioną. – Powinnam była zauważyć, że on się nie czuje tak dobrze, jak sądziłam. Musicie coś zobaczyć.

Podeszła do szafki na akta, wyjęła płytę CD i wsadziła ją do swojego komputera.

– To on na samym początku. Spędził trzy tygodnie w izolatce, zanim w ogóle jakakolwiek terapia weszła w rachubę.

Lund i Strange przeszli za biurko. Mężczyzna na nagraniu nie przypominał tego, którego poznała poprzedniego dnia. Ten był chudszy, miał bujną brodę i tłuste potargane włosy. Bluzę i dresowe spodnie. Przeklinał, krzyczał. Prawą rękę miał w gipsie, a i tak próbował walić w ściany nagimi pięściami, aż zaczęły krwawić.



Nagle chwycił krzesło, jedyny mebel w pokoju, i zaczął uderzać w kamerę, rycząc z furii.

– Większość z nich w ogóle nie zauważa kamery – powiedziała Toft. – Z założenia ma być ukryta. Raben...

Nagranie się skończyło. Kobieta wyłączyła monitor.

– Myślę, że on umiał przejrzeć wszystko. Mnie również. Jeśli ktokolwiek mógł stąd uciec, to właśnie on.

Gdy wrócili na zewnątrz, dochodziła dwudziesta pierwsza. Wszędzie roiło się od funkcjonariuszy i psów.

– Musimy przeszukać teren – zdecydowała Lund. – Chcę wykaz odwiedzin, rodziny i kolegów. Niech ich obserwują. On uciekł, bo chce z kimś porozmawiać.

– To zbiegły skazaniec, nie podejrzany – zauważył Strange. – Nie przykładajmy do tego aż takiej wagi.

– Posłuchaj...

– Nie, Lund. Ty posłuchaj. Rabena sfotografowano z obydwoma ofiarami, ale z morderstwami nic go nie łączy. Kiedy je popełniono, był zamknięty w tym ośrodku. Nie może...

– On coś wie. Skłamał na temat Anne Dragsholm, a potem się stąd wydostał.

Strange otworzył drzwi samochodu i dał jej znak, by wsiadła.

– W wykazie nie ma ani rozmowy telefonicznej, ani wizyty nikogo, kto wydaje się choćby trochę podejrzany. Brix mówi, że ma coś więcej na Kodmaniego. Musimy go znowu przesłuchać. Wsiadaj, dobra?

Została na zewnątrz wściekła.

– Raben mógł stąd uciec już dawno temu. Jest na tyle bystry. Był jægerem, prawda?

Strange jęknął.

- Szkoda, że w ogóle to wszystko powiedziałem.
  - Mógł się stąd wydostać w dowolnym momencie. Dlaczego więc teraz? Dlaczego akurat w tej chwili? Może przyznasz chociaż, że to warte zastanowienia? Próbuję ci pomóc.
  - Pomóc mnie? – Jego bierna twarz rozjaśniła się zdumieniem. – Mam stopień, Lund. Nie dali mi go przez grzeczność.
- Wyciągnęła rękę.
- Dawaj kluczyki. Ja prowadzę.
  - To mój wóz...
- Podeszła do niego i stanęła z wyciągniętą dłonią jak matka domagająca się czegoś od nieposłusznego dziecka.
- Daj mi kluczyki.
- Wcisnął ręce w kieszenie i ani myślał się ruszyć.
- Możemy tu stać całą noc, jeśli chcesz – powiedziała.
- Nic.
- Całą noc. Obiecuję...
  - Cholera! – Obszedł samochód i wsiadł od strony pasażera.

\*

Dopiero przy szóstym telefonie Louise Raben znalazła prawnika, który zechciał jej wysłuchać. Większość nie podejmowała się spraw beznadziejnych. Ten przynajmniej był skłonny się zastanowić.

- Wcześniej nie miał żadnych wyroków – mówiła, słuchając, jak tamten wierci się po drugiej stronie linii.
- Proszę mi pozwolić spokojnie się nad tym zastanowić – odrzekł mężczyzna.
- To dobry mąż. Kochający ojciec. Straszliwie go potraktowano. Nie wiem...

– Powiedziałem, że się zastanowię. Proszę do mnie zadzwonić w poniedziałek...

– Mogę zadzwonić jutro.

– Przez resztę tygodnia jestem zajęty. Proszę mi dostarczyć dokumenty. Porozmawiamy w poniedziałek. Zwykle nie biorę spraw dotyczących żołnierzy. Moim zdaniem nie powinno ich tam być.

Innym razem odgryzłaby mu głowę. Jens nie wywołał tej wojny. Był żołnierzem. Pojechał tam, dokąd go wysłano. Ale teraz...

– Jensowi też się to nie podobało.

Tym kruchym kłamstwem zakończyła rozmowę, zamknęła oczy i pomodliła się chwilę.

Kiedy podniosła powieki, zobaczyła, że w progu salonu stoi ojciec.

– Tato. – Podbiegła do niego. – Chyba mamy nowego prawnika. Tym razem dobrego. Mamy podstawy do apelacji.

Wydawał się jakiś nieswój.

– Obiecałam, że wyślę mu wszystkie dokumenty.

– Louise... są tu jacyś ludzie.

Za nim stało dwóch mężczyzn. Policja w granatowych mundurach.

Była żoną wojskowego. Umiała wyczuć z daleka złe wieści, wyczytać je ze spojrzenia.

– Co się dzieje? – wyszeptała.

Po czym siadła przy kuchennym stole i słuchała.

Mówił jeden z policjantów.

– Planował to od jakiegoś czasu – zakończył.

– Kiedy uciekł? – spytał ojciec.

Mężczyzna ruchem głowy wskazał Louise.

– Zaraz po odwiedzinach pańskiej córki.

Cała trójka wpatrywała się w nią.

– Nie wiedziałam. Naprawdę.

– Louise...

Podeszła do zlewu, wpatrzyła się w czarną noc za oknem. Łzy rozmazywały jej obraz.

– Tato! Nie wierzysz mi?

– Na zewnątrz nikt na niego nie czekał – dodał policjant. – Nie zakładamy, że ktoś mu pomagał. Ale jeśli przychodzi pani do głowy, dokąd się udał, proszę nam powiedzieć. Jest niebezpieczny...

– Nie jest! – krzyknęła, odwracając się do nich. – Właśnie o to chodzi. Gdybyście go wypuścili. Niech on wróci do mnie i do Jonasa...

– Pani mąż jest zbiegłym przestępcą – powiedział policjant. – Stanowi zagrożenie dla społeczeństwa i dla siebie samego. Jeśli zna pani miejsce jego pobytu...

– Nie zna – przerwał jej ojciec. – Mojej córce nie pozwalano na częste wizyty. Kiedy już do nich dochodziło, zięć nie był... zbyt rozmowny.

Louise Raben otarła łzy i zgromiła ojca wzrokiem.

– Potrzebna nam lista jego kolegów. Krewnych. Miejsc, w których lubił bywać.

– Porozmawiam z córką – obiecał pułkownik. – Będziemy w kontakcie.

Mężczyzna w granatowym mundurze wstał i podszedł do Louise.

– Jeśli cokolwiek pani ukrywa, łamie pani prawo. Może pani również trafić do więzienia.

– Ona nic nie wie! – wrzasnął na niego Jarnvig. – Idźcie już, dobrze? Nie widzicie, że to nią wstrząsnęło? Myśleliśmy, że Jens wróci do domu.

Drugi policjant, do tej pory milczący, wstał, podszedł.

– Za godzinę wrócimy po tę listę – powiedział. – Jeśli nie będzie gotowa, zaczekam.

I wyszli.

Naczynia w zlewie. Zmywanie. Jonas rozwalil pudełko na lunch. Nie umiała go złożyć.

– Pomóc ci? – spytał ojciec.

– Nie.

Podeszła i znowu siadła przy stole, walcząc z plastikowymi zamknięciami.

– Niedobrze.

– Louise...

– Powiedział, że wróci do leczenia. Jedyne, czego chciał, to wrócić do domu.

Ojciec wziął od niej pudełko, z trzaskiem umocował przykrywkę. W ogóle nie docierał do niej sens tego, co usłyszała.

– Cokolwiek zrobił, musiał mieć powód. Jens nie uciekłby tak po prostu...

Wziął ją za rękę.

– Ale uciekł.

Iskra gniewu.

– Tak po prostu? Bez powodu? Tak jak mama? Tak właśnie wtedy powiedziałaś, prawda? I to nie była prawda! Była?

Nie podobało mu się, jak ktoś pyskował.

– Nie. Odeszła ode mnie. Nienawidziła... – Skinieniem głowy wskazał koszary za oknem. – Nienawidziła tego. Wojskowego życia. Więc pewnie i mnie znienawidziła.

– Miała jakieś powody.

– To były jej powody, nie moje. Nigdy ich nie rozumiałem. Że mogła zostawić mnie, to tak. Ale nie ciebie. Tego nie pojmuję. Nie mogę...

Głos go zawiódł. Torsten Jarnvig wpatrywał się w drzwi. Odwróciła się. Stał tam Jonas. Zmęczony i chyba bliski płaczu.

– Mamo? – spytał jasnym, skrzywdzonym głosem. – Co się stało?

W jednej chwili doskoczyła do niego, przytuliła jego drobne ciało i tak go trzymała, czując ciepło policzka synka na swoim.

– Nic, kochanie – wyszeptała. – Nic.

– Oni mówili, że...

– Nic – szeptała i tuliła go tak mocno, że już nic nie mógł powiedzieć.

\*

Zimna, wilgotna noc. Szron na ziemi, na drzewach martwej ziemi na obrzeżach Kopenhagi.

Jens Peter Raben w końcu był wolny.

Kiedy wyszedł na powierzchnię w dalekiej oczyszczalni, włamał się do pomieszczeń biurowych, ukradł czyste ubrania, dżinsy, sweter, kurtkę z kapturem w kolorze khaki, potem wszedł do lasu, umył się lodowatą rosą z drzew, usiłując pozbyć się cuchnącej woni, i w końcu się przebrał.

Oczyszczalnia była pusta. Nie mógł ukraść samochodu. Ani nawet roweru.

Biegł więc ścieżką, miarowym tempem biegacza, przez dwadzieścia minut albo i dłużej, aż znalazł szosę, po której nocą jeździły ciężarówki i inne pojazdy.

Wkrótce znowu zaczęło padać. Z deszczu zrobił się deszcz ze śniegiem. Dwie godziny po tym, jak wymknął się z Herstedvester, znalazł się w pobliżu stacji benzynowej otoczonej lasem.

Zatrzymał się w kępie iglaków na jej skraju i próbował ułożyć sobie w głowie, co robi.

Trening.

Nie wszystko działo się za granicą. Często prowadzili manewry w Danii, na mniej więcej takim terenie. Ukrywali się albo ścigali. Nie daj się wypatrzeć, ukrywaj się przez dziesiątki, setki kilometrów, nie mając pieniędzy, bez środków transportu. Masz się pojawić na drugim końcu, zrealizować zadanie.

Wtedy nigdy nie zawiódł. I teraz też nie zamierzał. Ale tamto to były ćwiczenia. Miał zaopatrzenie z armii. Teraz był zdany na siebie. Samotny człowiek z misją, która wciąż stanowiła dla niego zagadkę.

Nawet w Afganistanie, gdy wykonywał dziwne samotne zadanie, nigdy nie był całkiem sam. Armia szła za nimi. Szeptła do ucha pokrzepiające obietnice.

Nie teraz, przy tej pustej stacji benzynowej na lodowatych przedmieściach Kopenhagi.

Raben sprawdził umiejscowienie kamer przemysłowych, naciągnął kaptur najmocniej, jak się dało, po czym ruszył do toalet. Napił się wody. Wyłamał zamek, zatrzaskał drzwi, rozebrał się i umył raz jeszcze. Poniuchał. Próbował uwierzyć, że woń kanałów zniknęła.

Podjechał samochód. Długie czarne volvo kombi. Raben schylił się, by lepiej widzieć. Mężczyzna mniej więcej w jego wieku wysiadł z dwoma chłopcami, zatankował i poszedł do budki.

Miał czas dotrzeć do volvo, był na tyle blisko, żeby zobaczyć, gdzie są kluczyki na tablicy rozdzielczej. Już miał wskoczyć do środka, gdy usłyszał głosy dzieci.

Wracały, ciesząc się głośno ze słodyczy, które wycygały od ojca.

Raben ruszył prosto do wiadra, wyjął gumkę do szyb, zaczął myć szybę, usuwając każdy najdrobniejszy brudek, każdy listek.

Kierowca podszedł, spojrzał na niego ze złością. Dzieci wsiadły do środka, robiąc to samo.

– Proszę – powiedział mężczyzna i podał mu dwudziestokoronową monetę.

Raben przyjął pieniądze. Gdyby nie dzieci, bez problemu wyszarpnąłby kluczyki.

– Bardzo mi potrzebny transport do miasta – poprosił.

– Nie jadę tam.

– Mogę i tak z panem jechać? Jeśli dostanę się do stacji...

– Nie.

Mężczyzna stał z pochyloną głową, wzrok wbił w ziemię. Raben znał to spojrzenie. Tak patrzyli pracodawcy, gdy armia go wyrzuciła, a on musiał chodzić i błagać o pracę. To spojrzenie mówiło: „Wiem o twoim istnieniu, ale wolałbym, żeby cię nie było. To nie moja sprawa”.

Na stację wjechał inny samochód i zatankował szybko. Kobieta, która była jego kierowcą, wracała do auta. Raben podszedł i poprosił o podwiezienie.

– Proszę się nie bać. Będę grzeczny. Chcę tylko...

Ani słowa. Przerażona biegiem wróciła za kierownicę, uruchomiła silnik i odjechała.

Raben obejrzał się na budkę. Znajdował się na otwartej przestrzeni, bezwiednie zdjął kaptur. Widzieli jego twarz. W tej chwili patrzyły na niego dwie kamery. Może więcej. Sprzedawca gdzieś dzwonił.

Gliny dotrą tu szybko. Trening najwyraźniej zakończy się niepowodzeniem. To wszystko wydawało się tak odległe, że nieprawdziwe.

Wszedł do środka, wyjął komórkę z ręki dzieciaka za kasą, wsadził ją do kieszeni.

– Daj mi całą gotówkę, jaką masz – rozkazał Raben. – Nie chcę ci zrobić krzywdy.



Miał najwyżej dziewiętnaście lat. Pewnego dnia może Jonas będzie tak wyglądał.

– Proszę, młody. Nie spierdol tego. Daj mi tylko pieniądze.

– Nie mamy dużo pieniędzy. Ludzie płacą kartą.

Otworzył szufladę kasy. Raben wyrwał z niej kilka banknotów.

– I kluczyki do twojego wozu.

– Nie mam...

– Siedzisz w środku lasu! Nie przyszedłeś tu piechotą.

– Tata mnie przywozi – odrzekł chłopak cichym, nadąsanym głosem.

Raben bardzo chciał poczuć do siebie nienawiść, ale nie miał na to czasu.

– Muszę się stąd wydostać.

Dzieciak sięgnął pod ladę. Raben nie zdążył go powstrzymać. Po sekundzie zobaczył skórzany breloczek z kluczykiem.

– Kierownik na wszelki wypadek trzyma z tyłu starego gruchota. Proszę...

Ze wstydu przez jakiś czas nie mógł się ruszyć.

– Lepiej niech pan idzie, proszę pana – powiedział młody.

– Przepraszam – odrzekł Raben, po czym oddalił się, znalazł na tyłach starego obitego forda, uruchomił go przy trzeciej próbie, zobaczył, że według wskaźnika poziomu paliwa bak jest wypełniony do połowy, po czym wycofał i ostrożnie ruszył w kierunku Kopenhagi.

Miał telefon i kilkaset koron. Samochód, którym mógł jechać spokojnie z pół godziny, nie dłużej.

Na szkoleniu, gdyby miał za zadanie pokonać jakiś teren i przypuścić sfingowany atak na nieznane miejsce, byłoby to uznane za nieuczciwe.

W tej chwili też się takie wydawało.

\*

Buch stał w gabinecie Grue Eriksena i patrzył w telewizor. Głównym tematem wiadomości była prawdopodobna klęska pakietu antyterrorystycznego. I jego klęska.

– „Nowy minister sprawiedliwości Thomas Buch nie podołał próbie osiągnięcia szerokiego porozumienia w kwestii ustawy, która według premiera jest zasadnicza dla bezpieczeństwa narodowego”.

– Ha! – Buch wypiął swą wielką klatę i roześmiał się.

– „Opozycja oskarża rząd o ukrywanie dowodu kluczowego w sprawie dwóch morderstw, które mają być aktem terroryzmu”.

Pojawiła się Birgitte Agger, na jej twarzy malowała się wściekłość.

– W notatce PET wyraźnie ostrzegała ministra sprawiedliwości o istnieniu wątków terrorystycznych. Rząd nic nie zrobił – podkreśliła.

– Nic nie wiedziałem o notatce – gderał Buch. – Mówiłem jej...

Slotsholmen pokryła się szronem, szron leżał też na wielkich szarych budynkach dokoła wyspy. Karina jeszcze raz przeprowadziła Bucha przez labirynt korytarzy. Uczył się tajnej drogi ze swojego biura naprzeciwko Børsen, przez Folketinget, pieszym łącznikiem na piętrze do pałacu Christiansborg. Może następnym razem...

– Dlaczego nie widział pan notatki? – spytał premier.

Sprawił wrażenie raczej zdumionego niż rozczarowanego.

– Monberg usunął ją z akt, i chyba jakieś inne materiały. Birgitte Agger doskonale wie, że nigdy jej nie widziałem.

Grue Eriksen siadł w skórzanym fotelu, gestem zachęcił Bucha, by ten zajął miejsce naprzeciwko. Nieskalana niebieska koszula, krawat bordo, każdy srebrzysty włos na swoim miejscu... Buch wiedział, że on sam nigdy nie będzie takim politykiem.

– Po co, na Boga, Monberg by majstrował przy własnych aktach?

– To było tuż przed jego chorobą. Nie wiemy.

Premier wyglądał na zbitego z tropu.

– To zupełnie niespotykane. I niewłaściwe...

– Nigdy nic nie powiedział?

– W mojej obecności Monberg nigdy nie wspominał o tej sprawie.

Dlaczego miałby to robić?

Buch szukał odpowiedzi. Krabbe miał rację: w pewien sposób się gubił.

– Przypuszczałem...

– Nigdy nic nie przypuszczaj – powiedział Grue Eriksen ze śmiechem.

– Wiem, że wszyscy myślą, że ja tu rządę. Ale tak naprawdę jestem tylko twarzą na opakowaniu. Szczegóły muszę zostawić ministrom takim jak pan. Gdybym wiedział choćby o cieniu zagrożenia atakiem terrorystycznym, zwołałbym oficjalne spotkanie z partiami opozycyjnymi i niezwłocznie przedstawiłbym im sytuację. Takie mają prawo. A my obowiązek. Może teraz musimy im to dać...

– Oczywiście – przyznał Buch.

Grue Eriksen się skrzywił.

– Ani trochę nie wierzę, że chodzi o bezpieczeństwo narodowe – kontynuował. – Chodzi o politykę. Agger chce się po nas przejechać w każdy możliwy sposób.

Grue Eriksen wstał i sięgnął po marynarkę.

– Musi pan zminimalizować szkody, Thomasie. Trzymać tę sprawę w ryzach. Przekonać do swoich racji Krabbego. Z Agger sobie poradzimy.

– Oczywiście. – Buch nie miał pojęcia, jak wykonać którekolwiek z tych poleceń. – Szkoda, że Monberg nie odzyskał przytomności. Gdybyśmy poznali jego wersję wydarzeń, byłoby łatwiej.

Grue Eriksen potrząsnął siwą głową.

– Niech pan nie wciąga w to Monberga. On nadal jest w śpiączce. Niech się pan dogada z Krabbem. Zainteresuje się śledztwem w sprawie morderstwa. Wtedy nikt ani przez chwilę nie będzie słuchał biadolenia Birgitte Agger. – Premier zerknął na zegarek. – Muszę iść. – Wstał, podszedł do Bucha i bardzo serdecznie uścisnął mu dłoń. – Przepraszam za tę próbę ogniową. Na pewno nie miał pan pojęcia, w co się pakuje. Ja nie miałem.

Przed gabinetem, gdy w zimnym korytarzu Buch czekał na Karinę, która miała go odprowadzić do jego własnego biura, zadzwonił jego telefon.

Spojrzał na numer i poczuł, jak serce mu podskakuje.

Dom.

– Dziewczynki śpią? – spytał.

Z ust Marie wylał się potok skarg. O ochronie przed domem. I że on nie dzwoni, choć obiecał.

– Przepraszam, nigdy im nie mówię dobranoc. Coś się stało... Slotsholmen. Polityka. Praca.

I to pytanie, którego nie chciał usłyszeć.

– Nie wiem, kiedy przyjadę, skarbie. Tu są pewne problemy. Może kryzys. Nie wiem...

Ku jego zaskoczeniu żona zaproponowała, że przyjedzie na jakiś czas do Kopenhagi. Zastanowił się nad tym, ale tylko przez chwilę. Nie miałby czasu się z nią widywać. To by tylko pogorszyło sytuację.

– Porozmawiamy o tym później – powiedział i natychmiast poczuł wyrzuty sumienia.

To była odpowiedź polityka, nie męża. I chyba przyszła mu zbyt łatwo.

\*

Brix szedł korytarzem do pokoju detektywów Wydziału Zabójstw, pod pachą trzymał pudełko, a Lund relacjonowała mu, co wie. Nie okazywał szalonego zainteresowania.

– Raben zaprzeczył, że znał Anne Dragsholm. – Pokazała mu zdjęcie zwędzone z gabinetu Jarnviga. – Tymczasem znaleźliśmy to.

– Raben należał do grupy o nazwie Ægir. Dwa lata temu wyjechali na półroczną zmianę. – Wskazała zdjęcie. – To Raben, Myg Poulsen i Dragsholm na jednym zdjęciu.

– I co z tego? – spytał Brix. – Gdzie powiązanie z Ligą Muzułmańską?

– Ktoś dostał się do bazy danych w koszarach, używając hasła Myga Poulsena. Ściągnął listę członków batalionu Ægir.

Brix wszedł do bocznego gabinetu. Czekał tam Strange.

– Musimy znaleźć Rabena. – Lund nie ustępowała. – On wie, o co w tym chodzi.

Cisza.

– Czy ja mówię na próżno? – spytała, podpierając się pod boki.

Spojrzał na nią, wyciągnął ze swojej teczki arkusz papieru i podał go Strangemu.

– PET aresztowała kolejnych trzech podejrzanych powiązanych z Kodmanim – powiedział.

– Raben... – zaczęła Lund.

– Zapomnij na chwilę o Rabenie. Kiedy PET przeszukiwała dom Kodmaniego, znaleźli klucz do skrytki pocztowej w Vesterbro. Zarejestrowano ją na Kodmaniego.

Położył torebkę dowodową na szafce: srebrny nieśmiertelnik, bez nazwiska, tylko z krzyżykami w miejscu numeru.

– Zawartość mówi sama za siebie. Nie sądzę, żebyśmy musieli się zajmować zbiegłym żołnierzem.

Hałas w drzwiach. Erik König w niebieskiej koszuli, z prochowcem przewieszonym przez ramię. Uścisnął Brixowi dłoń, zwracając się do niego po imieniu. Uśmiechnął się – krótko, może przez sekundę.

– Wy dwoje musicie rzucić tym w Kodmaniego – podjął Brix. – A my popatrzemy.

\*

Wraz z Erikiem Königiem został w pokoju obserwacyjnym i śledził przesłuchanie z za lustra fenickiego.

Kodmani w więziennym kombinezonie, z przyszytą brodą, kamienną twarzą. Po drugiej stronie stołu Lund i Strange.

– Sympatyzujesz z talibami – powiedział Strange, wskazując na niego długopisem.

– Naród afgański ma prawo się bronić przed obcymi agresorami. Wy byście się bronili, prawda? – Kodmani się uśmiechnął. – Pod warunkiem, że to byliby nasi. Wtedy by to trochę potrwało, co?

Brix obserwował reakcję swoich oficerów, wiedząc, że König robi to samo. Strange gwałtownie wciągnął powietrze, wyglądał na bliskiego wybuchu. Lund siedziała nieruchomo, ze skrzyżowanymi ramionami, nie mówiąc ani słowa.

– To w porządku zabijać duńskich żołnierzy? – spytał Strange.

– A czego się spodziewacie? Prowadzicie wojnę. Wy też nas zabijacie. Zabijacie kobiety i dzieci...

Strange otworzył teczkę, którą dostał od Brixa. Wyjął torebkę dowodową.

– Czy dlatego właśnie zbierasz nieśmiertelniki?

– Co?

– Słyszałeś. To znaleźliśmy w twojej skrytce pocztowej w Vesterbro.

Kodmani przyjrzał się nieśmiertelnikom i potrząsnął głową.

König przysunął się do Brixa.

– Wygląda na porządnego człowieka – powiedział. – Inni w takich sytuacjach zapominają języka w gębie.

– Zaczekajmy – zasugerował Brix.

Strange naciskał.

– Skrytkę wynająłeś miesiąc temu. – Podniósł torebkę. – Nieśmiertelniki są identyczne z tymi, które pozostawiono na miejscu zbrodni.

Mężczyzna w kombinezonie zaczął sprawiać wrażenie przestraszonego.

– Nigdy w życiu nie widziałem tych rzeczy.

– To co tam robiły?

– Nie wiem...

– Po co była panu ta skrytka? – włączyła się Lund. – Ulotki trzymał pan w domu. Komunikuje się pan mailowo.

Bez odpowiedzi.

Strange rozłożył na stole kilka zdjęć.

– Popatrz, co zrobiłeś. Nie zaprzeczaj. Chcę wiedzieć, komu kazałeś zabić tych ludzi...

– Ja nic nikomu nie kazałem!

– Spójrz na to, do cholery!

Zdjęcia z miejsca zbrodni. Ciało Anne Dragsholm przywiązane do słupa w Mindelunden. Myg Poulsen podwieszony za nogi, wykrwawiający się na podłogę w klubie weterana.

Kodmani przełykał ślinę, to mu się nie podobało.

– Brat w Wierze powiedział mi, że potrzebuje skrytki pocztowej – rzekł cicho. – Ja z niej nigdy nie korzystałem. On...

– Bzdury! – warknął na niego Strange. – Ty dokonywałeś rekrutacji. Ty wybierałeś ludzi. Chcę wiedzieć kogo.

Lund pochyliła się do przodu. Wyglądała na coraz bardziej wściekłą, i to nie na Kodmaniego.

– Po co człowiekowi skrytka pocztowa? – spytała.

Strange nie zbaczał z kursu.

– Mieszkasz tutaj, korzystasz ze wszystkiego, co ten kraj ci daje, i prawisz nam kazania o niesprawiedliwości. A potem każesz tamtym bandziorem wykonać za ciebie brudną robotę...

– W jakim języku pisał Brat w Wierze? – spytała Lund.

– Przyznaj się, do cholery! – krzyknął Strange.

Kodmani opadł na oparcie zmieszany, przerażony. Dwa zestawy sprzecznych pytań.

– Macie tu interesujący sposób przesłuchiwania, Lennart – powiedział cicho Erik König. – Teraz wszyscy na nas patrzą. Jeśli coś się spieprzy, ktoś za to zapłaci, i to nie będę ja.

Lund naciskała.

– Pisał po duńsku? Po angielsku? Arabsku?

Strange dalej grzmiał.

– Zamkniesz się na chwilę? – warknęła na niego Lund. – Kodmani, co pisał Brat w Wierze? Co z Rabenem?

Brix przyglądał się Königowi, gdy padło to nazwisko. Zauważył wyraźną reakcję szefa PET.

– Wspominał kogoś z batalionu Ægir o nazwisku Jens Peter Raben? – pytała Lund. – To ważne. Jeśli mamy ci uwierzyć...

Kodmani jeszcze ciaśniej objął się ramionami.



– Nie odpowiem już na żadne pytanie.

– Przede wszystkim jeszcze na żadne nie odpowiedziałeś – zauważyła Lund. – Kim jest Brat w Wierze? Co o nim wiesz?

König postukał Brixa w ramię.

– Może sensowniej by było, gdybyśmy przejęli przesłuchanie...

Brix wyszedł z pomieszczenia, otworzył drzwi pokoju przesłuchań, zaczekał, aż Lund skończy, i kiwnął głową. Przesłuchanie dobiegało końca.

Udał się z Königiem w spokojne miejsce, do owalnego westybulu w płataninie czarnych marmurowych korytarzy przecinających Politigården.

– Zatrzymamy Kodmaniego i tych trzech ludzi, których do tej pory znaleźliście – powiedział König.

– Na pewno macie lepsze rzeczy do roboty.

König włożył płaszcz, spojrzął na Brixa.

– Pamiętaj, co powiedziałem. Takie sprawy jak ta często niszczą kariery. Dobieraj uważnie współpracowników.

– Lund jest tymczasowo. Kiedyś tu pracowała...

– Dziękuję – rzucił König szorstko. – Wiem, kim jest Lund. Jej legenda sięga daleko.

Skrupulatny, drobiazgowy mężczyzna – wyciągnął białe mankiety koszuli, tak aby wystawały z rękawów płaszcza.

– Nie będę się wtrącać w wasze śledztwo. Na razie. Ale ona nie wyleciała stąd bez powodu.

Lekko poklepał Brixa po ramieniu.

– Podejmujesz spore ryzyko. Mam nadzieję, że twoim zdaniem ona jest tego warta.

\*

Lund została w cieniu, słuchała, jak za rogiem dwaj mężczyźni rozmawiają przyciszonymi głosami. Brix wiedział, że ona nadstawia uszu. Dlatego właśnie zabrał Königa z poprzedniego miejsca. Politigården była stworzona do spisków i konspiracji. Lund już wcześniej padła ich ofiarą. Nigdy się nie nauczyła, jak grać w tę grę.

Wróciła więc do pokoju przesłuchań, gdzie Strange siedział w milczeniu, przeglądał swoje notatki i unikał jej wzroku.

Wrócił Brix.

– Przykro mi – odezwała się Lund. – Nie chciałam, żeby to się tak skończyło. Chodziło mi tylko o to...

– Chcę zamienić słowo z Lund sam na sam – powiedział Brix.

Strange wstał od stołu, wziął swój notatnik i długopis.

Zatrzymał się, spojrzał na wysokiego mężczyznę w garniturze.

– Chcę tylko powiedzieć, że zgadzam się z Lund – powiedział. – Nie rozumiem, jak można było podłożyć Kodmaniemu te nieśmiertelniki. Ale...

Brix nie chciał tego słuchać. Strange o tym wiedział, ale nie obchodziło go to.

– Gdyby nie Lund, nie zaszlibyśmy tak daleko. Jeśli czuje, że sprawa wiąże się z Rabenem, to może powinniśmy go sprawdzić.

I wyszedł.

Zapadła cisza. Czyli coś rzadko spotykanego.

– Powiedziałaś, że mi przykro.

– Słyszałem.

– Jeśli chcesz, żebym wróciła do Gedser...

– Jeśli będę tego chciał, pierwsza się dowiesz. Na przyszłość staraj się tylko panować nad nerwami, dobra? – Zawahał się, jakby się

zastanawiał, czy podzielić się jeszcze jedną uwagą. – Zwłaszcza gdy PET się nam przygląda.

\*

Po powrocie do biurka dzielonego ze Strangem znowu zaczęła wertować akta, które dostali z koszar i z PET. On próbował zebrać więcej informacji o Jensie Peterze Rabenie.

– Napadł na stację benzynową w pobliżu Herstedvester – powiedział, skończywszy rozmowę telefoniczną. – Ukradł samochód. W tej chwili może być wszędzie.

– Jeśli jest jægerem, czyż nie będzie w tym dobry?

– Powiedziałem, że się z nimi szkolił. Nie był jednym z nich. Gdyby był... – Strange puknął palcem w listę żołnierzy batalionu Ægir – jego nazwisko by tu nie widniało. Jarnvig nie miałby poczucia, że to jego człowiek.

– Jacyś przyjaciele?

– Myg Poulsen i prawnik, którego właśnie wylali. Potrzebny nam jakiś twój olśniewający pomysł.

– Ktoś z batalionu Ægir może nam o nim opowiedzieć. A także o ofiarach.

Zajrzał w dokumenty zaścieniające biurko między nimi.

– Pięćset nazwisk albo i więcej. Jutro możemy zacząć w koszarach.

Podał jej kartki.

– Ja przeanalizuję Rabena – zdecydowała Lund – ty spróbuj wyciągnąć coś z wojska.

– Jasne.

Wstał, wziął wiatrówkę i szalik z wieszaka.

– I dzięki – dorzuciła Lund. – Za...

Podziękowania zawsze przychodziły jej z trudem.

– Za co?

– Za to, że za mną stanąłeś.

Wyglądał na zaskoczonego.

– Jesteśmy partnerami. Troszczymy się o siebie, prawda?

– Jasne.

Ten szybki, jasny uśmiech.

– Poza tym nie zamierzałaś przerywać, prawda?

– A to problem?

– Nie. – Przez chwilę sprawiał wrażenie zakłopotanego. – Szkoda, że tak się poznaliśmy.

Ta uwaga wydała się jej dziwna.

– A jak byśmy...? – spytała.

– Nie wiem. Może... – Wskazał palcem sufit. – Przy obserwowaniu ptaków. O, to byłoby dobre.

Roześmiała się ku własnemu zdumieniu.

Podszedł jeden z mundurowych i zawołał Strangego.

– Przepraszam – powiedział. – Muszę się z kimś spotkać. Zadzwoń, jeśli pojawi się coś ważnego.

Lund nie patrzyła, gdy kolega odchodził. Skupiła się na dokumentach, pracy. Nie na Ulriku Strangem, dość zdolnym policjancie, którego ciekawą, ciepłą stronę właśnie dostrzegła.

Wstała po kurtkę, a wtedy zupełnie przypadkiem odwróciła się i spojrzała w głąb korytarza. Zobaczyła go tam z jakąś blondynką, tyłem do szyby. Obejmował kobietę ramieniem. Na jej policzku złożył szybki pocałunek i wyszli.

Jeden z młodszych oficerów wszedł ze zdjęciami. Raben na stacji benzynowej błagający rozpaczliwie o podwiezienie.

– Mówili, że chciał się dostać do miasta – powiedział oficer. – Mamy samochód. Porzucił go w parku Enghaven.

Słyszając tę nazwę, Lund podskoczyła. Nannę Birk Larsen przetrzymywano ledwie kilka ulic dalej.

– Jest więc tutaj – stwierdziła.

– Tak, jest gdzieś tutaj.

\*

Drogie restauracje i sex-shopy. Podupadłe zaułki i brudna, wiecznie tętniąca życiem Kødbyen, dzielnica mięsna. Vesterbro było hałaśliwą, ubogą częścią śródmieścia o ulicach oświetlonych neonami. Pełno tu było rodzinnych enklaw i niewielkich społeczności imigranckich. Przydatny gąszcz, w którym łatwo się ukryć.

Raben znał ją doskonale z czasów młodości, chociaż teraz nie miał tu ani przyjaciół, ani rodziny. To dobrze. Policja już by o nich wiedziała, a tak to nie będą mieli pojęcia, gdzie go szukać.

Przy kościele, solidnym przykładzie gotyku ceglanego, wznosiła się wieża. Budynki przemysłowe dzielnicy zakładów mięsnych znajdowały się o dwie ulice dalej. Nocą niektóre z nich użyczały górnych pięter dyskotekom i klubom. Tak w każdym razie czytał w gazetach. To wszystko było dla niego nowe – ani na gust, ani na kieszeń żołnierza z rodziną na utrzymaniu.

Z pochyloną głową i twarzą ukrytą pod kapturem dotarł do bocznego wejścia i wszedł.

Znajomy stary zapach. Pasta do mebli i wilgoć. To samo chłodne powietrze.

Ktoś stał przy ołtarzu, układał kwiaty. Raben ściągnął kaptur, zatrzymał się w progu.

Rozpoznał krzepką sylwetkę.

– Zamknięte – oznajmił Gunnar Torpe silnym melodyjnym głosem, którego Raben słuchał kiedyś w każdą niedzielę niemal obowiązkowo.

Kapelan. Tak kiedyś na niego mówił. Raben nigdy nie miał przekonania, że potrzebują sługi bożego na polu walki. Ale ten w razie potrzeby przynajmniej mógł walczyć.

– Proszę wrócić jutro – powiedział Torpe, zerkając na krzyż w górze.

Wewnątrz budynek sprawiał wrażenie większego niż z zewnątrz. Raben powiódł wzrokiem po białych ścianach, kilku obrazach, srebrnych kandelabrach i lampach. Daleka droga od zapyłonych namiotów w Helmand, gdzie Torpe kiedyś wygłaszał swoje kazania.

Raben zamknął drzwi.

Mężczyzna w sutannie odwrócił się i spojrzał na niego ostro.

– Powiedziałem, że jutro!

Niechlujna postać ruszyła przed siebie i weszła w krąg bladego światła wpływającego do nawy.

Torpe stał znieruchomieły pod malowaną figurą Chrystusa, wpatrując się w przybysza, jakby był ciałem powstałym z grobu. Przysadzisty jak zawsze, o muskularnej sylwetce i agresywnej postawie żołnierza. Szare włosy może miał trochę dłuższe. Twarz zaczepną, krytykancką, bezlitosną. Pastor starotestamentowy.

– Dawno się nie widzieliśmy – rzekł Raben silnym, pewnym głosem.

Duchowny stał na stopniach ołtarza, z rękoma w pasie, nic nie mówiąc.

– Potrzebuję twojej pomocy, Kapelanie. Od tego chyba jesteś, co?

\*

Torpe miał pokój na tyłach kościoła. Prysznic. Trochę jedzenia. Świeże ubrania. Tym razem naprawdę czyste.

– Jeśli chcesz, mam trochę wina mszalnego. Niezłe jest.

– Nie, dzięki.

Z jakiegoś powodu kapłan zostawił wewnętrzne drzwi otwarte. Raben kiwnął głową w stronę kościoła.

– Podoba ci się tu?

– To miła mała parafia. Miejscowym się nie przelewa. Ale mają dużo wiary. Mnie to odpowiada.

Raben włożył gruby sweter, zastanowił się nad obcym zapachem. Świece. To było to. Wydawały się wszechobecne, płomyki migoczące w zimnym przestronnym wnętrzu.

– Widujesz się z kimś ze starej ekipy?

– Nie. Dlaczego miałbym się widywać?

Raben nic nie odrzekł.

– Słyszałem o Mygu. Nie wiem, co u ciebie.

– Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają – odrzekł Raben z uśmiechem.

Torpe wpatrywał się w niego.

– Mówili, że zwariowałaś. Że groziłaś jakiemuś biedakowi z ulicy. Nie wiedziałem, co porabiasz...

Raben kiwnął głową.

– Mieli rację.

Torpe podszedł i stanął przed nim. Na jego twarzy malowała się jak zawsze jakaś dziwna mieszanka uczuć. Brał udział w starciach. Od czasu do czasu walczył na pięści z własnymi żołnierzami. Lubił też się napić. Ale był zdystansowany, marzycielski. Można by powiedzieć, że kryło się w tym coś głęboko duchowego.

– A wiesz, co teraz robisz?

– Wiem, że nic nie robię. Siedzę w celi, podczas gdy rozpętało się piekło.

– Uważaj, Jens. Pomyśl o żonie i synu.

– Myślę. Cały czas.

Wziął ubrania, które dał mu Torpe.

– Muszę z kimś pogadać.

Torpe milczał. Może przestraszony. Co nie byłoby takie złe.

Raben przysunął się do niego bliżej, spojrzał mu prosto w oczy.

– Nie mam kogo poprosić o pomoc. Ani komu zaufać.

Obejrzał się na pustą ciemną nawę.

– To sanktuarium, prawda?

Torpe stał sztywno, nieporuszenie.

– Prawda, Kapelanie?

– Raben...

– W Helmand nigdy cię za bardzo nie potrzebowałem. Teraz tak.

**ŚRODA\_**  
**16 LISTOPADA\_**  
**8.45\_**

Lund odebrała Strange'go spod jego domu. Ostry zimowy dzień. Szron na bruku, na samochodach zaparkowanych przed sterylnym czerwonym ceglany budynkiem stojącym nad wodą.

Zdążył już podzwonić. Nigdzie w Kopenhadze nie widziano Rabena. Za większością ludzi powiązanych z Kodmanim wysłano listy gończe.



W areszcie wciąż przebywała zatrzymana trójka.

Siedzieli w samochodzie, Lund czekała. Skoro on nic nie powiedział, spytała:

– Co z Ægirem?

Wyglądał blado, jakby był zmęczony. Włosy miał jeszcze wilgotne po prysznicu. Czują zapach wody po goleniu. Za dużo.

– Zrobiłem sobie wolne. I trochę wczoraj zabalowałem.

– Miałeś randkę?

W piekarni na drugim rogu kupił kawę. Poprosił, żeby mu pottrzymała, spojrzął na nią.

– To się nazywa życie – powiedział, przetrząsając kieszenie zimowego płaszcza. – Powinnaś sama kiedyś spróbować.

– Batalion Ægir...

– Ægir był dwa lata temu. Na każdą misję jest nowa nazwa. Żołnierze, którzy wchodzili w skład Ægiru, teraz są wszędzie. Niektórzy zostali w wojsku. Wiemy, że Raben tam był. Myg Poulsen. Dragsholm najwyraźniej miała z nimi kontakt. Tyle wiem w tej chwili.

Jęknął.

– Pewnie nie masz paracetamolu czy czegoś w tym rodzaju?

– Czy wyglądam na aptekarkę? Nie moja wina, że masz kaca i... coś tam.

– Zapomnij o coś tam, dobra? To tylko stara znajoma. Nie musisz być zazdrosna.

Parsknęła. Nic nie powiedziała.

– A więc co znalazłaś o Rabenie?

Wyszperał z kieszeni paczkę pigułek. Odebrał od Lund kawę i połknął dwie.

– Ma trzydzieści siedem lat – zaczęła.

– To wiedziałem.

– Większość dorosłego życia spędził w wojsku. Doszedł do stopnia sierżanta sztabowego. Szkolił się w Sønderborgu. Starał się wstąpić do Jægerkorpset. Spędził z nimi trochę czasu, ale nie spełnił wymagań.

– Co nie znaczy, że jest cieniem.

– Nigdy tak nie uważałam. Podaję ci tylko fakty. Na ogół stacjonował w wojskach zmechanizowanych. Kilka razy był odznaczany. Dwa lata temu, kiedy był za granicą z Ægirem, został poważnie ranny i odesłany do domu.

Strange przełknął wielki haust kawy i wydał cichy żaloszny jęk.

– Z jakiegoś powodu został zwolniony. Myśleli, że już z nim lepiej, ale coś pękło. Porwał obcego człowieka z ulicy. Sąd wysłał go do Herstedvester.

– Większość z tego wiedziałem.

– Nie wyżywaj się na mnie za swojego kaca. Ma żonę Louise. I syna Jonasa.

– I co? – spytał Strange.

– Jej ojcem jest Jarnvig. Dowódca jednostki. Raben jest jego zięciem. Nagle okazał zainteresowanie.

– O co chodzi?

Potał swoją wojskową fryzurę, pomasaował czoło, jakby chciał się pozbyć bólu.

– Gdybym ja był pułkownikiem, nie cieszyłbym się, gdyby jakiś spocony sierżant poślubił moją córkę. Chciałbym dla niej lepszej partii.

Kolejny łyk kawy. Lund uznała, że Strange dochodzi do siebie. Bardzo szybko.

– Jarnvig był dowódcą batalionu Ægir. Mały ten świat, co?

Lund pokręciła głową.

– Coś tu się nie zgadza. Jarnvig zaprzeczył, że znał Anne Dragsholm. Ona była tam radcą prawnym. Musiał ją znać.

– Może... – powiedział, kołysząc dłonią z boku na bok.

– Jarnvig był dowódcą batalionu Ægir? Dlaczego, do cholery, nie powiedziałeś mi tego wcześniej?

Uśmiechnął się. Jakby mówił: już lepiej. Bawił się, a ona nie miała nic przeciwko temu.

– Bo – rzekł – byłaś za bardzo zaabsorbowana scenami zazdrości. Jedziemy gdzieś? Czy cały dzień przesiedzimy na parkingu?

\*

Koszary Ryvangen leżały mniej więcej pięć minut dalej, po drugiej stronie torów kolejowych. Jarnviga znaleźli w głównym budynku biurowym. Miał na sobie koszulę i spodnie polowe, jedno i drugie w kolorze khaki. Jego posępna mina nie wróżyła nic dobrego.

– Powiedział mi pan, że nie znał Anne Dragsholm? – mówiła Lund, podążając za pułkownikiem, który przechodził z jednego piętra na drugie.

– Nie znałem – odparł, nawet na nią nie patrząc.

Strange ciągnął się za nimi.

– Jak to możliwe? – pytała. – Dragsholm jest na zdjęciu w pańskim gabinecie. Była na misji z batalionem Ægir. A pan był dowódcą tego batalionu.

Zatrzymał się i stanął ze skrzyżowanymi ramionami.

– Tamto zdjęcie zrobiono w Oksbøl przed wyjazdem. Nie w Helmand. I chciałbym je odzyskać. Może pani uznać, że ma szczęście, bo nie złożę skargi. Nie lubię, jak mi ktoś kradnie coś z gabinetu.

– Ona została zamordowana...

Jarnvig zszedł ze schodów. Policjanci podążyli za nim do jasnego holu o bladoniebieskich ścianach z klasycznymi posągami greckich i rzymskich herosów.

– Może Dragsholm przyjechała tam, by wygłosić wykład o prawie wojennym – mówił pułkownik. – Chcemy przestrzegać konwencji. Nigdy jej nie widziałem. Mogę panią zapewnić, że nie była z Ægirem na misji.

Stanął na środku centralnego atrium, przy potężnym posągu Herkulesa z pałką.

– Jeśli nie wierzycie mi na słowo, sprawdźcie w Dowództwie Operacyjnym Sił Zbrojnych. Znam swoich radców prawnych. Ona nigdy do nich nie należała. Mam nadzieję, że to wszystko...

Zamierzał odejść, ale Lund natychmiast ruszyła za nim.

– Chciałabym się czegoś dowiedzieć o pańskim zięciu. Jencie Peterze Rabenie.

Jarnvig zatrzymał się przed wejściem do sali gimnastycznej.

– Dlaczego?

– Został zwolniony z wojska. Wszyscy uważali, że jest zdrowy. Co się stało?

Wojskowy cofnął się, by stanąć przed nią.

– Co mają z wami wspólnego nasze prywatne sprawy?

– Pewne zbiegi okoliczności... – zaczął Strange.

– Nie obchodzą mnie wasze zbiegi okoliczności. Jeden z moich ludzi został zamordowany. Mamy na głowie zagrożenie terrorystyczne. A wy mnie pytacie o Rabena?

Robił się zły. I podobało mu się to. Lund zastanawiała się, czy to część szkolenia wojskowego. Rozwiąć wątpliwości nagłą niepohamowaną furią. Może tak się żyło łatwiej.

– Wykonujcie swoją robotę, a my się zajmiemy swoją – warknął pułkownik, mierząc palcem w twarz Lund. – Nie chcę, żebyście dalej marnowali nasz czas.

Z tymi słowami wszedł do sali.

Przed budynkiem Strange zadzwonił do Dowództwa Operacyjnego i przez pięć minut usiłował się połączyć z kimś, kto mógł rozmawiać. Powiedzieli, że Dragsholm była jedynie w Oksbøl na seminarium prawniczym.

– Wiesz, że Jarnvig mógł ci narobić mnóstwa problemów za kradzież tego zdjęcia – dodał Strange.

– Och, chyba mi się to przyśni.

– Jezu! – Teraz on się wściekał. – Nie kumasz tego? Brix nadstawia za ciebie karku. Hedeby mogłaby mu ją odrąbać. Podobnie jak ten drań König, gdyby mu dać okazję.

Wsiedli do samochodu. Strange oparł dłoń na suficie, znowu otarł czoło.

– Lepiej się czujesz? – spytała.

– Tak.

– Bardzo się cieszę.

– Możemy teraz wrócić do Kodmaniego? Wiesz, to ten gość, który miał nieśmiertelniki. Ten, który nas nienawidzi.

Lund nie słuchała. Ze szpitala naprzeciwko wyszła Louise Raben. W fartuchu pielęgniarskim, bladoszarym swetrze. Rozmawiała z jakimś żołnierzem.

– Ty się tym zajmij – rzuciła Lund. – Ja złapię taksówkę i dołączę do ciebie później.

– Lund? Dokąd idziesz?

Louise Raben zniknęła w środku. Lund, klucząc między pojazdami wojskowymi i mijając czerwono-białe duńskie flagi, podążyła za nią.

\*

Erik König poszedł przede wszystkim do ministra sprawiedliwości.

– Kodmani stoi za siatką o nazwie Ahl Al-Kahf – powiedział. – Oznacza to siedmiu śpiących. Nazwa nawiązuje do dawnej legendy o siedmiu mężczyznach, którzy prześladowani przez pogan ukryli się w jaskini i tam zasnęli, czekając na chwilę, by się obudzić i wziąć odwet na wrogach.

Buch bawił się kawą i ciasteczkami. Był zmęczony, naburmuszony, nie w sosie. Tęsknił za domem, za żoną, za dziewczynkami. Za niebem i świeżym powietrzem. Całe jego życie wydawało się teraz zamykać w krętych korytarzach Slotsholmen. I okazało się, że Grue Eriksen się nie mylił. Buch miał dzisiaj stanąć przed Wspólną Radą, by złożyć wyjaśnienia, dlaczego umknęło mu ostrzeżenie o zagrożeniu terrorystycznym.

– Mamy w areszcie trzech podejrzanych. A będzie ich więcej.

König wydawał się raczej urzędnikiem niż oficerem policji. Cichy, spokojny, zdecydowany. Przejęty. Bardziej jak Carsten Plough, który siedział naprzeciwko niego przy biurku w gabinecie Bucha. Buch się cieszył, że Karina jest w pobliżu. Wnosiła kolor, życie i odrobinę rebelii do tego oschłego, sztywnego miejsca.

– Więc pańskim zdaniem sprawa jest w zasadzie rozwiązana? – spytał Buch.

– Tak – upierał się König. – Mamy obciążające dowody.

– A zagrożenie? – spytał Plough.

König wzruszył ramionami.

– Zagrożenie zawsze istnieje. Nigdy całkowicie się go nie pozbedziemy. Ale teraz zlikwidujemy dużą część całej siatki. Będą go odbudowywać przez lata. Niech pan nam da jeszcze trochę czasu, panie ministrze, a będzie mógł pan to obwieścić. – König przerwał i uśmiechnął się. – To na pewno się przyda.

Plough wpatrywał się w niego.

– Jakim cudem Birgitte Agger weszła w posiadanie poufnej notatki od was?

Szef PET się obruszył.

– Na pewno nie dostała jej od nas. Szukaliście przecieku tutaj?

– Na miłość boską, człowieku – powiedział Buch z długim ciężkim westchnieniem. – Co pan taki przewrażliwiony? Muszę pojąć przebieg wypadków. Co wiedział mój poprzednik? Jakie działania zostały podjęte? I dlaczego?

König się pocił.

– Ta kobieta miała powiązania z wojskiem. Zagrożenie terroryzmem było oczywiste. Wysłaliśmy więc Monbergowi notatkę.

Buch kiwnął głową.

– A kiedy objąłem urząd, nie pomyślał pan, że należy sprawdzić, czy ja o niej wiem? Przecież to było bardzo ważne.

– Znajdowała się w aktach, prawda? – spytał König bez wahania. – Nie wyobrażam sobie, żeby do nas należało decydowanie o tym, co pan czyta.

– Jasny gwint! – ryknął Buch. – Staję przed Wspólną Radą. Będą chcieli wiedzieć, dlaczego nie mam pojęcia o ewentualnym zagrożeniu terrorystycznym, którego pan jest świadom od niemal dwóch tygodni. Potrzebuję wyjaśnienia. Co panu powiedział Monberg?

– Był oczywiście bardzo zmartwiony.

– Więc dlaczego PET nie powiadomiła policji?

König znowu się obruszył.

– Prowadziliśmy śledztwo w sprawie działalności terrorystycznej. My się zajmujemy bezpieczeństwem wewnętrznym. Nie oni.

– Ale oni zajmują się morderstwami! Po co ich trzymać w niewiedzy?

König się zawahał, zerknął na Plougha.

– Monberg podjął taką decyzję. Uznał, że to byłoby... zbyt ryzykowne. Uważał, że pewna informacja może stanowić zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego.

Morsowa twarz Bucha skrzywiła się w niedowierzaniu.

– O właśnie. – Jego tłusty palec wskazujący mierzył w mężczyznę po drugiej stronie biurka. – Jeśli się dowiem, że mnie pan okłamał, zasłuży pan sobie na zaszczytne miano pierwszej osoby przeze mnie wylanej. Co to za informacja?

König wyglądał teraz na przerażonego.

– To nie była moja decyzja...

– Jaka informacja? – naciskał Buch.

– Nie wiem – odrzekł König. – Monberg powiedział, że wróci do mnie z wyjaśnieniem. A potem nagle się dowiedziałem, że leży w szpitalu. To są okoliczności nadzwyczajne, muszę przyznać...

Buch rozdrażniony postukiwał długopisem w stół.

König rozejrzał się po gabinecie.

– Sugerowałbym, panie ministrze, że najpewniej znajdzie pan odpowiedź tutaj. Nie u nas. I ja nie kłamię. Nie okłamuję ani pana, ani nikogo.

– Bardzo mnie to cieszy – odparł Buch. – U siebie musiałem zwolnić pięćdziesiąt osób jednego dnia. To nie było przyjemne. – Nałożył nasadkę na długopis. – Chociaż tutaj... w Slotsholmen...



Wpatrywał się w kostycznego, śmiertelnie poważnego mężczyznę przed sobą.

– Może to jednak nie byłoby takie trudne.

W ciągu dwudziestu minut Plough zorganizował ekipę przeczesującą archiwa poczty elektronicznej. Karina przetrząsała dokumenty papierowe.

Buch czekał, odbijając od ściany swoją piłeczkę.

– Monberg zniszczył mnóstwo teczek – powiedziała Karina. – Widzę, że zostały tylko dwie.

– Birgitte Agger miała rację. – Buch po raz kolejny cisnął piłeczką o ścianę. – Monberg nie potraktował poważnie notatki o zagrożeniu terrorystycznym. A jeśli potraktował, to nikomu o tym nie powiedział. Tak jak nikt nie powiedział o tym mnie.

– Byłem sekretarzem Monberga od chwili, gdy tu przyszedł – narzekał Plough, patrząc na kolejny stos papierów Kariny. – To bardzo uważny i ostrożny człowiek.

– Nie ujawnił informacji o zagrożeniu terrorystycznym! – krzyknął Buch.

Rozproszył się. Piłka zboczyła z toru, odbiła się od portretu dziewiętnastowiecznego poprzednika, po czym zniknęła pod krzesłami.

– Może pan z tym skończyć?! – krzyknął Plough. – Niszczy pan ściany. To zabytkowy budynek. Jest pod ochroną konserwatorską.

– To tylko piłka, do diabła – burknął Buch.

Piłka zaginęła, a nie mógł sobie pozwolić, by szukać jej na klęczkach.

– Monberg na pewno nie zrobił tego bez powodu – zasugerował Plough.

– Więc niech mi pan poda ten powód...

Karina milczała, czytając jakiś dokument z teczki. Gdy mężczyźni sobie to uświadomili, przestali się sprzeczać.

– Może ja go podam – powiedziała cicho.

Buch podszedł i zerknął na dokumenty, które trzymała w ręku.

– Ten dokument miał trafić do niszczarki, ale nie zdążył. – Karina pokazała mu stosowne miejsce. – Monberg złożył zamówienie na akta dotyczące Anne Dragsholm. Z Ministerstwa Obrony. Poprosił o akta personalne. I całą jej korespondencję z nimi.

Plough bawił się okularami, ewidentnie wściekły.

– Nie mógł tego zrobić bez mojej wiedzy. Wszystkie takie zamówienia muszą przechodzić przeze mnie. To jest wręcz niesłychane.

– Ale zrobił – zauważył Buch. – Może pan dla mnie zdobyć te dokumenty? Czy ja mógłbym zobaczyć to, co on widział?

– Zadzwońię do kogoś w Ministerstwie Obrony. Karina? Przygotuj ministra na Wspólną Radę. Przeanalizujcie ewentualne pytania.

– Z pytaniami mogę sobie poradzić w każdej chwili – warknął Buch. – To odpowiedzi mi brakuje.

Plough spiesznie wypadł przez drzwi.

Karina spojrzała gniewnie na Thomasa Bucha.

– Przepraszam – powiedział. – Nie cierpię błąkać się po omacku. Czy ja byłem wobec niego niegrzeczny?

– Myślę, że Plough pod wieloma względami jest bardzo wrażliwy.

– Kupię mu hot doga – obiecał Buch.

– Musi pan przećwiczyć te pytania. Jeśli pan tego nie zrobi, Birgitte Agger rozerwie pana na strzępy.

Piłeczka leżała pod sofą. Buch nie mógł oderwać od niej oczu. Karina też ją widziała.

– Nie teraz. – Wstała, by wykopać piłeczkę poza zasięg wzroku ministra.

\*

Brodaty mężczyzna na wózku podążał powoli główną nawą kościoła Gunnara Torpego. Poranne słońce sączące się przez witrażowe okna było bezlitosne. Mężczyzna miał ziemistą twarz, chorą i smutną, zieloną i brudną kurtkę, włosy fatalnie ostrzyżone i dawno niemyte. Ale jego twarz wydawała się ciągle młoda, nawet optymistyczna. Naiwna.

Sunął powoli pomiędzy ławkami w stronę postaci w luterańskiej szacie z kryzą.

– Grüner – powiedział Torpe. – Dzięki, że przyjechałeś.

– Te organy muszą grać – powiedział inwalida, rozglądając się. – Gdzie jest chór?

– Chór nie przyjdzie.

– Czemu? – David Grüner podniósł teczkę leżącą na jego chudych beużytecznych nogach. – Przyniosłem swoją muzykę.

– Ktoś tu chce się z tobą spotkać.

Torpe podszedł do drzwi wejściowych i zamknął je na klucz. Zza ambony wyłonił się Raben.

Ręce Grünera chwyciły kółka wózka i obróciły je powoli, a Raben uśmiechnął się, wyciągnął dłoń i czekał.

– Obcy – powiedział kaleka.

– My nigdy nie jesteśmy obcy, Davidzie. To niemożliwe.

Grüner się roześmiał. Raben też, chociaż swobodniej. Ich dłonie zetknęły się w bladym zimowym świetle spływającym spod kopuły.

Kilka minut rozmowy o niczym i cisza. Raben usiadł na ławce. Grüner wiercił się na wózku. Nogi miał przeraźliwie chude. Ale było

w nim życie, na twarzy widniał słaby uśmiech.

– Pracę mam nudną – powiedział. – Ale lepszej bym nie dostał. Z tym tu... – Klepnął nogi. – Żebracy nie mają wyboru. No chyba że zostałbym żebrakiem. A to jakoś... – Jego wzrok powędrował na mozaikę nad ołtarzem: złoty Chrystus z apostołami. – Jestem trochę wybredny. Kapelan daje mi tu pograć na organach. I słusznie. Jestem w tym dobry.

– Co u twojej żony?

– Już lepiej, teraz sobie z tym radzi. Ma pracę w supermarkecie. Między nami nieźle się układa.

– A maluch?

– Maluch? Ma już dwa i pół roku! To już nie jest żaden maluch. – Uśmiech zniknął. – Wszystko się zmienia. Tylko ja jestem taki sam.

– Nie...

– Wiesz, co jest najgłupsze, Raben? Gdybym chodził, wróciłbym tam bez wahania. Poszedłbym w całe to gówno i ból. Od tego jesteśmy, co?

– Pewnie...

– Mój syn chce mieć wózek inwalidzki, gdy dorośnie. – Grüner roześmiał się znowu i obrócił się w miejscu. – Jak tatuś. Mam pięknego syna. Kochającą żonę. Moją muzykę. Gównianą robotę. Mogło być gorzej.

Pochylił się do przodu, położył ręce na ławce.

– Kiedy cię wypuścili?

– Nie wypuścili. Uciekłem. – Wstał, podszedł do mężczyzny w wózku. – Myg się do ciebie zgłaszał? Coś się dzieje.

– Jezu... – Grüner nie patrzył mu w oczy. – Teraz to cię zamkną na wieki.

– I tak byłem zamknięty na wieki.

Mówił za głośno. Słyszał, jak jego głos odbija się od zimnych ścian kościoła.

– Raben...

– Myg nie żyje. Prawniczka też. Nie oglądasz wiadomości?

– Oglądam. Ale z Mygiem nie za bardzo wymieniałem kartki świąteczne.

Raben pochylił się, chwycił za poręcze wózka.

– Co się dzieje?

– A kto mówi, że coś się dzieje? Jacyś terroryści...

– Ty w to wierzysz?

Grüner zerknął na mozaiki.

– Nie wiem, w co wierzyć. Może w wolę Boga...

Raben czuł, że wzbiera w nim złość, i nie mógł jej powstrzymać. Pochylił się i ostrym tonem przemówił Grünerowi do ucha:

– Bóg nie powiesił Myga głową w dół, żeby się wykrwawił. Myg był u mnie tego dnia, kiedy zginął. Martwił się czymś...

– Nie mieszaj w tym starym gównie! – Głos Grünera był tak donośny, że zagłuszył głos Rabena. – To umarło. I niech tak zostanie.

Sięgnął do kół. Raben przytrzymał mu rękę.

– Nie wiem, co się dzieje, Grüner. Nie pamiętam...

– Puść mnie, do cholery.

– Co wiesz?

Ciągle był silny. Walczył, żeby się uwolnić.

– Gówno!

Ciało kaleki szarpnęło do przodu. Wózek się przechylił. Jak na zwolnionym filmie David Grüner padł twarzą do przodu na marmurową posadzkę.

Raben próbował zamortyzować upadek i prawie mu się to udało. Kopniakiem podniósł fotel, po czym z trudem dźwignął Grünera z podłogi.

– Spierdalaj ode mnie z tymi rękami! – krzyknął niemal falsetem. Jego głos ostro poniósł się przez kościół.

Raben cofnął się, podniósł ręce. Czekał.

Coś leżało na podłodze. Nuty. Pochylił się, podniósł je, położył na uschniętych nogach kaleki.

– Jesteś walnięty – warknął Grüner i pchnął wózek w kierunku wyjścia.

Raben ruszył za nim szybkim krokiem, wyprzedził go i odblokował zamek w drzwiach.

– Jeśli będziesz chciał ze mną rozmawiać, zadzwoń do Kapelana, dobra?

Bez odpowiedzi. Patrzył, jak mężczyzna, który kiedyś zaliczał się do jego najsilniejszych, najodważniejszych żołnierzy, sunie w wózku po rampie i wyjeżdża na ruchliwą ulicę.

Za jego plecami czekał Gunnar Torpe.

– Co powiedział? – spytał, gdy Grüner zniknął.

– Nic. Muszę się skontaktować z resztą.

– Jakim cudem? Nie wiem, gdzie ich szukać.

– Masz kontakty. Wykorzystaj je. Zdobądź dla mnie adresy.

Telefon, który zabrał dzieciakowi na stacji, był bezużyteczny. Na pewno by go namierzyli.

– Potrzebuję komórki. Muszę porozmawiać z Louise, powiedzieć jej, dlaczego uciekłem.

– Mnie powiedz – odparł Torpe. – Bo nie rozumiem.

– W swoim czasie...

Ale Torpe i tak znalazł mu telefon. I egzemplarz porannej gazety.

– Jesteś w wiadomościach.

Na dole strony. Typowe wojskowe zdjęcie. I artykuł o jego ucieczce.

– Piszą, że jesteś niebezpieczny, Jens.

– Umiem czytać.

– Najlepsze, co możesz zrobić...

Raben wcisnął kapelanowi gazetę w objęcia.

– Nie sprzedaj mnie. To nie byłby najlepszy pomysł.

– Dlaczego nie miałbym tego robić?

– Bo w jakiś sposób chodzi tu o nas. O to, co się stało. O...

To czasami wracało jako sen, jako koszmar odgłosów, krwi, krzyków. Ale Raben nie mógł pojąć, co jest prawdą, a co fantazją.

– Kapelan, wiesz, co się stało w Helmand?

– Nie było mnie tam, prawda? Słyszałem jedynie plotki, kiedy cię stamtąd zabrali. Wiem, że trzech porządnych ludzi nigdy nie wróciło i że ci, którzy wrócili, już nie byli tacy jak kiedyś. Czasami trzeba myśleć o przyszłości, nie o przeszłości. Czasami...

Dłoń Rabena powędrowała na ramię Kapelana. W przyjaznym geście. A w każdym razie miał być przyjazny.

– Próbowałem tego i mnie nie wypuścili. Myg nie żyje. I prawniczka. Ktoś ma listę. Ja też muszę ją mieć.

\*

Louise Raben rozmawiała w szpitalu z chorym żołnierzem, który najwyraźniej odniósł ciężkie obrażenia. Nie chciała wychodzić. Lund nie dała jej wyboru.

Stała na zewnątrz, drżąc na zimnie w kusym płaszczyku narzuconym na pielęgniarski fartuch. Szare niebo. Wszędzie mężczyźni w khaki.

– Powiedziałam wam wszystko, co wiem. Dlaczego nie zostawicie nas w spokoju? Nie pomogłam Jensowi w ucieczce. Po stokroć wolałabym...

Lund wyciągnęła z torebki zdjęcie. Zdążyło się już pognieść i poplamić kawą.

– To Anne Dragsholm. Kobieta zamordowana w Parku Pamięci. Pani mąż ją znał.

Louise spojrzała na zdjęcie, pokręciła głową.

– A ja jej nie znam.

– Czy Jens się czymś martwił?

Louise Raben ruszyła z powrotem w stronę biurowca, gdzie Lund wcześniej rozmawiała z jej ojcem.

– Zabito Myga. Odrzucono jego wniosek o zwolnienie warunkowe. Jak pani sądzi?

Lund podążała za nią, nie chciała pozwolić jej odejść.

– Dlatego uciekł?

Louise zamrugała powiekami, wyglądała na bliską łez, nic nie powiedziała.

– Od jak dawna jesteście państwo małżeństwem?

– To ważne?

– Próbuję zrozumieć, Louise. Nie sądzę, żeby pani mąż w ogóle chciał uciekać. Martwił się czymś. Muszę wiedzieć, co to było. Od jak dawna go pani zna?

Przystanąły na drodze.

– Nie wiem... czternaście, piętnaście lat. Od sześciu jesteśmy małżeństwem.

– Jak się poznaliście?

– Odwiedzałam ojca w koszarach. Jens podwiózł mnie do miasta. Właśnie zaczął służbę. – Zawahała się. – Wtedy zawsze wracałam do



miasta. Tutaj... – Szybko rozejrzała się dokoła. – Tu było jak w więzieniu. Moja mama od nas odeszła. Nie mogła tego znieść.

– I wtedy się zeszliście?

– Nie. Jens wstąpił do wojska, bo łyknął wszystkie ich obietnice. Zobaczysz świat. Staniesz się mężczyzną. Osiągniesz coś. I rzeczywiście. Tego właśnie chciał.

Lund czekała.

– Nie miałam w planach być dziewczyną żołnierza. Na pewno nie chciałam być żoną wojskowego. Powiedziałam mu to. – Najkrótszy ze śmiechów. – Na niektóre rzeczy nie mamy wpływu, prawda? Choćby człowiek nie wiadomo jak się starał.

– Co się stało?

– Po misji z batalionem Ægir miał wystąpić z wojska. Znaleźć pracę w cywilu. Przeprowadzilibyśmy się do miasta i Jonas poszedłby tam do szkoły. Potem...

Gniew i ból na ładnej zbolącej twarzy.

– Wpadli w zasadzkę i zostali odcięci od reszty jednostki. Potem zawieźli Jensa do szpitala polowego i odesłali go do domu, gdy jego stan na to pozwolił. Siedziałam przy jego łóżku. Przez kilka tygodni w ogóle nie było wiadomo, czy przeżyje. A potem...

– Co potem?

– Nie był już tym samym człowiekiem – dokończyła Louise Raben tępym, bezbarwnym głosem.

Lund wysupłała z torebki wizytówkę, podała ją kobiecie.

– Jeśli mąż się z panią skontaktuje, proszę mnie powiadomić. Również dla jego dobra.

Louise wpatrywała się w kartonik.

– Straż graniczna w Gedser?

– Mój numer jest na odwrocie.

– Strasznie pani gryzmoli.

– Wiem.

– On był ich sierżantem – dodała młoda kobieta. – Wie pani, co to znaczy? Czuł się odpowiedzialny. Nadal w pewnym sensie się czuje. Wojsko... Ja się tu wychowywałam. Nadal jestem obca, w sumie jestem osobą z zewnątrz. Czasami trudno to zrozumieć...

– Proszę dzwonić o dowolnej porze – powiedziała Lund i ruszyła do swojego samochodu.

– Niech pani zaczeka!

Louise Raben zastanawiała się nad czymś.

– Ta kobieta na zdjęciu. Wydaje mi się, że odwiedziła Jensa, gdy leżał w szpitalu. Niedługo przed tym, jak wyrzucili go z wojska. Widziałam ją tam. Kiedy zdrowiał, mnóstwo ludzi przychodziło go odwiedzić.

– Czego chcieli?

– Nie wiem. On był chory. Nie pamiętał w zasadzie, co się stało. To nie była jego wina, prawda?

– Nie – odparła Lund. – Wie pani, co zrobił?

– Nic złego. Był żołnierzem. Wykonywał swoje obowiązki. Robił wszystko, co mu kazali.

Lund znowu wyjęła zdjęcie.

– Widziała pani tę kobietę w szpitalu?

– Tak mi się wydaje. – Louise Raben wzruszyła ramionami. – To było dwa lata temu. Nie jestem pewna. Przykro mi. Muszę jechać po syna...

Lund zadzwoniła do Strangeo po bieżące informacje o wydarzeniach, które nastąpiły pod jej nieobecność.

– Mamy mail, który wysłał Kodmani – powiedział. – Podburzał swoich zwolenników do kontynuowania wojny na duńskiej ziemi.

Zatrzymujemy wszystkich, z którymi był w kontakcie.

Lund zamknęła oczy, słuchała dźwięków dokoła: ciężarówki, maszerujący ludzie, wyszczekiwane rozkazy. Louise Raben czuła się w tym miejscu jak w pułapce, tak bardzo chciała stąd uciec. Podobnie jak jej mąż. W każdym razie ona sądziła, że on chce uciec.

A teraz on zrobił coś tak głupiego, że pewnie przez długie lata nie wyjdzie z więzienia.

– Anne Dragsholm odwiedziła Rabena w szpitalu po jego powrocie z Afganistanu – powiedziała Lund do Stranego. – Louise Raben ją rozpoznała. Myślę, że Dragsholm chciała go wypytać o coś, co się tam wydarzyło.

– Dlaczego miałyby to robić?

– Będziesz musiał zadać to pytanie komuś w wojsku.

Roześmiał się.

– Och nie. Nie będę znowu walił głową w mur.

– Prowadzimy śledztwo w sprawie dwóch morderstw. Możemy z nimi rozmawiać, ile chcemy. Dowiedz się, co Dragsholm robiła dla wojska, gdy Raben leżał w szpitalu. Poszła tam z jakiegoś powodu.

Głębokie westchnienie.

– A co ty będziesz tymczasem robić?

– Rozmawiać z mężem Dragsholm.

– To nie jest dobry pomysł. On nas pozywa za bezpodstawne zatrzymanie. A poza tym dzisiaj jest jej pogrzeb.

– Będę dyskretna.

Znowu to jego milczenie.

– Strange?

– Jestem, jestem. Próbowałem sobie tylko wyobrazić, jak by to wyglądało. Posłuchaj mnie. PET chce zwołać konferencję prasową

w sprawie śledztwa. Podamy informacje o tych aresztowaniach. König uważa, że Anne Dragsholm zabili terroryści. Myga Poulsena też. Mówią...

Lund odsunęła telefon od ucha. Louise Raben zatrzymała się kawałek dalej na drodze. Rozmawiała z Søgardem, wielkim, pewnym siebie blond majorem. Uśmiechnięty, twarz rozjaśniona, oczy ożywione.

– Lund? Lund?

Cichy głos Strangeo wrzeszczał do niej.

– Słyszałeś, co powiedziałem? PET uważa, że chodzi o islamistów. Brix też tak mówi.

Rozłączyła się i schowała telefon do kieszeni.

A więc to musi być prawda, pomyślała.

\*

Szkolenie było tak intensywne, że zostawało w człowieku na zawsze. Jens Peter Raben zniknął potajemnie w Iraku, Afganistanie. W innych miejscach, o których duńska opinia publiczna miała nie wiedzieć. A teraz ukrywał się w zwyczajnych miejscach Kopenhagi.

W kapturze, przygarbiony, idąc krokiem chorego i niższego mężczyzny, prawie od godziny kręcił się w pobliżu dworca Osterport. Nieopodal znajdowało się przedszkole Jonasa. Louise wcześniej czy później musiała się tu pojawić.

Pośród rowerzystów i właścicieli skuterów, ukryty przy metalowej barierce, patrzył, jak jego żona wychodzi z metra, przecina jezdnię, pokonuje krótki odcinek do budynku. Potem wraca z Jonasem ulicą, nie uśmiecha się, nic nie mówi.

Po dwóch latach uwięzienia, najpierw w szpitalu, potem, po krótkim okresie wolności, w Herstedvester, Rabenowi ten szary świat, otwarta

przestrzeń, wydawał się miejscem osobiwie obcym. Sprawiał wrażenie dziwnie dużego. I Jonas też.

Louise miała na sobie czarny płaszcz i różowy szalik. Chłopiec – granatowy anorak i zielone rękawiczki z jednym palcem. Wyglądał, jakby czuł się niezręcznie, jakby był nadąsany. Louise musiała przez cały czas ciągnąć go za rękę. Chłopiec upuścił pudełko na lunch, rozmyślnie. Ona je podniosła. Zdjął rękawiczki. Powiedziała coś i je wzięła.

Przeszli na drugą stronę ulicy.

Ukrytego za ogrodzeniem Rabena dzieliło od nich teraz najwyżej dziesięć metrów, ale gdyby go zobaczyli, przygarbionego, z naciągniętym kapturem, wyglądającego jak kaleka, nie poznaliby go.

Masz widzieć, ale sam pozostań niezauważony. Poruszaj się jak duch, szybko i niewidzialnie.

Z trudem wyuczone lekcje trzymały człowieka przy życiu, gdy inni dawno zginęli.

Louise rozmawiała przez telefon, ciągnąc Jonasa za rękę po drugiej stronie barierki. Raben, ciągle pochylony, ukryty w cieniu, ruszył.

Jedynie, co musiała zrobić, to skręcić w jakieś wejście, znaleźć się w mroku zejścia do metra. Wtedy mógłby przysunąć się do niej, powiedzieć coś szybko, a cały świat widziałby w nim obcego pytającego o drogę.

Przy wejściu do metra stali dwaj mundurowi. Raben jeszcze niżej pochylił głowę, odwrócił się plecami, zatrzymał się, zakaszłał, nie pokazał się.

Szansa przepadła.

Za balustradą znowu zobaczył granatowe mundury. Policjanci wsiadali do radiowozu, jeden rozmawiał przez radio. Raben patrzył, jak

odjeżdżają, włączają się do ruchu, serce mu drgnęło, zastanawiał się, czy zdoła dogonić Louise na schodach.

Mocniej naciągnął kaptur. Wyszedł, spojrzął, nic nie zobaczył.

Krzyk, dziecięcy i wściekły.

Przed Rabenem jedna zielona rękawiczka. Daleko przed nim Louise ciągnąca Jonasa do wojskowego mercedesa G-wagen.

Przy pojeździe stał Christian Søgaaard, trzymał otwarte drzwi i gestem zapraszał ich do środka.

Jonas krzyczał coś do niego. Louise stanęła, podniosła wzrok na Søgaaarda i uśmiechnęła się.

Coś zimnego i wściekłego przeszło Jensa Petera Rabena.

Szkolenie.

Głowa rządzi sercem. Głowa utrzymuje cię przy życiu.

Schował się za narożnikiem budynku dworca i wyjrzał zza niego. Patrzył, jak jego żona i syn wsiadają do mercedesa khaki.

Był na tyle blisko, że słyszał ich głosy. I oficerski grzmot Søgaaarda.

– Przepraszam, że nie mogłem cię podrzucić. Jutro się uda. Jonas, usiądź na środku. Za pięć minut będziemy w domu.

W domu.

Był za bardzo zziębnięty i zmęczony, żeby się wściekać. Zrobił więc to, co należało. Próbował ułożyć plan.

Zawrócił i podniósł rękawiczkę. Kupił sobie kawę w supermarkecie Irma przy dworcu i ukryty za barierką wypił ją powoli.

Po chwili zadzwonił telefon, który dostał od Torpego.

– Mówi Grüner.

– Co się dzieje?

W tle zmartwionego głosu kolegi słyszał dźwięki. Ruch uliczny gdzieś na otwartej przestrzeni. Nie na miejscu pracy Grünera – w garażu

podziemnym. To brzmiałoby inaczej. Raben próbował sobie wyobrazić kalekę uwięzionego w tamtym koszmarze, całe dni, niekiedy i noce, zamkniętego w oparach benzyny, marzącego o muzyce. Piekło przyszło w innej postaci.

– Jens, przepraszam, że się na ciebie wściekałem. Bałem się. Ta prawniczka wypytywała mnie kilka tygodni przed swoją śmiercią.

– O co pytała?

– Ty naprawdę nic nie pamiętasz, co?

– Mówiłem...

– Szczęściarz z ciebie. Przyjdź do mnie do roboty.

Grüner podał mu adres w Islands Brygge po drugiej stronie rzeki.

– Będę za pół godziny – powiedział Raben,

– Nie. Zaczynam dopiero o czwartej. Daj mi kilka godzin i wtedy...

\*

Pogrzeb odbywał się w Solbjerg Park we Frederiksberg. Lund stała, słuchając bicia dzwonów kościelnych nadpływającego z oddali, i przyglądała się grupie odzianych w czerń żałobników zebranych nad grobem.

Stiga Dragsholma widziała przelotnie w siedzibie Politigården pierwszego dnia, gdy jeszcze był podejrzany. Niewiele później Svendsen wydusił z niego przyznanie się do winy. Dragsholm był wysokim przystojnym mężczyzną o schludnym, doprowadzonym do perfekcji wyglądzie drogiego prawnika. Gdy chowano szczątki jego żony, nikt z nim za dużo nie rozmawiał. Nikt mu nie towarzyszył, gdy nie odchodził znad grobu.

Lund przeszła przez trawnik i zatrzymała wdowca nieopodal parkingu.

– Sarah Lund. – Machnęła wizytówką. – Policja. Chciałabym zadać panu kilka pytań.

Wbił w nią wzrok pełen niedowierzania, po czym potrząsnął głową i odszedł.

Lund podążyła za nim.

– Gdyby to nie było ważne, nie zawracałabym panu dzisiaj głowy.

Dragsholm wyciągnął kluczyki do auta. Usłyszała, jak w jego volvo zwalnia się zamek centralny, stanęła przed drzwiami samochodu.

– Martwi mnie, że umrą inni ludzie. Że pańska żona nie była ostatnia.

Odsunął ją, wsiadł za kierownicę. Wpatrywał się w deskę rozdzielczą. Nie ruszył się.

Lund obeszła samochód, otworzyła drzwi pasażera i wsiadła.

Mężczyzna płakał. Dała mu czas, żeby się pozbierał.

Wszyscy pozostali żałobnicy zniknęli. Niedaleko odbywał się inny pogrzeb, bladą trumnę niesiono przez trawę. Była to nieskończona procesja, którą Lund już dobrze знаła.

Dragsholm wysiadł, stanął przed nieskalanym wozem. Lund dołączyła do niego. Po chwili ruszył przed siebie przez wielki teren cmentarza. Lund dotrzymywała mu kroku.

– Dlaczego pan się przyznał do winy? – spytała, gdy oddalili się od samochodu i grobu.

– Ten policjant, gnój jeden, ciągle na mnie wrzeszczał. Chciałem, żeby się zamknął. Wiedziałem, że nie zabiłem Anne. Ona też to wiedziała. I nic innego nie miało znaczenia.

Spojrzał na policjantkę.

– Poza tym jestem prawnikiem. Zamierzałem rozerwać was na strzępy, gdy już się wydostanę z tej cuchnącej dziury.



– Nie wątpię – przyznała Lund i ucieszyła się, że poprzedniego wieczoru Svendsen pojechał na urlop. – Czy żona mówiła panu, co robiła dla wojska?

– Nie bardzo.

Rozejrzał się po cmentarzu. Wazony. Bukiety, wielkie i dorodne z ostatnich pogrzebów, mniejsze z wcześniejszych. Niektóre groby były zaniedbane, całkowicie zapomniane.

– Wspominała o Mygu Poulsenie?

– Już mnie o to pytano. I odpowiedź nadal brzmi „nie”.

– O Jensie Peterze Rabenie?

– Nie.

Zbliżyli się do tamtego pogrzebu. Nad grobem ktoś bardzo głośno płakał.

– Chciałem, żeby znalazła inną pracę. Jednak Anne lubiła wojsko. Myślę, że podobało jej się, że robi coś poufnego. Coś, o czym nie mogła ze mną rozmawiać.

– Mimo że jest pan prawnikiem?

Błysk rozżalenia w zmęczonych niebieskich oczach.

– Nudny prawnik korporacyjny. Zarabiałem dziesięć razy więcej od niej. Ale ona zawsze powtarzała, że ma dziesięć razy więcej satysfakcji. A potem ją wylali.

– Jest pan pewien?

– Tak mi powiedziała.

– Dlaczego ją wylali?

– Wdała się w spór. Doszło do awantury na temat jakiegoś śledztwa, które prowadziła. Nie mówiła o tym. W każdym razie nie podała mi żadnych szczegółów. Myślę, że nadepnęła na odcisk niewłaściwym ludziom.

Urwał, obejrzał się na samochód. Chyba dochodził do siebie. Lund pomyślała, że mężczyzna niedługo odjedzie. Ta część jego życia zacznie się oddalać w zamglone, dalekie miejsce zwane przeszłością.

– Anne mogłaby być prawdziwą lwicą. Kiedy już się zaangażowała w jakąś sprawę, nie odpuszczała.

– Jaką sprawę ma pan na myśli?

– W Afganistanie doszło do pewnego incydentu. Dwa lata temu. Nic więcej nie mogła mi powiedzieć. Teraz już muszę jechać...

– To wojsko poprosiło ją, żeby przeprowadziła dochodzenie?

Dragsholm zdecydowanie pokręcił głową.

– Nie. W tym tkwił problem. Anne się o czymś dowiedziała. Zainteresowała się tym z własnej inicjatywy. Nie miała w to wchodzić. Ogromne znaczenie... ogromne znaczenie przypisywała kwestii praw człowieka. Chciałem, żeby się tym zajmowała. Naprawdę była oddana sprawie. – Wzruszył ramionami. – Ja nie aż tak. To praca. Ale ona miała własne poczucie sprawiedliwości.

– Czego się dowiedziała?

– Żołnierze wpadli w zasadzkę. Kiedy już było po wszystkim, wojsko wszczęło dochodzenie. Nie uwierzyli w to, co opowiadali żołnierze.

– Anne się tym zajmowała?

– Reprezentowała ludzi, którzy ocaleli z akcji. Prowadzili swoją sprawę. Przegrali, a jej się to nie spodobało. Zatem dalej zadawała pytania.

Lund poczuła się głupia i oszukana.

– Spróbuję to podsumować. Ona była pełnomocnikiem ludzi z batalionu Ægir?

– Ægir. – Kiwnął głową. – Właśnie. Jej zdaniem fatalnie ich potraktowano. Anne nienawidziła wszystkiego, co postrzegała jako pomyłkę sądową. W wojsku. I nie tylko.

– Przykro mi, że dołożyliśmy panu zmartwień – powiedziała Lund i wyciągnęła rękę do mężczyzny.

Nie przyjął jej.

– Sam sobie dołożyłem, prawda? Uciekając. Wsiadając do samochodu.

– Dlaczego pan to zrobił?

– Byłem przerażony. Wcześniej piłem. Nie myślałem rozsądnie. Tam było tyle krwi. Pomyślałem, że może ja będę następny.

Nic nie powiedziała.

– Nie jestem jak ona – szepnął mężczyzna. – Anne była odważna. Nigdy się nie poddawała. Ja jestem zwykłym tchórzem i wiem o tym. – Szybko uściśnął dłoń Lund. – Czy to robota tych terrorystów, o których piszą w gazetach?

– Nie mogę rozmawiać o śledztwie.

Dragsholm przyjrzał się jej uważnie. Pomyślała, że jest bystrym człowiekiem.

– Nie – skwitował. – I tak w to nie uwierzyłem.

Odszedł do samochodu. Lund zadzwoniła do Strangeo.

– Rozpytałem w Dowództwie Operacyjnym – powiedział. – Analizują to, co się wydarzyło w Helmand.

– Zapomnij o tym na razie. Dostałeś listę ludzi z batalionu Ægir?

Milczał kilka sekund.

– Leży przede mną.

– Masz tam skład oddziału Rabena?

– Mogę to rozpracować.

– Dobrze. Musimy z tymi ludźmi porozmawiać.

– Kodmani...

– Niech PET marnuje na niego czas. Chcę się spotkać z którymś z żołnierzy z grupy Rabena.

\*

Wspólna Rada spotkała się w trybie nagłym w niewielkiej sali konferencyjnej w Folketinget. Wszyscy przywódcy partii przyszli ze swoimi doradcami, a spotkaniu towarzyszyli nieliczni, starannie dobrani dziennikarze. Agger od razu rzuciła się Buchowi do gardła, domagając się wyjaśnień w sprawie zatajenia informacji o zagrożeniu terrorystycznym.

– Taką decyzję podjął Monberg, uwzględniając kwestię bezpieczeństwa narodowego – zauważył minister.

– Chce pan powiedzieć, że nie można nam ufać?

Buch w rozpaczy podniósł oczy do nieba. Obok niego siedział Carsten Plough i wiercił się niespokojnie w reakcji na ugrzecznioną agresję narastającą w pomieszczeniu.

– A co z Ahl Al-Kahf? – spytał Krabbe. – Czy to prawda, że członkowie tej haniebnej organizacji zostali aresztowani?

– Wielu spośród nich już przesłuchano...

Krabbe wychylił się do przodu i powiedział dobitnie do mikrofonu:

– Proszę zwrócić uwagę, że to jedna z grup, której delegalizacji domagała się Partia Ludowa.

Buch się uśmiechnął, czekał, aż na niego spojrzą.

– Pakiet ustaw antyterrorystycznych, który zostanie przedstawiony w parlamencie w przyszłym tygodniu, będzie uwzględniał środki zapobiegawcze wobec wszystkich grup, którymi zdaniem naszych agencji bezpieczeństwa należy się zająć. Jeśli do tej kategorii zostanie zaliczona organizacja Ahl Al-Kahf, jej nazwa znajdzie się na tej liście. Jeśli nie...

– Pan kręci, Buch – przerwała Birgitte Agger. – Zdaniem pańskiego poprzednika to akt terroru. Dlaczego więc policja przez dziesięć dni przesłuchiwała męża ofiary?

Dobre pytanie. Thomas Buch zamknął oczy i zastanawiał się, co w domu w Jutlandii robią jego dzieci.

– Z powodów, które wszyscy znamy, Frode Monberg nie może się tu stawić, by odpowiedzieć za swoje poczynania. Ja jednak jestem w stanie udzielić pewnych informacji.

Skinieniem głowy dał znak Karinie, a ona obeszła stół, wręczając wszystkim egzemplarze jednostronicowego dokumentu.

– Puszczam to w obieg w zaufaniu i niechętnie. Ten dokument pozostaje tajny i nie można go nikomu ujawniać, prasie również. Kiedy się z nim państwo zapoznają...

– To gierki, Buch – rzuciła Agger.

– Kiedy się z nim państwo zapoznają... stwierdzą państwo, że Monberga ostrzegano, że wszelkie śledztwo może spowodować ujawnienie pewnych informacji, co z kolei narazi na szwank naszą misję wojskową w Afganistanie, a tym samym wystawi na niebezpieczeństwo duńskich żołnierzy.

Agger podała kartkę swojemu asystentowi.

– To pan tak mówi.

– Nie. Tak mówią nasi doradcy do spraw bezpieczeństwa. Czy w motywy ich postępowania również pani wątpi? – spytał Buch. – Tak jak, zdaje się, wątpi pani w motywy mojego postępowania?

– Niech pan znowu nie wyciąga swojego brata...

Buch walnął pięścią w stół.

– Mój brat nie żyje od sześciu lat! Nie mogę go przywrócić do życia. Ale jeśli mogę oszczędzić bólu choćby jednej duńskiej rodzinie, to przejdziemy przez...

– Ściągnijcie ich więc do domu – krzyknęła Agger i pożałowała tych słów, gdy tylko je wypowiedziała.

– Oni są tam w tej chwili – odrzekł Buch, wyczuwając nadchodzący słodki smak zwycięstwa. – Cokolwiek pani sądzi o wojnie, oni tam są. Niech więc mi pani powie: gdyby ta notatka trafiła na pani biurko, gdyby ją pani przeczytała, gdyby się pani dowiedziała, że ujawnienie tej sprawy narazi na śmiertelne niebezpieczeństwo naszych dzielnych żołnierzy...

Agger z wściekłości zacisnęła usta w wąską linię. Porwała ze stołu resztę swoich dokumentów. Kilka spadło na podłogę.

– ...czy i tak by pani ujawniła jej treść? – spytał Buch. – Bez względu na koszty?

Nie doczekał się odpowiedzi. Agger wypadła z sali. Oczy wszystkich zebranych skierowały się na ministra.

– Jeśli ktoś ma jeszcze jakieś pytania...

Swoje słowa skierował wyłącznie do Krabbego, a ten pokręcił głową.

– W takim razie – podjął Buch – oddalę się, by zająć się swoimi obowiązkami.

\*

– Do diaska, co za zespół! – Po powrocie do ministerstwa Buch uśmiechnął się promiennie do Plougha i posłał całusa Karinie. – Posunąłem się za daleko? Nie mówię o moim bracie. Nigdy w życiu bym po niego nie sięgnął, gdyby ona nie zasugerowała...

– Sama się o to prosiła – stwierdziła Karina. – Co za tupet. Musimy porozmawiać o pewnej sprawie...

– Ciągle możemy złożyć na nią doniesienie, że ujawniła tajny dokument – dodał z nadzieją Plough.

– Wspaniałomyślność zwycięzcy! – oświadczył Buch. – Proszę o tym zapomnieć. Ktoś chce dobrego hot doga? Ja stawiam.

Nikt nie zareagował na propozycję.

– Nadal musimy się dowiedzieć, jak Agger weszła w posiadanie tej notatki – powiedział Plough. – Ktoś tu mąci.

Zadzwoił telefon na biurku. Odebrała Karina.

– To premier – wyszeptała, zasłaniając dłonią mikrofon.

– Niech ktoś się tym zajmie – rzucił Buch do Plougha, wskazując butelkę.

– Thomas! – W głosie Grue Eriksena brzmiało zadowolenie. – Gratulacje. Słyszałem, że nieźle panu poszło.

– Mam tu świetny personel. – Minister skinął głową do Plougha i Kariny. – Doskonale mnie przygotowali. To ich zasługa, szczerze mówiąc.

– Zbytek skromności. Teraz proszę się skupić na ustawie. Niech pan rzuci Krabbemu jakieś ochłapy. Załatwmy to już.

– Tak zrobię. Panie premierze?

Grue Eriksen już się jednak rozłączył, a Carsten Plough otwierał butelkę.

– Krabbe będzie się domagał umieszczenia tej organizacji na liście zakazanych – ostrzegł.

– Ha! Właśnie pozbyłem się Birgitte Agger, Niecnej Królowej Północy. Nie jestem w nastroju do układania się z maluczkimi, prawda?

– *Skål*. – Plough wznosił toast ze śmiechem.

– Karina?

Zniknęła w gabinecie. Kiedy wróciła, zamknęła za sobą drzwi.

– Wyślij też kilka butelek do Ministerstwa Obrony – polecił Plough. – Teraz Agger już niczego nie wyśledzi. Nie ośmieliłaby się.

– Musicie coś zobaczyć – powiedziała Karina, kładąc na biurku Bucha kalendarz w skórzanej oprawie. – Znalazłam to, gdy przed spotkaniem przeglądałam prywatne dokumenty Monberga. Trudno mi uwierzyć, że nigdy wcześniej go nie widziałam.

– Zgarnij te wszystkie rzeczy do kartonu i wyślij na jego adres domowy – powiedział Plough i polał kolejkę. – Proszę, zasłużyłaś sobie.

– Nie chcę drinka. Możecie mnie posłuchać? Monberg prowadził dziennik. Nie wiedziałam o nim. To był osobisty dziennik, z jego własnymi przemyśleniami.

– I co z tego? – spytał Buch.

Wzięła głęboki oddech.

– Przeczytałam trochę. Wygląda na to, że osobiście znał Anne Dragsholm. Spotykał się z nią. Ostatnio.

Otworzyła niewielki brązowy notesik w skórzanej oprawie. Plough odstawił szklankę. Buch dopił swoją. Podeszli i spojrzeli.

– Jest tu numer jej komórki. Po raz ostatni spotkali się w hotelu w weekend przed jej śmiercią.

Buch oparł się o ścianę i zamknął oczy. Słodki smak zwycięstwa zniknął.

Spojrzał na Plougha, postukał palcem w kartkę.

– Sprawdźcie to – polecił. – Muszę się przejść.

\*

Czarna jak smoła listopadowa noc. Dochodziła dwudziesta. W salonie koszarowego mieszkania Jarnviga Jonas bawił się zabawkami. Plastikowym czołgiem, trzema żołnierzykami, pistoletem, samolotem wojskowym.



Louise Raben przyglądała mu się od progu. Pierwsze lata są takie ważne. Kształtują człowieka na resztę życia. A co on miał? Nieobecnego ojca. Matkę, która całymi dniami walczy o uwolnienie męża. I dokoła siebie samych żołnierzy. Jonas wychowywał się w świecie o barwie khaki, wypełnionym odgłosami wojskowych samochodów, stukotu żołnierskich butów na betonie, wykrzykiwanych rozkazów, hierarchii i posłuszeństwa.

Nigdy nie przyjdzie mu do głowy, że mógłby się wyrwać na wolność. Już ona miała z tym problem. Kochała ojca. Kochała Jonasa. Jeśli trzeba żyć w celi, to ta cela przynajmniej miała jakieś wygody.

Ale i tak było to więzienie, bez nadziei na odzyskanie wolności. Jens był teraz w dwójnasób przestępcą, nie tylko niebezpiecznym, obłąkanym byłym żołnierzem. Odkąd uciekł z Herstedvester, ich szanse na wyrwanie się z tego miejsca zmalowały do zera. Policja go złapie. Wsadzą go na długo. Jonas może mieć nawet kilkanaście lat, kiedy jego ojciec będzie mógł zasnąć z nim pod jednym dachem.

Czy może tyle czekać? A ona?

Louise Raben miała trzydzieści cztery lata. Tęskniła za mężem. Za jego towarzystwem i jego dotykiem. Pragnęła fizycznej bliskości mężczyzny. A w więzieniu już nigdy jej nie dotknie. Nie na tym prowizorycznym tapczanie w rejonie zarezerwowanym dla par małżeńskich. Już to rozumiała.

Część jej męża umarła w Helmand. Teraz nadchodził czas trudnych decyzji. Nie dla Jonasa, lecz dla niej.

– Mamo?

Chłopiec trzymał w rączkach plastikowy samolot Søgaard i bawił się małymi bombami uwieszonymi u jego skrzydeł.

– Będzie niedługo kolacja?

– Za chwilę. Gdy skończę zmywać.

– Biłem się.

Serce jej zamarło.

– W szkole?

– Nie! Tutaj. Moimi żołnierzami. Moimi ludźmi.

– Z kim się biłeś?

– Z arabusami! – krzyknął.

Nie zaśmiała się.

– Nie używaj takich słów. Za dużo czasu spędzasz z żołnierzami.

– Kiedy będę duży, też będę żołnierzem. Jak tata. Jak dziadek. Zostanę majorem jak Christian.

– Naprawdę?

Uklękła i patrzyła, jak synek bawi się samolotem, a ten, pochwycony przez bezgraniczną dziecięcą wyobraźnię, nurkuje i wspina się w niebo, kierowany jego dłonią, gdy z chłopięcego gardziołka dobywa się warkot straszego bombardowania.

– Posłuchaj, Jonas. Chciałbyś mieć własny pokój?

Spojrzał na nią, uśmiechnął się i kiwnął głową.

– Gdybyśmy przenieśli do niego wszystkie twoje zabawki, byłby bardzo przytulny. Nie musiałbyś całą noc słuchać, jak mama chrapie.

– Ty nie chrapiesz!

– Zrobimy to?

Samolot wleciał do jej twarzy. Mały zerknął zza niego i powiedział:

– Tak.

– Miałbyś niedaleko do szkoły.

– A ja już idę do szkoły?

Rozejrzała się po koszarowym mieszkaniu. Nie było takie złe. Życie tu było bezpieczne. Przewidywalne. Jaki miała wybór?

Ni stąd, ni zowąd głos jej przycichł i poczuła, że w oczach zbierają się łzy.

– Tak. Niedługo.

– A tata będzie miał swój pokój?

Kroki przy drzwiach. W progu stał jej ojciec, patrzył na nią i na chłopca.

– Pewnego dnia. Teraz może zrobimy kolację, co?

Wstała.

– Jonas – powiedział Jarnvig. – Mam coś twojego.

Chłopiec rzucił samolot i podbiegł do dziadka.

– Zieloną rękawiczkę. – Jarnvig podał ją dziecku i patrzył na nie z góry. – Musiałeś ją zgubić.

– Kiedy ją zgubiłeś? – spytała Louise.

– Nie wiem – odparł chłopiec.

– Jest podpisana. – Jarnvig pokazał naszywkę. – Jeden z ludzi znalazł ją przy głównej bramie.

– Nie wchodziliśmy główną bramą. Søggaard nas podwiózł.

Jarnvig wymownie podniósł rękawiczkę na wysokość jej twarzy.

Louise westchnęła.

– Młody człowieku – podjął pułkownik – na przyszłość musisz być uważniejszy. Zamiast rozrzucać wszędzie swoje rzeczy...

Jonas wrócił do samolociku i naśladowania odgłosów bombardowania.

– Przebiorę się – powiedział Jarnvig i ruszył na górę.

Zaczekała, aż ojciec wyjdzie. Wtedy uważniej przyjrzała się rękawiczce na stole.

Nie podpisywała Jonasowi żadnych rzeczy. Nie mógł zostawić rękawiczki przy głównej bramie.

I to w ogóle nie była naszywka z nazwiskiem. Skrawek płócienka, pewnie oddarty od chustki do nosa. Rozlewającym się piórem napisano na nim: „Jonas Raben”.

Dziecięcymi niemal gryzmołami. A ona знаła te gryzmoły.

\*

Gdy Lund wróciła do siedziby Politigården, okazało się, że Strange gdzieś przepadł. Nie odbierał też telefonu. Lund przejrzała jakieś akta, unikając Brixa i Erica Königa, który szwendał się po komendzie, sprawiając cokolwiek rozpaczliwe wrażenie. Ze Slotsholmen dochodziły pogłoski, że politycy są niezadowoleni, że PET zatrzymała dla siebie informacje o terrorystycznym aspekcie sprawy Dragsholm. Posada Königa prawdopodobnie wisiała na włosku, więc tym bardziej desperacko usiłował zrzucić na kogoś winę.

Wreszcie odezwał się jej telefon.

– Ty zawsze marudzisz, jeśli ja gdzieś idę i nie mówię ci gdzie – wytknęła mu, zanim zdążył się odezwać.

– Własnym uszom nie wierzę. Nadal zazdrosna?

– Chciałbyś...

– Owszem. Dla twojej informacji: próbuję znaleźć kogoś, kto służył z Rabenem. To niełatwe. Oni się rozproszyli od czasów batalionu Ægir.

– I?

– Tak się zastanawiałem nad pizzą dzisiaj wieczorem. Cztery sery czy margherita?

Lubiła pizzę, ale nie zamierzała mu o tym mówić.

– Musimy coś obgadać?

– Przyjadę po ciebie.

Czekała przed Politigården. Ucieszyła się na widok jego samochodu. Strange wyskoczył z niego, teatralnym gestem otworzył jej drzwi i zaprosił do środka.

– Żałosne... – mruknęła Lund, zajmując miejsce pasażera.

– Ty pierwsza – powiedział, wsiadając za kierownicę. – Czy Dragsholm pracowała dla wojska?

– Tak sądzę. Musimy to potwierdzić. Dokąd jedziemy?

– Niedaleko. Do Davida Grünera. To poborowy, który służył z ludźmi Rabena.

Jechali przez port.

– Teraz pracuje jako parkingowy w Islands Brygge. Jeździ na wózku inwalidzkim. O dwudziestej drugiej kończy zmianę.

Zatrzymali się przy biurowcu nieopodal metra. Lund wysiadła, zajrzała przez drzwi.

– Jesteś pewien, że to tutaj? Wygląda, jakby było pusto.

– Jego żona powiedziała, że tu go znajdę. A żony nigdy nie kłamią. Zajrzyj do środka. Ja poszukam innego wejścia.

Przez najbliższe drzwi Lund weszła do olbrzymiego budynku.

Szybko zatrzymał ją znudzony ochroniarz. Pokazała mu odznakę, wspomniała nazwisko Grünera i parking. Zaprowadził ją do drzwi przy windach. Akurat były w konserwacji, więc musiała iść schodami.

Dwa piętra w dół. Zapach silników i pyłu.

Strzałka kierująca do biura. Podążyła za nią.

Tu woń benzyny wydawała się intensywniejsza i dziwnie ostra. W małej kanciapie nikogo nie znalazła. Na monitorze komputera widniał tylko zapis nutowy.

Spojrzała w głąb korytarza. Zobaczyła odwróconą tyłem powłóczącą nogami postać w dzinsach i zimowej kurtce khaki.

Bez wózka.

– Hej! – krzyknęła Lund.

Mężczyzna się odwrócił.

Brodąta, koścista twarz. Umięśniona sylwetka.

Nie miała czasu się zastanowić.

– Raben? Raben?!

Wypadł przez dalekie drzwi na parking.

Mogła biec. Ale nie tak szybko. Zanim dotarła do tych drzwi, zobaczyła tylko Stranego w samochodzie zjeżdżającym po rampie w ostrych zakrętach.

Lund wypadła na otwartą przestrzeń pomiędzy zjazdami i zatrzymała go ruchem ręki.

– Co się dzieje? – spytał Strange, opuszczając okno.

– Raben tu jest. A Grünera nie ma. Co jest grane, do cholery?

Zapach benzyny przybierał na sile. Lund obejrzała się na parking. Na końcu zobaczyła vana renault. Stał z otwartymi drzwiami i włączonymi światłami.

Ruszyła w jego stronę. Strange za nią.

– Zadzwoń do Brixa – powiedziała.

– Po co?

Zaklęła, dopadła renault i zajrzała do środka.

Z lusterka wstecznego zwisał nieśmiertelnik, lśniący nowością, przecięty na pół.

– Po to.

Strange ciągle nie dzwonił. Patrzył na fotel. Leżał tam telefon.

Przeszła na tył vana, otworzyła drzwi. W środku zobaczyła pełno plastikowych butli. Nie musiała ich podnosić. Po zapachu się zorientowała, że są napełnione.

– Zadzwoń już do Brixa?

Ciągle stał przy drzwiach kierowcy.

– Musisz to zobaczyć – powiedział.

– Co? Gdzie jest ten człowiek, do cholery?

Wróciła jednak. Telefon na fotelu się rozjaśnił. Na wyświetlaczu widniał zegar. Sekundy. Odliczanie.

Zostało tylko pięć. Patrzyła na nie, czując się głupia i bezsilna.

– Co to jest? – spytała, gdy licznik się wyzerował.

Strange się rozejrzał.

– Nie wiem.

Usłyszeli cichuteńki wybuch. Jak pierwsze ziewnięcie budzącego się giganta.

Lund odwróciła się, spojrzała na kratki wentylacyjne. Stała jak wryta, dopóki nie chwyciło jej silne ramię Strangego, a nagły wrzask nie dotarł do jej mózgu.

– Biegiem! – krzyknął Strange, gdy wściekły obłok dostał się przez kratki i wpadł do betonowego grobowca wokół nich.

Pobiegła.

**ŚRODA\_**  
**16 LISTOPADA\_**  
**18.34\_**

Brix przybył na czele konwoju radiowozów z kwatery głównej. Do tego czasu Lund i Strange poskładali w całość, co się stało. David Grüner miał przyjść na swoją zmianę o szesnastej. Van z telefonem należał do niego. Wyglądało na to, że gdy wysiadał ze swoim wózkiem, ktoś go zaatakował, wepchnął do niewielkiego pomieszczenia piwnicznego i tam zamknął na klucz.

Brix słuchał ich, gdy razem podążali przez parking. Alarmy ciągle wyły. Strażacy sprząтали pobojowisko. Wszędzie płynęła woda i zalegała piana. Cuchnęło cierpką chemiczną wonią.

– Mamy jakichś świadków? – spytał.

– Monitoring wyłączono tuż przed przybyciem Grünera – powiedział Strange. – Firma ochroniarska zarejestrowała to jako usterkę. Mieli przyjechać wieczorem zobaczyć, co się stało.

– Powinniśmy to przewidzieć – burknęła Lund.

– Jak? – spytał Strange. – Znaleźliśmy furgonetkę – zwrócił się do Brixa. – Morderca ustawił coś w rodzaju stopera w telefonie. Nie mogliśmy nic zrobić, zanim to odpaliło.

Brix spojrzał na sufit.

– Zrzaszacie się nie uruchomiły?



– Je także wyłączono – odparła Lund. – To naprawdę niezłe. Jeśli sądzisz, że jakiś fanatyk przymaszerował tu prosto z meczetu...

Na widok wyrazu twarzy Brixa przystanęła. Głośno wciągnęła powietrze. Chciałaby się pozbyć z nozdrzy odoru tego małego pomieszczenia piwnicznego, pozbyć się z głowy tego widoku.

– Chcesz spojrzeć? – spytał Strange. – To nie... – Zerknął na Lund. – Jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałem – dodał.

Brix, w swoim szarym wełnianym płaszczu, ruszył przodem.

– Rozlał benzynę wokół Grünera. Technicy sądzą, że oblał również jego – opowiadał Strange, gdy pokonywali wąskie schody.

Woń dymu i czegoś jeszcze gorszego cały czas przybierała na sile. Lund poczuła, jak jej żołądek wywraca się do góry nogami. Rozpoznawała ten drugi zapach: odór spalonego mięsa.

Kolejni funkcjonariusze, niektórzy w białych kombinezonach, inni w maseczkach na twarzy, sunęli korytarzem, świecąc latarkami.

– Telefon w furgonetce był połączony z detonatorem w bombie pod wózkiem inwalidzkim – kontynuował Strange. – Morderca mógł zadzwonić skądkolwiek i uruchomić to wszystko.

Lund pokręciła głową.

– Dlaczego nie zdetonował jej od razu?

Strange wzruszył ramionami.

– Spytałem o to techników. Mówią, że drugi telefon musiał być blisko. – Wskazał niski sufit. – Pamiętaj, że jesteśmy pod ziemią. Grüner był związany i zakneblowany. Wózek przykuty do kaloryfera. Biedak nie mógł się ruszyć, nie mógł krzyczeć. Tylko siedział i czekał.

Strange wyciągnął z kieszeni dwie białe maski i podał je Brixowi oraz Lund. W kwestii zapachu niewiele zmieniły.

– Co o nim wiadomo? – spytał Brix.

– David Grüner – wtrąciła Lund. – Lat dwadzieścia osiem. Weteran. Służył z Rabenem w batalionie Ægir. Ranny w akcji, inwalida, od roku pracował tutaj.

Zespół w białych kombinezonach wyciągnął szerniały wózek inwalidzki, a wraz z nim ciało tak strasznie zwęglone, że w zasadzie nie wyglądało na ludzkie.

Brix podszedł, spojrział na żalostną, zwęgloną postać. Wydawała się stopiona ze stelażem wózka. Na szyi ofiary dostrzegł coś czarnego, jak zniekształcony naszyjnik.

– W Afganistanie roztrzaskało mu nogi na kawałki – dodał Strange.

– Czy to opona samochodowa? – spytał Brix.

Strange pochylił się i przyjrzał uważnie.

– W Afryce Południowej w taki sposób traktuje się zdrajców – rzekł. – W jego furgonetce znaleźliśmy odłamany nieśmiertelnik. Wygląda jak z tego samego zestawu.

– Gdyby PET nas uprzedziła, że może dojść do czegoś takiego... – narzekał Brix.

Lund tylko na niego spojrzała.

– Co? – spytał szef.

– Morderca wyłączył alarmy. Kamery. Podłączył się do telefonu, by odpalić bombę. Poza tym... wszystkich zgarnęliśmy, prawda?

– Do tego wystarczył jeden człowiek – zasugerował Strange.

– Muszę zadzwonić – powiedziała Lund i ruszyła w powrotną drogę korytarzem.

Poziom wyżej znalazła pomieszczenie gospodarcze, zwymiotowała do umywalki. Przepłukiwała usta, gdy znalazł ją Brix.

Zaczekał, aż splunie kilka razy do zlewu i wytrze usta chusteczką.

- Powinnam była to przewidzieć – powtórzyła, gdy odzyskała oddech.
- Gdy tylko zobaczyłam Rabena, powinnam coś zrobić.
- Zrobiłaś wszystko, co mogłaś.
- Gdybyśmy dotarli tu pół godziny wcześniej... Piętnaście minut...
- Lund...
- Spieprzyłam. Znowu.

Wyjęła kolejną chusteczkę, ponownie otarła usta, wyrzuciła chusteczkę do kosza.

- Nie możesz się winić...

Odwróciła się i spojrzała na niego gniewnie.

- Zamordowano trzy osoby. A my wciąż nie mamy pojęcia...

Urwała i ruszyła do drzwi.

- Dokąd idziesz?

- Wracam, muszę jeszcze na coś spojrzeć.

\*

Dwadzieścia minut później przyjechał Erik König. Brix zapoznał go z sytuacją, stojąc na końcu korytarza prowadzącego do pomieszczenia, w którym zginął Grüner. Człowiek z PET chyba nie kwapił się, by iść dalej.

– Takich opon używano w Afryce Południowej – powiedział Brix. – Strange mówi, że na zdrajców.

– O ile pamiętam, do przypadków bardziej konkretnych, nie do zdrajców w ogóle. Używano ich na donosicieli. Ale jak kaleki były żołnierze mógł na kogoś donosić? I co?

Lund wróciła do miejsca eksplozji, cierpliwie przeglądała rzeczy na wózku.

- Podobno byli świadkowie – powiedział König, patrząc na nią.

– Raben tu był.

– On jest podejrzany?

Brix się skrzywił.

– Jeśli nawet, to tylko w tym wypadku. Mamy przełamany nieśmiertelnik, tak jak przy dwóch poprzednich morderstwach. Wiemy, że Raben ich nie popełnił. Siedział wtedy w Herstedvester.

König nie mógł oderwać oczu od Lund.

– Więc ona to wszystko odkryła?

– Prawie wszystko. Poprosiła Strangeo, by wyszedł kogoś z oddziału Rabena sprzed dwóch lat. Przydałoby się, żeby najpierw powiadomiła mnie.

– Tak czy inaczej nie widzę dowodów niewinności Kodmaniego.

– Może nie – przyznał Brix, przyglądając się rozmówcy. – Żołnierze trzymają się razem. Może Raben szukał pomocy. Albo proponował pomoc. Myślę...

Lund pieczołowicie przetrząsała szczątki.

– Najlepiej pewnie by było, gdybym odsunął ją od sprawy.

König pokręcił głową.

– Dlaczego chcesz to zrobić? Wiem, co mówiłem wczoraj. Ale...

– Ściągnąłem ją tutaj. To nie był jej pomysł. Ona ma obsesję. Nie...

– Nie podoba ci się pomysł, żeby tę obsesję wykorzystać? – König się uśmiechnął. – Nie martw się, Lennart. W nas wszystkich od czasu do czasu budzi się sumienie. Oto dwa dobre powody, żeby Lund zatrzymać przy sprawie. Chciałbym wiedzieć, co ona sądzi o Bracie w Wierze, o którym wspomniał Kodmani. Nie zamykajmy się na żadne rozwiązania, dobra?

– A drugi powód?

– Kodmani poprosił o ponowne przesłuchanie. Mówi, że ma nam do powiedzenia coś ważnego. Stawia jeden warunek.

Kiwnął głową na kobietę w przejściu.

– Będzie rozmawiał tylko i wyłącznie z nią.

König zerknął na zegarek.

– Mam spotkanie w ministerstwie – powiedział.

– Pewnie nie są tam zbyt zadowoleni.

Nie doczekał się odpowiedzi.

Brix patrzył, jak König się oddala. Następnie podszedł do Lund. Stała ze Strangem, zaglądała do torebki dowodowej, jednocześnie rozmawiając przez telefon.

Zaczekał.

– Moja matka w sobotę wychodzi za mąż – powiedziała, kiedy się rozłączyła. – Chce, żebym wpadła do Bjørna.

– Kim jest Bjørn? – spytał Brix.

– Jej narzeczonym – odparła tonem sugerującym, że to oczywiste. – Muszę jechać do domu się przebrać. Ten zapach...

– Jasne.

– Mamy jakieś wiadomości o Rabenie? – spytała.

Brix pokręcił głową. Znowu rozbrzmiał telefon Lund.

– Ciasto?! – spytała. – Dobra. Kupię ciasto. Co proszę?

Wrzuciła telefon do kieszeni i westchnęła.

– Co się stało? – spytał Strange.

– Bjørn ma alergię na orzechy. Gdzie ja kupię ciasto bez orzechów?

– W Lagkagehuset – odrzekł. – Musisz tylko powiedzieć: „Poproszę ciasto bez orzechów”.

– Umiem kupić ciasto – odparła Lund bardzo powoli.

– Zostawcie to na później – przerwał im Brix. – Kodmani ma coś do powiedzenia. I chce to powiedzieć tobie.

Wielkie wszechwidzące oczy Lund wpatrywały się w szefa.

– Cukiernie na noc zamykają, Brix.

Strange wziął jej kurtkę i przytrzymał, żeby ją włożyła.

– Zatrzymamy się po drodze.

\*

Raben przyczaił się pośród ciekawskich gapiów zebranych w deszczu, by przyglądać się funkcjonariuszom służb ratunkowych, którzy wchodzili do biurowca w Islands Brygge i wychodzili z niego. Kaptur naciągnął mocno na twarz. Kurtkę miał brudną. Mógłby ujść za jednego z pijaków czy bezdomnych żyjących na obrzeżach miasta. Za kogoś, kogo ludzie zauważają, ale wolą się trzymać od niego z daleka.

Tak więc widział, jak wynoszą nosze, a na nich skręcony kształt w czarnym plastikowym worku.

Krążył w pobliżu, myślał, zastanawiał się. I nagle znowu ją zobaczył. Tę policjantkę. Właśnie wychodziła. Raczej uderzająca niż piękna, o rzadkich prostych włosach, w każdym razie tak teraz wyglądały, a jej jasne oczy lśniły niestrudzoną ciekawością.

Zerkała w tłum. Bystra – wiedziała, że on może trzymać się w pobliżu. Raben jeszcze głębiej naciągnął kaptur i chyłkiem oddalił się w stronę mostu i Vesterbro.

Po dwudziestominutowym marszu w mżawce dotarł do kościoła Torpego i opowiedział mu, co się stało.

Kapłan wyglądał na przerażonego.

– Nie wiesz, kto był na tym wózku – powiedział. Miał na sobie dzinsy i bluzę. Cywilne ciuchy. – Może to nie David jest ofiarą.

Raben siadł na twardej ławce zmarznięty, głodny, żaloszny. I samotny. Chciał porozmawiać z Louise. Chciał posadzić sobie na kolanach Jonasa.

– To był on.

– Może to był wypadek.

– Grüner nie żyje. Dlaczego nie chcesz spojrzeć prawdzie w oczy? Coś się tu dzieje. Coś złego...

Torpe, silny mężczyzna, sprawiał wrażenie, jakby miał się rozpłakać. Prawie padł na ławkę i schował twarz w dłoniach.

– Weź się do kupy, człowieku – rozkazał Raben.

– David miał żonę i dziecko! – warknął Torpe. – Tak jak ty. Pomyśl o nich...

– Znalazłeś pozostałych?

– Jakich pozostałych? Nie pamiętasz? Myg nie żyje. Teraz David. Oprócz ciebie została tylko Lisbeth Thomsen.

To nie była prawda.

– A HC? On wrócił cały i zdrowy. Słyszałem, że trochę świruje...

– HC zginął w zeszłym roku w wypadku samochodowym. Zostałeś tylko ty i Thomsen.

Raben zaklął, skierował wzrok na ołtarz. Na postać na krzyżu. Nic nie rozumiał.

– Gdzie mieszka Thomsen?

– Słyszałem, że jakiś czas temu wyjechała z Kopenhagi. Wiesz, jaka ona jest. Wiecznie niezadowolona, dopóki nie została sama...

Przy drzwiach rozległ się jakiś dźwięk. Ktoś potrząsnął klamką. Raben w mgnieniu oka zerwał się na nogi, zacisnął pięści w gotowości.

– Nie, nie – pospieszył Torpe z wyjaśnieniem. – To Louise. Zadzwoiła, kiedy cię nie było. Powiedziała, że dałeś jej znak.

Twierdziłem, że nie wiem, gdzie jesteś. Ale to nieważne, bo i tak chciała przyjechać.

– Na pewno ją śledzą.

Torpe spojrzał na niego spode łba.

– Myślisz, że ona o tym nie wie? – Ruchem głowy wskazał zakrystię.  
– Idź tam. A ja sprawdzę, co się dzieje.

Raben ani drgnął.

– Nie zawiodę cię – zapewnił kapłan. – Nigdy cię nie zawiodłem w Helmand, prawda? Dlaczego miałbym zrobić to teraz?

Gdy Raben się ukrył, Torpe podszedł do wejścia.

– Jonas? – Louise rozmawiała przez telefon matczynym głosem, w którym pobrzmiwała złość. Kapłan skinieniem głowy wskazał tył kościoła. – Rób, co mówi opiekunka. Idź do łóżka. Niedługo wrócę.

Torpe wyjrzał na zewnątrz, nikogo nie zobaczył, wpuścił ją i poprowadził w kierunku zakrystii.

Gdy wyszedł stamtąd Raben, Louise nie popędziła mu na spotkanie.

– Kto wie, że tu jesteś? – spytał.

– Nikt. Powiedziałam opiekunce, że idę na spotkanie z przyjaciółką. Śledził mnie jakiś samochód... – urwała. – Weszłam do baru na Vesterbrogade. Wymknęłam się tylnymi drzwiami.

Podszedł do niej. Zastanawiał się, czy może ją przytulić. Louise ani drgnęła. Nie uśmiechała się w słabym świetle latarni ulicznej wpadającym przez wysokie okna.

– Obdzwaniam wszystkich, żeby cię znaleźć. Kapłan nie mógł mnie okłamać. – Wydawała się sztywna i zimna jak ktoś obcy. – Dlaczego uciekłeś? Nie mogłeś poczekać?

– Myg i Grüner zostali zamordowani.

Potrząsnęła głową. Cofnęła się przed nim, gdy spróbował ją dotknąć.



- Grüner też?
- Dzisiaj wieczorem.
- Dlaczego...?
- Nie wiem dlaczego! Bali się. Pamiętali coś z Helmand. Ja nie pa...
- Co ty mówisz, Jens?

W jej głosie brzmiał gniew, którego nigdy wcześniej nie słyszał. Louise zawsze stała po jego stronie. To było ważne.

– Tam coś się stało...

– Przeanalizowali to wszystko po twoim powrocie. Przeprowadzili śledztwo. Wiem, że byłeś chory...

– Coś się stało. Nigdy nie powiedziałem ci prawdy. Żaden z nas o tym nie rozmawiał.

– Co się stało?

Potrząsnął głową, najbardziej na świecie pragnął znaleźć odpowiedź na to pytanie.

– Nie pamiętam. Tylko chaos... Weszliśmy do domu miejscowych. W środku był oficer. Pamiętam eksplozję, a potem nic, dopiero szpital po powrocie. Ale coś się stało. To jest tu... – Postukał się palcem w czaszkę.  
– Jest gdzieś tutaj. Myg wiedział. I Grüner chyba też. Widziałem to, gdy rozmawialiśmy...

– Rozmawiałeś z Grünerem?

– Myślałem, że to tylko urojenie. Że to mój problem.

Przyglądał się jej. Zastanawiał się nad wyrazem jej twarzy, gdzie go ostatnio widział. Przypomniał sobie. Ona była pielęgniarką. W ten sposób patrzyła na chorych.

– To nie był sen – powiedział, próbując wziąć ją za rękę. – To się działo naprawdę. Nie zwariowałem. Wiedzieli o tym, gdy mnie zamykali...

Cofnęła się przed nim.

– Jens! Porwałś w Vesterbro obcego człowieka. Mówiłeś, że to oficer z wojska. Groziłeś, że go zabijesz.

Raben nie miał pojęcia, co powiedzieć.

– To był nikt – ciągnęła Louise, podchodząc trochę bliżej, ale nadal go nie dotykając. – Ktoś, kogo zobaczyłeś na ulicy. Byłeś chory. Może nadal...

– Nie jestem już chory – upierał się. – Oni mnie nie wypuszczą. Jeśli się nie dowiem, co się dzieje, wsadzą mnie do Herstedvester na wieki.

– Nie... – Wyjęła telefon i podała go mężowi. – To zaszło za daleko. Zadzwoń na policję. Poddaj się. Teraz. – Machnęła telefonem. – Nie każ mi tego robić.

Zamknął oczy, czuł, jak w gardle wzbiera mu śmiech pełen goryczy.

– Jakoś to wyjaśnimy – kontynuowała jego żona. – Potrzebujesz tylko czasu. Rób, co każe Toft. Bierz lekarstwa.

Nie wściekł się. Nie pozwolił sobie na to.

– Louise – powiedział i zanim się zorientowała, chwycił ją za ramiona. – Nie rozumiesz?

Jej oczy połyskiwały. Nie znosił, gdy płakała.

– Ja to wszystko robiłem. Robiłem wszystko, co chcieli. A i tak mnie nie wypuścili. Mają jakiś powód.

Wyrwała ręce i zaklęła.

– Czekam na ciebie dwa lata. Sama. Rozmawiam z lekarzami i prawnikami. Czuję się jak wdowa...

– Robiłem, co kazali – powtórzył bardzo powoli.

– Uciekłeś z więzienia. Obrabowałeś stację benzynową. Jakie niby mamy szanse?

– Ktoś zabił Myga. A potem Grünera.

– Chcę, żebyś wrócił do domu...

Gorączka, wściekłość i tak nadeszła mimo wszystko.

– Mam więc czekać w celi dziesięć lat? – wrzasnął. – Żeby mój syn o mnie zapomniał? Czekać, aż ty odejdiesz z tym podstępny gnojkiem Søgaardem?

Kolejne przekleństwo. Louise odwróciła się i ruszyła do drzwi.

Zawsze rozmawiali. Czasami za dużo. Zanim zostali kochankami, byli przyjaciółmi. Nigdy nie miał lepszego towarzysza niż ona. Więcej niż żona. To się nigdy nie zmieni. W każdym razie on tak sądził.

– Przepraszam – powiedział, doganiając ją. – Naprawię to. Obiecuję. Wiem, co robię.

Nie zatrzymała się.

– Pomóż mi, Louise – błagał. – Tu się dzieje coś złego. Coś bardzo złego.

– Jens. My jesteśmy zwyczajnymi ludźmi...

– Dla mnie nie jesteś zwyczajna. Jesteś najważniejsza na świecie. Ty i Jonas.

Jej jasne oczy zapłonęły.

– Więc dlaczego...?

– Bo chcę być w domu. Z wami. Jeśli będę tylko siedział i czekał...

Wreszcie zaczęła go słuchać.

– Zostaniesz w więzieniu – powiedziała. – Już to zrozumiałam.

– Nie. – Przytrzymał ją. – Skończę jak Myg i Grüner. Martwy.

Rozejrzała się po kościele i znowu skierowała wzrok na niego.

– Zostało nas tylko dwoje – ciągnął. – Lisbeth Thomsen jest ostatnia. Wyjechała z Kopenhagi. W bazie danych w jednostce są jej akta osobowe.

– Jens...

– Muszę ją ostrzec. Weź to. – Podał jej zapasowy telefon Torpego. – Zdobęde gdzieś inny. Jutro rano do ciebie zadzwonię.

Przyłożył dłoń do jej czoła. Było zimne, tak jak ona cała.

– Muszę iść, kochanie. Będą mnie tu szukać.

– Dokąd idziesz?

– Mam całe miasto. – Ruchem głowy wskazał wyjście z kościoła. – Miliony kryjówek.

– Kim ty jesteś? – wyszeptała, wymykając się z jego objęć, gdy próbował ją przytrzymać.

– Twoim Jensem. Jestem tym samym człowiekiem, co zawsze.

Wpatrywała się w niego bez słowa.

– Ucałuj Jonasa ode mnie.

W końcu pozwoliła mu, by się przysunął i szybko pocałował ją w policzek.

Pomyślał, że to cała intymność, jaka im została. Ze wszystkiego innego ich odarto.

Jens Peter Raben odprowadził żonę do drzwi kościoła i patrzył, jak wychodzi. Gdzieś znajdzie jakąś bramę, w której się prześpi. Jakąś kryjówkę w ciemnościach.

\*

Karina przeczytała kolejne fragmenty dziennika.

– Nie pojmuję, jak Monberg i Dragsholm mogli się znać osobiście. PET też tak nie uważa.

– König trzymał całą tę sprawę w tajemnicy właściwie bez powodu – burknął Buch. – I ja mam mu w to uwierzyć?

– PET monitoruje ministrów. Wie pan o tym?

– Na pewno mają zdjęcia, jak jem hot doga. Proszę posłuchać. Wiemy, że tych dwoje spotkało się w hotelu w weekend przed jej śmiercią. Po co?

Zerknęła do dziennika. Monberg przemawiał na seminarium poświęconym prawom człowieka. Organizowała je Amnesty. Dragsholm należała do komitetu organizacyjnego.

– Spędzili razem noc?

Pokręciła głową.

– Skąd wiem? Byłam tam po południu. Nigdy jej nie widziałam. Na pewno nie mieli romansu. Myślę, że bym zauważyła.

Wszedł Plough z ponurą miną. Trzymał nową teczkę. Kolejne zdjęcia nadesłane z miejsca zbrodni w Islands Brygge.

– Kto tym razem? – spytał Buch.

– Były żołnierz z Ryvangen. Inwalida. Kiedyś służył z Mygiem Poulsenem.

Zdjęcia były tak potworne, że Karina nie mogła na nie patrzeć. Kaleka spalony na własnym wózku inwalidzkim. Buch ledwie mógł rozpoznać, co fotografie przedstawiają.

– Premier chce się spotkać z panem i ministrem obrony – powiedział Plough.

Buch ledwie go słuchał.

– Musimy wiedzieć, co łączy Monberga i Anne Dragsholm. Musimy się dowiedzieć, czy Monberg zataił tę informację z pobudek osobistych.

Plough patrzył przez zalane deszczem okna. Wydawał się zakłopotany.

– Powinien pan coś wiedzieć. Normalnie nie wtrącam się w prywatne sprawy ministrów.

Cisza.

– No śmiało – zarządził Buch.

– Przez kilka ostatnich miesięcy Monberg zachowywał się niekiedy dziwnie. Odwoływał spotkania, na których jego obecność była niezbędna. To było do niego niepodobne. Gdy pytałem, zawsze miał wiarygodną wymówkę...

– Do rzeczy – ponaglił go Buch.

Plough zdjął okulary.

– Obawiam się, że nie zawsze znajdował się w miejscu, które wskazywał. Kłamał... – Urzędnik ewidentnie cierpiał. – Okłamywał mnie. Zastanawiałem się, czy aby się z kimś nie spotyka.

Zakasłał.

– Bez wiedzy rodziny, tak jakby.

– Chce pan powiedzieć, że miał kogoś na boku? – spytał Buch.

– Skoro tak chce pan to ująć...

– I że to była Dragsholm?

– Nie wiem, kto to był. Czasami nocował w hotelu w Klampenborgu. Ona mieszkała niedaleko. I wyobrażam sobie, że on też mógł stamtąd łatwo wrócić do miasta.

– PET nigdy o niczym takim nie meldowała – zauważyła Karina. – Monberg był człowiekiem odpowiedzialnym. Gdyby którakolwiek z tych rzeczy wiązała się ze sprawą, którą się zajmował, na pewno by o tym wspomniał.

Buch wyjął z kieszeni czekoladę i przełamał ją nad zdjęciami z miejsca zbrodni. Karina odmówiła poczęstowania się.

– Monberg był ministrem sprawiedliwości – powiedział. – Kto lepiej niż on wiedział, jak się wymknąć PET?

– Myślę, że najlepiej by było, gdyby o żadnej z tych rzeczy nie wspomniał pan w trakcie spotkania z premierem – zasugerował Plough.

– Mnóstwo członków rządu zalicza się do przyjaciół Monberga. Premier. Flemming Rossing, minister obrony, też od lat jest z nim blisko. To delikatna sprawa. Nie możemy tak po prostu o niej paplać.

– Nie mam zwyczaju paplać – zaprotestował Buch.

Jego współpracownicy milczeli.

– Mam? – spytał.

\*

Lund przesłuchiwała Kodmaniego w tym samym pokoju co poprzednio i od początku przejęła kontrolę. Strange w milczeniu chwycił krzesło, wyciągnął notatnik i długopis.

Kodmani patrzył na niego groźnie.

– Powiedziałem, że tylko kobieta.

– To nie tak – odparła Lund. – Mój kolega tylko...

Strange pochylił się nad notatnikiem i udawał, że liże końcówkę długopisu.

– Będzie robił notatki – dodała. I zagadnęła aresztanta: – Chce mi pan coś powiedzieć.

Kodmani pogładził się po długiej czarnej brodzie.

– Chcę pani powiedzieć wszystko, co wiem o Bracie w Wierze. Prawdę.

– Mam nadzieję.

– To prawda. Ci ludzie... ci moi przyjaciele, których aresztowaliście. Oni nie mają z tym nic wspólnego. Powinniście ich wypuścić.

Strange warknął. Lund kopnęła go pod stołem.

– Nie dobijamy targu. Zatrzymujemy tych, których podejrzewamy o popełnienie przestępstwa. Jeśli ci ludzie są niewinni, wyjdą na wolność.

Kodmani chyba zaakceptował jej odpowiedź.

– Wiem, że popełniłem błąd, proszę pani. Wiem, że za to zapłacę. Ale powinienem tylko ja. Nikt inny.

– Jaki błąd?

Odchylił się, splótł ramiona na klatce piersiowej.

– Brat w Wierze trafił do mnie przez stronę. Myślałem, że jest szczery, ale teraz... – Westchnął. – Oszukał mnie jak uczniaka. Powiedział to, co chciałem usłyszeć. Byłem głupcem. Wydawało się, że mnie rozumie. Moją wiarę, politykę, moją nienawiść do...

– Nie spisuję bajeczek tego łajdaka – rzucił Strange i odłożył długopis.

Lund podniosła go i wsadziła mu do ręki, a potem przyłożyła palec do ust. Kodmani patrzył. Chyba mu się to podobało.

– Myślałem, że mogę mu zaufać – ciągnął Marokańczyk. – Był taki... przekonujący. Poprosił, żebym założył skrytkę pocztową na datki. Potem chciał wiedzieć, jak może załadować wideo na moją stronę.

– Czy poprosił też, by zabił pan kilka osób? – spytał Strange, nie odrywając wzroku od notesu.

Lund zgromiła go wzrokiem.

– Nigdy nie prosił mnie o zrobienie niczego, co by wyglądało podejrzanie – odparł Kodmani. – Nic takiego nie wchodzi w grę. Nie jestem typem wojownika.

Pochylił się do przodu i wbił wzrok w Lund.

– Moją jedyną zbrodnią jest to, że dzięki temu czułem się dobrze. Z początku. Kiedy widziałem, że wasi ludzie też umierają. Odbierałem to tak, że spotyka was kara. Poczułem się usprawiedliwiony...

– A potem? – spytała Lund.

– Pokazaliście mi te zdjęcia. Wiedziałem, że za to zapłacimy.



Lund potrząsnęła głową.

– Co to znaczy?

Roześmiał się.

– Myślałem, że jesteście od nich mądrzejsi. Ale wy widzicie tylko to, co chcecie widzieć. Ci mordercy to nie są moi ludzie. To ktoś inny. Ktoś, kto nas nienawidzi.

– Kto?

– To wy jesteście policją, prawda? – Uśmiechnął się szyderczo. – Szukajcie ich. Ja nikogo nie zabiłem. I nikt z moich znajomych. Ale Brat w Wierze...

– W jakim języku do pana pisał?

– Głównie po angielsku. Czasami po arabsku.

Nagle spojrzenie pełne odrazy.

– Żeby zrobić na mnie wrażenie. Nie był w tym dobry. Myślę, że zdawał sobie z tego sprawę. Raz go spytałem, skąd pochodzi. – Kodmani wzruszył ramionami. – Nie odpowiedział.

– Pisał o oddziale wojskowym? O Anne Dragsholm?

– Nie.

Zamilkł.

– To za mało, Kodmani...

– To on mi wysyłał maile. Przez niego się podjarałem. Słowa, których użył Brat w Wierze... – Kodmani zerknął na Strangego – były bardzo precyzyjne i krótkie. Mówił jak człowiek u władzy.

Znowu wychylił się do przodu, nagle zdenerwowany.

– Mówił jak żołnierz. Tak. On był żołnierzem.

– Och, daj spokój – warknął Strange. – Skąd możesz to wiedzieć?

Kodmani spojrzał na niego groźnie.

– Ona mi zadaje pytania. Nie pan. – Znowu spojrział na Lund. – Brat w Wierze jest żołnierzem. Jestem tego pewny. Albo może...

– Może?

– Może kiedyś był żołnierzem.

\*

Tak jak poprzednio Brix z Königem przyglądali się przesłuchaniu z za lustra. Po zakończeniu przesłuchania spotkali się z Lund i Strangem.

Szef PET jeszcze nigdy nie wyglądał tak żałośnie.

– Ja jeszcze nie skreślałam Kodmaniego – rzekł. – Ta cała historyjka o Bracie w Wierze wydaje mi się sfabrykowana. Co on ma na jej potwierdzenie?

– Mówi, że to Brat w Wierze stoi za Ligą Muzułmańską – zauważyła Lund. – Wideo, powiązania z wojskiem, nieśmiertelniki. Nie mamy nic, co by wskazywało na ludzi Kodmaniego.

– Nic – potwierdził Brix. – Musimy się skupić na Ryvangen i znaleźć motyw.

– Jaki motyw? – spytał Strange. – Kodmani ma motyw. Jeśli jeden z jego ludzi tego nie zrobił...

Lund odwróciła się do Königa.

– Niech nam pan powie, co wiecie o oddziale Rabena.

Człowiek z PET nie lubił być naciskany.

– To była porządna drużyna. Raben był ich dowódcą od dwóch lat. Służyli w Iraku. Mieli dobre notowania. To samo w Afganistanie.

– Co robili? – pytała dalej.

– Byli żołnierzami – odparł König, jakby to wystarczało za odpowiedź. – Na linii frontu. Wielkie doświadczenie w walce. Na ostatniej misji oddział oberwał w ataku samobójczym.

– Gdzie są teraz ci ludzie?

Strange zajrzał do notatek.

– Poulsen i Grüner nie żyją. Trzeci żołnierz przed rokiem zginął w wypadku samochodowym. Pozostaje więc Raben i Lisbeth Thomsen. Po powrocie wystąpiła z wojska. Nikt nie wie, gdzie obecnie przebywa.

– Moment – przerwała Lund. – Dragsholm nie należała do oddziału. Była tylko z nim powiązana. Zgadza się?

– Tak – odrzekł König. – Anne Dragsholm reprezentowała w śledztwie całą piątkę ocalałych żołnierzy.

– W jakim śledztwie?

– W sprawie ich ostatniej misji. Dlaczego doszło do... – zawahał się na ułamek sekundy – ...do tych wydarzeń.

Brix nie odrywał od niego wzroku.

– Do jakich wydarzeń?

König się wiercił.

– Kilku miejscowych cywili twierdziło, że Raben i jego drużyna wymordowali afgańską rodzinę w jej domu. Dlatego właśnie zostali zaatakowani. To nie talibowie próbowali ich zabić. To sami wieśniacy.

– I? – spytała Lund, skoro wszyscy inni milczeli.

– Prokurator wojskowy całkowicie oczyścił ich z zarzutów.

– Chwila, chwila. – Ani myślała odpuścić. – Rozmawiałam z mężem Dragsholm. Był jakiś spór. Przebadła wojsko tak dobrze, że aż ją zwolniło.

König potrząsnął głową.

– Może i tak mu powiedziała, ale w rzeczywistości to Dragsholm złożyła rezygnację. Mamy w aktach jej pismo.

Ktoś zapukał do drzwi. Ruth Hedeby poprosiła Königa na słowo.

– Nadal tego nie rozumiem – dodał przed wyjściem. – Kodmani twierdzi, że ten Brat w Wierze był z wojska. Załóżmy, że to prawda. To ktoś, kto wrócił z Afganistanu. Dlaczego miałyby czekać z zemstą na dawnych towarzyszach? Nie... to się nie zgadza.

Wyszedł.

– Co orzekł proukator? – spytała Lund po wyjściu Königa.

– To śledztwo miało wyjaśnić, czy popełniono zbrodnię na ludności cywilnej – wyjaśnił Strange. – Rabenowi i jego drużynie można by było postawić zarzut...

Lund spojrzała na Brixa.

– Chcę, żeby na mój adres przesłano kopię, jak tylko ją zdobędziecie.  
– Chwyciła torebkę. – Musimy znaleźć Lisbeth Thomsen. I...

– Lund – przerwał jej Strange.

O czymś zapomniała.

– Ciasto – powiedział cierpliwie. – Musisz dowieźć ciasto, które kupiłaś.

\*

Brix poszedł do pokoju obok wezwany przez Ruth Hedeby. Rozmawiała z Erikiem Königem. Uśmiechnęła się do niego, gdy tamten wyszedł.

Potem obeszła stół, ugniatając dłonie. Brix zapiął marynarkę.

– Co się stało? – spytał.

– Rozumiem, że jednak postanowiłaś zatrzymać Lund.

Brix przemyślał wszystkie ewentualne odpowiedzi, których mógłby udzielić na to pytanie. Na przykład że König prosił, żeby ją zatrzymać. Albo że zawsze była o krok przed wszystkimi.

– A to problem? – spytał jednak.

– Nie, Lennart. To nie problem, o ile nie obchodzi cię twoja kariera.

Podszedł do okna, spojrzął na ruch w oknach biur naprzeciwko.

– Omawiasz moją przyszłość z Erikiem Königiem? Odbieram to jako lekko obraźliwe. Z tego co słyszę w ministerstwie, on ma większe powody do zmartwień...

– Ja rozmawiam z ministerstwem! – krzyknęła Hedeby, patrząc w jego wyrazistą kamienną twarz. – Nie ty.

Brix milczał.

– Och, wiem, Lennart. Od lat krążysz po wszystkich ważnych korytarzach. Nie jesteś zwykłym szefem Wydziału Zabójstw, prawda? Masz wszędzie przyjaciół.

Uśmiechnął się.

– Jestem zwierzęciem towarzyskim. Ty akurat najbardziej powinnaś to doceniać.

– Jeśli w ministerstwie ktoś jest pod presją, to sam Buch. Widziałeś go w telewizji? Kupa sadła...

– Co się dzieje? Mam prawo wiedzieć. Jeśli wy z Königiem coś wiecie...

Ruth Hedeby wyciągnęła ręce i poprawiła mu jedwabny krawat.

– Jesteś aroganckim łajdakiem.

– Zdaje się, że wspomniałaś już o tym parę razy.

Jej ręka przesunęła się po jego doskonale wyprasowanej białej koszuli.

– Mam dzisiaj wieczorem trochę wolnego. Spotkamy się później?

Przyglądała mu się niespokojnie.

– Najlepiej u ciebie, Lennart. Nie chcemy, żeby nam przeszkadzano, prawda?

On nadal milczał.

– Uznaję to za odpowiedź twierdzącą – orzekła Hedeby. – O dziesiątej. Przyniosę wino.

– Nie. – Brix zrobił przestraszoną minę. – Wino zostaw mnie, proszę.

Uniosła brew.

– Tak będzie lepiej – dodał.

\*

Buch powoli zaczynał orientować się w labiryncie Slotsholmen, więc pokonywał go sam. Jaskrawoczerwony hot dog posypany smażoną cebulką, z ogórkiem konserwowym i sosem remoulade dawno zniknął, zanim minister znalazł kładkę prowadzącą do pałacu Christiansborg. Wchodząc do gabinetu premiera, wycierał tłuste palce o spodnie od garnituru.

Oglądali wiadomości w telewizji. Trzecie morderstwo. Media znały nawet nazwisko ofiary – David Grüner – i wiedziały, że służył kiedyś w Ryvangen.

Gdy pojawił się Buch, Grue Eriksen i Flemming Rossing pochłonięci byli rozmową. Rossing – elegancki mężczyzna, zawsze doskonale ubrany, z uderzającą wyrazistą twarzą zdominowaną przez rzymski nos i wspomnienie włosów o gładkości i staranności orlich piór – podniósł brew, gdy dostrzegł, że Buch ukradkiem wyciera ręce w zasłony Grue Eriksena.

– Znowu kolacja na mieście? – spytał.

– W tej chwili mam czas wyłącznie przekąsić coś w biegu.

Nigdy nie przepadał za tym człowiekiem. Przy niewielu okazjach, gdy musiał zadawać pytania Ministerstwu Obrony, Rossing zdawał się go lekceważyć, jak przystało na kogoś z partyjnej starej gwardii. Ci postrzegali Bucha jako parweniusza robiącego karierę na plecach

zabitego brata. Cokolwiek by zrobił, nie wpłynęłoby to na zmianę ich opinii.

„Podobnie jak dwie poprzednie ofiary – ciągnął prezydent w wiadomościach – Grünera zamordowano z bezwzględny okrucieństwem”.

– Skąd oni to wszystko wiedzą? – jęknął Grue Eriksen. Sprawiał wrażenie głęboko dotkniętego. – Czemu nikt nie pomyśli o żonie tego biedaka?

Buch zajął miejsce naprzeciwko nich, przy oknie. Widział, jak na placu na zewnątrz, w bladym świetle latarni, truchta samotny koń w deszczu, ciągnąc powóz, w którym siedzi mężczyzna w mundurze, opatulony przed zimnem.

– Powiadomiono ją bardzo szybko – odparł Buch. – Dopilnowałem tego. Do wydarzenia doszło w miejscu publicznym, wybuchło spore zamieszanie. Nie mogliśmy tego wyciszyć.

Premier sprawiał wrażenie niezadowolonego z tej odpowiedzi. Wszedł asystent i podał mu telefon. Premier podszedł do okna i zaczął rozmawiać przyciszonym głosem, tak by pozostali go nie słyszeli.

Rossing wstał i uścisnął Buchowi rękę.

– Szkoda, że w tak niemiłych okolicznościach.

– Spóźniłem się na coś?

– Tylko na skrót wydarzeń. – Uśmiechnął się wyćwiczonym uśmiechem, przyjaznym, ale pozbawionym ciepła. – A tyle się wydarzyło, odkąd objął pan urząd. Jak pan sobie radzi?

– Nadążam – odpowiedział Buch.

– Zuch. – Rossing mocno klepnął go w ramię. Męskim gestem, którego może nauczył się w wojsku. – Dobrze się pan spisuje. Monberg... – Na wzmiankę starego przyjaciela twarz Rossinga przybrała bardziej ludzki wyraz. – Myślę, że ucieszyłby się na wieść, że to pan

objął po nim schedę. Poza tym... skoro wcześniejsze trudności nadszarpnęły jego zdrowie, jak teraz by sobie poradził?

– Zaczynamy – oznajmił premier, zakończywszy rozmowę.

Asystentka podała kawę i wykwintne ciasteczka, a potem zostali sami ze swoimi dokumentami.

– Zajmuje się tym policja i PET – powiedział Buch, gdy już przedstawił stan śledztwa.

– To potrwa jakiś czas? – spytał Grue Eriksen.

– Na to wygląda.

– Nie mamy czasu – gderał Rossing. – Te łajdaki wiedzą, że staramy się osiągnąć porozumienie w sprawie pakietu antyterrorystycznego. Nie możemy czekać, aż Agger nabierze rozumu. Ona zbiera głosy.

Buch wziął głęboki oddech.

– Przyjęła postawę nieugiętą, przyznaję... – powiedział.

– Nieugiętą? – krzyknął Rossing. – Ta kobieta zrobi wszystko, żeby zyskać w sondażach. Nieważne, jak nisko padnie cios. Musimy natychmiast osiągnąć porozumienie z Krabbem i Partią Ludową. Jeśli to oznacza delegalizację tych nieokreślonych insektów, których tak bardzo nie znoszą, to... – westchnął i rozłożył ręce – jaki mamy wybór? Dobijmy targu i miejmy to za sobą.

– To nie jest takie proste.

Obaj mężczyźni skierowali wzrok na Thomasa Bucha.

– Niestety – dodał – wyłapaliśmy tych ekstremistów, ponieważ PET ich obserwowała. Ale nie ma bezpośredniego dowodu na to, że mają coś wspólnego z tymi morderstwami. Ani jednej z aresztowanych osób nie można powiązać z miejscem zbrodni.

– Thomasie... – zaczął Rossing.



– Mamy w areszcie niemal każdego znanego bojownika w Danii. A i tak popełniono kolejne morderstwo. Zakazanie im działalności z powodu tej sprawy byłoby nieskuteczne i niewłaściwe.

– Ostrożność i cierpliwość są doskonałe na czas pokoju – zauważył Rossing zjadliwie. – Gdybyśmy teraz właśnie mieli pokój, zgodziłbym się z panem.

– Ja również – dodał Grue Eriksen. – Musimy okazać stanowczość.

– Musimy zademonstrować sprawiedliwość – zaprotestował Buch. – Jeśli zakazemy tym ludziom działalności, a potem okaże się, że są całkowicie niewinni...

– Oni nie są całkowicie niewinni, nieprawdaż? – zauważył Rossing. – Gdyby byli, PET by ich nie obserwowała.

– Inne kwestie zaciemniają tu obraz. Oni mogą nie mieć nic wspólnego z tą kreaturą Kodmanim i jego żalosnymi zwolennikami.

Grue Eriksen w zamyśleniu wsparł policzek o pięść. Potem Rossing zrobił to samo. Buch znowu poczuł się jak uczeń wezwany do gabinetu dyrektora, przy czym tym razem słuchał go również prefekt.

– Wygląda na to, że Monberg osobiście znał pierwszą ofiarę, Anne Dragsholm – powiedział, obserwując ich twarze. Nie dostrzegł żadnej reakcji. – Trzymał to w tajemnicy.

– Skąd ją znał? – spytał Rossing. – Co ma do powiedzenia PET?

– PET nic nie wie...

– Monberg jest moim przyjacielem! – krzyknął Rossing. – Jednym z najporządniejszych ludzi, jakich znam. Nie muszę wysłuchiwać ploteczek...

– Obawiam się, że to nie jest plotka. Znaleźliśmy jego dziennik. Wiemy, że się spotykali. Wiemy, że rozmawiali o...

Rossing w desperacji wyrzucił ręce w powietrze.

– Jeśli PET się tym nie zainteresowała, to znaczy, że nas to również nie interesuje.

– Thomasie – włączył się Grue Eriksen. – Czy pan nam czegoś nie mówi?

Powóz właśnie odjeżdżał z placu. Deszcz padał pod kątem czterdziestu pięciu stopni. To było trudne nawet dla jeźdźca królowej.

– Powiedziałem panom wszystko, co mi wiadomo w tej chwili.

– Dobrze – rzekł premier. – Niech PET zajmie się swoją robotą, a my się zajmujemy swoją. Musimy przeprowadzić pakiet przez parlament. Może to pochopne oskarżać tę konkretną organizację. Ale wszyscy czytaliśmy plugastwa, które oni rozpowszechniają.

– Może jest to nikczemne, ale nie nielegalne.

– Ci ludzie są nastawieni wrogo wobec wszystkiego, za czym my się opowiadamy – przerwał Grue Eriksen. – Jeśli Birgitte Agger chce narzekać, gdy podejmujemy działania przeciwko nim, to niech sobie narzeka. Nie sądzę, by szary człowiek z ulicy podał jej rękę.

– Prawo...

– Prawo jest takie, jakie my stanowimy! – W tym momencie premier nie wyglądał zbyt dobrotliwie. – Chcę, żeby spełnił pan żądania Krabbego. Żeby pan dopisał kilka nazw do listy zakazanych organizacji. On nas trzyma za jaja i doskonale o tym wie. Niech pan podpisze umowę z Partią Ludową, żebyśmy mogli to jak najszybciej obwieścić.

Buch milczał.

– Może pan to zrobić? – spytał Flemming Rossing.

– Szeroka ugoda byłaby lepsza.

– Szeroka ugoda jest niemożliwa! – krzyknął Grue Eriksen. – To już chyba pan zrozumiał. Wiem, że jest pan nowy w rządzie. Ale...

Czekał na odpowiedź, choć wiedział, że żadna nie padnie.

– A więc to wszystko – oznajmił premier, przerywając milczenie.

\*

Po otrzymaniu informacji z Politigården pułkownik Jarnvig wezwał na odprawę Søgaard i Bilal. Siedli we trzech w jego gabinecie nad planem transportu żołnierzy i sprzętu.

– Z tą ostatnią wysyłką i tak mamy dość kłopotów – burknął. – Nie trzeba nam więcej. Jak nastroje?

– Nie najlepsze – przyznał Søgaard. – Wprowadziliśmy kilka szkoleń o środkach bezpieczeństwa, tutaj i za granicą. Niektórzy jeszcze spróbują się wycofać.

– Najpierw będą musieli wyjaśnić to mnie – powiedział Bilal.

– I mnie – dodał Søgaard. – Ale mają prawo odmówić służby w warunkach wojennych. I niektórzy odmówią. Może nie będzie ich wielu, ale...

Jarnvig się skrzywił.

– Jeśli ktoś za bardzo się boi, by walczyć, to ja go tam nie chcę. Co jeszcze możemy zrobić?

– Zaprosiliśmy na spotkanie żołnierzy oraz ich rodziny – odrzekł Søgaard. – Jutro Bilal z nimi porozmawia.

– Teraz będą pytać o Grünera – powiedział Bilal. – Co mam mówić?

– Prawdę – odparł Jarnvig. – To sytuacja przejściowa i nietypowa. Nie potrwa długo. Wszystko uporządkujemy i wyjaśnimy.

Spojrzał najpierw na jednego, potem na drugiego z podwładnych.

– Jesteśmy żołnierzami. Pełnimy służbę. Radzimy sobie z bieżącą sytuacją i nie stawiamy pytań. To nasz obowiązek. Oni to wiedzą. Prawda?

– Wiedzą – odrzekł Bilal stanowczo, zanim zdołał odpowiedzieć Søgaard.

– Świetnie.

Ciemnowłosy oficer się nie poruszył.

– Grüner służył w tym samym oddziale, co Myg Polsen. Zabita kobieta, prawniczka, też miała z nimi coś wspólnego.

– Co ty mówisz? – spytał Jarnvig.

– Ludzie gadają.

– Niech gadają – przerwał Søgaard. – To w niczym nie pomaga. My tu nic nie ukrywamy. Policja...

– Udzielimy im wszelkiej niezbędnej pomocy – zaznaczył Jarnvig. – Jeśli poproszą o akta, dostaną je. Tylko dopilnujcie, żeby mnie najpierw o tym powiadomić.

Bilal wstał z rękoma posłusznie splecionymi na plecach. Nie wyglądał na zadowolonego.

– A co z Rabenem? – spytał. – On był dowódcą oddziału. Uciekł z Herstedvester...

– Czemu, na Boga, wyciągasz teraz Rabena? – warknął na niego Søgaard.

– Przyjdzie szukać dawnych towarzyszy – odparł Bilal. – Niedługo zacznie tu węszyć.

Søgaard się roześmiał.

– Jeśli będzie na tyle głupi, osobiście wsadzę go do celi.

Bilal nie odpowiedział.

– Tak? – spytał Jarnvig.

– Widziałem Rabena w akcji. Jest dobry. Jeśli nie będzie chciał, żeby go złapano, w ogóle go nie zobaczymy. Ma tutaj przyjaciół...

– Jeśli niepokoi cię lojalność mojej córki, Bilal – przerwał Jarnvig – powiedz to wprost.

Młody oficer milczał.

– Świetnie. – Pułkownik kiwnął głową w stronę drzwi. – To wszystko. Louise weszła, zanim tamci zdążyli się oddalić.

– Masz chwilę, tato? – spytała.

– Nie teraz. Dopilnuję, żeby jutro z sutereny wyniesiono meble. Wtedy możesz zacząć tam pracować.

Pokręciła głową.

– Słyszałam o Grünerze. On też był w oddziale Jensa. Co się dzieje?

– Nie wiem. – Jarnvig wpatrywał się w nią intensywnie. – Policja mi powiedziała, że Jens znajdował się na miejscu zbrodni tuż przed jej popełnieniem. Szukają go.

– Och, na miłość boską! Chyba nie myślisz...

– Nie wiem, co myślę. Policja będzie obserwować ciebie i Jonasa.

– Już to robią. Nie jestem przestępcą.

Włożył beret i sięgnął po dokumenty.

– Ale twój mąż jest, Louise. To nie twoja wina. Jeśli Jens się z tobą skontaktuje, musisz mi o tym powiedzieć.

Bilal i Søgaard stali w głębi gabinetu, milczeli, wbijając wzrok w ziemię. Słuchali całej rozmowy.

– Louise? – odezwał się znowu Jarnvig. – Słyszałaś? Zgadzasz się?

Nagle ona podniosła wzrok na jego twarz i kiwnęła głową.

– Tak jest, panie pułkowniku – powiedziała.

Tego tonu używała, gdy była zbuntowaną nastolatką. Wtedy również nic dla niej nie znaczył.

– Dobrze. Musimy iść. W szufladzie jest kilka brudnych koszulek gimnastycznych. Możesz mi je uprać?

Zasalutowała mu. A potem im.

Torsten Jarnvig mruknął coś pod nosem i wyszedł wraz ze swoimi oficerami.

Koszulki były tam, gdzie zawsze je zostawiał. W koszu przy biurku. Spojrzała na komputer. Ojciec nigdy nie pamiętał, że należy się wylogować, a system robił to automatycznie dopiero po dziesięciu minutach.

Louise Raben siadła przy biurku. Zawahała się tylko chwilę, nim zaczęła uderzać w klawisze.

Ojciec był dowódcą jednostki. Miał dostęp do danych, których ona nigdy nie widywała w szpitalu. Gdzieś tu była Lisbeth Thomas. Louise musiała tylko ją wytropić, a następnie wyjść z systemu.

\*

W drodze powrotnej z Islands Brygge Lund nie pozwoliła Strangemu wejść do cukierni. Wiedziała, że on by się mądrzył, które ciasto należy kupić. I pewnie miałby rację. Na ciastach nie za bardzo się znała. Wybrała więc czekoladowe. Czekoladowe lubili wszyscy.

Gdy Lund przebierała się w świeże ciuchy, jej matka zasiadła do krojenia ciasta wielkim ostrym nożem.

Praca jak zawsze nie dawała o sobie zapomnieć. Lund wkrótce stała w salonie Vibeke w Østerbro i rozmawiała przez telefon z technikiem, który zadzwonił i bardzo wymijająco wypowiadał się o raportach.

– Chcę je mieć rano – ucięła. – I koniec.

Niezbyt była zainteresowana wykładem o prawach fizyki. Jedzeniem właściwie też nie.

Bjørn i jej matka siedzieli na kanapie nad dzbankiem kawy, skubali ciasto i przeglądali papiery dotyczące sobotniego ślubu.

– Dzięki – rzuciła Lund do słuchawki i zakończyła rozmowę. –  
Przepraszam, mamó. Teraz już jestem wyłącznie do twojej dyspozycji.

– Spójrz na to – powiedziała Vibeke.

Był to wydruk z rozmieszczeniem gości przy stole. Ponad trzydzieści osób, przyporządkowane nazwiska, wyznaczone miejsca.

– Zdecydowaliśmy się na tradycyjne ustawienie stołów w podkowę.

Bjørn kiwnął głową.

– Tak jest najmilej – dodał.

– Na pewno – przyznała Lund, zastanawiając się, o czym oni mówią.

– Ale w naszym ślubie poza tym nie ma nic tradycyjnego! – oznajmiła radośnie Vibeke.

Nigdy jeszcze nie widziała matki tak zadowolonej, w każdym razie na pewno nie widziała jej takiej od lat. Od czasów gdy sama była spokojnym, samotnym dzieckiem z dwojgiem rodziców, którzy wydawali się kochać nawzajem.

Bjørn, cokolwiek pękaty i dość łysy, bardziej jej wyglądał na dziadka niż na ojczyma. Był kilka lat starszy od matki. Trudno zresztą ocenić. Lund uznawała za naturalne, że zerka na obcych i próbuje ich zrozumieć, zajrzeć pod maskę. Ale jakimś cudem osoby jej bliskie były dla niej mniej czytelne niż obce.

– Bardzo dobre to ciasto – zauważył Bjørn, częstując się trzecim kawałkiem.

– Widzisz, gdzie siedzisz? – spytała Vibeke, wskazując kartkę.

– Mogę koło Marka?

– Chcielibyśmy, żebyś zajęła miejsce tutaj. Bardzo nam na tym zależy.

– W matczynym tonie odżyła naturalna zastraszająca nuta. – Kuzyn Bjørna przyjechał sam do miasta, bo jego żona zachorowała.

– To chłopak ze wsi – dodał Bjørn, po czym zaczął kaszleć. – Ktoś musi się o niego zatroszczyć. Przepra...

Zakrył dłonią usta. Okruchy czekoladowego ciasta poleciały w powietrze.

– Oczywiście możesz kogoś przyprowadzić – dodała Vibeke. – Jeśli musisz.

Lund pokręciła głową.

– Nie masz chłopaka? – spytał Bjørn. – Taka młoda i ładna... Jeśli takie stare dziadki jak my możemy coś zaradzić...

– Sarah właśnie ma przerwę – przerwała Vibeke, po czym poklepała go po kolanie, bo znowu zaczął kaszleć.

Twarz Bjørna poczerwieniała. Lund widziała etykietkę od ciasta. Znajdowała się po jej stronie stołu. „Składniki”... Wyciągnęła rękę i ukradkiem oderwała ją od opakowania, po czym zwinęła i schowała do kieszeni.

– Ja też miałem przerwę – opowiadał Bjørn, głosem nagle ochrypłym. – Ale wtedy pojawiła się twoja matka i musiałem się dobrze zastanowić. Mówiła ci, jak się poznaliśmy?

Zabrzączał telefon Lund. Vibeke spojrzała na niego groźnie. Dzwonił Strange. Powiedział, że przechodzi w drodze do domu. Czekał na zewnątrz i miał coś.

– Jak? – spytała Lund, rozłączając się.

– *Yesterday* – zanucił do melodii starej piosenki, po czym pocałował Vibeke w policzek.

– Poznaliśmy się w second-handzie – wyjaśniła matka. – Bardzo dobrej jakości. Nie żadnym takim ze śmieciami z akcji charytatywnych czy coś...

– Oczywiście, że nie... – zgodziła się Lund.



– Szukałem płaszcza... – urwał i uderzył się pięścią w klatkę piersiową. – Dobrej marki. Nagle...

Zadzwoił dzwonek u drzwi. Lund przeprosiła i wstała, by otworzyć, starała się ignorować coraz głośniejszy kaszel za sobą.

W progu stał Strange. Deszcz kapał z niego na podłogę. W plastikowej torbie miał dwie teczki.

– Znalazłem raport prokuratora wojskowego, o który prosiłaś. I akta Lisbeth Thomsen.

Wzięła od niego dokumenty.

– Są jakieś wskazówki na temat jej obecnego miejsca pobytu?

Pokręcił głową. Nagle odniosła wrażenie, że jest bardzo zmęczony.

– Rok temu podnajęła swoje mieszkanie. Co trzy miesiące wraca po pocztę i odbiera czynsz. Nic więcej nie wiem.

Lund wertowała już raport prokuratora.

– Może chce być sama – zasugerował. – Ona też szkolila się z siłami specjalnymi, razem z Rabenem. Jeśli zechce się ukryć...

– Dlaczego miałyby się ukrywać?

Spojrzał na nią.

– Ty pojechałaś aż do Gedser, prawda?

– To nie to samo.

Usłyszała za sobą hałas. Vibeke pomagała Bjørnowi dojść do drzwi. Wyglądał okropnie, dyszał ciężko i pocił się intensywnie. Przez jedną straszną chwilę Lund sądziła, że Bjørn zwymiotuje. Odsunęła się i przepuściła ich.

– Musimy iść – powiedziała jej matka. – Bjørn źle się czuje.

– Przykro mi.

Oczy miał podpuchnięte. Miły, wydawał się bardziej zakłopotany niż zatroskany.

– Na pewno w tym cieście nie było orzeszków? – spytała matka.

– Noo... pytałam.

Strange zakasłał w kułak i wbił wzrok w podłogę.

– Gluten też może wywołać uczulenie – zapewnił szybko Bjørn. – To naprawdę drobiazg. Przyzwyczailem się. Dobrej nocy...

Z ręką na poręczu bardzo ostrożnie pokonywał schody.

Vibeke została.

– A pan to...? – spytała podejrzliwie, taksując Strangego wzrokiem.

Wyciągnął rękę i uśmiechnął się. Odwzajemniła uśmiech i już po sekundzie potoczyła się między nimi rozmowa tak swobodna i przyjazna, że Lund poczuła się niepożądanym świadkiem. Kilkoma krótkimi zdaniem Strange omówił kwestię pogody, złożył życzenia z okazji rychłego ślubu i zapewnił, że zgubne ciasto rzeczywiście nie zawierało orzeszków, a w każdym razie wedle zapewnień cukiernika.

Vibeke zostałyby dłużej, gdyby na dole Bjørn nie zaczął jęczeć pomiędzy kolejnymi atakami kaszlu.

Posłała Ulrikowi Strangemu spojrzenie, którego Lund nie widziała od czasów, gdy sama była nastolatką, a dzwonił jakiś chłopak. Lund tego spojrzenia nie znosiła. Mówiło: „Jaki miły młody człowiek”.

– Aż trudno uwierzyć, że jest pan policjantem – powiedziała Vibeke, życząc obojgu dobrej nocy. – Gdyby zobaczył pan niektórych. To zwierzęta...

Strange zasalutował. A gdy Vibeke znalazła się poza zasięgiem głosu, Lund jęknęła:

– Zaraz chyba zwymiotuję.

– Ale to nie przez ciasto?

– Nigdy nie wiadomo, czy coś zawiera orzeszki, czy nie.

Pokręcił głową.

– Wspierałem cię. Tak właśnie robią partnerzy, pamiętasz?

Machnęła dokumentami, gotowa wrócić do mieszkania.

– Poprosiłem pułkownika Jarnviga, żeby przyjechał jutro o tym porozmawiać – dodał Strange.

– I nadal nic nie wiadomo o Rabenie?

– Nie.

– Dobra. A więc do jutra.

Strange ani drgnął. Nie był już taki pewny siebie.

– Lubię ciasto – powiedział. – Z orzeszkami. Bez orzeszków. Jestem...  
Zatupał nogami.

– Zaparkowałem daleko stąd. Musiałem brnąć przez deszcz. Zmarzłem. – Rozejrzał się, zerknął do pustego mieszkania. – Kawę też masz?

– I co jeszcze? – spytała.

– Kawa i ciasto na razie wystarczą.

W jego oczach błysnęła nadzieja. Wyglądał przy tym młodo i raczej niewinnie.

– Dobrej nocy – powiedziała i zamknęła drzwi.

\_Czwartek

\_17 listopada

\_9.03

Louise Raben wzięła do przedszkola samochód ojca. Gdy dojeżdżała do dworca Østerport, zadzwonił telefon.

– Jedź na Dampfærgevej. Do promów. Zaparkuj na tym wielkim parkingu.

Oznaczało to kilka minut drogi.

– Masz transport? – spytała.

Chwila ciszy.

– Kapelan pożyczył mi wóz. Dowiedziałaś się czegoś?

– Mam kilka dokumentów. Znalazłam akta Thomsen, ale był w nich tylko jej kopenhaski adres.

– Ona pochodzi z Hirtshals.

– W aktach nic o tym nie ma.

– Miała w Szwecji wujka. Mieszkał na jakiejś wyspie.

Louise wyjęła z torebki wydruki i rozłożyła je na fotelu pasażera. Przejrzała je, gdy stanęła w korku.

– Thomsen jeździła tam na urlop – mówił Raben.

Tyle papierów. Wszystko w języku wojskowych, enigmatycznym, oschłym, zwięzłym, bezceremonialnym. Na trzeciej kartce rzuciło się jej w oczy kilka linijek.

– Jest tu notatka. Wujek już nie żyje. Wzięła przepustkę na pogrzeb. Odbył się w miejscowości o nazwie Skogö.

– O właśnie. Jeździła tam do jego chałupy.

Na parkingu stało niewiele samochodów. Louise powoli krążyła po alejkach.

W pobliżu przystani zobaczyła szare renault. Ze wstecznego lusterka zwisał wielki srebrny krzyż. Za kierownicą, ledwie widoczny, kulił się mężczyzna w czapeczce bejsbolowej.

– Wjedź na następne miejsce po lewej – powiedział Raben. – Śledzą cię. Czarny saab, pięćdziesiąt metrów za tobą. Dwóch mężczyzn, jeden z brodą.

– Jens...

Wykonała jego polecenie, a potem spojrzała w lusterko. Zobaczyła przejeżdżający nieoznakowany wóz policyjny. Jeden z mężczyzn w środku coś mówił, starając się na nią nie patrzeć.

Gdy się zbliżyli, Jens schował się pod deską rozdzielczą. Zobaczyli tylko pusty samochód. Zawsze mówił, że jest w tym dobry. Nie wątpiła w to. Nie chciała wiedzieć, w czym jeszcze się doskonalił.

– Nie chcę cię w to mieszać – powiedział, wyłaniając się spod kierownicy, gdy czarny samochód zniknął za rogiem.

– Więc dlaczego prosiłeś, żebym włamała się do komputera w jednostce?

– Zadzwoń do ciebie, jak będę mógł.

– Jens!

Chciała wysiąść, podejść, szybkim ruchem otworzyć drzwi samochodu Kapelana i wyrzucić mu wszystko prosto w twarz.

Ale nie mogła. Łatwiej było to powiedzieć do mikrofonu, wiedząc, że niewidoczne słowa pokonają te kilka metrów pomiędzy nimi, głosem, który nie zdołał ukryć jej bólu.

– Już nie dam rady. Mam trzydzieści cztery lata i chcę odzyskać swoje życie.

– Posłuchaj...

Mogła niemal dojrzeć jego sokole oczy w tamtym samochodzie, skupione na niej.

– Nie. Ty posłuchaj. Podjęłam decyzję – powiedziała. – Nie wyprowadzam się z koszar. Wojsko będzie naszym domem. Będę miała pracę w szpitalu. Potrzebuję pieniędzy. Odrobiny stabilizacji.

– Nie rób mi tego...

Poczuła, że ogarnia ją wściekłość.

– Tobie? Tobie?! A co ze mną? Z moim synem? Czekam od dwóch lat, a ty teraz uciekłeś jak złodziej.

– Jesteś moją żoną.

– Ale nie twoją niewolnicą, do cholery! Nie będę wiecznie czekać. Jestem człowiekiem. Nie jestem z kamienia czy coś tam... Ach, pierdolić to.

Wysiadła. Chciała mu to powiedzieć prosto w twarz.

Do widzenia. Koniec. Nie umiała zakończyć przez telefon małżeństwa, które tak pielęgnowała.

Silnik szarego samochodu uruchomił się z rykiem. Opony pisnęły i gdy się zbliżyła, renault ruszyło w stronę miasta.

Louise Raben się rozejrzała. Nie widziała czarnego saaba. Może odjechali, co wydawało się dziwne.

– Jens? – powiedziała do telefonu.

Ale po drugiej stronie nikogo nie było.

\*

W Politigården Jarnvig stawiał się w mundurze. Zaprowadzono go do tego samego pomieszczenia, w którym przesłuchiowano Kodmaniego: pułkownik siadł na środku, a Strange i Lund po jego bokach.

Ona podsunęła mu raport prokuratora wojskowego.

– Ten dokument mówi o ofiarach wśród cywili. O co chodzi?

– O to, co zwykle.

– Zwykle? Jakie zwykle?

– To wojna. Giną ludzie. Staramy się unikać zniszczeń ubocznych, ale... – Westchnął, jakby to wszystko go nużyło. – Walczymy w miasteczkach i wioskach. Czasami w domach tamtejszych ludzi. A oni

nie noszą mundurów. Wyglądają podobnie. Są jak wszyscy inni. Fugasa może nieść dziecko, kobieta... – Wpatrywał się w nich. – Policjant.

– Rozumiem. A w tej konkretnej sprawie... czy to była prawda?

– Nie. Przeprowadzono gruntowne śledztwo. W jego wyniku oczyszczono oddział z wszelkich podejrzeń. Skargę wnieśli mieszkańcy wioski zamieszani w handel opium. Pojawiła się kwestia korupcji w rządzie. To skomplikowana sytuacja...

W drzwiach stanął funkcjonariusz i skinął głową na Strangego. Ten wyszedł.

– Nie uwierzył więc pan w te zarzuty? – spytała Lund.

Jarnvig spojrzał na nią ze złością.

– Ani na chwilę.

Wybrała w dokumentach pewien fragment.

– Raport mówi...

– Nie przyszedłem tu, żeby mnie traktowano jak przestępcę.

Pod nieobecność Strangego Jarnvig wydawał się śmielszy.

– Nie widział pan, jak traktuję przestępców – odparła Lund z uśmiechem. – Próbujemy rozwiązać zagadkę trzech morderstw, panie pułkowniku.

– Straciłem właśnie tylu ludzi, wszystkich z Ryvangen. Zginęli w jakiejś afgańskiej norze. – Wskazał na dokumenty. – Myślę, że to też pani tu znajdzie. Potraktowaliśmy to poważnie.

Lund opadła na oparcie, spojrzała na swój kubek po kawie. Chciała przynieść Strangemu kawałek ciasta, ale zapomniała.

– I uważa pan, że ktoś tu przyjechał aż z Afganistanu, żeby się zemścić? – spytała.

– Nie mam pojęcia. Próbujemy budować tam mosty. Nie chcemy walki z całym narodem. Ale ktoś ciągle może nosić urazę. Nie jesteśmy

powszechnie lubiani, nie wiem, czy zdaje sobie pani z tego sprawę.

– A jeśli to ktoś z pańskich ludzi? Ktoś z naszych szeregów, kto sympatyzuje z talibami?

Jarnvig roześmiał się jej w twarz.

– Pani zupełnie nic nie wie o wojsku, prawda?

– Bardzo się staram czegoś dowiedzieć.

Wychylił się do przodu i silnym palcem postukał w stół.

– Jesteśmy rodziną. Troszczymy się o siebie. Nie mordujemy się.

Wspomnienie. Słowo. *Stikke*. Kapuś. Informator. Grüner z oponą na szyi. I coś dawniejszego. Z czasów drugiej wojny światowej, gdy Ruch Oporu przybierał na sile. Kiedy naziści zajmowali Politigården, kilku dzielnych kopenhaskich policjantów walczyło z nimi, narażając życie.

Niektórzy z nich przed niemal siedemdziesięciu laty zginęli w Mindelunden, tam gdzie przywiązano ciało Anne Dragsholm.

– A jeśli ktoś zdradzi swoich? – spytała Lund. – Jeśli jest *stikke*? Co się z nim dzieje?

Jarnvig wpatrywał się w nią gniewnie.

– Nie mam pojęcia, o czym pani mówi. Naprawdę uważa pani, że jakiś duński żołnierz zabija po kolei swoich towarzyszy broni?

– Staram się rozważać różne możliwości. A pan?

Wrócił Strange. Machał trzymaną w ręku kartką.

– Sam ten pomysł jest chory – odrzekł Jarnvig i wstał od stołu.

Mundur khaki. Trzy srebrne gwiazdki na epoletach. Władca niewielkiego królestwa Ryvangen.

– Dziękuję – powiedziała Lund i wyciągnęła do niego rękę. – Na razie to wszystko.

– Co masz? – spytała po wyjściu Jarnviga.



– Lisbeth Thomas mieszka w Szwecji. Na wyspie Skogö. Dwie godziny na północ od Malmö.

Już sięgał po kurtkę. Lund też.

– Mieszka w chałupie, która należała do jej zmarłego wujka. Ktoś zawiadomi szwedzką policję, że jedziemy. Moim wozem. Właśnie zatankowałem do pełna.

– To dobrze – powiedziała. – Ja prowadzę.

Spojrzał zdumiony.

– Dlaczego? Ach. – Jego pokryta krótkim zarostem twarz pojaśniała. – Ciasto. – Spojrzał na jej torbę. – Przyniosłaś mi ciasto.

Lund nic nie powiedziała.

– Obiecałaś.

– Kupię ci coś po drodze.

– Nie jem, kiedy prowadzę.

– Powiedziałam, że ja poprowadzę.

– O nie. Ty błędzisz myślami. Już zauważyłem.

– Zdobę ci kawałek ciasta. – Nie ustępowała. – Możesz jeść i patrzeć, jak prowadzę. I chodźmy już, dobra?

\*

Pół godziny później znajdowali się po drugiej stronie mostu nad Sundem, mijali posterunki kontrolne i wjeżdżali do Szwecji. Lund prowadziła ostrożnie, odpowiedzialnie. Ani razu nie przekroczyła dopuszczalnej prędkości. Ani razu nie oderwała wzroku od szosy.

Z jednego tylko powodu: gdyby zaczęła pędzić albo zrobiła się choć odrobinę nieuważna, Strange by jej nie odpuścił. Był bardzo dokładny i porządny. Może nawet purytański na swój sposób.

Lund mimo wszystko zdołała przyglądać się mijanym szwedzkim krajobrazom. Dobrze znała tę drogę. Dwa lata temu miała nią jechać po raz ostatni, porzucając Danię na zawsze, by rozpocząć nowe życie z Bengtem i Markiem. Życie w roli kopenhaskiej gliny miało się skończyć. Byłaby zwykłym cywilem w szwedzkich służbach. Dobrą matką dla syna. Kochającą partnerką Bengta Roslinga.

Potem była sprawa Birk Larsen i wygnanie do Gedser. Wszystko się zmieniło. Tylko nie ona. Ciągłe czuła smak gniewu – ten sam, co dawna ona, gdy poszukiwania mordercy Nanny pogrążały się w coraz większym zamęcie, wiodąc do szaleństwa.

Nie powiedziałyby, że niczego nie żałuje. Głównie żałowała Jana Meyera i błędu – swojego błędu – z powodu którego on teraz jeździł na wózku. Ale oprócz tych kilku wpadek nie żałowała niczego. Gdyby znowu miała taką szansę, zaangażowałyby się w tę sprawę z takim samym pełnym determinacji zapalem. I nadzieją na lepszy koniec.

– Lisbeth Thomsen była ochotniczką – powiedział Strange, gdy podążali przez las na odludziu.

Nagie drzewa, brązowa trawa, znaki drogowe ze skaczącym jeleniem, samotna waląca się drewniana chałupa. On znowu wertował dokumenty, powoli, strona po stronie, wers po wersie.

– Ty pewnie nie.

Roześmiał się głośno.

– Pchać się gdzieś na ochotnika? Chyba żartujesz.

Odwróciła się do niego z uśmiechem. Dostrzegła w jego oczach skruchę.

– Powiedziałem im, że mam problemy z kręgosłupem.

– A miałeś?

– Nie. Ale bałem się. Lekarz mnie przebadał, więc ostatecznie latałem po błotnistym polu, w pełnym wyposażeniu, w tę i z powrotem jak

szaleniec, bawiąc się z karabinem i innym gównem. Myślę, że się w ten sposób na mnie mścili.

– Daj spokój. Jesteś mężczyzną. Na pewno ci się to podobało.

Kręcił głową na boki.

– To było złe. Pomyślałem wtedy, że na jakiś czas wstąpię do policji. Po college’u całe lato spędziłem w Politigården. Zdobywałem doświadczenie zawodowe. Pamiętam cię.

Lund oderwała stopę od pedału gazu. Spojrzała na Strange’go.

– Co?

– Kilka lat starsza ode mnie, prawdziwa policjantka. A ja byłem skromnym praktykantem. Nigdy więc ze mną nie gadałaś. Byłem za mało ważny.

– Nawet osiemnaście, dwadzieścia lat temu w policji było sporo kobiet. Tak mi się wydaje.

– To byłaś ty, Lund. Już wtedy byłaś straszna. – Zawahał się, obliczał wargi, zastanowił się, czy powiedzieć to, co my przyszło do głowy. – I ładna. W mundurze. Poza tym naprawdę niewiele się zmieniłaś. Ja...

Przesunął dłonią po krótko ostrzyżonych włosach.

– Ja się postarzałem.

– Czarus – mruknęła.

– Możesz sobie nie wierzyć. Naprawdę spędzałem lato w Politigården. Widziałem cię kilka razy. Potem odbyłem służbę wojskową. Nie miałem wielkiego wyboru. W sumie... – chyba wracał do czegoś, nad czym nigdy się długo nie zastanawiał – ...kiedy nadszedł mój czas, zostałem na kilka lat. W policji akurat nie robili naboru. Wojsko było w porządku. Wiem, że tacy ludzie jak Jarnvig sprawiają wrażenie dupków. Ale...

– Ale co? – spytała, skoro zamilkł.

– Ciężko wyjaśnić, jeśli nigdy tego nie widziałaś. W wojsku chodzi o lojalność. O powinność. O wzajemną troskę. I żeby niewiele myśleć. Robić to, co ci każą.

Zastanowiła się nad tym.

– Czy to oznacza, że skłamałby, gdyby chciał kogoś chronić?

– Może – odparł.

Postukał w mapę, która leżała między nimi.

– Jedziesz niewłaściwą drogą. Powinniśmy być na E6.

– Nie. Tędy jest szybciej.

– Według mapy...

– Mapa się myli.

Nie ustępował.

– Ale ja myślę...

– Guzik mnie obchodzi, co myślisz. Kiedyś w kółko tędy jeździłam. Miałam chłopaka ze Szwecji.

– Aha – odparł, jakby coś zrozumiał.

Lund dalej prowadziła. I dalej myślała. Fajnie się czuła ze Strangem.

– Na pewno nazywał się Nilsson – podjął. – Oni wszyscy nazywają się Nilsson. I...

– Nie nazywał się Nilsson.

– No to Johansson. Albo Andersson...

– Nieważne, jak się nazywał!

Wziął mapę i spojrzał na nią raz jeszcze.

– Dlaczego się nie udało?

– Po prostu się nie udało.

Milczał. Czekał.

– Miałam się właśnie przeprowadzić do Szwecji, gdy... Gdy wydarzyło się mnóstwo rzeczy.

Strange spojrział na nią i pokręcił głową.

– Jakoś cię nie widzę, jak chodzisz z kimś za rękę po lesie. Grasz na gitarze. Chociaż... – Wskazał jej sweter. Wyciągnęła jeden ze starych owczych swetrów we wzorki. W tej chwili wydawało się, że pasują do jej nastroju. – Masz już do tego sweter.

Nie chciała się śmiać. Właściwie nie chciała lubić tego człowieka. Już kiedyś wyszła za gliniarza i to był jeden z największych błędów, jakie popełniła w życiu.

Ale on był drwiący, zabawny i uroczy. Cieszyła się z jego obecności.

– Bardzo śmieszne.

– Podoba mi się ten sweter. Ma charakter. Coś mówi. – Podrapał się po zarośniętej brodzie. – Nie jestem pewien co...

– Czy ktoś ostrzegł miejscową policję, że Raben może się u nich pojawić?

– To mało prawdopodobne, nie sądzisz?

Spojrzała na niego z uniesioną brwią.

– Twoim zdaniem nie jestem najlepszy w tej robocie, co? – spytał Strange.

– Powiedziałam coś takiego?

– Nie musisz mówić. Masz to wypisane na twarzy.

– No to nie patrz na mnie.

Potem już pilnowała, żeby za dużo nie rozmawiali. Godzinę później byli na promie. Po kolejnych dwudziestu minutach znaleźli się na wyspie Skogö, zaparkowali przed portem, do którego wpłynął prom: łódzie rybackie i bączki.

Wysiedli i rozejrzeli się. Strange dojadł ciasto, które mu kupiła. Nie uronił ani okruszka. Lund zastanawiała się, jak mu się to udało.

– Myślisz, że są tu niedźwiedzie? – spytał nagle podekscytowany jak dziecko na wycieczce szkolnej. – Nigdy nie widziałem niedźwiedzia. Oczywiście poza zoo.

Przystanęła, splotła ramiona i spojrzała na niego.

– Dowiem się, gdzie znajdziemy Thomsen – powiedział zmieszany i poszedł zagadać z policjantem pograżonym w pogawędce z rybakiem.

Lund odprowadziła go wzrokiem. Błądziła myślami. Nie zauważyła więc ciężarówki jakiegoś rolnika, która jako ostatnia zjeżdżała z promu. Ani postaci w brudnej kurtce wymykającej się zza beli siana na pace. Postać ukradkiem przemykała za murem portu, aż trafiła pod osłonę kolczastych krzaków i zarośli porastających brzeg długiej płytkiej zatoki.

\*

Buch nie miał już wyboru. Wezwał do siebie Plougha i Karinę.

– Pan premier chce, żebyśmy spełnili wszystkie żądania Partii Ludowej. Co do jednego. Dzisiaj musimy mieć ugodę w sprawie pakietu antyterrorystycznego...

– Niemożliwe – przerwał mu Plough. – To zbyt wielki pośpiech.

– Ja decyduję, co jest możliwe, a co nie. Pan ma to spisać.

– Jak? – spytał Plough. – Mam im dać carte blanche?

Buch cenił tego mężczyznę. Pod wieloma względami go podziwiał. Ale jego obsesja na punkcie szczegółów...

– Pan chciał tej ugody, Plough.

– Nie za wszelką cenę. Zbyt wiele tu niedopracowanych aspektów.

– A pan – wtrąciła Karina – jest przeciwny całkowitemu zakazowi w postaci, której domaga się Krabbe.

– To nie zależy ode mnie! To decyzja polityczna. Podejmowana nade mną.

– Pan czegoś bronił, Thomasie.

– Tak. Broniełem. I przegrałem. Ci fundamentaliści też się sobie nie przysłużyli. Te materiały, które rozpowszechniali...

– Kto mówi, że fundamentaliści mają z tym cokolwiek wspólnego? – spytała.

– A kto mówi, że nie?

Buch rozmyślał nad tym całą noc. Ledwie w ogóle zmrużył oczy. Zupełnie nie podobał mu się pomysł, by ustąpić Krabbemu. Ale wyglądało na to, że nie ma wyboru.

– Nie możemy udowodnić, że Monberga i Anne Dragsholm coś łączyło. To tylko plotki, a ja za plotki nie dam sobie przysmażyć tyłka. Róbnmy, co nam każą.

Pukanie do drzwi. Wszedł Erling Krabbe z triumfalną miną.

Buch uśmiechnął się szeroko – tak szeroko, jak tylko zdołał.

Przeszli do sali konferencyjnej. Krabbe miał na kartce spisana odręcznie listę poprawek. Zdjął marynarkę i przeczytał jedną po drugiej. Buch znudzony podszedł do okna i patrzył na splątane ze sobą smoki po drugiej stronie ulicy.

– Domyślam się, że rozmawiał pan z premierem – powiedział Krabbe, nie podnosząc głowy znad kartki.

– Rzeczywiście.

– Więc wszystkie te organizacje trafią na listę zakazanych?

– Tak.

Krabbe postukał palcem w kartkę.

– Tu trzeba jeszcze zmienić. Pański projekt mówi: „Organizacje, które zachęcają albo podlegają do aktów terrorystycznych...”.

– Miał pan dużo czasu, żeby przygotować poprawki – zauważył Plough.

Buch pomyślał, że jeszcze nigdy nie widział sekretarza tak wściekłego.

– Owszem – przyznał Krabbe, racząc go szerokim uśmiechem. – Ale o tym pomyślałem dopiero teraz. Powinien on brzmieć: „...podlegają do aktów terrorystycznych albo innych działań wywrotowych”.

– Musielibyśmy w takim razie określić, co znaczy „wywrotowy” – zaprotestował Plough.

– Ja wiem, co to znaczy – odrzekł Krabbe. – A pan nie?

Zapisał zmiany na czystej kartce i podał ją dalej.

– Wróciliśmy więc do punktu, w którym zakończyłem negocjacje z Monbergiem. Wielka szkoda, że nie doprowadził tego do końca.

– Zgadzam się z panem w całej rozciągłości – odparł Buch z kamienną twarzą.

Krabbe nie zauważył ostrego tonu w jego głosie. W ogóle, zdaniem Bucha, niewiele zauważał.

– Monberg bardzo się przykładał do tych prac, rozumie pan – ciągnął Krabbe. – Odwołał tylko jedno spotkanie.

Coś sobie przypominał.

– Tego dnia, gdy wszyscy ci lewaccy manifestanci pojawili się ze swoimi protestami pod domem ministra do spraw integracji. Dzięki temu wydarzeniu mieliśmy o czym rozmawiać na następnej sesji.

Buch siadł, podparł podbródek wielką pięścią i słuchał.

– Musimy wiedzieć, kim są nasi wrogowie – dodał Krabbe. – Proszę mi przysłać dopiętą ugodę. Jestem elastyczny w kwestii określenia



terminu konferencji prasowej. Proszę mi po prostu podać, kiedy się odbędzie.

I wyszedł.

Plough mruczał pod nosem niezbyt wulgarne obelgi. Buch wstał i wyszedł do biura pogadać z Kariną.

– Monberg odwołał spotkanie siódmego października. Wie pani, z jakiego powodu?

Przed kobietą leżała góra korespondencji.

– Nie. A co?

– To był jeden z tych dni, gdy zameldował się w hotelu w Klampenborgu. Miał sfinalizować umowę z Partią Ludową. To musiało być coś ważnego, skoro spławił Krabbego...

Przeglądała dziennik byłego ministra.

– Tamtego dnia miał wizytę u lekarza. I nic więcej.

– Połącz mnie z Erikiem Königiem. PET już wtedy spodziewała się problemów. Obserwowali wszystkich ważniejszych ministrów. Jeśli Monberg był w hotelu z Anne Dragsholm, na pewno jest to w jakimś raporcie.

– To naprawdę konieczne?

Odniósł wrażenie, że jest blada i zmartwiona. Uznał, że za dużo pracuje. Zbyt wiele nadgodzin.

– Tak, Karino. To konieczne. Dlatego o to proszę.

\*

Szefem miejscowej policji był wesoły krągły mężczyzna z brodą i rumianą twarzą rybaka. To właśnie jego spotkali przy promie.

– Witam na Skogö.

Mówił bardzo powoli, jakby zakładał, że mają problemy językowe.

– Jesteśmy małą i bardzo spokojną wyspą. Niewiele tu się dzieje, rozumiecie. Ale jeśli rzeczywiście...

– Gdzie jest Lisbeth Thomsen? – spytała Lund.

– Mieszka po drugiej stronie. Oszczędzimy wam jeżdżenia. Ktoś ją podrzuci.

Jeden szef policji w średnim wieku. Ilu funkcjonariuszy mogli tu mieć?

– Uważamy, że grozi jej niebezpieczeństwo.

Roześmiał się.

– Nie. Skogö to najbezpieczniejsze miejsce na ziemi. Poza tym Lisbeth była żołnierzem. Poradzi sobie. Szkoda, że nie znaliście jej wujka. Historie o nim...

– Co ona tu robi?

– Zasadniczo – powiedział szwedzki policjant i odmachnął wjeżdżającej na odpływający prom kobiecie, która go pozdrowiła – trzyma się na uboczu, jak większość miejscowych.

– A kiedy nie jest zajęta trzymaniem się na uboczu?

– Wtedy pracuje w lesie. Przy drzewach. – Wykonał ramionami ruch naśladujący rąbanie drzewa. – Ścina je.

Zastanowił się.

– I poluje. I łowi ryby. Dużo potrafi. Mieszka na odludziu, sama. Radzi sobie. Jedźmy!

Wsiadł na tył czarnego wozu Strangeo.

– Popilotuję was na posterunek. Spodoba wam się tam, tak myślę.

Wyjechali z portu. Wydawał się mały i senny.

– Może pojawi się tu niejaki Raben – powiedziała Lund, odwracając się, by spojrzeć na policjanta.

– Och, my tu wszystko o nim wiemy. Wasi ludzie w Kopenhadze przysłali nam informacje. Komputerowo.

– Dużo potrafi – powiedział Strange.

– Tak jak my – odparł szwedzki gliniarz. – Tak jak my.

Rozsiadł się i uśmiechnął promiennie do Lund, gdy mijali jakieś łodzie i kilka knajpek.

– Jak tam? – zagaił. – Lubicie sobie połowić?

– Nie przyjechaliśmy łowić ryb – odrzekł Strange.

Szwed nadal się uśmiechał.

– Nie? Myślałem, że właśnie dlatego.

\*

Zimowy las. Nagie drzewa. Wilgotna ziemia. Raben wrócił myślami do pierwszych dni w wojsku. Trzymał się nisko, nasłuchiwał, patrzył.

W odległości półtora kilometra od portu zatrzymał kobietę rozwieszającą pranie, uśmiechnął się i spytał o Thomsen. Wskazała mu kierunek.

Wyspa była mała, słabo zaludniona, poprzecinana wąskimi błotnistymi drogami. Wszyscy tu wszystkich znali. Nie było czegoś takiego jak adres. Po prostu chałupa w lesie.

– Prosto drogą – powiedziała kobieta.

Uśmiechnął się więc raz jeszcze, podziękował, oddalił się na tyle, by go nie widziała, i wrócił między drzewa.

Po pewnym czasie usłyszał piłę łańcuchową. I zobaczył polanę. Niska chata o kamiennej fasadzie i czerwonym dachu.

Lisbeth Thomsen była samotnikiem już jako jedyna kobieta w ósmioosobowym oddziale przeczesującym dzikie obszary Helmand.

Nic dziwnego, że znalazł ją na szwedzkiej prowincji żyjącą jak pustelnik.

Na tyłach chałupy dojrzał ogród. Żadnych kwiatów, tylko równe grządki zimowych warzyw. Raben chciał do niej podejść, chwycić za ramię i powiedzieć, żeby uciekała. Teraz została tylko ich dwójka. Skoro on mógł ją znaleźć, znajdzie ją każdy.

Ale zbliżał się powoli i ostrożnie w stronę dźwięku piły. Była tam, w kurtce khaki i bojówkach, z nożem przy pasie, z czarnymi włosami ostrzyżonymi krótko, po męsku. Mocno zbudowana kobieta, sprawna i silna.

Piła pokonywała stos bali. Thomsen cięła je tak, jak każda zwyczajna kobieta kroi chleb.

Niektóre rzeczy się nie zmieniają, pomyślał Raben i zastanowił się, od czego zacząć.

Ciągle się zastanawiał, gdy na drodze pojawiła się jakaś postać. Granatowy mundur, czapka z emblematem, białe znaki odblaskowe na kurtce.

Szwedzki policjant.

Raben wpadł z powrotem do lasu i obserwował każdy ruch.

Thomsen wyłączyła piłę. Mężczyzna mówił głośno, oficjalnym tonem.

– Duńska policja zgłosiła się po ciebie, Lisbeth – powiedział. – Musisz stawić się na przesłuchanie.

Thomsen rzuciła przekleństwo, które nie było mu obce, choć nieczęsto słyszał je z ust kobiety.

– Dokąd idziesz, do jasnej cholery? – spytał gliniarz, gdy ruszyła w stronę domu.

Machnęła piłą.

– Mam to zabrać ze sobą?

I dalej szła.

– Tylko nie uciekaj – krzyknął. – Kulasy mi ostatnio szwankują, nie mam ochoty cię gonić.

Znowu zaklęła. Gliniarz wykonał dość udaną parodię *Krzyku Muncha*, zasłaniając dłońmi uszy i otwierając szeroko usta.

– Ależ wy tam w Danii macie plugawe usta – powiedział.

Prawie się roześmiała. Raben pamiętał, że w jej wypadku to już maksimum śmiechu.

Następnie Lisbeth Thomsen schowała piłę do szopy i odeszła z policjantem.

Kilka sekund później radiowóz z napisem „Polis” oddalił się drogą.

Mieszkała sama. Chałupa została pusta.

Raben wstał, podszedł do tylnych drzwi. Nacisnął klamkę.

Ustąpiła.

Niewielka wyspa u wybrzeży Szwecji. Nikt tu nie zamykał domu na klucz. Bo po co?

Zatrzymał się. Zastanowił.

Może będą chcieli przeszukać dom.

Może ona czegoś zapomniała i poprosi policjanta, żeby wrócili.

Może... może ktoś inny się pojawi.

Ukrywaj się.

Obserwuj.

Dwa najważniejsze przykazania. Ale zawsze pierwsze było nadrzędne wobec drugiego.

Jens Peter Raben jeszcze nie był gotów się pokazać. To oznaczałoby schwytanie albo coś gorszego. Nie odwracając się więc, zawrócił i uciekł do lasu, postanawiając, że jeszcze przez jakiś czas pozostanie niewidoczny.

Jeszcze zdąży. Thomsen wróci, tego był pewien. Za godzinę czy dwie on poczuje się na tyle bezpieczny, by przedostać się do chałupy i zaczekać na nią. Aż do...

W kurtce miał kilka batoników musli i butelkę wody. W poszyciu leśnym znalazł kilka cierpkich jesiennych borówek. I kilka grzybów jadalnych, gdyby był bardzo zdesperowany.

Survival był łatwy, dopóki człowiek sam sobie radził.

\*

Posterunek policji wyglądał jak dom mieszkalny: bielone ściany, dwa piętra, od frontu balkon. Strange nie wszedł do środka. Rzucił coś do Lund o prostytutkach i rozglądaniu się po wyspie.

– Ale nie będziesz szukał niedźwiedzi, mam nadzieję? – spytała za głośno.

– Niedźwiedzi? – Stary gliniarz przytupywał z zimna na progu. – Tu nie ma niedźwiedzi. To nie północ.

– Chcę sprawdzić, czy naprawdę szukają Rabena – wyjaśnił Strange Lund, ignorując Szweda. – Mógłby im przejść przed nosem, a oni by go nie zauważyli.

– Dobra – zgodziła się i podała mu kluczyki do auta.

Thomsen siedziała przy biurku przed dwoma bardzo starymi portretami króla i królowej Szwecji, łbem łosia i wypchanym łososiem. Była wysoką wysportowaną kobietą o krótkich ciemnych włosach, poważnej przystojnej twarzy i burkliwym sposobie bycia.

– Mam robotę – powiedziała. – I jesteśmy w Szwecji. Dlaczego jestem wzywana przez duńską policję?

Lund usiadła. Szef policji również. A następnie zapalił cuchnącą fajkę i słuchał.

– Nie ogląda pani wiadomości?

– Nie. – Thomsen złągodniała. – Mam tylko radio. Słyszałam o Mygu.

I o Grünerze.

Mówiąc, nie patrzyła Lund w oczy.

– Domyśla się pani, co się dzieje? – spytała Lund.

– Nie.

– Ktoś pani groził?

Thomsen się roześmiała. Krótka.

– Oczywiście, że nie. Dlaczego ktoś miałby mi grozić?

Zapowiadała się długa i trudna rozmowa.

– Czy ostatnio miała pani kontakt z kimś z batalionu Ægir?

– Mieszkam w leśnej chacie. Sama. Tak mi się podoba. Od dwóch lat nie widziałam nikogo z wojska.

– Zginęli nie tylko żołnierze. Zamordowano waszą prawniczkę. Anne Dragsholm.

Lund położyła na stole zdjęcie kobiety.

– Czy ona próbowała się z panią skontaktować?

– Nie – odpowiedziała Thomsen bez wahania i ledwie spojrzała na zdjęcie. – Mogę już iść? Mam robotę.

– Co się stało? Tam, w Helmand?

– Przyjechała pani aż z Kopenhagi, żeby mnie o to spytać? Czemu nie pogadacie z ludźmi w Ryvangen?

– Gadaliśmy. Chcę usłyszeć to od pani.

– Straciliśmy trzech dobrych ludzi. Wszystko jest w raporcie.

– Wszystko?

– Tak!

– Cokolwiek się teraz dzieje, wiąże się z pani oddziałem. Próbuję to zrozumieć.

Szwedzki policjant wyjął z ust fajkę i wystukał cuchnący popiół do popielniczki stojącej na biurku.

– Myślę, że lepiej, żebyś odpowiadała na pytania, Lisbeth. Powiedz pani wszystko, co chce wiedzieć. Potem możemy iść do domu.

– A co tu jest do mówienia? Wyruszyliśmy na patrol. Daleko od bazy. Zatrzymaliśmy się, żeby odpocząć. Kiedy wróciliśmy, Raben powiedział, że odebrał przez radio wezwanie od innego duńskiego oddziału. Tamci znaleźli się pod ostrzałem. Wpadli w pułapkę niedaleko rzeki. Wiedzieliśmy, że mamy do nich najbliżej.

Po raz pierwszy Lund dostrzegła na twarzy kobiety jakieś emocje. Nerwowy, niespokojny strach.

– Znajdowali się w Green Zone. Na terytorium wroga. Nie mogliśmy ich tam zostawić. Próbowaliśmy więc sforsować rzekę. Most był zaminowany.

Jej oczy zrobiły się ciemne i dalekie.

– Nasz kolega Bo siedział dokładnie naprzeciwko mnie. Z karabinem między nogami. Kiedy uderzył w nas pocisk, lufa wbiła mu się w gardło. Straciliśmy pojazd opancerzony. Zostaliśmy odcięci od reszty plutonu.

Rozejrzała się po pokoju, pogrążona we wspomnieniach.

– Nie mogliśmy nawiązać z nikim kontaktu radiowego. Pół kilometra dalej, po drugiej stronie mostu, znajdowała się wioska. Tam właśnie był ten oddział. Raben zdecydował, że pójdziemy im pomóc. I będziemy razem czekać.

– A potem?

Thomsen pociągnęła nosem i skierowała wzrok na Lund.

– Wtedy widziałam ich po raz ostatni. Raben chciał, żebym jakoś zabrała stamtąd Bo. – Gorzka, sarkastyczna mina na chwilę zespeciała



jej twarz. – Byłam kobietą, prawda?

– Zrobiłaś, co w twojej mocy, Lisbeth – powiedział policjant. – Prawda?

– Ale to nie wystarczyło. Zniosłam Bo do następnej doliny. Pięć, sześć kilometrów. Zanim po nas przylecieli, on już nie żył.

– Ale widziała pani później swój oddział? – spytała Lund. – W bazie? Musieli pani powiedzieć, co się stało.

– To jest w raporcie. Padli ofiarą zamachowca samobójcy. Zginęło jeszcze dwóch ludzi. Raben i Grüner zostali ciężko ranni.

– Miejscowi twierdzili, że były też ofiary wśród cywilów. Oskarżyli oddział Rabena o zbrodnie wojenne.

Stalowe oczy Thomsen nie odrywały się od policjantki.

– Pani w to wierzy? – spytała.

– Nie wiem. Pytam panią.

– Połowa tamtejszej ludności nas nienawidziła. Połowa twierdziła, że jest po naszej stronie. Problem w tym, że nigdy nie wiadomo, z której połowy przedstawicielem ma się do czynienia. A oni się zmieniają, z dnia na dzień. Nic nie wiem o zbrodniach wojennych.

– Ktoś na tyle się wściekł z powodu tamtych wydarzeń, że zabija członków pani oddziału.

Lisbeth Thomsen walnęła pięścią w stół.

– Dość mam tego gówna. Straciliśmy trzech żołnierzy. To byli moi koledzy. Porządni ludzie. Mężowie i ojcowie. Zostaliśmy oczyszczeni z zarzutów!

– Thomsen...

– Nie! Nie będę tego słuchać. Raben, Myg, Grüner... oni narażali swoje życie na linii frontu. Podczas gdy tacy ludzie jak pani siedzieli

w swoich wygodnych biurach w Kopenhadze i zastanawiali się, co zjeść na lunch. Niech pani nie mówi o nich źle. Niech się pani nie waży.

– Dobrze. Już dobrze. – Lund zamknęła notes, chociaż nie skończyła z pytaniami.

– Nie. – Thomsen wrzeszczała. – Nie jest dobrze. Narażaliśmy życie w tym piekle. A kiedy wróciliśmy, chcieli, byśmy za to odpowiedzieli.

– Uspokój się, Lisbeth – poradził stary policjant. – Pani musi zadawać ci te pytania...

– Nie było patrolu – powiedziała Lund.

Thomsen zmrużyła oczy.

– Co?

– Oficjalny raport mówi, że nie było tam żadnego patrolu, który by się znalazł pod ostrzałem.

– Raben nam powiedział... – krzyknęła Thomsen, znowu waląc w stół.  
– Odebrał wezwanie przez radio...

– Nie ma śladu, żeby jakikolwiek duński oddział, jakakolwiek jednostka wojsk NATO znajdowała się wówczas w tym rejonie – nie ustępowała Lund. – Oprócz waszego oddziału.

– Dość. – Thomsen splotła ramiona. – Skończyliśmy?

– To dla pani dobra, dla pani bezpieczeństwa. Myślę, że pani ma tego świadomość. Dlatego pani się tu ukrywa.

Zainteresowanie szwedzkiego policjanta wzrosło.

– Ukrywam się tu?! – krzyknęła Thomsen. – Ja tu mieszkam.

– Skogö nie za bardzo pasuje do przystojnej młodej kobiety – odezwał się policjant.

– Ja tu mieszkam, staruszkule. Rozkoszuję się odrobiną spokoju. W każdym razie rozkoszowałam się do tej pory. Czy... już... skończyliśmy?

Lund pokręciła głowa.

– Nie. Chciałabym, żeby spojrzała pani na kilka zdjęć.

Rozłożyła fotografie na stole. Szwed podszedł i spojrzał na nie surowym wzrokiem. Lisbeth Thomsen też.

Anne Dragsholm zaszlachtowana, przywiązana do słupa w Mindelunden. Myg Poulsen wiszący głową w dół w klubie weterana, pochlastany do kości. David Grüner spalony na popiół w swoim wózku inwalidzkim.

Lisbeth Thomsen wpatrywała się w zdjęcia i po raz pierwszy nie wiedziała, co powiedzieć.

– Nie chcemy nic takiego na Skogö – odezwał się policjant. – Pomożesz tej młodej damie, Lisbeth. Przez wzgląd na swojego wujka, niech mu ziemia lekką będzie. I dla własnego dobra.

Wzdrygnął się.

– A teraz – dodał, wskazując fotografie – niech pani to schowa, proszę.

\*

Do konferencji prasowej zostało półtorej godziny, a Erling Krabbe zażądał kolejnego spotkania. Buch został w swoim gabinecie. Wahał się. Wahanie nie leżało w jego naturze i w ogóle mu się nie podobało.

Telefony dzwoniły, a on krążył po pomieszczeniu. Kiedyś miałby gumową piłeczkę, odbijałby ją sobie i lepiej by mu się myślało.

Ale tak było kiedyś. Umiał przewidzieć, jakim torem zabawka wróci do niego od ściany. W każdym razie na ogół umiał. W świecie polityki na szczeblu rządowym nie znajdował takich przewidywalnych rzeczy. Pełno tu było szarości, niestabilności, śliskości. Nigdy nie podejrzewał, że jest tego aż tyle.

– Krabbe się niecierpliwi – zameldował Plough, odebrawszy telefon. – Nic dziwnego, że spodziewa się aktualnych informacji przed konferencją.

Buch zbył telefon machnięciem ręki.

– Nie teraz.

– Co mam mu powiedzieć?

– Że właśnie rozmawiam z PET.

Weszła Karina z wielką kopertą bąbelkową w dłoni.

– Co mówi König? – spytał Buch.

– Nie rozmawiałam z nim.

– Przecież prosiłem! Niech mi pani da jego numer.

Stała w poważnym czarnym kostiumie, długie blond włosy uczesane starannie, twarz bez makijażu i bez uśmiechu. Coś się stało.

– No słucham – ponaglił ją Buch.

– Dragsholm nie miała romansu z Monbergiem – powiedziała Karina.

Zerknęła na Plougha, a w jej wzroku pojawiło się coś na kształt przeprosin.

– Ja miałam z nim romans.

Carsten Plough jęknął. Buchowi odebrało mowę.

Nerwowo bawiła się włosami, usiadła przy biurku.

– Tego wieczoru, gdy spotkał się z Dragsholm, byłam w tym samym hotelu. Monberg po południu miał wykład. Poprosił, żebym przyszła omówić jakąś pracę.

– Karino – przerwał jej Plough – zanim powiesz coś więcej, musisz wiedzieć, że w tej sprawie zostanie wszczęte postępowanie dyscyplinarne. Masz prawo...

– Och, do diabła, Carsten, nie bądź taki nadęty! Chcesz poznać prawdę czy nie? Mieliśmy przygodę, a potem z nim zerwałam. Zaprosił

mnie tam. Myślałam, że chce mnie przekonać do zmiany decyzji. Nie. Spotkaliśmy się barze już po jego spotkaniu z Dragsholm. Wydawał się bardzo przygnębiony. Za dużo pił. Martwiłam się o niego.

Karina położyła na biurku Bucha białą kopertę.

– Miał przy sobie to. Nie zaglądałam do środka. Potem odszedł.

– Widziała pani Dragsholm? – spytał Buch.

– Nie. Nigdy o niej nie wspomniał. Nie miałam pojęcia, że ją zna.

Zawahała się, szukając właściwych słów.

– Coś się działo niedobrego. Z początku myślałam, że jest nieszczęśliwy, bo z nim zerwałam. Ale nie o to chodziło. Już nigdy nie zostawaliśmy sam na sam, dopiero w wieczór przed jego atakiem serca.

Postukała bladym palcem w kopertę.

– Chciał, żebym wysłała to pocztą, więc wysłałam. Wtedy widziałam go po raz ostatni. A teraz to wróciło. Wysłał to na nieistniejący adres. Musiał wiedzieć, że to wróci.

Buch otworzył kopertę i wyjął niebieską teczkę.

– Miał to na spotkaniu z Dragsholm – dodała. – Jestem tego pewna.

Plough podszedł, by zajrzeć Buchowi przez ramię.

– To raport prokuratora wojskowego o zajściach w Afganistanie – mówiła dalej Karina. – Dragsholm musiała mu dać kopię. Jest tam lista żołnierzy z oddziału, w sprawie którego toczyło się śledztwo.

– Poulsen. Grüner... To ludzie, których zamordowano – zauważył Plough.

Podniosła się i stanęła za nim, by wyjąć jedną kartkę.

– Jeśli spojrzysz na margines pisma przewodniego, zobaczysz, że Monberg tam coś napisał. Wniosek o wznowienie sprawy.

Karina splotła ramiona.

– Nie musisz wszczynać postępowania dyscyplinarnego. Złożę rezygnację. Nie chcę robić hałasu. Carsten... Jest mi naprawdę przykro, że cię zawiodłam. – Próbowała się uśmiechnąć. – Czasami tak się dzieje. Dla niektórych z nas Slotsholmen tak właśnie się kończy. Nie dla ciebie, wiem. Ale jeśli jesteś blisko kogoś, całymi dniami i nocami... niektóre rzeczy stają się... nierzeczywiste.

Szepnęła znowu słowa przeprosin, odwróciła się i wyszła z gabinetu.

Telefon Plougha znowu zadzwonił.

– To Krabbe. Dziennikarze się schodzą. Co robimy?

Buch przeglądał raport.

– Monberg zostawił nam to nie bez powodu. Musimy się dowiedzieć, o co chodzi.

– Konferencja prasowa! Na raport Monberga będziemy mieli czas później. Teraz musi pan załatwić to.

– Jak? – spytał Buch, wpatrując się w zapisane równym pismem maszynowym kartki raportu prokuratora wojskowego i na notatki Monberga na marginesie. – Nie wiedząc...

\*

Bilal stawiał się w gabinecie Jarnviga, by złożyć raport o spotkaniu z żołnierzami i ich rodzinami. Stanął sztywno przy biurku pułkownika, gdy ten przeglądał wiadomości w komputerze.

– Powiedz, że poszło dobrze – rozkazał pułkownik.

– Pięciu ludzi chce odejść z grupy. Przejęli się tym, co się stało z Grünerem i Mygiem Poulsenem.

– To się stało tutaj, nie w Helmand.

– Mówią, że chcą być blisko swoich rodzin. Proszę to zostawić mnie. Każdy z nich ma czas do dziewiątej rano, żeby przemyśleć decyzję.

Popracuję nad nimi. Jeśli nie pojedą, znajdę pięciu innych.

Jarnvig leniwie przeglądał zawartość komputera. Poprzedniego dnia zaglądał do raportu z dowództwa i znowu go potrzebował. Przeszedł więc do listy ostatnio otwartych dokumentów.

Pierwszy dokument na liście miał w nazwie „Lisbeth Thomsen”.

Nie zaglądał do niego.

– Przychodziłeś tu wczoraj?

Bilal spojrzał groźnie.

– Słucham?

– Byłeś tu i zaglądałeś do akt Lisbeth Thomsen?

– Nie.

– A nie wiesz, czy Søgaaard to robił?

– Jeśli pan sobie życzy, mogę poprosić ludzi z ochrony, żeby się tym zajęli.

– Nie trudź się. Zapomnij, że pytałem.

Bilal ani drgnął.

– Powiedziałem, żebyś o tym zapomniał – powtórzył Jarnvig.

Wyszedł. Jarnvig otworzył dokument. Pełne akta osobowe Lisbeth Thomsen. Krewni. Szczegółowy przebieg służby. Szkolenie. Adresy kontaktowe.

Kroki. Wszedł Bilal, bez pukania.

– Rozmawiałem właśnie z ochroną.

Jarnvig się zdenerwował.

– Powiedziałem, że nie ma takiej potrzeby.

– Już jest.

\*

Piwnica w domu pułkownika była duża. Salon, dwie sypialnie, łazienka. Pod wieloma względami doskonała, pomyślała Louise Raben. Wcześniej tylko upór stał jej na drodze. Jonas wreszcie będzie miał swój pokój. Zasłużył na niego.

Christian Søgaaard stawiał się niewzzywany. Niebieska bluza, wojskowe spodnie, blond włosy starannie uczesane. Silny mężczyzna. Zawsze uśmiechnięty. Do niej.

– Niewiele masz mebli – stwierdził, patrząc na krzesła i stoliki czekające na ustawienie.

– Daj mi trochę czasu.

Przenieśli starą kanapę do największego pomieszczenia. Dom stał na zboczu, więc po jednej stronie sutereny znajdowały się okna wychodzące na drzewa za placem musztry i dalej na linię kolejową i zieleń Mindelunden.

Louise weszła do najmniejszego pokoju.

– Jonas został na noc u kolegi – powiedziała. – A ja zrobię tu malowanie. To jego pokój.

Czerwony. Sam wybrał kolor. Jedna ściana już była gotowa.

– Mówiłem, że lubię malować – powiedział Søgaaard.

Louise się roześmiała.

– Ale to nieprawda.

– Prawda. – Uśmiechnął się szeroko. – Poza tym muszę sobie chwilę odpocząć od wykrzykiwania rozkazów do spoconych facetów.

W koszarach cieszył się swoistą reputacją. Niektóre kobiety po paru drinkach szeptały, że jest dobry w łóżku. Ale ostatnio był ostrożniejszy. Christian Søgaaard czekał na awans i postanowił, że nic nie przeszkodzi mu w karierze.

Przeszedł się, poprawił folię malarską w kilku miejscach, spojrzął na wiaderko z farbą, zamieszał je listewką, którą miała Louise.



– Dobra robota. Tylko trochę brakuje męskiej ręki.

Podszedł do niej, spojrzał jej w twarz. Potem wyjął z kieszeni bardzo czystą i wyprasowaną chustkę i delikatnie musnął jej prawy policzek.

Omam się nie cofnęła. Ale przecież robił to z jakiegoś powodu. A jej się podobała tak bliska obecność mężczyzny.

– Proszę. – Pokazał jej białą tkaninę.

Czerwona plama. Miała na twarzy trochę farby.

– Dzięki, Christian.

Od dwóch lat nikt nie dotykał jej tak delikatnie. Jens nie znosił twardego tapczanu w więziennym pokoju małżeńskim. Od czasu do czasu, gdy naprawdę jej zapragnął, szybki seks, niemal brutalne zbliżenia. Kolejny obowiązek.

Ale i tak wzięła od Søgaard chusteczkę i resztę farby próbowała usunąć sama.

– Jeszcze trochę zostało – powiedział, gdy chwilę tarła policzek. – Nie możesz wszystkiego robić sama, prawda?

Bez odpowiedzi.

– No w każdym razie ja nie mogę – dodał Søgaard.

W cywilnym ubraniu wyglądał inaczej. Nie miał dystynkcji, nic nie zdradzało jego rangi. Był po prostu miłym mężczyzną, który próbował zebrać się na odwagę.

– Jestem ci bardzo wdzięczna – powiedziała Louise. – Za twoją...

Nie znalazła słów.

– Daj znać, jak będziesz mnie potrzebować. – Søgaard próbował ją wybawić z zakłopotania. – Chętnie ci pomogę. Wiesz, jeśli...

Spieszne kroki na schodach. Do sutereny wpadł Torsten Jarnvig, na jego długiej twarzy malowała się wściekłość.

– Kiedy się z nim spotkałaś? – warknął do córki. – Był tutaj? W koszarach?

Louise spojrzała na Søgaard.

– Lepiej pójdę – powiedział major.

– Zostań – rozkazał mu Jarnvig. – To dotyczy również ciebie. Louise, chcę usłyszeć prawdę.

Nie cofnęła się, nie odwróciła wzroku.

– Jens chciał wiedzieć, gdzie mieszka Lisbeth Thomsen. Niepokoił się o nią.

Spojrzała na niedokończone ściany, na bałagan na podłodze. To nie był dom. Jeszcze nie.

– Wzięłam więc dane z twojego komputera. Mówił, że to ważne.

– Kiedy go wpuściłaś do koszar? – pytał Jarnvig.

– Nie wpuściłam, tato. Nie było go tu.

Nie uwierzył jej. Widziała to. Zrobiła krok w stronę ojca.

– Powiedziałam mu, żeby się poddał. Powiedziałam... – Zerknęła na Søgaard i pożałowała, że to zrobiła. – Powiedziałam, że jeśli tego nie zrobi, to koniec z nami.

Spojrzała groźnie na ojca.

– To właśnie chciałeś usłyszeć, prawda? Teraz jesteś zadowolony?

– Gdzie on jest?

– Nie... nie wiem.

Jarnvig zwrócił się do Søgaard.

– Ktoś włamał się do naszego magazynu amunicji.

Christian Søgaard zmienił się w okamgnieniu. Teraz znowu był żołnierzem.

– Co?

– Ktoś, kto zna nasze zabezpieczenia i procedury, wszedł do środka. Wyniósł pięć kilo materiałów wybuchowych.

Jarnvig spojrział na Louise. Søgaard też.

– Jensa tu nie było. Mówię ci. Tato...

\*

Im bardziej Lisbeth Thomsen chciała wyjść z maleńkiego posterunku na Skogö, tym bardziej Lund była zdecydowana jej nie wypuszczać. Prawie od dwóch godzin wałkowały w kółko te same pytania.

– Przykro mi – powiedziała Lund, gdy kobieta zaczęła się domagać od szwedzkiego gliniarza, by ją wypuścił – myślę, że czegoś nam pani nie mówi.

– Chcę iść do domu.

Otworzyły się drzwi. Wszedł Strange i skinieniem głowy poprosił Lund na słowo na osobności.

Wyszli na zewnątrz.

– Przetrzęsnałem okolicę – powiedział. – Nie mogę znaleźć niczego, co by sugerowało, że była tu Anne Dragsholm. A jeśli była, nikt jej nie widział.

– Co z Rabenem?

Pokręcił głową. Z budynku wszedł szwedzki gliniarz, zagryzł fajkę i podsłuchiwał.

– Nie widzieliśmy nikogo podejrzanego – oznajmił. – A zauważylibyśmy, gdyby coś było. My tu mamy dobre oko.

– Nie zobaczylibyście – odparła Lund z westchnieniem.

– Dobre oko – powtórzył, wskazując własne oczy. – Myślę, że powinniśmy odwieźć Lisbeth do domu. Przykro mi, że przyjechaliście

na darmo. Może chcecie kupić jakąś rybkę, żeby ją sobie zabrać do Kopenhagi? Szwedzkie ryby są o wiele lepsze niż duńskie...

Lund wróciła do biura. Dwaj mężczyźni podążyli za nią. Wsparła ręce na biodrach, spojrzała na Lisbeth Thomsen, wysoką silną kobietę w prostych wiejskich ciuchach.

– Nie. Ona jedzie z nami.

– Nie jadę do Kopenhagi! – krzyknęła Thomsen. – To nie jest państwo policyjne...

– Macie dokumenty? – spytał stary gliniarz.

– Zdobędziemy panu dokumenty. – Kiwnęła głową na Thomsen. – Może pani najpierw się spakować.

– Zadzwoń do Brixa – poleciała Strangemu. – Powiedz mu, że ją przywieziemy.

– Co to ma być, do cholery? – krzyknęła Thomsen, bo czym bluznęła stekiem przekleństw.

Na policjancie nie zrobiły chyba wrażenia.

– Może oni mają rację, Lisbeth – rzekł. – Na moje oko jesteś zbyt nerwowa. Za czterdzieści pięć minut odpływa prom. Lepiej, żebyś pojechała z nimi.

– Nie.

Odłożył fajkę. Skrzyżował ramiona na piersi, spojrzał na nią niewzruszenie i ani drgnął.

Kolejne przekleństwa, a potem poszła do samochodu zaparkowanego przed budynkiem.

Przez martwy las Lund prowadziła czarnego forda z Politigården, a Strange siedział z tyłu obok Thomsen.

Zadzwoił telefon Lund.

– Szukaliście mnie – powiedział Brix.

– Przywozimy Thomsen dla jej bezpieczeństwa. Za dwie godziny. Najpóźniej za trzy.

– Rozmawiałem tu z jej sublokatozem. Tydzień temu odebrał telefon ze skarbówki. Grozili sankcjami za niezapłacone rachunki. Domagali się, żeby zadzwonił, gdy Thomsen się pojawi. Chcieli z nią rozmawiać.

– I? – spytała Lund.

– Zadzwoniliśmy do skarbówki. Nikt od nich nie rozpytywał o Thomsen. Ktoś jej szuka. Może nie jesteście tam sami.

I rozłączył się.

Drewniane zagłębienie. Droga prowadziła coraz głębiej w wysoki jodłowy las, gęste igliwie odcinało dopływ światła. Lund skręciła gwałtownie, hamując.

Drogę blokował im stos ściętych pni. Wcześniej leżały przy drodze. Liny, które je wiązały, zostały przecięte czy przerwane, a pnie wyturlały się na błotnisty szlak.

Nie mogli jechać dalej.

– Często się tak dzieje? – spytał Strange.

– Nie. – Thomsen sprawiała wrażenie zmartwionej. Czy raczej przerażonej. – Zawróćmy. Nie potrzebuję żadnych rzeczy. Jedźmy na prom.

Strange odpiął pas i otworzył drzwi.

– Rozejrzę się.

– Nie – zaprotestowała Lund. – Nie wysiadaj. Jeśli tam ktoś jest...

Spojrzał na rozsypane pnie, obszedł stos i ruszył w głąb lasu.

Po czym obrócił się gwałtownie, mierząc z broni, jakby coś usłyszał, i pobiegł między drzewa.

– Co to było? – spytała Lund.

– Nic nie słyszałam – odparła Thomsen zaniepokojonym głosem. – Jedźmy. Możemy jechać?

– Nie mogę go tu zostawić. Niech pani nie wysiada z samochodu. Nie chcę z kolei pani szukać.

– Nie!

Silna ręka Thomsen chwyciła ją za ramię.

– W tamtej wiosce coś się stało. Słyszałam plotki. Właśnie o to chodzi.

– O co?

– Że mnie tam nie było. Że to tylko plotki.

– Na przykład jakie? Niech mi pani powie.

Jej oczy wypełniły się strachem.

– I skończyć jako trup? Jak moi koledzy? Niech mnie pani stąd zabierze!

– Powiedzieli pani, że zginęli cywile?

– Ludzie Rabena tego nie zrobili.

I tyle.

– Lisbeth. Staram się pomóc.

– Pani nie rozumie.

– Niech mi pani wytłumaczy.

– To wojsko – powiedziała Thomsen cichym, pełnym napięcia głosem. – Czasami jacyś ludzie zjawiają się i znikają. Nikt nigdy z nimi nie rozmawia. Nie wiadomo, kim są. Przypominają duchy. Robią rzeczy, których my nie możemy robić.

– Kto zabił tych cywilów?

– Jakiś jebany duński oficer, któremu odbiło. Był tam. To on ich wezwał.

– Nie – upierała się Lund. – Czytałam raport prokuratora wojskowego. Nie było tam żadnego oficera.

Roześmiała się Lund w twarz.

– Mówiłam, że pani nie zrozumie. On tam był. Wszyscy wiedzieliśmy, że dokoła są tacy goście jak on.

– I co robią?

Thomsen nie odrywała od niej wzroku.

– Co chcą. My mamy regulaminy, przepisy. Oni nie. Mogą iść wszędzie. Zabić, podłożyć bombę, dać łapówkę albo... To wojna. Nie my przeciwko nim. To jest brudniejsze.

– Ten człowiek...

– Nazywali go Perk. Nie wiem, czy to prawdziwe nazwisko, czy nie. Nigdy go nie widziałam.

– Perk?

– Tak Poulsen i Grüner przekazali prokuratorowi. Raben nie mógł nic powiedzieć, nic nie pamiętał. Zresztą to nie było ważne. I tak nikt im nie uwierzył. To było tylko mydlenie oczu. Wszyscy to wiedzieliśmy.

– A prawniczka? – spytała Lund.

– Od razu im uwierzyła. Miesiąc temu przyjechała do mnie, pytała, czy będę zeznawała i czy pomogę we wznowieniu sprawy. Na miłość boską...

Dźwięk. Męski głos. Wściekły, przerażony, nie wiadomo czyj.

Strange wykrzykiwał ostrzeżenia. Gdzieś z niedaleka, z głębi lasu.

– Proszę tu zostać – poleciła Lund kobiecie i wysiadła z wozu.

Pierwszy strzał rozległ się, gdy dotarła do drzew.

Pod ich osłoną panował mrok. Przypomniała sobie noc w Kopenhadze. Magazyn. Jan Meyer krwawiący, nieprzytomny na posadzce.

Jego też zostawiła.

Kolejny wystrzał.

Puściła się biegiem.

Po minucie dotarła do polany. Nie wyjęła broni. W ogóle o tym nie pomyślała.

Przed sobą zobaczyła jakieś płótno na palach. Wieża obserwacyjna.

U szczytu drabiny dojrzała postać. Ktoś schodził, ręce szybko przenosiły się z jednego szczebla na drugi.

– Strange! Strange!!! Na miłość boską!

Stanął na ziemi akurat w chwili, gdy ona tam dotarła.

Ktoś tu był. Na poszyciu leżały opakowania po batonikach musli, pusta butelka po wodzie, kilka gałązek borówek.

– Raben tu był – oznajmił Strange. – Jægerkorpset. Oni umieją przeżyć w każdych warunkach i nie masz szans ich zobaczyć.

– Ulrik?

Spojrzał na nią zdumiony.

– A gdzie „Strange”?

– Nigdy tak nie znikaj.

Uśmiechnął się szeroko.

– Przepraszam, mamusiu. – Zasalutował. – Ale coś usłyszałem. Gdzie Thomsen?

– Nigdy tak nie... – powtórzyła.

Usłyszeli trzaśnięcie drzwi samochodu.

Zanim zdołała powiedzieć następne słowo, Ulrik Strange już biegł w stronę zablokowanej drogi szybciej, niż Lund biegła kiedykolwiek.

\*



Thomsen wpadła do lasu i biegiem pokonała pół kilometra do swojej chaty.

Na podjeździe stał jej czerwony land rover. W razie potrzeby mogła się bez trudu przedostać na stały ląd. Zaszyć się gdzieś, dopóki burza – cokolwiek to było – nie przejdzie.

Całe potrzebne do przeżycia wyposażenie – jedzenie, kompas, noże, strzelbę – miała w szafce przy zlewie. Pobiegła do niej, uchyliła drzwiczki.

Zatrzymała się.

Przewody. Nigdy wcześniej ich tu nie było. Do korpusu karabinu taśmą przyklejono paczkę materiałów wybuchowych.

Nieporadnie – pomyślała. Nawet talibowie zrobiliby to lepiej.

Dźwięk przy drzwiach. Wysoka postać. Krzyknęła, zerknęła na broń, a on tymczasem dopadł i dłonią zasłonił jej usta.

Thomsen wpatrywała się w jego zimne oczy.

Raben, z kapturem naciągniętym na twarz, zdyszany.

– Ale mnie, kurwa, przestraszyłeś – wyszeptała. – Co, do cholery?

– Widziałem, jak biegniesz – powiedział. – Co się stało?

– Co ty tu robisz? Jest tu policja z Kopenhagi. Chcą mnie zabrać ze sobą. Mówią...

Wpatrywał się w uchyloną szafkę.

– Ty tu byłeś? – spytała Thomsen.

– Nie.

Gestem wskazała drzwi. Znali się na tych rzeczach. Raben pochylił się i otworzył je bardzo ostrożnie.

Zasadzka miała prosty wyzwalacz. Mechaniczny, nie elektryczny. Biegł do materiałów wybuchowych i kończył się detonatorem.

– To podpucha – orzekł. – Za proste. Gdzieś musi być coś innego.

Podparł drzwi szafki krzesłem, żeby się nie ruszały, rozejrzał się i chwycił ją za ramię.

– Kluczyki?

Kiwnęła głową i rzuciła je na stół. Raben wziął je stamtąd.

– Idziemy – powiedział.

Obeszli chatę. Raben na czworakach zajrzał pod samochód, potem ostrożnie otworzył bagażnik i zajrzał do środka.

Nic.

Gdzieś pracował silnik. Szybko i niecierpliwie.

– Gdzie...? – spytała Thomsen.

Przyłożył palec do ust, wprowadził ją do kryjówki pod niskimi iglakami.

Patrzyli. Czarnym wozem z kopenhaską rejestracją zarzuciło w błocie przed wejściem do chaty. Ze środka wysiadł stary szwedzki gliniarz, rozejrzał się. Z drugiej strony wysiadły dwie osoby – Lund i mężczyzna – i podeszli do wejścia.

– Musimy ich ostrzec – szepnęła Thomsen.

– Potrafią o siebie zadbać – odparł przez zaciśnięte zęby. – To my musimy się stąd wynosić.

– Nie wiesz...

Znowu palec na ustach. Umilkła. W Helmand on był dowódcą. I teraz też.

Szwedzki gliniarz niespiesznie wszedł do środka. W życiu by nie dostrzegł bomby, chyba że podeszłaby do niego na ulicy i przywitała się.

– Nie podoba mi się...

Raben podbiegł do obitego czerwonego land rovera, wsiadł do środka, uruchomił go i kiwnął na nią.

Decyzje.

W wojsku było łatwo. Człowiek robił to, co mu kazano.

Lisbeth Thomsen wypadła spomiędzy drzew i wskoczyła do środka przez drzwi pasażera, które Raben otworzył kopniakiem. Gdy on naciskał gaz do dechy, ona z trudem trzymała się blaszanej tablicy rozdzielczej. Ślizgali się w błocie, kierując się z powrotem do lasu, jadąc najtrudniejszym szlakiem, jaki Raben zdołał znaleźć.

\*

Dwadzieścia minut później dwa volvo policji ze Skogö stanęły przed chatą Thomsen. Strange już wyciągnął z błota swój czarny radiowóz, który utknął, gdy próbowali ruszyć w pościg. Dochodziła dziewiętnasta. Lund kipiała z wściekłości.

– Dokąd mogli pojechać? – spytała znowu szwedzkiego gliniarza.

– Ciągle mnie pani o to pyta. A ja ciągle odpowiadam pani to samo. To niewielka wyspa. Las i kilka domów. A potem morze. Nie wsiądą na prom, to mogę pani obiecać. Rano, jak się rozjaśni...

– Rano może być za późno – przerwała.

– Mamy dwadzieścia tysięcy hektarów lasu, a Lisbeth Thomsen pewnie zna w nim każde drzewo. Przyjeżdżała tu już jako mała dziewczynka. Grzeczne dziecko. Rano...

– Powiedział nam pan, że Rabena tu nie ma.

– I myliłem się – odrzekł bardzo cierpliwie. – Nasi, czyli Bertil i Ralle, też ich szukają.

Lund miała ochotę krzyknąć.

– Prosiłam o wsparcie.

– Są w drodze. Z lądu. To potrwa może kilka godzin. Prosiłem mojego szwagra.

– On jest policjantem?

– Nie – odparł jakby zdumiony pytaniem. – Jest rybakiem. Jak się pani zdaje, ilu policjantów mamy na Skogö? Gdyby nam pani powiedziała, że wypuści Lisbeth, lepiej byśmy się przygotowali...

– Ona uciekła – zauważyła Lund. – Raben tu jest. I może ktoś jeszcze...

Z chaty wyszedł Strange, skrzywił się na jej widok.

– Nikt nie może wchodzić do środka, dopóki nie dojadą saperzy – powiedział.

– Jeśli tam jest bomba, to po co mielibyśmy tam wchodzić? – spytał jeden z ludzi.

– Ja zaraz wybuchnę – mruknęła Lund na tyle cicho, że usłyszeć ją mógł jedynie Strange. – Co tam jest?

– Ktoś się zabawiał. Drzwi są liche. Okna były otwarte...

– My tu na Skogö zwykle nie zamykamy drzwi – wtrącił się stary gliniarz. – O co chodzi?

– Chodzi o to – odrzekł Strange – że ktoś podłożył w tym domu bombę pułapkę.

– Na pewno to nie był nikt ze Skogö – odparł mężczyzna. – Tego jestem pewien. Może to ten wasz Raben?

– Kiedy popełniono dwa pierwsze morderstwa, on siedział w więzieniu – mruknęła Lund.

Strange patrzył na nią.

– O co chodzi?

– Raben mógł coś takiego zmontować. To prymitywne, ale...

– Mylisz się.

Poszła na odkrytą przestrzeń za samochodami i zaczęła się nerwowo przechadzać. Strange dołączył do niej z rękoma w kieszeniach.

– Gdyby Thomsen sięgnęła po swój karabin, rozerwałoby ją na kawałki, Lund. Tam jest napchane z kilogram materiałów wybuchowych. – Westchnął. – Brix na pewno się wkurzy.

– Zapomnij o Brixie. Ja jestem wkurzona. Tym się zajmuj.

– Czego szukasz?

Nie irytowało jej to, że był powolny. Strange był... jakiś taki niewrażliwy.

– On zostawia znak – powiedziała. – Pamiętasz?

Dotarli na koniec polany. Lund wyjęła latarkę, poświeciła dokoła. W końcu snop światła padł na zewnętrzny kran nieopodał warzywnika. Coś zwisało z kurka.

Strange podszedł, by dokładnie to obejrzeć. W promieniu latarki załśnił przepołowiony nieśmiertelnik na srebrnym łańcuszku.

– Może Raben zablokował drogę – powiedziała. – Ale nie podłożył bomby w chacie.

– Dlaczego?

– On był ich dowódcą. Czuje się za nich odpowiedzialny. Chce ocalić ostatnią osobę z oddziału. I siebie. Gdzie, do cholery, są te szwedzkie wieśniaki?

Podreptała jeszcze dokoła. Nic więcej nie znalazła. Nagle usłyszeli ryk silnika. Coś pędziło drogą, cztery jasne światła na przodzie i tyle samo na dachu. Wielka terenówka z otwartą paką.

– To szwagier z kolegami – powiedział z dumą stary gliniarz. – Teraz mamy wielkiego datsuna, który wszędzie dojedzie.

– *Ja.* – Kierowca uśmiechnął się promiennie, wychylając się przez drzwi. – Znaleźliśmy samochodzik Lisbeth. Utknęła w błocie. Muszą uciekać piechotą, więc...

Klasnął w dłonie.

– Ktoś chce się przejechać?

Lund wsiadła na pakę, Strange zajął miejsce obok niej, chwycili się mocno poręczy i ruszyli w ciemny las.

\*

Thomsen знаła te lasy, rozumiała, jak niewiele szlaków je przecina, jak łatwo można ich znaleźć. Kiedy więc porzucili land rover, biegli między nagimi prostymi drzwiami po twardym podłożu na tyle sprawnie, na ile się dało w słabym świetle księżycy i nieustępliwym deszczu.

Miała łódkę. To była ostatnia możliwość, jaka im została.

Minęli rozsypane ścięte bale, minęli wieżę obserwacyjną. Thomsen krzyknęła i padła na ziemię.

– Dalej! – ryknął Raben zupełnie jak kiedyś. Oni kontra cały świat.

Skoro się nie ruszyła, wrócił. Skamlała z bólu, ściskając nogę w kostce.

Ranny żołnierz. Reakcja była automatyczna.

Przykucnął przy niej, podniósł nogawkę spodni khaki. Ciernie rozdarły skórę. Tworzył się siniak.

Raben rozdarł tkaninę nożem, odciął pasek, zabandażował ranę.

– Ile zostało do łódki?

– Kilka minut. Najwyżej.

– Kto był w twoim domu, Lisbeth?

– Nie wiem. Nikogo nie widziałam.

Spojrzała na niego.

– Kiedy policja mnie zabierała, tego tam nie było. Na pewno.

Za mocno zawiązał prowizoryczny bandaż. Położyła na jego dłoni swoją, żeby trochę popuścił.

– Przyjechała do mnie ta kobieta, Jens. Ta prawniczka. Prosiła, żebym znowu zeznawała. Chciała doprowadzić do wznowienia sprawy.

– Dlaczego? Co powiedziała?

Thomsen wstała, sprawdziła, czy da radę iść.

– Że znalazła nowe informacje. Nie mówiła jakie. – Chwyciła Rabena za ramię, a on nie wiedział, czy ona szuka wsparcia, czy nie. – Co się stało w tamtej wiosce?

– W zasadzie nie wiem. Co jeszcze?

– Nic. Zrobiliście coś złego?

Podniósł głos.

– Nie pamiętam, do cholery!

– Kim był Perk? – Lisbeth Thomsen zadała to pytanie cichym przerażonym głosem, którego nigdy wcześniej nie słyszał. – Czy on był prawdziwy... Czy...?

– Perk! Perk! Nie wiem.

Puścił ją i mocno zacisnął powieki.

– Pamiętam krzyki. Odór spalenizny. Dzieci, które próbują...

Urwał.

– Co próbują, Jens?

Powędrował gdzieś myślami i długo nie chciał wrócić do rzeczywistości. Ciemne miejsce pełne zagadek.

– To był Perk. On tak o sobie mówił. On ich zamordował. Pamiętam to.

Rozejrzała się po lesie. Żadnych świateł. Żadnych dźwięków. Raben powinien to zrobić. Ale właśnie kiedy...

– Czy ktoś z nich przeżył? Jest ktoś, kto szuka zemsty?

Światła w oddali. Wielki pojazd przemieszczający się szybko.

Chwycił ją za ramię.

- Znaleźli nasz samochód. Szybko nas dogonią. Idziemy.
- Sprawdziła nogę. Oparła się na niej. Nie skrzywiła się z bólu.
- Możesz biec? – spytał.
- Mogę spróbować – odpowiedziała.

\*

Louise Raben siedziała na krześle w gabinecie ojca, naprzeciwko niej miejsca zajęli Jarnvig i Christian Søgaaard, a ona żałowała, że nie może wyśmiać ich sztywnej służbistości. To było idiotyczne. Ona była pielęgniarką, nie żołnierzem. Nie mieli prawa tak jej przesłuchiwać.

Znosiła to jednak, bo, prawdę mówiąc, nie miała wielkiego wyboru. Dochodziła dwudziesta pierwsza. W koszarach obowiązywał stan alarmowy. Jonas został na noc u kolegi. Jens był Bóg wie gdzie.

A poza tym... podobało jej się oglądanie Søgaaarda, który wiercił się przy boku jej ojca zbyt przestraszony, by okazać jej wsparcie, zbyt zainteresowany, by ją opuścić.

- Do czego on potrzebował tych materiałów wybuchowych, Louise?
- Już ci mówiłam. Jens nigdy nie prosił o materiały wybuchowe. W ogóle tu nie wchodził...
- Używałaś mojego komputera. Weszłaś do akt Thomsen.
- Tak! Weszłam!
- Wzięłaś kody do magazynu z amunicją.
- Nie, nie, nie. – Kręciła głową. Zastanawiała się, dlaczego nie ma siły płakać. On umiał doprowadzać ją do łez. Czasami robił to jej matce.
- Nie brałam żadnych kodów. Nie wiedziałabym, jak wyglądają.
- Powiedział ci...
- Nie powiedział! Jensa tu nie było. Zajrzałam do komputera po twoim wyjściu. Weszłam do akt Thomsen i zrobiłam wydruk. Nic nie



wiem o waszych materiałach wybuchowych. Jens też nie.

Pochyliła się do przodu, spojrzała na niego, żałując, że jej nie wierzy.

– Bał się o Thomsen. Chciał ją odnaleźć. Dzieje się coś podejrzanego. Ty o tym nie wiesz?

– A więc spotkałaś się z nim. Gdzie?

– To nieważne.

Wstał, podszedł do okna, ręce na biodrach, twarz pobladła z wściekłości.

– Oczywiście, że ważne! To zbieg, a ty mu pomagasz.

Chwyciła telefon Jarnviga z biurka i wyciągnęła rękę w kierunku ojca.

– No śmiało. Dzwonź na policję. To twój obowiązek, prawda? A obowiązek zawsze jest ważniejszy od rodziny.

Na jego twarzy pojawił się ból, prawdziwy.

– Przepraszam – zacięła się. – Spotkałam się z nim w samochodzie przy promie do Oslo. Policja mnie śledziła. Gdyby mieli trochę rozumu...

– Więc zadzwonił do ciebie, a ty zgodziłaś się z nim spotkać? Mimo że wcześniej obiecałaś mi...

– To mój mąż! Ja też mam obowiązki.

– Wiesz, gdzie on jest? – spytał łagodnie Søgaaard.

– Nie.

– Louise... – W jego głosie pojawiła się uwodzicielska nuta, a twarz była pełna współczucia. – Musimy to załatwić.

– Nie wiem – powtórzyła powoli.

Ktoś zapukał do drzwi. Wszedł Said Bilal, spojrzał na Louise i nic nie powiedział.

– Możesz mówić, Bilal – zachęcił go Jarnvig.

– W magazynie roi się od techników z policji. Mówią, że ten, kto się tam dostał, nie korzystał z kodów pana pułkownika. Z innego kodu. Takiego kodu nie ma naszej liście.

– Jak to możliwe, że nie ma go na naszej liście? – ryknął Jarnvig.

– To swego rodzaju kod uniwersalny. Nic więcej nie wiem.

Louise opadła na oparcie, spojrzała na ojca i uniosła brew.

– Policja chce z panem rozmawiać, panie pułkowniku – dodał Bilal. – Znaleźli identyczne materiały wybuchowe na jakiejś wyspie w Szwecji. W domu należącym do Lisbeth Thomsen.

Jarnvig kazał Bilalowi odejść i zszedł, aż ten wykona polecenie.

– Mówił, dokąd się wybiera? – spytał.

– Nie mówił.

– Ale pytał o dom Thomsen w Szwecji?

Nie odpowiedziała. Jarnvig mruknął pod nosem coś wulgarnego i wyszedł. Po chwili Louise wstała.

– Louise. – Søgaaard stanął przy niej i położył silną dłoń na jej ramieniu. – Jens jest chory. Potrzebuje pomocy. Większej, niż mu zapewniliśmy. Przykro mi. Jeśli znaleźli materiały wybuchowe, przynajmniej nie może spowodować już więcej problemów.

– To nie był on. Ile razy muszę to powtarzać?

– Będziesz musiała przekonać o tym policję.

– Świetnie. Może mnie też zamkną.

Pokręcił głową.

– Pogadam z twoim ojcem. Nie muszą wszystkiego wiedzieć. To nie będzie takie złe jak... – skrzywił się – ...jak to.

– Naprawdę?

– Jeśli to jakieś pocieszenie, to ja nieraz oberwałem od niego mocniej niż ty teraz. Wiele, wiele razy. – Søgaaard spojrzał jej w twarz. – To

pułkownik. Jest za nas odpowiedzialny. Domyślam się, że jeśli chodzi o ciebie, czuje dwa razy większą odpowiedzialność. Chce dobrze.

– Chce mnie tu zatrzymać na zawsze.

– A to takie złe?

– Mam męża...

– On od ciebie uciekł. Nie wiem... – Był w tym taki dobry, pomyślała.

– Nie wiem, jak można to zrobić, ale uciekł.

Dotykał jej ramienia. Czuła i opiekuńczą ręką. Søgard był przewidywalny, bezpieczny, silny i lubił to okazywać. Tak inny od Jensa, który nie zdradzał ani emocji, ani myśli.

– Dobranoc – powiedziała i poszła prosto do siebie, do sutereny, gdzie siadła na kanapie i wpatrywała się w nagie ściany.

Po chwili wstała i przetrząsnęła torby na śmieci. Pod wyrzuconym pudełkiem po pizzy znalazła telefon, który dał jej Jens.

Zadzwoiła i wysłuchała komunikatu.

Niedostępny.

Może być w Szwecji, pomyślała. Jens szukał Lisbeth Thomsen. I ją odszukał. Ale nie miał tych materiałów wybuchowych. Tego była pewna.

\*

Stary gliniarz świetnie sobie radził w lesie. Ścigał Lisbeth Thomsen i Rabena tak, jakby tropił zwierzynę.

W głębi lasu znalazł kawałek tkaniny khaki poplamiony krwią.

– Ktoś tu upadł i się zranił. Niedawno. Nie mogą być daleko.

– Tam jest ścieżka – powiedział jeden z miejscowych.

– Dokąd idą? – spytała Lund.

– Na wschód – odrzekł gliniarz. – W stronę portu. Jeśli tam dotrą, złapiemy ich.

– Oni to wiedzą. – Miała już tego dość. – A jakiś inny kierunek?

– Kemping dla przyczep – odezwał się miejscowy. – Ale na zimę jest zamknięty. Kiedy jest zimno, nikt nie przyjeżdża na Skogö. Chociaż łowienie...

– Tam też jest przystań? – spytał Strange.

– Tylko pomost.

Lund spojrzała na Strangego.

– Przed domem Thomsen leżał silnik przyczepny. W kawałkach. Jakieś boje i wędka – powiedziała.

– Wszyscy na Skogö łowią – powiedział policjant. – Jakżeby inaczej? – Zdjął czapkę i podrapał się po siwej czuprynie. – Lisbeth oczywiście ma łódkę.

Lund szybkim krokiem wracała do wozu. Policjant dzwonił do straży przybrzeżnej.

– Jeśli wyjdą w morze... – powiedziała.

– Wtedy będziemy mieli problem – przyznał policjant, doganiając ją.

\*

Lekka niska mgła zawisała pomiędzy drzewami. Raben szedł przodem, Thomsen kuśtykała za nim. W lesie stała szopa, a pięćdziesiąt metrów dalej prymitywny pomost, w zasadzie kilka desek, wychodził na spokojną czarną wodę. Na końcu stał biały bączek. Zabezpieczony pokrowcem silnik wychylał się z wody.

Zatrzymała go przy szopie. Przytrzymała ręką.

– Wszyscy wiedzą, że mam tu łódkę. Sprowadzą straż przybrzeżną.

Kiwnął głową w stronę wody. Mgła gęstniała z każdą chwilą.

– Chodź – powiedział swoim dawnym żołnierskim głosem. – Zdobędziemy przewagę nad tymi ludźmi.

– Zostawiłam w chacie swój najlepszy silnik. Nie wiem, czy ten zadziała. Jens...

Spojrzał w jej bladą silną twarz i pomyślał: moglibyśmy być teraz na ćwiczeniach. W Kanadzie albo na Jutlandii. Brać udział w wiecznej grze.

– Jeszcze ich tu nie ma – powiedział. – Czas na nas.

Przy pomoście leżała plandeka. Thomsen odwróciła się od Jensa i ściągnęła ją. Pod spodem stała czerwona kanadyjka z pagajem na dziobie.

– Ty płyn tym na północ. Ja popłynę w drugą stronę. Straż przybrzeżna ruszy za mną. Usłyszają silnik.

– Zostajemy razem,

– Posłuchaj mnie chociaż raz! – Za bardzo podniosła głos. Raben obejrzał się na las. – Jesteś zbiegłym przestępcą. Ja nie. Policja mnie wypuści. A ciebie wsadzą z powrotem do więzienia.

– Najpierw muszą mnie złapać – odparł, próbując chwycić ją za ramiona.

– Nie jesteśmy już w Helmand. To twoja jedyna szansa. Ja mogę z nimi rozmawiać, ty nie.

Raben kiwnął głową.

– Pięknie – odparł, popychając ją w stronę łodzi. – Płyniemy razem.

– OK! – Znowu za głośno. – Ale potrzebne nam paliwo. W szopie stoi kanister. Przynieś go. Przygotuję silnik.

Zdyszany, wyczerpany zawahał się.

– Zrób to, dobrze, Jens? Będę na łodzi. Nie ucieknę przecież, prawda?

Patrzył, jak ona idzie na koniec pomostu, po czym ruszył w stronę lasu. Drzwi do szopy znajdowały się po drugiej stronie. Łańcuch był przecięty, kłódka leżała na ziemi.

Raben ostrożnie pociągnął za uchwyt, rozejrzał się przez powstałą szparę, wyjął latarkę, przesunął światłem po wnętrzu.

Na podłodze leżała płócienna torba z oznaczeniami duńskiej armii. Spod klapy wychodziły przewody i biegły do niewidocznego detonatora, który musiał wisieć na drewnianych drzwiach, właśnie otwieranych.

Palce puściły. Stopy same ruszyły z powrotem, ręka się trzęsła, promień latarki drżał w nocy.

Od pomostu dobiegł go dźwięk. Coś się poruszało w wodzie. Może wiosło.

Raben ruszył biegiem.

Bączek powoli sunął po czarnej toni.

Oddaliła się już kilka metrów, z pagajem w ręku, starając się zrobić to tak, żeby jej nie usłyszał.

– Lisbeth! – wrzasnął, biegnąc.

Od pomostu wciąż dzieliła go spora odległość.

Usłyszała i podniosła wzrok.

– Weź kanadyjkę, Jens – krzyknęła. – Tak będzie naj...

– On tu jest! Nie...

Już była na rufie, trzymała w dłoni linkę rozruchową. Szarpnęła nią raz.

– Nie urucha...

Szarpnęła drugi raz i wtedy świat zamienił się w kulę ognia, gorącą i cuchnącą chemikaliami i wilgocią.

Siła wybuchu zbiła go z nóg i na długą chwilę pozbawiła przytomności. Gdy ją odzyskał pośród opadającej mgiełki i dymu,

dyszał. Myśli pędziły jak szalone. Leżał twarzą w dół przy pomoście, w płytkiej wodzie.

Dźwignął się na kolana, otarł twarz. Coś poczuł. Latarka w jego dłoni się poruszyła, światło przemknęło po potrzaskanych deskach i rumowisku. Znalazło jego odbicie w wodzie.

Znajoma twarz, zmęczona, nieogolona, zagubiona. Szkarłatna od krwi jak twarz mordercy.

Raben schylił się, obmył twarz i spojrzał ponownie.

Zrobiło się jeszcze gorzej.

Spojrzał jeszcze raz.

Unosiła się na wodzie na wyciągnięcie ramienia. A w każdym razie górna połowa jej ciała. Kurtka khaki w strzępach, pod spodem rozdarte nagie ciało, brutalnie odcięte w talii, gdzie...

Nie chciał na to patrzeć. Nie mógł.

Panika była dla innych. Nie dla niego. Przeszedł na drugą stronę pomostu, obmył ręce i twarz w czystszej wodzie. Dotarł do czerwonej kanadyjki, wypchnął ją na zimne, łagodne fale, wsiadł i zaczął pagajować.

Po chwili pochłonęła go mgła. Mimo to widział przed sobą słabe światło księżyca. Jeśli nie zboczy z kursu, niedługo dotrze na stały ląd.

Za sobą usłyszał hałas, zobaczył światła. Syreny. Krzyki.

Wbijał pagaj w wodę, najpierw z jednej strony, potem z drugiej, wpadł w rytm.

Teraz tylko on został przy życiu. Ostatni na celowniku ducha, który wyłonił się z koszmaru Helmand sprzed dwóch lat. Ducha z nazwiskiem.

Perk.

\*

Konferencja prasowa została zorganizowana w pomieszczeniu za gabinetem ministra sprawiedliwości. Piętnaście minut po planowanym rozpoczęciu Buch nadal siedział za biurkiem i próbował wytropić Gerta Grue Eriksena. Ruth Hedeby zadzwoniła, gdy tylko pojawiły się pierwsze doniesienia o wydarzeniach w Szwecji. Ostatnia rzecz, jakiej Buch chciał w tej chwili, to stawiać czoło prasie.

– Nie możemy dłużej czekać – powiedział Plough. – Krabbe się wścieka.

– Dlaczego nie mogę rozmawiać z premierem?

– Jest w samolocie – odparła Karina. – Wraca z Oslo.

– Cholera. To trafi do wiadomości, zanim z nim porozmawiam.

Prawda?

Z telefonem przy uchu kiwnęła głową.

– Policja szwedzka wydaje oświadczenie. Jeśli...

Otworzyły się drzwi. Do środka wpadł Krabbe.

– Co się dzieje, na miłość boską? – wrzasnął. – Zebrały się tam wszystkie polityczne pismaki w Kopenhadze, a pan każe im czekać.

– Przykro mi, Krabbe. Coś się wydarzyło.

Krabbe stanął nad Buchem, wyrzucił długie ręce w powietrze i zaśmiał się.

– No na miłość boską. W co pan teraz pogrywa?

– Nie mogę panu powiedzieć. Ale proszę mi wierzyć, to ważne i nieuniknione.

– Tak ważne, że przedłoży pan to ponad naszą umowę? Nie wierzę, żeby Grue Eriksen tego chciał.

Buch miał już dość tego nadętego małostkowego człowieka.

– Żaden z nas nie chce podejmować pochopnych decyzji...



– Niech pan natychmiast z tym skończy! Wiem, że się panu nie podoba ten kompromis. Wiem też, że Grue Eriksen kazał go panu przyjąć. Nasz kraj czeka, aż podejmiemy decyzję.

Buch miał ochotę krzyczeć.

– Litości. Niepotrzebne nam melodramaty. Nie ma pan tu widowni, a my, szczerze mówiąc, jesteśmy tym zmęczeni.

Otworzyły się drzwi. Słyszeli pomruk dziennikarzy zebranych w sali konferencyjnej.

Krabbe zaczął mówić szeptem:

– Premier dał panu polecenia. Chcę usłyszeć cholernie dobre wyjaśnienie tego nonsensu. W przeciwnym wypadku pójdę do tej sali i powiem im, że ten rząd jest niekompetentny i bezużyteczny, i nie jest w stanie podjąć decyzji, których potrzebuje nasz kraj.

Oficer prasowy wystawił głowę zza drzwi i oznajmił, że dziennikarze domagają się wyjaśnienia.

Niezdecydowanie. Buch nienawidził niezdecydowania.

– Ostatnia szansa – ostrzegł Krabbe. – Powinien pan włożyć krawat, na miłość boską. Nie powiem...

– Och, zamknij się pan – warknął Buch i wkroczył na salę konferencyjną, świadom, że Krabbe usiłuje za nim nadążyć. Podeszedł do stołu i do linii mikrofonów.

– Bardzo przepraszam za spóźnienie – zaczął, gdy rozpromieniony Krabbe spieszenie zajmował miejsce obok niego. – Mamy dzisiaj w Ministerstwie Sprawiedliwości wiele spraw na głowie. Rząd z radością prezentuje nową ugodę antyterrorystyczną, którą wypracowaliśmy z Partią Ludową.

Morze twarzy, kilka znajomych. Thomas Buch nigdy nie garnął się do prasy. To mu się wydawało w złym guście.

– Terroryzm niestety stał się faktem – rzekł, cały czas improwizując. – To obowiązek rządu, każdego rządu, zapewnić bezpieczeństwo obywatelom w każdych okolicznościach. Na ile...

Plough w głębi sali słuchał w napięciu.

– Na ile się da. Żadne groźby nie zmuszą nas do sprzeniewierzenia się demokratycznym wartościom, byśmy zapomnieli, kim jesteśmy. Wspaniałomyślnym, otwartym, postępowym krajem, który wszystkim zapewnia sprawiedliwość. Musimy chronić te wolności i walczyć z mrocznymi siłami, które chcą je zniszczyć.

– Właśnie – rzekł Krabbe u jego boku, zdecydowanie za głośno.

– Z powodu ostatnich morderstw popełnionych na duńskich żołnierzach tu, na naszej ziemi, taka czujność wydaje się ważniejsza niż kiedykolwiek. Zanim omówimy sam pakiet, Erling Krabbe powie kilka słów.

Buch siadł, niezdolny myśleć o czymkolwiek innym niż Szwecja i Frodde Monberg. Krabbe nerwowo bawił się swoim krawatem. Jego partia od lat nie odniosła takiego zwycięstwa. Miał wywalczyć jak najwięcej i zrobił to, podkreślając z satysfakcją, jak trudne były negocjacje i jak to Partia Ludowa obstawała przy „właściwej ugodzie”, ścierając się nawet – tu zerknął na Bucha – z osobami z samego rządu.

– Niemniej jednak muszę pochwalić rząd, że zdobył się na odwagę, by chwycić byka za rogi – oznajmił Krabbe. – Że wykazał się charakterem, gdy zabrakło go opozycji. Partia Ludowa... – w jego nosowym głosie zabrzmiał charakterystyczny jęk – ...stawia sobie za cel ochronę naszych wolności. Nie podepczą nas średniowieczni fanatycy...

Buch przyglądał się ludziom zebranych na konferencji. Dostrzegł niepokój na twarzach niektórych.

– ...nie będziemy stać i patrzeć, jak spiski uknute przez pasożyty ze szkół muzułmańskich i organizacji opłaconych przez duńskie państwo...

Dziennikarze nie patrzyli wcale na Krabbego. Wpatrywali się w Bucha, a on znał pytanie, które chcieli zadać, ponieważ to samo pytanie dudniło w jego głowie: dlaczego tak spokojnie słuchasz tych bzdur? Czy ty też tak uważasz?

– ...zastosujemy najsurowsze środki wobec grup odpowiedzialnych...  
– mówił Krabbe głosem tak natarczywym, jakby brał udział w wiecu własnej partii. Jego chuda pięść uderzyła w stół. – Ci, którzy chcą podkopać podstawy naszej umiłowanej ojczyzny, stwierdzą, że dorobili się nieprzejednanych wrogów. Nie okradną nas z tożsamości. Nie zdepczą naszych tradycyjnych wartości chrześcijańskich...

Buch nie mógł już na nich patrzeć. Skierował więc wzrok na srebrny dzbanek z wodą stojący na blacie i zobaczył własne żalosne oblicze pękatego morsa. Twarz rolnika, nie polityka. Mężczyzny, który w Jutlandii, kierując gospodarstwem, mówił to, co myślał, a nie to, co jego zdaniem ludzie chcieli usłyszeć. I to mu się podobało.

– ...a teraz... – Krabbe wypowiedział kilka zdań, których Buch w ogóle nie słuchał, i bardzo się z tego cieszył – minister sprawiedliwości zreferuje założenia pakietu antyterrorystycznego, który wypracowaliśmy.

Buch nie mógł oderwać wzroku od swojego odbicia w dzbanku. Pomyślał o żonie, o córkach. O Jutlandii, gdzie podejmowanie decyzji wydawało się takie proste, gdzie łatwo było dostrzec, co jest dobre, a co złe. Tak jak łatwo było stwierdzić, która krowa jest chora czy które pole wymaga nawiezienia.

Zapadła długa cisza. Czuł na sobie palące spojrzenia.

Czyjaś ręka trąciła jego łokieć, a on dopiero po chwili zrozumiał, że to ręka Erlinga Krabbego.

Przywołany do rzeczywistości Thomas Buch jeszcze raz spojrzął na swoją twarz odbitą w lśniącym metalu i już wiedział, co musi zrobić.

– Cóż, nie jest dobrze – zaczął, podnosząc się.

Ręką trącił dzbanek. Ten, przewracając się, trącił z kolei dwie pełne szklanki. Woda, szkło i metal rozprysły się na boki, gdy minister wstał od stołu.

– Przykro mi – oznajmił. – To się musi skończyć.

Byli tak wstrząśnięci, że tym razem nikt nie zadał żadnego pytania.

– Właśnie. – Klasnął kluchowatymi dłońmi. – Koniec spotkania. Nie mogę się wdawać w szczegóły.

Krabbe już wstał, bezgłośnie otwierał i zamykał usta.

Buch bardzo się starał wyglądać poważnie i oficjalnie.

– Musicie mi wybaczyć, panie i panowie. Pora się zająć pewną pilną sprawą. Dobranoc.

I po tych słowach wyszedł z sali.

\*

Godzinę później Gert Grue Eriksen wrócił do Slotsholmen i wkroczył do gabinetu Bucha. Ochroniarze z trudem za nim nadążali.

Plough właśnie wyjaśniał procedurę dyscyplinarnego zwolnienia Kariny. Buch nie chciał tego słuchać.

– Zostawię panów – oznajmił urzędnik i zamknął za sobą drzwi.

Grue Eriksen nie zdążył zdjąć płaszcza.

– Nie byłem tu od pięćdziesiątych urodzin Monberga – powiedział, obchodząc pokój. – Te portrety pańskich poprzedników powinny przypominać ministrowi Danii o jego odpowiedzialności.

– Przypominają – wyznał Buch. – Wiem, że to nie wygląda dobrze. Ale jeśli okaże mi pan cierpliwość...

Elegancki mężczyzna o siwych włosach odwrócił się i patrzył. Miły wujaszek zniknął bezpowrotnie.

- Czy ma pan choćby nikłe pojęcie o reperkusjach swoich poczynań?
- Jestem świadom konsekwencji uchwalenia złego prawa.
- Mamy kryzys na ogromną skalę. I to pan go wywołał.
- Źle by było uchwalić pakiet antyterrorystyczny w przekonaniu, że jest on jakoś powiązany z morderstwami. Monberg...

Grue Eriksen uciszył go ruchem ręki.

- Niech pan nie próbuje zrzucać tego na Monberga. Nie do wiary, że pan nadal propaguje te idiotyzmy.

Buch był zdecydowany powściągnąć nerwy. Podeszedł do stołu, znalazł kilka dokumentów Plougha.

- To nie są idiotyzmy. Chciałbym, żeby tak było. Mamy dowód na piśmie. Proszę...

Podał premierowi dokumenty, ale ten nawet nie drgnął, żeby je wziąć.

- Doskonale – stwierdził Buch. – Pozwolę sobie zreferować, co wiemy. Monberg spotkał się z pierwszą ofiarą. Była prawniczką. Chciała, by Monberg pomógł jej przy wznowieniu sprawy wojskowej. Śledztwa w sprawie zbrodni wojennych.

– Co to ma...?

- Wszyscy zamordowani żołnierze byli związani z tym śledztwem. Byli świadkami. Ich oddział oskarżono o zabicie cywilów w Afganistanie.

Grue Eriksen chyba trochę złagodniał. Podeszedł do stołu i spojrzał na leżące tam dokumenty.

- Oddział został oczyszczony z zarzutów, ale ich relacja o zbrodni wojennej została odrzucona jako wymysł – ciągnął Buch. – Prawniczki taki werdykt nie zadowolili. Przekazała Monbergowi akta sprawy. Pięć dni później została zamordowana.

– Jak pan wszedł w posiadanie tych materiałów?

Buch pokręcił głową.

– Też tego nie rozumiem. Monberg wysłał je na adres, o którym wiedział, że nie istnieje. Zrobił to, by przesyłka tu wróciła. Pojawiła się tuż przed konferencją prasową.

Grue Eriksen wertował pozostałe dokumenty.

– Błagałem Krabbego, żeby mi dał jeszcze trochę czasu, ale nie chciał czekać. Chciał przeżyć swoje pięć minut.

– No i przeżył, co?

– Monberg powinien był omówić tę sprawę z urzędnikami, z Ploughiem, w chwili gdy się o niej dowiedział. Ale nie omówił. Muszę zrozumieć dlaczego.

Premier usiadł, oparł głowę na dłoniach.

– Wiem, że on jest za bardzo chory, żeby z kimkolwiek rozmawiać – ciągnął Buch. – Ale kiedy wyzdrowieje, musimy go o to zapytać. Ta sprawa rodzi wiele pytań. Nie mogę poddać ustawy pod głosowanie Folketinget, jeśli tylu rzeczy nie wiem. Birgitte Agger nas ukrzyżuje...

– Monberg nie miał ataku serca – powiedział Grue Eriksen zmęczonym głosem.

Buch siadł naprzeciwko niego, przyłożył rękę do brody i czekał.

– Przedawkował. Od pewnego czasu miał depresję. Jego małżeństwo przechodziło kryzys. Dla dobra ich obojga zgodziliśmy się podać prasie inną wersję.

Buch jęknął.

– Cudownie. Teraz robi się jeszcze bardziej interesująco.

– Wygląda na to, że pan daje sobie radę, Thomasie.

– Wygląda na to, że pana to dziwi.

Grue Eriksen kiwnął głową.

– Owszem, szczerze mówiąc. Większość ludzi by się poddała. – Znowu przejrzał papiery. – O co Monbergowi chodziło, na miłość boską? Po co wtykał nos w stare wojskowe śledztwo?

– Nie mam zielonego pojęcia.

– Ma pan rację. Musimy się tego dowiedzieć – powiedział premier z powagą. – Pan musi się dowiedzieć. Zbadać to. I buzia na kłódkę. Ta zamordowana kobieta. Dwóch żołnierzy...

– Trzech.

Grue Eriksen przerwał przeglądanie dokumentów i skierował zdumiony wzrok na Bucha.

– Słucham?

– Trzech – powtórzył Buch. – Dzisiaj wieczorem w Szwecji zabito kolejną osobę z tego oddziału. Jeszcze czekamy na szczegółowe informacje. Napływały, gdy Krabbe zażądał, bym odegrał drugie skrzypce na tej cholernej konferencji prasowej.

Buch nie miał pojęcia, czy Grue Eriksen słyszał już wieści, czy po prostu przyjął je spokojnie.

– Przyszedłem tu pana zjechać, panie ministrze. Ale wygląda na to, że jestem panu winien przeprosiny. Postąpił pan właściwie. Porozmawiam z Krabbem. To człowiek niewielkiego formatu, a co gorsza, nie zdaje sobie z tego sprawy.

– Naprawdę nie musiał perorować publicznie. W każdym razie w mojej obecności.

Premier wstał od stołu i poklepał Bucha po ramieniu.

– Ja się zajmę Erlingiem Krabbem. – Wskazał dokumenty na stole. – Pan musi wyjaśnić tę sprawę.

\*

Lund stała pośród odoru materiałów wybuchowych i krwi, próbując opanować wściekłość. Nad brzegiem wody czekała ciężarówka leśników i świeciła wszystkimi światłami. Kolejni szwedzcy policjanci przybywali śmigłowcem ze stałego lądu. Mundurowi, technicy. Postaci w cywilnych ubraniach, które niewiele mówiły. Powiew terroryzmu zawsze ich przyciągał.

A Lisbeth Thomsen, dziwna, dająca wymijające odpowiedzi kobieta, nie żyła. Flegmatyczni szwedzcy policjanci, których Lund postrzegała jako kmiotków, powoli zbierali jej szczątki z wody, niektórzy ze łzami w oczach.

Strange znowu konferował przez telefon z Politigården. Sądząc z głosu, z Brixem. Lund nie miała nerwów ani cierpliwości, żeby sobie z tym radzić.

– Skąd mieliśmy wiedzieć, że ona ucieknie?

Strange bardzo się starał, ale to pytanie było śmieszne. Thomsen też była żołnierzem. Wykorzystałaby każdą sposobność. Lund pomyślałaby o tym, gdyby się zastanowiła choć chwilę. Ale ona widziała tylko Strangego biegającego po lesie z wyciągniętą bronią, wpadającego na to coś, co się tam kryło.

Perk.

Duch.

Wszędzie były takie cienie jak ten. Jeden z nich zabrał Jana Meyera, a zostawił w jego miejsce łupinę. To pełne winy wspomnienie ciążyło Sarah Lund. I zawsze będzie ciążyć. Właśnie przez nie pomknęła za Ulrikem Strangem, porządnym facetem, również ojcem.

Ani przez chwilę nie pomyślała o Lisbeth Thomsen. A teraz nie mogła się jej pozbyć z głowy.

– Nie ma śladu Rabena – warknął Strange do telefonu. – Robił się zły. To na Brixa nie działało. – Może wziął inną łódź...



Przybywali kolejni technicy. Jeden z nich zwymyślał starego szefa wysepkowej policji, że podniósł coś, na co Lund nie chciała patrzeć, i położył to na plastikowej płachcie przy pomoście.

– Szukamy – ciągnął Strange. – Szwedzka straż przybrzeżna też, a także policja i marynarka wojenna.

Rozłączył się i wrócił do niej.

– PET chce się spotkać jutro z samego rana. Brix mówi, że ktoś włamał się do koszar w Ryvangen i ukradł pięć kilogramów materiałów wybuchowych. Zdaje się, że tego typu, którego tutaj użyto.

– Perk – powiedziała, i to nie było pytanie.

Lund przekazała już Strangemu słowa Thomsen. Nadal brzmiały fatalnie.

Zmarszczył czoło.

– Żołnierze...

– O co chodzi?

– Czasami pada im na mózg. Wymyślają coś... – Popukał się po przyszczyżonej krótko głowie. – I bohaterowie, i łajdacy. Szalone rzeczy. – Westchnął. – Służyłem w Iraku z gościem, który nigdy niczego nie mógł zrobić, dopóki nie odprawił swoich rytuałów. Kiedy jadł śniadanie, sól i pieprz musiały się znajdować w konkretnych miejscach. Karabin trzymał tylko w określony sposób. I do wychodka też musiał iść w pewien sposób. Jeśli tego nie robił tak właśnie, wściekał się i...

– I to działało? – spytała.

– Pewnie tak. Teraz siedzi w okienku w banku. Wysłuchiwałem takich historii. O niewidocznych oddziałach. O anonimowych gościach, którzy mogą jeździć i chodzić, gdzie im się podoba. To nie była prawda. Oni byli po prostu elementem gry. Thomsen o tym wiedziała. Zwiodła cię.

– Mogłam ją zatrzymać. Gdybym...

– Nie! – Rzadko słyszała, żeby podnosił głos, i teraz tak się właśnie stało. – Dość tego. W szopie znaleźli torbę. Raben coś tam zmajstrował...

– Raben siedział w więzieniu, gdy zamordowano Anne Dragsholm. I Myga Poulsena.

Strange wściekał się na nią. To też było nowe.

– Ale był na miejscu, gdy zginął David Grüner. W jakiś sposób jest z tym związany.

Odwróciła się i ruszyła między drzewa.

– Lund? – krzyknął. – Sarah?!

Im dalej od wody, tym słabsza była woń, ale znajomy gwar miejsca zbrodni – męskie głosy, funkcjonariusze dźwigający sprzęt i światła – nie opuścił jej ani na chwilę. Teraz przywiozła go do Szwecji, na małą wyspę Skogö, do miejsca, które na to nie zasłużyło, do kobiety, która też na to nie zasłużyła, do Lisbeh Thomsen.

Ulrik Strange mógł sobie gadać, co chciał, ale ta tragedia była jej porażką – jej osobistą. Tylko jej.

**PIĄTEK\_**  
**18 LISTOPADA\_**  
**8.04\_**

Następnego dnia z samego rana w Politigården Lund i Strange stawili się i patrzyli na Brixa, Ruth Hedeby oraz zdenerwowanego Erika Königa w sali konferencyjnej po drugiej stronie korytarza.

W wiadomościach telewizyjnych ciągle mówiono o terroryzmie. Były już cztery ofiary, a policja i PET nie miały pojęcia, kto stoi za Ligą Muzułmańską. Strange wyłączył telewizor.

Lund miała na biurku najświeższe raporty. Nie wczytywała się w nie za bardzo. Myślała o Gedser, o tych łatwych, nieciekawych dniach, kiedy próbowała złapać nielegalnych imigrantów przemycanych w ciężarówkach. Coś jej mówiło, że niedługo wróci do tego zajęcia.

– Zechcesz ze mną porozmawiać?

Strange przyciągnął krzesło. Nie za bardzo się zmęczył, pomyślała. A może zawsze tak wyglądał: nerwowo aktywny, zawsze czekający na kolejny trop, następne miejsce, w które musi się udać.

– Co miałabym powiedzieć?

– Cokolwiek! Nie możemy się teraz poddać. Mamy jakiś trop. – Spojrzał jej prosto w oczy. – Ty masz jakiś trop.

– Nieprawda. Ciągle tylko znajdujemy ciała. Nic innego.

Tak bardzo kojarzyło jej się to ze sprawą Birk Larsen. W jednej chwili pozornie oczywista, w kolejnej zupełnie zbijała z tropu. Ona i Meyer męczyli się z nią, ponieważ – jak wykrzyczał jej ze swojego fotela na kółkach, w szpitalu – wszyscy ich okłamywali. Politycy, uczniowie w szkole, nauczyciele, nawet rodzina i policjanci dbający wyłącznie o swoje interesy, obojętni wobec morderstwa nastolatki. Ponieśli klęskę, powiedział Meyer, ponieważ byli oderwani od rzeczywistości. Zapominali o sobie nawzajem, o swoich rodzinach, o przekazywaniu informacji, choćby nie wiadomo jak niezadowolających, zbolałym, wściekłym rodzicom Nanny.

Teraz było podobnie, choć Ulrik Strange tego nie rozumiał.

– Krążymy w kółko po tych samych pokojach – wyszeptała Lund – podczas gdy ten, którego szukamy, stoi zamknięty, a my go w ogóle nie widzimy.

Otworzyły się drzwi do gabinetu. Wszedł König, a za nim zachmurzona Hedeby i Brix.

Spotkanie dobiegło końca. Szef PET podszedł wprost do nich.

– To zajście w Afganistanie – rzekł. – Nie wiemy, co się tam wydarzyło. Wygląda na to, że jakaś tamtejsza grupa fundamentalistów uznała, że ci żołnierze są winni, niezależnie od tego, co orzekł prokurator wojskowy.

Lund wzięła głęboki oddech i nic nie powiedziała.

– Dowód jest jasny – ciągnął König. – Strony internetowe. Były groźby, fatwy na żołnierzy i na system, który ich uniewinnił. Teraz śledztwo ma się skupić na tym. Ktokolwiek je będzie prowadził.

Hedeby słuchała ze skrzyżowanymi ramionami, nie patrząc na nikogo. Lund wiedziała, co teraz nastąpi.

– Nie poszło dobrze – zaczęła zastępcą komisarza. – Proszę, by Brix jeszcze dziś zrestrukturyzował zespół.

Strange zerwał się na równe nogi.

– Co?

– Możecie wziąć kilka dni urlopu... – zaczęła Hedeby.

Lund nie słuchała. Znała tę śpiewkę. Patrzyła więc spokojnie na rosnący zbiór dokumentacji fotograficznej na ścianie. Skremowana czaszka Grünera, zamknięta w zwęglonym krzyku. Odcięty tors Lisbeth Thomas. Anne Dragsholm błagająca przed kamerą o darowanie życia. I nieśmiertelnik Myga Poulsena, spiłowany na ostro, pokryty jego krwią.

– Robimy postępy – zaprotestował Strange.

– A wypuściliście świadka, gdy w pobliżu znajdował się morderca! – krzyknęła Hedeby.

– Ona uciekła! Nie mogliśmy jej zakuć w kajdanki.

Głos Hedeby nabrał ostrości. Nie lubiła, gdy ktoś się z nią spierał.

– Wiedzieliście, że jacyś fanatycy religijni chcą wymordować ten oddział, Strange. Spartaczyliście robotę. Nie oszukujmy się...

Tyle zdjęć. Lund przeglądała je, zastanawiając się, dlaczego tak niewiele mówią. Kiedyś, gdy pracowała tu na stałe, mogła patrzeć na te rzeczy, używać swojej wyobraźni, obserwować, aż zaczynała się kształtować jakaś historia.

– To skandal! – wrzasnął Strange.

– Zamknijcie się! – krzyknęła na nich Lund. – Próbuję myśleć.

Umilkli. Po czym odezwała się Hedeby:

– Oboje możecie iść do domu.

– A jeśli to ktoś inny? – spytała Lund, nie ruszając się nawet o centymetr. – Jeśli to nie fundamentaliści chcą się pozbyć członków tego oddziału?

Wstała, przeszła wzdłuż ściany obwieszanej zdjęciami zamordowanych.

– To wszystko jest takie... symetryczne. Takie logiczne. Czy terroryści tak działają? Mają listę? Jakby realizowali biznesplan?

– Co ty mówisz? – zainteresował się Brix, chociaż König i Hedeby, wzdychając, popatrzyli na siebie porozumiewawczo.

– Tak właśnie mamy myśleć. – Lund odwróciła się i spojrzała na niego. – Wszystko zostało tak spreparowane, żebyśmy uwierzyli w jakiś mit. Ulotki, wideo, Brat w Wierze, Liga Muzułmańska. Ten frajer Kodmani.

– Brix, o czym ona mówi, na miłość boską?! – jęknęła Hedeby.

Lund spojrzała na nią.

– Może pani chwilę się nad tym zastanowić? Dragsholm chciała wznowienia sprawy. Pytała Thomsen, czy będzie zeznawać.

Z rękoma na biodrach wpatrywała się w fotografie. Przeglądała możliwości. Wyobrażała sobie.

– Ktoś nie chce, by tę sprawę analizowano.

– Kto na przykład? – krzyknęła Hedeby. – Oni wszyscy nie żyją! Oprócz Rabena, a Herstedvester to cholernie dobre alibi.

– Materiały wybuchowe skradziono z koszar – włączył się Strange. – Detonatory były takie same jak te, których używa wojsko. Czy banda obłąkanych islamistów by tak zrobiła?

König wpatrywał się w podłogę.

– Nie wiemy nawet, czy w Helmand w ogóle doszło do jakiegoś incydentu – mówiła Hedeby. – Ani czy Dragsholm chciała wznowienia sprawy.

– Ależ wiemy – zaoponował cicho König. – Była rozmowa o nowym śledztwie. Dowiedziałem się o tym dopiero minionej nocy, w ministerstwie. Teraz to sprawa polityczna. Sugerowałbym, żebyśmy wszyscy działali ostrożnie.

Lund z trudem panowała nad gniewem.

- Chodzi o cztery morderstwa!
- Nic nie łączy tego, co się stało w Helmand, z zabójstwami – nie ustępował König.
- Brix pokręcił głową zdumiony.
- Naprawdę? To by wiele wyjaśniało.
- Wojsko nie dokonuje rzezi na swoich! – krzyknął szef PET. – Powtarzam – spojrzenie na Hedeby – musimy się skupić na Lidze Muzułmańskiej. Wyłapać współpracowników Kodmaniego.
- Wszystkich już mamy – odcięła się Lund. – Lisbeth Thomsen to jakoś nie pomogło.
- Wojsko nie...
- Mówimy o jednym człowieku – przerwała. – Może jednym żołnierzu, który ma motyw. On się jakoś nazywa. Thomsen podała mi jego nazwisko. Perk...
- Nie mam czasu na te bzdury. – König chwycił swoją aktówkę i spojrzał groźnie na Brixę. – Oczekuję sprawozdania z restrukturyzacji zespołu. Chcę...
- Może pan od razu wysłuchać tego sprawozdania – odrzekł lekko Brix. – Lund i Strange dalej pracują nad sprawą.
- Hedeby i człowiek z PET zatrzymali się w drodze do wyjścia.
- Słucham? – spytała zastępca komisarza.
- Ja jestem szefem Wydziału Zabójstw. Ja decyduję, kto dla mnie pracuje. Tych dwoje oficerów wie o sprawie więcej niż ktokolwiek inny. Odsuwanie ich od śledztwa i kompletowanie nowej ekipy, która zaczęłaby od zera, byłoby nierozsądne. – Uśmiechnął się, przelotnie, niemal ciepło. – Na pewno to rozumiecie.
- Hedeby przez chwilę sprawiała wrażenie gotowej do kłótni.
- Na twoją odpowiedzialność – warknęła w końcu i odeszli.

Lund sięgnęła po kurtkę.

– Ryvangen – rzuciła.

– Nie dawaj im żadnych powodów do skarg – przestrzegł ją Brix.

– Musimy znaleźć Perka.

Kilku mundurowych wprowadzało kogoś do pokoju przesłuchań naprzeciwko. Tym kimś była Louise Raben.

– Co tu robi jego żona?

– Wczoraj spotkała się z mężem – wyjaśnił Brix. – Kim jest Perk?

– Jak to możliwe? Czy PET nie miało jej obserwować?

– Nie wiem. Przyznała, że podała mu adres Thomsen w Szwecji. Perk...

– Perk to zjawa – włączył się Strange. – Raben go wymyślił. – Zawahał się, spojrzął na Lund. – On jest szalony, prawda? Może Perk to Raben. Przyszło ci to do głowy?

– Przyszło – przyznała. – Bierz płaszcz.

\*

Pokonanie kanadyjką w bladym świetle księżyca wąskiej cieśniny oddzielającej Skogö od stałego lądu zajęło mu trzy godziny. Kolejną godzinę znalezienie drogi do samochodu Kapelana, który ukrył w lesie nieopodal przystani promowej. Świt zastał Rabena w drodze do długiego wąskiego ramienia mostu nad Sundem. Powieki opadały mu ze zmęczenia, gdy patrzył na krucyfiks kołyszący się pod lusterkiem wstecznym.

O dziesiątej był już w Vesterbro, w przejściu między ławkami pustego kościoła Torpego. Pastor miał na sobie niebieską koszulę roboczą, dzinsy. I był w fatalnym nastroju.



– Nie możesz tu zostać. Policja przychodziła tu dwa razy. Dzwoniła Louise. Wiedzą, że z nią rozmawiałeś. Zabrali ją na przesłuchanie.

Na ławce leżała poranna gazeta. Zdjęcie Lisbeth Thomsen, młodszej, ładniejszej, szczęśliwszej. I nagłówek: *Czwarta duńska ofiara kampanii zastraszania.*

– Skończyły mi się pieniądze. Możesz mi trochę pożyczyć?

– Na co?

– Tylko kilka tysięcy.

Torpe kiwnął głową w stronę drzwi.

– Zabieraj się stąd. Obrabuj jakąś stację benzynową czy coś w tym rodzaju. Tym się teraz zajmujesz, prawda?

Torpe był umięśniony i silny. Ale nigdy nie był tak naprawdę żołnierzem.

Raben przysunął się do niego. Pastor wyraźnie się przestraszył.

– To się musi skończyć, Jens. Jesteś ostatni. Poddaj się. Przynajmniej zostaniesz przy życiu.

– Naprawdę?

– Tak. Porozmawiaj z policją...

Był wyczerpany, znudzony tymi sporami. Torpe jako duchowny powinien mu pomóc.

– Dasz mi pieniądze czy nie?

– Poddaj się.

Raben westchnął.

– Nie pojmujesz. Thomsen powiedziała, że prawniczka dążyła do wznowienia sprawy.

– Jakiej sprawy? O czym ty mówisz? Jesteś chory. Nie wiesz, co jest rzeczywiste, a co nie.

– Straciłem w Helmand trzech ludzi! Nie wmawiaj mi, że to mi się przyśniło!

Torpe nic nie powiedział.

– Ona coś wiedziała, Kapelanie. Dowiedziała się... nie wiem czego. – Raben przycisnął sobie palec do czoła. – Czegoś, co tu utknęło.

– Poddaj się.

– Jeśli to zrobię, ich śmierć pójdzie na marne. I moja pewnie też. Nie rozumiesz tego? – Chwycił gazetę, pokazał ją maszynemu mężczyźnie w niebieskiej koszuli. – Prawniczka nie rozmawiała ze mną o terrorystach. Tylko o tym, co się stało.

Torpe sprawiał wrażenie zdenerwowanego, nie patrzył Rabenowi w oczy.

– U ciebie też była, prawda? – spytał Raben.

– Nigdy jej nie widziałem. Jesteś szalony. Potrzebujesz pomocy. Słyszałem te wszystkie plotki. Nie było żadnego oficera. Sprawdzali...

– Zatuszowali to.

– Masz żonę i syna. Pomyśl o nich.

– Właśnie widziałem Lisbeth Thomsen rozerwaną na strzępy. Nie mów mi, że mam nadstawić drugi policzek. Za późno na to. Daj mi pieniądze, do diabła...

Kapelan ruszył do drzwi. Raben chwycił go za nadgarstek. Torpe podniósł ręce w geście kapitulacji.

W tylnej kieszeni miał portfel. I niewiele ponad tysiąc koron.

– Daj mi PIN do swojej karty bankomatowej.

Torpe zgromił go wzrokiem.

– Czy ty wiesz, co mówisz? Nie używam żadnej karty bankomatowej. Jestem sługą bożym. Żyję z dobroczynności parafian.

Raben podszedł do miedzianego dzbana na datki.

– A więc pożyczę sobie trochę od twojego szefa – rzekł i chwycił ze środka kilka banknotów i monet.

\*

Thomas Buch siedział w swoim ministerialnym samochodzie i słuchał Plough, który czytał wstępniak z którejś porannej gazety. Był potępiający. Bucha surowo zganiono za nieprzewidywalne zachowanie na konferencji prasowej.

– Erling Krabbe mówi, że umywa ręce – dodał Plough. – To samo mówią niektórzy pańscy partyjni koledzy.

– A co Grue Eriksen oświadcza publicznie?

– Że czeka na wyjaśnienia.

– To chyba tak jak my wszyscy – mruknął Buch, patrząc na przedmieście Valby przesuwane się za oknem.

Poprosił Karinę, żeby spotkała się z nim w swoim domu. Ploughowi nie podobał się ten pomysł. Karina była teraz dla niego tylko teczką w dziale kadr. A nie współpracownicą ministra.

– Rozmawiałem z ministerstwem obrony – kontynuował Plough. – Mówią, że Monberga nic nie łączy ze sprawą w Helmand.

W głosie urzędnika służby cywilnej zabrzmiał ton, który Buch nauczył się już rozpoznawać. Sugerował on, że Plough ma do powiedzenia coś jeszcze.

– Tak?

– Myliłem się co do Monberga. Nie był ze mną całkowicie szczery, jak pan wie. Ta sprawa z Kariną...

– Muszę się z nią spotkać. Niech pan nie zaczyna.

– Proszę nie mówić nic, co skomplikowałoby procedurę. – Zajeżdżali właśnie pod nowoczesny blok na spokojnej ulicy. – Lepiej niech pan tam

wejdzie sam. Nie powinienem się w to...

– Wplątywać? – spytał Buch.

– Nie powinniśmy o tym rozmawiać.

– Och, na miłość boską, Plough. Ona tylko poszła do łóżka ze swoim szefem. Nic poza tym.

– Z ministrem!

– Z ministrem – powtórzył Buch z sarkastyczną intonacją. – Jakie to ma znaczenie?

– Skąd pan wie, że za tym nie kryje się nic więcej?

– Pan po prostu nie chce słuchać o życiu seksualnym Monberga.

Plough z zapalem kiwnął głową.

– Zważywszy okoliczności, wolałbym nie słuchać.

Blok ciągnął się w nieskończoność. Buch odszukał właściwy numer, a potem właściwe mieszkanie, na parterze. Pojawiła się Karina, uśmiechnięta, wpuściła Bucha i wprowadziła do jasnego, słonecznego pokoju. Pod ścianą stał kontrabas, na stole laptop. Wszędzie leżały gazety, kilka zabawek, stos folderów i niedojedzone jabłko na podłodze.

Miło tu, pomyślał Buch. Mieszkanie skojarzyło mu się z rodziną, za którą tęsknił.

Zostawiła go na chwilę. Trącił strunę kontrabasu i z przyjemnością słuchał rozplywającego się dźwięku. Potem spojrzął na gazety na stole. Na rozkładówce jego żałosna twarz, zajmująca niemal dwie strony. I nagłówek: *Paraliż w Folketinget*.

Weszła Karina z dzieckiem w ramionach. Śliczną dziewczynką mniej więcej trzyletnią. Posadziła córeczkę na kanapie i poprosiła, by się zajęła książeczką.

– Niania pomaga mi przenieść parę rzeczy – powiedziała Karina, gdy pojawiła się ciemnowłosa kobieta, niosąc jakieś pudła. – Lotte!

Chwileczkę...

Obie zniknęły w głębi mieszkania.

Buch stanął przed dziewczynką, ukłonił się i rzekł:

– Nazywam się Thomas Buch. Dzień dobry pani.

Zachichotała i też się ukłoniła.

– Ja się nazywam Merle Jørgensen.

– Merle. To jedno z moich ulubionych imion.

– Mama mówiła, że pan jest zabawny.

– Merle! – krzyknęła Karina, wpadając do pokoju.

– Nie, nie – zaprotestował Buch. – Rzeczywiście jestem zabawny. Lubię zabawne rzeczy. Świat ich potrzebuje.

Weszła niania i wzięła Merle za rękę. Nadszedł czas ruszyć do przedszkola.

Karina zaczekała, aż wyjdą.

– Jeśli chodzi o moją rezygnację – powiedziała – zrobię wszystko, czego życzy sobie ministerstwo. Nie będę stwarzać kłopotów. Czy muszę rozmawiać z policją?

– Nie wiedziałem, że ma pani córkę.

Jej wzrok padł na gazetę na stole. Zwinęła ją.

– Nie chwaliłam się. Przepraszam. Muszę iść na pocztę.

Przeszła po pokoju, zbierając rachunki i listy.

Buch podszedł do kontrabasu i znowu trącił strunę.

– Więc tata Merle jest muzykiem?

– Nie. To mój instrument. Proszę się nim nie bawić. Napije się pan kawy?

– Nie musi już mi pani robić kawy.

– Przede wszystkim nigdy nie musiałam. Tata Merle jest prawnikiem. Uznał, że woli zarabiać duże pieniądze w Dubaju, niż być z nami.

– Nie chcę, żeby pani składała rezygnację, Karino – wyznał Buch. – Nie ma powodu. Chciałbym, żeby wróciła pani do biura.

Wyglądała na zaskoczoną.

– Mówię to całkowicie samolubnie – dodał. – Jest pani dobra w tej robocie. A ja nie.

– Rozmawiał pan z Plough? Wprowadziłam pana w błąd. Jego też.

– Plough nie uważa, że zrobiła pani coś złego.

Zrozumiał to spojrzenie. Mówiło: „Proszę dać spokój”.

– Carsten też mógłby sobie pofolgować – dodał Buch.

Nie roześmiała się.

– Błagam, Karino. Potrzebuję pani pomocy.

– Nie.

– Muszę się dowiedzieć, jak Monberg się w to wszystko wplątał. Wie pani, dlaczego chciał zataić swoją rozmowę z Anne Dragsholm?

– Powiedziałabym panu!

– Po co ta cała tajemnica?

Potrząsnęła głową. Wzięła rachunki i listy. Musiała iść.

– Dlaczego on chciał się zabić?

To ją zatrzymało.

– Słucham?

– Dowiedziałem się wieczorem. To kolejna tajemnica, którą chciał zachować. To nie był atak serca. Przedawkował. Może miał wyrzuty sumienia.

Usiadła wstrząśnięta.

– Nie wiem, co powiedzieć. Monberg chciał się zabić? Dlaczego?

Zdenerwował ją i teraz tego żałował.

– Nie mam pojęcia – odrzekł. – Proszę, niech pani zmieni decyzję...

– W biurze jest trochę moich rzeczy. Muszę po nie przyjść.

– To proszę wtedy zajrzeć do mnie.

Zadzwonił jego telefon. Plough – jeszcze bardziej zaniepokojony niż zwykle.

– Minister obrony zwołał spotkanie.

– W jakiej sprawie?

– Nie powiedzieli. Dzisiaj po południu.

– Niech pan przekaże Rossingowi, że nie mam czasu na zagadki – odparł Buch i zakończył rozmowę.

– Teraz został już tylko jeden żołnierz, prawda? – spytała Karina, gdy ruszył do drzwi.

– Tak. I nie mamy pojęcia, gdzie on jest. Ani... – To wydawało się najbardziej zastanawiające. – Ani dlaczego ucieka.

– Dowie się pan. Nieważne, co myślą inni. – Skierowała wzrok na gazetę. – Pan to rozgryzie.

– Proszę do mnie wpaść, jak pani przyjdzie – powtórzył Buch, po czym wyszedł na dwór i czekał na samochód.

Zaparkował na drugim końcu ulicy. Carsten Plough, domyślał się Buch, nie chciał spotkać się oko w oko z byłą koleżanką. Jeśli miał taką możliwość.

\*

Magazyn amunicji w Ryvangen. Drewniane skrzynie z wojskowymi stemplami na boku. Stojaki z plastikowymi pudłami. Kartki rozpięte na tablicach. Pułkownik Jarnvig i Said Bilal spotkali się z nimi przy drzwiach. Obaj mieli na sobie zielone mundury polowe.

Bilal trzymał paszport i spis szczepionek.

– Nie może się pan doczekać? – spytała Lund, siląc się na niezobowiązującą pogawędkę. Opryskliwy młody mężczyzna tuż przed trzydziestką, ponury, zawsze na służbie, pomyślała.

– Jestem żołnierzem. To moje zajęcie. A i tak wyjadę dopiero za miesiąc. Mam tu robotę administracyjną.

Lund pomyślała o swoim synu Marku. Kiedyś wspomniał o służbie wojskowej. Armia zapłaciłaby za jego college. Mówił o tych decyzjach tak, jakby uważał bycie żołnierzem za pracę jak każda inna: księgowego, prawnika, lekarza...

Torsten Jarnvig był w każdym calu zawodowym wojskowym. Nie wyobrażała go sobie w żadnej innej roli. Ale Bilal sprawiał wrażenie takiego młodego, takiego nieufornowanego, bez osobowości, mógł być kimkolwiek.

Świat się zmienił. Kiedyś wojna wydawała się czymś nadzwyczajnym, przestarzałym. Reliktem z przeszłości, który nigdy nie wróci. Wspomnieniem rodziców i dziadków o nazistach w buciorach maszerujących ulicami Kopenhagi przed zbuntowanymi tłumami Duńczyków.

Teraz była wszechobecnym, nieskończonym potokiem stałych krwawych obrazów w całodobowej telewizji. Dzieciak wychodzący ze szkoły wertował broszurę informacji zawodowej pełną uzbrojenia, samolotów, okrętów wojennych i w ogóle się nad tym nie zastanawiał. Konflikt zbrojny stanowił element codzienności, co było niewyobrażalne jeszcze dwadzieścia lat temu. Podejście Bilala było naturalne. To jej dyskomfort nie pasował do dzisiejszych czasów.

– Tutaj pracował Myg Poulsen – powiedział Jarnvig, gdy przemierzali długi korytarz w stronę ogromnego pomieszczenia na końcu. – Miał



klucz. Niewykluczone, że miał dostęp do jakiegoś uniwersalnego kodu. Obu ich użyto, żeby się dostać do środka.

– Niewykluczone? – spytała Lund natychmiast.

– Kod nie był przydzielony konkretnej osobie – odrzekł Jarnvig z irytacją w głosie. – Nic innego nie umiem pani powiedzieć.

Lund potrząsnęła głową.

– Nie unieważniacie kodu w wypadku czyjejś śmierci? Czy to nie jest podstawowa...

To pytanie nie spodobało się Jarnvigowi.

– Już mówiłem. To był kod generyczny, część systemu. Nikt sobie nie wyobrażał, że coś takiego może się wydarzyć.

– Ochrona powinna sobie radzić z rzeczami niewyobrażalnymi. – Strange nie odrywał wzroku od twarzy pułkownika. – Macie tu bałagan. Kiedy odbierałem raport prokuratora wojskowego, nie widziałem w tej okolicy ani jednego wartownika.

– Nie miałem pojęcia, że jest pan specjalistą od systemu zabezpieczeń w wojskowości.

Strange się nie dał.

– Odsłużyłem swoje. Umieję rozpoznąć bałagan, gdy go widzę.

Bilal się wycofał i z oddali obserwował swojego zwierzchnika zaciekawionymi, bystrymi oczami.

– Przygotowujemy się do wyjazdu na misję – powiedział Jarnvig, starając się zachować spokój. – Magazyn jest zamykany elektronicznie. Tylko siedem osób zna zwykłe kody dostępu.

– Jeden z nich jest martwy – dorzuciła Lund. – I kod zna jeszcze ten ktoś, kto go zabił. Tyle że on w ogóle może nie znał kodu. Świetnie. O której dokonano włamania?

Bilal zerknął do notatek.

– Zamek zewnętrzny wyłączono o godzinie zero trzydzieści dziewięć. Krótko po północy. I ponownie o pierwszej cztery.

Jarnvig wprowadził ich do głównego pomieszczenia magazynowego. Wielka, hangarowa konstrukcja pełna mundurowych pracujących w milczeniu przy skrzyniach, pudłach i paletach. Lufy dział leżały złożone jak rury spustowe czekające na położenie instalacji. W kącie na podnośniku stał mercedes terenowy.

W głębi znajdowała się klatka. Teraz była otwarta, a w środku pracowali technicy w kombinezonach.

Pułkownik tam właśnie ich doprowadził. Ciężka kłódka leżała na betonowej posadzce w otoczeniu kółka z czarnego atramentu.

– Poulsen zajmował się amunicją i materiałami wybuchowymi – powiedział Jarnvig, gdy weszli do klatki, przy czym Bilal zamykał pochód, idąc z rękoma należycie założonymi na plecy. – Miał klucz do tego pomieszczenia.

– Nie da się po prostu znaleźć tego miejsca, mając klucz i kod do zamka – zauważyła Lund. – Musiał...

– Stworzyliśmy listę cywilów, którzy poruszają się po terenie koszar – przerwał jej Jarnvig. – Jest ich kilkaset. Dostawcy i inni.

Lund obeszła pomieszczenie, wpatrując się w zielone metalowe skrzynki i zagadkowe stemple.

Kod nie dawał jej spokoju.

– Jeśli był generyczny – powiedziała – to mógł go znać cywilny technik. Zgadza się? Albo ktoś inny z koszar? Z dowództwa?

– Nie wiemy, gdzie powstają kody – odrzekł ponuro Jarnvig. – Nie mogę tego w kółko powtarzać. Lisbeth Thomas była dobrym żołnierzem. Jak zginęła?

– Ktoś podłożył bomby pułapki. Jedną skutecznie. – Przyglądała mu się. – Przez noc laboratorium zbadało cechy chemiczne materiałów

wybuchowych. To były wasze materiały. Z tego magazynu.

To mu się nie spodobało.

– Zapewnimy wam wszelką możliwą współpracę...

– Może niczego nie zauważyliście, bo morderca jest jednym z was – odezwał się Strange.

– Jest dziura w ogrodzeniu! Po co jeden z nas miałby ją robić?

Strange rozejrzał się po klatce.

– Dla zmyłki. Ktokolwiek się tu dostał, orientował się w terenie. Wiedział, czego szuka.

Jarnvig szukał odpowiedzi.

– Chcę dostać nazwiska wszystkich oficerów – powiedziała Lund – wszystkich żołnierzy w jednostce, którzy mają tu dostęp.

– To trzech dowódców plutonu. Dwóch oficerów. Poulsen...

– Poulsen nie żyje! A pan?

– Ja oczywiście mam dostęp. Jestem dowódcą jednostki. Dlaczego marnujecie nasz czas...

– Marnujemy wasz czas?

Brix powiedział, że ma zachować spokój. Brixa tu nie było. Gdyby był, też by się zdenerwował tak jak ona na tego aroganckiego faceta.

– Myślę, że musimy kontynuować tę rozmowę w siedzibie Politigården, panie pułkowniku – powiedziała Lund.

– Dlaczego?

– Ponieważ tam zabieramy ludzi na przesłuchanie.

Jarnvig rozejrzał się po swoich ludziach, po ekwipunku. To jego twierdza, pomyślała Lund. Jego królestwo. Chciała go zobaczyć bez tego zabezpieczenia, którego obecność czuł tutaj.

– Mam za dużo roboty.

Strange podszedł do niego.

- Może pan pojechać dobrowolnie albo pana aresztujemy.
- To są koszary wojskowe...
- To jest Dania – przerwała Lund. – Zechce pan wsiąść do samochodu?

Mężczyźni stawali na baczność, gdy wściekły Jarnvig w milczeniu wychodził z magazynu amunicji w Ryvangen, by wsiąść do czarnego forda.

\*

Gdy Buch i Plough wrócili do ministerstwa, czekał już na nich raport PET.

– König mówi, że rozszerzają śledztwo na inne grupy islamistów – wyjaśnił Plough, przeglądając raport w drodze do gabinetu Bucha. – On uważa, że morderstwa to akt odwetu za zbrodnie, które zdaniem fundamentalistów popełniono dwa lata temu w Helmand.

– Tak, tak, wiem. Ale czy jest jakiś dowód, który by przemawiał za tą wersją?

Plough podał Buchowi najchudszą z teczek.

– Powinien pan go zapytać. Nie mają nic, co by łączyło Monberga i Anne Dragsholm.

Urzędnik zakasłał. Co jak zawsze oznaczało, że ma do powiedzenia coś niezręcznego.

– König skarży się na brak współpracy ze strony policji – dodał.

Dotarli do szczytu schodów, dwa pokoje od pomieszczeń ministra.

– To trochę śmiesznie, nie sądzi pan? PET przez prawie dwa tygodnie zatajała przed policją istotne informacje.

– Przejrzę to sobie. Zgłosiłem do kadr wakat na stanowisku pańskiej osobistej sekretarki. Wiem o dwóch ewentualnych kandydatkach...

– Nie chcę nowej sekretarki – odparł Buch, starając się nie zdradzić rozdrażnienia. – Chcę, żeby Karina...

Urwał. Przed jego gabinetem stał Flemming Rossing w długim prochowcu. Wyglądał na zdenerwowanego.

– Ma pan chwilę? – spytał. – Specjalnie zaszedłem.

– Trafił pan na zły moment, Rossing. Porozmawiamy później, dobra? Poproszę sekretarkę...

Rossing się uśmiechnął. Ten haczykowany nos, te bystre, chciwe oczy. Patrzy, pomyślał Buch, jak ptak drapieżny oceniający swoją zdobycz.

– Pan nie ma sekretarki. Takie krążą wieści...

– Dwie minuty. Najwyżej.

Ale Flemming Rossing już wchodził do jego biura, mijając długie okno z widokiem na walczące smoki.

– Pan premier wprowadził mnie w sytuację – powiedział. – Musimy pogadać.

Buch usiadł. Rossing został przy oknie, przechadzając się w tę i z powrotem. Carsten Plough znowu zniknął.

– Wiem, że Monberg jest pańskim przyjacielem – oznajmił Buch. – Może się panu nie spodobać to, co wyjdzie na jaw. Przykro mi, ale musimy wyjaśnić sprawę.

– Pamiętam, jak sam zostałem ministrem. – Rossing uśmiechnął się do portretów za biurkiem. – Pan jest nerwowy. Chce pan, żeby wszyscy pana lubili. Zwłaszcza premier. To zupełnie jakby pan chodził do szkoły i znowu wszystko robił doskonale.

– Nikt nigdy nie kazał mi być perfekcyjnym. A teraz do rzeczy, jestem naprawdę zajęty...

Rossing przyciągnął sobie krzesło.

– Nic nie łączy Monberga i tej sprawy wojskowej. Ja to wiem.

– Cóż, skoro pan wie...

– Musi pan coś zrozumieć. Frode od dłuższego czasu żył pod ogromną presją. Negocjacje dotyczące pakietu antyterrorystycznego. Problemy w domu. Pozwoli pan?

Nalał sobie wody do szklanki, nie czekając na odpowiedź.

– Zawsze był wrażliwy na kobiece wdzięki. – Rossing ruchem głowy wskazał drzwi do biura. – Na dowód ma pan tam puste biurko. Nagle zgłosiła się do niego Anne Dragsholm. Znali się od lat.

Buch zerknął na akta, które dostał od Plough.

– W raporcie PET nie ma o tym wzmianki.

– Frode był wykładowcą Dragsholm na uniwersytecie. Mieli romans. On był już wówczas żonaty, miał dzieci, więc ją rzucił.

Napił się wody. Zawahał się, jakby rozważał, jak daleko może się posunąć.

– Nie sądzę, by później się z nią kontaktował. Od czasu do czasu opowiadał mi o swoich... flirtach. – Orla twarz Rossinga spoważniała. – Nie podobało mi się to. Starał się nadać temu postać zwierzeń, ale to były zwykłe przechwałki. Nagle pojawiła się Dragsholm i czegoś chciała, więc się z nią spotkał... – Podniósł szklankę w pełnym goryczy toaście. – Ze względu na dawne czasy.

– Pan do czegoś zmierza? – spytał Buch.

Jasnoniebieskie oczy Rossinga zalśniły wściekłością.

– Monberga gównem ta sprawa obchodziła. Chciał po prostu znowu zaciągnąć Dragsholm do łóżka. I tyle. Kiedy ją zamordowano, oszalał. W życiu nie widziałem go w takim stanie. Po paru dniach się załamał i...

Buch wcisnął dłonie w kieszenie i czekał.

– Kilka dni wcześniej jadłem z nim lunch. W kółko gadał tylko o tym, że jego życie to długi ciąg pomyłek. Wszystkie jego osiągnięcia... – Wolną ręką omiótł gabinet. – To. To wszystko nic nie znaczyło. Byłem

zajęty. Nie chciałem słuchać o kolejnym parszywym romansiku. A potem...

– Zatem to tylko obrzydliwa mała seksafera? Najlepiej o wszystkim zapomnieć?

Rossing utkwiał w nim niebieskie oczy.

– Tego nie powiedziałem. Wiem, że o wszystkim trzeba mówić otwarcie. Nie sądzę tylko, żeby było to konieczne w tej chwili. Pan zniszczy Monberga. Zniszczy pan rząd. Da pan tej suce Birgitte Agger całą amunicję, której potrzebuje.

– Cztery osoby nie żyją, a pan prosi...

– Nie proszę o nic. Pan jest ministrem. To pańska decyzja. Monberg nie ma nic wspólnego z tamtą sprawą. Jeśli go pan w to wciągnie, zostanie nam tylko bezsensowny brud. Niech pan pomyśli, zanim pan zacznie działać, Thomasie. Proszę.

Dopił wodę, odstawił szklankę na stół. Wziął raport PET, przekartkował go, po czym odłożył.

– Przydałoby się, żeby powiedział mi pan o tym wcześniej – zauważył Buch.

– Co by to dało?

– Byłbym przygotowany.

– Nie sądzę. Bez obrazy. Jesteśmy ministrami. Nie jesteśmy tu po to, by wszystko wiedzieć. Naszym zadaniem jest podejmowanie decyzji. Dobrych, miejmy nadzieję. Chociaż te rzadko są zapamiętywane.

Wstał i poklepał Bucha po ramieniu.

– A złe najczęściej – dodał i wyszedł.

\*

Jarnvig siedzący za stołem w pokoju przesłuchań Politigården wydawał się mniejszy. Lund oparta o grzejnik pod oknem wyczuła jego niepokój, którego nie było za murami jednostki.

– Wczoraj powiedział pan, że w tej wiosce nie zostali ranni żadni cywile.

– To prawda.

– Rozmawiałam z Thomsen, zanim uciekła z Rabenem. Twierdziła co innego.

– Słyszeliśmy tę bajkę. Prokurator wojskowy zbadał sprawę. Wszystkie plotki okazały się nieprawdziwe.

Strange siedział odprężony na czarnej kanapie i przyglądał się Jarnvigowi usadzonemu przy biurku, sztywnemu jak zawsze.

– Straciliście trzech ludzi z oddziału – powiedział. – Może nie koncentrowaliście się na prawdzie tak, jak należało.

– To prokurator oczyścił ich z podejrzeń. Nie ja.

– Proszę nam to wytłumaczyć. – Lund oparła dłonie płasko na stole, spojrzała na wojskowego wielkimi jasnymi oczyma. – Jestem ciekawa. I proszę pamiętać, że jestem cywilem. Kobieta. Nie rozumiem waszego świata.

– Proszę mi zadać pytanie, a ja odpowiem – odrzekł oschle Jarnvig. – Jeśli zdołam.

– Kiedy oddział przewieziono do obozu, co panu powiedzieli?

– Pani to wie! Twierdzili, że odebrali wezwanie od patrolu, który znalazł się pod ostrzałem poza strefą kontrolowaną przez nas. Był to rejon, w którym pewną kontrolę sprawowali talibowie.

– Pewną?

– Pewną – powtórzył. – To Afganistan. Nie ma granic, nie ma linii frontu. Powiedzieli, że wezwanie nadeszło z wioski. Kiedy tam dotarli, zastali jednego oficera, Perka. To on był ostrzeliwany i chciał pomocy.



– Co jeszcze?

– Perk podobno schronił się w domu. Przez czterdzieści godzin byli oblegani i nie mieli kontaktu radiowego. Nie mieliśmy pojęcia, gdzie się znajdują. Śmigłowiec, który podjął Thomsen, szukał ich, ale bez powodzenia.

Jarnvig napił się kawy, którą wcześniej podała mu Lund.

– Kilku członków tamtejszego plemienia twierdziło później, że coś się stało z rodziną, która mieszkała w tym domu. Chcieli pieniędzy.

– Co dokładnie mówili? – spytała Lund.

– Że duński oficer zabił rodzinę. Ojca, matkę, dwoje czy troje dzieci, nie pamiętam. Nikt nie wiedział dokładnie. To było śmieszne.

– Pojechaliście do wioski, żeby przepytac miejscowych?

– To Afganistan! Zrobiliśmy, co w naszej mocy. Sprawdziliśmy ten dom. Doszło tam do eksplozji. To było widać. Nikt nic nie wiedział o wezwaniu od zaginionego oddziału. – Oczy mu pociemniały. – Oprócz Rabena... Żadnych danych o żadnych żołnierzach w tym rejonie. Żadnych ciał...

– Thomsen słyszała o kimś, kto się nazywał Perk – zauważyła Lund.

Jarnvig pochylił się do przodu i walnął pięścią w stół.

– Nie było oficera o nazwisku Perk. Myśli pani, że ja go nie szukałem? Raben jest moim zięciem. Nigdy go nie lubiłem, ale ze względu na córkę chciałem, by sprawiedliwości stało się zadość.

Strange potrząsnął głową.

– Dlaczego Raben miałby kłamać? Dlaczego pozostali mieliby kłamać? Wszyscy opowiadali to samo.

– Tę ryzykowną przygodę trzech ludzi przypłaciło życiem. Raben zawsze był krnąbrny. Nigdy nie przyjmował łatwo rozkazów. Może starał się zostać bohaterem. Może chciał na kogoś zrzucić winę.

– A co z tą rodziną? – spytała Lund. – Ktoś przecież mieszkał w tym domu, prawda? Znaleźliście ich? Co zeznali?

– Nie znaleźliśmy. Powiedziano nam, że uciekli.

– Wszyscy?

– Wszyscy.

Lund przewertowała dokumenty.

– Pan był dowódcą. Sprawdził pan to wszystko osobiście?

– Osobiście nie – odrzekł Jarnvig, jakby to było zajęcie poniżej jego godności. – Kiedy to się wydarzyło, nie było mnie w obozie. Ale po powrocie zapoznano mnie z sytuacją. Było jasne...

– Chwileczkę! – przerwał Strange. – Nie było pana w obozie?

– Nie. Przebywałem w Kabulu na spotkaniu w sprawie bezpieczeństwa. Pod moją nieobecność dowodził mój zastępca.

– Nazwisko? – spytała Lund.

– Kapitan Søgaaard. Teraz jest oczywiście majorem. Wróciłem dwa dni po tym, jak wydostali stamtąd Rabena i jego ludzi. Søgaaard złożył mi pełny raport, a ja...

– To na razie wszystko – powiedziała.

– Słucham?

– To wszystko. – Wskazała drzwi. – Może pan odejść.

Brix stał na korytarzu, gdy Jarnvig wychodził. Lund patrzyła, jak mężczyźni się mijają. Nie powiedzieli ani słowa, za to nawiązali bardzo treściwy kontakt wzrokowy.

– Jarnvig jeszcze namąci – powiedział Strange. – Mieliśmy nie rozrabiać.

Zbłąkana myśl, która pojawiła się w jej głowie poprzedniego dnia, wróciła, gdy Lund patrzyła, jak mężczyzna w mundurze wychodzi z budynku. Politigården nie zawsze była obca wojsku. W czasie

niemieckiej okupacji naziści zajęli budynek; podlegali im duńscy policjanci, którzy pozostali na posterunku. Niektórzy Duńczycy przekroczyli wszelkie granice, na przykład w trakcie transportowania partyzantów na przesłuchanie. Znała plotki. Historie o duchach w piwnicach, nieopodal pomieszczeń, w których Niemcy i ich miejscowi współpracownicy bili i torturowali podejrzanych, by następnie przewieźć ich do Mindelunden, gdzie zginęli przywiązani do słupów na strzelnicy.

A niektórzy z tych zdrajców sami zginęli z rąk partyzantów.

*Stikke.*

Wykoszeni przed swoimi domami, zastrzeleni w autobusie, gdy jechali do pracy.

Wojna nie zawsze była obca. Dla niektórych była czymś znajomym, codziennym, częścią otoczenia, jak brzydka pogoda czy choroba. Kształtem majaczącym w mroku. A ona jakimś cudem dotąd jej uniknęła.

– Gdzie jest Søgaaard? – spytała.

– Zostawiłem mu cztery wiadomości. Nie oddzwonił.

– Doprawdy?

\*

Gdy tylko Rossing wyszedł, Buch poprosił Carstena Plougha, by sprawdził przeszłość Monberga. Następnie włożył ciepły zimowy płaszcz i opuścił Slotsholmen, by oddać się rozkoszom hot doga z budki na placu po drugiej stronie mostu. Tutaj Kopenhaga wyglądała zwyczajnie. Ludzie żyli swoim życiem, nieświadomi gorączki, jaka panowała w szarych budynkach rządowych za ich plecami. Danią od wieków rządzono z tej wysepki. Odkąd tylko wojowniczy biskup Absalon zbudował tam warownię. Kiedyś w wolnej chwili deputowany

Buch zwiedził szczątki fortecy głęboko pod pałacem Christiansborg. Slotsholmen przyciągało władzę od ponad tysiąca lat, a wraz z władzą, jak się domyślał, plotki, skandale i spiski.

Po powrocie stwierdził niewielki postęp.

– Myślę, że on ma rację – powiedział Plough. – Gdy Dragsholm studiowała, Monberg wygłaszał na jej uczelni wykłady. Mogli mieć romans. Potem ona pracowała za granicą, a następnie złożyła podanie o pracę w wojsku.

– Wiemy, czy mieli romans?

Urzędnik wzruszył ramionami.

– Nie zakładamy podsłuchów w sypialniach. Prawda? No, w każdym razie nie w sypialniach ministrów. Mam nadzieję, że nie był pan za bardzo nieprzyjemny w stosunku do Flemminga Rossinga. Temu człowiekowi lepiej nie stawać na drodze.

Do gabinetu weszła Karina z córeczką na rękach. Mała była ciepło ubrana – w biały wełniany płaszcz i śliczną czapkę.

Buch uklonił się i rzekł uroczyście:

– Merle Jørgensen. Thomas Buch i jego smoki mają zaszczyt powitać panią w swoich progach.

Zachichotała.

– Jakie smoki?

Buch wskazał wieżę Børsen za oknem.

– One nie są prawdziwe – orzekła dziewczynka pełnym werwy dziecięcym głosem, który oznaczał żartobliwe przekomarzenie się.

– Kto tam wie, co jest prawdziwe, a co nie – odrzekł minister.

– Dorośli.

– Gdyby tak rzeczywiście było... Muszę do kogoś zadzwonić. – Spojrzał na Karinę. – Możemy potem porozmawiać?

Zadzwoił do Rossinga.

– Jeśli chce się pan znowu kłócić... – uprzedził minister obrony.

– Żadnych kłótni. Zastanawiałem się nad tym, co pan mówił. Jestem nowy na tym stanowisku. Musi mi pan czasami wybaczyć moją naiwność.

Rossing milczał.

– Trochę się pogubiłem – ciągnął Buch. – Ma pan rację. Musimy spojrzeć na to z szerszej perspektywy. Powiem premierowi, że moim zdaniem nie należy robić szumu. Śledztwo w sprawie morderstwa będzie biegło swoim torem. Ale Monberg nie musi być w nie zamieszany.

– Cieszę się, że w końcu się zgadzamy. Jest pan porządnym człowiekiem i będzie świetnym ministrem. Powinniśmy częściej rozmawiać. Mówię poważnie.

Plough przywoływał go gestem od drzwi.

– Kolacja – kontynuował Rossing. – To doskonały pomysł. Znam pewną francuską restaurację. Może dzisiaj wieczorem?

– Mam już plany na dzisiaj, dziękuję – skłamał Buch.

– Mam nadzieję, że nie ma w nich żadnego cholernego hot doga.

– Innym razem, obiecuję.

Plough machał rozpaczliwie. Buch pożegnał się z Rossingiem i wszedł do swojego gabinetu. Karina siedziała na krześle, a jej córka przy oknie machała do splątanych smoków.

– Monberg jest powiązany ze sprawą, Thomasie. – Mówiąc to, patrzyła ze skruchą. – Dragsholm skontaktowała się z nim, by złożyć skargę na nieprawidłowości proceduralne.

Plough stał przy drzwiach i słuchał. Karina wyjęła z torby jakieś dokumenty.

– W śledztwie zignorowano zeznania złożone przez żołnierzy. Monberg wiedział, że ta sprawa...

– Karino – przerwał Plough. – My to wszystko wiemy. Jeśli przyszłaś, żeby odzyskać pracę...

– Niech pan da jej szansę – rozkazał Buch.

– Z początku nic nie znalazłam – podjęła, wskazując dokumenty. – Potem zajrzałam do systemu i odnalazłam nazwiska żołnierzy w naszej bazie.

– Ty już nie masz dostępu do systemu! – jęknął Plough.

Buch wpatrywał się w niego w milczeniu.

– Sprawą zajmowało się Ministerstwo Obrony – kontynuowała. – Ale Monberg uczestniczył w spotkaniu w sprawie jednego żołnierza. – Znalazła odpowiednią kartkę. – Jens Peter Raben, którego osadzono w Herstedvester.

– Ten, który uciekł? – Plough sprawiał wrażenie wstrząśniętego.

– Ten sam. Nie ma protokołu z tego spotkania. Gdyby Monberg nie napisał o nim w dzienniku, nie wiedziałabym, że dotyczyło Rabena.

– Karino – zaczął Buch. – To wszystko doskonale...

– To spotkanie zwołał minister Rossing. Pamiętam, jak odbierałam telefon w tej sprawie. Był nieustępliwy. – Wzruszyła ramionami. – Monberg nie za bardzo się palił.

Buch podrapał się po brodzie.

– Rossing zapewnił mnie, że chodziło tylko o romans. Zapewnił mnie.

– W takim razie okłamał pana.

Plough cmoknął z dezaprobatą.

– Okłamał! – powtórzyła. – Jak jeszcze to wyjaśnić?

Dwaj mężczyźni patrzyli na nią w milczeniu.

– Jak?

– Powiedział pan Rossingowi, że zostawi tę sprawę – przypomniał Plough. – Byłoby niestosowne, gdyby teraz nie dotrzymał pan słowa.

– Niestosowne? – ryknął Thomas Buch. – Grałem na zwłokę, durniu! Cichy urzędnik skulił się, słysząc ten ryk.

Córeczka Kariny już nie chichotała do smoków. Wpatrywała się w niego i sprawiała wrażenie przestraszonej.

– Przepraszam – rzekł Buch już ciszej. – Naprawdę bardzo, bardzo przepraszam.

\*

Po przesłuchaniu policjanci odwieźli Louise Raben do domu. Nie powodowała nimi wielkoduszność. Dwaj funkcjonariusze mieli przeszukać jej pokoje w domu Jarnviga i zabrać wszystko, co uznają za stosowne. Ona siedziała przy kuchennym stole. Było to ostatnie przeszukiwane pomieszczenie. Jeden z mężczyzn przeglądał szuflady. Drugi wziął jej kalendarz i torebkę.

Był to wesoły łyсы mężczyzna koło czterdziestki. Nieustępliwy. Nie spieszył się.

– To pani adresownik? – spytał, wyjmując notes z jej torebki.

– Tak. Niczego tam nie znajdziecie.

Odłożył go do pudła.

– Zwrócimy go pani.

Do pomieszczenia wszedł Jonas i stanął przy stole, wpatrując się groźnie w policjantów.

Na twarzy Louise Raben pojawił się wymuszony uśmiech. Matki muszą tak robić. Muszą być radosne i pogodne.

– Cześć, kochanie. – Pogłaskała synka po brązowych włosach. Nie uśmiechnął się. – Dobrze się bawisz?

Wysoki policjant z notesem mrugnął do chłopca. Ten popatrzył najpierw na jednego mężczyznę, potem na drugiego.

– Panowie pomagają mamusi sprzątać – zmyślała Louise. – Już prawie skończyli. Zaraz wyjdą.

– Proszę tu podpisać. – Mężczyzna podał jej formularz.

Kiedy ona składała podpis, policjant schylił się i spojrzał na plecak Jonasa.

– Ładny. Tata ci go dał?

– Nie – warknęła Louise bliska załamania.

Drugi policjant wziął laptopa i wsadzał go do torby foliowej.

– Dlaczego zabieracie nasz komputer? – spytał Jonas.

– Panowie już wychodzą. Prawda?

– Chcę komputer – jęknął Jonas.

– W porządku, kochanie. – Pogłaskała go po włosach. A on znowu się nie uśmiechnął. – Panowie tylko go pożyczają. Wkrótce kupimy ci playstation, dobra?

Chwilę później poszli. Louise zrobiła Jonasowi coś do jedzenia. Niewiele mówił, choćby nie wiadomo jak się starała. Zawsze sądziła, że rodziny rozpadają się w potoku wrzasków i wykrzykiwanych oskarżeń. Ale nie. To się działo właśnie tak, w milczeniu i niewyartykułowanym strachu.

Po chwili mały zostawił jedzenie, poszedł do salonu i włączył telewizor.

Bzyczenie komórki leżącej obok kuchenki. Rozejrzała się, czy nikt nie widzi.

Policja zabrała jej telefon. Wiedziała, że to zrobią, więc wsunęła kartę SIM do zapasowej słuchawki i schowała ją do piekarnika. Wszystkiego nie zabrali.



– Mówi Louise. Halo?

– To ja – powiedział jej ojciec. – Lepiej, żebyś przyszła do mojego biura. Natychmiast.

\*

W gabinecie Jarnviga siedział pastor Gunnar Torpe z poszarzałą twarzą. Louise Raben rzadko się z nim spotykała. I nie lubiła go. Nigdy nie rozgryzła, kim naprawdę jest: sługą bożym czy wojownikiem. Torpe był kawalerem, niemal za bardzo złaźnionym odegrania roli żołnierza. Kiedy pojechali na wojnę, był tam. Potem oni wystąpili z wojska, a on sprawiał wrażenie rozżalonego, że wracają do swoich rodzin. Zazdrosnego. Może to była niesłuszna ocena, ale tak było naprawdę, pomyślała. Widziała to w jego niespokojnych, zagniewanych oczach.

– Jens jest chory – powiedział Torpe, wstając. – Poważnie chory.

Nie zajęła zaoferowanego jej miejsca. Stała tylko i patrzyła na niego, ze splecionymi rękoma, pod baczny spojrzeniem ojca.

W wojsku dowodzili tacy właśnie mężczyźni. Zawsze wiedzieli lepiej.

– Musimy mu zorganizować pomoc – ciągnął Torpe swoim śpiewnym kapłańskim głosem. – Musimy go zabrać w bezpieczne miejsce, zanim zrobi coś naprawdę głupiego.

– Odwiedzałeś go w więzieniu? – spytała nieżyczliwie.

Nie odpowiedział. Wiedziała, że nigdy nie pojawił się w Herstedvester. Jens o tym wspomniał.

– Ja tak – ciągnęła. – Co tydzień. Widziałam, jak mu się poprawia. A i tak go nie wypuszczali.

– Jens potrzebuje pomocy w tej chwili – wtrącił się jej ojciec. – Zadzwoń do niego. Powiedz, że chcesz się z nim spotkać. A policja zrobi resztę.

– Mam go wydać?! – krzyknęła. – Odesłać do więzienia?!

– On ma coś z głową – przekonywał Torpe. – Mówi takie rzeczy... one nie mają sensu.

– Myg nie żyje – odparła Louise. – Grüner. A teraz jeszcze Lisbeth Thomsen. I ta prawniczka. Jaki to ma sens?

– On jest ostatni, Louise...

Torpe miał ręce żołnierza, ale używał ich jak kapłan. Złożył je jak do modlitwy.

– Próbowałam do niego dzwonić – powiedziała. – Nie odbierał.

– Spróbuj jeszcze raz – odparł ojciec.

Zostawiła ich w biurze. Stanęła na korytarzu, patrzyła na ruch na dziedzińcu. Mężczyźni w zielonych mundurach polowych dźwigali sprzęt, moździerze, karabiny. Kolejna zmiana ruszała w drogę.

– Jens, gdzie jesteś? – wyszeptała. I tak cicho, że ledwie sama siebie słyszała, dodała: – Gdzie ja jestem?

\*

Kościół Torpego stał niedaleko szemranej dzielnicy Vesterbro. Sexshopy, zamaskowane burdele. Meliny narkotykowe. Dziwki na ulicach.

Łatwo było znaleźć przybytek, którego Raben potrzebował. Kilka rozmów z mężczyznami nieopodal Kødbyen, dzielnicy mięsa. Jakiś telefon. Ruch głowy. Adres.

Okazało się, że to w porzuconym garażu niedaleko mostu Dybbølsbro. Rusztowanie podtrzymywało wewnętrzne ściany. Cuchnęło tu otwartą studzienką ściekową. Przerdzewiały zielony kamper volkswagen stał na końcu pod łukowatymi oknami.

Był wielki i miał twarz boksera: poznaczoną bliznami, brzydką. Skórzana kurtka. Ciężka sylwetka zdradzająca siłownię i koks.

Raben przyjrzał mu się uważnie. Niektórzy uczyli się walki w więzieniu. Jedni mieli lepszych nauczycieli, inni gorszych.

Zbir otworzył tylne drzwi i odwinął stary dywan. W środku znajdował się niewielki arsenał. Małokalibrowe pistolety. Broń boczna. Półautomaty.

Większość wyglądała na przerobione repliki, niebezpieczne, w jego wypadku bezużyteczne.

Twarz Rabena musiała zdradzać jego myśli. Zbir odgarnął tanie podróbki i wyciągnął czarnego neuhausena. Szwajcarski półautomat. Stary, ale jary.

– Ten jest z wojska – powiedział diler. – Najlepsza broń, jaką mam. W Hiszpanii mogę za nią zgarnąć cztery tysiące euro.

Raben potrzymał ją w dłoni. Znał ten rodzaj pistoletu. Używał go w gniewie.

– Ile masz?

– Jakies sześć stów – odparł.

Mężczyzna z twarzą boksera stanął nad nim i burknął:

– Sześć stów? Za tyle możesz dostać wiatrówkę.

Brakowało magazynku. Raben wepchnął broń za pasek.

– Słyszałeś, co mówię?

Intensywne szkolenie wchodziło w krew. Im większy przeciwnik, tym łatwiej go powalić.

Raben wbił but w goleń mężczyzny, a gdy ten wrzasnął, cofnął nogę i szarpnięciem pozbawił go równowagi, po czym pchnął, gdy tamten się przechylił. Masa ciała przeciwnika dokończyła dzieła – poleciał w dół, uderzając o betonową posadzkę krótko ostrzyżoną głową.

Oszołomiony, krwawił i krzyczał.

Raben sprawdził, czy jest ogłuszony, kopnął go jeszcze raz w głowę na wszelki wypadek, obmacał skórzaną kurtkę.

Znalazł magazynek. Broń już miał. Wcisnął magazynek i mierząc z broni do jęczącego mężczyzny na posadzce, jeszcze raz obmacał mu kurtkę. Znalazł telefon. Wyciągnął portfel, zajrzał do środka. Tysiąc, nic więcej.

Tacy nigdy nie nosili przy sobie dużo. To była ryzykowna profesja.

Mężczyzna zaczął odzyskiwać przytomność. Wpatrywał się w Rabena w sposób, który mówił: „Zapamiętam cię”.

– Potrzebuję tego – powiedział Raben.

Podniósł broń. Mężczyzna patrzył z przerażeniem. I tak miało być.

– Wsiadaj do auta – rozkazał Raben. – Odjedź. Nie myśl o mnie. Nie rozmawiaj o mnie. Módl się, żebyśmy się już nigdy nie spotkali. Bo jeśli się spotkamy...

Machnął bronią w kierunku volkswagena. Zbir o zakrwawionej twarzy boksera dźwignął się na nogi, poczłapał w kierunku otwartych drzwi, wsiadł i odjechał.

Gdy Raben wyszedł na ulicę, zadzwonił telefon od Torpego.

– Louise?

– Mój ojciec chyba wie o tym numerze.

– Kapelan mu powiedział?

– Martwił się o ciebie, Jens.

– Policja wie, że ze mną rozmawiasz?

– Nie sądzę. Nic ci nie jest? Kapelan mówi, że gdybyś się poddał, byłbyś bezpieczniejszy. Mówi...

– Wiem, co robię. Nie możemy teraz rozmawiać.

– Jens! – Głos się jej prawie łamał. – Na miłość boską... my...

Przerwał połączenie i schował telefon do kieszeni. Rozejrzał się po sexshopach i obskurnych zakątkach Vesterbro. Dwóch podejrzanych gości w czerni rozmawiało ukradkiem na rogu. Gdy tak patrzył, ładna młoda kobieta z wózkiem przejechała koło nich, a dalej minęła rząd dziwek w minispódniczkach zabierających się do pracy.

Życie szło swoim torem.

\*

Oficer dyżurny w Ryvangen powiedział, że Søgaard bierze prysznic po treningu. Lund poprosiła o wskazanie właściwej drogi i weszła do szatni.

W środku cuchnęło potem i tanią wodą kolońską. Było wilgotno i parno. Minęła rząd czerwonych szafek i nagich mężczyzn przyciskający do siebie ręczniki.

Jeden w końcu zebrał się na odwagę i zatrzymał ją.

Wyciągnęła odznakę i zerknęła ponad jego ramieniem.

– Szukam majora Søgaarda.

Nikt się nie odezwał. Z głębi pomieszczenia dobiegał śmiech i szum wody.

Lund poszła dalej. Zatrzymała się na samym końcu.

Niektórzy zdążyli wyjść spod prysznic i golili się, na ich szyjach wisały nieśmiertelniki. Søgaard wciąż krył się w kłębach pary. Nie próbował się zasłonić tak jak inni. Może uważał, że ma z czego być dumy.

Lund zerknęła i dłonią stłumiła ziewnięcie.

– Tak? – spytał Søgaard, wychodząc jej naprzeciw. Miał na sobie tylko srebrny nieśmiertelnik.

– Od rana zostawiamy panu wiadomości.

- To mój ostatni dzień ze wszystkimi. Mam napięty plan.
- Chcę z panem porozmawiać o tym, co się wydarzyło w Afganistanie.
- Nie ruszył się.
- Będziemy rozmawiać tutaj? – spytała.
- Wybieram się do sracza – odparł, wskazując na bok. – Chce pani pójść ze mną?
- Proszę się ubrać. Albo natychmiast zabiorę pana na komendę.
- Mój plan...
- W dupie mam pański plan – warknęła Lund, świadoma tego, że mężczyźni dokoła zaczęli się im przyglądać ubawieni. – Albo natychmiast pan stąd wyjdzie, albo resztę dnia spędzi pan w moim biurze. Pański wybór.

\*

Czekała przed wejściem do budynku, patrząc na żołnierzy przemieszczających się w samochodach pancernych.

Søgaard się nie spieszył. Pojawił się po dwudziestu minutach, nieskalany w swoim mundurze galowym, z wysuszonymi blond włosami pod ciemnym beretem.

– To marnowanie mojego czasu – powiedział, zanim zdążyła się odezwać. – Wiem tyle samo, co pułkownik Jarnvig.

– No, to może nie do końca prawda.

Nie podobało mu się, że jest przesłuchiwany. Zwłaszcza przez nią.

– Dlaczegoż to?

– Jarnvig był w Kabulu. A pan w obozie. To pan wysłuchał zeznań żołnierzy.

Roześmiał się.

– Cywile. Pani naprawdę nie ma pojęcia, jak to jest, co?

Ruszył w stronę mercedesa transportera. Lund nie odstępowała go na krok.

– Proszę mnie oświecić.

– Nie mogę pani powiedzieć nic, czego pani już nie wie.

– Żołnierze wspominali o oficerze o nazwisku Perk.

To go zatrzymało. Zmierzył ją wzrokiem.

– Tak – przyznał. – Wspominali. Znaleźli się pod ostrzałem. Trzech ich towarzyszy zginęło. Raben i Grüner byli tak poważnie ranni, że nie wiedzieliśmy, czy przeżyją. Gadali bez ładu i składu o wielu rzeczach...

– Perk?

– Nie było tam żadnego oficera. Żadnego oddziału pod ostrzałem. Nikogo o nazwisku Perk.

Oparł się o pojazd i spojrzał jej w oczy.

– Ani żadnego wezwania o pomoc. Raben powinien był je potwierdzić w obozie, zanim wszedł do akcji. Złamał procedury. Nie pierwszy raz...

– Pan go nie lubi, prawda?

Søgaard się zawahał.

– Kiedyś był dobrym żołnierzem. Może awansował za wysoko jak na swój temperament.

– Skąd pan wie, że nie zabili tej afgańskiej rodziny?

– Pojechałem tam. To ja prowadziłem operację, która wyciągnęła oddział Rabena z tego gówna.

Na tym chciał zakończyć.

– Pan jako pierwszy dotarł do tej wioski? – spytała.

– Pierwszy od naszej strony, jeśli chodzi o ścisłość.

– I nie widział pan nic ważnego?

– To pewnie zależy od tego, co pani uważa za ważne. Zabraliśmy stamtąd trzech martwych żołnierzy, a resztę ranną lub z nerwicą frontową. To ważne pani zdaniem?

– Cywile...

– Nie było żadnych cywilów. Ani martwych, ani żywych. Stało tam z sześć czy siedem domów. Wszystkie puste. W jeden z nich na pewno coś trafiło. Afgańczycy odchodzą, gdy robi się gorąco. Zwykle nie wracają.

Ktoś go zawołał z drugiej strony drogi.

– A kilka miesięcy później przypięto panu do piersi parę odznaczeń i awansował pan na majora?

To mu się nie spodobało.

– Czy to była nagroda za misję?

– Uratowaliśmy ich, prawda? Tych, którzy jeszcze żyli.

Nadjechał mercedes klasy G, bez dachu. Søgaard wsiadł do niego.

– Gdyby coś się zdarzyło w tej wiosce, pan ponosiłby za to odpowiedzialność, prawda?

– Gdyby. Gdyby coś się zdarzyło. Ale się nie zdarzyło. Wojna to brudna robota. Umieramy. Wróg umiera. Umierają ludzie, którzy przypadkiem trafiają w ogień walki. Wyjeżdżamy tam, by mieć krew na rękach, żebyście wy na swoich jej nie mieli. I tyle.

– Chodzi o cztery morderstwa, Søgaard.

– Powodzenia – burknął, po czym dał znak dłonią i mercedes ruszył.

Lund stała na jezdni i patrzyła, ignorując procesję pojazdów za Søgaardem, które jeden za drugim trąbiły na nią, by usunęła się z drogi.

Wyjęła telefon i zadzwoniła do Strangeo.

– Chcę, żeby sprawdzono alibi Søgaard. Gdzie był? Kto go widział? Co robił w czasie, gdy popełniono morderstwa?



– Dobra. Brix dostał jakieś dokumenty z wojska. Listę wszystkich oficerów służących za granicą w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Nie ma nikogo o nazwisku Perk.

– Musi być.

– Daj mi dokończyć. Niektórych rekrutów szkolił porucznik, którego nazywali Perk.

– I?

– Tak naprawdę nazywa się Per Kristian Møller. I walczył w batalionie Ægir.

Sznur wojskowych pojazdów dostawał szału. Lund niewiele słyszała przez kakofonię klaksonów. Powoli usunęła się z drogi i podeszła do swojego wozu.

– Orientujesz się, gdzie go teraz szukać? – spytała.

Chwila ciszy.

– Pracuję nad tym – odrzekł Strange. – Daj mi godzinę.

\*

Późnym popołudniem znaleźli ślad Pera Kristiana Møllera – w domu przy drogiej, wysadzonej drzewami ulicy we Frederiskbergu, w zachodniej części miasta, niedaleko cmentarza, na którym dwa dni wcześniej pochowano Anne Dragsholm. Jego matka, Hanne, była sama. Nie włączyła światła. W salonie, przy ogniu płonącym na kominku opowiedziała im o karierze wojskowej syna i pokazała nieliczne rzeczy, które jej po nim zostały.

– To – wzięła do ręki wakacyjne zdjęcie przedstawiające ojca, matkę i silnego młodego syna na plaży – były ulubione okulary przeciwsłoneczne Pera Kristiana. Nie siadziecie państwo? Mąż przebywa za granicą, ale ja pomogę, ile zdołam.

Była zaokrągloną czterdziestoparolatką. Niewiele starszą od Lund. Długie włosy, modne ubrania, młoda twarz, chociaż poznaczona zmarszczkami.

– Kiedy państwa syn zginął? – spytała Lund.

– W maju. Dwa i pół roku temu.

– W maju?

– Tak. Trzynastego maja. W wyniku eksplozji.

Przesunęła dłonią po długich brązowych lokach.

– Nie zapomniiałabym, prawda?

Podeszła do ściany i umieściła zdjęcie na miejscu, obok portretu syna w mundurze, uśmiechającego się do obiektywu.

– Zostawmy ją w spokoju – wyszeptał Strange. – Kiedy oddział Rabena wpadł w pułapkę, ten człowiek nie żył od trzech miesięcy.

Lund spojrzała na niego i pokręciła głową.

– Próbowałam go namówić, żeby się zajął czymś innym – podjęła Hanne Møller, splatając ramiona i wpatrując się w ścianę. – Był jedynakiem. Nie mogłam się pogodzić z jego decyzją. To było śmieszne. Wojsko było całym jego życiem. Jedynym, czego pragnął. Wykonywać swoją powinność. Być dobrym obywatelem.

Blady uśmiech.

– Potem zrobili go porucznikiem i od tego czasu rzadko dostawaliśmy od niego wiadomości. Aż odebraliśmy telefon i powiedziano nam, co się stało. Pochowaliśmy go tutaj, przy kościele. Gdy był mały, śpiewał tam w chórze. Ciągle jest nam bliski. I ciągle jest nasz.

– Chyba powinniśmy już iść – wyszeptał Strange.

Lund usiłowała coś powiedzieć.

– To jakaś pociecha. – Tylko tyle wymyśliła.

Hanne Møller starała się dalej uśmiechać.

– Chodzi o śledztwo? Ta prawniczka, która tu była, zadawała mi te same pytania, co wy.

– Nazywała się...

– Dragsholm. Anne Dragsholm. Widziałam straszne wiadomości o niej. To takie... potworne.

Podeszła do tablicy z kluczami na ścianie przy lodówce.

– Pokazałam jej jego rzeczy. Pewnie też chcecie je zobaczyć.

Podążyli za nią do drewnianej szopy na tyłach domu. Pod trzema nagimi świetlówkami stały w nieładzie skrzynki, kartony i torby.

– Zatrzymaliśmy wszystkie jego rzeczy. Nalegałam. – Otworzyła pudło i wyjęła piłkę do nogi oraz buty. Chyba na dwunastolatka. – Wszystko.

I przeszła do walizek.

– Za każdym razem gdy postanawiamy coś wyrzucić, zmieniamy zamiar. Wiem, że to głupie.

– O co pytała Dragsholm? – odezwała się Lund.

– O dokumenty dotyczące jego śmierci. Na wypadek gdybyśmy mieli prawo do odszkodowania. – Uśmiech zniknął z jej twarzy. – Musiałam pójść do kuchni odebrać telefon. Kiedy wróciłam, ona przeglądała jego rzeczy. Zachowała się bardzo niegrzecznie, szczerze mówiąc...

Lund podniosła tornister szkolny. Był pusty, pokryty kurzem.

– Tak jak pani – dodała Hanne Møller groźnym tonem.

– Dlaczego to zrobiła? – spytał Strange.

– Nie powiedziała. Zadawała mi mnóstwo pytań. Śmiesznych pytań. O pogrzeb i...

– A co z pogrzebem?

– Chyba zaniepokoiło ją, że nie widzieliśmy syna.

– Gdzie?

– W trumnie. – Kobieta rozejrzała się po szopie, jakby żałowała, że ich tu przyprowadziła, że w ogóle podjęła tę rozmowę. – Chcieliśmy go zobaczyć. Prosiłiśmy. Ale powiedziano nam, że lepiej, żebyśmy tego nie robili. Dla własnego dobra. Zginął w wyniku eksplozji...

– Nie pozwolono państwu zobaczyć własnego syna?

– Nie.

– Kto tak zdecydował?

– Kapitan Søgaaard. I pastor. Byli bardzo grzeczni... Ale stanowczy. Nie sądzę, żeby się ugięli, nawet gdybyśmy błagali. Zupełnie jakby... – Wyglądała na bliską płaczu, Lund nie chciała widzieć jej łez. – Jakby on należał do nich. Nie do nas. Ale urządzili mu piękny pogrzeb. Byli bardzo mili. Chcecie zobaczyć zdjęcia grobu? Co tydzień ustawiamy tam świeże kwiaty.

– Bardzo chętnie – odparła Lund.

Hanne Møller zostawiła policjantów i wróciła do domu.

– Nie. – Strange pomachał Lund palcem. – Ja w tym nie biorę udziału. Ona ma nerwy w strzępach. Nie pogarszajmy...

– Dragsholm tu była. Czy ty śpisz?

– On zginął trzy miesiące przed tymi wydarzeniami!

– A Søgaaard się zaklinał, że nie zna oficera o nazwisku Perk. Ukrywał...

– Perk nie żyje. Leżał w ziemi, zanim to się w ogóle zaczęło.

Lund lubiła Ulrika Strangego, ale czasami doprowadzał ją do szału.

– Kiedy ty się nauczysz zadawać pytania? – warknęła. – Nie pozwolili rodzicom zobaczyć ciała syna.

– Bo był rozerwany na kawałki!

Lund myślała.

– Musimy zdobyć zezwolenie na ekshumację. Musimy zajrzeć do trumny. Ten łajdak Søgaard mógł do środka nakłaść kamieni.

– Żartujesz sobie? – spytał Strange, za głośno. – To jakieś szaleństwo.

– Musimy zrobić ekshumację. Jeśli tego nie pojmujesz, Strange, to co w ogóle robisz w tej pracy? Bo...

Lund urwała. Hanne Møller wróciła tak cicho, że pogrążeni w kłótni w ogóle jej nie zauważyli.

Wyglądała starzej. I wyglądała na wściekłą.

– Idźcie już państwo – rozkazała zimnym, twardym głosem. – Wynoście się z mojego domu.

– Tu się dzieje coś złego – powiedziała Lund.

– Wynoście się! – wrzasnęła Hanne Møller.

\*

Gunnar Torpe miał na sobie kapłańskie szaty, czarną komżę i białą kryzę. Wszedł ostatni parafianin. Miał do załatwienia rachunki i musiał odwiedzić kilka osób. Jeszcze ostatnia runda po kościele. Przeszedł przez mrok, zamknął drzwi wejściowe. Wrócił i niemal potknął się o postać przycupniętą w ciemności za ławkami.

Gdy zobaczył, kto to jest, mało nie padł trupem.

– Jens?

Raben stanął w bladym blasku światła alarmowego. Był brudny, zmęczony i wściekły.

– Nigdy właściwie nie wierzyłem w Boga – powiedział cichym, mocnym głosem. – Musiałem wysłuchiwać tego całego kitu, który nam wciskaliście. Nie mieliśmy wyboru, prawda? Ale to wszystko wydawało się takie... nieprawdziwe.

Torpe trzymał w dłoniach Biblię. Wyglądał, jakby nie wiedział, czy zostać, czy uciekać.

– Więc gdzie on jest? – spytał Raben. – Co robi, gdy widzi, jak toniemy w tym gównie? Śmieje się jak głupi?

Stanął i wbił wzrok w ołtarz, w postać na krzyżu.

– Może należałoby wynaleźć pigułkę. Zastryk, który daje wiarę. Ja bym wziął. Chciałbyś tak? Czy wtedy byłbyś szczęśliwy?

Przysadzisty mężczyzna w średnim wieku nic nie odrzekł. Raben minął starą kamienną chrzcielnicę i stanął przed pastorem. W prawej dłoni trzymał skradziony pistolet.

– Powiedz mi prawdę, Kapelanie. Rozmawiałeś z Louise?

– Pojechałem do Ryvangen. Przekonywałem ją. Chcemy ci pomóc, Jens. Ona cię potrzebuje bardziej niż kiedykolwiek.

– Dlaczego?

– Bo jest twoją żoną i cię kocha.

– Naprawdę? – Raben poczuł odrazę do ostrego tonu w swoim głosie.

– Tak, chociaż Bóg jeden wie, na jak wielką próbę ją wystawiasz. A ja nie mam pojęcia, jak długo ona jeszcze wytrwa w czekaniu.

Raben sam nie wiedział, po co to robi Torpem i sobie. Decyzja już zapadła. Nie była łatwa. Zdobył pistolet, sądząc, że coś zdoła z nim zrobić. Ale co?

Położył broń na drewnianej obudowie chrzcielnicy.

– Lepiej to weź. Ja tego nie chcę.

Torpe szybkim ruchem zabrał pistolet.

– Muszę się przebrać – powiedział. – Chodź ze mną.

Raben wszedł do zakrystii i patrzył, jak pastor przechodzi przez kolejne drzwi, cały czas mówiąc do niego. O Bogu, rodzinie i wierze. O prawdzie i szczerości, i o mglistym, ulotnym pojęciu, którego Jens

Peter Raben w ogóle nie rozumiał. O czymś, co się nazywało sprawiedliwość.

Biuro było małe. Biurko. Komputer. Kalendarz. Kilka książek o tematyce religijnej. Tablica na ścianie.

Gdy Torpe szukał cywilnych ubrań, Raben się rozglądał. Na tablicy wisiały wizytówki hydraulików i dekarzy. Ulotki z ofertami supermarketów i o koncertach odbywających się na małym placu w Vesterbro.

Jakieś nazwisko przyciągnęło jego wzrok. Wizytówka poważniejsza niż pozostałe.

Wstrzymując oddech, wyjął pinezkę, którą przypięto ją do korka.

„Anne Dragsholm, prawnik”. Numer służbowy. Komórka. Adres kancelarii na Kongens Nytorv.

Prawda, pomyślał Raben. Ona nas określa. Kłamstwo jednego człowieka dla drugiego stanowi credo. Zależy od punktu widzenia.

– Kapelanie! – zawołał, ściskając wizytówkę i starając się nie ujawniać w głosie wściekłości, a jednocześnie wiedząc, że jego starania są daremne. – Do cholery, Kapelanie! Ona tu była. Dragsholm. Co, do cholery...?

Otworzył boczne drzwi i przestąpił próg. Gunnar Torpe zdjął już szaty liturgiczne. Miał na sobie kurtkę khaki, może nawet wojskową. Twarz nieruchoma, w oczach determinacja. W prawej, wyciągniętej do przodu ręce trzymał czarnego wojskowego neuhausena.

– Rób, co ci każe, albo cię, kurwa, zastrzelę – warknął. – Rób, Raben! Ręce za głowę!

– Nigdy nie byłeś taki dobry...

– Jedna kula i wyświadczę światu przysługę.

Lufa przysunęła się do Jensa Petera Rabena i musnęła jego skórę.

A potem zrobił, co mu kazano.

\*

Szara płyta na cmentarzu, czysta i nowa. Nazwisko Pera Kristiana Møllera. Dwie daty odległe o dwadzieścia siedem lat. Prosta inskrypcja: *Hvil I fred.*

Spoczywaj w pokoju.

Było parę minut po dwudziestej. Lund prowadziła ekipę techników, którą tu ściągnęła. I rozmawiała przez telefon z matką.

– Obiecałaś, że mi pomożesz, Sarah. Ślub...

– Pojawily się nowe okoliczności. Jeszcze mamy czas.

– Zapomniałaś, prawda? – krzyknęła Vibeke.

– Oczywiście, że nie zapomniałam. Jakżebym mogła zapomnieć? Przyjdę rano.

– Jutro jest ślub!

– Mamo, nie mogę teraz rozmawiać. Zadzwoń do ciebie. Pa.

Przy mogile ustawiono światła i sprzęt do kopania.

– Robiłeś to już kiedyś? – zapytała Jansena.

Porządny człowiek. Nadstawiał karku, by pomóc jej przy sprawie Birk Larsen, i jakimś cudem wtedy uniknął konsekwencji. Teraz rudowłosey technik zerkał na nagrobek i ziemię przed sobą. Odsunęli świeżą wiązankę kwiatów. Wokół grobu biegł niski żywopłot.

– Kilka razy.

– Jak głęboko on leży?

– Dwa metry mniej więcej.

– Trumna jest jeszcze w całości?

Jansen splótł ramiona i patrzył na Lund. Był nieposłuszny, czasami złośliwy, i nie znosił głupich pytań.

– Okulary rentgenowskie zostały na komendzie. Spytaj... Ej!



Jeden z ludzi wykopywał żywopłot.

– Zostaw to – rozkazał Jansen. – To czyjś syn. Okażmy trochę szacunku.

Strange gadał przez telefon już chyba od kwadransa. W końcu się rozłączył. Wyglądał na zmęczonego i udręczonego.

– Mamy duży problem – powiedział, odciągając Lund na bok. – Nie dostaniemy teraz nakazu. Sędzia chce więcej informacji.

– Na miłość boską, to ja chcę więcej informacji. Dlatego właśnie to robimy.

– Musimy to lepiej uzasadnić – odparł Strange cierpliwie. – Porozmawiajmy jeszcze raz z Søgaardem i pastorem. Pastor ich wszystkich znał. Rabena, cały oddział.

Głos mu zamarł.

– Matka właśnie przyjechała.

– Porozmawiaj z nią – poleciła Lund.

– Nie. – Najwyraźniej niechętnie się jej sprzeciwiał. – Jesteś cholernie bystra, Lund. I na ogół w pełni się z tobą zgadzam. Ale nie w tym wypadku. Nie mamy prawa tego robić. Matka jest w rozsypce. Nie możemy...

– Gdzie ona jest?

– Tam – odrzekł, wskazując szary kościół na końcu cmentarza.

Gdy Lund weszła, Hanne Møller krzyczała na księdza.

– Niech ci ludzie się stąd wyniosą – piszczła. – Nie chcę, żeby ktokolwiek wykopywał mojego syna.

Lund podeszła do niej pewnym krokiem.

– Możemy porozmawiać?

– Nie! Nie zmienię zdania. To grób mojego syna.

Duchowny szybko się ulotnił.

– Niewykluczone, że doszło do pomyłki – powiedziała Lund spokojnie.

– Nie macie prawa tego robić.

– Musimy mieć pewność, że to on leży w grobie. Potrzebna mi pani zgoda.

Hanne Møller wpatrywała się w nią z gniewem i rozpaczą jednocześnie.

– Obiecuję, że zrobimy to z całym należnym szacunkiem i dbałością.

– Dlaczego miałyby go nie być w tej trumnie? O co chodzi?

– Sądzymy, że widziano go trzy miesiące po rzekomej śmierci. Kilku żołnierzy było świadkiem pewnego incydentu w Afganistanie. Na obecnego tam oficera mówiono „Perk”.

– Chce pani powiedzieć, że on żyje?

Głos miała przenikliwy i pełen bólu.

– Nie wiem – przyznała Lund. – Możliwe, że brał udział w zbrodni. W zamordowaniu cywilów...

– Per nigdy by czegoś takiego nie zrobił!

– Z pani pozwoleniem moglibyśmy zacząć natychmiast. W przeciwnym razie będę musiała udać się do sądu, a to tylko przedłuży postępowanie. Proszę. Jeśli pani...

– Pani jest potworem – krzyknęła Møller. – Nie ma pani żadnych uczuć?

Lund z trudem panowała nad sobą. Te słowa przywołały wspomnienia o Janie Meyerze, wściekłym na swoim wózku, mówiącym to samo. Miała uczucia. Przejmowała się. Dlatego właśnie wystawiała siebie i innych na takie ciężkie próby. Żeby dociec prawdy, położyć kres bólowi.

– Wiem, jak to wygląda... – zaczęła, starając się zachować spokój.

– Lund?

W drzwiach stanął jeden z mundurowych.

– Rozmawiam – odparła.

– Brix przyjechał. Chce cię zobaczyć.

Hanne Møller w milczeniu patrzyła na nią piorunującym wzrokiem. Lund wyszła na cmentarz. Nikt już nie pracował.

Brix stanął przy grobie, z kamienną twarzą, w swoim ciepłym zimowym płaszczu.

– Nie było mowy o ekshumacji – zaczął.

– Rodzina nie widziała ciała. Søgaard im nie pozwolił. I pastor.

– To nie jest wystarczający powód do rozkopywania grobu.

Wyglądał na wściekłego. Może znowu dopadła go Hedeby.

– Kluczem do rozwiązania tej zagadki jest wojsko. Nie fanatycy Kodmaniego.

– Nie możesz dokonywać ekshumacji bez zgody rodziny albo nakazu sądu. Masz jedno albo drugie?

Oparła ręce na biodrach. Stała przed nim bez ruchu, nie odrywając od jego twarzy lśniących oczu.

– Tę trumnę zakopano, nim ktokolwiek z krewnych do niej zajrzał. Nie sądzę nawet, żeby w środku znajdowało się ciało...

– Dlaczego mieliby zakopywać pustą trumnę?

– Żeby uśmiercić Perka! On był w Helmand trzy miesiące po tym, jak podobno zginął i został tu pochowany.

Brix ruchem głowy dał znak ekipie.

– Odeślij ludzi – rozkazał, po czym ruszył w stronę bramy prowadzącej na ulicę.

Lund pognała za nim.

– Czeka! Brix! Wysłuchaj mnie!

Chwyciła go za ramię. Nagły przyptyw gniewu zaskoczył ją samą. Miała za sobą ciężki dzień. Tyle się wydarzyło. A jej matka wychodziła za mąż...

Brix wpatrywał się w jej ręce, aż go puściła. Byli sami, nikt ich nie słyszał.

– Ściągnąłeś mnie tu z jakiegoś powodu, prawda?

– Tak sądziłem.

– Ściągnąłeś mnie, bo sądziłeś, że Strange sobie z tym nie poradzi. Ani nikt inny. Wiedziałeś...

– Nie mów mi, co myślę.

– Wiedziałeś cały czas, że to nie jest tak, jak się wydaje.

Splótł ramiona i nic nie mówił.

– Po co mnie ściągnąłeś z Gedser, skoro mi nie ufasz? Tu się coś dzieje...

Kroki. Brix przyłożył palec do ust. To był Strange.

– Dodzwoniłem się w końcu do Søgarda. Mówi, że ma za dużo zajęć, żeby odpowiadać na kolejne pytania.

– Doprawdy? – spytała Lund, nie odrywając wzroku od stojącego przed nią mężczyzny. – Przywieź go na komendę. Jeśli trzeba, aresztuj.

– A pastor? – spytał Brix.

Strange zerknął do notatnika.

– Torpego nie ma w kościele. Ani w domu. Szukamy go.

Brix myślał.

– Czekaliśmy i zginął Grüner – powiedziała Lund. – Czekaliśmy i Lisbeth Thomsen rozerwało na kawałki niemal na naszych oczach.

– Matka może nas pozwać – odparł Brix.

– Jeśli mamy rację, nie pozwie. A jeśli nie mamy, zwalisz wszystko na mnie.

– Nie podoba mi się to... – zaczął Ulrik Strange. – Ta kobieta jest w złym stanie.

– Przywieź Søgaard – rozkazał Brix. – I znajdź kapelana.

Obejrzał się na szare nagrobki.

– Porozmawiam z matką – dodał.

\*

Dwóch detektywów w cywilu zgarnęło Louise Raben, gdy wchodziła do kościoła Gunnara Torpego w Vesterbro. Był z nią Jonas. Tego wieczoru nie znalazła żadnej opiekunki. Rozmowny policjant, młody i przyjacielski, pozwolił Jonasowi siąść na ławce i bawić się żołnierzykami, a ją wziął na bok.

– Wiedziała pani, że on tu jest? – spytał.

– Nic nie wiedziałam. Jens szwendał się po Vesterbro. Zgadywałam tylko.

Nie uwierzył jej.

– Rozmawiała pani z Torpem?

– Tak! Przyszedł do koszar. Wcześniej spotkał się z Jensem. Powiedział, że Jens jest chory i potrzebuje pomocy. Możemy już iść?

– Czy mąż mógł się rozzłościć na pastora, że próbował doprowadzić go na policję?

Splotła ręce na piersi, znudzona tymi głupimi pytaniami.

– Oni są kolegami. Służyli razem.

Twarz policjanta pozostawała niewzruszona.

– Czy mąż zrobiłby mu krzywdę?

– Nie tak głośno! – syknęła, wskazując na bawiącego się chłopca.

– Pastor wyszedł stąd w pośpiechu – mówił policjant. – Nie pojawił się na spotkaniu rady parafialnej. Nie zamknął drzwi na klucz. Widziano

go z kimś, kto wyglądał jak pani mąż. Niepokoiły się o jego bezpieczeństwo.

– Jens nie zrobiłby mu krzywdy.

– Orientuje się pani, dokąd mogli pójść?

– Skąd mam wiedzieć, do cholery?

Teraz już nie wydawał się taki przyjazny.

– Kontaktowała się pani z mężem, który zbiegł z więzienia. Mógłbym panią zatrzymać pod takim zarzutem.

Spojrzała na Jonasa. Zastanawiała się, co by się z nim wówczas stało.

– Jensowi nie przyszłoby do głowy, żeby skrzywdzić Gunnara Torpego. Żeby skrzywdzić jakiegokolwiek żołnierza, z którym służył. – Pełna goryczy myśl. – Oni byli mu bliżsi niż rodzina.

Mężczyźni skończyły się pytania.

– Jeśli znowu się z panią skontaktuje, a pani nas o tym nie powiadomi, aresztujemy panią. – Zerknął na Jonasa. – To nie byłoby dobre dla dziecka.

– Tak się cieszę, że nasze dobro leży panu na sercu.

Policjant się nachmurzył.

– Pani chyba nie traktuje tego poważnie.

– Nie żyją cztery osoby, które mój mąż znał. W tej chwili z oddziału Jensa żyje tylko on.

Mężczyzna spojrzała na swojego kolegę przy drzwiach. Zbierał się do odejścia.

– To jak pan myśli? – rzuciła mu Louise Raben, nim wyszedł.

\*

Księżycowa noc. Hareskoven, las Hares, północno-zachodnia część miasta. Ścieżki leśne, szlaki rowerowe, na obrzeżach droga szybkiego

ruchu.

Raben za kierownicą. Gunnar Torpe na fotelu pasażera, pistolet opuszczony i nieruchomy, jeśli pozwalała na to droga.

– Dokąd jedziemy, Kapelanie?

– Cholera. Już ci mówiłem. Masz jechać i koniec.

Przed nimi rozciągały się obszary leśne. Oprócz nich na szosie w zasadzie nie było nikogo.

– Twoje kazania zawsze były do dupy. Co powiedziała Dragsholm? Dlaczego się z tobą kontaktowała?

Srebrny krucyfiks dalej zwisał z lusterka wstecznego, kołysząc się w rytm ruchów samochodu. Drażnił się z nim całą drogę ze Szwecji po śmierci Lisbeth Thomsen.

– Zamierzała wznowić sprawę – kontynuował Raben. – Wiedziała, że nas wrobiono...

Pistolet wyłonił się spod deski rozdzielczej. Torpe wskazał boczną drogę.

– Tam skręć w lewo.

Raben jechał dalej.

– W lewo, do cholery!

Zimna lufa dotknęła jego czaszki. Zwolnił, przyhamował, ostrożnie zjechał w odnogę. Była to gruntowa droga wijąca się pomiędzy kępami wysokich wąskich choinek.

Zupełnie jak na szwedzkiej wyspie, gdzie zginęła Thomsen.

Zniknęły światła miasta. Została tylko ciemność, wąskie pnie drzew i skąpa zimowa roślinność między nimi. Torpe wskazał parking leśny wysypany drewnianym tłuczniem i uderzył dłonią w deskę rozdzielczą.

– Tutaj – rozkazał.

Raben stanął i wyłączył silnik.

– Zostaw kluczyki w stacyjce – dodał i ruchem ręki kazał mu wysiąść.

Zimna noc, w powietrzu dawało się odczuć nadchodzący deszcz. Dokoła nich pohukiwały sowy, zwierzyna dreptała pośród paproci. Przed laty, na szkoleniu z ukrywania się Raben uczył się faz księżyca. Zamknięty w celi Herstedvester nie miał szansy ich widzieć. Cztery noce wolności... Księżyc znajdował się pomiędzy pierwszą kwadrą a pełnią, był jasny i jaśniał coraz bardziej. Raben widział więcej niż większość ludzi. Więcej niż kiedykolwiek zobaczy Gunnar Torpe.

– Odsuń się od wozu.

Raben zrobił krok.

– Dalej, dalej! – Kapelan machał pistoletem jak dziecko zabawką. – Znam cię dobrze. Trzymaj się ode mnie z daleka, jasne? A teraz idziemy.

– Byłem żołnierzem – powiedział Raben, wchodząc do lasu. – I tylko tyle.

– Jednym z najlepszych i jednym z najgorszych.

– Kto tak powiedział?

– Søgaard. Wszyscy.

– O co chodzi, Kapelanie? – spytał Raben, wykonując półobrót. Broń cały czas była skierowana w jego stronę.

Torpe był duży. Służył w wojsku. Walczył. Ale nigdy nie miał do czynienia z Jægerkorpset i to było widać w jego nerwowości, drżących palcach, łamiącym się głósie.

Pośród łagodnych odgłosów lasu zabrzmiał fałszywy, nowoczesny elektroniczny dźwięk. Raben się obejrzał. Torpe wyjął telefon, trzymał go tą samą dłonią, co pistolet, a wolnymi palcami nieporadnie wciskał klawisze.

– To wszystko się wyda – powiedział Raben. – Choćbyś nie wiadomo jak chciał to ukryć.



– Jakie wszystko? – Uśmiechnął się szyderczo Torpe. – Ty przecież nic nie pamiętasz. Jesteś wariatem.

Przyłożył telefon do ucha. Ponownie mierzył do Rabena nieruchomym pistoletem.

– Halo? – Torpe znowu przemówił śpiewnym kapłańskim tonem, jakiego używał w kościele. – Policja? Nazywam się Gunnar Torpe. Jestem w Hareskoven. Chciałbym zgłosić napaść.

Raben stanął. Znajdowali się około trzydzieści metrów od samochodu.

– Dotyczy to byłego żołnierza, którego szukacie. Jensa Petera Rabena. Zawiózł mnie do lasu i groził mi bronią.

– Noż kurwa mać... – zaczął Raben.

Broń, trzymana w silnej i pewnej dłoni, mierzyła wprost w niego.

– Nie – ciągnął Torpe głosem, w którym słychać było strach. Może nawet nieudawany. – Nie wiem, gdzie on jest. Uciekłem. Czekam przy głównej drodze, obok znaków ze szlakami turystycznymi. Tu mnie możecie znaleźć.

Wsadził telefon do kieszeni.

– Mogłeś mnie zakablować w Vesterbro – narzekał Raben. – Nie musieliśmy jechać aż do...

– Znam cię! – ryknął Gunnar Torpe. – Wiem, jaki jesteś. Przebiegły, twardy i zaciekły. Nie chciałem, żeby to się działo przy moim kościele. Teraz wracam do miasta, a kiedy zobaczą, że zniknąłem, osaczą cię tu i wypłoszą jak zwierzę. Bo jesteś zwierzęciem.

– Nigdy nie chciałem cię skrzywdzić.

– Nie wiesz, co robisz. – Torpe potrząsnął siwą głową. – Wracaj do Herstedvester. Zostań tam, aż wyzdrowiejesz. I módl się, by żona dalej cię kochała...

– Czego chciała Dragsholm?

Czarny pistolet wymierzył w ścieżkę między drzewami.

– Idź tędy – rozkazał Torpe. – Biegiem!

Raben spojrział na wąską ścieżkę, pociągnął nosem, przysunął się do stojącego przed nim mężczyzny.

– Nic nie wiem – krzyknął pastor. – Cofnij się!

– Ona widziała się z Mygiem. Z Grünerem. Z Thomsen...

Raben szedł dalej. Torpe teraz już się cofał w stronę samochodu.

– Trzymaj się z dala ode mnie.

– Chciała, żeby zeznawali przeciwko oficerowi. Przeciwko Perkowi.

– Pochowałem Perka trzy miesiące wcześniej!

Raben szedł dalej. Pistolet znajdował się na wysokości jego twarzy. Torpe nie widział, że cofa się prosto na drzewo.

– Nie każ mi tego robić.

Plecami uderzył w drzewo. Bez wyjścia.

– Nie zmuszaj mnie! – wrzasnął Gunnar Torpe.

Zimna lufa dotknęła czoła Rabena.

– Więc zrób to, sługo boży. – Raben roześmiał się, gdy Torpe pociągnął za spust. Zamek kliknął. I kliknął raz jeszcze.

Raben wyjął garść pocisków z kieszeni i pokazał je ogłupiałemu Torpemu.

– Nie sądzisz chyba, że dałbym komuś naładowany pistolet? – spytał powoli Raben, wyjmując broń z drżących palców pastora, a potem wsadzając kule do pustego magazynku. – Nawet takiemu idiotcie jak ty.

Lufa znowu się podniosła, tym razem na wysokość przerażonej twarzy Gunnara Torpego.

– Chcę wiedzieć, co odkryła Dragsholm, Kapelanie. Chcę wiedzieć, dlaczego wznowiła sprawę.

Obie dłonie na broni, stopy rozsunięte, gotów do strzału. Torpe wyglądał, jakby miał się zaraz zsikać ze strachu.

– Prosiła, żebym zeznawał! Słyszałem, jak rozmawiali o oficerze. O Perku.

– Wiedziałeś, że to wszystko jest nie w porządku, a zostawiłeś mnie, żebym zgnił w tej dziurze...

– Co mogłem zrobić? Byłem kapelanem. Nic nie wiedziałem, kompletnie nic.

Podniósł ręce. W geście kapitulacji, nie modlitwy.

– Pytałem Søgarda, co się dzieje – dodał.

Światło księżyca odbiło się od lufy. Duchowny opadł na pień, kolana się pod nim ugięły.

– Co powiedział?

– Że to bzdury. Że Perka tam nie było. Raport prokuratora wojskowego...

– Powiedział, że ja to zmyśliłem.

– Przeprowadzili śledztwo!

– Siedzę zamknięty od dwóch lat. Faszerowany prochami. Oddzielony od rodziny. Byłem żołnierzem. Walczyłem za ten kraj...

– To nie moja wina! – Gunnar Torpe był żalosną kupką u stóp drzewa.

– Pogadaj z Søgardem. Z pułkownikiem Jarnvigiem. I innymi w koszarach. Ja cię tam nie wsadziłem.

– Nie. – Stopa Rabena poszybowała w powietrze i mocno kopnęła Torpego w brzuch. Ten krzyknął jak zranione dziecko. – Ale zostawiłeś mnie tam.

Raben cofnął się, spojrzał na księżyc, słuchał. Radiowozy jeszcze nie nadciągały. Słyszał tylko sowy i nocne zwierzęta.

– Wybacz mi. – Torpe opierał się na rękach i kolanach. Krzyż zwisający z jego szyi kołysał się nad zatęchłą ziemią.

Raben mierzył do niego z broni, która ani przez chwilę nie drgnęła.

– Pomyśl o swojej żonie. O synu.

Roześmiał się.

– A co z moją duszą, Kapelanie? Nie powinienem myśleć o duszy?

Raben podniósł broń. Rozejrzał się. Zaczął planować.

– Nie musisz odpowiadać – rzekł i ruszył do samochodu.

Jeszcze raz się obejrzał. Gunnar Torpe pomiędzy sosnowymi igłami i gnijącymi liśćmi. Z głową do ziemi. Pochylony jak w modlitwie.

Cieszył się, że Torpe zostawił kluczyki w stacyjce. Ułatwił mu zadanie. Co prawda nie potrzebował pomocy. Rozkoszował się wolnością. Zaczynał realizować strategię. Triki, dzięki którym człowiek mógł przeżyć we wrogim świecie.

Søgaard.

Ambitny, bezwzględny oficer pochłonięty swoją karierą za wszelką cenę.

Tyle Raben pamiętał z Helmand. Ale niewiele więcej.

Potrzebował odpowiedzi i wiedział, gdzie ich szukać.

\*

Zanim Lund i Strange wrócili do Politigården, Søgaard siedział już w pokoju przesłuchań. Ten sam mundur, to samo zadowolone z siebie, aroganckie oblicze.

– Nie ujdzie wam to na sucho – powiedział, zanim Lund zdążyła się odezwać. – Przeszkadzacie w misji wojskowej.

– Straszne – odparła. – Mówił pan, że nie znał oficera o nazwisku Perk.

– Nie znałem – odrzekł spokojnie. – I nadal nie znam.

– Per Kristian Møller. Wszyscy mówili na niego Perk.

– Ja nie.

– Był w batalionie Ægir. Tak jak pan.

– W batalionie Ægir było siedmiuset pięćdziesięciu żołnierzy rozrzuconych po całym Afganistanie. I paru specjalistów. Miałbym wszystkich znać?

– Niech pan da spokój, Søgaard. – Lund się roześmiała. – Dotarł pan do szczebla majora. A teraz nie stać pana na nic lepszego?

– Perk to było przezwisko. Nie znałem tego człowieka osobiście...  
Strange siedział na brzegu i przyglądał się jej ze złączonymi dłońmi.

– Ale pan i Torpe wzięliście udział w jego pogrzebie we Frederiksbergu. Dlaczego?

Niebieskie oczy Søgarda załśniły z gniewu.

– Bo wracaliśmy z tą zmianą z Helmand. To był nasz obowiązek.  
Lund kiwnęła głową.

– I dopilnował pan, żeby nikt nie oglądał jego ciała.

– No pewnie. Møller zginął w wyniku eksplozji. – Pochylił się do przodu i spojrzał jej prosto w oczy. – Widziała pani kiedyś ofiarę wybuchu?

– Tak – odrzekła natychmiast. – W Szwecji. Widziałam Lisbeth Thomsen rozerwaną na strzępki. Kilka chwil po tym, jak z nią rozmawiałam. Widziałam też Davida Grünera spalonego na popiół na wózku inwalidzkim. Niech mi pan nie wciska kitu...

– Perkowi oderwało głowę, z jego ciała zostały strzępy! – krzyknął Søgaard. – Widziałem gorsze rzeczy. Ale wątpię, czy jego rodzice też. O co wam chodzi?

Pukanie do drzwi. Oficer w progu zawołał Strangego. Ten wyszedł i zostawił Lund samą z Søgardem.

Wiedziała, że nie wyciągnie nic z tego człowieka. Tym bardziej próbowała.

– Musiał być pan zaskoczony, kiedy Raben i reszta powiedzieli, że spotkali niejakiego Perka. Skoro nie żył od trzech miesięcy.

Søgard wzruszył ramionami.

– Niezupełnie. Reszta ich raportu też była fantazją. Pochowałem Perka. Jak mógł...

– Kto jeszcze go widział? Kto stwierdził, że on nie żyje?

Søgard uśmiechnął się bardzo szeroko i patrzył na nią, kręcąc głową.

– To idiotyczne! W co wy pogrywacie?

– Dlaczego nie przeprowadzono sekcji zwłok?

– Byliśmy na wojnie. W Afganistanie. Gdyby pani widziała, co zostało z tego człowieka...

– W czasie działań bojowych też obowiązują przepisy, prawda?

Nadal się uśmiechał.

– Tak myślą ludzie tutaj – powiedział powoli. – Dzięki temu pewnie możecie spać spokojnie. Nie przejmować się. – Mrugnął porozumiewawczo. – Nie będziemy was niepokoić żadną prawdą.

– Jest pan obywatelem duńskim. Prawo...

– Perk się zabił – rzekł Søgard. – Albo...

Umilkł.

– Albo nie wiadomo, dlaczego bawił się fugasem. Albo robił fugasa, jak mi się wydaje. Służył w jednym z tajnych oddziałów. Podobno pomieszało mu się w głowie. Tak bywa. Czasami nic nie zauważamy, a potem jest za późno. Nie wiem, o co mu chodziło. To nie moja sprawa.

– Należał do Jægerkorpset?

– Wie pani, że nie odpowiem na to pytanie. Domyślam się, że to było samobójstwo. Nigdy się nie dowiemy. Dla dobra rodziny...

– Niech mi pan nie wciska takich rzeczy. Otworzymy trumnę. Może pan sobie pomóc i teraz powiedzieć mi prawdę.

Przez chwilę nic nie mówił. Coś w jego wzroku zaniepokoiło Lund.

– Wykopujecie go? To chore.

Znowu otworzyły się drzwi. Stał w nich Strange.

– Lund – rzekł. – Musimy wracać na cmentarz.

\*

Ekipa techników zniosła trumnę do jednego z budynków gospodarczych. Dyżur patologa pełnił ten sam mężczyzna z brodą, w średnim wieku, z którym pracowała przy sprawie Birk Larsen. Ten, który dał jej przepis na cydr, tyle że ona nigdy nie zaczęła go robić w Szwecji.

– Cześć, Lund. – Uśmiechnął się na jej widok. – Miło cię widzieć.

Trumna stała na drewnianych kozłach pośrodku pomieszczenia, w otoczeniu policjantów i techników rozdeptujących osypującą się z niej ziemię. Wieko było otwarte, zawartość widoczna jak na dłoni.

– Mężczyzna rasy białej. Około trzydziestki. Kość udowa wskazuje na wzrost mniej więcej metr osiemdziesiąt. Został bardzo brutalnie potraktowany. Zdecydowanie pasuje to do wybuchu. Naprawdę niezła jatka. Przypomina mi czasy, gdy wykonywałem pewne prace na Bałkanach...

– Nie – przerwała mu Lund. – Nie możesz być pewien, że to Møller.

– Oczywiście, musimy przeprowadzić jeszcze badania.

– To nie on! Mogli podłożyć ciało jakiejś innej osoby. Nie ma właściwej sekcji zwłok. Świadczenia zgonu...

– Co to jest? – spytał Strange, wskazując na coś pod kośćmi i gnijącym mięsem.

Jeden z asystentów wyciągnął kawałek tkaniny kamuflażowej. Była obszarpana i nadpalona. Strzęp munduru wojskowego. Na nadwęglonym materiale widać było fragment nadruku: „369045-9 Per K”.

Lund machnęła ręką.

– To nic, do cholery, nie znaczy! Musimy zrobić testy DNA. A co z zębami?

Oparła dłonie o trumnę tak, że wsunęła palce do środka.

– Przestań! – krzyknął patolog i odepchnął jej palce.

Przemykała wzrokiem po pomieszczeniu tak szybko, że nie mogła się na niczym skupić. Aż zobaczyła Brixę. Znała to spojrzenie, widziała je już kiedyś.

– To nie może być Møller – nie ustępowała. – Søgard i Kapelan nie pozwolili rodzinie zobaczyć ciała. Skąd Raben znalazła nazwisko człowieka, który nie żył od trzech miesięcy?

Brix milczał. Strange milczał. Patolog wbił wzrok w ziemię.

– Nie zwariowałam! – krzyknęła Lund drżącym, wysokim głosem, za bardzo przypominającym pisk.

Minęła długa chwila, a ciągle nikt się nie odzywał. Lund widziała Hanne Møller czekającą pod drzwiami.

– Chcę jak najszybciej dostać raporty patologów – powiedział Brix. – Róbcie to spokojnie. Już i tak narobiliśmy dość kłopotów.

– Brix!

Wyraz jego pobrużdżonej kamiennej twarzy zatrzymał ją.

– Wracamy na komendę – zarządził. – Wy dwoje możecie jechać ze mną.



\*

Jeszcze jedna bajeczka przed snem. Jonas leżał na kanapie z głową na jej ramieniu i słuchał opowieści o zwaśnionych smokach, nie reagując na jej słabe żarty. Pogłaskała go po miękkich brązowych włosach, sięgnęła po kołdrę.

– Czas spać. Niedługo skończymy twoją sypialnię. Fajnie będzie, prawda?

Podniósł główkę i spojrzał na nią dziwnym wzrokiem. Dziecko trudno oszukać. I wydaje się to w pewien sposób okrutne.

– Dlaczego oni ścigają tatusia?

– To taka gra. – Trzeba kłamać, pomyślała. Zwłaszcza jeśli samemu się nie zna prawdy. – Zabawa w chowanego. Tak jak ty się bawisz w przedszkolu.

Chłopiec odsunął się od niej i położył głowę na poduszce na poręczy kanapy. Sypiał tak niemal od roku, odkąd wrócili do Ryvangen z wynajmowanego mieszkania, za które nie była już w stanie płacić ze swojej pielęgniarskiej pensji.

– Zrobił coś złego?

– Nie. Chcą go po prostu znaleźć. A kiedy go znajdą, znowu go odwiedzimy.

Wyrastał z granatowo-białej piżamki. Potrzebował nowej. Droższej, a ona nie chciała już ojcu zawracać głowy. Ten stan zawieszenia wyciskał z nich życie. To nie mogło tak trwać.

– Podoba ci się nowa hulajnoga od majora Søgaard? Może ją jutro wypróbujemy?

Jonas nic nie powiedział, tylko spojrzał gniewnie.

– Śpij mocno, kochanie – wyszeptała Louise, po czym pocałowała go w ciepłe czoło i opatulila małe ciało kołdrą.

Ojciec jadł w kuchni kanapkę. Mundur polowy, ciężkie buty. Przeglądał jakieś papiery na stole.

– Znaleźli pastora – powiedział, gdy weszła. – Mówi, że Jens zabrał go do lasu, grożąc mu bronią.

Nerwowo przyłożyła palec do ust i zamknęła drzwi dzielące ich od pokoju, w którym miał zasnąć Jonas.

– Torpemu nic nie jest – dodał Jarnvig. – Jens go trochę pobił. Groził mu bronią.

– Dlaczego miałyby to robić?

Ojciec wpatrywał się w nią jak w czasach, gdy była nieco zbuntowaną nastolatką, która nie rozumiała rzeczy jego zdaniem oczywistych.

– Ponieważ jest chory. Spójrz prawdzie w oczy. Wróciłem sprawdzić, jak się czujesz. Lepiej, żebyście z Jonasem na razie nie opuszczali koszar. Dopóki on nie znajdzie się w areszcie.

Wyciągnął beret z kieszeni i włożył na głowę.

– To rozkaz? – spytała tonem trochę zjadliwym, sarkastycznym.

– To prośba ojca do córki. Niepokoję się o ciebie. O Jonasa...

– Chcę wiedzieć, tato, co, do cholery, się dzieje. Myg, Grüner. Thomsen. Ta prawniczka. Kradzież materiałów wybuchowych. Ty i Søgård na przesłuchaniu.

– Nic się nie dzieje.

– A teraz Torpe opowiada jakąś bajeczkę. Ja w to nie wierzę.

– Ty nigdy nie wierzysz – odrzekł cicho. – W tym właśnie problem. To tylko rutynowe przesłuchanie...

– Nie! – zaoponowała tak głośno, że mogła obudzić Jonasa, ale nie obchodziło jej to. – Nieprawda. Jens mi powiedział. Mówił, że w Afganistanie wydarzyło się coś złego. I to wszystko nie wiadomo dlaczego wróciło...

Jarnvig milczał, stojąc w drzwiach.

– Powiedz mi – błagała.

– Nie chcesz tego słuchać.

– Powiedz mi!

– Zginęło trzech ludzi.

– Nie o to chodziło.

– Zginęło trzech ludzi, bo Jens skrewił. Był ich dowódcą. Popełnił błąd. Ja też bym się źle czuł w tej sytuacji. Każdy by się źle czuł.

– I tyle? Robi to wszystko z poczucia winy?

– Czas, byś zdała sobie sprawę, że nie wszystko wiesz o swoim mężu  
– odrzekł Jarnvig prosto. – Że nie widzisz pewnych rzeczy, które my widzimy. On nie jest...

– Jaki nie jest? Nie jest zięciem, jakiego byś chciała? Jest zwyczajnym żołnierzem, a nie oficerem, którego mógłbyś zabrać do kantyny, żeby się z nim napić?

– Nie wszystko mogę ci powiedzieć...

– Czy nie masz odwagi?

Odwróciła się do niego plecami. Spojrzała na walizki spakowane do przeniesienia na dół, do sutereny, nad którą Søgaaard tak starannie pracował w wolnych chwilach. Ryvangen było więzieniem, na ogół miłym. A oni pieczołowicie wznosili mury.

– Myślę, że powinieneś już iść – powiedziała Louise Raben.

Jarnvig był na nią wściekły. To się nie zdarzało często. Wszedł do pokoju, chwycił ją za ramiona i zmusił, by spojrzała mu w twarz.

– Uderzyłeś raz mamę i ona odeszła – powiedziała Louise spokojnym głosem, z premedytacją. – Ze mną będzie tak samo.

– Byłem dobrym mężem! Nie wyruszyłem na wojnę miesiąc po twoich narodzinach.

– Wtedy nie było wojen. A Jens tego nie zrobił. Ty go wysłałeś.

– Nie! Miał wybór. Zgłosił się na ochotnika.

Wspomnienia. Łzawe pożegnanie. Małeńki Jonas w jej ramionach. Poczucie samotności przepełniło ją, zanim wyjechał.

– On chciał jechać, Louise. Był zdesperowany. Błagał mnie. I błagał mnie, żebym ci tego nie mówił.

– Kłamiesz.

– Wszystko mi możesz zarzucić, ale nie to. – Puścił ją. – Nigdy cię nie okłamałem. Jens chciał jechać. Próbowałem go odwieść od tego pomysłu. Nie słuchał mnie. Powiedział... powiedział, że to jego obowiązek.

Łzy płynęły, a tego nie znosiła.

– Jens nie jest takim człowiekiem, jak sądzisz – rzekł, wyciągając chusteczkę, by jej podać.

– Idź już, dobrze?

Ale on ani drgnął.

– Wynoś się! – wrzasnęła.

Kiedy Torsten Jarnvig wychodził, Jonas stał w drzwiach między pokojami. Louise wiedziała, że tam jest. Tak po prostu ostatnio się działo.

\*

Rozejm z Rossingiem nie trwał długo. Tuż przed dziewiątą minister obrony zadzwonił do Bucha i zażądał wyjaśnień, dlaczego policja ekshumowała ciało oficera poległego dwa lata temu.

– W Danii jest jedenaście tysięcy policjantów – odrzekł Buch. – Przyznaję, że nie jestem w stanie powiedzieć panu, co każdy z nich robi w tej chwili.

Od tego momentu rozmowa nie toczyła się dobrze.

Potem, myśląc logicznie, tak jak w chwilach, gdy decydował, dokąd trafią na rynek mleko, wieprzowina i jajka spółdzielni, próbował uporządkować to, co wie.

– Rossing zwołał spotkanie z Monbergiem. Wiemy, że miało dotyczyć Jensa Petera Rabena.

Plough przetrząsał dokumenty. Znalazł jeden powiązany z tamtym spotkaniem.

– Zgodnie z tym pismem – powiedział – powodem spotkania było omówienie zapobiegania przestępczości wśród zdemobilizowanych żołnierzy.

– Dlaczego nie ma protokołu?

– Byli sami. Ja tego dnia zajmowałem się opracowywaniem szczegółów ustawy.

– Nie zaprosili pana. Niech pan to przyzna.

– Nie zaprosili. Ale to samo w sobie nie jest podejrzane. A poza tym Monberg miał fioła na punkcie redukcji kosztów więziennictwa. Wyobrażam sobie, że mając mniej żołnierzy...

Plough się ożywił.

– Jeśli Monberg wiedział o śledztwie w wojsku i nie powiadomił policji, gdy zginęła Dragsholm – mówił, przechadzając się po pokoju – to to jest najpoważniejsze.

– Czy policja i PET dostarczyły nam jeszcze jakichś informacji?

– W tej chwili kłócą się o ekshumację tego żołnierza. Niebywałe! Że też tak go po prostu wykopali. König jest wściekły. Mówi, że to było zupełnie niepotrzebne...

– Chcę wiedzieć, co powiedziano Monbergowi. Znać każdy szczegół. I porozmawiać z Kariną. Będzie czekać na zewnątrz. Poprosiłem, żeby tu wpadła, gdy niania odbierze Merle.

– Prosił ją pan, by ponownie przysłała? – spytał Plough bardzo powoli.  
– Tak. Chcę jej podziękować. I błagać, by wróciła do pracy.  
– Nie! – Plough wyglądał na śmiertelnie urażonego. – Nie może tego zrobić. Są procedury dotyczące kwestii dyscyplinarnych. Zgłosiłem wakat.  
– No to proszę go odwołać.  
– Ona sypiała z ministrem!  
– Ze mną się przecież nie prześpi, prawda? – Buch podał mu swój telefon.  
– Nie. – Plough pokręcił głową. – Nie zrobię tego. Nawet ja stawiam pewne granice, panie Buch. Przekroczył je pan o jeden raz za dużo.  
Po czym szybko wyszedł z pokoju.

\*

Karina siedziała sztywno w holu. Miała na sobie dzinsy, których nigdy nie nosiła do pracy. Ale ten sam elegancki żakiet i różową apaszkę.

Złapała go. Plough przeklął swój pech, gdy wypadł z gabinetu Bucha.  
– Cześć – powiedziała i uśmiechnęła się, jakby nic wielkiego się nie wydarzyło.

Nie odszedł. To byłoby niegrzeczne.

– Thomas mówił, że chcesz się ze mną widzieć.

– Wyobrażam sobie.

– A chcesz?

– Nie. To był jego pomysł. Właśnie mi o tym powiedział.

Wstała, lekko wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się. Tak dobrze poznał te gesty przez kilka ostatnich lat.

– Dobrze, rozumiem. – Skierowała się w stronę schodów.

Już przy poręczy się zatrzymała.

– Plough... Chcę, żebyś wiedział... Naprawdę lubiłam tu pracować. Wiele się nauczyłam. Głównie od ciebie. Nie sądzę, żeby tutaj były jakieś rzeczy, którym byś nie podołał. Projekty. Memoranda. Rozmowy międzyrządowe.

– Dziękuję – odrzekł z uśmiechem.

Roześmiała się.

– Szkoda, że jeśli chodzi o ludzi jesteś taki upierdliwy. I jeśli chodzi o wracanie do domu wieczorem. – Karina splotła ramiona, po czym podeszła do niego. – Wykończyłam trzy nianie, bo musiałam tu być codziennie i spełniać twoje... twoje wymagania. Ale to też było za mało, prawda? Nie...

– To jest rząd – powiedział, starając się nie okazać urazy. – Ministerstwo Sprawiedliwości. Wszystko musi być zrobione należycie.

– A ty decydujesz, jak wygląda owo „należycie”. Ja nigdy nie byłam dość dobra. I właśnie dlatego sypiałam z Monbergiem. To musiało zaboлеć...

– Zabolęło! – odparował głosem tak wysokim, że bliskim falsetu.

– Właśnie przeżyłam obrzydliwy rozwód. Moje życie osobiste było piekłem. Ale ty nigdy mnie o to nie pytałeś, prawda?

Usiłował wyjąkać jakąś odpowiedź, ale żadnej nie znalazł. Karina była wściekła i zdenerwowana na niego, na nikogo innego. Artykułowała na głos wszystkie ukryte myśli, które ludzie powinni trzymać w środku, i ten akt obnażenia głęboko go zaniepokoił.

– Nigdy nie pytałeś, co u mnie. Nie żartuję. Nigdy...

– To nie w porządku – mruknął i dziarskim krokiem wrócił do biura.

Ku jego rozczarowaniu Karina podążyła za nim, nie przerywając potoku wypowiedzi, i nic nie zwiastowało ustąpienia furii.

– Jesteś taki cholernie świętoszkowaty. Taki poprawny. Kiedy dzieje się coś ludzkiego, gdy nie ma reguł, nie ma przepisów do zastosowania, gubisz się. Wstydzisz się za mnie? O to chodzi?

– Zasłużyłaś na coś lepszego! – krzyknął i ucieszył się, że wreszcie to z siebie wyrzucił.

To ją zatrzymało.

– O wiele lepszego, Karino. Miałaś przed sobą błyskotliwą karierę. Widziałem to wyraźnie. A ty ją zaprzepaściłaś w imię czego? Takiego gada jak Monberg. Tyle razem przepracowaliśmy. Tyle cię nauczyłem. I wszystko przepadło w chwili...

Przerwało im klaśnięcie w dłonie tak głośne, że zabrzmiało jak eksplozja. Oboje odwrócili się i zobaczyli wielkiego, zadowolonego Thomasa Bucha, którego postać wypełniała wejście do biura gabinetu.

– Podniesione głosy i szczerą wymianą zdań! – oznajmił z szerokim uśmiechem. – Chyba wróciłem na Jutlandię, do krainy zdrowego rozsądku. Chwała Bogu.

Podszedł do nich.

– Nie ma jednak czasu na te bzdury. Karino, wracasz do pracy. Plough, załatw to. Właśnie dzwoniłem do żony Monberga. Dobre wieści...

Wymierzył palec w sufit.

– Nasz drogi przyjaciel, a mój poprzednik, odzyskał dzisiaj przytomność. Jego stan jest stabilny. Można go odwiedzać po wcześniejszym uzgodnieniu.

Karina burknęła coś pod nosem. Plough milczał.

– Musimy jak najszybciej z nim porozmawiać – dodał Buch.

– Zadzwońię do szpitala – rzekł Plough, wyjmując telefon.

– Dopilnujmy, by dostać się do niego przed Rossingiem. Karino? Ściągnij mi z naszego systemu aktualne informacje o Rabenie. I dowiedz



się, na czym stoi policja i PET.

I znowu to ogłuszające klaśnięcie jego wielkich dłoni.

– Na co czekacie? – spytał jeszcze. – Do roboty, do roboty!

Karina położyła mu dłoń na ramieniu.

– Nie powiedziałam „tak”, Thomasie.

Roześmiał się, a ten grzmiący śmiech odbił się od białych ścian ministerstwa.

– I nie powiedziałaś „nie”. Awansuj Karinę, Plough. Daj jej podwyżkę. Śmiało!

Po czym odszedł. Wielki mężczyzna w bezkształtnym granatowym garniturze człapiący korytarzem do swojego gabinetu.

A ci dwoje stali chwilę w milczeniu.

– Masz opiekunkę? – spytał Plough w końcu.

– Tak! – Nie patrzyła mu w oczy, a to się rzadko zdarzało. – Carsten... Nie chciałam cię zranić. Po prostu musiałam to wszystko powiedzieć.

– Musiałaś. Rozumiem.

– Zapomnij o awansie i podwyżce.

Plough wpatrywał się w nią, bawiąc się okularami.

– Minister prosił. A jeśli minister coś mówi...

– Dobra, dobra. – Poklepała go po ramieniu. – Bierzmy się do roboty, dobra?

\*

Gabinet Brix, około północy. Nadeszły raporty z laboratorium. Ruth Hedeby je przeglądała.

– Badanie DNA potrwa kilka dni – powiedział Brix.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Nie wyrzucaj na to pieniędzy. Wojsko dało nam jego kartę stomatologiczną. Patolog sprawdził zęby. To on. Bez wątplenia.

Brix to wiedział.

– Albo to jest pogrzeb Lund, albo twój.

Stanął przy oknie, nic nie mówiąc.

– Czy nie wyraziłam się jasno? – spytała Hedeby.

– Do ilu pomyłek mamy prawo? – zastanawiał się. – Jeśli na końcu rozwiązujemy sprawę?

Rzuciła raport na biurko.

– Niczego nie rozwiązujemy, prawda?

Hedeby podeszła do niego i położyła mu rękę na ramieniu. Zajrzała w twarz.

– PET dopadła Rabena.

Brix zmrużył oczy.

– Złapali go?

– Nie. König nie był zbyt rozmowny. Omówimy to juro.

– Jeśli wiedzą, gdzie jest Raben...

Jej palce strąciły pyłek z jego kołnierzyka.

– Nie wnikaj w to. Porozmawiaj z Königiem. I współpracuj.

W gabinecie naprzeciwko pojawiła się sylwetka Lund.

– Pomyśleć, że mogłeś się tak mylić – powiedziała Hedeby. – Czy ona cię interesuje, Lennarcie? O to chodzi?

Żałował, że nie ma sił się roześmiać.

– Ona widzi to, czego my nie widzimy. Nawet jeśli pojawia się to przed naszym nosem.

– To zależy od ciebie – mruknęła Ruth Hedeby, a potem przesunęła palcami po jego ramieniu, szybko, lekko dotknęła jego dłoni. – Ale moim zdaniem powinieneś zrobić to teraz.

\*

Już w chwili gdy Brix przeszedł przez drzwi, Lund wiedziała, co nastąpi. Kiedy ją poprosił o broń i odznakę, podała mu je bez słowa. Za bronią nie tęskniła. Ale odznaka... to co innego.

– Powiadomię Gedser, że wracasz do pracy.

Obserwował ich Strange.

– Wypuść Søgaard – powiedział do niego Brix. – Już go nie potrzebujemy.

Lund patrzyła, jak wychodzi na korytarz i zaczyna dzwonić. Strange podszedł, siadł na brzegu biurka. Ona wzięła swoje rzeczy. Torebkę. Ciemną kurtkę. Paczkę gum do żucia skrytą wśród rozrzuconych papierów.

– Podwieźć cię do domu? – spytał.

Pokręciła głową. Trudno było oderwać jej uwagę od zdjęć na ścianie. Coś tu było niedokończone, a to, co niekompletne, zawsze ją rozwścieczało.

– Dzięki za pomoc – powiedziała.

– Przykro mi...

Miała bałagan na biurku. Co chwilę znajdowała zbłąkaną paczkę gum. Nie pamiętała, żeby je wszystkie kupiła. Albo żeby je tak rozrzucała. Wszystko wydawało się takie chaotyczne. Strange, skrupulatny, uważny człowiek, musiał się bardzo starać, żeby ją znieść.

– Dobrze się z tobą pracowało – powiedziała.

– Mogę jutro zadzwonić?

Uśmiechnęła się tylko i wstała, by wyjść.

– Złóż matce ode mnie najlepsze życzenia.

– Oczywiście – rzuciła i szła dalej.

– Lund!

Podszedł szybko do drzwi, otworzył je przed nią, zawsze grzeczny, pomyślała. Nie tak jak Jan Meyer.

– Co?

– Jeśli to ma jakieś znaczenie, to uważam, że masz rację. Nie w sprawie trumny. To było naprawdę głupie. Ale jest coś... – Zerknął na korytarz, na Brixa rozmawiającego cicho przez telefon. – Coś tu cuchnie.

– Nie musisz nic mówić – powiedziała i uśmiechnęła się przelotnie. – W poniedziałek wracam do Gedser.

– Będzie mi ciebie brakowało – powiedział Strange znowu z tym spojrzeniem, z powodu którego czuła się niezręcznie.

Schyliła się pod jego ramieniem i odeszła korytarzem, bez słowa minęła Brixa, wyszła na owalną klatkę schodową i dalej na deszczową noc.

**SOBOTA\_**  
**19 LISTOPADA\_**  
**9.03\_**

Erik König wyglądał na człowieka poddanego coraz bardziej nieznośnej presji. A także – zdaniem Brix – na człowieka skrywającego tajemnice.

– Raben porzucił samochód duchownego dwa kilometry od Hareskoven. Niedaleko stamtąd ukradł stare volvo. Znaleźliśmy go około drugiej w nocy. I obserwujemy.

– Obserwujemy? – spytał Brix.

– Mieliśmy szczęście, że go zauważyliśmy. Jest zmęczony. Zdesperowany. Przestał być czujny. Dobry żołnierz Jægerkorpset nigdy by sobie...

– Ale on nie był jægerem, prawda? – spytał Brix łagodnie i rozkoszował się zmieszaniem człowieka z PET.

König od początku utrzymywał ich w niewiedzy. Brix chciał dać mu jasno do zrozumienia, że ten etap nieodwołalnie się skończył.

– No ale prawie. Trzy godziny spał w zatoczce parkingowej. Teraz znajduje się nieopodal koszar Ryvangen, w bocznej uliczce na osiedlu mieszkaniowym.

– Jak go zgarniecie, przywieźcie go tutaj.

Ruth Hedeby wpatrywała się w gładkie szare biurko i milczała.

– Tylko Raben został z tego oddziału – odparł König. – Wiemy, gdzie jest. Możemy go powstrzymać, gdyby chciał jeszcze komuś zrobić krzywdę.

– Przywieźcie go! – powtórzył Brix.

– Nie. – König zdjął swoje okulary bez oprawek. – Jeśli islamiści tropią żołnierzy z tego oddziału, Raben jest ostatnią potencjalną ofiarą. Pozostaje na wolności, pod obserwacją.

– Jako przynęta? – spytał Brix.

Człowiek z PET opadł na oparcie i się skrzywił.

– Nie możemy aresztować nie wiadomo ilu szaleńców religijnych. Prędzej czy później któryś z nich się wychyli.

– Możemy pomóc przy obserwacji – zasugerowała Hedeby.

König odpowiedział najzimniejszym i najobłudniejszym z uśmiechów.

– My jesteśmy lepiej wyposażeni do tej pracy. No i po tej farsie z Lund...

– To już załatwione – odparła Hedeby z werwą.

– Pan minister na pewno z radością przyjmie tę informację. Szukają kozła ofiarnego. Chciałbym, żebyście na to spojrzeli...

Wyjął z aktówki plik fotografii oraz dokumentów tożsamości i rzucił je na stół.

– To są uchodźcy z Helmand mieszkający w Danii w ostatnich kilku latach. Niewykluczone, że szukają zemsty.

Hedeby podała plik Brixowi.

– Chcę, żeby ich obserwowano – dodał König. – A kilku przesłuchano. – Ironiczny śmiech. – Nikogo nie trzeba ekshumować.

Brix nie spojrzął na zdjęcia.

– Jak uchodźca z Helmand miałby się włamać do koszar Ryvangen i ukraść materiały wybuchowe, korzystając z aktualnego kodu

bezpieczeństwa? – spytał. – Jakim sposobem zdobyłby dostęp do wojskowej bazy danych?

– Lennart.

W głosie człowieka z PET pojawił się ostry, besztający ton, który uciszył szefa Wydziału Zabójstw.

– Znalezienie odpowiedzi na te pytania zostawiam wam – odrzekł König. Zerknął na zegarek. – Mam spotkanie w ministerstwie.

I wyszedł. Hedeby spojrzała na Brixa zza stołu.

– Nie mogę cię chronić przed samym sobą – powiedziała cicho. – Ktoś musi zapłacić. Tak czy inaczej.

– König miota się po omacku, usiłując ocalić własną skórę.

– Bez powodu ekshumowałeś ciało poległego żołnierza. Walczę, żeby nikt poza Lund nie musiał za to odpowiadać. Spróbuj mi pomóc, dobra?

\*

W sąsiednim pokoju Strange przesłuchiwał Gunnara Torpego. Brix opierał się o szafkę z aktami i słuchał. Lund nigdy nie powiedziała, że Strange jest słabym policjantem. Nie musiała. Brix widział zniecierpliwienie, które czasami pojawiała się w jej oczach.

– Dlaczego Raben wywiózł pana do lasu? – spytał Strange.

Torpe siedział na krześle blady i zmęczony.

– Jak mam na to odpowiedzieć? Może dlatego, że jest chory. Tu... – Postukał się w czoło. – Szalony. Ma urojenia.

– Musiał mieć jakiś powód.

– Wariaci nie potrzebują powodów. Próbowałem przemówić mu do rozsądku. Przekonać, żeby pomyślał o żonie i synku.

– I co powiedział?

– Jakieś... – Torpe wzruszył ramionami. – Jakieś wariactwa. Wojna robi z ludźmi dziwne rzeczy. Czasami już nie umiem odróżnić, co jest dobre, a co złe. Co rzeczywiście, a co nie.

Strange położył coś na stole.

– Znaleźliśmy to w biurze pańskiego kościoła. Wizytówkę Anne Dragsholm. Skąd się tam wzięła?

– Raben musiał ją upuścić.

– Pan ją znał?

Kapłan wiercił się na krześle.

– Raben też mnie o to pytał – wypalił wreszcie. – Nie znałem jej. Nigdy wcześniej nie widziałem tej wizytówki. Mogę już iść? Mam spotkanie rady parafialnej.

Brix wstrzymał oddech. Wpatrywał się w szczupłego oficera siedzącego przed przesłuchiwanym. Czekał.

– Dobra – rzekł Strange. – Pewnie będziemy musieli jeszcze do tego wrócić.

– PET namierzyło Rabena – powiedział Brix po wyjściu duchownego. – Obserwują go.

Strange podrapał się po ostrzyżonej głowie.

– Obserwują? Muszą go tu przywieźć.

– Robimy, co nam każą. – Brix podał mu nazwiska i zdjęcia, które König dał Ruth Hedeby. – Chcę, żeby je wszystkie, co do jednego, sprawdzono. Przywieź wszystkich, których nazwiska oznaczono. Niektórzy są spoza miasta. Weź kogoś, żeby jechał przed tobą.

– Lund uważała, że musimy sprawdzić pastora, więc...

– Lund już tu nie ma. – Brix postukał w papiery.

Strange się skrzywił.



– Co mamy mówić, jeśli ktoś zadzwoni i będzie chciał z nią rozmawiać?

– Prawdę. Pojechała na ślub – odrzekł Brix.

\*

Mężczyźni i pojazdy. Polecenia załadunku i rozpiski. Torsten Jarnvig miał poczucie, że ogląda ten rytuał przez całe swoje dorosłe życie. Wyprawiając ludzi na niepewny los do Bośni, na Bliski Wschód i teraz w posępne i dalekie prowincje Afganistanu.

Większość wracała.

Cała i zdrowa.

Nie wszyscy.

Christan Søgaaard udał się z wizytą do matki Møllera. Z własnej inicjatywy. Jarnvig o to nie prosił.

– Jest wściekła – powiedział. – I trudno się dziwić. Mówi, że pozwie policję za naruszenie dóbr osobistych. Za ból i cierpienie.

Szli z głównego budynku na parking. Gdy się zbliżyli, podniosła się bariera bezpieczeństwa. Zasalutowali im mężczyźni w mundurach polowych.

– Rozmawiałem z Gunnarem Torpem – dodał Søgaaard. – Jest bardzo zdenerwowany.

– Miałeś dużo zajęć.

– Policja siedziała panu na karku. Uznałem, że lepiej nie zawracać panu głowy. Taka służba społeczna. Zwykle sam się tym zajmuję.

Jarnvig uniósł brew.

– Służba społeczna? Tym się zajmuje służba społeczna?

– Co Raben teraz zrobi? – spytał Søgaaard, unikając odpowiedzi na poprzednie pytanie. – Chyba jest zdesperowany. Mówiłem wszystkim,

żeby mieli oczy i uszy otwarte, gdy opuszczają koszary.

Zawahał się.

– To dotyczy wszystkich – zaznaczył. – Ile wie Louise?

– Tyle, ile trzeba – odparł Jarnvig, patrząc na przejeżdżający ciąg samochodów. – Przed tymi wydarzeniami myślałem, że to jeden z najlepszych żołnierzy, jakich miałem w życiu. Odważny. Inteligentny. Zdolny.

Torsten Jarnvig wcisnął pięści głęboko w kieszenie spodni.

– Nie za bardzo go lubiłem. Ale gdy wszyscy inni się poddawali, Raben trwał.

– Szkoda, że nie zniósł presji – powiedział Søgaard. – Zawsze sądziłem, że jest w nim coś kruchego. Coś, co może pęknąć.

Jarnvig zatrzymał się i spojrzał na niego.

– Bardzo to spostrzegawcze, teraz, po fakcie. Zbadaliśmy wnikliwie tę jego sprawę?

– Cholernie wnikliwie – odrzekł Søgaard bez wahania.

– Jesteś pewien?

– Na sto procent. Zmyślił to. Starał się zatuszować własne błędy. Dlaczego?

Jarnvig nie odpowiedział.

– Kiedy takie sprawy stają się osobiste, robi się ciężko – dodał młodszy oficer. – Ostatnie dni były trudne. Mógłbym pana zluzować. A pan mógłby z Louise i Jonasem...

– Co? Pojechać na wakacje? Nie widzę takiej konieczności. – Jarnvig obrzucił wzrokiem koszarowe budynki z czerwonej cegły. – To miejsce mi wystarcza. Louise wychowała się z wojskiem. Jej też wystarcza.

– Miałem na myśli...

– Nie – przerwał mu Jarnvig i odszedł.

\*

Sztuczna plaża należąca do Amager Strandpark w listopadzie. Poplamiony beton lśniący od zimowego deszczu. Kilkoro dzieci zapakowanych w grube kurtki walczy z wiatrem, chowając twarze w głęboko naciągniętych kapturach.

Louise Raben patrzy, jak jej syn krąży na małej hulajnodze pomiędzy ponurymi płytami nad szarym morzem, pod szarym niebem, bez śladu uśmiechu, z kamienną twarzą.

Powoli podjechał do niej. Wpatrywali się w pustą plażę.

– Jesteś głodny? – spytała.

Za mało jadł. W ogóle wszystkiego robił za mało, wciąż tylko bawił się swoimi żołnierzami, zabijając wyimaginowanych wrogów.

Zjadł kanapkę, a potem patrzyła, jak pcha swoją małą hulajnogę w stronę grupy dzieci, które wcześniej go ignorowały i teraz też na pewno to zrobią.

Dzieci mają swoje zasady, inną wrażliwość. Każdy, kto się wyróżnia, jest dla nich podejrzany. Jonas, w swojej samotności i nieszczęściu, na pewno.

Pojechał w stronę deptaka, a ona ruszyła powoli jego śladem. W tym momencie z metalowej wiaty wyłoniła się jakaś postać i skinęła na nią.

Zielona kurtka, bladoszary kaptur. Broda i czujne oczy.

Serce jej stanęło. Chciała uciec i uciekłaby, gdyby nie wiedziała doskonale, że on ją dogoni.

– Mamy tylko kilka minut – szepnął Raben, ciągnąc ją pod wiatę.

– Jens...

– Posłuchaj mnie!

W jego głosie usłyszała słabość i rozbitcie. Tak szalonych oczu jeszcze u niego nie widziała. Zastanawiała się, czy ma się bać. O siebie,

o Jonasa.

– Musicie opuścić koszary – powiedział, ściskając ją zimnymi palcami.

– Śledziłeś mnie?

– To nieważne.

– Co jest z tobą? Dlaczego groziłeś bronią Torpemu?

– Nic mu nie zrobiłem! – Wysoki załamujący się głos odbił się echem w mroku wiaty. – Oni cię okłamują.

– Uderzyłeś go. Mój ojciec powiedział...

– On też kłamie.

Cofnęła się o krok. Kaptur mu się zsunął. Wyglądał na urażonego i bezbronnego.

– Nie – powiedziała Louise. – Mówił mi, co się wydarzyło w Helmand. Że miałeś poczucie winy.

Pokręcił głową.

– To nie tak.

– Więc jak?

– Oni kryją coś, co zrobił pewien oficer.

– Kto?

– Nie wiem. Nie pamiętam. Nic nie pamiętam. Może Søgaard... Może inni. – Nie odrywał od niej oczu o znienawidzonym już przez nią wyrazie. Wyraz oczu żołnierza ścigającego swoją ofiarę. – Może twój ojciec.

– Mój ojciec jest porządnym człowiekiem. Próbował ci pomóc...

Dobiegł ich ostry dźwięk z zewnątrz. Jakieś dziecko przechodziło, kopiając puszkę. Raben odsunął się, przyłgnął do ściany, sięgnął ręką do pasa. Zobaczyła tam broń, zobaczyła strach i napięcie w jego oczach.

Stwierdziła, że w tej chwili jedynym uczuciem, jakie do niego żywi, jest pogarda.

– Nie wierzę w to – powiedziała, patrząc na niego groźnie. – Czekałam dwa lata. Dwa lata troszczyłam się o twojego syna. I spójrz na siebie. Kryjesz się jak złodziej...

Dziecko z puszką było dalej na zewnątrz, kopało nią o ścianę, powodując straszny hałas.

– Skontaktuj się z tą kobietą z policji – polecił. – Sarah Lund. Dzwoniłem do Politigården. Ona jest na weselu swojej matki. Musisz tam pójść. Powiedz jej, żeby sprawdziła...

– To prawda, że się zgłosiłeś na ochotnika na misję? Kiedy Jonas się urodził?

Jego twarz zmieniła się w jednej chwili. Z twardej, bezdusznej twarzy wojownika na chłopięco łagodną, którą kiedyś kochała.

– Kto ci to powiedział?

Przysunęła się do niego o krok, spojrzała w jego zboląłą bladą twarz. Wiedziała, że nie wyjdzie stąd, dopóki nie dostanie odpowiedzi.

– To prawda?

Chwila wahania. Jego oczy patrzyły błagalnie.

– Nie widzisz, co oni chcą zrobić? Chcą nas rozdzielić. Chcą cię na zawsze zamknąć w tych koszarach.

Odwróciła się od niego, patrzyła, jak dziecko z puszką oddala się powoli.

– To nie jest tak, jak myślisz – ciągnął Jens, obejmując ją.

Przyszło jej do głowy, że świat jest zupełnie pozbawiony kolorów. Przynajmniej dla niej. I dla Jonasa. Zasługiwali na coś lepszego. Każde poświęcenie ma swoje granice.

– Jestem żołnierzem, odkąd skończyłem osiemnaście lat – podjął, wciąż tuląc się do jej ramion. – Nie znam innego życia. To wszystko, co widziałem, co robiłem.

– Mój ojciec jest żołnierzem. Porządnym człowiekiem. Zwyczajnym, jak cała reszta...

– Nie byłem jak on. Niektórych rzeczy nie powinnaś wiedzieć. – Dotknął rzadkich, przetłuszczonych włosów. – Tych rzeczy, tutaj. Nie zasłużyłem na Jonasa. Nie zasłużyłem na ciebie. On był taki czysty. Ja nie. Myślałem, że jeśli zostanę, zatruję was oboje...

– Puść mnie – powiedziała, ale on mocniej chwycił jej kurtkę.

– Zmieniłem się. – Jego palce dalej ją trzymały. – Jedyne, czego pragnę, to wrócić do domu i być z wami. Nauczyć się, jak być dobrym ojcem. Dobrym mężem.

Krew w niej zawrzała. On już jej nie obejmował. Raczej ją trzymał, jakby należała do niego. Jakby ją pochwycił.

– Za dużo nasłuchałam się tych bzdur. I na czym teraz stoimy? Ile nas czeka lat twojego więzienia? Ile wizyt mam złożyć co tydzień, a i tak nie zaciągnę cię do łóżka w tym cuchnącym pokoiku? Pierdolę...

– Louise...

Pół rozkaz, pół prośba. Mocniej zacisnął na niej ramiona.

Przez wejście wpadła maleńka postać, miotając przekleństwa, których nie powinna jeszcze znać. Jonas dopadł ich i małymi rękoma uderzał nogi Rabena, kopał maleńkimi stopami.

– Puść mamę! Puść mamę!

Raben się cofnął, jego wzrok padł na kratownicę i ołowiane światło na zewnątrz.

Przykucnął, spojrzął na dziecko, na młodą twarz przepełnioną wściekłością, na oczy wypełnione łzami.

– Jesteś już duży, Jonas – powiedział. – To ja. Tatuś.

Uśmiechnął się. Jonas nie.

Ręka Rabena sięgnęła po żołnierzyka wystającego z kieszeni kurtki. Wyjął go. Wojownik z tarczą wznoszący miecz nad głową.

– Jak się nazywa?

– Mamusiu – Jonas przesunął hulajnogę do Louise – chcę iść.

Wzięła synka za rękę i poprowadziła go do drzwi. Tam się zatrzymała. Rozejrzała się. Latem to miejsce wypełniały radosne głosy, dzieci bawiły się tu z rodzicami, biegały, śmiały się, jak żywe srebro. Jonas nigdy tego nie zaznał. Ona też nie. Raben uciekł od nich przez jakiś wewnętrzny strach, którego ona nie była w stanie z nim dzielić. I teraz za to też go nienawidziła.

– Nawet nie próbuj się z nami więcej spotykać – powiedziała, świadoma, że jej głos przesiąknięty jest mściwą wściekłością. – Nie żartuję...

– Louise...?

Kiedy chciał, umiał użyć swojego uroku, jak niegrzeczne dziecko przyłapanie na kradzieży. Ale ona już tyle razy została wystawiona na próbę.

– Nigdy więcej – powtórzyła i wyszła na pierwsze krople zimowego deszczu ze śniegiem, który właśnie zaczął padać z ciężkiego nieba.

Jonas szarpnął ją za rękę. Wskazywał mężczyznę kryjącego się w wejściu. W dłoni Rabena został żołnierzyk z uniesioną tarczą i mieczem w gotowości.

– Kupię ci nowego – powiedziała synkowi i zaciągnęła go do samochodu.

\*

Trzeba było użyć wielu przekonujących argumentów, żeby wywalczyć zezwolenie na odwiedzin w separacie Monberga w Rigshospitalet. Ale Karina ostatecznie zwyciężyła i oto jechała z Buchem samochodem służbowym.

Zatrzymali się na korytarzu przed separatką.

– Nie musisz wchodzić, jeśli nie chcesz – powiedział Buch. – Jeśli to dla ciebie krępujące.

Ta uwaga wyraźnie ją zdumiała.

– Krępujące? Dlaczego?

– No... – Buchowi zabrakło słów.

– Wchodzimy? – spytała i ruszyła przodem.

Frode Monberg leżał w łóżku pod oknem. Nieogolony. O zmęczonej i bladej twarzy. Jako szeregowy deputowany Buch nigdy nie miał dużo do czynienia z ministrami. Teraz mógł zobaczyć, że Monberg jest przystojnym mężczyzną, o wąskiej, pogodnej, miłej twarzy, ze strzechą niesfornych brązowych włosów i o żywych, niespokojnych oczach.

Buch podszedł do łóżka i położył na nim pudełko drogich czekoladek.

– Karino – powiedział Monberg ostrożnie. – Mój następca. Gratulacje, Thomasie. Mam nadzieję, że praca się panu podoba.

– Cieszę się, że pana widzę. Jak się pan czuje?

Żadnych kroplówek ani przewodów. Monitory przy łóżku były wyłączone. Ten człowiek wracał do zdrowia. W zasadzie wcale nie był chory. Ale za pogodną fasadą kryło się coś mrocznego i rozpaczliwego. Uśmiech zniknął z jego twarzy zdecydowanie za szybko.

– Dobrze. – Jego melancholijne brązowe oczy przebiegły po ogromnej sylwetce Bucha. – Podobno niezłe piwo się warzy, odkąd tu jestem.

Spojrzał na Karinę.

– Co u ciebie?



Kiwnęła głową, nic nie mówiąc.

– Dobrze, że przyjął pan tę funkcję – dodał Monberg, zwracając się do Bucha. – Pewnie zachodził pan w głowę, jak premier wpadł na taki pomysł. A ja... – poklepał się po klatce piersiowej – mogę się teraz zatroszczyć o swoje stare serce.

Przeniósł czekoladki na szafkę przy łóżku.

– Nie sądzę, żebym w najbliższym czasie mógł sobie pozwolić na takie rzeczy. Lekarze...

Karina skrzyżowała ramiona. Buch milczał. Na twarz Monberga wróciła skwaszona mina.

– No tak. Chyba się rozniosło.

– Objąłem pańską funkcję – wyjaśnił Buch. – Musieli mi powiedzieć. To nie jest wiedza powszechna. I nie będzie. Proszę się nie martwić.

– Nie martwić? – Jego głos wydawał się teraz kruchy i stary. – Łatwo panu mówić. Chorowałem od lat. Nikt tego nie zauważał. Nikogo to nie obchodziło. Człowiek tkwi w tym cholernym gabinecie, dzień po dniu. Nocami też. No i właśnie.

Zerknął na elegancko ubraną blondynkę przy jego łóżku.

– To wszystko po pewnym czasie staje się nierzeczywiste. Nagle się okazuje, że robisz rzeczy, o których nigdy nie śniłeś. Nie chcę, by moja rodzina dalej cierpiała. Słyszysz pan?

– Oczywiście – odrzekł Buch. – Gwarantuję to panu. Chcemy tylko porozmawiać o starej sprawie wojskowej. Tej, którą się pan zajął. Zanim... – kiwnięciem głowy wskazał łóżko – zanim... no wie pan. O Anne Dragsholm.

– Nie ma co mówić – rzucił Monberg za szybko. – Anne przyszła do mnie z tą dziwną historią. Chciała, żebym się jej przyjrzał. To miała być taka przysługa po starej znajomości.

– I? – ponaglił go Buch.

– Spotkaliśmy się. Pogadaliśmy o przeszłości. Ona się rozwodziła. Myślę, że trochę... że popadła w obsesję. Na odchodnym dała mi teczkę. Ta sprawa chyba wiele dla niej znaczyła. Bóg raczy wiedzieć dlaczego. Oczywiście nigdy się tym nie zająłem.

Buch wziął głęboki oddech, skrzyżował ramiona i milczał.

– Dlaczego zadaje mi pan te pytania, Thomasie?

– Pan znał tę sprawę, zanim Anne Dragsholm do pana przyszła. Nie bez powodu wysłał pan tę kopertę na nieistniejący adres. Proszę. Niech pan spróbuje to wyjaśnić. Minister obrony zwołał spotkanie na temat żołnierza...

Karina wyjęła z torby dokumenty. Buch pokazał je mężczyźnie w łóżku.

– ...niejakiego Jensa Petera Rabena.

Monberg wziął dokumenty i ledwie na nie zerknął.

– O niektórych rzeczach mam mgliste pojęcie.

– Może byśmy się obyli bez tych bzdur – powiedział Buch, świadom, że mówi coraz głośniej. – Niech mi pan tylko powie, o czym rozmawialiście z Rossingiem na tym spotkaniu. To ważne.

Monberg wzruszył ramionami, wziął ze stolika okulary i przejrzał dokumenty.

– To było wieki temu.

– Zataił pan informację o poważnym śledztwie wojskowym! Ukrywał ją pan przed policją, przed PET, przed własnym personelem. – Chwycił krzesło i przysunął się do łóżka. – Dlaczego? Co ukrywacie z Rossingiem?

Monberg odwrócił się do Kariny. Błagał o pomoc. Ona milczała.

– Dlaczego spotkaliście się w sprawie Rabena? – Buch nie ustępował.  
– Co powiedział panu Rossing? Dlaczego spotkania nie protokołowano?

– O co chodzi, Buch? O czym pan mówi?

– Spotyka się pan z Rossingiem. Potem Dragsholm przedstawia panu sprawę. Ale pan nikomu o niej nie mówi. Nic pan nie powiedział policji ani PET, nawet kiedy Dragsholm zamordowano. Muszę wiedzieć...

– Jeśli przyszedł pan zwać na mnie winę za swoje niepowodzenia – warknął Monberg – może pan się od razu wynieść.

– Co Rossing powiedział na tym spotkaniu?

Hałas przy drzwiach. Kobieta w granatowym kostiumie. Obok niej lekarz. Żona Monberga. Buch skinął jej głową.

– Znowu goście, Frode? – powiedziała, spiesząc do boku chorego. Pocałowała męża w czoło, a on skrzywił się jak małe dziecko. – Tak nie może być. – Spojrzała groźnie na Bucha. – Doceniam pańską troskę, ale lekarze muszą zbadać mojego męża.

Monberg podniósł z łóżka papiery. Karina wzięła je i podeszła do okna, gdzie zaczęła przeglądać kartki z życzeniami powrotu do zdrowia.

– Takie naciski mu nie służą – dodała żona.

– Mam odpoczywać – przyznać Monberg.

Karina trąciła Bucha. Jedna z kartek pochodziła od Flemminga Rossinga. Na obrazku widniał bukiet róż. W środku znajdowały się drukowane życzenia i dopisane odręcznie słowa: „Cieszę się, że widzę Cię w lepszym zdrowiu, Frode. Przyjaciele do grobowej deski”.

Buch przeczytał to i kiwnął głową.

– Minister właśnie wychodzi – zauważył Monberg.

– Tak – przyznał się Buch. – Życzę panu szybkiego powrotu do zdrowia. – Na pościel przy kolanach Monberga rzucił kartkę Rossinga. – Wszyscy przyjaciele na to czekają.

Na korytarzu, wdychając szpitalny zapach, słuchając piknięć i terkotu maszynierii w salach dokoła, Buch czekał, aż Karina dogoni go swoim wściekłym krokiem.

– Rossing był tu przed nami, prawda? – warknął, gdy dotarła do jego boku.

– Wiedział, o co będzie pan pytał. I wiedział, co powiedzieć.

– Cholera – mruknął. Nie mógł oderwać od niej wzroku. – Jaki jest Monberg? Tak naprawdę?

– Dowcipny. Zabawny. Uroczy. – Namysłowała się chwilę. – Słaby.

– Potrzebne nam inne możliwości – orzekł Buch i próbował sobie wyobrazić, jak one mogłyby wyglądać.

\*

– Mam pomysł – oznajmiła Karina, gdy siedli na tylnej kanapie ministerialnej limuzyny, która natychmiast utknęła w korku. – Może wystosujemy przeprosiny za ekshumację żołnierza?

Buch burknął coś nieartykułowanego i spojrzał za okno na tłumy ludzi wędrujących od sklepu do sklepu. Zwyczajni ludzie wiodący zwyczajne życie. Zazdrościł im.

– Thomasie – ciągnęła Karina. Teraz, gdy zostawali sami, coraz częściej mówiła do niego po imieniu. Podobało mu się to. – To rozładuje trochę napięcie. Krabbe się niecierpliwi. Nęka Plough o pilne spotkanie.

– Plough może powiedzieć Krabbemu, że jeśli chce, może sięść pod gabinetem premiera i prosić o audiencję.

– Przeprosiny dobrze by wypadły.

W małej szafce w samochodzie, tam gdzie inni trzymali alkohole, Buch przechowywał kilka paczek czekoladowych ciasteczek. Otworzył pierwsze z brzegu, poczęstował Karinę i wziął dwa, gdy ona pokręciła głową.

– Jak mam przeproszać za coś, o czym w ogóle nie wiedziałem?

– Jest pan ministrem. To normalne.

– To nie znaczy, że mi się to podoba. Swoją drogą kto wpadł na pomysł, żeby wykopać tego biedaka?

– Policjantka. Została zwolniona.

– Szybka reakcja.

– To nie był jej pierwszy wybryk. Pamięta pan... Pamiętasz sprawę Birk Larsen sprzed paru lat?

Buch się wzdrygnął.

– To było straszne.

– Ona ją rozwiązała. I wtedy też została zwolniona.

Buch spojrział na Karinę zaintrygowany.

– Wtedy prawdopodobnie w sprawę było wplątanych kilku lokalnych polityków – ciągnęła Karina. – Ona nie odpuściła. Gdybyś wydał oświadczenie, mógłbyś wspomnieć, że ona nie po raz pierwszy naruszyła regulamin. Dodać coś w rodzaju, że oczekujemy od wszystkich funkcjonariuszy, że będą podtrzymywać świetne tradycje służby.

Buch wytrzeszczył oczy.

– Dobra – skapitulowała Karina. – To nie w twoim stylu. Dobór słów zostawiam tobie.

– Jak ona się nazywa?

– Sarah Lund.

– Chcę z nią porozmawiać.

Karina wybuchnęła śmiechem. Myśl, że zdołał rozbawić tę bystrą, inteligentną kobietę, bardzo go ucieszyła.

– Nie możesz z nią rozmawiać! Ona właśnie została wylana z policji.

– Jestem ministrem sprawiedliwości. Mogę rozmawiać, z kim chcę. Jeśli ta Lund rozwiązała sprawę Birk Larsen, na pewno nie jest głupia. Może coś wie.

Znowu poczęstował Karinę ciasteczkami. Tym razem skorzystała.

– Jeśli to zrobisz, narazisz swoje relacje z policją.

– A czy oni są rozmowni? Nie. Jeśli Monberg nam nic nie powie, będziemy musieli znaleźć jakieś inne wyjście. Znajdź mi Sarah Lund, proszę.

– Thomasie. – Przybrała ton matki łajającej dziecko. – Jeśli to wyjdzie na jaw, będziesz miał wielkie kłopoty.

– Och, na miłość boską. Jeśli nie rozgryzę tej sprawy, i tak wylecę na pysk. Nie udawajmy, że będzie inaczej, dobra? – Postukał jej torbę. – Świetnie sobie radzisz z telefonem. Znajdź mi Sarah Lund, proszę. Od razu do niej pojedziemy.

\*

Ślub przedstawicieli duńskiej klasy robotniczej. Sala bankietowa w hotelu pełna przyjaciół i krewnych. Szczęśliwa para. Cicha muzyka. Urzędnik wypowiadający znajomy refren: „Ogłaszam was mężem i żoną. Może pan pocałować pannę młodą”.

Bjørn, rozbrykany nieduży mężczyzna, wesoły i figlarny, uśmiechnął się jak psotny skrzat i zrobił, co mu kazano.

Lund cieszyła się, że jej ciasto nie zatrulo go za bardzo. Był miły, a jej matka, po tylu latach gorzkiej samotności, wreszcie czuła się szczęśliwa.

Stała więc teraz w najlepszej swojej sukience z fioletowego jedwabiu, klaskała im obojgu i uśmiechała się do Marka u jej boku, wysokiego i przystojnego.

Cały świat szedł naprzód. Wszystko się zmieniało. Tylko nie ona. Ona znajdowała się w tym samym miejscu, co dwa lata temu po czarnej nocy, gdy Meyer został postrzelony, a w jej życiu wszystko się rozleciało. Dlatego właśnie czerpała tyle niezręcznego, pełnego skruchy pocieszenia z widoku matki pochłoniętej przez dławiącą szczęśliwość,

przez zadowolenie, które można poczuć tylko wtedy, gdy bezinteresownie daje się komuś swoje życie, poświęca się indywidualność w imię wzajemnej miłości, która wyszeptała wieczyste kłamstwo: „Teraz jesteś bezpieczny na wieki”.

Na takie poświęcenie ona nigdy nie byłaby gotowa i ci, którzy ją znali, rozumieli to. Mark nie był już opryskliwym nastolatkiem, który warknął kiedyś: „Ciebie interesują tylko martwi ludzie”.

Domyślała się, że on nadal tak uważa. Tylko jest za grzeczny, by to powiedzieć.

Elegancka hala bankietowa w Østerbro. Marmurowe ściany i zapach zbyt wielu bukietów. Kiedy oklaski przygasły, Bjørn sam klasnął w dłonie i zadeklarował:

– A teraz może coś zjemy i się napijemy. A potem znowu się napijemy! I znowu!

Jej matka miała na sobie zieloną jedwabną suknię, którą sama uszyła. Wyglądała tak doskonale, że Lund poczuła, jak łyzy zbierają się pod jej powiekami.

– Widać, że Bjørn był kiedyś w obronie terytorialnej – zachichotał Mark u jej boku.

– O tak – powiedziała, patrząc, jak kilku mężczyzny w bluzach mundurowych zbliża się, by uściskać kompana i poklepać go po plecach.

Vibeke podeszła do nich, przytuliła, ucałowała w policzek, wzięła jedno pod prawe, drugie pod lewe ramię.

– Ten pomysł, żebym ja wzniosła toast... – zaczęła Lund.

– Nie ma o czym mówić – odparła szybko Vibeke. – Parę słów z okazji ślubu twojej matki. Będziesz miała mnie z głowy niewielkim kosztem.

– Nigdy nie radziłam sobie z przemawianiem.

– To kolejny powód, by mówić krótko. Musi być czas na tańce. Zaraz mi powiesz, że z tańczeniem też sobie nie radzisz. A ja wiem, że to nieprawda. – Na chwilę radosna twarz Vibeke spoważniała. – Pamiętam, jak byłaś w wieku Marka. Wiem, że umiesz tańczyć, Sarah.

– Gdzie moja żona?! – piskliwy głos Bjørna wzniósł się ponad wrzawę. – Czas na zdjęcia.

Nadal się nie ruszała. Stały w miejscu, matka i córka. Mark oddalił się, jakby coś zobaczył.

– Ale nie zmuszę cię – powiedziała cicho Vibeke. – Całymi latami tak bardzo się starałam zmusić cię do tego, byś była kimś, kim nie jesteś. Przepraszam. Chciałam tylko...

Lund objęła matkę ramionami, musnęła ustami jej ciepły upudrowany policzek.

– Jesteś, kim jesteś, i taką cię kocham – wyszeptała jej matka do ucha, po czym uciekła w tłum, jakby przerażona tym nagłym wybuchem szczerości.

Podszedł do nich pracownik hotelu z dzwoneczkiem w dłoni.

– Tego się używa, żeby przyciągnąć uwagę – powiedział, jakby ona nigdy wcześniej nie była na weselu. – Aha, i przysłano dla pani bukiet.

– Kto mi przysłał bukiet?

– Skąd mam wiedzieć? – odrzekł, wskazując wyróżniającą się wiązanekę.

Trzy czerwone różne w celofanie pośród stosów jarmarcznych pudeł.

– Uwaga! – zawołał fotograf. – Proszę zająć swoje miejsca.

Bjørn pośrodku, z Vibeke i Lund po bokach. Przypomniała sobie własny ślub, nawet przy pozowaniu do zdjęć nie dawało jej spokoju pytanie: Czy ten związek ma szanse przetrwać?

Tymczasem związek jej matki mógł. Obwieszczono pokój. Długie i smutne lata samotności Vibeke, coś w rodzaju wojny, dobiegły końca.



Przed nimi przykląkł Mark. Lund stwierdziła nagle, że trzyma dłoń na jego miękkich włosach, głaszcze je, cieszy się, że on się uśmiecha, a nie wykręca jak kiedyś.

Po dziesięciu minutach wszyscy siedzieli przy stole, patrzyli, jak z kuchni przybywa pierwsze danie. Zaczęły się śpiewy. Weselne pieśni o śmiesznych tekstach, pół nucone, pół wykrzykiwane z arkuszy z tekstami, które ułożono obok menu. Serwowano białe wino, ciepławe. Rozmyślnie usadzono ją obok kuzyna Bjørna, kawalera, księgowego z Roskilde. Głównym tematem prowadzonych przez niego rozmów, pomiędzy przyśpiewkami, była przyszłość podwójnej księgowości.

Lund nie tknęła alkoholu. Już i tak miała wrażenie, że zbyt wiele uderzyło jej do głowy.

Sąsiad okazał się na tyle świadomy, że zauważył, iż temat ją nudzi.

– Jesteś policjantką? – spytał.

– Tak jakby.

– Słyszałem, że ekshumowali poległego żołnierza. W gazetach pisano. Lund zmieniła zdanie – łyknęła haust za słodkiego białego wina.

– Naprawdę? – spytała.

Nagle, zanim sąsiad zdołał wypowiedzieć kolejne słowo, odezwał się dzwoneczek.

Vibeke wstała ze swojego miejsca. Człowiek z obsługi znowu pojawił się przy Lund.

– Przepraszam – powiedział. – Ktoś chce się z panią zobaczyć. Mówi, że to ważne.

Zaraz za drzwiami stała blondynka w eleganckim biurowym stroju. Gdy Lund na nią spojrzała, kiwnęła głową.

– Nie mogłam się doczekać tej przemowy – oznajmiła Vibeke. – Więc...

Lund odsunęła krzesło i wstała od stołu.

Kobieta przy drzwiach przedstawiła się jako Karina Jørgensen z Ministerstwa Sprawiedliwości.

– Toast! – improwizowała Vibeke za Lund. – Na zdrowie!

Lund przeszła z blondynką do baru.

– Do tej rozmowy doszło przypadkowo – mówiła kobieta. – Nie zostanie nigdzie odnotowana. Nie powiadomi pani o niej nikogo w Politigården.

Zeszły na dół. Korytarze wyłożone białymi płytkami. Zapachy i odgłosy pobliskiej kuchni.

Na końcu stał wielki mężczyzna, tuż obok kobiety składającej obrusy. W jednej ręce trzymał telefon, w drugiej nóżkę kurczaka. Gdy Lund się zbliżyła, niedokończona nóżka trafiła do śmietnika. A telefon do kieszeni.

Wytarł dłonie serwetką leżącą w pobliżu, po czym prawą podał Lund.

– Thomas Buch, minister sprawiedliwości. W każdym razie w tej chwili.

Lund nic nie powiedziała.

– Karina mówi, że spotkaliśmy się tutaj przypadkiem. – Miał przyjazną twarz i potarganą brązową brodę. – A to ci przypadek, co?

– Na górze właśnie odbywa się wesele mojej mamy.

– Wiem. Prawda wygląda tak, że bardzo potrzebuję paru odpowiedzi. I myślę...

– Proszę posłuchać. Jeśli chodzi o ekshumację, to naprawdę strasznie mi przykro. To mój błąd. Proszę nie winić Brixa ani Strangeo...

Zaczekał, aż kelnerka się oddali.

– Wie pani o zarzutach ciężących na duńskich żołnierzach w Helmand?

– Trochę.

– Zauważyła pani, by coś wskazywało, że nasi żołnierze mogli zamordować cywilów? Cokolwiek...

– Powinien pan się skontaktować z Lennartem Brixem albo Ruth Hedeby. Oni teraz prowadzą...

– Właśnie nie mam pewności. A jestem ministrem sprawiedliwości. Pojawiła się sugestia, że w zbrodnię był wplątany jeden oficer. Pani o tym wie? Czy zetknęła się pani z jakimiś dowodami, które próbowano ukryć?

Lund pokręciła głową.

– Tę historię opowiadał żołnierz, który ma zaburzenia psychiczne. Prawdopodobnie nie było żadnego oficera.

Wielki mężczyzna wepchnął pięści do kieszeni spodni i stał nieporuszenie.

– Dlaczego więc chciała pani ekshumować tego żołnierza?

– Bo skrewiłam. Nic nie wiem. Muszę wrócić na wesele, przepraszam.

– A co z dowódcą oddziału, Jensem Peterem Rabenem?

– Myślałam, że on coś wie o... ale on jest chory psychicznie. Miał powód do ucieczki. Właśnie odrzucono jego wniosek o zwolnienie warunkowe.

– Kto odrzucił?

– Departament Więziennictwa. Jego lekarz orzekł, że Raben jest zdrowy, ale...

Buch zerknął na blondynkę.

– Herstedvester orzekło, że może wyjść? – spytał. – A Departament Więziennictwa odrzucił jego wniosek?

– Zgadza się. A on bardzo chciał wyjść, był wręcz zdesperowany. Rozpada się jego małżeństwo. Prawdopodobnie już się rozpadło.

Buch przyłożył palec do ust i myślał.

– Niech pani okaże mi jeszcze trochę cierpliwości.

Odwrócił się do blondynki.

– Monberg pracował nad ustawą o więziennictwie, prawda? Kiedy zarzucił te prace?

Zastanawiała się chwilę.

– Zaraz po spotkaniu z ministrem obrony.

– Właśnie. Zadzwoń do Plougha.

Szeroki uśmiech i znowu wielka dłoń. Lund odpowiedziała uściskiem.

– Dziękuję – rzekł minister. – I proszę przekazać mamie gratulacje.

– A o co właściwie chodzi?

Palec znowu powędrował do brodatej twarzy. I znowu pojawił się na niej krzywy uśmiech. Po czym minister mrugnął okiem.

– Miłego dnia, Sarah Lund – rzekł i pomachał jej ręką na pożegnanie.

\*

Gdy wróciła na wesele, właśnie przemawiał Bjørn.

– Vibeke – powiedział, stojąc obok żony. Czytał z notatek. – Uszczęśliwiłaś mnie. Cały czas chcę tylko śpiewać, tańczyć i wygłaszać mowy.

Lund podeszła do swojego miejsca, modląc się w duchu, by do tego nie doszło.

Pomyślała o mężczyźnie, z którym właśnie rozmawiała. Thomas Buch był ministrem sprawiedliwości. I podobnie jak ona poruszał się po omacku.

– Czasami – ciągnął Bjørn – żałuję, że los nie zetknął nas wcześniej. Ale wtedy nie bylibyśmy na siebie gotowi. Cieszę się więc, że w tamten majowy wtorek wszedłem do second-handu. Wyszedłem z niego z kobietą, która została moją żoną.

Lund zignorowała wątpliwe żarty sąsiada, a wpatrywała się w prezenty i trzy czerwone róże.

Nikt nie przysyła kwiatów samotnej córce na wesele matki.

Goście wstawali. Kieliszki wznosiły się w dłoniach. Bjørn wygłaszał toast.

– Sto lat dla panny młodej!

Gdy Bjørn pochylił się, by pocałować Vibeke, Lund przeszła przez salę, znalazła swoją wiązankę i wyjęła przyczepioną do niej białą kopertę.

Wiedziała, że zapadła cisza, że wszyscy na nią patrzą.

Minął ją człowiek z obsługi niosący nową butelkę wina.

– Kto przyniósł te kwiaty? – spytała.

– Posłaniec – odrzekł tym samym apatycznym tonem co wcześniej.

W środku znalazła wiadomość. „*Tjek hundetegnet – Raben*”. Sprawdź nieśmiertelnik.

Vibeke obserwowała córkę z uśmiechem, ale spięta. Postukała nożem w kieliszek i wstała.

– Skoro się tu wszyscy zebraliśmy, chciałabym wygłosić swoją kwestię. Zanim Sarah...

Lund sięgnęła po dzwoneczek mistrza ceremonii.

– Kochany Bjørnie – zaczęła Vibeke i urwała, patrząc na zbliżającą się córkę.

Lund zatrzymała się przed nią. Miały za sobą tyle lat konfliktów. Tyle kłótni i złości. A teraz miała zawieść matkę po raz kolejny, na jej

własnym ślubie.

Twarz Vibeke nagle się zmieniła. Uśmiechnęła się. Lund postawiła dzwoneczek przy jej talerzu, objęła ją, ucałowała w oba policzki, a matka zrobiła to samo.

– O co chodzi? – spytał Bjørn z lekką nutą gniewu w głosie. – Nie możesz wyjść w trakcie przemowy matki! Goście nie wychodzą, zanim zacznie się wesele!

Lund otarła oczy.

– A moja córka właśnie wychodzi, Bjørn – odparła Vibeke tonem niemalże nagany. – I w porządku.

– W porządku? – spytał, szeroko otwierając oczy.

Lund nic nie powiedziała, tylko zaczęła wychodzić.

– Tak! – dodała Vibeke bardzo lekko. – Jak najbardziej w porządku. Kobiety w tej rodzinie są pracowite i mają swoje sprawy. – Poklepała go po plecach. – Przyzwyczajaj się, chłopie. I staraj się nadążyć.

Lund dziarskim krokiem opuściła salę. Za sobą usłyszała śmiech. Może nerwowo. Ale śmiech.

I głos matki, silny i przekonujący:

– No, kochany Bjørnie. Na czym to stanęliśmy?

Już nie słuchała. Zeszła ze schodów, wiedząc dokładnie, dokąd iść.

\*

Hanne Møller sprzątała garaż. W rękach trzymała fotografię, patrzyła na nią smutno.

Weszła Lund. Na fioletową sukienkę miała nałożoną zniszczoną granatową kufajkę.

– Przyszłam panią przeprosić. Wiem, że policja też panią przepraszała. To za mało. Chciałam, żeby usłyszała to pani ode mnie.

Spojrzała na zdjęcie. Przystojny młody mężczyzna w wojskowym berecie, uśmiechający się do standardowego portretu. Hanne Møller odłożyła zdjęcie do kartonu.

– Zdaję sobie sprawę, że nie mogę tego naprawić – ciągnęła Lund.

– Nie – odparła kobieta cicho i z goryczą. – Nie może pani.

– Chcę, żeby pani zrozumiała. – Jeden krok do przodu. Nie wyjdzie, dopóki to nie zostanie powiedziane. – Musiałam mieć pewność.

– A ma pani?

Podniosła jakieś ubrania syna i wsadziła je do czarnego worka na śmieci.

– Jestem pewna, że on nie żyje. Przykro mi. Ale jeszcze czegoś nie wiemy...

– Niech pani sobie idzie.

Lund rozejrzała się po garażu. Zastanawiała się.

– Musi mnie pani wysłuchać.

Głos Hanne Møller wzniósł się, pełen bólu i gniewu.

– Dlaczego pani nigdy nie odchodzi, kiedy proszę? I dlaczego pani ciągle wraca? Prześladowuje mnie pani?

– Bo dzieje się coś złego. Myślę, że pani też o tym wie.

– Wiem?

Trzymała sweter. Wojskowy, z granatowej włóczki. Albo część mundurka szkolnego. Wyglądały tak podobnie.

– Chodzi o nieśmiertelnik pani syna. Łańcuszek, który dało mu wojsko, z taką przywieszką.

Lund stwierdziła, że opisując przedmiot, niezręcznie macha rękoma. Sądząc z wyrazu twarzy Hanne Møller, ta gestykulacja nie była potrzebna.

– Wie pani, gdzie on jest?

– Dlaczego kawałek metalu jest taki ważny?

– Nieśmiertelnik przekazuje się najbliższym krewnym. Dostała go pani?

– Pytałam – odparła kobieta, kręcąc głową. – Nie znaleziono go.

– Ale ma pani resztę jego rzeczy?

Kobieta wskazała pudło.

– Nie. To wszystko zostawił w domu. Nie mamy nic. Tylko ciało, którego nie pozwolono nam zobaczyć. Dlaczego zadaje pani te pytania?

Lund zastanawiała się, co powiedzieć. Ale Hanne Møller coś się należało po katastrofie na cmentarzu.

– Myślę, że ktoś znalazł nieśmiertelnik pani syna. Myślę, że wykorzystał go, by użyć tożsamości Pera. I aby później zatuszować swoje zbrodnie.

– Per był dobrym chłopcem – powiedziała jego matka łagodnym zboląłym głosem. – Nie chciałam, żeby wstępował do wojska. Kiedy był mały, nie było wojen. Myślałam, że zostanie nauczycielem. Albo lekarzem. Ale potem dorósł, a świat się zmienił.

Wpatrywała się w Lund.

– Wydawało się, że to po prostu taki a nie inny wybór. Iść do pracy w szkole. Pojechać do innego kraju, o którym człowiek niewiele słyszał, i walczyć w wojnie, której nikt z nas nie rozumie. Domyślam się, że potrzebujemy żołnierzy. Ale nie Pera. On był na to zbyt delikatny.

Lund milczała, myśląc o Marku.

– Człowiek myśli, że może swoje dzieci pokierować, by robiły coś dobrego – dodała Hanne Møller tym samym łagodnym zboląłym szeptem. – Ale nigdy nie wiadomo, co je czeka. Tak naprawdę nie.

– Przykro mi, że sprawiłam pani tyle bólu. Postąpiłam głupio. Nie będę już pani niepokoić.



Lund ruszyła do drzwi.

– Proszę zaczekać – powiedziała kobieta. – Muszę pani coś pokazać.

Poszła do kąta i wyciągnęła inne pudło.

– Myślałam, że to pomyłka. Może tak jest. Ale i tak nie daje mi to spokoju.

– Co takiego?

– Od czasu do czasu coś się pojawiało. Jakby Per ciągle żył. Proszę...

Wyciągnęła plik otwartych kopert.

– Przesyłki. Ostatnia sprzed kilku tygodni. Proszę popatrzeć.

Lund wzięła pakiet.

– Kiedy się zaczęłam nad tym zastanawiać... Wyobrażałam sobie, że może on nadal żyje – szeptała Hanne Møller. – Ale nie żyje, prawda? A potem pojawiła się ta kobieta. I pani...

Głównie rachunki. Per K. Møller zginął w Helmand w wyniku eksplozji czy samobójstwa ponad dwa lata temu. Wszystkie dokumenty miały daty późniejsze.

– To pomyłka, prawda? – spytała kobieta.

– Prawdopodobnie – odparła Lund. – Mogę to zatrzymać?

\*

Tuż przed osiemnastą Buch wrócił do Rigshospitalet, zdecydowany odbyć drugą potyczkę z Frodem Monbergiem.

W recepcji nie znalazł nikogo, więc wszedł do środka. Został Monberga w białej piżamie, siedzącego na skraju łóżka i pochłoniętego lekturą gazety.

– Jeśli już musiał pan przyjść – powiedział pacjent – należało spytać o pozwolenie i robić to w czasie godzin odwiedzin.

Następnie wstał, podszedł do okna, włożył szlafrok. Ciągle był nieogolony. Wydawał się wymizerowany i stroskany.

– Nie mam panu nic więcej do powiedzenia, Buch.

– Niewiele więcej muszę usłyszeć. Już to wiem.

Monberg odwrócił się i wyszczerzył zęby w uśmiechu. To nie był miły widok.

– Doprawdy?

– Prawie. Przygotowywał pan ustawę. Obiecał pan zredukować koszty służby więziennej. To się znalazło w orędziu.

– Zakłady karne były przepełnione. A jakie to ma znaczenie?

– Chciał pan też zmniejszyć liczbę pacjentów w zamkniętych zakładach psychiatrycznych, prawda?

Chudy mężczyzna patrzył groźnie na Thomasa Bucha i milczał.

– Wnioskował pan, by każdą sprawę ponownie przeanalizowano i by zwolniono wszystkich, którzy nie stanowią zagrożenia dla społeczeństwa.

– Przekopywanie starych akt to robota dla urzędników. Nie dla ministrów.

– Jednym z tych, którzy mieli wyjść na wolność, był Jens Peter Raben. Żołnierz. Człowiek, który twierdził, że był świadkiem zbrodni wojennej popełnionej przez innego żołnierza naszych wojsk w Afganistanie.

– Nie pamiętam...

Buch postawił krok w jego stronę.

– Niech mnie pan nie okłamuje. Rossing omawiał z panem sprawę Rabena. A potem, nie wiadomo z jakiego powodu, całkowicie zrezygnował pan ze swojego projektu. Nic z niego nie wyszło.

Monberg kiwnął głową.

– To prawda. Były po temu inne powody.

– Nie będę pana już niepokoił – oznajmił Buch i skierował się do drzwi. – Teraz to sprawa dla Plougha i zespołu prawnego...

– Buch!

Minister stanął.

– Na miłość boską, może mnie pan wysłuchać? – poprosił Monberg.

Buch wrócił i spojrzał na chudego, dotkniętego nieszczęściem człowieka przy łóżku. Chciał poczuć wyrzuty sumienia, że tak go nęka. Ale to było trudne.

– Co pan zamierza? – spytał Monberg.

– To zależy od pana. Nie chcę nikogo karać. Chcę tylko prawdy.

– Rossing stanowczo obstawał, że Raben nie powinien wyjść na wolność. Wszystkie raporty ze szpitala mówiły, że on jest zdrowy. Ale Rossing postrzegał to jako kwestię bezpieczeństwa. Powiedział, że wypuszczenie tego człowieka jest sprzeczne z interesem narodowym. Musiał zostać w Herstedvester.

Buch prawie się roześmiał.

– Interesem narodowym? Co to znaczy? Nie zamykamy swoich wrogów, jeżeli nie dadzą nam do tego powodu. Dlaczego mielibyśmy to robić własnym żołnierzom, którzy walczą za nas, za nasz kraj?

– Rossing nie wdawał się w szczegóły, a ja nie pytałem.

Buch podniósł palec i wymierzył go w słabego mężczyznę przed sobą.

– Jens Peter Raben zdawał sobie sprawę, że w Afganistanie wydarzyło się coś strasznego. Rossing chciał, by siedział pod kluczem, bo obawiał się politycznych reperkusji, gdyby to wydarzenie przedostało się do wiadomości publicznej. To nie jest interes narodowy.

– Ja o niczym nie wiem! Rossing poprosił mnie o pomoc. Powiedział mi, co mam robić.

– A potem Anne Dragsholm chciała wznowienia sprawy.

Monberg skrzywił się niezadowolony, podszedł do łóżka, wpatrywał się w uporządkowaną pościel, odwrócony plecami do wielkiego mężczyzny zarzucającego go pytaniami.

– Co powiedziała Dragsholm? Co odkryła?

– Nie mogę się wdawać w szczegóły... – burknął Monberg i zaczął poprawiać poduszki.

Buch stracił cierpliwość.

– Do diabła! – ryknął. – Myśli pan, że może się tu ukryć na zawsze?

Gwałtownym ruchem wskazał drzwi.

– Tam umierają ludzie! A pan... – Wycelował palec w wymizerowaną twarz Monberga. – To pana wybrali na kozła ofiarnego. Nie Rossinga. Uznają pana za szaleńca, tak jak uznali Jensa Petera Rabena. Nie rozumie pan tego?

Frode Monberg chwycił się skraju łóżka. Oddychał z trudem. I z trudem mobilizował resztki odwagi.

– Zająłem się polityką, by coś zdziałać. By służyć.

– Więc proszę mi powiedzieć – błagał Buch.

Chudy mężczyzna zawahał się, wziął głęboki oddech.

– Mówiła, że znalazła dowód, że żołnierze mówili prawdę. Tam doszło do masakry. Dopuścił się jej duński oficer. To, że Rabena uwięziono, było jawną niesprawiedliwością.

– Jak się tego dowiedziała? – spytał Buch.

Monberg zamknął oczy, wyglądał jak człowiek na skraju wytrzymałości.

– Znalazła go.

– Kogo?

– Tego, kto to zrobił. Wiedziała, kim jest. Nie powiedziała mi. Za bardzo się bała. Byłem w rządzie, prawda? Nie sądzę, żeby do końca mi ufała.

Buch nie powiedział tego, co wydawało się oczywiste: Dragsholm miała rację.

– To wszystko, co wiem – dodał Monberg.

Stojąc tyłem do Bucha, patrzył za okno.

– Co ja mam, do cholery, zrobić? Robi się coraz gorzej.

– Musi pan powiedzieć prawdę, Frode. I tyle. – Położył dłoń na ramieniu Monberga i przerażony stwierdził, że składa się z resztek mięśni i kości. – Powiedzieć prawdę i wszystko będzie dobrze. Obiecuję. Premier cały czas mnie wspiera. Prosił, bym wyjaśnił sprawę. Będziemy pana wspierać, obiecuję.

Frode Monberg odwrócił się i spojrzał groźnie na Bucha, nic nie mówiąc.

Rozległo się pukanie do drzwi. Karina.

– Przepraszam – powiedziała. – Muszę z panem porozmawiać. To ważne.

– Dwie minuty – rzucił Buch do Monberga – i ustalimy, co robić.

Słaby mężczyzna wpatrywał się w niego groźnie.

– Jest pan dzieckiem, Buch. Rossing nie powie ani słowa.

Karina ciągle biadoliła.

– Dwie minuty – powtórzył Buch.

\*

Na korytarzu Karina odciągnęła Bucha od separatki Monberga. Minister czuł, że w końcu osiągnął jakiś przełom.

– Thomas...

– Zmusiłem go do rozmowy. Potwierdził nasze domysły. Musimy zaraz ściągnąć tu PET.

– Wysłuchasz mnie? – Zaciągnęła go do jakiejś wnęki. – Teraz masz problem nie z Monbergiem, tylko z Krabbem.

Buch wciągnął głęboko powietrze.

– A czego znowu chce ten harcerzyk?

– Domaga się twojej rezygnacji.

– No ludzie...

Wyglądała żałośnie, a to było do niej niepodobne.

– Krabbe stawia premierowi ultimatum. Albo ty odejdiesz, albo on wycofa swoje poparcie dla rządu. Chce twojej głowy albo doprowadzi do upadku gabinetu.

– Nie, nie, nie. – Nie mógł przestać myśleć o rozmowie, którą właśnie odbył. – Posłuchaj. Monberg potwierdził, że rozmawiał z Rossingiem. Że zatrzymał duńskiego żołnierza w Herstedvester na prośbę Rossinga. To jest teraz ważne.

Skrzyżowała ramiona i wbiła w niego wzrok.

– Dojdźmy prawdy, a wtedy wszystko będzie dobrze – upierał się Buch. – Zwyczajnie tak jest. Chodź...

Poprowadził ją z powrotem korytarzem.

– Sama możesz tego posłuchać.

– To poważne – odparła, podążając za nim.

– Wszystko jest poważne. To tylko kwestia skali.

Stanowczym krokiem wszedł do separatki Monberga. Pielęgniarka zmieniała pościel. Łóżko było puste.

Buch spojrzał na pielęgniarkę.

– Powiedział, że chce się przejść – wyjaśniła ze wzruszeniem ramion.

– A pani go puściła?

Zachnęła się.

– To szpital, nie więzienie.

Buch zaklął, wyszedł z powrotem na korytarz. Monberg musiał skręcić w lewo. Gdyby udał się w drugą stronę, zobaczyliby go.

– Thomas... – jęknęła Karina.

– Nie teraz.

Nie należał do ludzi nerwowych. Niepokój nie leżał w jego naturze.

– Thomas! Musisz zadzwonić do premiera.

– Nie! – krzyknął na nią i zaraz tego pożałował. – Musimy znaleźć Monberga. Nie rozumiesz?

– To mnie oświeć. – Skrzyżowała ramiona.

– Przycisnąłem go, Karino – odrzekł Buch cicho, jakby do siebie. – Przycisnąłem go, bardzo mocno.

Patrzyła, słuchała, po czym ruszyła przodem i zaglądała do pomieszczeń po prawej i lewej.

– Frode? – krzyknęła.

Nikt nie odpowiadał.

\*

Dom Jarnviga w koszarach Ryvangen. Suterena była prawie gotowa. Pomalowana przez Christiana Søgaard. Ściany nowego pokoju Jonasa przykryła jasna tapeta. Tapczanik, żółte krzeselko, stojąca lampa, biureczko. Po raz pierwszy w życiu miał własny kąt. Louise patrzyła, jak jej syn stoi przy dziadku, który wiesza nad łóżkiem plakat z wojownikami fantasy.

– Jest równo, Jonasie? – spytał.

– Tak, dziadku. Podoba mi się.

Jarnvig odwrócił się i uśmiechnął szeroko do wnuka, po czym wyjął z kieszeni pinezki i przyczepił plakat.

– No to dobrze – rzekł, poklepując chłopca po głowie. – Wygląda fantastycznie, co? Teraz masz cały pokój dla siebie.

– Musisz zapukać, zanim wejdiesz – pouczył go wnuk.

– Tak jest! – Pułkownik zasalutował i strzelił obcasami.

Jonas zrobił to samo. Obaj się roześmiali. Louise Raben na ten widok poczuła zarazem radość i smutek.

Po czym oddaliła się do kuchni i zaczęła sprzątać.

Ojciec przyszedł w ślad za nią.

– Zostawiam cię z tym teraz – powiedział. – Ładnie tu wygląda. Wcześniej to zawsze była taka kawalerka. A teraz... – niemądry uśmiech – teraz wygląda tak, jakbym znowu miał rodzinę.

– Dzięki za pomoc, tato.

– Coś jeszcze mogę zrobić? Wczoraj powiedziałem różne głupie rzeczy. Przepraszam. Mnie to też oczywiście porusza. Nie mogę... nie mogę patrzeć na ciebie w tym stanie.

Zdjęła rękawice gumowe, podeszła do ojca i dotknęła jego policzka.

– W porządku. Byłam idiotką, prawda? Wydawało mi się, że na zawsze oznacza na zawsze. A to tekst dla dzieci, tak?

– Czasami tak – przyznał. – Chodź ze mną na bal kadetów. Bardzo bym się ucieszył. Mogłabyś być moim gościem.

Przypomniała sobie bale kadetów z czasów, gdy była nastolatką. Wszyscy młodzi żołnierze gorąco pragnęli zatańczyć z córką oficera.

– Na bale kadetów to ja jestem za stara i za gruba.

– Bzdura. Jedno i drugie to bzdura. Dobrze by ci to zrobiło.

– Powinnam być z Jonasem.



– Jonasowi nic nie dolega. Mogę załatwić kogoś do opieki. To o ciebie się martwię. Daj spokój...

Przejechała ściereczką dokoła zlewu. Jej złota obrączka ślubna leżała obok kranu razem z zegarkiem. Zawsze zdejmowała je do zmywania.

Na zawsze.

Mrzonki dla dzieci. Wytrzymała przy Jensie więcej, niż zniosłaby niejedna kobieta. A co dostała w zamian? Tchórza, który uciekł na Bliski Wschód w chwili, gdy ona urodziła dziecko. Przestępcę ukrywającego się przed wszystkimi.

– Na parę godzin tylko – prosił. – Wrócimy, kiedy tylko będziesz chciała.

Nie mogła oderwać wzroku od obrączki. Kiedyś wydawała jej się taka ważna. Stanowiła symbol czegoś, co ich łączyło. Teraz była reliktem, gorzkim przypomnieniem wszystkiego, co straciła.

– Oczywiście – powiedział Jarnvig. – Rozumiem. To zależy od ciebie. Roześmiał się.

– Ale zawsze uwielbiałem patrzeć, jak tańczysz. Myślałaś, że nie jesteś w tym dobra. Nie miałaś pojęcia...

Louise skrzyżowała ramiona.

– No to o której idziesz?

Jarnvig klasnął w dłonie, a na jego twarzy pojawiła się taka radość, jakiej nie widziała w ostatnich latach.

– Gdy tylko wybierzesz sukienkę. Czyli diabli wiedzą...

\*

Godzinę później, za ogrodzeniem koszar. Raben siedział w drugim już ukradzionym tego dnia samochodzie, schowany nisko za kierownicą,

z twarzą ukrytą w kapturze. Drzwi miał otwarte, gotów do ucieczki przy najmniejszym zagrożeniu.

Dobre miejsce. Doskonały widok na dom Jarnviga. Światła włączone. W oknie na dole widoczne zabawki. Na ten widok zabolalo go serce. Tyle stracił. Tyle musiał odzyskać.

Otworzyły się drzwi wejściowe. Wyszedł Torsten Jarnvig w mundurze galowym. Czarna kurtka i złote epolety. Biała koszula i muszka. Na zewnątrz czekała długa limuzyna.

Raben znał ten obrządek. Odbywał się bal dla nowego naboru kadetów w wynajętej sali nieopodal Kastellet. Takim jak Raben nie wolno było się zbliżyć do tej imprezy. Musieli sobie tylko wyobrażać muzykę, śmiechy, osobliwe pijackie dowcipy. Zgrzytać zębami i mieć nadzieję, że ci surowi, niewyszkoleni kadeci nie przeszkodzą w walce, nie narażą ich na śmierć, gdy oddział trafi na trudny teren Helmand.

Oficerowie zajmowali wysoką pozycję. Ale to szeregowcy, zwyczajni żołnierze, poborowi, mizerni, jeśli chodzi o wykształcenie i pochodzenie społeczne, decydowali, czy bitwa zakończy się zwycięstwem. Ich krew bardziej niż innych była rozlewana na suchej obcej ziemi.

Patrzył, jak Jarnvig dochodzi do długiej limuzyny, wyrzuca papierosa, rozgląda się. Zastanawiał się, co myśli ten człowiek. Dowódca. I ojciec Louise. Raben nigdy nie rozumiał, czy jest dla niego rodziną, czy tylko kolejnym żołnierzem czekającym na jego rozkazy. Niewykluczone, że Jarnvig sam borykał się z tym problemem.

Drzwi domu otworzyły się ponownie i myśli Rabena zamarły, przestał oddychać. Louise. Futrzana etola, szkarłatna jedwabna suknia. Doskonałe włosy. Błada twarz z makijażem. Gotowa na bal kadetów córka oficera, o której marzyli wszyscy młodzieńcy.

Tymczasem ona zignorowała wszystkich, a wybrała jego.

Zeszła powoli po stopniach. Raben odniósł wrażenie, że z wahaniem. Jakby zapadły jakieś decyzje.

Jarnvig czekał przy otwartych drzwiach limuzyny. Za kierownicą siedział sztywny jak struna żołnierz w mundurze. Louise wsiadła, cały czas patrząc prosto przed siebie. Wróciła niepostrzeżenie do tamtego świata. A on nie, nigdy tego nie robi.

Raben patrzył, jak limuzyna powoli sunie w stronę wartowni, jak wartownicy salutują, a Jarnvig i jego córka wyjeżdżają z Ryvangen.

Potem powoli, ostrożnie wyjechał kradzionym peugeotem na drogę za nimi, zachowując bezpieczną odległość i zastanawiając się, co zrobić, gdy dotrą na miejsce.

\*

Z taksówki, którą jechała do miasta z domu pani Møller, Lund zadzwoniła do Strangego.

- Coś mi się nie wydaje, żebyś była na weselu – powiedział.
- Musisz coś sprawdzić.
- Zostałaś odsunięta od sprawy.
- Musisz coś sprawdzić – powtórzyła, teraz już niecierpliwie.
- Jestem w Helsingør.

Czterdzieści minut samochodem na północ od Kopenhagi.

– A co tam robisz?

– PET chce, żebyśmy znaleźli każdego Afgańczyka w Danii. Właśnie jestem z tłumaczem w ośrodku dla uchodźców. Strata czasu. Czekać, wyjdę na zewnątrz...

Zaczekała. Taksówka zwolniła w dużym ruchu. W takich warunkach do mieszkania matki zostało jej z pół godziny.

– No to co się dzieje? – spytał Strange po chwili.

– Ktoś skorzystał z tożsamości Pera K. Møllera. Jego nieśmiertelnik zaginął.

– Oni tam prowadzą wojnę, Lund. Różne rzeczy giną.

– To nie tak. Ktoś robił zakupy na jego nazwisko. W ciągu ostatnich kilku miesięcy. Matka dostawała faktury.

– Ach.

– Musisz jeszcze raz porozmawiać z Kapelanem. I z Søgaardem. Wrzucić nazwisko Møllera do systemu biura informacji gospodarczej, może coś się znajdzie.

– Jestem w Helsingør, pamiętasz? Rozmawiam z ludźmi, którzy mnie nienawidzą.

– Świetnie. Wsiadaj do wozu i wracaj. Jak dociśniesz gaz, możesz tu być za pół godziny.

– Mam robotę! To potrwa jeszcze parę godzin.

Zamilkł na chwilę.

– Mówiłaś już o tym Brixowi?

– Jeszcze nie – przyznała. – Powiem. Słowo honoru.

Znowu ta długa cisza.

– Proszę, obiecaj mi, że nie zrobisz nic głupiego.

– Na przykład?

– Na przykład... sam nie wiem. Nigdzie nie pojedziesz sama. To nigdy nie kończy się dobrze, prawda?

A co cię to obchodzi? – pomyślała. Jesteś tylko jeszcze jednym gliniarzem, którego mi przydzielono. Niezbyt dobrym w swoim fachu. Pod wieloma względami zbyt miłym.

– Nie zrobię nic głupiego – powiedziała i zdała sobie sprawę, że nie chce zranić jego uczuć. – Ale i tak dziękuję.

I tyle. Teraz padał deszcz. Samochody przed nimi poruszały się powoli.

– Chcę pojechać w inne miejsce – powiedziała do taksówkarza. – Do Vesterbro. Ile to zajmie?

Roześmiał się i wzruszył ramionami.

– Skąd mam wiedzieć – odrzekł, chichocząc. – Jest pani pewna?

– Tak, jestem pewna.

\*

Przeciawszy Indre By, centrum miasta, taksówka skręciła w wąską uliczkę i potrąciła rowerzystę. Wywiązała się nieunikniona kłótnia. Rowerzysta, wielki facet wypełniony piwem, sięgnął do wnętrza taksówki i zabrał kluczyki.

Lund odczekała kilka minut, patrząc, jak mężczyźni skaczą sobie do oczu. Potem zostawiła na desce rozdzielczej swoją wizytówkę i powiedziała kierowcy, że może zeznawać, gdyby naprawdę chciał, by ktoś poświadczył, jak fatalnie jeździ.

Od dworca Nørreport dzielił ją krótki spacer. Stamtąd odjeżdżały pociągi we wszystkich kierunkach. W ciągu kilku minut mogła dotrzeć do mieszkania Vibeke, skąd zadzwoniłaby do matki i choć trochę wynagrodziła jej wyjście z wesela. Albo mogła się udać do Vesterbro i odszukać Gunnara Torpego.

Normalnie byłby to łatwy wybór. Ale ostatnie słowa Strangego nie dawały jej spokoju. Goniła za rzeczami, których nie rozumiała, nie była głupia. Ona tak po prostu robiła. Takim była człowiekiem. A poza tym... co on o tym wiedział? Porządny, średnio kompetentny gliniarz, który, zdaje się, do policji trafił przypadkiem, bo miał już dość służby wojskowej. Ulrik Strange nie wyglądał za bardzo na człowieka, któremu

jest pisana kariera zawodowa. Robił, co mu kazano, a w jej przypadku to nie wchodziło w rachubę.

Lund weszła do kawiarni naprzeciwko dworca, kupiła cappuccino i kanapkę.

Strange w niczym nie przypominał Jana Meyera, człowieka, który był zabawny i jednocześnie doprowadzał ją do szału. W nim była jakaś powaga. Poczucie samotnego poświęcenia i obowiązku, wzmocnione samoświadomością. Wiedział, że ta sprawa go przerasta. Dlatego się jej trzymał, słuchał jej, robił, co kazała, chociaż byli sobie równi rangą, dopóki Brix znowu jej nie wywalił.

Powoli popijała kawę, nie spieszyła się z kanapką. Zerknęła na zegarek. Dochodziła dwudziesta. Jeśli Strange zrobił, o co prosiła, to wrócił już do Politigården i szukał śladów, które podsunęła. Mogła zadzwonić. Ale to oznaczałoby sprawdzanie. Zirytowałyby go, a tego nie chciała robić.

Dopiła więc kawę, weszła do metra, zeszła po schodach, spojrzała na perony – jeden prowadził do domu, drugi do Vesterbro i Gunnara Torpego.

Właściwie nie był to żaden wybór.

\*

Pół godziny później weszła do kościoła. Wyglądało na to, że w środku nikogo nie ma. Jedyne światła paliły się na ołtarzu. Trzy złote lichtarze na białym obrusie przed obrazem przedstawiającym Marię płaczącą nad Jezusem.

Lund przeszła między ławkami, rozejrzała się. Zza otwartych drzwi po prawej dobiegł ją jakiś dźwięk. I dochodziło stamtąd blade światło.

– Halo?! – zawołała i nagle odniosła wrażenie, że słyszy nie wiadomo skąd głos Jana Meyera. Tamten chropawy, przepalony papierosami,

znajomy głos: „Nie wejdiesz tam znowu sama, co, Lund? I to bez broni?”.

Czasami rozum płatał różne figle. Podeszła do drzwi.

– Jest tam kto? – krzyknęła.

Nikt nie odpowiedział. Pchnęła drzwi.

– Halo?

Jej głos odbity od pustych ścian pomieszczenia zabrzmiał jak muzyka. W środku było ciemno. Znalazła kontakt, włączyła światło – samotną żarówkę. Odskokczyła wstrząśnięta, bo pierwsze, co zobaczyła, to wyłożony płytkami zlew opryskany krwią.

Sięgnęła do kieszeni. Ale miała w niej tylko telefon.

– Cholera – szepnęła i zrobiła to, co było według niej naturalne. Poszła dalej.

Drugie pomieszczenie. Tym razem w półmroku, bo było tu okno, przez które wpadało blade światło latarni.

Na środku zobaczyła znajomy kształt, ohydny i święty jednocześnie. Postać z ramionami rozciągniętymi na boki jak u ukrzyżowanego, przywiązana do żelaznej belki przymocowanej do dwóch wysokich drewnianych lichtarzy.

Gunnar Torpe, z zakrwawioną twarzą, w kurtce wojskowej, z czarną taśmą na ustach.

Lund podeszła do niego, oderwała taśmę. Z ust duchownego buchnęła krew. Głowa mu opadła. Oczy się zamknęły.

Doskokczyła do niego, jedną ręką odwiązała pęta, drugą podtrzymała ciało. Najpierw prawe ramię, potem lewe. Ciężki człowiek. Z wielkim wysiłkiem, powoli opuściła jego ciało na twardą betonową posadzkę.

Oddychał. Słabo.

Telefon.

Zadzwoiła na centralę.

– Sarah Lund. Wyślijcie karetkę do kościoła Świętego Szymona w Vesterbro. Zawiadomcie Brixę. Właśnie znalazłam pastora. Jeszcze oddycha, ale...

Coś błysnęło przy ciele Torpego. Spojrzała. Nieśmiertelnik przecięty na pół, krew na ostrej, poszarpanej stronie.

– Musicie się spieszyć. Powiedzcie...

Dźwięk w pobliżu. Kroki w głębi pomieszczenia.

Lund zerknęła na Torpego. Na krew. Świeżą. Na rany. Tak liczne, tak żywe.

Postać. Mężczyzna w kapturze, z pochyloną głową przemknął na tle okna i pędem ruszył w głąb.

– Przekażcie Brixowi, że ścigam sprawcę – dodała, po czym zostawiła krwawiącego kapłana i pognała do drzwi.

\*

Szukali godzinę. Zmarnowali godzinę. Towarzyszyła im administrator szpitala, bardzo zirytowana.

– Jak możecie zgubić pacjenta? – pytał Buch.

– Jak pan może tu wchodzić i nękać go bez jego czy naszego pozwolenia? – pytała administratorka. – To oburzające. Nie obchodzi mnie, kim pan jest. To nieważne...

Zadzwoił jej telefon.

Znajdowali się na trzecim piętrze. Intensywna opieka medyczna. Ani śladu Monberga. Nikt go nigdzie nie widział.

Buch patrzył, jak twarz administratorki się zmienia. Nauczył się już rozpoznawać, kiedy nadchodzą złe wiadomości. Tyle ich było ostatnio.

– Co się dzieje? – spytał, gdy wsunęła telefon do kieszeni.



– Chyba musimy wezwać policję

– Jestem ministrem sprawiedliwości! – wrzasnął Buch. – Policja mi podlega.

– Świetnie – burknęła i poprowadziła ich na koniec korytarza, przez okolicę, która wyglądała na przestrzeń magazynową. Żadnych pokoiów. Żadnych sal. Tylko sprzęt i kartony.

– Pacjenci nie mają tu wstępu – powiedziała. – W żadnych okolicznościach...

Znajdowała się tu winda techniczna. Przy jego cielsku i z nimi dwiema prawie wypełnili limit. Administratorka wduśła guzik parteru. I już się nie odezwała.

Po chwili drzwi się otworzyły. Trzech mężczyzn w szarych kombinezonach pochylało się nad czymś.

Buch przepchnął się między nimi.

Monberg leżał na podłodze, twarzą w dół. Spod jego wynędzniałej twarzy wypływała kałuża szkarłatnej krwi. Obok roztrzaskane okulary. Czerwień poplamiała białą piżamę. Jego otwarte oczy patrzyły zdumione. Pod pewnym okrutnym względem bardziej czujne niż za życia.

– Przed chwilą skoczył z trzeciego piętra – powiedział jeden z mężczyzn.

– Pacjentom nie wolno... – zaczęła administratorka.

Karina odwróciła się do ściany i zaczęła szlochać.

– Przeprowadzimy postępowanie – dodała kobieta.

– Jesteście pewni, że skoczył? – spytał Buch.

Nikt nie odpowiedział.

Wstał, chwycił za ramiona jednego z mężczyzn. Tamten tylko spojrzał z niechęcią.

– Jesteście pewni, że skoczył? – powtórzył Buch.

– Ja zamiatałem tu na dole – odwarknął mężczyzna. – Widziałem, jak tam stał. Palił papierosa. I nagle mnie zobaczył. Wszedł na poręcz. – Wskazał krętą klatkę schodową. – Słyszałem, jak krzyczał, lecąc w dół.

– Jest pan pewien? – spytał Buch znowu, ale już ciszej.

– Chyba nigdy tego nie zapomnę. A pan by zapomniał?

\*

Dwudziesta pierwsza dziesięć. Kødbyen budziło się do życia. Przybytki wtłoczone pomiędzy linie kolejowe a Vesterbro żywiły większość Kopnehagi: znajdowały się tu hurtownie mięsa, firmy rybne, piekarnie, firmy spożywcze wciśnięte w niskie metalowe budynki rozrzucone po całym rozległym rejonie przemysłowym. Teraz, wieczorem, ożywała inna strona dzielnicy. Lokale na piętrach, czasami na parterze, chłonące nocny tłum, bary i restauracyjki, gdzie tłoczyli się kolorowi imprezowicze, by zjeść i wypić w pobliżu rzędów tuszy bydłęcych i tac świeżo wypatroszonego łososia.

Lund goniła zakapturzoną postać od kościoła Gunnara Torpego. Zobaczyła, jak uskakuje w lewo pod szyldem Bosch nad modną knajpką organiczną.

Biegła i biegła, pracując miarowo rękoma, z oddechem skróconym do rytmicznych sapnięć. Brix mógł się zająć pastorem. Lund miała zbiega w zasięgu wzroku i nic innego się nie liczyło.

Skręciła przy szyldzie Bosch, obejrzała plac przed sobą. Magazyny i outlety. Załadowywane ciężarówki. Taksówki nadciągające z kobietami w krzykliwych sukniach, wyruszającymi na podbój nocy.

Zakapturzona postać zniknęła w budynku w dalekim prawym rogu. Lund przebiegła w ślad za nią przez uchylone drzwi.

Pusta hala załadunkowa. Podnośniki zaparkowane na noc. Para unosząca się z kratek w szarej betonowej podłodze. Żelazne schodki

wspinające się spiralnie pod drewniany sufit.

Nagły hałas. Lund podskoczyła. To był grzmot z systemu nagłaśniającego piętro wyżej. Głośna, rytmiczna muzyka disco. Śmiech, piski uciechy.

Przed nią jedne otwarte drzwi. Pognała dalej. Trafiała znowu na zewnątrz, w zimną noc. Podwórko pełne czarnych worków na śmieci i gołębi skubiących odpadki.

Ani żywej duszy.

Zadzwoniła do Brixa. Usłyszała westchnienie, gdy odebrał.

– Lund. Jestem zajęty. Oddzwonię.

– Pastor...

– Co z nim?

– Nie dostałeś wiadomości?

– Mówiłem już, jestem zajęty.

– Znalazłam go półżywego w kościele. Dzwoniłam na centralę. Powiedziałam, żeby wezwali tam karetkę. Żeby ci przekazali...

– Co ty wyrabiasz, na miłość boską? – wrzasnął. – Powinnaś być na weselu.

– Kiedy dotarłam do kościoła, ktoś stamtąd uciekł. Próbuję go dopaść. Jest w Kødbyen.

Rozejrzała się. Tyle budynków. Ale pomiędzy nimi wielka otwarta przestrzeń. Gdyby miała szczęście...

– Nie może być daleko. Przyślij mi tyle wsparcia, ile możesz. Możemy otoczyć teren...

– Zostań na miejscu – rozkazał Brix.

Słyszała, jak strzela palcami, pewnie na jakiegoś funkcjonariusza. Wręcz widziała, jak to robi.

– Jedziemy. Jesteś nieuzbrojona. Nie chcę, żebyś się zbliża...

– Porozmawiaj z pastorem. Dowiedz się, kto to był. On go widział.

– Lund?! – Brix znowu wrzasnął. – Ile razy muszę ci to powtarzać? Zostałaś odsunięta od sprawy. Nie chcę, żebyś tam była.

– Ale tu jestem. A ciebie tu nie ma.

Zamglony kształt przesunął się w jej polu widzenia. Zakapturzona postać wypadła z pustej zatoki załadunkowej w stronę budynku naprzeciwko.

– Rusz się, dobra? – powiedziała i wsadziła telefon do kieszeni.

Zobaczyła, jak ten ktoś przechodzi przez zasłonę z plastikowych pasków, takich jakich używa się przy rampach załadunkowych. Lund poszła w tamtą stronę, poczuła surowy, ostry zapach świeżej krwi i ziąb chłodni.

Przeszła dalej. W następnym pomieszczeniu panował mrok. Jej palce błądziły po ceglanej ścianie, w końcu znalazła włączniki. Rozjaśniły się jaskrawe świetlówki, strzelając, błyskając, siejąc dokoła swoim niebieskawobiałym światłem.

Przeszła przez następną zasłonę z pasków. Po prawej na hakach wisały półcie krwistoczerwonej wołowiny. Po lewej – ogolone martwe świnię, nagie i różowe jak gigantyczne niemowlęta, ryjami do sufitu, z zamkniętymi oczami.

Rząd za rzędem martwych zwierząt rozwieszonych na tle wyłożonych białymi kaflami ścian. Lund dostrzegła swoje odbicie w lśniących stalowych drzwiach. Czarna kufajka, fioletowa sukienka. Krew Gunnara Torpego na klatce piersiowej.

Szła dalej.

Teraz przechodziła przez pomieszczenie, w którym cięto półtusze. Stoły jak w kostnicy, czyste i lśniące. Piły i noże elektryczne. Odór krwi i innych tkanek.

Szła powoli, odsuwając z drogi stoły rzeźnicze na kółkach.

Patrzyła. Słuchała.

Przed nią kolejne pomieszczenie. Obracający się uchwyt. Lund dotarła do kolejnej plastikowej zasłony i wtedy go zobaczyła. Pełen worków na śmieci i kartonów wózek mknął przez szary plastik prosto na nią.

Chwyciła stalową ramę, zanim ta w nią uderzyła, przyjęła uderzenie, potoczyła się z wózkiem, przewróciła do tyłu, prawie wpadła do krwistego kanału odpływowego cuchnącego środkami dezynfekującymi, obróciła się, by sprawdzić, czy ścigany idzie na nią.

Tylko wózek.

Wstała i ruszyła biegiem. Korytarz. Na tyle długi, że go zobaczyła. Mężczyzna. Ani duży, ani mały. Ani gruby, ani chudy.

Przeciętny. Niewyróżniający się.

Czyli jak zwykle.

Uskoczył w prawo, rozrzucając pojemniki i palety, ciskając za siebie stalowe kratownice na kółkach.

Biegła za szybko, pośliznęła się na brudnej podłodze, wpadła na śmietnik, uderzyła głową o metalową ścianę. Zatoczyła się, odzyskała równowagę i pobiegła dalej.

Klatka schodowa prowadziła w stronę światła i odgłosów ludzi.

Noc w Kødbyen, dzielnicy mięsa. Nikt tu nie przychodził, by kupić martwą krowę czy świeżą rybę. Przyszli na imprezę, a Lund z trudem przeciskała się między nimi, rozglądając się gorączkowo.

Dzieciaki i ich durna muzyka. Nieustępliwy kretyński rytm. Krzyczeli, gdy rozlewała ich warte setki koron koktajle, milkli na widok zakrwawionej wściekłej kobiety, która, przepychając się, chwyciła ich za eleganckie sukienki i dizajnerskie dzinsy.

Jest.

Postać daleko przed nią. Jedyna osoba w kapturze.

Lund pognała przez psychodeliczne fioletowe światło, oślepiła na chwilę, odzyskała wzrok i zobaczyła, jak mężczyzna ucieka przez drzwi w głębi lokalu.

Nagi wąski korytarz. Pusty i słabo oświetlony. Może biura. Zamknięte na noc.

Musiał być wyczerpany. Ona była.

Na końcu jedne drzwi. Otworzyła je i zimna wilgotna noc dmuchnęła jej w twarz.

Dach. Piętro wyżej. Gdzieś niedaleko zawodzenie syren.

I nic.

Nic.

Lund już miała się obrócić. Zobaczyła cień szybujący w powietrzu. Poczowała, że coś twardego boleśnie runęło na jej kark, a ona zatacza się w stronę krawędzi dachu i przelatuje przez nią, stopy skręcają, gdy wpada w pustą przestrzeń, leci jak kamień na jakiś plastikowy daszek.

Głowa jej szybuje w powietrzu, a myśli szaleją. Nie spadła na sam dół. Na pewno nie. Żyła, była przytomna, mogła myśleć. To musiała być inna część tej konstrukcji. Zepchnął ją tutaj, nie na ziemię, wtedy z pewnością by zginęła.

Leżała bokiem twarzy na daszku, krew ściekała jej do oczu. Nie mogła się ruszyć. Ledwie mogła oddychać.

Dźwięk. Kroki na stalowych stopniach. Powolne i rozważne. Coraz bliższe.

– Jeszcze nie – wyszeptała, pragnąc, by jej nieruchome członki się ocknęły.

Szalone wspomnienie. Jej matka na weselu. Głupie piosenki. Mark się śmieje, zachowuje się jak odpowiedzialny, uważny dorosły, którym ona nigdy nie była i nie będzie.

I tak cicho, że tylko ona to słyszała, szepnęła:

– Nie teraz.

Był tam i ona o tym wiedziała. Wiedziała też, że gdyby miała siłę, odwróciłaby się i spojrzała mu w twarz.

Kolejny dźwięk, zbyt znajomy. Zamek półautomatycznego pistoletu wsuwający pierwszy pocisk do komory.

Jedno ostatnie zdanie w jej głowie.

Chcę cię zobaczyć.

Ale nie miała siły, by to zrobić. Ani nie miała jak.

W tej chwili poruszać się mogły tylko jej oczy. Nie zamykała więc ich i patrzyła przed siebie. Na czarną kopenhaską noc, na jaskrawoczerwony neon Bosch restauracji na rogu.

Czekała.

\*

Biura na Slotsholmen, w telewizji wieczorne wiadomości. Gumowa piłeczka odbijana od ściany raz za razem.

Mówili tylko o śmierci Monberga, o niczym więcej. Plough chodził po pokoju, z rozwiązaniem krawatem wyglądał jak obłąkany. Karina snuła się z kąta w kąt z nieszczęśliwą miną, jakby też ponosiła odpowiedzialność za to, co się wydarzyło.

Buch znowu rzucił piłeczką, błędnie ocenił jej lot i patrzył, jak znika za kanapą.

Wyprowadził Karinę z błędu dość szybko. To on zasypał Monberga pytaniami. Nikt inny. A teraz wiadomości też o tym wiedziały. Donosiły, że niedługo przed samobójczą śmiercią Monberga odwiedził jego następca i doszło do konfrontacji.

Karina z podkasanymi rękawami i spoconym czołem podeszła do telewizora i ściszyła go.

– Premier zwołał spotkanie z Krabbem i Rossingiem. Pana nie zaproszono.

Buch podszedł do swojego biurka, wyciągnął drugą piłeczkę, odbił ją od ściany. W telewizji pokazywali zdjęcie Monberga. Kiedy jeszcze był ministrem. Przystojny, pewny siebie polityk. Ani trochę niepodobny do swojego następcy. Frode Monberg lubił wszystkim opowiadać, jak to jadał w najlepszych lokalach, w Nomie po drugiej stronie portu, w Sørenie K, w Bibliotece Black Diamond, która stała nad wodami Slotsholmen. Thomas Buch najbardziej lubił usiąść niedaleko Sørena K, w ogrodzie przy Muzeum Żydowskim, blisko posągu Kierkegaarda, duńskiego filozofa, od którego restauracja wzięła swoją nazwę. Żadnych kosztownych potraw. Kanapka. Hot dog. Wtedy był szczęśliwy. Naprawdę byłby zadowolony, gdyby do wczesnej emerytury pozostał szeregowym politykiem.

Nagle jednak zadzwonił Grue Eriksen, w poprzedni poniedziałek, tak niedawno. I wszystko się zmieniło.

– Thomas! – powiedziała Karina tonem łajającym, godnym matrony. – Mógłbyś przestać? Gdybyś nie przycisnął Monberga, on by się w życiu do niczego nie przyznał.

– Gdybym go nie przycisnął, ciągle by żył.

– Tego nie wiesz. Już raz próbował się zabić. Przed tobą był tam Flemming Rossing. Skąd wiesz, że to on czegoś nie powiedział?

Buch milczał.

– Jak mocno go pan przycisnął? – spytał Plough.

– Zrobił, co było konieczne – odparła Karina.

– Tego nie wiesz – nie ustępował Plough. – Co się stało? Dokładnie?

Piłka poszybowała do ściany i wróciła. Gruby mężczyzna o twarzy morsa milczał.

– Ten bajzel to wina Monberga – upierała się Karina.



Plough ściągnął krawat i rzucił go na biurko. W jego wypadku był to akt buntu.

– Ty nie rozumiesz tej polityki. Tego, jak wszystko się łączy.

– Rozumiem, że musimy się skupić na spotkaniu z Grue Eriksenem!

Buch dalej rzucał piłeczką. Teraz równie gorąco jak oni nie cierpiał tego durnego nawyku. Ale trudno mu było przestać.

Zadzwoił telefon. Plough odebrał.

Karina podeszła do Bucha i stanęła obok niego.

– Z tego, co zrozumiałam, Krabbe i minister obrony przejmą odpowiedzialność za pakiet antyterrorystyczny. Całkowicie nas odsuną. Nigdy nie rozwiążemy tej sprawy. Będziesz zablokowany. Albo zwolniony. Thomas, do cholery! Możesz chociaż coś powiedzieć?!

Na komórkę zadzwoniła jego żona Marie. Nie miał serca odebrać.

– Zaczęło się spotkanie – przekazał Plough, rozłączając się. – Powinniśmy poczekać i dowiedzieć się, co mają do powiedzenia.

Karina zgromiła go wzrokiem.

– Musimy to przerwać! Premier nie ma pojęcia o gierkach, które prowadzi Rossing.

W kącie szemrał telewizor. Znajomy głos. Buch zostawił piłeczkę i podkręcił głośność. To Rossing w eleganckim garniturze, w białej koszuli udzielał wywiadu na tle Ministerstwa Obrony przed spotkaniem z Grue Eriksenem.

– Strata bliskiego kolegi bardzo mną wstrząsnęła – mówił z kamienną twarzą do kamery. – Frode był politykiem wielkiego formatu. Człowiekiem, który złożył Danii wielką osobistą ofiarę. A przede wszystkim był wspaniałym przyjacielem.

Buch zrobił głośniej, by znowu nie doszło do kłótni między Kariną a Ploughem.

– To wielka strata – ciągnął Rossing. – Zwłaszcza w takiej chwili, gdy nasz kraj stoi wobec poważnym problemów.

Fortel nie poskutkował. Plough znowu natarł na Karinę.

– Nie broń Monberga! – krzyknęła na niego. – On na to nie zasługuje.

– Chcę wiedzieć, co się stało – warknął tamten. – Powinniście to przewidzieć. Gdybyście wzięli pod uwagę...

– Co się stało?! – Walnęła pięścią w stół. – Stało się to, że ten cholerny tchórz się zabił, bo nie był w stanie ponieść konsekwencji swoich czynów. Dymisji. Wstydu. Nie zwałaj winy na mnie. Ani się waż zwałać ją na Bucha. Winę ponosi wyłącznie Monberg.

Wskazała telewizor.

– I jeszcze Rossing. Jego odciski palców są wszędzie. Na miłość boską, Plough. Przepraszam, że obraziłam twoją purytańską wrażliwość, idąc do łóżka z tym człowiekiem. Teraz jest mi w dwójnasób przykro z tego powodu. Ale nie nadawaj temu większego znaczenia, niż miało dla mnie i dla niego. To się stało i już. Tak jak czasami dzieje się między ludźmi. Między takimi robotami jak ty może nie.

Błady urzędnik oniemiał. Zabrakło mu słów. W ogóle nie zareagował.

Buch odrzucił piłeczkę, wyłączył telewizor i powiedział do współpracowników:

– Zwołajcie konferencję prasową. Natychmiast.

– Konferencję prasową? – wykrztusił Plough. – Proszę powiedzieć, że to żart.

– Niech pan to zrobi i koniec – rozkazał minister.

\*

Zasłony były zaciągnięte, żeby w pomieszczeniu panował mrok. Znajdowali się w nim tylko premier, Flemming Rossing i Erling Krabbe. Żaden urzędnik nie protokołował. Na stole nie leżały żadne długopisy ani notatniki.

– Prawda wygląda tak – zaczął Krabbe. – Macie o wiele lepszych kandydatów niż Buch. On przede wszystkim nigdy nie powinien był zająć tego stanowiska.

– To uczciwy człowiek – zauważył Grue Eriksen. – Inteligentny i pracowity. Brakuje mu doświadczenia, ale... – Uśmiechnął się do szczupłego srogiego mężczyzny po drugiej stronie stołu. – Nikt z nas go nie ma, dopóki mu się takie rzeczy nie zdarzą.

– On się nie nadaje do tej pracy – nie ustępował Krabbe. – A teraz cała ta wrzawa z Monbergiem. Dokąd to zmierza, u diabła?

– Proszę nie włączać w to Monberga – odparł Grue Eriksen. – Buch jest moim ministrem. Niech pan się od niego odczepi.

Krabbe się zachnął.

– Jeśli chce pan mojego wsparcia, musi mnie pan wysłuchać.

– Wysłuchamy – włączył się Rossing. – Już panu mówiłem. Możemy w pakiecie antyterrorystycznym wprowadzić zmiany zgodne z życzeniami Partii Ludowej. Zakażemy działalności organizacji, które wskazujecie...

– Buch musi odejść – upierał się Krabbe.

– Może pan chociaż raz posłuchać? – warknął Grue Eriksen. – Ja decyduję o ministrach w tym rządzie. Nie pan. Buch od razu został rzucony na głęboką wodę. Ze strony Monberga doszło do pewnych uchybień, o których nie wiedział ani Buch, ani nikt z nas.

– Jakich uchybień? – spytał Krabbe.

– Nie musi pan wiedzieć. Teraz on nie żyje...

Flemming Rossing zakasłał, zerknął na Grue Eriksena i rzekł:

– Frode nie do końca panował nad sytuacją. I tak to zostawmy.

Krabbe w rozpaczy wyrzucił w górę swoje chude ramiona.

– Codziennie coś nowego. Kiedy to się skończy? Najpierw plotki. Jeden z waszych ministrów się zabija. Ten tłuścioch Buch miota się jak idiota...

Wszedł mężczyzna w szarym garniturze i szepnął coś do ucha Grue Eriksenowi.

– A teraz – marudny głos Krabbego niemal przeszedł w falset – jeszcze gadacie o jakiejś starej sprawie wojskowej. O co chodzi, do cholery? Zrobili to islamiści czy nie?

Grue Eriksen wstał i włączył telewizor.

– Dopnijmy ugodę w sprawie pakietu antyterrorystycznego – ciągnął Rossing. – Zamknijmy ten temat. Zbliży się pan do rządu. Może się pan od nas uczyć. Sprawy się unormują. Gwarantuję panu.

Leciały wiadomości, na pasku widniał napis: „Na żywo z Folketinget”. Na ekranie pojawił się Buch, w niebieskiej koszuli rozpiętej pod szyją. Wyglądał na zmęczonego, ale zdecydowanego. Linia mikrofonów aż przesłaniała mu twarz.

– Musimy odpowiedzieć na bardzo ważne pytania – mówił. – Domagam się od ministra obrony sprawozdania dotyczącego sprawy wojskowej, która może być powiązana z ostatnimi morderstwami.

– Kurwa – mruknął Flemming Rossing.

– Wygląda na to – ciągnął Buch – że minister obrony zataił przed policją ważne informacje, by zatuszować własne zaniedbania. Mój poprzednik Frode Monberg przed śmiercią potwierdził moje podejrzenia. To wszystko, co w tej chwili mam do powiedzenia.

Z niewidocznych twarzy stojących przed nim ludzi wylała się rzeka pytań.

Grue Eriksen patrzył, jak improwizowana konferencja prasowa kończy się chaosem.

– To miał pan na myśli, mówiąc o unormowaniu? – odezwał się Erling Krabbe.

\*

Madsen jechał w pierwszym radiowozie zdążającym do Kødbyen. Przedstawiał Brixowi sytuację, gdy szli przez nocny klub urażonych, zdumionych ludzi i dalej na dach.

– Lund goniła go przez magazyny, potem przez ten klub i tutaj – wyjaśnił. – Nawet nie miała broni. Głupia krowa.

Zatrzymali się przy metalowych stopniach prowadzących na poziom poniżej dachu.

– Prawdopodobnie schował się za drzwiami i przywalił jej, gdy wyszła.

Brix patrzył w dół.

– Gunnar Torpe coś powiedział? – spytał.

– Kiedy tam dojechaliśmy, był nieprzytomny. Mocno pocięty, tak jak pozostali. I sądząc na pierwszy rzut oka, nieśmiertelnikiem.

Madsen zerknął na tłumy klubbersów wypędzanych z budynku.

– Zmarł w karetce, nie odzyskawszy przytomności.

Ekipa techniczna zbierała ślady ze schodków, szukała, robiła fotografie.

– Co powiedziała Lund?

– Nie widziała jego twarzy. Chciała, żebyśmy szukali nieśmiertelnika należącego do żołnierza, którego ekshumowała. Zaginął. – Madsen wzruszył ramionami. – Mnie się to wydaje chore.

– Jak zwykle. Jak ona się czuje?

– Nie wiem, jak się czuje, ale na pewno jest uparta.

Przełożony zgromił go wzrokiem.

– Jest nie do zdarcia. Chciała sama iść do karetki. Myślę, że nosze są... poniżej jej godności. – Madsen podrapał się po głowie. – Miała jakiś szalony pomysł, że ten facet mógł ją zastrzelić, ale zmienił zdanie.

To Brixa zainteresowało.

– Wątpię w to – ciągnął Madsen. – Wtedy już ludzie wychodzili z klubu. Zrozumieli, że coś się dzieje. On po prostu zwiął.

– A zaginiony nieśmiertelnik Møllera?

Madsen wytrzeszczył oczy na szefa.

– Co z nim? Mamy kolejne morderstwo. Mamy policjantkę, która omal nie zginęła.

– Przyjrzyj się temu, dobra? – rozkazał Brix.

Na podwórko w dole wjechał czarny samochód, błyskając niebieskim światłem. W chwili gdy stanął, z drzwi od strony kierowcy wyłonił się Strange.

– Gdzie Lund? – krzyknął.

– W drodze ze szpitala do Politigården – odkrzyknął Brix.

– Nic jej nie jest?

– Nic – potwierdził Brix. – Jest w szoku, ale...

Strange nie słuchał. Wsiadł za kierownicę, gwałtownie skręcił na mokrym betonie i zniknął.

Brix popatrzył za nim i kiwnął na Madsena, by kontynuował prace.

Sam zadzwonił do Ruth Hedeby.

– Musimy pogadać – rzekł.

\*

Pół godziny na oddziale, a potem z powrotem do pokoju przesłuchań na komendzie. Rana nad prawym okiem. Siniaki. Ciężka głowa. Pytania. Mnóstwo pytań, a młody detektyw, który z nią siedział, nie wpadł na pomysł, by którekolwiek z nich zadać.

– Na pewno nie widziałaś jego twarzy?

Westchnęła.

– Gdybym widziała, powiedziałabym ci chyba, co?

– Musiało być w nim coś charakterystycznego. Sposób ubrania...

– Czarna kurtka z kapturem. Nie masz lepszego zestawu pytań?

– Uczyłem się od ciebie, Lund! – krzyknął trochę urażony.

Spojrzała na niego. Był to słuchacz szkoły policyjnej, którego uczyła przed paru laty.

– Zawsze mówiłaś, żeby w kółko pytać.

– Mówiłam – przyznała – i masz pytać. Ale czasami nie ma nic do powiedzenia.

– Uczyłaś mnie – dodał, wymierzając w nią oskarżycielski palec – że mam być częścią zespołu.

Kiwnęła głową.

– Jesteś.

– A ty nie?

Zanim zdążyła coś odpowiedzieć, drzwi się otworzyły i szybkim krokiem wszedł Strange. Błady i chyba zmartwiony.

– Nic ci nie jest?

Lund wstała. Sięgnęła ręką do rany nad okiem.

– Nie.

Strange ruchem głowy dał znak policjantowi. Ten od razu wyszedł. Lund wróciła na krzesło, cicho przeklinając siniaki i ból.

– OK – oznajmił Ulrik Strange. – Nie powinnaś tu być. Odwiozę cię do domu. Mam do kogoś zadzwonić?

Upiła łyk ciepławej kawy, którą jej przyniesiono.

– Nie. Nie jadę do domu.

– Na miłość boską! Przystaniesz zgrywać bohaterkę?

– Nie zgrywam! Moja matka wyszła za mąż. Niektórzy goście weselni nocują w jej mieszkaniu. Nie chcę, żeby widzieli mnie w tym stanie.

Położyła głowę na stole i zamknęła oczy.

– Mogę się tu przespać w którymś pokoju. Skośnij mi łóżko. Możesz mi znaleźć celę. Dla mnie to nie pierwszozna.

– Jesteś strasznie upierdliwa. – Wstał. Delikatnie położył dłoń na jej ramieniu. – Chodź, jedziemy.

Z głową na stole, uchylonymi powiekami, spojrzała na niego spode łba.

– Jak dzieci tak ze mną pogrywają, przerzucam je przez ramię – ciągnął Strange. – Nie próbuj. Nie wygrasz.

– Spać mi się chce – wyszeptała.

– Nie zostaniesz w tym cholernym miejscu. Choćbym miał cię stąd wynieść.

Lund ani drgnęła.

Pochylił się i szeptał jej do ucha. Jego oddech był ciepły i pachniał lukrecją.

– Choćbym miał cię wynieść – powtórzył.

\*

Zanim Brix dotarł na komendę, Madsen skontaktował się z matką Møllera. Jeden z mundurowych zostawił mu wiadomość na biurku: ktoś wykorzystywał tożsamość jej syna.



– A także... – ciągnął Madsen.

Ruth Hedeby szła korytarzem na horyzoncie i wyglądało na to, że próbowała go uniknąć.

– Później – rzucił Brix i podążył za nią.

– Ruth – powiedział, gdy dotarli do jej gabinetu.

Odwróciła się i wycelowała palec w jego twarz.

– Co, do cholery, Lund robiła w kościele? Jeśli się dowiem, że za moimi plecami...

– Nie miałem pojęcia, że ona tam jest. Zawiadomiła Strangego. Chciała, żeby tam przyjechał, a on był w Helsingør...

– Ta kobieta to jedno wielkie utrapienie.

Odeszła do swojego biurka. Brix chwycił ją za ramię.

– Lund jako jedyna od początku widzi to, co trzeba. Te morderstwa nie mają nic wspólnego z terroryzmem. Musimy tu ściągnąć Königa i wycisnąć z niego, co naprawdę wie.

Usiadła. Brix zajął miejsce naprzeciwko niej.

– Musimy zacząć od nowa...

– König ma własne problemy – przerwała mu. – Dzisiaj wieczorem minister sprawiedliwości zwołał konferencję prasową. Rzuca oskarżenia na ministra obrony i domaga się, by PET je zbadała. Tymczasem Raben zaparkował przed salą w Østerbro, gdzie kadeci z Ryvangen mają bal. Czujesz się w tym wszystkim jak widz?

– Ruth...

– PET zdecyduje, co robić. My tylko siedzimy, słuchamy i przyjmujemy rozkazy. – Jej ostre, ciemne oczy nie odrywały się od niego. – To dotyczy ciebie. I mnie. I Lund też.

Wstała, przysunęła się do drzwi.

– Nie możemy tak dalej.

To ją rozdrażniło.

– Jest wyraźne rozgraniczenie, Lennart. Pomiędzy pracą a przyjemnością. Uzgodniliśmy to na samym początku. Nie udawaj, że jest inaczej.

– Nie to miałem na myśli.

– A co?

– Jeśli mi już nie ufasz... – zawahał się, upewnił, że go rozumie. – Po tym wszystkim, co razem zrobiliśmy...

Ruth Hedeby rozdziawiła usta. Wyglądała młodziej. Sprawiała wrażenie bezbronnej i Brix po części wiedział, że nie powinien posuwać się do takich sztuczek.

– W takim razie – dodał – po co to?

– Jak możesz to wykorzystywać przeciwko mnie?

– Nie wykorzystuję. – Położył nogi na jej biurku, rozsiadł się wygodnie i udał, że ziewa. – Mogę obejść Königa. Nie musimy tu siedzieć jak pieski pokojowe i czekać na smycz.

– Słuchaj...

– Przez Königa biegamy po całej Danii, ścigając imigrantów, którzy nie mają pojęcia o tych morderstwach. Co nim kieruje oprócz niekompetencji? Czy on ma jakiś powód? Nie proszę cię, byś zachowała się niewłaściwie. Domagam się, byś wykonywała swoje obowiązki. Byśmy my je wykonywali.

Wahała się. Rozdarta.

– Chcę, by Lund wróciła i miała wolną rękę – powiedział.

– Jesteś łajdakiem.

Uśmiechnął się.

– Czasami. Ale nie w tej chwili. Pastwią się nad nami. Wiem, że tobie się to nie podoba równie mocno jak mnie. Więc...

- Daj mi pomyśleć.
- Ruth...
- Dość. Masz chyba robotę, co?

\*

Bal kadetów odbywał się w białej sali nieopodal twierdzy Kastellet, nad wodą. Światła we wszystkich oknach, kwartet smyczkowy, młodzi mężczyźni w eleganckich mundurach, z partnerkami u boku.

Torsten Jarnvig miał niespodziewanego gościa: Jana Arilda. Kiedyś jak on był porucznikiem w Jægerkorpset w Aalborgu, teraz generałem w kwaterze głównej. Niski, przysadzisty mężczyzna o chytrej twarzy, kilka lat starszy od Jarnviga. Ze swoimi delikatnymi rudymi włosami, rumianą cerą i ostrymi rysami już wtedy zasłużył sobie na przydomek Lis. Zdaniem Jarnviga – trafny. Służyli razem, niekiedy w trudnych czasach. Arild był twardy. Teraz nadzwyczaj ważny, w galowym mundurze pokrytym baretkami odznaczeń. Koszary Ryvangen mu podlegały. Należało zabiegać o jego względy. I nigdy nie należało nazywać go Lisem.

Torsten Jarnvig uśmiechał się więc i udawał, że bawią go kiepskie dowcipy generała. Nie narzekał, gdy ten palił przy stole, chociaż nie było to akceptowane. Nie wspominał o jego fatalnych manierach, gdy wulgarnie gwizdał i rzucał grubiańskie uwagi o przechodzących kobietach.

Patrzył tylko na swoją córkę i unosił brew. Chciał, żeby wiedziała, że on też czuje się tym urażony. Chciał, żeby wiedziała, że to jeden z ciężarów bycia pułkownikiem w Ryvangen.

– Mógłbym ci opowiedzieć niejedną historyjkę o mnie i twoim staruszku – powiedział Arild, szturchając łokciem Louise. Nie zauważył, że się od niego odsunęła. – W jakich to zakazanych miejscach

bywaliśmy. I jak robiliśmy rzeczy, o których w Genewie nie chcieliby słyszeć...

– Jan... – zaczął Jarnvig.

– Patrzcie no! Ciągłe jestem Jan. – Pochylił się do przodu. – Tutaj to akurat niewskazane, sam rozumiesz.

– Panie generale – poprawił Jarnvig z westchnieniem.

– O niektórych rzeczach nigdy się nie mówi – powtórzył Arild. – Tak to jest w wojsku.

Arild podziwiał pary na parkiecie. Gwizdnął przeciągle na widok kobiety w wydekoltowanej czerwonej sukni.

– Rozumiem, że jedyny ocalały człowiek z tego twojego zbuntowanego oddziału to twój zięć – powiedział, ciągle taksując wzrokiem tancerkę. Zdusił papierosa w wędzonym łososiu na swoim talerzu i zerknął na Louise. – Poza służbą szeregowcy i oficerowie powinni się trzymać osobno. Oni znają swoje miejsce. My znamy swoje. Co policja mówi, że co on robi?

– Naprawdę niewiele wiem na ten temat – odparł Jarnvig. – Mamy ważniejsze rzeczy na głowie. Jak tam... sezon łowiecki?

Arild skrzywił się niezadowolony.

– Nie mam na to czasu. Skoro Raben zaatakował pastora, musiał zupełnie zwariować, nie sądzisz? Szaleniec.

Louise wpatrywała się w niego strasznym wzrokiem.

– Co? – spytał generał. – Powiedziałem coś nie tak?

Już miała się odezwać, gdy przy ich stole stanął Søgaard. Na twarzy Arilda rozkwitł pogodny uśmiech. Wstał i z werwą uściśnął dłoń przybysza.

– Major Christian Søgaard! – krzyknął Arild. – Oto przyszłość.

– Mam nadzieję – wtrąciła się Louise. – Major Søgaard miał mnie poprosić do tańca.

Wstała, wzięła Søgarda pod ramię i trochę go zaciągnęła, a trochę wypchnęła na parkiet.

Arild zerknął niezadowolony na Jarnviga.

– Ognista młoda kobieta. Myślisz, że tak samo by się czuła, gdyby wiedziała o naszych małych gierkach sprzed lat?

– Robiłem, co mi kazano, i ty też.

– Człowiek powinien znać swoją powinność – zgodził się Arild i zapalił kolejnego papierosa. – Jeszcze lepiej, gdyby nie trzeba mu było mówić, co ma robić. PET ma zgarnąć tego twojego buntownika. Śledzą go od jakiegoś czasu. – Postukał się po wąskim nosie. – To poufne. Zatrzymaj to dla siebie.

– Na co czekają?

– Mają nadzieję, że złapią zabójców, oczywiście. Jeśli on jest na tyle głupi, że PET go wyśledziła, to dlaczego miałyby z tym mieć problem banda muzułmanów?

Zadzwoił telefon Jarnviga. Muzyka grała za głośno. Pułkownik opuścił salę, przeszedł kawałek korytarzem, aż znalazł puste pomieszczenie. Białe ściany, połyskujący kryształkowy żyrandol.

Dzwonił Bilal, który pełnił służbę. Zamordowano Gunnara Torpego. Napadnięto policjantkę.

Jarnvig oparł się o ścianę i zamknął oczy.

– Co ci powiedziała policja?

– Niewiele.

– Zostaw to mnie.

Wsadził telefon do kieszeni i zastanowił się, co robić. Gdy podniósł wzrok, tuż przy zasłonach dostrzegł Jensa Petersa Rabena. Wyglądał

paskudnie, jak bezdomny. W lewej ręce trzymał pistolet skierowany lufą w dół.

– Rób, co każę. Powiedz prawdę – rozkazał. – To wszystko, o co proszę. Potem możesz wrócić na bal i znowu wepchnąć moją żonę w ramiona Søgaard.

– Jak się tu dostałeś, do cholery?

– Tak, jak mnie uczono. Wasza ochrona jest do dupy.

– Właśnie się dowiedziałem, że Gunnar Torpe nie żyje. Dzisiaj wieczorem go znaleziono. Został zamordowany. I ktoś napadł na tę policjantkę Lund.

Jarnvig mu się przyglądał. Umiał oceniać stan żołnierza. Widział, kiedy jest przerażony i kłamie. Wiedział, kiedy jest tylko przerażony.

– To nie ja – powiedział Raben.

– Może nie. Wiem, że nie ty to zacząłeś, ale na miłość boską, nie pomagasz ani Louise, ani sobie.

– Pozostaję przy życiu – odwarknął tamten. – I tylko mnie się to udało. Muszę zajrzeć do akt.

– To bal kadetów. – Jarnvig rozłożył szeroko ramiona. – Teraz archiwa trzymają w Holmen, w kadrach.

– Muszę...

– PET wie, że tu jesteś. Cały czas cię śledzą.

– Bzdura.

– To prawda – nalegał Jarnvig. – Nie zwijają cię, bo mają nadzieję, że wyciągniesz terrorystów z ukrycia.

– Jakich terrorystów? Nie wierzysz...

– Wyświadczyć wszystkim przysługę i poddaj się.

– Potrzebne mi te akta.

– Czy ty mnie słuchasz? PET tu jest. Wiedzą, że wszedłeś do środka. Jeśli dotarłeś tak daleko, to dlatego, że oni ci pozwolili. Choć raz wykaż się rozsądkiem.

Raben sprawdził broń, magazynek.

– Och, na miłość boską – krzyknął Jarnvig. – Nie pogarszaj sytuacji. Pójdę z tobą. Mogę się za tobą ująć...

– Ująć się za mną? – krzyknął Raben, a pistolet poderwał się odrobinę w górę.

– Jeśli dasz mi szansę.

– Taką szansę, jaką ja miałem?

Niechlujny mężczyzna z niechlujną brodą, w niechlujnym ubraniu, z niechlujnymi włosami wydawał się daleki od nieskalanego żołnierza, który prowadził Louise przez kościół. Tamtego dnia Torsten Jarnvig był dumny, nawet jeśli miał złe przeczucia.

– Jechałem do domu – powiedział Raben cicho, z goryczą. – Miałem dwa tygodnie do końca służby. Potem miałem być z powrotem z Louise i z małym Jonaszem. Już nie w wojsku. Nowe życie. Nowy dom. A teraz...

Pistolet drżał w jego palcach.

– Mam za sobą dwa lata piekła, które się nigdy nie skończy, prawda? Wtedy mogłeś dać mi szansę. Mogłeś przeprowadzić śledztwo w sprawie Perka...

– Nie było żadnego Perka, Jens. Wszystko zniszczyłeś. Siebie. Louise i Jonasa.

– Powiedziałem prawdę! Kapelan też to wiedział. Dlaczego miałby kłamać? Albo pozostali? Próbowałem go powstrzymać.

– Kogo?

– Perka! Miał na ramieniu tatuaż szkoły oficerskiej. – Wolną ręką Raben postukał się w głowę. – Widzę go jeszcze teraz.

– Mówiłeś, że człowiek, którego zaatakowałeś na początku, to Perk...

– Wiem, co się stało! Wiem, co widziałem. – Patrzył na Jarnviga płonącymi oczyma. – Byłeś moim dowódcą. Powinieneś mi uwierzyć. Mnie, nie PET. Czy komukolwiek, kto opowiadał jakieś bajeczki. Do diabła z...

Podszedł do drzwi.

– Czekaj.

Raben już trzymał dłoń na klamce.

– Szukają cię, Jens. Mówiłem. Wyjdź tędy. – Wskazał boczne wyjście.  
– Tam jest korytarz, który prowadzi do ogrodu. I pochyl się.

Mężczyzna w brudnym ubraniu wpatrywał się w niego szeroko otwartymi oczyma.

– Zrób to, co mówię, dobra? – prosił Jarnvig.

Raben wyszedł, powłócząc nogami. Torsten Jarnvig drżącymi palcami zapalił papierosa, spojrzął na swoje odbicie w lustrze i zaciągnął się.

Nagle wszedł mężczyzna. Ciemny garnitur. Słuchawka w uchu. PET. Na pewno. Za nim szedł Said Bilal.

– Toalety są na końcu korytarza – powiedział Jarnvig. – Bilal, pokaż panu drogę.

Mężczyzna otaksował pułkownika wzrokiem, popatrzył dokoła, na zasłony, na pokój i wyszedł.

Torsten Jarnvig dopalił papierosa i wrócił na bal.

Jan Arild siedział sam, wściekły, a jego lisa twarz błyszczała od gorzały i gniewu.

– Długa rozmowa – rzekł. – Coś nowego?

– Nie – odparł Jarnvig. – To osobiste sprawy.

Arild skrzyżował ramiona i patrzył, jak Louise tańczy z Christianem Søgaaudem.



– No, to jest para – powiedział.

\*

Thomas Buch znał już aż za dobrze labirynt korytarzy prowadzących z jego biura naprzeciwko splecionych smoków do gabinetu Grue Eriksena. Kiedy więc został wezwany, zrezygnował z przyzwyczajenia, wziął płaszcz, wyszedł na zewnątrz, obszedł własne ministerstwo po niewielkim placu, gdzie jadał kanapki przy pomniku Sørena Kierkegaarda, i przez zimną wilgotną noc spokojnym krokiem podążył do pałacu Christiansborg.

Po drodze zadzwonił do domu. Pobrali się z Marie, gdy mieli po dziewiętnaście lat, a on pracował jeszcze na gospodarstwie, ucząc się fachu. Wydawało się, że będą razem na zawsze, ale tej nocy, w lodowatej kopenhaskiej mżawce, ona wydała mu się daleka. Nie znosiła miasta, hałasu, rwetesu. On już tego nie zauważał. Były inne, ważniejsze sprawy. Rozmowa zrobiła się trudna i banalna, na co Marie nie zasługiwała. W pewien sposób ją porzucił, a naglące pytania, które Monberg poukrywał w swoich dokumentach, sprawiły, że Thomas Buch nie miał nawet czasu na żal.

Rozmowa dobiegła końca przed okazałą fasadą pałacu. Buch wszedł i ruszył na górę. Premier nie wyglądał na szczególnie wściekłego. Ale był wściekły.

– Nie miałem wyboru – powiedział Buch, zajmując miejsce naprzeciwko srebrnowłosego mężczyzny za wielkim lśniącym biurkiem, skąd przewodził narodowi. – Chciałem zapobiec...

– Zamilknij, Thomasie, i posłuchaj mnie przez chwilę. – Grue Eriksen opadł na oparcie i złączył dłonie. – Nie wahałem się, gdy wyznaczałem cię na ten urząd. Nic w twojej przeszłości nie sugerowało, że będziesz na tyle nierozważny, by własnemu rządowi wbijać nóż w plecy.

- Nie wysłuchał mnie pan... – zaczął Buch.
- Bez mojej wiedzy zwołałeś konferencję prasową. Jednego ze swoich kolegów oskarżyłeś o czyny przestępcze. Tych oskarżeń nie można wycofać...
- Buch pokręcił energicznie głową.
- Nie chcę ich wycofywać. Fakty...
- Pracuję z Rossingiem, odkąd wszedł do polityki. Znam go. Ufam mu.
- Proszę więc pozwolić mi na zadanie mu kilku pytań przed Komisją do spraw Bezpieczeństwa. Tylko tyle.
- Przyparłeś mnie do muru, prawda?
- Musimy wyjaśnić tę sprawę! To ważne.
- Premier rozparty na swoim krześle zaklął pod nosem.
- A ja myślałem, że wynoszę na męża stanu prostego chłopaka ze wsi. Uczysz się zadziwiająco szybko. I opanowałeś kilka sztuczek, których ja nie znam. Zdajesz sobie sprawę, co rozpętałeś?
- Proszę mi powiedzieć – odparł Buch żałośnie.
- Polowanie na czarownice, które teraz będę zmuszony rozegrać publicznie. Jeśli coś jest nie porządku, trzeba to wydobyć na światło dzienne. Na widok publiczny, bez względu na koszty.
- Mnie właśnie chodzi o jawność.
- Ale to są tylko plotki i spekulacje – dodał Grue Eriksen tonem zimnym i nienawistnym, z podniesionym palcem i płonącymi oczyma. – Odeślę cię do Jutlandii, żebyś przez resztę życia uprzętał krowie placki.
- Premier zerknął na zegarek.
- Może pan odejść.

\*

W biurze Plough i Karina rozprawiali się z najnowszymi informacjami z Politigården.

– Ciężko rannego pastora znaleźli w jego kościele w Vesterbro – powiedział Plough. Krawat zniknął, marynarka też. Zmienia się, pomyślał Buch. Może oni wszyscy się zmieniali. – Gunnar Torpe. Umarł w karetce. Były kapelan przydzielony do żołnierzy z Ryvangen. Był w Helmand w tym samym czasie co Raben. To znaczy, że mamy już pięć ofiar. Sześć, jeśli doliczyć Monberga.

– Monberg zabił się sam – warknął Buch. – Portier w szpitalu widział, jak skakał. Pastor miał nieśmiertelnik?

– Tak. – Karina siedziała na skraju biurka Bucha. Miała na sobie dżinsy i bluzkę. Wyglądała na zmęczoną. I po raz pierwszy była trochę rozczochrana. – Wygląda na to, że Lund przeszkodziła mordercy.

Buch zmrużył oczy.

– Ta kobieta, z którą spotkaliśmy się na weselu?

– Tak. Pastor był na misji z batalionem Ægir. Znał pierwszą ofiarę, Dragsholm. Odwiedziła go. Może wszystkie ofiary wiedziały, co się stało w Afganistanie.

Plough energicznie pokręcił głową.

– Wiemy, co się stało. Nic. Wojsko badało sprawę. Przeprowadzono oficjalne śledztwo. Ustalono, że wersja Rabena to nonsens. Że chciał zrzucić na kogoś swoją winę.

Położył raport przed Bucha.

– Niech pan sam to przeczyta. Nic nie wskazuje na zabójstwo cywilów.

– Czasami pewne sprawy się tuszuje, prawda? – spytał Buch. – Jeśli doszło do zbrodni wojennych, to dobry powód do tuszowania.

Plough szarpnął za swoją rozpiętą koszulę, jakby ciężko mu było podjąć decyzję.

– W Ministerstwie Obrony musi być ktoś, kto nosi urazę do Rossinga.  
– Spojrzał na Karinę. – Przychodzi ci do głowy ktoś, kogo by ostatnio zwolnił?

Zaskoczony Buch uśmiechnął się szeroko.

– I o to chodzi! – rzekł.

– No właśnie nie wiem. – Plough chyba poczuł się urażony. – To małostkowe i niegodziwe.

– Musimy wyciągnąć z policji wszystko, czego oni się dowiedzieli o tym oficerze – dodał Buch.

Karina zmarszczyła brwi.

– To niełatwe. Lund odsunięto od sprawy. Teraz prowadzi ją PET.

– A co oni mówią?

– Oni ciągle sprawdzają to, co im powiedzieliśmy o Monbergu. König uważa, że to nie ma związku ze śledztwem. Ich zdaniem...

Nie miała chęci tego mówić.

– Ich zdaniem rozwiążemy tę sprawę, zamykając każdego mużłmanina, jakiego zdołamy znaleźć? – spytał Buch.

– Mniej więcej.

– I te błazny prowadzą show? Bo Lund zwolniono?

– König jest bardzo doświadczonym funkcjonariuszem – powiedział Plough ostrożnie. – Jest bardzo...

– Bardzo co?

– Bardzo ustosunkowany.

– Chyba musimy podzwonić – orzekł Thomas Buch, wskazując telefony. – Bierzmy się do roboty.

\*

Trzydzieści minut później Erik König znowu siedział w pokoju przesłuchań w Politigården. Brix miał wrażenie, że wypada to trochę oficjalnie, i bardzo mu się to podobało.

– Nie sądzisz, że to dziwne, że nigdy nie znaleziono nieśmiertelnika Møllera? – spytał.

König się roześmiał.

– Nie bardzo. Ten człowiek rozleciał się na kawałki. Jak sądzisz, ile mogli tych kawałków zebrać?

– Od wielu dni każesz nam ścigać islamistów, Eriku. Po całym kraju. Ale nic, absolutnie nic nie wskazuje na to, by za tymi zabójstwami stali fundamentaliści.

– Tylko wideo i materiały, które znaleźliśmy u Kodmaniego.

– Brat w Wierze mu je podrzucił. A nie mamy pojęcia, kim on jest.

– Spekulacje...

– Dlaczego nie sprawdzamy wojska i batalionu Ægir? – spytał Brix. – Czy oni mają jakiś immunitet?

– Przestań. Nie odpowiem ci. PET nigdy nie odpowiada na pytania.

– Chcę, żeby Raben trafił tu na przesłuchanie. Jeśli wiecie, gdzie on jest, sprowadźcie go natychmiast.

Człowiek z PET zdjął szpanerskie okulary bez oprawek, starannie wyczyścił je chusteczką i na powrót założył.

– To nie jest możliwe. Wymknął się nam.

– Zgubiliście go?! – ryknął Brix. – Gdybyś był moim podwładnym...

– Nie jestem. Szukamy. Znajdziemy go. A wtedy... – König rozsiadł się na twardym krześle pokoju przesłuchań – ...dam ci znać.

Brix w desperacji wyrzucił ręce w powietrze.

– Lennart. – König pochylił się nad stołem i spojrzał mu w twarz. – Naprawdę sądzisz, że gdybym wiedział, że w tych koszarach jest coś do

ukrycia, tobym tu siedział i cię okłamywał?

Brix nie odpowiedział. Weszła Hedeby.

– Właśnie odebrałam telefon z Ministerstwa Sprawiedliwości – powiedziała. – Monberg powiedział Buchowi, że znał pierwszą ofiarę, Anne Dragsholm. Ona znalazła oficera, o którym mówił Raben. Tego odpowiedzialnego za masakrę. Domagają się przeprowadzenia wnikliwego śledztwa. My mamy je przeprowadzić.

Usiadła obok Königa, bardzo blisko, i zajrzała w jego szare obojętne oczy.

– My – powtórzyła. – A jeśli ktoś próbowałby nam przeszkodzić, mamy ich powiadomić.

– Doprawdy? – człowiek z PET wstał, włożył płaszcz i wyszedł.

Ruth Hedeby w milczeniu odprowadziła go wzrokiem. To wymagało odwagi, pomyślał Brix.

– Dzięki – rzekł.

– Nie mnie dziękuj, tylko ministrowi. Na PET są jeszcze bardziej wkurzeni niż na nas.

– Jest kwestia obsady...

– Nie chcę powrotu Lund. Stąpamy po cienkim lodzie. Odpowiedź brzmi „nie”.

Znowu zadzwonił jej telefon. Zerknęła na numer.

– Cholera! Czy ci ludzie w ministerstwie w ogóle nie śpią?

Brix patrzył, jak Hedeby odbiera telefon, obserwował wyraz jej twarzy.

– Panie ministrze – odparła spokojnie – nie jest przyjęte, żeby politycy ingerowali w sprawy personalne Politigården.

Odpowiedź była tak głośna i wściekła, że Ruth Hedeby musiała odsunąć telefon od ucha.

– Zobaczą, co da się zrobić – rzuciła na koniec.

Brix siadł i czekał. Ponieważ ona milczała, zagaił:

– Czyli powiedziałaś im, że Lund nie wraca?

– Nie – odrzekła wyniośle. – Ale oni i tak się dowiedzieli. – Zgromiła go wzrokiem. – Ciekawe jak.

Zerknął na zegarek.

– Nie mam pojęcia – rzekł. – Jadę do domu. Rano możemy wszystko podsumować.

– Lennart!

Zatrzymał się przed drzwiami.

– Na miłość boską, pilnuj jej tym razem. Jeśli możesz. Ona mnie śmiertelnie przeraża.

– Zawiadomię ją.

– Nie. – Hedeby wstała i owinęła się płaszczem. – Nie musisz.

\*

Lund nie protestowała, gdy Strange zawiózł ją do swojego mieszkania. Ostatnia rzecz, na którą miała ochotę, to wpaść na bandę szczęśliwych, pijanych gości weselnych.

Mieszkanie było skąpo umeblowane, w sposób ulubiony przez duńskich kawalerów. Dwie sypialnie, przy czym jedna z dwoma pojedynczymi łózkami – dla dzieci, gdy odwiedzały tatę.

Siedli obok siebie na niskiej kanapie, naprzeciwko jednego z tych gigantycznych telewizorów, których Lund tak szczerze nie znosiła. Strange miał kartę pizzerii za rogiem.

– Trzydzieści osiem – zdecydowała.

On już do nich dzwonił.

– Poprosimy trzydzieści osiem – mówił spokojnym, sympatycznym głosem.

– Z dodatkowym serem – dorzuciła.

Westchnął.

– Z dodatkowym serem. Dla mnie to samo. Bez sera.

W szpitalu dali jej coś do przemywania rany. Wylewała właśnie ten płyn na kawałek gazy.

– Jak tam głowa? – spytał.

– Wzięłam jakieś proszki.

Próbowała przyłożyć gazę do rany, ale nie trafiła.

– Ja to zrobię – zaproponował Strange i chciał zabrać od niej gazę.

– Nie jestem inwalidą.

– Ale nie widzisz, co robisz. To takie trudne przyjąć czyjaś pomoc?

Dała sobie pomóc i siedziała jak dziecko, gdy on odgarnął jej włosy i spojrzał z troską na twarz.

– Nie najgorzej to wygląda. Nawet nie będziesz miała blizny.

– Cudownie.

– Jesteś twardą babą.

– Dziękuję za komplement.

Dotknął rany gazą. Lund gwałtownie wciągnęła powietrze.

– Wiem. Szczypie.

– Co ja tu robię? Powinnam zostać w Politigården.

– Mogłabyś też pójść do hostelu. – Rozejrzał się po pokoju. – Ale nie jest najgorzej, co? Na podłodze nie leży brudna bielizna. Ani gazetki porno. A nie spodziewałem się ciebie. Daj spokój.

Na niskim stoliku przy kanapie stało zdjęcie. Czarno-białe i stare. Wysoki, wyprostowany mężczyzna z mundurze.



– Twój ojciec był żołnierzem?

Twarz mu spochmurniała, a Lund nie miała pojęcia dlaczego.

– W rodzinie rządzą mundury. Zwykle wojskowe, ale nie tylko. To mój dziadek. Był policjantem. To stary mundur. Nie mówiłem ci?

– Nie.

– No więc był. Pracował w Politigården w czasie wojny. – Strange znieruchomiał i spojrzał na nią. – Działał w Ruchu Oporu. Niemcy się dowiedzieli. Ktoś doniósł na niego, jakiś *stikke*. Ojciec mówił, że dziadek zginął razem z innymi bohaterami w Mindelunden. Pewnie przywiązany do jednego ze słupów. Nie wiem, dlaczego trzymam akurat tę fotografię. To było tak dawno. Teraz i tak dzieje się tyle złego, że nie ma co myśleć o przeszłości.

Odsunęła się od niego, wzięła do ręki kolejne zdjęcie mężczyzny w mundurze, tym razem wojskowym, też stare, choć nie tak jak tamto.

– To twój ojciec? Wygląda jak ty.

– Widzisz sama, żołnierze. Mamy to we krwi. Naszym przeznaczeniem jest służba.

Roześmiał się i w tej chwili wyglądał bezbrinnie.

– Nie jestem taki jak ty. Najlepszy jestem, kiedy pracuję w zespole i ktoś mi mówi, co mam robić. Pewnie odziedziczyłem to...

– Co się z nim stało? Z twoim ojcem?

Strange spojrzał na nią zdumiony.

– A kto mówi, że coś się z nim stało?

– To stare zdjęcie. Gdyby nic mu się nie stało, miałbyś nowsze.

– Dobry Boże. Ty nigdy nie przestajesz pracować?

– Właściwie nie. Jeśli nie chcesz mi powiedzieć...

– Wystąpił z wojska. Mama suszyła mu głowę, żeby to zrobił. Z odprawy opłacił franczyzę, żeby otworzyć agencję jakiejś durnej

ubezpieczalni. To się nie mogło udać. Pamiętasz, co mówiłem? Naszym przeznaczeniem jest służba. Nie smycz.

Na jego twarzy pojawiło się coś takiego, że Lund pożałowała swojego pytania.

– Nie wiedzieliśmy, że pije. Nie jestem nawet pewien, czy to miało jakieś znaczenie. Miałem dopiero dziewiętnaście lat. Tamtego lata pracowałem w Politigården. Kiedy sądziłem, że mundur policyjny to coś dla mnie.

– Długo będziemy czekać na pizzę?

Spojrzał na nią niechętnie.

– Sama pytałaś. Teraz musisz mnie wysłuchać. Choćby przez grzeczność.

– Strange...

– Któregoś dnia przyszedłem do domu i coś tam robiłem w garażu. Pamiętam, że najpierw zobaczyłem buty.

– Przykro mi. Nie powinnam się była odzywać.

Strange podrapał się po zarośniętym policzku.

– Nie możesz się powstrzymać. Poza tym czemu nie? Skąd miałaś wiedzieć? Znienawidziłem go za to. Na całe lata. Potem, gdy zacząłem się zastanawiać nad wystąpieniem z wojska, żona zaczęła napomykać o tym samym. Pewnie się domyślasz. Otwórz swoją firmę. Zajmij się zarządzaniem. Bądź sam dla siebie szefem.

Przytknął gazę do jej twarzy i znowu musnął ranę.

– To mi wystarczyło, żeby się z powrotem zaciągnąć. Wiem, kim jestem. Lubię, kiedy mi się mówi, co mam robić. Ty. Brix. To mi odpowiada. Jesteś ode mnie mądrzejsza i wiem o tym.

– Nigdy tego nie powiedziałam.

Roześmiał się.

– A myślisz, że musisz? W twojej twarzy można czytać jak w otwartej książce.

– Mam twarz jak piłka futbolowa.

– I tak miło na nią popatrzeć.

Dużo czasu minęło, odkąd po raz ostatni tak z kimś rozmawiała.

– Nie rozumiem – odparła.

– Czego?

Wrócił do pracy nad jej siniakami i ranami.

– Dlaczego on nie pociągnął za spust?

Odjął gazik.

– Sarah. Nie wiesz, co się stało. Nie przejmuj się tym.

– Wiem. Słyszałam. Pistolet...

– Tam byli ludzie.

– Miał czas. Podjął decyzję. Czułam to.

– OK. – Odłożył butelkę i gazik. – Posłuchaj. To się już nigdy nie wydarzy. Nie uciekniesz mi...

– Byłeś w Helsingør!

– Mogłaś poczekać.

– No ale nie czekałam.

– Następnym razem cię zmuszę. Obiecuję.

Teraz ona się roześmiała.

– Obiecujesz? Kim ja dla ciebie jestem? Wariatką, którą przywiozłeś z Gedser, bo Brix ci powiedział...

Położył dłoń na jej ramieniu. Potem jego palce powędrowały na policzek, musnęły włosy, delikatne przesunęły się po wargach.

Nie wiedziała, co robić. Głowa ciągle ją bolała. Wszystko ją bolało.

Przysunął się do niej. Ona się cofnęła, ale tylko odrobinę. Nie ustawał więc, spróbował raz jeszcze, najłagodniej, jak umiał, cmoknął ją w policzek, na tyle, na ile pozwoliła.

– Miał w cholere czasu, żeby do mnie strzelić – wyszeptała.

– Gdzie nie boli?

Był tak blisko, taki spokojny i troskliwy. Naprawdę nią zainteresowany. Lund pochyliła się ku niemu, próbując sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni całowała się z mężczyzną.

Zadzwonił dzwonek u drzwi.

– Cholera – mruknął Strange. – Szybko się uwinęli.

Wstał, a jej trochę ulżyło.

– Do ciebie.

Przed drzwiami stała Ruth Hedeby w ciężkim wełnianym płaszczu. Wyglądała, jakby wolała być gdzie indziej.

– Przepraszam za najście, Lund. Nie zajmę pani dużo czasu. – W rękę trzymała kopertę. Otworzyła ją. W środku znajdowała się odznaka Lund.

– Lennart... Brix wprowadzi panią w szczegóły. Chyba się trochę pospieszyliśmy.

Hedeby podała jej odznakę, plik nowych raportów z PET i Politigården.

– W śledztwie mamy pewien postęp, a Ministerstwo Sprawiedliwości zmieniło nastawienie.

Zerknęła na Strangego.

– Jutro widzimy się wszyscy – dodała i ruszyła do windy.

– Proszę poczekać – zawołała ją Lund.

Hedeby stanęła.

– Chcę od pani gwarancji, że zostanę aż do zamknięcia sprawy.

– Mojej gwarancji?

– Tak. To moja sprawa. Pracuję ze Strangem. Zajmujemy się tym oboje, dobra?

– Jeśli się dogadujecie...

– Nie chcę żadnych ograniczeń. Nie chcę, żeby PET czy ktokolwiek inny mówił mi, co mam robić. Musimy przesłuchać wszystkich oficerów związanych z batalionem Ægir. I może...

– Może co?

– Może coś, co mi jeszcze nie przyszło do głowy.

Hedeby wróciła i spojrzała Lund prosto w twarz.

– Pozwolę sobie wyjaśnić. To nie jest moja decyzja. Minister chce, by pani wróciła do śledztwa. Nie wiem czemu. Nie chcę wiedzieć. Ale jeśli pani powie, że coś ma być, niech będzie. Nie ja za to wszystko zapłacę.

– Dobrze. I przestańcie śledzić Rabena. Chcę go przesłuchać.

– PET go zgubiła. Nie mamy pojęcia, gdzie jest.

Lund potrząsnęła głową.

– Nie macie...

– Przykro mi. König dał ciała. W wielu innych sprawach również. Ministerstwo patrzy nam na ręce. Dopilnujmy, żeby nie dobrali się nam do tyłka, dobra?

Nadjechała winda. Hedeby wsiadała do niej i ruszyła w dół.

– Gdzie mam spać? – spytała Lund.

– W którymś łóżku dzieci. Nie chcesz najpierw pizzy?

– Zostaw mi na jutro.

Machnęła plikiem dokumentów, po czym przeszła do małej sypialni, zamknęła za sobą drzwi i zaczęła czytać.

**NIEDZIELA\_**  
**20 LISTOPADA\_**  
**8.10\_**

Następnego ranka Strange na prośbę Brixa zapoznał zespół z bieżącą sytuacją. Lund słuchała tego z pokoju obok. Kiedy wzięła kolejną porcję proszków, głowa nie bolała już tak bardzo. Rana nad okiem opuchła, ale nie dokuczała. Lund stała w głębi pomieszczenia, przeglądając na tablicy najnowsze doniesienia wywiadowców i nie za bardzo słuchając.

Rano mało rozmawiali. Strange wyszedł po kawę i ciepłe paszteciki do piekarni po drugiej stronie ulicy, po czym w milczeniu zawiózł ją na komendę.

– Lund nie widziała twarzy tego mężczyzny – mówił grupie detektywów stojących przed nim. – Rozważamy koncepcję, że to jeden z oficerów należących do batalionu Ægir. Było ich dwudziestu ośmiu. Wszystkich należy traktować jako podejrzanych. Przywieźcie ich na przesłuchanie. Nie obchodzi mnie, gdzie są ani co robią. Jeśli wojsko zacznie robić aferę, powiadomcie mnie.

Lund pewnym krokiem przeszła na środek pomieszczenia i stanęła przed nimi, kręcąc kubkiem z kawą.

– Nie znaleziono nieśmiertelnika Møllera – powiedziała. – Mamy powód uważać, że ktoś wykorzystał jego tożsamość. Jest lista rachunków...

Podeszła do stołu, wzięła do ręki plik papierów, które przywiozła od matki Møllera.

– Te wszystkie rzeczy zamówiono na jego nazwisko. Już po jego śmierci. Chcę, by je sprawdzono. Anne Dragsholm dowiedziała się, kim jest ten człowiek. Ten, który mówił o sobie Perk. Dlatego zginęła.

Lund powiodła wzrokiem po stojących przed nią detektywach.

– Skoro mogła go znaleźć prawniczka, to my też damy radę.

Rozeszli się. Brix machnął na nią. Miał coś w ręku.

– To raport PET o wydarzeniach na balu kadetów wczorajszego wieczoru. Widzieli, jak Raben wchodzi do środka. A nie widzieli, jak wychodzi. Porzucił kradziony samochód.

Przejrzała dokument.

– Wygląda lepiej, niż się spodziewałem – powiedział.

– Żona Rabena i Torsten Jarnvig tam byli. Musiał rozmawiać z którymś z nich.

– Tego nie wiesz.

– Więc po co by tam szedł? Jak uciekł PET?

Brix nie lubił, gdy mu się sprzeciwiano. Widać to było na jego wyrazistej twarzy.

– O co chodzi z tą awanturą między ministrami? – spytała. – Z którym mam najpierw rozmawiać?

– A kto mówił o angażowaniu się w sprawy Slotsholmen?

– W kółko to samo – powiedziała Lund, zdumiona, że on tego nie widzi. – Musimy...

Otworzyły się drzwi. Dwóch mężczyzn wprowadziło do środka Christiana Søgaard. Spojrzał na Lund, wyraźnie wściekły skinął jej głową i dał się wprowadzić do pokoju przesłuchań.

– Wiemy coś o tym człowieku? – spytał Brix.

– Żołnierz z powołania – odrzekł Strange. – Twardziel, a w każdym razie sam tak o sobie myśli. Jeśli gdzieś toczy się walka, on chętnie weźmie w niej udział.

– To zawęźa wybór – powiedziała Lund, wciąż przeglądając papiery.

\*

Søgaard biadolił, zanim zaczęli.

– To skandaliczne. – Siedział rozparty w swoim mundurze polowym.  
– Wysyłamy na wojnę nową zmianę. A wy przeszkadzacie...

– Nie chce pan wiedzieć, kto zabił pańskich ludzi? – przerwał Strange.  
Bez odpowiedzi.

– Późno pojawił się pan na balu kadetów – powiedziała Lund. –  
Dlaczego? Gdzie pan był między siedemnastą a dwudziestą pierwszą?

Søgaard zmrużył oczy.

– Teraz nas śledzicie? Naprawdę nie macie nic lepszego do roboty?  
Podczas gdy ci terroryści...

– Niech pan o nich zapomni – przerwał mu Strange. – Wpuszczono  
nas w maliny. Gdzie pan był?

– Jeden z moich oficerów poprosił o rozmowę. Nie był pewien, czy  
chce jechać. – Drwiący uśmiech. – Martwił się, że opuszcza rodzinę.

– Założę się, że pan go przekonał – rzekł Strange.

– To moja praca.

Lund podsunęła mu swój notatnik.

– Proszę podać jego nazwisko i adres.

Søgaard napisał coś szybko na kartce.

– Lepiej się pospieszcie. Wyjeżdża do Helmand na pół roku.



– Pospieszmy się – zapewnił Strange. – Niech się pan nie martwi. Według billingów dzwonił pan do Torpego, pastora, niedługo przed jego śmiercią. Po co?

– To nie ma nic wspólnego z tym, co się stało z Torpem.

– Przestraszył się pan, że zmyślał? – ciągnął Strange. – Wiedział wszystko, prawda?

– Nie ma czego wiedzieć. Raben go napadł. Torpe przestraszył się, że ten wrócił. Mówiłem, żeby się nie martwił. Że panujecie nad sytuacją.

Wyciągnął nogi i wielkimi buciorami walnął o podłogę.

– Dałem się nabrać.

Lund zabrała notatnik.

– Anne Dragsholm kontaktowała się z Torpem w sprawie wydarzeń w Helmand. Oskarżeń Rabena. Tych, które odrzucił trybunał wojskowy.

– Naprawdę? – Søgaard wzruszył ramionami.

– Ta sprawa nie dawała panu spokoju – powiedział Strange. – Nazwał pan Rabena tchórzem pozbawionym uczuć patriotycznych, skoro mówi takie rzeczy. To jest w aktach.

– A jeśli nawet, to co? Jego bajeczki nam szkodziły. Powinien był wziąć na siebie odpowiedzialność za własne błędy. A nie zrzucać winę na jakiegoś wymagowanego oficera Perka.

Lund znowu zerknęła do notatek.

– Lubi pan jego żonę – rzuciła. – Jakie stosunki was łączą?

– Co to ma...

– Wczoraj wieczorem odwiózł ją pan do domu. Tańczył pan z nią na balu. Wyglądała, jakby była z panem. Więc...

– Więc?

– Od jak dawna ją pan zna? – spytała. – O co chodzi? Czy Jonas właśnie znalazł nowego tatusia? A pułkownik Jarnvig w końcu ma za

zięcia oficera, a nie jakiegoś obskurnego byłego sierżanta z marginesu?

Søgaard zignorował te pytania. Milcząc, wpatrywał się w ścianę.

Strange miał już kolejne dokumenty.

– Zgodnie z aktami pięć lat temu kazał pan przywiązać trzech kadetów do drzewa na poligonie w Jutlandii. Zostawił ich pan tam na całą noc. W środku zimy. Na mrozie.

– Napracowaliście się, co? – Søgaard uśmiechnął się szyderczo.

– Powiedział pan, że byli niełojalni. Czy to oficjalna kara regulaminowa, majorze? Czy to pański zwyczaj?

– Szkolę ich do bitwy – wrzasnął na niego wojskowy. – Kiedy jesteśmy na froncie, każdy może do nas strzelić, podłożyć na poboczu fugasa. Musimy sobie nawzajem ufać albo zginiemy. Jeśli muszę przywiązać nadętego kadeta do drzewa, żeby dać mu nauczkę, zrobię to. Pewnego dnia mi podziękuje.

– Nie wszyscy podzielają to zdanie – odparła Lund. – Raben miał tyle doświadczenia bojowego co pan. Był jakiś problem z nim czy z jego oddziałem? Nie wychylali się. Zawiedli pana, bo oskarżyli oficera o zabicie cywilów, kiedy powinni trzymać gęby na kłódkę?

Strange przyciągnął krzesło bliżej do człowieka w mundurze polowym.

– Jeśli się nad tym zastanowić, daje to panu i innym oficerom motyw, by ich wszystkich uciszyć. Zwłaszcza kiedy specjalistka od praw człowieka chodzi i mówi, że wie, kto udawał Perka. Kto zabił tych ludzi.

– Bzdura – odparł Søgaard. – Błaznicie po omacku. Nie będę już z wami gadał, błazny. Domagam się obecności adwokata wojskowego.

Strange się roześmiał.

– Moglibyśmy panu ściągnąć Anne Dragsholm, ale nie żyje. Wpiszę pana na listę oczekujących. Niedługo zbierze się tu was chyba

trzydziestka. Może wsadzimy was do jednej celi, żebyście się powymieniali opowiastkami kombatanckimi.

Christian Søgaaard zamknął oczy, opadł na oparcie i ziewnął.

– Jak na niewinnego ma pan niewiele do powiedzenia – zauważyła Lund. – Prawda?

Uśmiechnął się do niej z szyderczą, pewną siebie miną i milczał.

\*

Koszary Ryvangen pograżyły się w kontrolowanym chaosie, który powstawał z każdym nowym rozmieszczeniem wojsk. Wszędzie kursowały ciężarówki, zespoły ludzi obsługujących palety, uzbrojenie i pojazdy. Żona Rabena w białym fartuchu pielęgniarskim, spod którego wyglądał różowy sweter, pomagała przy kompletowaniu wyposażenia medycznego. Miała po dziurki w nosie młodego policjanta o nazwisku Madsen, który ją zadręczał.

– Zapytam wprost – powiedział, podążając za nią, gdy przeszła ze szpitala do zielonej ciężarówki, niosąc kartony medykamentów. – Z balu wyszła pani z Søgaaardem? I potem była pani z nim?

– Podwiózł mnie do domu. To wszystko.

– Wydawał się jakiś dziwny?

Popatrzyła na niego zdumiona.

– Nie. – Podała kartony kobiecie w mundurze. – To do pojazdów opancerzonych. Bandaże, środki przeciwbólowe, morfina. Zwykle...

– A w dniu, w którym zamordowano Grünera?

– Dlaczego pan zadaje mi w kółko te same pytania? Już panu powiedziałam. Søgaaard nas tu odwiózł.

– A potem?

Poleciła kobiecie, by ta przyniosła kolejne zapasy.

– Nie mam pojęcia. Może pojechał do Szwecji dostarczyć materiały wybuchowe. Albo poszedł do meczetu się pomodlić.

Madsena ten żart nie ubawił.

– Proszę posłuchać – powiedziała Louise. – To wszystko już panu mówiłam. Pomógł nam przy remoncie, a potem rozmawiał z moim ojcem. Nie wiem, co robił pańskim zdaniem, ale naprawdę... – Podparła się pod boki. – Jeśli mam być szczerą, to jest po prostu śmieszne.

– I nie widziała się pani wczoraj z mężem? Na balu?

– O Boże. – Miała ochotę krzyknąć. – Oczywiście, że nie. Skąd Jens miałby się tam wziąć?

– On tam był – odparł Madsen i nic już nie dodał. Następnie uścisnął jej dłoń, tak jak zawsze robi to policja. – Jeśli pojawi się coś nowego, dam pani znać.

Nie podobało jej się, że została tak w zawieszaniu. Podjechał samochód. Zobaczyła, kto wysiada, i zjeżyła się na jego widok. Ojciec podążył w stronę magazynu, trzymając w ręku podkładkę z klipsem. Louise podeszła i powiedziała:

– Potrzebne mi klucze do magazynu. Chcę wziąć trochę rzeczy Jonasa.

– Teraz jestem zajęty.

– To tylko klucz, tato.

Zmarszczył brew.

– Powiedziałem...

– Nieważne. Masz gościa. Tego idiotę z zeszłej nocy.

Jarnvig zerknął na długą czarną limuzynę wojskową i umięśnioną postać wysiadającą z tylnej kanapy. Mundur generalski, płaska czapka, długi płaszcz ze złotymi epoletami.

– Nie mogę uwierzyć, że przyjaźniłeś się z takim kretynem – dodała.

– Cholera – rzucił Jarnvig. Sięgnął do kieszeni i podał jej klucz. –  
Lepiej nas zostaw.

\*

Arild chciał się spotkać w biurze Jarnviga. Gdy zostali sami, rozejrzał się i skrzywił z niezadowoleniem na widok skąpo umeblowanego pomieszczenia.

– Gdybyś mnie przed laty posłuchał, lepiej by ci się teraz wiodło, Torstenie. Za bardzo jesteś przywiązany do swoich ludzi. Gdybyś chciał, zostałbyś generałem.

– Jestem tu szczęśliwy. Lubię to.

– Lubisz, jak policja zagląda tu dniem i nocą? Dzwoniła do mnie PET. W Politigården mówią, że teraz skoncentrują się na batalionie Ægir. Najwyraźniej nie ma to nic wspólnego z terroryzmem. Wszystko spada na nas.

– Już o tym wiem – odparł Jarnvig.

– Sprawę znowu prowadzi ta cholerna kobieta. Jak ona się nazywa?

– Lund.

– Co w niej takiego wyjątkowego?

– Nie wiem – przyznał Jarnvig. – Wydaje się... zdeterminowana. I zadaje trafne pytania. Na niewiele chciałem odpowiedzieć, jeśli mam być szczery.

– Nie bądź śmieszny! Ona rzuca oszczerstwa na naszych najlepszych oficerów. To nie są mordercy ani terroryści.

Jarnvig zastanowił się, dlaczego Arild przyjechał. Przecież nie po to, żeby odbyć tę niezobowiązującą wymianę zdań.

– Powiedziałem ludziom – podjął – że zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by współpracować z policją. To leży w naszym interesie, by

sprawa wyjaśniła się jak najszybciej. Tak samo jak w ich.

Arild się roześmiał.

– Czy tylko policji pomagasz, Torstenie?

– Nie rozumiem...

– PET ostatniego wieczoru śledziła Rabena, doszła za nim aż na bal. Był w budynku. – Chytre rysy Arilda wyostrzyły się, a jego bystre oczy skupiły na rozmówcy. – Ale ty już o tym wiesz, prawda?

– Nie. Skąd miałbym wiedzieć? Czego on szukał?

– Raben chyba też się interesuje oficerami. Mnie się to wszystko wydaje dość... niepokojące. Zbiegły więzień wchodzi na bal. Potem jakimś cudem wymyka się agencji bezpieczeństwa. Jakby ktoś go ostrzegł.

– Naprawdę?

– A potem, rankiem, ktoś się włamuje do działu kadr w Holmen. Mamy tam kamery. To Raben. Nie ukradł nic wartościowego. Tylko wszystkie akta oficerów przydzielonych do Ægiru. Wszystkich co do jednego brakuje.

Jarnvig siedział w milczeniu.

– Problem w tym – ciągnął generał – że akta personalne przenieśliśmy z Ryvangen do Holmen niecałe trzy miesiące temu.

Patrzył w twarz Jarnviga i uśmiechał się.

– Muszę sam spytać. Skoro ostatnie dwa lata spędził pod kluczem w Herstedvester... skąd, u licha, wiedział, gdzie ich szukać?

– Jens Peter Raben to bystry człowiek – odparł Jarnvig. – Zawsze taki był.

– Ale to tylko człowiek. Prawda?

\*

Kolejny skradziony samochód, tym razem stary żółty volkswagen polo, który sprawiał wrażenie, jakby lada chwila mógł wyzionąć ducha. Raben wyjechał poza miasto, zaparkował na pustkowiach nad wodą w Amager Øst. Sięgnął pod deskę rozdzielczą i pociągnął za kable, by wyłączyć silnik. Miał pół baku paliwa. Nie chciał kupować większej ilości, skoro zostało mu tak mało gotówki.

Dokumenty z Holmen leżały na podłodze po stronie pasażera. Przejrzał ponury płaski teren dokoła, aby się upewnić, że pozbył się PET. Sięgnął po akta: identyczne brązowe koperty, każda z przymocowanym zdjęciem portretowym.

Znajome twarze, część w mieszaninie chaotycznych wspomnień z tej ostatniej fatalnej zmiany.

Jednego zdjęcia brakowało. Z akt kapitana Torbena Skåninga. Raben przejrzał zawartość koperty. Znalazł napisany na maszynie raport.

Zupełnie jakby dotyczył jego, Rabena.

Skåning został odesłany do domu z Helmand mniej więcej w tym samym czasie. Oddalony z czynnej służby ze względu na niekontrolowane wybuchy gniewu i chwiejność emocjonalną. Ktoś czytający raport podkreślił najbardziej obciążające fragmenty. Widział notatki, kółka i wykrzykniki zrobione różnymi kolorami długopisu.

Raben zamknął oczy. Słuchał samochodów wjeżdżających do pobliskiego magazynu paliw.

Skåning.

Nigdy nie słyszał tego nazwiska. Nie kojarzył go z żadną twarzą. A jednak gdzieś w jego głowie leżał klucz ukryty głęboko pod bólem tego ostatniego dnia w Helmand, gdy zaatakował ich zamachowiec, a wybuch omal go nie zabił.

Gdyby zobaczył tego mężczyznę, rozpoznałby go. Tak powiedział Torstenowi Jarnvigowi. I to była prawda.

Sięgnął pod deskę, znalazł kable i uruchomił zabytkowe polo.

Torben Skåning.

Mężczyzna mniej więcej taki jak on. Ogarnięty wściekłością i gniewem. I przemocą.

Raben skierował zardzewiałego volkswagena z powrotem na szosę i powlókł się do miasta.

\*

Plough zebrał wszystkie informacje, jakie zdołał wyciągnąć z Ministerstwa Obrony. Karina siedziała przy swoim biurku, dzwoniła. Za niespełną godzinę zbierał się Komitet Bezpieczeństwa. Buch tymczasem nie miał im nic nowego do powiedzenia.

– W czasie misji zginęło trzech żołnierzy. Potem ministerstwo dowiedziało się o oskarżeniach wniesionych przez miejscowego afgańskiego wodza. Twierdził on, że duńscy żołnierze wymordowali w wiosce całą rodzinę.

– Uwierzylibyśmy temu człowiekowi? – spytał Buch.

– To Afganistan – odrzekł Plough ze wzruszeniem ramion. – Oddział Rabena zeznał, że odebrał wezwanie o pomoc od jakiegoś oficera. Przybyli mu na odsiecz i sami wpadli w pułapkę. Oficer zabił rodzinę. Zgodnie z raportem prokuratora wojskowego, był to zabieg propagandowy talibów. Po przesłuchaniu żołnierze wycofali swoją wersję. Wszyscy oprócz Rabena...

– Dlaczego zmienili zeznania? – spytał Buch.

Plough skrzywił się niezadowolony.

– Zdaje się, że o to nikt ich nie pytał. A teraz wszyscy nie żyją. Oprócz Rabena. Zdaje się, że PET całkowicie zgubiła jego trop. Idioci. König się nie popisuje...



– Zapomnij na chwilę o Königu – przerwał mu Buch. – Rossing wiedział, że coś tu nie gra. Musimy to rozgryźć.

– Raczej się do tego nie przyzna.

Weszła Karina.

– Jakaś dziennikarka chce się z panem spotkać.

Buch wzniosł oczy do nieba.

– Nie mam na to czasu.

Uśmiechnęła się.

– Owszem, ma pan. Całą noc jej szukałam. Jest osobiście zainteresowana Flemmingiem Rossingiem. Chyba powinien pan posłuchać, co ma do powiedzenia.

Plough westchnął i zaczął trzeć czoło.

– Czeka w pokoju obok – dodała Karina. – Mam ją poprosić?

Connie Vemmer była wysoką, uderzająco piękną kobietą przed pięćdziesiątką. Miała perłowy naszyjnik, długie, starannie uczesane blond włosy, elegancką bluzkę, drogie granatowe dzinsy, a wszystko trochę jak na nią zbyt młodzieńcze. Pachniała papierosami i leciutko wódką.

Buch wstał, gdy weszła, i znalazł jej krzesło.

– Słucham? – rzekł.

Kobieta wyprostowała swoje długie nogi.

– Pracowałam w centrum prasowym Flemminga Rossinga – zaczęła. – Ale już wcześniej miałam doświadczenie w zawodzie. Jestem prawdziwą dziennikarką, możecie sprawdzić.

– Sprawdzimy – obiecał Plough.

– Pańska asystentka – zerknęła na Karinę – powiedziała mi, że jest pan zainteresowany sprawą Helmand sprzed dwóch lat. Byłam w pracy,

gdy wpłynęło doniesienie o zbrodni wojennej. To ja nie nadałam mu biegu. Dlatego nigdy nie trafiło do gazet.

– A powinno?

– To zależy od punktu widzenia. W dniu pogrzebu żołnierzy, a Rossing wygłaszał mowę na ich pogrzebie, przyszedł faks.

Poszperała w torbie i wyjęła paczkę papierosów.

– Faks z Afganistanu. Anonimowy. To nie było nic niezwykłego. Mogę tu palić?

– Nie! – krzyknął Plough. – To zabronione.

– Tylko jednego – odparł Buch z uśmiechem.

Spojrzała z wdzięcznością. Karina przyniosła spodek, żeby pełnił funkcję popielniczki.

– Był to raport medyczny ze szpitala polowego w Obozie Viking – podjęła Vemmer. – To część Obozu Bastion, z którego korzystaliśmy pod skrzydłami Brytyjczyków. Nie zgadzały się części ciała.

Buch zmrużył oczy.

– Co to znaczy?

– Ręka – odparła ze wzruszeniem ramion. – Było o jedną rękę za dużo. Nie należała do żadnego z żołnierzy.

– Chce pani powiedzieć, że to była ręka cywila? – spytał Plough.

– Taki wniosek sam się nasuwa. Przekazałam więc faks do stałego sekretarza, myśląc, że chciałby go zobaczyć. W końcu to jakby potwierdzało zarzuty wobec żołnierzy. Ale...

Zaciągnęła się papierosem, po czym rozgoniła kłęby dymu sprzed swojej twarzy, nieświadoma, że te przesuwają się prosto na zbulwersowanego Plougha.

– Nic się nie stało.

Connie Vemmer spojrzała na każde z nich po kolei.

– Sprawdziłam. Nikt nic w tej sprawie nie zrobił. Faks nie pojawił się nawet w książce korespondencji przychodzącej. Prokurator wojskowy nie widział go na oczy.

– Musi pani to powiedzieć Komisji Bezpieczeństwa – orzekł Buch. – Spotykamy się za pół godziny.

Roześmiała się.

– Pan żartuje? Obowiązuje mnie tajemnica państwowa. Mogłabym pójść do więzienia już za rozmowę z panem.

– Jestem ministrem sprawiedliwości.

– A ja jestem dziennikarką, wolnym strzelcem, która próbuje zarabiać na życie. Przykro mi. Gdybym mogła to wyjawić, myśli pan, że próbowałabym pana tym zainteresować? Sama napisałabym artykuł.

Plough wyjął z jej drżących palców gasnącego papierosa i zabrał go razem ze spodkiem.

– Jeśli przyszła pani tutaj zawrzeć układ... – powiedział.

– Nie chcę żadnego układu! Za kogo pan mnie uważa?! Chcę, żeby ktoś się tą sprawą zajął. Ona cuchnie do samej gó...

– Jeśli pani z nią nie wyjdzie, nie będę mógł nic zrobić – przerwał jej Buch. – Możemy porozmawiać z naszymi prawnikami. Na pewno tajemnica państwowa nie obowiązuje w każdych okolicznościach. Jeśli istnieje uzasadniony powód...

– Nie sądzę, żeby Flemming Rossing uważał, że to uzasadniony powód, a pan? A z tego, co czytałam w gazetach, on utrzyma się raczej dłużej niż pan, panie Buch.

Uśmiechnął się do niej i nic nie powiedział.

Szukała czegoś w torbie.

– Może pan to wziąć – powiedziała, wyjmując zmięte kartki papieru.  
– To kopia faksu. Zrobiłam ją, zanim przekazałam go dalej. Wtedy wydawało mi się, że to dobry pomysł.

Trzy strony. Szczegółowy opis. Buch zaczął czytać.

– Nic więcej nie mogę zrobić – powiedziała Connie Vemmer.

I wyszła. W powietrzu wisiał zapach papierosów.

– Nie podoba mi się to – jęknął Plough. – Nie mamy pojęcia, kim jest ta kobieta. To dziennikarka, na miłość boską. Mam złe przeczucia...

Buch czytał.

– Nie może pan tego przedłożyć Komitetowi Bezpieczeństwa – nalegał Plough.

– A ma pan coś innego?

Odpowiedź nie padła.

\*

W skład Komitetu Bezpieczeństwa wchodził premier, Flemming Rossing, Gitta Spalding, minister spraw zagranicznych oraz Kahn, ambitny minister spraw wewnętrznych.

Buch wziął ze sobą Plougha, żeby go wspierał. Bo wsparcie z pewnością było mu potrzebne.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedział z uśmiechem, wchodząc do gabinetu Grue Eriksena. – Coś mnie zatrzymało.

Nikt się nie odezwał. Buch przyciągnął dwa krzesła, które zobaczył przy biurku Grue Eriksena, siadł z dokumentami na kolanach i uśmiechnął się raz jeszcze, gdy dołączył do niego Plough.

– To spotkanie – podyktował premier do dyktafonu – zostało zwołane, by omówić zarzuty, które minister sprawiedliwości postawił ministrowi obrony w związku z pewnymi wydarzeniami z przeszłości. Obecni są...

Rossing popijał herbatę z filiżanki.

Gdy Grue Eriksen skończył prezentację, od razu włączył się Buch.

– Pozwolę sobie na początek cofnąć się o dwa lata – rzekł żywo. – Wówczas Ministerstwo Obrony powiadomiono o pewnym zajściu w Afganistanie. Będę o nim mówił „Sprawa z Helmand”.

Rossing podniósł filiżankę.

– Bardzo teatralnie, Thomasie.

Ale słuchał.

\*

Biuro wyglądało teraz niczym placówka w Ryvangen. Kłębiło się tu od żołnierzy ściągniętych zgodnie z poleceniem Strangego. Głównie mężczyzn w mundurach polowych, niezadowolonych, że mają być traktowani inaczej niż jako bohaterowie.

Wszedł Madsen.

– Znaleźliśmy coś interesującego. – Podał Lund akta personalne. – Peter Lænkholm. Musieli go zwinąć. Nie stawiał się na przesłuchanie, gdy prosiłem. Był porucznikiem. Wyrzucili go, gdy tylko Ægir wrócił do Danii. Czarna owca.

Peter Lænkholm siedział w pokoju przesłuchań. Wyglądał okropnie. Nieogolony, ubrania złachmanione. Martwe, rozkojarzone oczy. Zero pieniędzy. Zero życia. Zero nadziei. Jeden krok od rynsztoka, pomyślała Lund.

– Czemu zawracacie mi głowę? – spytał, gdy zarzuciła go pytaniami. Mówił leniwie, powoli cedząc słowa. I na pewno się bał. – Nie jestem już w wojsku.

Strange siadł w pewnym oddaleniu od biurka. Madsen wyszedł.

– Służył pan w batalionie Ægir – odparła Lund. – Proszę nam opowiedzieć o Søgardzie. Lubił go pan?

– Och! – Na twarzy Lænkholma pojawił się wyjątkowo sztuczny uśmiech. – Nadzwyczajnie. Søgaard był wspaniały. Szkolił mnie w akademii wojskowej. Dużo się od niego nauczyłem.

– Naprawdę? – spytał Strange.

– Tak. Był niesamowity. Prosiłem o przydział pod jego komendę. Tak bardzo go poważałem.

Strange zajrzał do akt.

– Nie służył pan długo.

– Dotarłem do Afganistanu. Chcielibyście więcej?

Lund przesunęła raport po stole, postukała palcem w wybrany akapit.

– Tu jest napisane, że pan nie współpracował. Pojawiły się problemy dyscyplinarne. Pan i Søgaard nie sprawialiście wrażenia zaprzyjaźnionych.

– Nie przyszedłem tu, żeby go obgadywać.

– Słuchaj, gościu! – Strange zerwał się na nogi, podszedł do stołu, oparł się na pięściach tuż obok przesłuchiwanego. – Powiem ci, jak to jest. Masz w tej swojej brudnej dziurze tyle trawy, żebyśmy cię mogli posadzić.

– To na użytek osobisty. Nie jestem dilerem.

– Nie wciskaj nam kitu. Powiedz o Søgaardzie.

– To na użytek osobisty.

– Och, na miłość boską. – Strange zerknął na zegarek. – O drugiej będziesz miał posiedzenie aresztowe.

– Opowiedz nam tylko, co się stało – włączyła się Lund. – Zrób to i odeślemy cię do terapeuty. Zorganizujemy ci pomoc.

– Pomoc? – Roześmiał się. – Wy wierzycie w takie rzeczy?

– Ja wierzę, że to lepsze niż więzienie... Søgaard?

Otarł usta rękawem wytartej, brudnej kurtki.

– Ale ja tego nie powiedziałem, dobra?

– Pan tego nie powiedział – zgodziła się Lund.

– On jest OK. – Lænkholm wpatrywał się w nią, teraz czujny, jakby pod wpływem wspomnień znowu stał się oficerem. – Dopóki przestrzegasz zasad. Jego zasad. Rób, co mówi, to wszystko będzie w porządku. Ale...

– Ale ty nie robiłeś? – podsunął Strange.

Peter Lænkholm wpatrywał się w stół.

– Tam się nie da tak po prostu jarać. A bardzo się chce. Zapaliłem, kurwa, tylko jednego skręta, na miłość boską! Nie byłem bardziej nawalony niż przeciętny talib.

– I za to pana wywalił? – spytała Lund.

Spojrzał na nią groźnie.

– Søgaaard nie wywalał ot tak. Jeśli ktoś go zawiedzie, to tak jakby go obraził. Trzeba za to zapłacić. Ja zapłaciłem.

– To znaczy?

Cisza.

– To znaczy? – wrzasnął mu Strange do ucha.

– Przychodzą po ciebie w nocy, gdy śpisz. Nie masz pojęcia, że to się dzieje. Na głowach mają kaptury. Nie wiesz, kim oni tak naprawdę są.

Drżącą ręką sięgnął po zimną kawę na stole. Ale że drżące palce nie były w stanie jej chwycić, zrezygnował.

– Rozbierają cię do naga i krępują plastikowymi spinkami i srebrną taśmą. Potem wyciągają cię na zewnątrz, wsadzają ci racę w dupę i przywiązują do słupa.

– Racę? – spytała Lund.

– Racę. Tak właśnie powiedziałem. To nie jest fajne, tyle mogę powiedzieć.

Strange kręcił głową i śmiał się. Lund zgromiła go wzrokiem. Podszedł do okna.

– Nikt panu nie pomógł?

– Co? Żeby podzielić mój los?

– Nie mógł pan złożyć skargi?

– Jezu. Pani nie rozumie, jak to jest, co? Tam Søgaard jest Bogiem. Bez jego zgody nikt się nie rusza, nikt nie oddycha i nikt nie sra.

Strange wrócił, przysunął sobie krzesło.

– A co z Rabenem i jego oddziałem? – spytała Lund. – Søgaard go lubił?

Milczenie.

– Dalej – krzyknął Strange.

– Nie za bardzo. Oddział Rabena zwykle brał udział w akcjach, o których nam nie mówiono. Czasami pojawiali się ludzie... Nie wiem, co oni robili. Nie chciałem wiedzieć.

Znowu zwiesił głowę. Lund pochyliła się i próbowała spojrzeć w jego szkliste, zagubione oczy.

– Raben był jednym z nich?

– Kiedy został ranny, wszyscy słyszeliśmy plotki. Potem zwolniono tego oficera. Mnie po prostu puścili. Ale zwolnienie ze służby...

Lund pokręciła głową.

– Nie bardzo rozumiem.

– To się nie zdarza często. Za palenie skręta nikt oficjalnie nie wylatuje z wojska.

Strange przesunął po blacie notatnik, a do tego długopis.

– Nazwisko – powiedział.

Nic.

– Peter? Halo? Jest tam kto?



– Nazwisko – powtórzyła Lund. – Potem może pan wyjść. Do poradni, nie do sądu.

– Nazywał się Skåning.

Zaczęła przeglądać dokumenty.

– Coś jeszcze? – spytał Strange.

– Nie.

Lund znalazła akta. Na zdjęciu brodacze w berecie. Torben Skåning.

– To on? – spytała.

Lænkholm kiwnął głową.

– Świetnie – rzekł Strange, klepiąc go po ramieniu. – W takim razie skończyliśmy, prawda?

Chwycił ze stołu listę na podkładce, przesunął po niej palcem.

– Skåning jest na liście do sprowadzenia. Złożymy mu wczesną wizytę?

Lund wstała, podążyła za Strangem do drzwi, patrzyła, jak idzie owalną klatką schodową, nie oglądając się za siebie.

Zawahała się. Po tylu dniach błędzenia w mroku chyba zbliżali się do czegoś, co mogło być prawdą.

W sprawie Birk Larsena też tak było. Lund do dziś ponosiła jej konsekwencje, i nie tylko ona.

Człowiek się uczy na błędach, pomyślała, słysząc w głowie głos Jana Meyera i wszystkie ostrzeżenia, którymi ją zarzucał, a których większość zlekceważyła.

Lund podeszła do swojej szafki, odpięła kłódkę, przejrzała rzeczy. Wyjęła dziewięćmilimetrowego glocka w skórzano-płócienną kaburze. Spojrzała na niego. Wiedziała, że nigdy go nie polubi.

Dostrzegła swoje odbicie w stalowych drzwiach. Rozcięcie nad brwią. Siniaki. Opuchlizna. Ale ciągle żyła, choć nie wiedziała, jakim cudem

i dlaczego.

Pistolet trafił do torebki razem z gumą i chusteczkami.

– Idziesz czy nie? – zawołał Strange piętro niżej.

– Już lecę – odparła i ruszyła na schody.

\*

Thomas Buch przygotował sobie w głowie wszystko, co chciał powiedzieć. Trzymał się tego, wygłaszając swoją zwięzłą i prostą przemowę przed Komisją Bezpieczeństwa. To wszystko, co miał.

– Dlaczego nie poinformowano Folketinget o tych oskarżeniach? Dlaczego...

– Daj spokój, Buch – wtrącił się Rossing. – Nie mogę biegać do parlamentu za każdym razem, gdy talibowie przećwiczą na nas swoje zabiegi marketingowe.

– Nie widział pan powodu, by przeprowadzić postępowanie w sprawie domniemanego zabójstwa cywilów? Zabójstwa, którego mieli dokonać nasi oficerowie?

Wtrącił się Kahn robiący wrażenie bardzo znudzonego.

– Minister już odpowiedział na pytania. Po czyjej stronie pan stoi?

– Pan mnie obraża – powiedział Buch.

– A mnie obraża, gdy muszę tu siedzieć i słuchać, jak pan kwestionuje prawość jednego z naszych najważniejszych ministrów. Jest pan w rządzie od paru minut i proszę zobaczyć, jaki bałagan pan zrobił. – Kahn zaklął pod nosem i wciąż patrzył przed siebie. – Ma pan coś na poparcie tych swoich szalonych oskarżeń?

Buch kiwnął głową na Plougha. Urzędnik wstał i obszedł pokój, rozdając wszystkim kopie faksu, który przyniosła Connie Vemmer.

Rossing się roześmiał.

- Co to jest, u diabła?
- To raport ze szpitala polowego w Obozie Viking. Ten faks przyszedł do pana w dniu pogrzebu żołnierzy. Wśród części ciała była jedna ręka za dużo. Ręka Afgańczyka.
- To dokument z Ministerstwa Obrony – zaprotestował Rossing. – Chciałbym wiedzieć, skąd pan go wziął.
- Raport medyczny kończy się konkluzją, że należy przeprowadzić śledztwo w sprawie domniemanego zabójstwa cywilów. Pan ukrył...
- Nie, nie, nie. Zarządziłem śledztwo prokuratora wojskowego. To wszystko jest w aktach. Przeprowadzono śledztwo i prawdę mówiąc...
- Prawdę mówiąc, pan wszystko spierdolił! – krzyknął Buch, zrywając się na nogi, trochę niepewnie. – Wiedział pan, że coś się stało, ale postanowił pan, że to nie wyjdzie na jaw. Kiedy Monberg się o tym dowiedział, zmusił go pan do milczenia. A gdy Anne Dragsholm zwietrizyła sprawę i została zamordowana za swoje trudy, pana to głównie obchodziło!
- Pan jest podenerwowany, Thomasie – zauważył Rossing leniwie.
- Pewnie, że jestem, do diabła! Pięć osób nie żyje. – Buch podniósł dłoń z rozpostartymi palcami. – Pięć osób, które mogły ocaleć, gdyby wykonał pan swoje obowiązki. Ja się...
- Pan już nam wszystko wytłumaczył – przerwał mu Grue Eriksen. – Proszę usiąść. I uspokoić się, jeśli pan zdoła. – Premier zwróciła się do Rossinga. – Może pan złożyć wyjaśnienie?
- Oczywiście, że mogę.
- Znowu przejrzał kopię faksu.
- Prosiłem, żeby tego dokumentu nie włączano do akt sprawy, ponieważ był nieścisty.
- Och nie, Rossing! – wrzasnął Buch. – Nie wyłga się pan tym sposobem. Czas i miejsce znajdowały się na faksie. Wszystko pasuje.

– Przykro mi, że zmusza mnie pan do omawiania tak makabrycznych szczegółów, Buch. Ale chyba nie mam wyboru. Kiedy lekarze w Afganistanie dokładniej zbadali sprawę, okazało się, że ręka należała do zamachowca samobójcy.

– To za mało.

– Może dla pana! Ale to się znajduje w poprawionym raporcie medycznym, który trafił do akt później. – Rossing zerknął na Grue Eriksena. – Naprawdę nie chcę, byście państwo marnowali na to więcej czasu. Jeśli chcecie, możecie przeczytać dokumenty. Gdyby Buch wcześniej o nie poprosił, chętnie bym mu je dostarczył. Tymczasem on znowu zachowuje się pochopnie. Naprawdę...

Rossing otarł czoło.

– Ale w porównaniu ze śmiercią biednego Frode to nie była ciężka próba.

– Szybko pan odpowiedział – warknął Buch. – Skąd pan wiedział, że będę mówił o faksie?

Rossing pokręcił głową.

– Skąd pan wiedział? – spytał Buch.

– Ma pan skłonność do teorii spiskowych – powiedział Rossing. – Ignoruje pan opinię ekspertów. Zmusza pan policję i PET, by nękały naszych żołnierzy.

Mówił coraz głośniej, zerwał się na nogi, wymierzył palec w twarz Bucha.

– Wywierał pan nacisk na Frodego Monberga, podczas gdy wiedział pan, w jakim jest stanie. Pan, Buch! A teraz śmie pan zrzucać na mnie odpowiedzialność za swoją głupotę i niekompetencję! Dość.

Dziarskim krokiem ruszył do drzwi i opuścił pomieszczenie. Kahn ruszył za nim. Następnie Gitta Spalding i wreszcie Carsten Plough.

Grue Eriksen pozostał na swoim miejscu, wpatrując się w ścianę.

– Za tym coś się kryje – rzekł Buch niepewnie. – Słowo daję...

Srebrnowłosa mężczyzna przy oknie zamknął oczy, odchylił głowę i nic nie powiedział.

Buch wyszedł.

\*

Minęła osiemnasta. Lodowaty deszcz zalewał przednią szybę, ulice nabierały śliskiego zimowego połysku. Lund i Strange jechali przez Kopenhagę, wciąż szukając Torbena Skåninga.

Mieszkał w jednym ze starych wojskowych domków w bok od Store Kongensgade. Żona nie widziała go cały dzień. Zajrzeli do jego ulubionych pubów, ale bez powodzenia. Oprócz picia interesowało go bodajże tylko jedno – pobliskie Frihedsmuseet w parku Churchilla, przy garnizonie Kastellet i pałacu Amalienborg. W tym muzeum znajdowały się archiwa duńskiego Ruchu Oporu z czasów okupacji nazistowskiej. Mieściło się ono w niewielkim budynku, a przy wejściu stał pojazd opancerzony domowej roboty.

Gdy podjechali pod muzeum, Lund z ciekawości przyjrzała się rozklekotanej maszynie. Wyglądał jak dziecięca zabawka, wielki tricykl christiania obudowany pancierzem, z napisem „Frit Danmark” („Wolna Dania”) na przodzie. W budynku się świeciło, a za szybą było widać postaci popijające wino. Chyba była to jakaś recepcja.

W ślad za Strangem Lund ruszyła do wejścia. Powiedziała mu, że ma pogadać z ludźmi, a sama zaczęła oglądać pobliskie ekspozycje. Nie zachodziła tu od czasów szkolnych, a pamiętała z tamtych opowieści niewiele. Wojna, przypomniawszy sobie po raz kolejny, za jej młodości była odległym koszmarem. Czymś, co dotyczyło innych ludzi, ją w żaden sposób.

Szybko przeszła przez rejon wystawowy, prześledziła mroczną, trudną historię tego, jak niechętnie Dania pozwoliła wszechmocnemu niemieckiemu reżimowi przejąć kontrolę w 1940 roku, a potem powoli zbierała się na odwagę, by stawić opór.

To wszystko tu było. Amatorskie akty sabotażu podejmowane przez uczniów zrzeszonych w Klubie Churchilla. Śmielsze i poważniejsze ataki dokonane przez komunistów wspieranych przez tajnych agentów z brytyjskich sił specjalnych. Potem, począwszy od 1943 roku, terror. Obławy na Żydów. Rutynowe aresztowania, tortury, wysyłki do obozów koncentracyjnych, egzekucje podejrzanych o współpracę z partyzantami.

I reakcja. Tę część obejrzała najuważniej. Nie wszyscy Duńczycy stawiali opór. Nie wszyscy pozostali neutralni. Niektórzy dołączyli do nazistów, współpracowali z nimi, odnosili korzyści z ich protekcji. Tym samym ryzykowali życie. Kiedy zapanował terror, Ruch Oporu powołał do życia grupy bezwzględnych zabójców, publikowali tajne gazetki z nazwiskami i zdjęciami kolaborantów, których zamierzali zlikwidować.

Po czym strzelali do nich na ulicy, w ich domach, w pracy.

Wojna była wszędzie, w podziemnych celach w Politigården, gdzie torturowano podejrzanych przed wysyłką do obozów koncentracyjnych w Niemczech albo gorzej – przed przewiezieniem do Mindelunden, gdzie mordowano ich szybko i brutalnie.

*Stikke.*

To słowo patrzyło na nią z niemal każdej gabloty, z ulotek Ruchu Oporu drukowanych na domowych prasach drukarskich, z raportów i książek historycznych.

Informatorzy. Zdrajcy. Duńczycy, którzy stracili prawo do życia.

Chyba wszystko z tamtego czasu było tu zapisane – w starych karabinach, dziecięcych rysunkach, wycinkach gazet i na niezliczonych

zdjęciach. Martwi żołnierze na śniegu. Własnoręcznie zrobione pistolety i bomby rurowe. Zdjęcia portretowe informatorów do likwidacji. Zdjęcia oddziałów w rodzaju bandy Lorentzen, Duńczyków szkolonych przez Niemców do infiltracji partyzantów. Kule, którymi rozstrzelano bojowników Ruchu Oporu pojmanyh w czasie obławy. Rzędy mężczyzn otoczonych przez nazistowskich strażników w obozie internowania Horserød nieopodal Helsingør, miejsca, które Lund doskonale znała, ponieważ znajdował się tu teraz otwarty zakład karny, w którym osadzano przestępców uważanych za niewielkie zagrożenie dla społeczeństwa.

Musiała być idiotką, skoro sądziła, że wojna należy do przeszłości, że jest wydarzeniem historycznym, czymś, z czego świat już wyrósł. Jej ciemne demony ciągle czaiły się w korytarzach Politigården, w więzieniach wykorzystywanych teraz przez państwo, w umysłach tych, którzy urodzili się później niż ona i dorastali w świecie mniej bezpiecznym, mniej pokojowym niż ten, którym ona się cieszyła.

Stanąła przed wstrząsającą ekspozycją poświęconą atakowi na grupę bojowników Ruchu Oporu, całkowicie zaskoczonych, wyrzniętych bez chwili wahania. Mężczyźni, którzy kilka dni wcześniej podobny los zgotowali duńskiemu *strikke*.

Przyszedł Strange i stanął obok niej. Nawet nie spojrzał na gablotę.

– Dzisiaj nie widzieli tu Skåninga. Ale...

– Jest tu zdjęcie twojego dziadka?

Strange potrząsnął głową.

– Słucham?

– Zawsze sądziłam, że to jest takie dalekie. Dla mnie było. Ale to nieprawda. – Spojrzała na niego. – Jest tutaj? Sprawdzałeś?

– Nie znałem go – przypomniał jej. I wydawał się jakiś urażony. – Bo jak? Tata też dużo o nim nie mówił. Mam tylko to, co tu i teraz. Biejącą

chwilę. Nie mam czasu na... – wskazał ekspozycję – na takie rzeczy.

– Też tak myślałam.

– Zaczynasz mnie przerażać.

– Czemu?

– Nie lubię, kiedy wpadasz w nastrój refleksyjny.

– To się zdarza nieczęsto.

– Dobrze. Wracaj do rzeczywistości. Właśnie dzwoniła żona Skåninga. Ktoś jeszcze próbował się z nim skontaktować.

Lund odwróciła się od starych zdjęć i domowej roboty pistoletów.

– Kto?

– Nie zostawił nazwiska. Powiedział tylko, że jest kolegą z wojska. – Wskazał na drzwi. – Skåning wciąż nie odbiera komórki. Żona mówi, że to dziwne.

– A co żona powiedziała temu koledze?

Strange zmarszczył brew.

– Coś, czego nie powiedziała nam. W niedzielne wieczory Skåning ma klucz do biblioteki w Nørrebro. Uczy się tam języków, zamknięty na klucz.

Dwie minuty później siedzieli już w samochodzie. Strange wyjął niebieskiego koguta, gdy wyjeżdżali spod muzeum, umieścił go na dachu i włączył syrenę.

\*

Jedynym samochodem zaparkowanym przed niewielką biblioteką było żółte polo. Raben siedział tam już od prawie godziny, z wyłączonymi światłami, zsunięty nisko w fotelu kierowcy, z bronią w kieszeni. Czekał.



Nazwisko nie dawało mu spokoju. Skåning. Gdzieś już je słyszał. Wydawało mu się, że umie je przyporządkować do jakiejś twarzy. Zdezorientowanej jak jego własna. Surowej i nieugiętej.

Ktoś, komu nazwisko Perk coś by mówiło.

Na pustkowiach Helmand tożsamość nic nie znaczy. Wszystkie wojska mają mężczyzn, a czasem kobiety, którzy włączają się po terenie za linią frontu, mówią wieloma językami, noszą przebrania, by ukryć, kim są naprawdę i skąd pochodzą.

Żołnierze Jægerkorpset nie byli tam jedynymi cieniami. Byli zjawami jak Perk, pozornie poza zwykłą strukturą dowodzenia, mogli się przemieszczać swobodnie, nieograniczeni konwencją, zasadami bitwy i potyczki, sztywnymi normami wojskowymi.

Gdyby tylko jego głowa działała jak należy, zobaczyłby tego mężczyznę i wiedziałby. Gdyby...

Światła za plecami. Zajechał jakiś samochód. Zaparkował tuż obok. Raben nie podniósł się, patrzył tylko.

Brodaty mężczyzna o nieruchomej, nieustępliwej twarzy. Czarny beret. Bojówki.

Rabenowi zakręciło się w głowie. Znowu był w Helmand w tamtej chwili, słuchał wybuchów bomb, krzyków mężczyzn i kobiet, i dzieci.

Ostrzał i płomienie. Agonia i krew.

Wszystkie te wspomnienia szalały w jego głowie, a on nie miał pojęcia, co jest prawdziwe, a co jest grą wyobraźni.

Mężczyzna wysiadł. Był wielki i umięśniony. Podeszedł do drzwi biblioteki. Nacisnął guzik dzwonka.

– Halo! – krzyknął. – Jest tam kto?

Donośny, silny głos. Głos oficera.

– Cześć, Skåning – powiedział mężczyzna, który wyszedł otworzyć. – Nie wiedziałem, czy przyjdiesz.

Krótką rozmowa. Raben patrzył, jak Skåning znika we wnętrzu, a potem wysiadł z samochodu.

Sprawdził, czy ma broń. W drugiej kieszeni wymacał coś jeszcze. Wyjął to. Zabawka Jonasa, ta, którą zostawił, gdy zezłościł się na plaży. Żołnierzyk. Z uniesionym mieczem. Z wściekłą twarzą.

Takie małe coś. Tylko tyle mu zostało.

Spojrzał na bibliotekę, podszedł do drzwi. Były otwarte.

Gdzieś w środku usłyszał kroki. Ciężkie wojskowe buty na drewnianej podłodze. Wszedł do głównego pomieszczenia. Rzędy półek z książkami, zapach wilgoci i starego drewna. Ledwie widoczna w świetle lampek awaryjnych postać kierująca się do biurka na końcu.

Teraz wyglądał na jeszcze większego. Szeroki i silny. Głowa ze strzechą włosów, które dawno nie widziały grzebienia. Pod pachą jakieś ciężkie tomiszczą w twardej oprawie. W drugiej ręce papierowy kubek.

Torben Skåning położył książki na ostatnim biurku, włączył lampkę. Przejrzał tytuły, napił się z kubka. Skrzywił wymizerowaną, pobrużdżoną twarz. Ziewnął.

Założył ramiona za głowę. Twarz gargulca. Brzydka, przerysowana, niemiła, z gęstą rudą brodą i wilczymi białymi zębami.

Kiedy otworzył oczy, zobaczył Rabena.

\*

Buch popełnił błąd, wracając do ministerstwa drogami ogólnie dostępnymi. Nie mógł już patrzeć na labirynt korytarzy. Sprawozdawcy nie próżnowali. Przed wejściem do ministerstwa, pod okiem smoków z Børsen, czekał tłum reporterów i kamery telewizyjne.

Przeszedł między nimi bez słowa, patrząc przed siebie, starając się myśleć o wszystkim w swoim życiu, co nie znajduje się w Kopenhadze. O Marie i dzieciach. O gospodarstwie i finansach spółdzielczych.

To nie było łatwe. Nie było możliwe.

– Buch – warknął jeden z dziennikarzy. – Minister obrony przeczy wszystkim pańskim oskarżeniom. Przeprosi pan?

Szedł dalej. Minął strażników, którzy zatrzymali motłoch przy wejściu i poprowadzili go na górę do jego gabinetu.

Tam siadł na sofie i włączył wiadomości. Temat przewodni go nie zdziwił.

– Po niespełna tygodniu na fotelu ministerialnym los Thomasa Bucha stoi pod znakiem zapytania na skutek wydarzeń, które obserwatorzy określają polityczną gafą bez precedensu. – Buch siedział i słuchał. – Partia Ludowa prawdopodobnie postawi jutro wniosek o wotum nieufności, a jeśli ten przejdzie, odejście Bucha z rządu będzie przypieczętowane.

Karina znowu wisiała na telefonie, szeptała do kogoś. Nie za bardzo go obchodziło, do kogo.

„W rezultacie partia zapewne będzie nalegać na bardziej drakońską wersję pakietu antyterrorystycznego...”.

Do gabinetu wkroczył Plough i zwrócił się do Kariny.

– Zdołałaś się skontaktować z tą swoją dziennikarką?

– Nie odbiera. Zostawiłam jej wiadomość.

– Cudownie! Zdajesz sobie sprawę, że to wszystko było ustawione? Rossing nam ją podsunął, a myśmy łyknęli przynętę.

Nie odpowiedziała. Na ekranie pojawił się Flemming Rossing. Cała trójka patrzyła bez słowa.

Minister obrony był w swoim żywiole, uśmiechnięty, schludnie ubrany, szary garnitur, biała koszula, szkarłatny krawat.

– Nikt nie lubi być oczerniany – powiedział do prowadzącego wywiad. – Z ulgą odebrałem więc wiadomość, że minister

sprawiedliwości został poproszony o wycofanie tych bezpodstawnych i strasznych oskarżeń.

Buch wyłączył telewizor.

– To wszystko moja wina. Nie chcę, by którekolwiek z was uważało, że choć w części jest winne. Rossing miał rację. Za bardzo przycisnąłem Monberga. Nie odpuszczałem mu, ani przez chwilę nie myśląc o jego zdrowiu. Ani przez chwilę.

– Miał pan powód, by zadawać mu te pytania!

Ku zdumieniu Bucha te słowa padły z ust Plougha.

– Tak, ale...

– Jak pan wiedział, Monberg wracał do zdrowia – ciągnął Plough. – Musiał się niezwłocznie zająć poważnymi kwestiami. One nie przestały istnieć.

– Zdaje się, że owszem.

– Mogę mówić do pana po imieniu? – Zerknął na Karinę. – Ona mówi.

– Jeśli pan sobie życzy.

Urzędnik wziął głęboki oddech.

– Nie zachowuje się pan jak minister. Nie ma pan szyku. Nie jest pan przebiegły. Wyrafinowany. – Plough był wyraźnie zdenerwowany. – Ale słowo honoru, jest pan najuczciwszym, najporządniejszym i najbardziej otwartym człowiekiem, jakiego spotkałem w Slotsholmen przez wszystkie lata swojej pracy, i nie pozwolę, by ci... – gwałtownym ruchem ramion wskazał Folketinget i pałac Christiansborg – ...ci skurwiele się pana pozbyli. Przysięgam na Boga, nie pozwolę.

Buch wpatrywał się w niego nieruchomym wzrokiem. Karina też. Plough cały trząsł się w furii.

Cała trójka z ulgą powitała pukanie do drzwi. Do środka nieśmiało wszedł blady i zdumiony Erling Krabbe.

– Przepraszam – wydukał. – Przeszkadzam?

– Tak – odrzekł Buch.

– Ma pan chwilę?

Buch wzrokiem dał znak Ploughowi i Karinie. Oboje wyszli, wciąż jeszcze wstrząśnięci.

Podszedł do biurka, usiadł, położył swoje wielkie zmęczone stopy na polerowanym orzechu, rozparł się i odprężył. Krabbe padł na fotel obok, spojrzął na portrety wiszące na ścianie. Półtora wieku poprzedników Bucha.

– Jeśli przyszedł pan triumfować, Krabbe, wybrał pan niewłaściwy moment.

– Mógłbym zapalić?

– Pod warunkiem, że nie będzie mi pan zawracał dupy swoimi durnymi żądaniami dotyczącymi pakietu antyterrorystycznego. Dostanie pan, czego pan chce. I jeszcze moją głowę na talerzu. Ale nie będę panu kadził...

Krabbe wyciągnął paczkę papierosów i zapalił jednego.

– Dostanę, czego chcę – przyznał. – I chcę się pana pozbyć. Nie uważam, że nadaje się pan do tej pracy. Udowodnił pan to, prawda?

Buch uśmiechnął się przelotnie i nic nie powiedział.

– Na ile jest pan pewien swoich oskarżeń wobec Rossinga? – spytał Krabbe.

– Bo co? Jakoś nie widzę, by spędzały one panu sen z oczu.

– Podtrzymuje pan swoje słowa?

– Co to ma być?

Krabbe skrzywił się niezadowolony.

– Nie jestem idiotą. Nie lubię być oszukiwany, podobnie jak pan. – Zaciągnął się, wypuścił chmurę dymu wprost na gabinet. – Rossing

sprawił wrażenie wyjątkowo dobrze przygotowanego na to wszystko. Za dobrze. To nie daje mi spokoju.

– Oczywiście, że był doskonale przygotowany. Nie bez powodu. Dostałem cynk o faksie, który go obciążał. Wygląda na to, że on to ustawił. Wszedłem w tę pułapkę i dałem sobie odciąć głowę w obecności Grue Eriksena i Komitetu Bezpieczeństwa. Zadowolony? Zostałem przechytrzony. Nie udowodniono mi, że nie mam racji.

– Nikomu pan nie mówił o tym faksie?

– Oczywiście, że nie! Co pan sobie myśli? Że uprzedziłem Rossinga?

– Więc... – Krabbe myślał, rozpracowując coś. – Wiedział o nim tylko pański personel?

– Krabbe! Na miłość boską, co to ma być?!

– Przedstawił pan w skrócie premierowi, jakie dowody zaprezentuje na spotkaniu?

– Odbyliśmy krótką rozmowę. Nie sądzi pan chyba, że mógłbym zaatakować Rossinga, nie zdradzając tych zamiarów Grue Eriksenowi? On chce... – Buch urwał. – On pragnie prawdy najbardziej z nas wszystkich.

Krabbe zaciągnął się i milczał.

– Nie sugeruje pan chyba... – zaczął Buch.

Otworzyły się drzwi. Wszedł Plough.

– Właśnie odebraliśmy telefon z kancelarii premiera. Chce się z panem później spotkać. Sugeruje godzinę dwudziestą pierwszą.

– Powinienem już iść – oznajmił Krabbe, wstając. – Nie będę już panu przeszkadzał.

Podszedł do Bucha i uściśnął mu dłoń.

– Dziękuję za wysłuchanie. Wiem, że musi mnie pan nie lubić. Wyobrażam sobie, że to nieuniknione. Przykro mi. Jeśli... – Rozejrzał

się, gdzie by tu zgasić papierosa. Plough znalazł mu spodek. – Jeśli będzie pan chciał jeszcze ze mną porozmawiać, proszę zadzwonić.

Buch i Plough patrzyli, jak gość wychodzi.

Plough opróżnił spodek.

– O co chodziło?

– Naprawdę nie mam pojęcia – przyznał Buch.

\*

Małżeństwa nie kończą się kłótnią ani lekceważącym machnięciem ręki. Są jak bolesna żałoba. Wyżłobione ślady. Przedmioty sugerujące wspomnienia. Bariery, które trzeba znieść, aby życie toczyło się dalej.

Louise Raben w magazynie ojca przeglądała szczątki swojego życia, które teraz miała porzucić.

Pudło z kartami zdrowia, gwarancje na samochody i zmywarki, polisy ubezpieczeniowe, przepisy i faktury.

Rzeczy osobiste: listy w kopertach poczty lotniczej z części świata, których nigdy nie widziała. Fotografie, które wywoływały ból serca. Stara kamera wideo, nieużywana od lat.

Obok leżała kasetka. Z datą kilka miesięcy przed narodzinami Jensa.

Przeszłości nie da się pogrzebać. Co się stało, to się nie odstanie. Będzie w niej żyła i niosła ze sobą miłość, choćby tylko pod postacią ich syna.

I nie ukryje się przed nią.

Wsadziła kasetę do kamery, weszła do pustej sypialni i podłączyła kable do niewielkiego telewizora naprzeciwko łóżka.

Usiadła, słuchała, patrzyła i zastanawiała się.

Nagranie powstało w Amager Strandpark w gorący letni dzień. Tak niepodobny do zimnego, ponurego miejsca, w którym z nim zerwała.

Jens, młodszy, gładko ogolony, szczęśliwy i zdrowy. Uśmiecha się szeroko do obiektywu i mówi: „To fantastyczne. Chodź! Chodź! Wejść do wody, Louise. Śmiało...”.

Zmrużyła oczy. Popatrzyła na statyw. Ciągłe był tu w magazynie. Jens lubił ustawiać na nim kamerę w czasie kręcenia filmu.

Drżące ujęcie plaży stawało się nieruchome. Widziała czarny cień rzucany przez statyw, jak sztywny żuraw.

Ona była w ciąży, miała na sobie jaskrawy kwiecisty kostium kąpielowy, który on jej wybrał.

„Nie! – piszczała. – Nie filmuj mnie! Jestem za gruba. Za brzydka”.

Była taka młoda. Wydawało się, że wszystko musi im się udać.

Weszła w kadr i pogroziła mu palcem, jakby była zła.

„Bzdura, młoda damo – odparł silnym głosem sierżanta. – Jesteś piękna, Louise Raben. – Roześmiała się. – Jesteś taka piękna”.

Pocałował ją. Ona pocałowała jego. Objęła dłońmi szorstkie policzki męża, wsunęła palce we włosy.

Starsza Louise patrzyła na to i czuła, jak zbiera się jej na płacz, jak łzy powoli płyną po policzkach.

Spojrzała na stosy listów. Tyle się ich uzbierało. Przypomniała sobie każde miłosne słowo napisane przez Jensa, tydzień po tygodniu, choćby nie wiadomo jak ciężko walczył i nie wiadomo w jak dalekim świecie się znajdował.

Usłyszała za sobą hałas. Szybko wytarła twarz rękawem. Do pokoju wszedł Christian Søgaaard z kartonem w rękach. Kolejne farby. Pewny siebie oficer w mundurze polowym. Tak inny niż Jens.

– Przepraszam za spóźnienie. Cały dzień trzymali mnie w Politigården. Idioci.

Otarła łzy, ale napłynęły następne. Za dużo, by zdążyła je ukryć.



– Dobra – rzekł łagodnie Søggaard. – Źle trafiłem. Wrócę później.

– Nie. Zostań.

Wcisnęła pauzę. Na ekranie widnieli oni oboje, w objęciach, migoczące linie biegły przez ekran, jakby ta miłość między nimi już pękała, odchodziła na dobre.

Søggaard zerknął na obraz i odwrócił wzrok.

Sprzątnęła kable i kasetę. Wsadziła je do pudła z listami. Wyłączyła telewizor. Położyła karton na podłodze i odsunęła go kopniakiem.

– Jonas jest w domu? – spytał Søggaard.

– Nie. Nocuje u kogoś z przedszkola.

Chciała powiedzieć, że u przyjaciela. Tyle że to nie był przyjaciel. Bo Jonas nie miał przyjaciół.

Nie mogła oderwać oczu od wyłączonego telewizora.

Søggaard odstawił farby, siadł obok niej i wziął ją za rękę.

– Louise. Ty go nie zawiodłaś. Musiałaś znieść więcej niż większość kobiet. Wytrzymałaś. Walczyłaś. Wiem. Widziałem.

– Naprawdę?

– Każdą minutę.

Wyglądał, jakby się zbierał do wyjścia. Nie chciała tego. Musiała podjąć ważne decyzje.

– Co będziesz teraz robić? – spytała.

Ręce w kieszeni. Sprawiał wrażenie zmieszanego. I pełnego nadziei.

– Właściwie nie wiem.

Roześmiała się.

– Samotny wieczór?

– Jak zwykle.

– To tak jak ja – powiedziała. – Chcesz wina?

– Jasne.

– A kominek?

Spojrzał na nią zmieszany.

Louise wzięła karton z listami, nagraniami wideo i wszystkimi wspomnieniami.

– Chcę spalić parę rzeczy. I potrzebuję świadka.

Urwała. Czowała, jak zapada w niej decyzja.

– I chcę, żebyś to był ty.

\*

Biblioteka znajdowała się na końcu ciemnego zaułka. W środku nie świeciły się prawie żadne lampy. Lund kazała Strangemu wyłączyć syrenę i koguta, a następnie zaparkować kawałek od wejścia. Stały tam dwa samochody, oba stare i zniszczone.

Podeszła do starego forda i poświeciła latarką w okna. Nic. Potem do następnego. Na podłodze żółtego polo leżał stos szarych kopert. Z nadrukiem wojska. Akta personalne z pieczętką biura w Holmen.

Lund poprawiła pistolet w kaburze.

Wezwała centralę, poprosiła o sprawdzenie numerów forda. Zajęło to chwilę.

– Wóz Skåninga – powiedziała, gdy operator przekazał jej informacje. Spojrzała na Strangego. – Wchodzimy czy czekamy?

Roześmiał się.

– Teraz mnie pytasz?

– Owszem, pytam.

– Wzięłaś broń?

Lund klepnęła się po kurtce i kiwnęła głową.

– Zaczekaj więc, a ja wejdę od frontu.

Niczego nie była pewna. Wieczór, gdy Meyer został postrzelony, pozostał żywy w jej głowie.

– Możemy poczekać na wsparcie...

Ze środka biblioteki dobiegł ich dźwięk. Podniesiony głos. Krzyk. Wrzask.

– Nie – powiedział Strange, wyjął Glocka, sprawdził i pobiegł do drzwi.

\*

Raben przywiązał Skåninga do krzesła, ściągnął z niego koszulę, by odsłonić tatuaż oficerski na lewym ramieniu. Kilka razy walnął brodacza w brzuch. Z każdym ciosem stawał się bardziej wściekły.

Ta brzydka twarz była znajoma. Niskie czoło, złamany nos.

– Jezu... – wymamrotał Skåning przez krwawiące wargi. – Co ja mam zrobić...?

– Zamknąć się i słuchać! – krzyknął Raben. Jego głos rozniósł się echem po pustych wnętrzach biblioteki. – Powiedziałeś, że nazywasz się Perk. Podszycieś się pod niego. Byłeś wtedy z nami w tamtym domu...

Po raz kolejny wbił pięść w twarz Skåninga.

– Miałeś nieśmiertelnik. Widziałem. Byłem tam, pamiętasz? To byłeś ty.

– Nie, Raben! To nie...

Kolejny cios. Krew spryskała niebieski tatuaż na ramieniu Skåninga.

– Przyznaj się, do cholery!

Mężczyzna na krześle wychylił się do przodu i rzygnął krwią i zębami na swoje bojówki.

– Wiem, że to byłeś ty – warknął Raben. – Przyszliśmy ci na ratunek.

– Podniósł kolano, brutalnie wbił je Skåningowi pod brodę.

Kolejny pisk. Kolejne wycie.

– Zostaw mnie, kurwa, w spokoju. Nigdy nie walczyłem w Helmand. Zwariowałem tam. Wysłali mnie do domu.

Raben go spoliczkował.

– Przeszedłem załamanie nerwowe.

– Widziałem cię...

– Jasne! – Skåning krzyknął wysokim, zbolałym głosem, niemal falsetem. – A ja widziałem ciebie. W samolocie powrotnym, z resztą rannych.

Raben się cofnął, poczuł gwałtowne bolesne zwątpienie. Przebłysk niepożądanego wspomnienia.

– Jakich rannych?

– Twoich żołnierzy! Ludzi, którzy byli z tobą. Grüner i ci inni. Powiedzieli mi, co się stało. Powiedzieli, że przez dwa dni byliście oblężeni w jakiejś wiosce.

– Byłeś w tym samolocie?

– Z wami wszystkimi! Pamiętam, że widziałem cię przypiętego do noszy. Odzyskałeś przytomność, ale nie mogłeś mówić. Nie sądzili, że przeżyjesz. Próbowałem z tobą rozmawiać. Pozostali opowiedzieli mi to samo. O jakimś Perku...

Jeden krok bliżej.

– Nie! – Brodacz patrzył przerażony. – Przestań!

Raben siadł na krześle. Popatrzył na swoje dzieło. Schował twarz w dłoniach. Chciało mu się płakać.

W głębi biblioteki rozległ się jakiś dźwięk. Odwrócił się i odruchowo sięgnął po pistolet w kieszeni.

\*

– Raben? – powiedziała Lund, idąc przez zimny ciemny korytarz biblioteki.

W bladym świetle w oddali widziała zarys dwóch postaci. Dwaj mężczyźni na krzesłach, obaj z pochylonymi głowami. Jeden przywiązany, dyszał ciężko. Drugi...

Nie była pewna.

– Raben!

Mierzyła do niego z broni. Trzymała glocka tak, jak ją uczono na strzelnicy.

– Chodź z nami. Wszystko będzie dobrze.

Strange zniknął w chwili, gdy weszli do biblioteki, przepadł w ciemnościach. Nie miała pojęcia, gdzie jest.

– Tak pani sądzi? – spytał Raben z przechyloną głową, brodą rozczochraną, stając obok Skåninga, który krwawił poraniony.

– Podnieś ręce i chodź...

Skoczył do schodów, które znajdowały się na końcu korytarza. Trzymał coś w prawej dłoni. Pistolet. Niewątpliwie.

– Raben! – krzyknęła Lund i podążyła za nim drewnianymi schodami.

To była stara biblioteka. Zapachem, i nie tylko, przypominała kościół. Na końcu, za wysokimi gablotami znajdowało się półokrągłe witrażowe okno. Niebieskie, z bladymi postaciami, skrybami przy pulpitych.

I jeszcze jedna postać. Brudny mężczyzna w łagodnym świetle, wyprostowany pod ścianą, pewną ręką trzymający pistolet pod brodą, oburącz ściskający uchwyt.

Schowała swoją broń do kabury. Podeszła. Mężczyzna kołysał się w przód i w tył z zamkniętymi oczami.

– Nie bądź głupi – krzyknęła Lund. – Masz żonę i dziecko. Masz przed sobą przyszłość.

Usłyszała jakiś odgłos, zastanowiła się, czy nie jest to szyderczy śmiech.

– Potrzebuję twojej pomocy. Wiem, że Perk jest prawdziwy. Że to on za tym stoi. Wiemy, że cię wrobiono.

Nadal ten sam ruch, w przód i w tył, i broń przytknięta do gardła.

– Jesteś tak blisko zwycięstwa – mówiła, stawiając kolejny krok w jego kierunku. – Poddasz się teraz? W wojsku się nie poddawałeś.

Bez odpowiedzi.

– Odłóż broń – rozkazała. – Rzuć ją na podłogę. I kopnij w moją stronę.

Powieki mocno zaciśnięte, twarz zniekształcona bólem.

– Zostałeś tylko ty! Pomyśl o tym. Jeśli umrzesz, on wygra. Jeśli umrzesz, Louise i Jonas...

Broń odsunęła się od gardła. Raben padł na kolana, zatoczył się do przodu, z trudem łapiąc oddech.

– Dalej, Raben. To łatwe.

Spojrzał na nią. Ślepe, udręczone oczy. Człowiek u kresu wytrzymałości.

– Odłóż broń – powtórzyła, a on wykonał jej polecenie i powoli podniósł rękę.

Hałas w bibliotece na dole. Kroki w ciężkich butach. Raben dalej pochylał się nad podłogą, z ręką w pobliżu broni.

Lund się obejrzała. Zobaczyła Strangego, pod ścianą. Z pistoletem gotowym do strzału.

– To mój partner. Z nami jesteś bezpieczny. Odsuń się od broni.

Kroki Strangego były coraz bliżej. Jego postać wyłaniała się z mroku.

Raben już widział jego sylwetkę. Sięgnął do pistoletu, chwycił go i podniósł.

– Zostaw broń! – warknęła Lund. – Podejdź tu.

Kolejne trzy długie kroki i Strange wyszedł z ciemności, stanął na podeście poniżej, w postawie Weavera, glock w gotowości, wycelowany.

– Połóż to na podłodze – rozkazał.

Widziała to dokładnie. Nie mogła zrozumieć, co się stało. Raben już wstawał, w prawej dłoni znowu trzymał broń, na jego zabiedzanej brodatej twarzy pojawił się wyraz zdumienia i przerażenia.

– Perk... – szepnął.

– Odłóż broń! – krzyknął Strange. – Rób, co ci każę, albo strzelam! Już!

Lund zastanawiała się, czy dobrze słyszy.

– Rób, co on każe – powiedziała. – Proszę...

– Perk, ty łajdaku! – ryknął Jens Peter Raben, pędząc do balustrady z podniesioną bronią gotową do strzału.

Krzyknęła coś, choć sama nie była pewna co. Zobaczyła w dole jasny błysk, usłyszała, jak strzał wybucha w ciemnościach i odbija się od starych ceglanych ścian.

Jens Peter Raben poleciał do tyłu, padł ciężko na drewniane półki, a potem na podłogę, w morze zrzuconych książek.

Dopadła go pierwsza, przyłożyła dłoń do klatki piersiowej, sprawdzała, czy oddycha.

\*

Torsten Jarnvig nie mógł zapomnieć rozmowy z Arildem. Ryvangen było jego królestwem. Zawsze najważniejsze było to, co się dzieje z ludźmi. A teraz czuł, że czegoś nie wie. Że ktoś utrzymuje go w nieświadomości.

Søgaard miał wyłączony telefon, nigdzie nie było go widać. Jarnvig ściągnął więc Saida Bilala i porozmawiał z nim. Bilal stanowił zagadkę. Samotnik, który nie za bardzo się integrował, nie pił, w ogóle robił niewiele poza wzorowym wykonywaniem obowiązków.

Jarnvig miał przed sobą dokumenty sprzed dwóch lat.

– Raben powiedział, że oficer, któremu ruszyli z pomocą, nazywał się Perk. Ale Søgaard trzy miesiące wcześniej uczestniczył w pogrzebie Perka. Nie uważał, że to dziwne? Nie ma nic na ten temat w raporcie...

– To nie mógł być ten sam Perk – stwierdził Bilal. – Dlaczego Søgaard w ogóle miałby się tym zajmować?

– Bo on był wtedy na służbie. – Jarnvig wiedział, jak on poprowadziłby takie postępowanie. Padłoby wiele pytań. Całe mnóstwo. – A co z wezwaniem radiowym, które Raben podobno odebrał? Mówił, że to od duńskiego oddziału, który wpadł w potrzask.

– Nie odebraliśmy żadnego wezwania przez radio.

– Ktoś z wioski dałby radę się z nami połączyć?

– Mamy naprawdę bardzo napięty plan, panie pułkowniku. Czy mogę zasugerować, by te pytania odłożyć...

– Tak? Na kiedy? Na zawsze?

– Ale tam nie było żadnego oficera! – Jarnvig jeszcze nigdy nie słyszał, by Bilal mówił tak głośno. – Nie mieliśmy w tym rejonie żadnych żołnierzy.

– To prawda. My nie. Nie oznacza to jednak, że nikogo tam nie było. Perk...

– Perk to mit. Wymówka.

– Chcę kopii transkrypcji wszystkich komunikatów radiowych. Naszych. Innych jednostek duńskich. I wszelkich sojuszników, które pan zdobędzie.

– A nasz plan, panie pułkowniku? – spytał Bilal ze znużeniem.



– Poproś Dowództwo Operacyjne o przesłanie ich. Chcę mieć jutro wszystko na biurku.

Młody oficer ruszył bez słowa do drzwi.

– I jeszcze jedno, Bilal...

Stanął.

– Nikomu ani słowa – rozkazał Jarnvig. – To ma zostać między nami. Wyłącznie.

\*

Korytarz bloku operacyjnego w Rigshospitalet. Raben na noszach. Maski tlenowe, kroplówki. Krew. Chirurg wydający polecenie pielęgniarce, gdy pędem wieźli Jensa na salę operacyjną.

– Rana postrzałowa ramienia. Jeśli mamy szczęście, płuco jest całe.

Lund spieszyła za nimi, widziała, jak Raben otwiera oczy.

– Czy on ostatnio jadł? – spytał chirurg.

– Nie wiemy. Na pewno mało spał.

Chirurg miał na głowie zielony czepek, maseczkę naciągniętą na usta.

– Stracił dużo krwi. Nie wie pani, czy ma alergię na jakieś leki?

– Posłaliśmy po jego kartę zdrowia – powiedziała Lund. – Wojsko ma ją w archiwum. – Zawahała się. – Dwa lata temu został poważnie ranny w Afganistanie.

– Cóż, teraz też jest poważnie ranny – odparł lekarz krótko, przyciszonym głosem. I głośniejszym dodał: – Dajcie dren ssący! Bierzmy się do roboty!

Otworzyły się drzwi sali operacyjnej. Jedna z pielęgniarek położyła rękę na klatce piersiowej Lund.

– Co pani wyrabia? Nie może pani tam wejść.

Stała na korytarzu, patrzyła, jak drzwi się zamykają, żałowała, że nie może uspokoić wściekłych myśli.

Kilka kroków za nią Strange kończył rozmowę telefoniczną.

– Przywieźliśmy Skåninga na przesłuchanie – powiedział. – Pytają, czy mają zaczynać, czy czekać na nas.

Nadgarstek miała jeszcze obandażowany po wydarzeniach poprzedniego wieczoru. Poczowała, że głowa zaczyna ją boleć. Nie mogła myśleć ani odpowiedzieć na jego pytanie.

– Czy on z tego wyjdzie? – spytał Strange.

– Nie powiedzieli. Chyba bardzo z nim źle.

– Musiałem strzelić. Widziałaś to, prawda? Wymachiwał splotką. Wyglądał jak szaleniec.

Napięła palce. Ciągle bolały ją po upadku.

– Dlaczego jej, do cholery, nie rzucił? – zastanawiał się Strange. – Gdyby to zrobił, nie byłoby nas tutaj.

– Chyba się bał.

Strange zmrużył oczy.

– Czego?

– Nie wiem. Odłożył broń. Potem zobaczył ciebie. I... – Przyglądała mu się uważnie. – Chyba wziął cię za Perka.

Ulrik Strange w jednej chwili wydał się jej kimś innym. Sprawiał wrażenie wściekłego, nieprzewidywalnego.

– Och, na miłość boską – wymamrotał.

– Gdzie on jest? – rozległ się głos za jego plecami.

Brix w mokrym płaszczu. Niezadowolony.

– Na sali operacyjnej – odpowiedziała Lund.

– Co się, do cholery, stało?

Cała trójka ruszyła korytarzem w stronę poczekalni. Strange przodem, milczący i zły.

– Uwięził Skåninga – powiedziała Lund. – Pobił go. Miał broń. Nie chciał jej odłożyć.

– Kto go postrzelił?

– Ja. – Strange wzruszył ramionami. – Starąłem się celować w ramię. Było ciemno, a on był nade mną. – Zerknął na nią. – Lund też. Martwiłem się.

– Chcę, żeby sali pilnowali uzbrojeni wartownicy. Nikt nie może do niego wejść bez naszej wiedzy. – Wpatrywał się w Strangego. – Jasne?

– Tak.

Odszedł zadzwonić.

– Wylize się? – spytał Brix.

– Może.

– Dlaczego nie odłożył broni, do diabła?

Korytarzem spieszyły pielęgniarki wiozące sprzęt na salę operacyjną. Strange zniknął za dwuskrzydłowymi drzwiami. Lund przyjęła to z radością.

– Nie wiem – odpowiedziała.

\*

Minęło tyle czasu, że niemal zapomniała, jak to jest mieć mężczyznę, iść z nim do łóżka, być tak blisko, by czuć zapach jego potu i czuć w środku jego siłę. Christian Søgaard leżał na plecach, pomrukując, oczy miał zamknięte, twarz choć raz wypełnioną rozkoszą. Louise siedziała nad nim z wygiętymi plecami i unosiła się, nie za szybko, by trwało to bez końca.

Żeby go uszczęśliwić tak, jak kiedyś uszczęśliwiała Jensa. On też lubił tę pozycję. Lubił poddawać się częściowo, choćby tylko na chwilę, nim życie wróci do normy.

Ale Søgaard nie był Jensem i powodowała nią raczej ciekawość. Ciekawość samej siebie.

Inny mężczyzna, pierwszy od trzynastu lat.

Jak się czuła? Upojona? Zawstydzona? Czy po prostu pusta?

Dochodził. Czuła to, słyszała. Nic nie czuła, zupełnie nic, ale naśladowała jego coraz szybsze jęki i krzyki, bo tak się robi.

Za długo? Za krótko?

Nie wiedziała. Nie obchodziło jej to. Z Jensem było inaczej. Nie tylko fizyczność. Więzy między nimi, wspólna tajemnica, której na imię miłość. Z Søgaardem... tylko jego rozpaczliwe pragnienie, by ją mieć, które ona, jak przystało na porządną kobietę wojskowego, uznawała i akceptowała. Wzięła go więc do swojego samotnego łóżka i dała mu to, czego chciał.

Jęknął. Pchnął biodra w górę. Wilgotne, ciepłe doznanie.

Louise Raben zsunęła się z niego, spocona, kręciło jej się w głowie, zastanawiała się, gdzie jest przyjemność, a jeśli się pojawi, to czy zagłuszy ból.

Nie miała wyrzutów sumienia. Jens się o to postarał. Ale czuła się źle, i to było jeszcze gorsze.

Spocony, zdyszany, obejmując ciasno swoją nową własność, Christian Søgaard położył się na zmiętej pościeli z zamkniętymi oczami, zadowolony.

Pomyślała, że to była kolejna jego bitwa. Kolejne zwycięstwo. Kolejny kawałek świata, o który się postarał.

Żadne z nich nic nie mówiło. Wydawało się to zbędne. Gdy odsunęła się od niego, rozległo się gwałtowne pukanie do drzwi. Głośne i niecierpliwe.

Zarzuciła na siebie szlafrok, ten, w którym chodziła do Jonasa, gdy miał nocne koszmary, i poszła otworzyć.

W progu stał jej ojciec. Na pewno widział wewnątrz pokoju. Ale w tej chwili jakby go to nie obchodziło.

– Coś się dzieje? – powiedział zdenerwowanym, stroskanym głosem.  
– Policja dzwoniła...

– Co?

– Musisz natychmiast jechać do szpitala.

Za nią rozległy się kroki. Søgaaard szedł do nich. Przesunęła drzwi tak, by go zasłonić. Wielki mężczyzna z oficerskim tatuażem na ramieniu.

– Co się dzieje? – spytała.

– Jens został postrzelony, Louise. – Ojciec spojrział na wysoką postać w jej pokoju. Nie mogła odczytać jego spojrzenia. – Wzywają cię niezwłocznie.

\*

Thomas Buch był głodny. Musiał się napić. Wieczorem odbywało się przyjęcie w ambasadzie południowokoreańskiej. Muzyka, sztuka i jedzenie. Uwielbiał kimchi, choć miało okropny zapach.

Najpierw jednak musiał odbębnić spotkanie z premierem.

Grue Eriksen siedział przy swoim biurku i przeglądał jakieś dokumenty. Nie podniósł wzroku, gdy Buch wszedł dziarskim krokiem i przeprosił za spóźnienie.

– Sprawa drgnęła. Żołnierz, którego szukaliśmy, został postrzelony.

– Wiem. – Grue Eriksen uśmiechnął się do niego. – Napije się pan czegoś?

– Nie, dziękuję. Chcę znaleźć Rossinga, żeby porozmawiać.

– O czym?

– Zdaję sobie sprawę, że posunąłem się za daleko w swoich słowach. Jestem w rządzie nowy... Przepraszam za nieporozumienie. Chcę go przeprosić.

Grue Eriksen uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Mam nadzieję, że będziemy kontynuować współpracę – dodał Buch.  
– I Krabbe też. Pakiet antyterrorystyczny wywarł na nas pewną presję. Ale jestem zdecydowany... – postukał w biurko – absolutnie zdecydowany wszystko naprawić.

– Bardzo szlachetnie.

– Gdybym tylko mógł porozmawiać z Rossingiem. Na pewno...

– Thomasie. Jesteś ministrem od sześciu dni. Bóg potrzebował jednego dnia więcej, by stworzyć świat. A ty wszystko zniszczyłeś.

Buch kiwnął głową i słuchał.

– Nigdy nie nadawałem się na gwiazdę, panie premierze. Nigdy do tego nie dążyłem.

– Te wszystkie oskarżenia zniszczyły pana bezpowrotnie – ciągnął Grue Eriksen. – Wysłuchałem pana. Próbowałem uwierzyć w część fantazji, które pan rozpowszechniał. Ale szczerze: one są niewiarygodne. Chwyta się pan najcieńszej nici plotki i tworzy z niej najbardziej idiotyczną bajkę.

Grue Eriksen podsunął mu kartkę.

– Musi pan złożyć rezygnację. Nie ma innego wyjścia.

– Ale ja nie jestem gotów do rezygnacji – odrzekł Buch, jakby ten pomysł był śmieszny. – Przede wszystkim za wiele jest kwestii do wyjaśnienia. Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś inny mógł to ogarnąć. Skąd Rossing wiedział o faksie?

– Faksie?

Buch się roześmiał. Robił się zły.

– Faksie, o którym panu wspomniałem! O raporcie medycznym i dodatkowej ręce.

– Niech pan nie krzyczy.

– Mam nie krzyczeć? – ryknął Buch. – A jak w tym cholernym miejscu zmusić kogoś do słuchania? To było wygodne, by Rossing wiedział, prawda? Ja mu nie powiedziałem. Zatem kto?

Premier sprawiał wrażenie raczej ubawionego niż rozzłoszczonego jego gniewem.

– Mam tu wezwać Rossinga? Czy to pana zadowoli? Czy w ten sposób dogodzę panu po raz ostatni?

Buch się zawahał.

– Nie – mruknął.

Spojrzał na kartkę przed sobą. Godziny spotkań. Wszystko poustawiane.

– To pański ostatni plan dnia – powiedział Grue Eriksen. – Jutro głosowanie pakietu antyterrorystycznego. Z poprawkami Krabbego. Potem zwoła pan konferencję prasową, by obwieścić swoją rezygnację. Powie im pan... – Machnął niedbale ręką. – Powie pan, że chce spędzać więcej czasu z rodziną. Nie musi się pan silić na oryginalność.

Buch patrzył na niego wściekle.

– Niech się pan nie martwi, Thomasie. My tu mamy krótką pamięć. Za kilka lat będzie pan mógł wrócić. Oczywiście nie do Ministerstwa Sprawiedliwości. Nie sądzę, by miał pan temperament...

– Wybrał mnie pan, bo uznał za niesprawnego? – spytał Buch wprost. – Uległego? Elastycznego? Kogoś w rodzaju Monberga, kto będzie robił, co mu się każe?

Premier się roześmiał.

– Wybrałem pana, bo pana lubiłem. Nadal pana lubię. Poczekajmy. Zobacz pan. – Wskazał drzwi. – Ale teraz pańska kariera dobiega

końca. Niech pan jedzie do domu i przemyśli jutrzejsze wystąpienie.

Grue Eriksen go wyprowadził.

Dom.

Dom był w Jutlandii, miliony lat świetlnych od Kopenhagi. Buch miał w kieszeni zaproszenie do ambasady.

Muzyka. Sztuka. Piwo i wino ryżowe. I kimchi.

Plough i Karina czekali na ławce na dole. Ich smętne miny zdradziły mu, że znają już jego los.

– Thomasie... – zaczęła Karina.

– Muszę pobyć trochę sam – rzekł szybko.

I wyszedł z pałacu Christiansborg na chłodną otwartą przestrzeń Slotsholmen, myśląc o miejscach, w które chadzał, zanim został ministrem. Kiedy jeszcze był wolny.

\*

Lund czekała przed salą operacyjną – w takiej odległości, jaką zaaprobował personel. Strange pojechał do Politigården, żeby przesłuchać ciężko pobitego Torbena Skåninga. Brix został, by rozmawiać z personelem medycznym.

Po godzinie Strange zadzwonił.

– Nic się nie zgadza. Skåning ma alibi. W Afganistanie przeżył załamanie nerwowe. Leciał do domu z Rabenem i rannymi żołnierzami. Mówi, że Raben go kojarzył, ale nie pamiętał skąd.

– Sprawdź to. Już jadę.

Gdy wychodził, przez wahadłowe drzwi weszła Louise Raben, blada i zdenerwowana.

– Co się stało? – spytała.



– Właśnie skończyła się operacja. Musi pani porozmawiać z lekarzami.

– Spytałam, co się stało.

– Pani mąż porwał żołnierza. Miał broń. Próbował uciekać. Nagle...

Lund nie chciała rozmawiać. Próbowwała wyminąć kobietę. Nie było to możliwe.

– Dlaczego, do diabła, musieliście go postrzelić?

Próbowwała sobie przypomnieć, co się stało, ułożyć to w swojej głowie. Niebyt dobrze jej szło.

– Miał broń. Było ciemno. Wyglądał, jakby oszalał. Przykro mi...

– Jens taki nie jest.

– Pani tam nie było. Przyłożył sobie broń do brody. Myśleliśmy, że chce odebrać sobie życie. Potem się rozmyślił... – Wzruszyła ramionami.

– Z jakiegoś powodu. Nie odkładał broni. Nie wiedzieliśmy...

– To nie Jens...

– Ale tak było – upierała się Lund. Wyjęła plastikową torebkę. – Miał ze sobą to. Może to pani zabrać, nam to niepotrzebne.

Rękawiczki. Żołnierz z podniesionym mieczem. Louise wzięła torebkę i wpatrzyła się w figurkę.

Na końcu korytarza pojawił się Brix.

– Przepraszam – powiedziała Lund i podeszła do niego.

– Strange dzwonił? – spytał ją szef.

– Przesłuchują Skåninga.

– Wiem. Alibi Skåninga zostało sprawdzone.

– To musi być on. Sprawdziliśmy wszystkich innych oficerów z Ægiru. Reszta jest czysta.

– Jeśli Perk był z Ægiru.

– Jeśli nie był, to naprawdę nie wiem, od czego teraz zacząć. Co mówi lekarz?

– Stan Rabena jest stabilny. Jutro możemy go przesłuchać.

Brix wciągnął powietrze, rozejrzał się, sprawdzając, czy na pewno nikt ich nie słyszy.

– Mamy problem. Raben mówił przed operacją. Twierdził, że policjant, który go postrzelił, to Perk. Strange.

Lund milczała.

– Lekarz mówi, że bredził – ciągnął Brix. – Ale nie możemy tego zignorować. To musi trafić do raportu. W sprawie postrzelenia zostanie przeprowadzone dochodzenie. Wiesz, jacy oni są, prawda?

O tak, wiedziała.

– Muszę to usłyszeć od ciebie, Lund. Czy niczego nie przeoczyłaś w raporcie?

– Oczywiście, że nie.

Przyglądał się jej zaintrygowany. Nie lubił szybkich, łatwych odpowiedzi.

– Co dokładnie powiedział lekarz? – spytała.

Brix czekał. Wiedział.

– Dobra. Coś się nie zgadzało – przyznała. – Kiedy Raben zobaczył Strangego, zawołał do niego „Perk”. Słyszałam to. Myślałam...

– Jesteś pewna?

– On jest szalony, prawda? Kilka minut wcześniej skatował Skåninga, myśląc, że to on jest Perkiem. Przyłożył sobie broń do gardła. Nie możesz wierzyć...

– To trzeba umieścić w raporcie.

– Tak, tak! Wiem. Raben był roztrzęsiony. Nie wiedział, co robi. Muszę wracać do Politigården.

Gdy chciała odejść, chwycił ją za ramię.

– Posłuchaj choć raz, dobra? Kiedy rok temu przyjmowaliśmy Strangego, czytałem jego CV. Bardzo długo służył w wojsku.

– Tak! Wiem. Mówił mi. W Vordingborgu. Miał problemy z plecami. No i był szeregowcem. Trudno go podejrzewać.

Brix spojrzał na nią spode łba.

– Nie był szeregowcem w Vordingborgu. Był w Jægerkorpset. Oficerem. Został do nas przeniesiony. Miał szkolenie z bronią. Mnóstwo... umiejętności, o których pewnie nie wiemy.

– Nie...

Korytarzem długimi krokami zbliżała się do nich jakaś postać.

Strange stanął obok Brixa i patrzył na nich oboje.

– Pomyślałem, że przyjadę po ciebie – powiedział. Trzymał ręce w kieszeniach, jego łagodna twarz była smutna i napięta. – Jeszcze nigdy nikogo nie postrzeliłem. Jak on się czuje?

– Będzie żył – odrzekł Brix. – Musimy pogadać.

\*

Wrócili do Politigården. Strange siedział na krześle w gabinecie Brixa, sam. Lund, ze splecionymi ramionami, zajęła miejsce obok szefa.

– Jak długo służyłeś z ludźmi z sił specjalnych? – spytał Brix.

Strange gwałtownie wciągnął powietrze i przyjrzał się im obojgu.

– Wy tak na poważnie? Dajcie spokój...

Brix patrzył na niego groźnie.

– Na poważnie? A jak sądzisz? Postrzeliłeś człowieka. Rozpoznał w tobie Perka. Po każdym incydencie z użyciem broni palnej wszczynane jest dochodzenie. W takich okolicznościach jak te... Musimy wiedzieć, na czym stoimy.

– To jakieś szaleństwo – jęknął Strange. – Byłem w wojsku. Spytali mnie, czy chcę przez jakiś czas służyć w Jægerkorpset.

– Dlaczego mnie okłamałeś? – spytała Lund.

– Bo nie wolno nam o tym mówić. Słuchajcie. Służyłem. Miałem tego dość. Szczerze mówiąc, byłem za miękki na to gównno. Rzuciłem to więc i poszedłem do Akademii Policyjnej.

– Ale wróciłeś? – spytał Brix.

– Tak. Po jedenastym września zgłosili się do mnie i powiedzieli, że potrzebują ludzi. Miałem nudną robotę w narkotykach. A oni sprawiali wrażenie zdesperowanych. Postanowiłem więc spróbować jeszcze raz.

Skrzywił się.

– Świetny pomysł. Kosztował mnie małżeństwo. Półtora roku temu ostatecznie to rzuciłem i przyszedłem tutaj.

Rozejrzał się.

– Myślę, że tu mi lepiej. Może wy macie odmienne zdanie...

– Byłeś w Afganistanie? – spytała Lund.

Odpowiedział dopiero po chwili.

– To jest objęte tajemnicą – odparł. – Ale tak. Trzykrotnie. Ale nie z Jægerkorpset. Ani z Ægirem. Zostałem zdemobilizowany pół roku przed ich przyjazdem.

Pochylił się do przodu i wpatrywał się w nich.

– Czy to jest jasne? Nie było mnie tam, gdy to się stało. Jensa Petera Rabena widziałem dzisiaj pierwszy raz w życiu. No wiecie... – Próbował się roześmiać. – Nie sądzicie, że bąknąłbym wam o tym?

– Trzeba było nam powiedzieć – rzuciła Lund.

– Nienawidzę tamtych lat. One zniszczyły... zniszczyły to, co było dla mnie ważne. Chcę zapomnieć o tym całym cholerstwie.

– Mogłeś powiedzieć.

Tym razem to Brix.

Strange odrzucił głowę do tyłu. Wyglądał, jakby chciał zawyć.

– Moje życie się rozpadło, gdy ja tam pajacowałem, odgrywając żołnierzyka. Moje małżeństwo. Dzieci. Straciłem ich wszystkich. Dużo czasu mi zajęło, nim się pozbierałem. Tu mi się podoba.

– Doskonale – powiedział Brix i sięgnął po notatnik. – Skåning zeznał, że Raben interesował się tatuażem. Godło z dewizą: *Ingenio et Armis*. Mądrością i bronią.

– Marnujemy czas – westchnął Strange. – Pogadajmy jeszcze ze Skåningiem, skoro ma jakieś bajki do opowiedzenia...

– Nie tylko on – przerwał Brix. – Odesłaliśmy go do domu. Ma alibi, pamiętasz?

– Zatem coś przeoczyliśmy. Coś pominęliśmy.

Brix wymierzył w niego palec.

– Zdejmij koszulę. Załatwmy to.

Strange potrząsnął głową. Zdjął czarny sweter. I podwinął rękaw T-shirtu.

Odślonił tatuaż. Miecz z czerwoną rękojeścią wbity w godło. I wypisane niebieskimi literami motto: *Ingenio et Armis*.

Lund wpatrywała się w niego. Brix notował.

– Zanim mnie skujecie – odezwał się Strange – powinniście sprawdzić, ilu oficerów ma taki tatuaż. Skåning go ma. I założę się, że Søgaaard też. Wszyscy go mamy. To była część inauguracji, część...

– Chcę, żebyś oddał broń – rozkazał Brix, wyciągając rękę. – I odznakę. Przekażemy cię zespołowi dochodzeniowemu. Potem udasz się do domu i pozostaniesz tam do wyjaśnienia sprawy.

\*

Dziesięć minut później śledczy siedzieli ze Strangem w pokoju. Brix patrzył na nich przez szybę, obok niego Lund i Madsen.

– Oto na czym stoimy – powiedział Brix do młodego detektywa. – Zawieszam Strangego do wyjaśnienia. Ty przejmujesz jego obowiązki. Podlegasz Lund i mnie.

– Musimy pogadać z wojskiem – stwierdziła Lund. – Zdobądź listę oficerów, którzy dwa lata temu służyli w siłach specjalnych w Afganistanie.

– Powodzenia – odparł Madsen. – Mój kuzyn przez jakiś czas był z tymi świrami. Oni nic nam nie powiedzą. Ledwie gadają ze sobą nawzajem.

Madsen kiwnął głową w stronę szyby.

– Gdyby Strange do nich należał, nie podałyby nam ręki. A już na pewno nie moglibyśmy mu zaufać. To część ich kodeksu.

– Poproś o to – rozkazał Brix. – Jeśli odmówią, daj mi znać.

– Gdyby to był Strange, wiedziałabym – oznajmiła Lund, przyglądając mu się ze splecionymi ramionami, czekającemu cierpliwie.

Brix pokręcił głową.

– Ta sprawa jest związana z wojskiem. On był zobowiązany nam powiedzieć. Wiesz o tym.

To za proste, pomyślała.

– Nie wiedzieliśmy, od czego zacząć, prawda? Cały czas chodziło o terrorystów.

– Kiedy postrzelił Rabena... Naprawdę nie miał wyboru?

– Było ciemno. Raben zachowywał się nieprzewidywalnie. Miał broń.

Brix wpatrywał się w nią.

– Byłaś z nim, gdy ginęli tamci ludzie?

– Tak. To znaczy...

Przypomniała to sobie dokładnie.

Myg Poulsen i Grüner nie żyli w chwili ich przybycia. Nie wiedziała, co Strange robił wcześniej, zanim zostali zamordowani. A Helsingør... Mógł się dostać do kościoła Torpego w Vesterbro przed nią. Przy takich korkach i jej niezdecydowaniu.

Brix odwrócił się do Madsena.

– Przyjrzyj się temu. Dopóki nie znajdę dowodów, że jest inaczej, Strange jest podejrzany. Lund?

Odplynęła myślami, próbując poskładać elementy tej niewiarygodnej układanki.

– Lund!

Wziął ją za ramię.

– Albo Raben jest szalony, albo Strange kłamie. Wolałbym wierzyć w to pierwsze. Ale na razie robimy wszystko zgodnie z procedurą.

\*

Louise Raben siedziała na szpitalnym korytarzu i patrzyła na przechodzących lekarzy i pielęgniarki. Przed salą jej męża stało dwóch umundurowanych policjantów. Nie chcieli rozmawiać, co jej odpowiadało.

Niezręczne, bolesne wspomnienie utkwilo jej w głowie jak ziarnko piasku pod powieką. Christian Søgaaard zdyszany i jęczący. Nie czuła wstydu. A nawet wyrzutów sumienia. Czuła się po prostu głupia. Nuda i dziecięca ciekawość podkusiły ją, by pójść z nim do łóżka. Nawet nie zwierzęce pożądanie.

Tak naprawdę pragnęła Jensa. Pragnęła go cały czas. Ta idiotyczna przygoda z Søgaaardem miała być dla niego karą. Śmieszna. Bezsensowna.

Od prawie godziny nikt z nią nie rozmawiał. Zaczynała zasypiać, gdy postukała ją w ramię młoda lekarka ze stetoskopem na szyi, w zielonym kombinezonie operacyjnym pod białym fartuchem.

– Jak on się czuje? – spytała Louise, wstając.

– Jest senny. Pewnie będzie spał do jutra. – Zawahała się. – Ale jesteśmy pewni, że wyjdzie z tego. Jest zdrowy. Młody. – Uśmiechnęła się. – I ma szczęście.

– Nieprawda. Nie ma szczęścia. Ani trochę.

– Dzisiaj miał. Jeśli pani chce, może pani do niego wejść.

Wydawało jej się, że to nie jest dobry pomysł. Po Søgaardzie...

– Mogę wrócić jutro. Czy ktoś dopilnuje jego rzeczy?

– On może się obudzić – powiedziała kobieta twardym zimnym głosem. – To ważne, żeby poczuł, że ktoś jest przy nim. Ktoś, kto się nim przejmuje.

Miała ogromne przenikliwe oczy. Jak ta policjantka Lund.

– Wskażę pani drogę – powiedziała lekarka i była to propozycja nie do odrzucenia.

Pięć minut później siedziała przy nim w separacie. Maszyny na stojakach. Monitory. Louise Raben była pielęgniarką. Umiała czytać zapisy tych maszyn, rozumiała notatki na karcie w nogach łóżka. Naprawdę miał szczęście. Było o wiele gorzej niż dwa lata temu, gdy wrócił z Helmand.

Leżał częściowo przykryty prześcieradłami, w białej szpitalnej piżamie, z odsłoniętą klatką piersiową, ogoloną w miejscach przyklejenia czujników. Kable, rurki i monitory. Kaniule w ramionach, dłoniach i szyi.

Nieprzytomny, na szpitalnym łóżku, lekko przekrzywiony, wyglądał w końcu na spokojnego. Umyli go. Może nawet przystrzygli mu brodę.



Teraz był tym mężczyzną, którego pamiętała. Tym, w którym tak bardzo się zakochała.

Patrzyła na niego i odezwała się cichym, pewnym głosem:

– Lekarka powiedziała, że mam do ciebie mówić. – Bawiła się dłońmi. Denerwowała się. W końcu poczuła wyrzuty sumienia. – Ale nie wiem co.

Nie mogła się pozbyć obrazu Søgaard. I słusznie, pomyślała. Ten okropny obraz zostanie, żeby jej przypominać. Prowadzić ją do miejsca, które musi znaleźć.

– Dzisiaj wieczorem oglądałam stare wideo – ciągnęła, patrząc na linie na monitorze, słuchając stuków i szumów urządzeń medycznych. – My razem na plaży, krótko przed narodzinami Jonasa. Pamiętasz?

Po co pytać człowieka, który śpi? Nie miała pojęcia. Stopiony plastik kamery i spalona taśma leżały w starym śmietniku w ogrodzie, wraz z popiołem po jego listach. Odeszły na zawsze. Zostały tylko w jej głowie.

– Byłam gruba i brzydka i nie mogliśmy się zdecydować na imię dla dziecka. Pamiętasz? – Roześmiała się mimowolnie. – Wypisaliśmy długą listę i wszystkie imiona wydawały nam się niewłaściwe. – Jej głos przeszedł w szept. – A ty chciałeś popływać.

Tego wspomnienia nie było na taśmie. Sięgało głębiej. Ciągłe było prawdziwe.

– Ale ja nie chciałam, bo wyglądałam jak wieloryb. – Zamknęła oczy, poczuła, że płyną jej łzy. – A ty mnie wziąłeś w ramiona. Zaniósłeś taką grubą aż do morza. Pocałowałeś. – Kolejny cichy śmiech. – I powiedziałeś, że już wiesz, jak on powinien mieć na imię. Jonasz. Bo Jonasz mieszkał w brzuchu wieloryba. A potem się uwolnił...

Sama, ale nie sama, stwierdziła nagle, że łzy płyną jej po policzkach.

– Ale ze mnie gnojowa – wyszeptała.

Po czym wstała. Dotknęła jego nieruchomych palców. Były ciepłe. Tliło się w nich życie. I nadzieja. I miłość. Zawsze była. Zawsze będzie. I Louise o tym wiedziała.

Cofnęła rękę. Zastanowiła się. Popatrzyła na mężczyznę w łóżku. Oczy zamknięte, płytki oddech. Tyle rzeczy go złamało i zniszczyło. A teraz ona do nich dołączyła.

Potem znowu dotknęła jego palców i wiedziała, że się nie myli. To była delikatniutka reakcja. Ledwie dostrzegalny ruch, gdy ujmowała jego rękę.

– Przepraszam, Jens – wyszeptała łamiącym się głosem, po czym pochyliła się, pocałowała jego szorstki policzek, położyła głowę obok jego głowy na miękkiej szpitalnej poduszce.

Widziała dla siebie tylko jedno miejsce, ale nie u boku Christiana Søgaarda. Ten trudny, zniszczony człowiek był jedynym jej pragnieniem, ze swoimi wadami, problemami i bólem.

Musnęła policzkiem jego twardą brodę. Zacisnęła na jego palcach swoje. Gdzieś za oknami zawyła syrena. Przez szklane drzwi Louise widziała wysokich policjantów w granatowych mundurach.

Tutaj w końcu Jens był bezpieczny.

\*

Carsten Plough i Karina Jørgensen wrócili do Ministerstwa Sprawiedliwości i zaczęli rozpaczliwie szukać Bucha. Komórkę miał wyłączoną. Po wyjściu z pałacu Christiansborg wmieszał się w tłum. Nie widziano go nawet na stoisku z hot dogami.

Telefony dzwoniły bez przerwy, głównie dziennikarze złaknieni oświadczenia.

– Brak komentarza – powiedziała Karina do redaktora politycznego jednego z dzienników. – Nie ma nic do komentowania. Nic zupełnie...

Odłożyła telefon i spojrzała na Plougha.

– Kierowca też go nie widział. Nie ma go już od godziny. Jak mógł nam to zrobić?

Znowu wybrała numer jego komórki.

– A tu ciągle poczta głosowa. Dzwoniłam do jego żony. Też nie miała od niego wiadomości.

– Plotki krążą! – powiedział Plough niespokojnie.

– Zapomnij o plotkach. Buch sam nam wszystko powie. Może znalazł Connie Vemmer i rozmawia z nią.

– Może, może, może – zrzędził Plough. Zadzwoił do ochrony. – Halo? Mówi Carsten Plough. Zaginął nasz minister. Chcę, żebyście go znaleźli.

I dalej nic.

– Może odbywa się spotkanie jakiegoś komitetu? – zastanawiała się Karina. – Mamy jakieś zaproszenia?

Plough podniósł palec. Podszedł do biurka Bucha i otworzył kalendarz.

Na dzisiejszy wieczór wpisano w nim adres ambasady Korei Południowej. I jedno słowo zanotowane z entuzjazmem.

Kimchi!

Karina zadzwoniła do ambasady.

– Oż cholera! – zaklęła po skończonej rozmowie.

\*

Kimchi.

Całe mnóstwo kimchi. I szaszłyki wołowe. I jakieś potrawy, których nazwy nie znał. I piwo. I wino ryżowe. Whisky. Thomas Buch zdjął już marynarkę, mocno poluzował krawat. Siedział na podłodze jak tłusty

budda, pocił się obficie i jednym uchem słuchał kobiety w tradycyjnym stroju grającej na orientalnej harfie.

Nie miał pojęcia, czy krąg ludzi wokół niego rozumie choćby słowo z tego, co im mówi. Chinka. Miły, ale chyba zdumiony młody czarnoskóry człowiek w jakiejś afrykańskiej szacie. Koreańczyk w szarym garniturze i parę innych osób. A wszystkie z pewnością nieszczęśliwe.

– Byłem taki... taki wściekły – ciągnął Thomas cichym niewyraźnym głosem. – Bo myślałem, że w trumnie jest dodatkowa ręka. A to był dowód. Ale... – Podniósł głos, jakby tym samym nadawał sens swoim słowom. – Ale rozumiecie, to nie była dodatkowa ręka. O nie. Pojawił się inny raport medyczny. – Jego palce gestykulowały tak długo, aż znalazły mocne piwo. Buch się go napił. – To była ręka zamachowca samobójcy.

Podniósł szklanę.

– To co się stało, było... – Nadał policzki. I dodał bardzo głośno: – Łup!

Buch kiwnął głową.

– Właśnie. Łup!

Zamilkł. W głębi pokoju dostrzegł jakiś ruch. Jakaś bardzo poważnie wyglądająca osoba o powierzchowności ochroniarza przyglądała mu się uważnie. Do środka weszła blondynka. Karina. A następnie pojawiła się wysoka sylwetka Carstena Plougha.

– Halo! Halo! – zawołał Buch. – Chodźcie, śmiało! Napijcie się piwa. Spróbujcie kimchi!

Podeszli.

– Właśnie opowiadałem moim nowym przyjaciołom o ręce. – Znowu nadał tłuste brodate policzki. – Łup!

Gestem wskazał krąg ludzi siedzących przed nim na krzesłach.

– To są moi współpracownicy. Plough i Karina. Kimchi!  
Plough uśmiechnął się i pomachał palcami.  
– Co? – spytał Buch.  
– Chodź, Thomasie – powiedziała Karina. – Czas do domu.  
Buch wstał z trudem, uśmiechnął się i otrzepał.  
– Jeszcze piwko i ździebko kimchi – zdecydował i ruszył do bufetu.  
Dwoje jego pracowników podeszło do niego czym prędzej.  
– Musimy wrócić do Connie Vemmer – powiedziała Karina.  
– Kimchi – powtórzył Buch, wciskając jej talerzyk kiszzonej kapusty.  
– Nie chcę kimchi! – odparła bardzo głośno. – Rossing cię wrobił, pamiętasz?  
– Och, Karino – jęknął. – Nie nadaję się do tych wszystkich intryg. Nie zauważyliście?  
– To jeszcze nie koniec – powiedział Plough.  
– Ależ koniec. I mój koniec też – jęknął Buch.  
– Thomas! – Głos Kariny był napastliwy i natarczywy. – Znaleźli Rabena. Został postrzelony, ale będzie żył. Możemy zbadać...  
– Nie! – krzyknął Buch. – Jutro składam rezygnację. Na miłość boską, dajcie mi odejść w spokoju, dobra?  
Plough posadził go na krzesło, po czym sam zajął miejsce obok. Poprawił Buchowi krawat. Wbił wzrok w jego spoconą twarz.  
– Rezygnujesz? Rezygnujesz? – powiedział niskim zjadliwym głosem. – Jak w ogóle możesz tak mówić po wszystkim, co zrobiliśmy?  
– Coś nie jest w porządku – dodała Karina. – I wiesz o tym doskonale.  
Plough znalazł marynarkę Bucha, podniósł ją z podłogi i wrócił.  
– Siedzimy w tym wszyscy, Thomasie. Musimy zachować spokój. Postępować odpowiedzialnie...  
Buch pokręcił gwałtownie swoją wielką głową, wstał nagle wściekły.

– Przestańcie. Prawda jest taka, że to nas przerosło. Pogubiliśmy się...

– Nie – przerwał mu Plough. – To niczego nie usprawiedliwia. Wracajmy do biura i omówmy to.

– Jebać biuro! – ryknął Buch. – Jebać Slotsholmen! Po dwakroć.

W pomieszczeniu zapadła cisza.

– Prawda jest taka, że nie mieliście pojęcia, na co stać Monberga. On był czarną owcą. A wy...

Wymierzył w nią palec.

– Ty nawet z nim spałaś. Kurwa mać!

Buch zmrużył oczy. Zastanawiał się, dlaczego powiedział coś tak głupiego.

– Och, nie wychodźcie – krzyknął. – Przepraszam. Chodźcie do mnie, dobrze? Proszę...

Padł na krzesło i sięgnął po szklankę. Zastanowił się, czy da radę zjeść jeszcze trochę kimchi.

Stanął przy nim ten ktoś wyglądający na ochroniarza. W ręku trzymał płaszcz. Buch pojął, że to jego.

Na zewnątrz było zimno, a on nie do końca wiedział, gdzie się znajduje.

Nagle coś sobie przypomniał. Erling Krabbe. Mieszkał nieopodal.

\*

W pobliskiej kafejce Buch wypił dwa duże espresso. Koło północy udał się do domu Krabbego i przyłożył palec do dzwonka.

Trochę to trwało, nim usłyszał znajomy głos, który krzyczał:

– Dobra, dobra! Już idę, do cholery!

– Halo? – zawołał Buch, zerkając przez judasza.

W końcu ujrzał oko po drugiej stronie.

– Co pan tu robi, na miłość boską?

– Musimy pogadać, Krabbe. Naprawdę. To ważne.

Buch zastanowił się chwilę.

– I muszę skorzystać z toalety.

Krabbe wpuścił go, zaprowadził do toalety, po czym zabrał do eleganckiej nowoczesnej kuchni, dał mu szklankę mleka i jakieś jedzenie. Ser i herbatniki.

– Wcinaj pan! – powiedział. – Chyba pan tego potrzebuje.

Buch był zbyt pijany, by mieć pewność, ale odnosił wrażenie, że Erling Krabbe jest trochę ubawiony jego stanem, choć w jakiś okrutny sposób.

Na drzwiach lodówki wisiały zdjęcia. Atrakcyjna Azjatka z dwójką dzieci. Chyba Tajka.

Buch przyglądał się zdjęciom ze szklanką w dłoni.

– Też o tym rozmawialiśmy z żoną.

– O czym? – spytał Krabbe, krojąc ciasto kawowe.

– Żeby ściągnąć au pair.

– To moja żona – wyjaśnił Krabbe.

Buch łyknął mleka. Zastanawiał się, kiedy zdoła otworzyć usta i nie powiedzieć nic równie głupiego.

Usiadł.

– Mogę spytać – zagaił Krabbe – co pan tu robi?

Buch popatrzył na niego i zjadł trochę sera.

– Przepraszam, jeśli wprowadziłem pana w zakłopotanie – dodał Krabbe.

Miał na sobie T-shirt i dół od piżamy, na nosie ciężkie okulary. Buch domyślił się, że w ciągu dnia polityk musiał nosić kontakty. W tej wersji był inny. Wyglądał jak człowiek, a nie jak robot. Krabbe przeżuł kawałek ogórka i nalał sobie soku z marchewki.

Buch wpatrywał się w szklanę pomarańczowego płynu jak w truciznę.

– Zastanawiam się, dlaczego pan do mnie przyszedł – powiedział. – Nic poza tym.

– Bez powodu.

– Wyglądało to inaczej.

– Buch. Przepraszam. Nie traktowałem tego wszystkiego osobiście...

– Och, nie. Niech pan posłucha, Krabbe. Cieszyłem się zaufaniem premiera. Potem pan wparadował. – Podniósł tłusty palec. – Domagam się, by mi pan wyjaśnił, o czym mówił. Domagam się. Nadal, jak pan wie, jestem ministrem rządu. Może już niedługo...

Krabbe napił się soku marchewkowego.

– Po tym pańskim popisie na konferencji prasowej byłem wściekły. Cała praca z Monbergiem nad pakietem antyterrorystycznym legła w gruzach.

Buch słuchał, skubiąc jedzenie.

– Przez pana – Krabbe potrząsnął głową, jakby nie mógł w coś uwierzyć – musiałem zwołać posiedzenie egzekutywy.

– Wielkie mi halo.

– Mogło się skończyć wielkim halo. Ale po drodze odebrałem telefon z gabinetu Grue Eriksena. Powiedzieli, że całą sprawę zbadano i Rossing jest wolny od podejrzeń. I o to chodziło. Pan miał być zniszczony, a pakiet jutro trafić pod głosowanie.

– Zaraz, zaraz. – Buch z trudem układał to sobie w głowie. – Mówi pan, że powiedzieli to panu, zanim stanąłem przed Komitetem Bezpieczeństwa?

– Właśnie. Też nie mogłem tego zrozumieć. Ale już chyba rozumiem.

– Przyszedł pan się podzielić ze mną tą rewelacją?



Krabbe wzniosł oczy.

– Jakie to ma znaczenie, czy Grue Eriksen wiedział wcześniej? Oni wiedzieli, że pańskie zarzuty są nieprawdziwe. Dzwonili do mnie, bym nie zdążył namącić. Stracili do pana zaufanie.

Buch w milczącym toaście podniósł szklankę mleka.

– Rossing zrobił z pana głupca. To nie znaczy, że Grue Eriksen brał w tym wszystkim udział, prawda? Takie wbijanie noża w plecy jest na pewno poniżej jego godności.

– Krabbe... – Buch poczuł, że w głowie mu się przejaśnia. – Tu nie chodzi o polityczne przepychanki na Slotsholmen. Tu chodzi o morderstwo. Spisek. Może zbrodnie wojenne...

– Rozmawiałam wieczorem z premierem. Według mnie wszystko jest w porządku. Jutro będzie głosowanie i zamkniemy sprawę. Przykro mi, Buch, ale cieszę, że on pana wywalił. Pan się nie nadaje do tej roboty.

Wskazał zegar na ścianie. Zrobiło się wpół do pierwszej.

– Zamówię panu taksówkę.

– Jest pan zadowolony? – spytał Buch.

– Dostałem to, czego chciałem.

Buch wstał, spojrział na zdjęcia na lodówce. Ładna Azjatka. Dzieci.

– Zabawne, co? Wychodzimy stamtąd i stajemy się zupełnie innymi ludźmi. Kiedy odkładamy na bok te wszystkie nieprzejednane stanowiska i rozmawiamy bez tego całego... gówna.

– Taksówkę? – powtórzył Krabbe.

– Jest pan zadowolony? – spytał znowu Thomas Buch. – Naprawdę? Z ręką na sercu?

\*

Lund dotarła do domu prawie o pierwszej, ze stygnącą pizzą w ręku. Głowa znowu ją bolała. Rana nad okiem swędziała. Gdy wchodziła po schodach, zadzwonił telefon. Madsen z najświeższymi wiadomościami o Strangem.

– Musimy wiedzieć, kiedy dokładnie został zdemobilizowany – powiedziała, słuchając jego jęków. – On twierdzi, że pół roku wcześniej, niż oddział Rabena wpadł w pułapkę.

– Nie dadzą nam tych informacji, Lund. Nie udzielają ich o ludziach, którzy byli w siłach specjalnych...

– Powiedz im, że musimy je mieć! To śledztwo w sprawie morderstwa.

– Przysyłają do nas jutro rano jakąś szybę. Generała Arilda.

– Mogą sobie przysyłać, kogo im się żywnie podoba. I tak chcemy te informacje. I CV Stranego. Wszystkie dane personalne, które dostaliśmy, gdy przenosił się do policji. To też mi przyślij, dobra?

Odłożyła pizzę na schody i zaczęła szukać kluczy w torebce.

– Lund – w ciemnościach przy windzie rozległ się cichy i żalony głos.

Podskoczyła, gdy z mroku wyłonił się Strange.

– Jak się tu, u diabła, dostałeś?

– Czekałem, aż ktoś się pojawi, i powiedziałem, że chcę się spotkać z twoją matką. Nie włamuję się, na miłość boską. To dla ciebie.

W rękach trzymał plastikową teczkę.

– Nie powinno cię tu być. Co to jest?

– Raporty o żołnierzach, którzy zginęli w czasie misji Rabena. Zostawiłem je w samochodzie. Skoro przejmujesz sprawę, powinnaś je mieć.

– Dzięki – powiedziała i wzięła teczkę.

Musiał zająć do domu, bo się przebrał. Ładny brązowy płaszcz, czysta koszula, szalik. Wcale nie wyglądał na zmartwionego. Tylko na wkurzonego.

– Wiesz, że nie powinno cię tu być...

– Nie obchodzi mnie, co myśli Brix.

– Jezu, Strange. Nie możemy o tym rozmawiać. Jesteś zawieszony. Prowadzone jest dochodzenie...

– Jak myślisz? Tylko to mnie obchodzi. Co ty sądzisz?

Patrzyła na niego. Wolałaby nie znaleźć się w tej sytuacji.

– Powinieneś mi powiedzieć. Miałam prawo wiedzieć.

Kiwnął głową, jakby rozumiał.

– Dlaczego? Ty mi opowiedziałaś o wszystkim w swoim życiu? O tym Szwedzie, z którym miałaś żyć? O policjancie, który został postrzelony?

– To nie to samo...

Próbowała iść dalej. Chwycił ją. I nie puszczał.

– W Politigården mówią, że ci odbiło i dlatego Jan Meyer jeździ na wózku.

– Naprawdę?

– Kazałem im się zamknąć. Ująłem się za tobą, cały czas to robiłem, a ty nie powiedziałaś w mojej sprawie jednego dobrego słowa. Ani do mnie.

Światło na klatce miało wyłącznik czasowy. Właśnie się wyłączyło. W chwili gdy Ulrik Strange przysunął do jej twarzy swoją.

Lund walnęła we włącznik i światło znowu rozbłysło.

Czekał na odpowiedź. Skoro żadnej nie dostał, zaklął cicho i ruszył schodami w dół. Po paru stopniach zatrzymał się.

– Powiedziałem o tobie moim dzieciom – rzekł. – Pytały, dlaczego wyglądam tak radośnie. Powiedziałem...

Chciała na niego krzyczeć, wrzeszczeć, ale nie zrobiła tego.

– Powiedziałem, że poznałem kogoś w pracy. I że pewnego dnia może cię poznają.

– Przestań – wyszeptała Lund.

Tak cicho, że nie usłyszał.

– Może... – powtórzył i odszedł.

**PONIEDZIAŁEK\_**  
**21 LISTOPADA\_**  
**9.15\_**

Generał Arild, arogancki, rudy mężczyzna, patrzył Brixowi, Lund i Madsenowi w oczy od chwili, gdy wezwali go do pokoju przesłuchań. Niewiele po pięćdziesiątce, pomyślała Lund. Niski, ale umięśniony, pewny siebie, gdy stał przy oknie, śmiejąc się z rozmowy. Wyobrażała go sobie jako żołnierza w czynnej służbie wyglądającego najbliższej potyczki.

– Współpraca? – spytał Arild, gdy Lund powiedziała o danych, które dostawała z wojska. – Nie sądzi pani, że już wam dość pomogliśmy? Przeczesałicie całe Ryvangen. Przesłuchiwalicie naszych oficerów, podczas gdy oni przygotowywali się do wyjazdu na misję. Mój Boże...

Miał na sobie nieskalany granatowy mundur pokryty baretkami i medalami.

– Czy w tym rejonie dwa lata temu przeprowadzane były jakieś operacje sił specjalnych? – spytała Lund.

Brix stał przy szafkach z aktami i słuchał.

– Normalnie nie odpowiedziałbym na takie pytanie – odparł Arild. – Ponieważ jednak waszym zdaniem jest to ważne, odpowiem. Tak, mieliśmy tam oficerów.

– W czasie, gdy był tam batalion Ægir?

– Czy nie odpowiedziałem właśnie na to pytanie?

– A Ulrik Strange został zdemobilizowany pół roku przed incydem w Helmand?

– Za dużo chce pani wiedzieć – odrzekł generał. – Nie mogę operować nazwiskami.

– Chcę listę osób, które tam były! – nie ustępowała.

Roześmiał się.

– Nie ma pani wygórowanych wymagań, co? Rozumie pani, o jakich ludziach rozmawiamy? Wie pani, jakie zadania wykonują?

– Nie do końca – odparła Lund.

Pewna siebie, uśmiechnięta twarz Arilda zmieniła się w jednej chwili.

– Walczymy ze zwierzętami, które obcinają głowy własnym córkom za to, że się niewłaściwie ubierają. Wieszają na ulicy człowieka, bo słuchał radia. Z Helmand do Genewy jest daleko. Oni to wiedzą. I my też.

Nie lubi kobiet, pomyślała Lund. Poza tymi, które znają swoje miejsce.

– Chcę dostać te informacje, panie generale.

– Nie mam prawa ujawniać niczego o konkretnych oficerach. I tak brzmi moja odpowiedź. Nikt z Jægerkorpset ani z innych jednostek sił specjalnych nie miał nic wspólnego z tym konkretnym incydem. Doszło do niego bez naszego udziału i bez naszej wiedzy.

Pukanie do drzwi. Ktoś pytał o Brixa. Wyszedł z pokoju.

Arild przysunął się do Lund o krok.

– Staram się pani pomóc – powiedział. – Nie zajmujemy się mordowaniem niewinnych cywilów. Ani tutaj, ani w Afganistanie. A teraz... – wziął do ręki czapkę – musi mi pani wybaczyć.

– Ci oficerowie też znajdowali się w Afganistanie – powiedziała, podając mu najświeższą listę żołnierzy przydzielonych do batalionu Ægir z innych regimentów. – Chcę dostać wszystko, co pan ma na ich temat. Nie są w siłach specjalnych. Nie ma pan powodu...

– Gadanina znerwicowanego żołnierza nie nadaje wartości tym bzdurom – warknął, ledwie panując nad sobą. – I jak to możliwe, że Jens Peter Raben tak łatwo wymknął się PET? Niech mi pani powie. Myślałem, że go obserwujecie... Nie ma pani pojęcia, w co się pakuje, kobieto. Jeszcze jakieś pytania? Bo wychodzę.

Chciała spytać, czy farbuje włosy, ale powstrzymała się. Splotła tylko ramiona, posłała mu zmęczone spojrzenie i powiedziała:

– Jeśli mi pan przeszkodzi, pójdę do mediów. Każdy dziennikarz i każda stacja telewizyjna w Danii będzie walić do waszych drzwi, domagając się odpowiedzi. Pański wybór.

To mu się nie spodobało.

Wrócił Brix. Arild wyszedł z nim na czarny marmurowy korytarz.

– Przyślę wszystkie informacje, jakie mogę panu dostarczyć – powiedział generał, bardzo starając się zwracać wyłącznie do szefa Wydziału Zabójstw. – Dzisiaj po południu dostanie pan wiadomość z mojego biura.

I wyszedł.

– Dlaczego zmienił zdanie? – spytał Brix.

– Niewieści urok.

– Jak się czujesz?

Rana już nie bolała. W miejscu siniaka została czerwona pręga.

– Dobrze – odpowiedziała.

– Raben jest przytomny. Chce rozmawiać. Nieważne, czy w obecności adwokata, czy nie.

Lund sięgnęła po kluczyki.

– Weź ze sobą Madsena – zawołał za nią.

Ale Madsen rozmawiał przez telefon. Lund poszła bez niego.

\*

Tego ranka Buch już czterokrotnie szorował zęby. Ale i tak czuł w ustach nieświeży smak kimchi. Wezwał do ministerstwa wszystkich członków personelu wyższego szczebla, stanął przed nimi przy recepcji przed swoim gabinetem.

Nie miał sił na krawat. Poprzestał na czystym garniturze, granatowym swetrze i białej koszuli, której zabrakło żelazka.

Plough i Karina stali za nim i sprawiali wrażenie zbuntowanych.

– Przepraszam, że mój brak kompetencji wprowadził was wszystkich w zakłopotanie – powiedział Buch. – Gazety głosiły wszem i wobec, że jestem prostym rolnikiem z Jutlandii.

Karina coś wymamrotała pod nosem.

– No i chyba miały rację – ciągnął. – A szkoda, bo ja bardzo lubiłbym z wami pracować. Zasłużyliście na coś lepszego. Wierzę, że mój następca, kimkolwiek będzie, zapewni wam to.

Plough zaczął klaskać, Karina poszła w jego ślady. Po chwili klaskali już wszyscy, a Buch poczuł się dość dziwnie. Jakby tych ludzi wzruszył, choć nie rozumiał, jak to możliwe.

Wrócił do swojego gabinetu. Plough i Karina weszli w ślad za nim i zamknęli drzwi.

– Dzisiejszy plan dnia – zaczęła ona, kładąc mu na biurku kartkę. – Kancelaria premiera zweryfikuje pańskie końcowe wystąpienie i weźmie na siebie stosowną wymianę listów.



Buch wrzucił do szklanki dwie tabletki od bólu głowy, zalał je wodą i zakłuysał szklanką.

– Co do Rabena... – zaczęła.

– Ach, zapomnij o tym, Karino – przerwał jej. Spojrzał na nią, na Plougha. – Naprawdę bardzo przepraszam za wczorajszy wieczór. To było niewybaczalne. Możecie napisać list z przeprosinami do biednych Koreańczyków?

Nic nie powiedzieli.

– Oboje byliście tacy mili. Tacy wspierający, od początku. A ja wszystko spartaczyłem.

– Thomas... – zaczęła.

– Nie. Daj mi dokończyć. To najlepsze wyjście dla rządu i dla ministerstwa. – Pomyślał o trudnej, nerwowej rozmowie, którą rano odbył z Marie. Wiedziała tylko to, co przeczytała w gazetach. Trudno było wytłumaczyć jej wszystko przez telefon. – Dla mnie też. Chcę jechać do domu. Muszę jechać do domu. Tutaj...

Sięgnął pod biurko i wyjął butelkę drogiego armaniaku, którego wybrał dla Plougha.

– Życzę ci jak najlepiej, Carsten. A dla ciebie...

Podał Karinie pudełko czekoladek.

Zadzwoił telefon Plougha. Ten przeprosił i odszedł odebrać.

– Armagnac jest nieodpowiedni? – spytał Buch, patrząc za urzędnikiem.

– Jest dobry. – Spojrzała na kolegę rozmawiającego w rogu pokoju przyciszonym głosem. – Ma własne problemy.

– Jakie?

Westchnęła.

– Wezwano go do kancelarii premiera. Chyba szykuje się reorganizacja.

Buch przełknął wodę ze środkami przeciwbólowymi. Zaproponował swoją głowę. Umowa nie przewidywała, że Grue Eriksen weźmie też inne.

– Chcą przydzielić Plougha na stanowisko konsultanta unijnego w Skopje. – Wzruszyła ramionami. – Jeśli czepiają się jego, to ja też polecę. Ale nie szkodzi.

– To niedobrze...

– Tak wygląda życie. Dzwoniła Connie Vemmer. Chce wyjaśnić...

– Och nie...

– Mówi, że musi porozmawiać z tobą osobiście. Tylko z tobą. Naprawdę uważam...

Buch próbował się uśmiechnąć, znowu się napił wody.

– Przegraliśmy, Karino. Już po wszystkim. Porozmawiam z Grue Eriksenem o waszych posadach. To niedopuszczalne, byście płacili za moją niekompetencję i głupotę.

– Nie mów tak! – krzyknęła. – To nieprawda.

– Naprawię to. Jeśli zdołam.

\*

Lund siadła przy łóżku Rabena w separacie, pośród szumu maszyneryi medycznej, i słuchała jego mocnego, stanowczego głosu.

Włączyła dyktafon, nie robiła notatek. Raben twierdził, że zaczyna mu się przypominać incydent w Helmand. Należało podjąć decyzję, komu wierzyć.

– Byliśmy w Green Zone – mówił Raben. – Odebraliśmy wezwanie o dziewiątej trzydzieści rano. Na częstotliwości alarmowej. Wzywający

twierdził, że duński oddział znalazł się pod ostrzałem.

Na ramieniu miał świeży opatrunek. Lekarz powiedział, że niektóre z aparatów można już wyłączyć. Raben był twardzielem, szybko dochodził do siebie.

– Przeszliśmy przez rzekę. Thomsen mówiła pani, co się stało?

– Chcę to usłyszeć od pana.

– Most był zaminowany. Zostawiłem ją tam. Dostaliśmy się do wioski.

Zerknął na nią z poduszki.

– Nie było żadnego duńskiego oddziału. Tylko jeden oficer, który utknął tam z rodziną miejscowych i nie miał odwagi wyjść.

– Dlaczego myśli pan, że nazywał się Perk?

– Tak mi się przedstawił. Widziałem jego nieśmiertelnik.

– Znał go pan?

– Nie. Nie widziałem go w Obozie Viking. Na pewno go tam nie było. Ale faceci z sił specjalnych pojawiają się nie wiadomo skąd. Czasami z Kabulu. Czasami prosto z Danii. Powiedział, że został odcięty od swojego oddziału.

– Nie uwierzył mu pan?

Raben ścisnął ranne ramię.

– Nie wiedziałem, co myśleć. Mówił, że wypełniał misję i że talibowie go nakryli. Ścigali go. Czekał na wsparcie.

Lund splotła ramiona i czekała.

– Nie mieliśmy pytać takich ludzi, co robią – rzekł Raben w końcu. – To nie była nasza sprawa.

– A ma pan jakąś koncepcję?

– Nie. Ale on był przerażony. Wszyscy się baliśmy. Została nas tylko piątka. Myg, HC, David, Sebastian i ja. I Perk. Dolmera po drodze trafił

snajper. Zginął. Grüner miał nogi roztrzaskane na kawałki. Potrzebował pomocy. W wiosce byli talibowie. Za bardzo się bali po nas przyjść, ale wiadomo było, że tak nie będzie zawsze. Radio zostawiliśmy z Thomsen.

– A co z radiem Perka?

– Powiedział, że chwilę po tym, gdy nas wezwał, zostało trafione. Nie widziałem go. Nie... – Kręcił na boki głową na poduszce. – Nie pamiętam tego dokładnie. Perk był oficerem. Więc automatycznie przejmował dowodzenie. Powiedział, że musimy czekać. Nie podejmować próby przedarcia się. Za dużo ich było.

Raben zaklął, zamknął na chwilę oczy.

– Trzeba było po prostu ruszyć. Rodzina robiła się bardzo nerwowa. Nie mogliśmy ich wypuścić.

Wpatrywał się w nią.

– Grüner krzyczał. Cuchnęło tam gównem, krwią i... – Chwila bólu i niedowierzania. – Ciągle myślałem, że oni zaraz po nas przyjdą, ale nie przychodzili. Perk coraz bardziej szalał. Odbiło mu. Nagle zdecydował, że musimy wyjść, jakkolwiek.

Raben umilkł.

– I? – spytała Lund.

– To jest tutaj! – krzyknął Raben, stukając się w głowę.

– Niech mi pan powie, co tylko się da.

– Powiedział... – Raben cedził słowa, jakby nie był pewien. – Powiedział, że chce, żeby ojciec pomógł mu zdobyć radio. Gdybyśmy mieli radio, wezwalibyśmy śmigłowiec albo wsparcie. Ale ten ojciec był prostym wieśniakiem. Nie miał radia. Nic nie miał.

Otarł twarz rękawem szpitalnej piżamy.

– Perk mu nie uwierzył. Chwycił jedno z dzieci. Małą dziewczynkę. – Poruszył się niespokojnie, oczy miał martwe, twarz zdjętą bólem. –

Przyłożył jej pistolet do głowy. Powiedział, że ojciec musi zdecydować. Czy jest po stronie talibów, czy po naszej.

Odrzucił głowę do tyłu.

– Potem zastrzelił ją na naszych oczach. Miała siedem lat. Może osiem. I umarła, tak po prostu.

– Pamięta pan to? Na pewno?

– Pamiętam! – wrzasnął. Oczy miał szeroko otwarte, pełne wstydu i strachu. – Patrzyłem, jak chwyta matkę. Ją też zastrzelił. Zwariował. Mężczyzna trzymał synka. Krzyczał, płakał, błagał Perka, by ich oszczędził. Ale on ich rozwalił. Na naszych oczach.

Zaczekała, aż Raben się pozbiera.

– Zostało jedno dziecko. Mała dziewczynka. Miała może cztery latka. Trzymałem ją. Nie sądziłem, że strzeli. Perk wyrwał mi ją i odstrzelił jej głowę.

– A pozostali?

– Krzyczeli. Sebastian płakał.

Zerknęła do notatek.

– Sebastian Holst?

– Tak. Najmłodszy z nas. Bardziej interesował go aparat fotograficzny niż pistolet. Po powrocie z wojny chciał być fotografem prasowym. Objąłem go. Uspokoilem. Zrobiło się ciemno. Nagle usłyszeliśmy na zewnątrz dźwięk silnika. Jakiś koleś wjechał na podwórko i wysadził się w powietrze. Podobno Søgaard znalazł nas niewiele później. Dotarł do wioski i wyciągnął nas stamtąd. Tego już nie pamiętam.

– A Perk? – spytała. – Był tam?

Wzruszył ramionami.

– Naprawdę nie wiem, co się później działo. Perk był bystrzakiem. Być może uciekł, zanim przybył Søgaard. Albo...

– Tak?

– Albo ktoś mu pomógł. My byliśmy zwykłymi żołnierzami. On stał wyżej w łańcuchu pokarmowym.

Znowu zerknęła do notatek.

– Søgaard napisał raport. Stwierdził, że nie było śladu po cywilach. Żadnych ciał.

– Tak. Jasne... – Drwiąca mina na brodatej twarzy Rabena. – Może Perk się ich pozbył. Albo ktoś nie za bardzo szukał.

Dźwignął się, spojrzał jej w oczy.

– Oni tam byli. Mówię prawdę. Niech pani spyta Perka. On jest jednym z was.

– Raben...

– To ten, który mnie postrzelił.

Westchnęła.

– Dlaczego tak pan uważa?

– Pamiętam!

– Powiedział pan, że nie pamięta dobrze. Mówił pan, że Skåning to Perk. Że mężczyzna, którego pan porwał dwa lata temu, to Perk. A to był tylko bibliotekarz...

– Teraz pamiętam!

Lund się skrzywiła.

– Dokładnie? – spytała. – Wszystko?

Raben zamknął oczy zrozpaczony.

– Nie wszystko. Nie. Ale wiem, że to Perk. Zabił tych ludzi. Widziałem to. Miał na ramieniu tatuaż. On...

– Skåning ma tatuaż. I mnóstwo innych oficerów też.

Wyciągnęła plik fotografii. Czarno-białe zdjęcia portretowe z akt. Mężczyźni, których nie znała.

W chwili gdy pojawiła się twarz Ulrika Strangego, Raben wskazał fotografię i niemal wepchnął jej pod nos.

– To on – powiedział. – To jest Perk.

\*

Gdy Lund wróciła ze szpitala, Brix rozmawiał z Hedeby. Wysłuchali tego, co miała do powiedzenia. Ale Hedeby w tej chwili nie interesowała się Rabenem. Pytała tylko o Strangego.

– Więc teraz twierdzicie, że jeden z naszych funkcjonariuszy zabił tych ludzi? Poważnie?

– Nie wiem – przyznała Lund. – Raben ma powód, by tak mówić. Grożą mu zarzuty kryminalne. Gdyby zwałił winę na nas, mógłby się trochę wywinąć.

Hedeby zaklęła pod nosem.

– Musimy oczyścić Strangego – powiedziała współczująco.

– Nie uda nam się – odparła Lund, siadając.

– Raben ma zaburzenia umysłowe – dodał Brix. – Są na to dowody. Bez problemu mógł pomylić z kimś Strangego. Robił to już wcześniej. Poza tym... Strange cały czas intensywnie pracował. Nie miałby czasu wymyślać takich bzdur jak Liga Muzułmańska.

Lund westchnęła.

– W jego alibi są luki – powiedziała. – Mówi, że zanim znaleźliśmy Myga Poulsena, był w domu. Sam. Grüner zginął od bomby zdetonowanej przez komórkę podłożoną wcześniej. To samo. Nie ma alibi.

– Lund... – zaczął Brix.

– W Szwecji zostawił mnie, kiedy rozmawiałam z Lisbeth Thomsen. Zniknął na dwie godziny, szukając Rabena. Byliśmy jego wozem, nie

moim. Był w koszarach tego wieczoru, gdy zniknęły materiały wybuchowe.

– A kiedy znalazłaś pastora, Strange był w Helsingør – dodał Brix.

– Był tam, owszem – przyznała. – Jednak nikt nie wie, o której wyjechał.

Sięgnęła po płaszcz.

– Jadę spotkać się z ojcem Sebastiana Holsta. Raben mówił, że Holst cały czas robił zdjęcia. Nigdy nie znaleziono jego aparatu.

– A Strange? – spytała Hedeby. – Jak pani sądzi, co mamy z nim zrobić?

– To samo, co zrobilibyśmy z każdą inną osobą – odparła Lund. – Wsadzić go do pokoju przesłuchań i zadać pytania.

Gdy Lund zniknęła, Hedeby zgodnie z przewidywaniem Brixa odwróciła się do niego.

– Na górze pytają, dlaczego właśnie jemu przydzieliłeś sprawę.

Brix usiłował panować nad sobą.

– Nie przydzielałem mu jej, Ruth. On przyszedł do nas po reformie policji. Kiedy Ministerstwo Obrony przekazało nam tych wszystkich ludzi, których nie chcieli mieć już u siebie.

– Ktoś go tu wpuścił.

Wskazał sufit.

– Oni – rzekł. – I jeśli chcą, mogą umyć ręce.

\*

Ustawa antyterrorystyczna weszła pod obrady Folketinget. Trzy czytania i po wszystkim. Ekipy telewizyjne stały przed budynkiem parlamentu, reporterzy zdawali przed kamerami relacje na żywo. Ktoś, Buch przepuszczał, że z kancelarii Grue Eriksena, już przekazał mediom



aktualne informacje. Oczekiwali jego rezygnacji, gdy zakończy się posiedzenie.

Wyszedł łyknąć świeżego powietrza w czasie przerwy w obradach, rozejrzał się po holu.

Grue Eriksen i Flemming Rossing stali w grupce przy jednym z filarów. Buch nie zawracał sobie głowy wkładaniem krawata. Jego kariera na stołku ministerialnym dobiegła końca. Nie musiał już przestrzegać protokołu.

Podszedł, przerwał ich rozmowę, spytał Grue Eriksena, czy może mu poświęcić chwilę.

Miejsce publiczne. Premier promieniał urokiem.

Rossing w swoim eleganckim szarym garniturze został na miejscu. Słuchał i od czasu do czasu sprawdzał wiadomości w telefonie.

– Chodzi o Plougha – powiedział Buch. – Zdaje się, że ma być usunięty. To na pewno pomyłka...

– To nie pomyłka. Ten dział szwankował już za czasu Monberga. Teraz wszyscy to wiemy. Czas na nowe otwarcie.

– To świetny człowiek! – Buch podniósł głos. – Porządny, pracowity urzędnik. Nie powinniście go karać za pomyłki polityczne. Moje i Monberga...

Rossing dołączył do rozmowy. Jego wielki haczykowaty nos wyglądał triumfująco.

– Premier mówił, że chce mnie pan przeprosić. Miło mi to słyszeć. Nie żywię urazy.

– Tak, tak. A Plough...

Mężczyźni wpatrywali się w niego. Zespół, pomyślał Buch. Może cały czas stanowili zespół.

– Widział pan naszą wersję swojego wystąpienia na konferencji prasowej? – dodał Grue Eriksen. – Jeśli pan chce, może pan dodać jakies

elementy osobiste. Ale proszę nie zmieniać zasadniczej treści. Nie żartuję. A teraz...

Buch spanikował. Premier już go nie słuchał.

– Muszę z kimś porozmawiać – powiedział Grue Eriksen, odchodząc.

A Rossing podążył za nim równie szybko.

Zadzwoił telefon Bucha. Plough.

– Wszystko gotowe do konferencji prasowej – powiedział. – Możemy to załatwić, gdy tylko skończymy z ustawą.

– Świetnie...

– I pańska żona przysłała do ministerstwa. Karina się nią zajęła.

– Co?! – wybuchnął Buch. – Marie? A kto się zajmuje dziećmi? Jej matka chodzi w poniedziałki na jogę. No naprawdę...

W telefonie zapadła cisza.

– Powiedziałem, że spotka się pan z nią przed wejściem – odpowiedział Plough wyniosłym, zdystansowanym głosem. – Może niech pan sam ją zapyta.

\*

Buch dziarskim krokiem wyszedł z budynku parlamentu, przeciął spokojne centrum Slotsholmen, minął pomnik Kierkegaarda i dotarł do wąskiej uliczki przed ministerstwem. Zrobiło się pogodnie i miło. W bladym świetle zimowego słońca mocujące się smoki wyglądały smutno i komicznie.

Karina stała przy schodach, obok czarnego służbowego samochodu. Miała na sobie czarny płaszcz i wyglądała, jakby się wybierała na pogrzeb.

Buch niezdarnie pokonywał schody.

– Gdzie ona jest? – spytał, dysząc. – Nie rozumiem...

Podszedł do wielkiej limuzyny. Przy drzwiach od strony pasażera siedziała Connie Vemmer, długie blond włosy kołysały się na silnym zimowym wietrze. Z papierosem w ręku wydmuchiwała dym przez otwarte okno.

– O nie – jęknął Buch, zwracając się do Kariny.

Ale ona się uśmiechnęła, wzruszyła ramionami i odeszła.

– Niech pan nie będzie dupkiem – warknęła Vemmer z samochodu. – Przecież może mnie pan wysłuchać. Proszę wsiąść i przejedziemy się. Musimy pogadać o tych raportach medycznych.

– Przez panią straciłem posadę. Co, na miłość boską...?

Odwrócił się i ruszył w drogę powrotną.

– Buch! Buch! – Poruszała się zaskakująco szybko. Po sekundzie dogoniła go i pociągnęła za rękaw. – Myśli pan, że Rossing mnie przysłał? On mnie wyrzucił.

Nie zatrzymał się. Ona wisiała na jego rękawie jak natrętny żebrak.

– Skoro Rossing wiedział o faksie, ktoś musiał mu donieść.

Buch szedł dalej.

– Dobra. Zostawmy to na razie – zasugerowała Vemmer. – Oto prawda. Dowód, którego pan potrzebował, cały czas miał go pan pod nosem.

Byli już przy drzwiach. Buch je otwierał.

Puściła go i zaklęła.

– Ej, geniuszu! Może sprawdzisz daty na tych raportach? Czemu...

Buch zatrzasnął za sobą ciężkie drewniane drzwi.

Connie Vemmer stała na jasnej zimnej ulicy. Dopaliła papierosa, rzuciła niedopałek do rynsztoka i dodała kilka szpetnych przekleństw.

Drzwi się otworzyły. Wyszedł Buch i spojrzał na nią.

– Jakie daty?

\*

Ojciec Sebastiana Holsta mieszkał w niewykończonym mieszkaniu niedaleko pałacu Amalienborg. Wszędzie nowoczesne obrazy, na ścianach, na podłodze. Walizki i materiały budowlane. Stary budynek w drodze do świetności. Ale jeszcze było mu do niej daleko. Ściany trzeba było otynkować, sufit pomalować.

Zrobił Lund kawę i siadł obok niej przy stole pod oknem.

– Podobno Sebastian nie rozstawał się z aparatem – zaczęła.

Był masywnym mężczyzną, niewiele starszym od niej. Jasnoniebieskie oczy, włosy długie, w nieładzie.

Artysta, domyśliła się. Albo architekt. Nie powiedział.

– Zawsze robił zdjęcia. Takich rzeczy, które się dzieją w rodzinie. Każdy widzi świat swoimi oczyma. Dlaczego tego nie utrwalić?

– Wszystko?

– Wszystko, co się dało. Dużo zdjęć zrobił w Afganistanie. Wojsko je zatrzymało. Stwierdzili, że należą do nich. – Holst spojrzał spode łba. – To znaczy, że pani ich nie widziała?

– Wojsko powiedziało panu, że jego aparat zaginął?

– A skąd ma pani taką informację? Kilka tygodni przed śmiercią przysłał go do domu. Zniszczył go. Sebastian zawsze był trochę niezdarny. Miałem go naprawić. Albo kupić mu nowy. – Holst westchnął. – Pewnie to ostatnie.

Wstał, podszedł do jakichś kartonów pod rzędem jaskrawych obrazów. Wyjął aparat, nienowyy, sądząc z wyglądu.

– Na kliszę – powiedział Holst. – W pewnych kwestiach był bardzo wybredny.

– Były w nim zdjęcia?

– Nie. O ile wiem, tylko te, które wojsko zatrzymało. Nie pozwoliliby mu wysłać czegoś takiego, prawda?

Pojawił się cień nadziei i on się teraz go chwycił.

– Pewnie nie. Przepraszam, że pana niepokoiłam – powiedziała Lund, pakując torbę.

– Słyszałem, że znaleźliście jego dowódcę, Rabena. Teraz pewnie ta cała sprawa zostanie wywleczona.

– Jaka sprawa?

Holst patrzył na nią spode łba. Nie był idiotą.

– Proszę – rzekł – nigdy nie wierzyłem w całe to gówno. Że tam był jakiś oficer. Raben wymyślił to na swoją obronę. I tak chciał iść do tej wioski. To przez niego zginął Sebastian i pozostali.

Obracał w dłoniach stary aparat. Leica. Drogi. Poniszczony. Łagodna, prosta twarz mężczyzny nagle wykrzywiła się z gniewu.

– Sebastian mówił, że coś się stanie.

Wrócił do stołu chwiejnym krokiem i Lund zobaczyła teraz, że to wszystko było maską. W środku Holst był załamany, płakał.

– Straciłem obu synów na wojnie, której nie rozumiem – wyszeptał, padając ciężko na krzesło przy drzwiach. – Jeden wrócił do domu w trumnie. Drugi już nie jest sobą.

Potał oczy wierzchem dłoni.

– Gdzie popełniliśmy błąd? Czym oni na to zasłużyli?

W pokoju panowała cisza zakłócana tylko szmerem odległego ruchu ulicznego. Te ściany jeszcze długo zostaną nieotynkowane, niedokończone. Holst zagubił się w otchłani dalekiego konfliktu zbrojnego, który przerastał jego zdolności pojmowania.

Bawił się czule starą, zniszczoną leicą. Myślami gdzieś odpłynął.

– Szukam odpowiedzi – odezwała się Lund.

Holst się ocknął. Utkwił w niej spojrzenie smutnych ciemnych oczu.

– Odpowiedzi – powtórzyła. – I nie idzie mi łatwo.

– Jeszcze nikt mi nie zadawał żadnych pytań. Przyszli tylko o wszystkim mi powiedzieć. Co robić. Co mówić. Co czuć.

– Walczę, panie Holst. Ludzie ze mną nie rozmawiają. Chcą ukryć pewne spra...

Był przerażony, widziała to.

– Jeśli czegoś nam pan nie powiedział...

– To wyłącznie moja sprawa – powiedział szybko. – Niech pani nie wini nikogo innego. Ani Sebastiana, ani Frederika.

– Frederika?

Spojrzał na dwa zdjęcia stojące na pobliskim biurku zamykanym drewnianą żaluzją. Dwaj młodzi mężczyźni w mundurach.

– Jeśli on nie wróci, Bóg raczy wiedzieć...

– Stoimy w miejscu – powiedziała Lund.

Holst wstał, powłócząc nogami, podszedł do pudeł, znalazł maleńką kamerę wideo.

– Miał też to. W tajemnicy prowadził wideopamiętnik. Wrócił ukryty w leice.

Nacisnął kilka guzików. Nic się nie stało. Lund miała serce w gardle. Holst przetrząsnął kilka pudeł, znalazł parę baterii, wsadził je do urządzenia.

Włączył je. Na maleńkim ekranie pojawiła się twarz.

Nie trwało to długo. Potem Lund zadzwoniła do Madsena.

– Można przesłuchać Rabena? – spytała.

– Leży w szpitalu. To chyba nie jest trudne.

– Pytałam – wyjaśniła cierpliwie – czy można go przewieźć do Politigården.

– Zaczekaj chwilę.

Zaczekała.

Wrócił.

– Lekarz pozwala go tu zabrać na godzinę, najwyżej dwie. Potem musi wrócić. Żona jedzie się z nim zobaczyć. Moglibyśmy ją poprosić, żeby przyjechała tutaj.

– Może najpierw się z nim zobaczyć. Potem przesłuchanie. Chcę też, żeby był przy tym Brix.

– Ależ jesteście łaskawa.

Patrzyła na maleńki obrazek na ekranie.

– Nie sądzę – odparła.

\*

Umieścili Rabena w bezpiecznej poczekalni, z umundurowanym strażnikiem przy boku. Kiedy przybyła Louise, wściekła na policję i przestraszona spotkaniem, stwierdziła, że mąż na nią czeka. Stał z ramieniem na temblaku. Nie było widać krwi ani żadnych innych śladów po ranach.

Została w drzwiach. Nie wiedziała, co powiedzieć.

– Możemy prosić o odrobinę prywatności? – spytał Raben policjanta.

– Przykro mi – odrzekł tamten. – Muszę tu zostać.

– Na miłość boską – błagał Raben.

Funkcjonariusz popatrzył na niego, oparł się o ścianę.

– Usiądź, Jens – powiedziała i postawiła dwa krzesła na drugim końcu pomieszczenia.

Nie wyglądał najgorzej. Było w nim coś nieugiętego. Im więcej na niego zrzucano, tym twardszy się stawał.

Wyciągnął rękę, dotknął ją palcami. Zmarzła, czekając na zewnątrz. Nie zareagowała.

– To było... – Wpatrywał się w nią w ten swój natrętny sposób. Jakby mówił: „Przepraszam za wszystko, wybac mi”. – Nie wytrzymałem.

Przytulił ją mocniej. Znajomy zapach szpitalnego mydła i lekarstw.

– To się już nie powtórzy – obiecał.

Nie odzywała się.

– Wiem, że już to mówiłem. Tym razem...

– Nie rozmawiajmy o tym.

Patrzył na nią błagalnie, natarczywie.

– Zawiodłem cię. Ciebie i Jonasa. Wiem. Byłem okropnym mężem. Okropnym ojcem. Gdybym mógł cofnąć czas, zrobiłbym to.

Zobaczyła w głowie obrazy z poprzedniego wieczoru. Ona nad Søgardem. Fizyczny akt, nic więcej. Ale teraz ją prześladował.

Jego głos przybierał na sile, pojawiła się w nim nuta nadziei.

– Idzie ku lepszemu. Teraz mnie słuchają. Wiedzą, że mówię prawdę. Ty i Jonas...

– Dwa lata – wyszeptwała. – Cały czas sama. Nawet kiedy przychodziłam się z tobą zobaczyć. Nawet gdy zostawiali nas samych w Herstedvester. Prawie mnie nie dotykałeś. Mówiłeś tylko o sobie. O wojsku. O tym, co się stało...

– Możemy to naprawić.

Musiała to powiedzieć. Nie mogła dłużej tego kryć.

Wpatrując się w niego, wypowiedziała słowa, które przygotowała już wcześniej.

– Nie możemy. Przespałam się z Søgardem.

Na jego twarzy odmalował się taki szok, że aż ją to zabolalo. Wyglądał jak dziecko, które po raz pierwszy zobaczyło coś naprawdę



straszliwego.

Milczał. Ona odsunęła rękę.

– Przepraszam. O nic mi nie chodziło. Po prostu... byłam samotna. Tęskniłam za tobą, każdego dnia. Wiedziałam, że nie wrócisz. Nie po tym wszystkim. Nie mogłam już tego znieść. Tej samotności. – Nie płakała. Wydawało się to nie na miejscu. – Nie rozumiesz tego? Nas już nigdy nie będzie. Oni do tego nie dopuszczają.

Skierował wzrok na podłogę.

– Oni ci nie pozwolą, Jens.

Drzwi się otworzyły. Wszedł detektyw, którego wcześniej poznała, Madsen.

– Przepraszam – powiedział. – Koniec spotkania.

– Rozmawiamy – warknął na niego Raben.

Mundurowy podszedł do nich, stanął w gotowości.

– To ważne – nie odpuszczał Madsen. – Jest pan potrzebny natychmiast.

\*

Lund miała przekopione na laptopa nagranie Holsta. Raben siedział naprzeciwko niej, a Brix obok niego.

– Chce pan adwokata? – spytała, stukając w klawisze w poszukiwaniu pliku.

– Nie – odparł opryskliwym, szczeniackim tonem. – Chcę się zobaczyć z żoną.

– Sebastian Holst niedługo przed śmiercią przysłał ojcu nagranie wideo, które miało charakter pamiątnika. Wiedział pan o tym?

Raben pokręcił głową.

– Nie powinien. To niezgodne z regulaminem.

– Mnóstwo rzeczy jest niezgodnych z regulaminem – odparła Lund, obracając laptopa tak, by widział ekran. – A przysłał.

Twarz. Młody mężczyzna z brodą i kręconymi włosami. Miał na sobie biały T-shirt, wyglądał na zmęczonego i przestraszonego. W tle naga ściana, nierówny tynk i plakat turystyczny z Kopenhagą.

„...nie martw się, tato – mówił Sebastian Holst cichym głosem. – W naszym oddziale coś nie jest w porządku”.

Raben patrzył jak zahipnotyzowany na nieżyjącego już człowieka.

– Dlaczego muszę to oglądać? To był jeden z moich kolegów...

„...Raben jest najgorszy. – Głos Holsta nagrał się wyraźnie mimo małego mikrofonu. Chłopak pokręcił głową, zmrużył oczy i przez chwilę wyglądał na bardzo przerażonego. – Wariuje. Wszędzie widzi talibów. Myśli tylko o zabijaniu. Jakby siedział taki za każdym rogiem, a my musielibyśmy go zastrzelić jako pierwsi. Jezu...”.

Mężczyzna w więziennym kombinezonie ucichł, utkwiał wzrok w ekranie.

„...podejmuje za duże ryzyko. Robimy rzeczy, których nie powinniśmy robić. Czasami... – Głos Holsta się załamał. – Czasami wymyśla wezwania przez radio, żebyśmy mogli ruszyć na akcję i dokopać komuś. Dzisiaj rano...” – na twarzy Holsta odmalowały się wstyd i strach – „przeszliśmy rzekę i po raz trzeci najechaliśmy na taką wioskę. Raben uważa, że jeden z mężczyzn jest talibem”.

Holst złapał się za głowę.

„To są rolnicy albo piekarze. Może handlują prochami. Może dają komuś łapówki. Ale kto tu tego nie robi? Musieliśmy tam zrobić rozpiernicz. Raben krzyczał na koleś, że jest informatorem. Przyłożył mi pistolet do twarzy. Myślałem, że go zastrzeli”.

– Wyłączcie to – powiedział Raben, sięgając do laptopa.

– Nie – odparł Brix i odepchnął rękę tamtego. – Musi pan tego wysłuchać.

„...dzieci krzyczały – ciągnął Holst. – Matka i taka starsza kobieta płakały. Myśleli, że ich wszystkich pozabijamy. Raben oszalał, tato. Jutro chce zrobić to samo. Zupełnie jakby był na Dzikim Zachodzie. Rozmawiałem z innymi. Mówią, że będzie OK. Wrócimy do domu za kilka tygodni”.

Holst nie patrzył w kamerę.

„Nie chcę z nim zadzierać. Boją się. Ja też. Ale domyślam się... – kiwnięcie głową – domyślam się, że on wie, co robić. Jest szefem. Sprawdza się, kiedy robi się gorąco. Ktoś mu dał tę robotę. My tylko...”.

Uśmiech. Próbował wziąć się w garść dla rodziny.

„No... – ciągnął Holst – Pojęczałem sobie. Raben mówi, że cały czas jęczę. Za kilka tygodni wracamy do Kopenhagi. Nie mogę się doczekać, kiedy was zobaczę. – Pokręcił głową. – Nie wrócę tu już nigdy. Obiecuję”.

Szerszy uśmiech.

„Tęsknię za wami. Niedługo się zobaczymy. Jeśli spotkam brata, to go od was uściskam. Pa”.

Nieżyjący już dziś mężczyzna w białym podkoszulku wyciągnął rękę, by wyłączyć kamerę. Lund zamknęła pokrywę laptopa.

– Czy to prawda?

Pukanie do drzwi. Telefon do Brixa. Wyszedł odebrać.

– Czy to prawda? – powtórzyła Lund.

– Sebastian znalazł się tam tylko dlatego, że wcześniej zaciągnął się jego starszy brat. To była taka rywalizacja między nimi. Nie nadawał się do tego.

– Powiedział, że pan łamał rozkazy. Groził cywilom.

– To wojna! Nie jakaś gra! Nie chodzi o Sebastiana! Chodzi o Perka!  
– Ta rodzina, o której wspomniał. To ci sami, których Perk zabił?  
– Wymordował ich, dobra?  
– Zatem pan i reszta oddziału byliście już wcześniej w tym domu?  
– Ten facet był oszustem. Sprzedawał narkotyki. Przekazywał wiadomości o ruchach naszych oddziałów talibom. Szumowina...

– A pan zdecydował, że wróci tam i to udowodni?

Raben ze znużeniem pokręcił głową.

– Pani mnie nie słucha. Nieważne, co ja myślę. Odebraliśmy wezwanie przez radio. Zapewne Perka wysłał ktoś, kto nim kierował, bo też to wiedział.

– To nie jest nieważne, Raben. Nie ma żadnych zapisów o wezwaniu do tego domu. Nie było oficera o nazwisku Perk.

Zaklął, a jego twarz przybrała wyraz nie do końca dla niej zrozumiały. Chyba że była to klęska.

– To, co wam powiedziałem, jest prawdą. Nie mogę...

Lund była coraz bardziej wściekła. Wyjęła fotografie z miejsca zbrodni i z autopsji.

– Proszę na to spojrzeć – powiedziała, rozkładając zdjęcia na stole. – Zabito pięć osób.

Anne Dragsholm. Myg Poulsen. Grüner. Lisbeth Thomsen. Kapelan. Bestialsko zamordowani. Nieruchome, rozdarte ciała utrwalone na zdjęciach.

– Zrobiłam wszystko, co się dało, żeby znaleźć tego oficera – powiedziała. – Jeśli pan mnie okłamał i on nie istnieje... – Głos jej się załamał. – Na miłość boską, niech mi pan powie o tym teraz i skończmy z tym absurdem. Zrobię, co mogę, żeby panu pomóc. To obietnica, a nie wiem, czy pan na nią zasługuje.

Wydawał się spokojny. Spokojniejszy niż ona.

– To ja podjąłem decyzję, żeby wejść do wioski. Reszta nie chciała iść. – Wpatrywał się w nią. – Mieli rację. Powinienem ich posłuchać.

– Powinien pan...

– Ale oficer był. Odebraliśmy wezwanie przez radio. Nazywał się Perk. – Przerwał, sprawdził, czy ona na niego patrzy. – To człowiek, którego widziałem. Ten, który próbował mnie zabić.

Drzwi się otworzyły. Wszedł Brix. Usiadł.

– Właśnie dostaliśmy dokumentację z wojska – powiedział. – Wynika z niej niezbitie, że policjant, którego wczoraj pan oskarżył... – Brix przesunął zdjęcia po blacie, zerknął na nie – nie znajdował się wówczas w Afganistanie. Nie mógł być Perkiem. Niemożliwe.

Mężczyzna w więziennym kombinezonie zaklął i potrząsnął głową.

– Co ze starszym bratem Sebastiana? – spytała Lund. – Zna go pan?

– Właściwie nie. – Mówił głosem cichym i żalonym. – Był lekarzem w Obozie Viking.

– Lekarz wojskowy? Frederik?

– Czemu mnie pani pyta? – odparł, waląc się pięścią w głowę. – Ja przecież jestem nienormalny, prawda?

Po czym walnął pięścią w zdjęcia poharatanych ciał.

– Ktoś tych ludzi zabił, prawda? I to nie byłem ja!

– Musimy porozmawiać z Frederikiem Holstem – powiedział Brix. – Załatw to.

\*

Debata nad pakietem antyterrorystycznym przeciągnęła się do wieczora. Posłanka Birgitte Agger robiła wszystko, żeby ją zablokować.

Buch przez godzinę jeździł po Kopenhadze z Connie Vemmer, patrzył, jak ona pali, i cały czas uważnie jej słuchał.

Kiedy zdecydowanym krokiem wszedł do swojego gabinetu, Karina i Plough czekali już na niego. Przestrzeń przed biurkiem przygotowano na konferencję prasową, podczas której miał powiadomić opinię publiczną o swojej rezygnacji. Mikrofony stały już w gotowości.

– Przepraszam, że cię oszukałam – odezwała się Karina, gdy podszedł do swojego biurka. – Musiałeś się z nią spotkać.

Buch usiadł na swoim krześle. Wydawało mu się znajome. Wygodne. Właściwe.

– Wiemy, że nie możesz nam powiedzieć wszystkiego – dodał Plough.  
– Ale jeśli czujesz, że jesteś w stanie...

W żółtej teczce miał plik dokumentów. Buch przeczytał nagłówek raz jeszcze, zaabsorbowany tym, co powiedziała Vemmer.

– Nawet jeśli nic z tym nie zrobisz – mówiła Karina – myślę, że zasłużyłeś na to, by jej wysłuchać.

Buch ciągle milczał.

– Pogodziłem się z wyjazdem do Skopje – dodał Plough. – To zdaje się w Macedonii.

Buch patrzył na mikrofony.

– Thomas – podjęła Karina cicho. – Jeśli zamierzasz coś zrobić, musisz...

– Kiedy zaczyna się głosowanie?

– Niedługo.

– Krabbe tam jest?

– Oczywiście.

Chwycił żółtą teczkę z biurka i wstał.

– Ale Krabbe nie ma z tym nic wspólnego! – zawołała, gdy biegł do drzwi.

– To porządny człowiek – krzyknął Buch. – Nie w moim typie, ale... – Machnął teczką. – Mam tylko jego.

\*

Folketinget przed głosowaniem przypominał teatr w antrakcie. Mężczyźni i kobiety w poważnych strojach konferowali szeptem w holu.

Buch zobaczył Krabbego na drugim końcu korytarza, jak rozmawiał z jednym z asystentów Grue Eriksena. Potem zniknął w toalecie.

Przy pisuarach nikogo nie zastał. Podszedł więc do kabin.

– Krabbe? – zawołał. – Jest pan tu? Jest pan. Wiem przecież. Widziałem, jak pan wchodził. Krabbe?

Przeszedł wzdłuż kabin, szukając czerwonego znaczka sygnalizującego zamknięcie zamka i stóp widocznych pod drzwiami.

Okazało się, że tylko jedna toaleta jest zajęta. Z żółtą teczką w ręku Buch podciągnął nogawki, przykląkł i przyłożył swoją brodatą twarz do podłogi, by zajrzeć do środka.

– Krabbe? To pan?

Widział tylko dwie czarne pomarszczone nogawki wokół chudych kostek, błyszczące buty i bardzo kolorowe majtki.

– Jasna cholera – dobiegł ze środka niezadowolony głos. – To się w pale nie mieści! Jeśli chce pan ze mną porozmawiać, niech pan zadzwoni do mojej sekretarki. Teraz wolalibyśmy pobyć sam.

– Raport medyczny o dodatkowej ręce został przefaksowany w sierpniu – mówił Buch, zezując pod drzwiami. – A poprawiony dopiero w październiku!

– Naprawdę? – Krabbe westchnął.

Buch wsunął żółtą teczkę pod drzwiami.

– Widzi pan, co z tego wynika? – spytał, podtykając dokumenty niewidocznemu rozmówcy. – Najpierw pojawia się raport sugerujący, że zamordowano cywilów.

Przy podłodze pojawiła się ręka i wzięła teczkę.

– Cóż za żałosna próba utrzymania się na stołku!

Buch wstał, zastanowił się, jak trudno byłoby otworzyć drzwi siłą.

– Nic podobnego. Chcę tylko prawdy, tak jak pan. Rozumie pan, o co mi chodzi? Pomimo doniesień z pierwszego raportu przez dwa miesiące nikt nic nie zrobił. Całe dwa miesiące!

Walnął pięścią w drzwi. Niestety, znów zaczynał się wściekać.

– Nie było powodu do pośpiechu, prawda? – zawołał Krabbe. – To była ręka zamachowca.

Zanim Buch odpowiedział, drzwi się otworzyły i mężczyzna ze środka wyszedł, po czym ruszył do umywalki.

– Dlaczego przez cały ten czas nikt nic nie powiedział? – spytał Buch.  
– O co im chodziło?

Patrzył, jak Krabbe myje ręce, bardzo dokładnie i drobiazgowo, używając mnóstwo mydła i gorącej wody.

– Kiedy wpłynął pierwszy raport, Grue Eriksen wniosł o dodatkowe fundusze, by wysłać więcej żołnierzy do Afganistanu. – Buch dźgnął kartki w rękach Krabbego. – Tu i tu. Sam pan widzi. Gdy tylko Folketinget zebrał się po październikowej przerwie, wydatek został niezwłocznie zaakceptowany.

Krabbe czytał dokumenty.

– Pan i pańska partia głosowaliście za – ciągnął Buch. – Ja też. Czy bylibyśmy tacy zgodni, gdybyśmy wiedzieli, że nasi żołnierze są oskarżeni o masakrę na cywilach?



– To niczego nie dowodzi. To tylko spekulacje. – Krabbe oddał teczkę Buchowi. – Nie wierzę, żeby Grue Eriksen manipulował...

– Ale tak właśnie było, do diaska! Sam pan widzi.

Krabbe spojrział na swoje dłonie i wsunął je pod suszarkę.

– Śmiało, niech pan idzie i walczy o bardziej restrykcyjny pakiet antyterrorystyczny. Ale czepia się pan niewłaściwych ludzi. Ci żłośni imigranci nie zamordowali naszych ludzi. To był ktoś...

– Kto? – spytał Krabbe.

– Nie wiem. Ktoś bliżej nas. Niech mi pan pomoże. Myślę...

– Tak ciężko nad tym pracowaliśmy...

– Krabbe! – przerwał mu Buch donośnie i stanowczo. – Bądźmy szczerzy. Większości pana poglądów nie trawię. Pan na pewno czuje do mnie to samo. Ale wiem jedno... – Jego gruby palec kołysał się przed wąską bladą twarzą Krabbego. – Nie lubi pan być okłamywany. I nie lubi pan być wykorzystywany.

Buch wziął żółtą teczkę i pomachał nią Krabbemu.

– Proszę – powiedział. – Jak pan widzi, mamy coś wspólnego. Pytanie brzmi...

Krabbe słuchał uważnie.

– ...co z tym zrobić?

\*

Uroczystości pożegnalne przed wyjazdem nowej zmiany dobiegły końca. Torsten Jarnvig stał przed świetlicą w koszarach Ryvangen i patrzył, jak żołnierze żegnają się z rodzinami. Søgaard też tam był.

– Myślę, że wyjeżdżają w dobrych nastrojach – powiedział, gdy pułkownik podszedł do niego.

– Nigdy mi nie mówiłeś, że zarejestrowaliśmy kontakt radiowy pięć dni przed tą historią z Rabenem. – Jarnvig rzucił dokumenty na maskę mercedesa Søgaard. – Przejrzałem wszystkie zapisy. Zobaczyłem to...

Ciągle był wściekły. Butny wyraz twarzy Søgaard tylko pogarszał sytuację.

– Co? – spytał.

Jarnvig walnął pięścią w dokumenty.

– Zarejestrowaliśmy wiadomość. W sierpniu, dwa lata temu. Kiedy byłem w Kabulu.

Søgaard sięgnął po zapisy.

– Pięć dni przed incydem.

– Skoro tak mówisz – mruknął Søgaard. Przewertował kilka kartek.

– Nadała ją jednostka sił specjalnych. W archiwach nie ma jej numeru. Nie ma nazwisk.

Søgaard pokręcił głową.

– Nie rozumiem. Co sugerujesz?

– Sugeruję? – wrzasnął Jarnvig. – To jest tu czarno na białym. Trzydzieści kilometrów od wioski, do której trafił oddział Rabena, znajdowała się inna nasza jednostka.

– W życiu nie widziałem tego na oczy.

Odłożył dokumenty na maskę.

– Ty dowodziłeś pod moją nieobecność. Każda wiadomość przechodziła przez twoje biurko...

– Mówię ci. Nigdy tego nie widziałem.

Jarnvig grzmotnął pięścią w samochód.

– To jest w aktach, Søgaard. Nawet jeśli przysypiałeś na służbie, a wątpię, prowadziłeś dochodzenie w sprawie zeznań Rabena. Powiedział, że w okolicy był ktoś z sił specjalnych. Nie uwierzyliśmy

mu, bo ty – Jarnvig podniósł rękę – ty nam powiedziałaś, że nikogo nie było.

Nic. Ani słowa.

– Powiedziałaś, że widzieli duchy.

– Bo widzieli. To nie dowodzi, że on nie kłamał.

– Dowodzi, że mógł mieć rację! A ty o tym nikomu nie wspomniałaś.

– Jarnvig przysunął się o krok do wysokiego dokładnego mężczyzny w schludnym mundurze. – Dlaczego? Słucham. Wyjaśnij mi.

– Nie wiedziałem o tym. Nigdy nie widziałem tej wiadomości. Nie miałem pojęcia, że w tym rejonie znajdowały się jakiekolwiek jednostki sił specjalnych.

– To jest tutaj! – ryknął Jarnvig, machając mu teczką przed nosem.

– Jeśli wpłynie oficjalna skarga, chciałbym zapoznać się z jej szczegółami. I chcę, żeby powiadomiono Dowództwo Operacyjne. Dochodzenie prowadził też zespół generała Arilda.

Jarnvig wpatrywał się w niego groźnie i czekał.

– Słuchaj – podjął Søgaard łagodnie. – Nie mam teraz na to czasu. Muszę jechać na lotnisko. Wylatujemy za pięć godzin.

– Nigdzie nie jedziesz. Zawieszam cię. Znajdę kogoś, kto wsiądzie za ciebie do tego samolotu. Masz zakaz opuszczania koszar, dopóki się nie dowiem, co tam się, do cholery, stało.

– Mam być w Helmand! – krzyknął Søgaard.

– Nie tym razem – odparł Jarnvig. – Zostajesz tutaj.

\*

Czterdzieści minut później, po zjedzeniu kolacji z milczącą Louise i zmęczonym Jonaszem, Jarnvig udał się do swojego gabinetu. Cekał tam na niego Jan Arild.

Pułkownik próbował się do niego uśmiechnąć. Nie miał złudzeń, co się stało. Søgaard musiał zadzwonić do generała.

– Cieszę się, że przyjechałeś – rzekł, siadając naprzeciwko gościa. – Miałem do ciebie dzwonić.

– Cały dzień nie mogłem cię złapać, Torstenie – odparł Arild, rozsiadając się na krześle i zakładając ręce za głowę.

– Orientowałem się w polowaniach – skłamał Jarnvig. – Powinniśmy czasem znów razem zapolować. I zdjąć te mundury raz na jakiś czas.

– Mówiłem ci już – odparł tamten, chmurząc się. – Nie mam na to czasu. W każdym razie nie na takie polowania, jak lubisz.

– To szkoda.

– Niezupełnie. Tamte dni dawno minęły. Ja do czegoś doszedłem, Torstenie, a ty... – Rozejrzał się po niewielkim gabinecie. – Ty po prostu służyłeś, prawda?

– Niewykluczone, że Raben miał rację. – Jarnvig zignorował drwinę. – Pięć dni przed atakiem na jego oddział jednostka duńskich sił specjalnych nawiązywała kontakt radiowy.

Arild – w swoim zielonym mundurze, z rudymi włosami starannie ułożonymi – sprawiał wrażenie znudzonego.

– Musimy powiadomić policję – dodał pułkownik.

– Czy nie dość znosiliśmy już z ich strony? Po co znowu zwracać ich uwagę?

– Bo niewykluczone, że Raben mówił prawdę!

– Ten człowiek jest szalony. Szkoda. Kiedyś pewnie był dobrym żołnierzem. My tu w wojsku nie chcemy, żeby cywile dyktowali nam, co mamy robić. Nie rozumiem, dlaczego to cię tak bardzo zajmuje.

– Niewykluczone, że Søgaard zataił informacje. Że zatuszował to, co się stało. Ja byłem wówczas w Kabulu. On dowodził. Sam. Mówi, że nie

widział rejestru rozmów radiowych. To nie może być prawda. Te raporty trafiały na moje biurko codziennie.

– To bardzo poważny zarzut.

– Wiem.

– Masz rację – przyznał Arild. – Coś tu nie gra. – Wpatrywał się w Jarnviga. – Ale nie chodzi o Søgaard, prawda?

Torsten Jarnvig spojrział na uśmiechniętą twarz generała i zrozumiał, że ta rozmowa nie skończy się dobrze.

– Jesteś podłym kłamcą – kontynuował Arild ze śmiechem. – Zawsze byłeś. Udowodnię to. Spójrz mi w oczy i odpowiedz: pomogłeś Rabenowi wymknąć się PET na balu?

– O co ci chodzi?

– To proste pytanie. Tak proste, że już znam odpowiedź. W zaufaniu powiedziałem ci, że PET go obserwuje. Ale on jakimś cudem wydostał się niepostrzeżenie z budynku. Ktoś widział, jak wchodzisz do jednego z pomieszczeń. Raben tam był, prawda?

– Ważne jest to, co wydarzyło się w Helmand, Janie. Musimy przeprowadzić dochodzenie.

– Nie mów mi po imieniu, pułkowniku. To uchodziło dwadzieścia lat temu. Nie teraz.

Arild wziął swoją czapkę.

– Jesteś mało znaczącym człowiekiem. O ograniczonej wyobraźni i skromnych ambicjach. Cholera! – Arild podniósł głos w nagłym przypływie złości. – Nie umiesz nawet skłamać, by ocalić swoją skórę.

– Nie możemy odłożyć na później kwestii osobistych?

– Dalej! Odpowiedz po prostu. Spójrz mi w twarz i odpowiedz. Widziałeś się wtedy z Rabenem czy nie?

Torsten Jarnvig zdjął okulary i milczał.

Arild odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

Po czym w jednej chwili spoważniał.

– Wezwałem żandarmerię. Pójdiesz z nimi. Nie rób hałasu.

– To... – Jarnvig machnął dokumentami z Dowództwa Operacyjnego – ...nie pozbędziesz się tego.

Arild się uśmiechnął.

– Już się pozbyłem. I ciebie też.

Spojrzał na nędzne biuro, które Jarnvig zajmował od niemal dziesięciu lat.

– Teraz urządzi się tu Søgaard. Moim zdaniem przydałoby się pomalować.

\*

Lund już od prawie godziny szukała Frederika Holsta. Bała się, że nigdy jej się to nie uda. Nagle wszedł Brix, trzymając coś w ręku.

Skończyła rozmowę. Podziękowała ojcu Holsta, który znowu odgrywał przerażonego i pogrążonego w niewiedzy.

– Nikt nie chce rozmawiać o Frederiku Holście – powiedziała do Brixa. – Nawet jego krewni.

– Może mają po temu powody. Dotarłem do kogoś w Dowództwie Operacyjnym. Minęliśmy się z nim. Holst właśnie wrócił do Afganistanu. Przez miesiąc był na urlopie w Kopenhadze. Wygląda na to, że wynajął mieszkanie w Islands Brygge, niedaleko miejsca, w którym zginął Grüner. Chyba się z nikim nie kontaktował.

– Dlaczego miałyby to zrobić?

Brix pokazał jej plastikową osłonkę na dowody. W środku znajdowała się fotografia.

– Znaleźliśmy to w śmieciach, które zostawił.

Zdjęcie z wojska. Żołnierze podczas krótkiego odpoczynku. Oddział Rabena na tle duńskiej flagi, z puszkami piwa w dłoni. Szczęśliwi. Pijani. Sebastian Holst na przodzie wykrzykuje coś z uniesionym ramieniem. Za nim reszta. Myg Poulsen. Lisbeth Thomas. Grüner. I pozostali.

Mundury polowe. Na stole pełno jedzenia i picia. Chwila odpoczynku po służbie.

Czerwonym pisakiem skreślono wszystkie twarze poza jedną: Jensa Petera Rabena.

Lund podeszła do biurka, sprawdziła telefony, sprawdziła dokumenty. Od dłuższej chwili nie dawała jej spokoju pewna myśl.

– Dzisiaj wieczorem żołnierze z Ryvangen wylatują do Afganistanu. Możesz nas dołączyć do ich lotu. – Zastanowiła się chwilę. – Jeśli potrzebuję paszportu, muszę najpierw pojechać do domu. – Spojrzała na Brixa. – Potrzebuję paszportu? To duńskie terytorium, prawda? Pod naszą jurysdykcją.

Brix był tak zaskoczony, że mógł się tylko roześmiać.

– Co ty, do diabła, gadasz?

– Kręcimy się w kółko. – Lund wyciągnęła jakieś akta, które mogły jej się przydać. – Frederik Holst widział wideopamiętnik swojego brata. Odesłał kamerę. Ojciec to potwierdził.

– Lund...

– Frederik był na dyżurze w szpitalu polowym, gdy przywieziono ciało jego brata. Gdyby był tutaj, ściągnęlibyśmy go od razu na przesłuchanie. Nie możemy go pominąć tylko dlatego, że jest w Helmand...

– Muszę pogadać z Hedeby. Trzeba przeanalizować inne możliwości. Pozwolenie...

Teraz ona się roześmiała.

– Daj spokój. To potrwa kilka dni. Nie możemy czekać na papiery.  
– Są pewne procedury.  
– No proszę cię. – Nie odrywała od niego wzroku, nie odpuszczała. – Wyciągnąłeś te informacje o Holście z Dowództwa Operacyjnego, a ja nie mogłam. Wiesz, z kim rozmawiać.

Wzięła teczkę, poprosiła jednego z funkcjonariuszy przy biurkach, by sprawdził raporty medyczne.

– Nie mogę cię dołączyć do lotu wojskowego – powiedział Brix. – Jest za późno.

– Nie mamy już gdzie szukać.

– To strefa działań wojennych!

Patrzyła na niego i wiedziała, że musi to powiedzieć.

– Gdyby decydowała tu Ruth Hedeby, już dawno wróciłabym do Gedser. Nie wiem, co na nią masz, i nie dbam o to. Zrób to po prostu, bardzo cię proszę.

Wahał się.

– Nie możesz sama jechać do Afganistanu.

– Wiem.

– Więc...? – Brix zamilkł na chwilę. Wiedział, o czym ona myśli. – To dobry pomysł?

– Załatw loty i dokumenty. Resztę zostaw mnie.

\*

Brix od razu chwycił za telefon. To się musi udać, pomyślała. Będzie miała okazję zobaczyć daleki, zamknięty świat Helmand. Potem wróci, z odpowiedziami.



Ostatni stempel w paszporcie miała z wakacji na Majorce z Markiem, sprzed dwóch lat. Jej syn większość czasu snuł się z nieszczęśliwą miną. Bardzo ją to denerwowało.

Przeszła czarnym marmurowym korytarzem, znalazła pokój przesłuchań, wywaliła policjanta przydzielonego do pilnowania Strangego. Usiadła obok niego na ławce. Dżinsy i T-shirt. Tatuż ledwie widoczny na ramieniu. Strange wyglądał na faceta, który bez wahania pojechałby wszędzie.

Nadał policzki, westchnął, milczał.

– Mój dawny partner... Jan Meyer... – zaczęła Lund. – Pojechaliśmy do tego magazynu.

Strange przestał gapić się w podłogę, a spojrzał na nią.

– Było ciemno. Weszłam do środka. Myślałam, że tam nikogo nie ma. – Ręce Lund nie mogły spocząć w bezruchu. Tak trudno było jej o tym mówić. – Meyer wszedł chwilę później. Wiedział, że ktoś tam jest.

Strange nie odrywał od niej wzroku.

– Nie powinnam była wchodzić tam sama. To wszystko moja wina. Znaleźliśmy człowieka, który postrzelił Meyera. – Nie wiedzieć czemu otarła usta rękawem czarno-białego owczego swetra. – I co to zmieniło? On dalej jest przykuty do wózka.

Przerwa. Nie wiedziała, czy to powiedzieć, czy nie.

– Czasami się zastanawiam, czy on nie wolałby wtedy zginąć. Kiedy go widziałam w szpitalu, tak właśnie wyglądał. Ale...

– Ludzie się zmieniają – powiedział Strange. – Na lepsze.

– Czasami tak – przyznała. – A czasami na zawsze pozostają tacy, jacy są. – I znowu chwila wahania. – Jak ja.

Przyglądał się jej, trzymając dłonie na kolanach, z tą dziwną, spokojną, regularną twarzą, jak zwykle pełną zainteresowania.

– Zamknęłam się w pancerzu. Wzięłam tę robotę w Gedser i powiedziałam sobie... – Głos miała pewny i nieustraszony. – Jeśli nic nie czujesz, to nic cię nie zrani. Gedser było akurat.

Strange uniósł brew.

– Chciałam zostać tam na zawsze. Gdybyś się nie pojawił, tak by się stało. – Przysunęła się trochę bliżej do niego, spojrzała mu w oczy. – Ani szczęśliwa. Ani smutna. Żadna.

Brew opadła. Cień uśmiechu pojawił się na zarośniętej twarzy Strangego.

– Przepraszam – powiedziała, patrząc prosto w jego szaroniebieskie oczy. – Trudno ufać ludziom, jeśli nie można zaufać samemu sobie. Rozumiesz?

Chwila niezdecydowania.

Potem się roześmiał, tym niskim autoironicznym śmiechem, który zdążyła polubić.

– Tak – powiedział. – Zawsze wybieram trudne przypadki. I co teraz? Bliskość.

To ją przerażało. Zawsze już tak będzie.

– Musimy jechać.

– Dokąd? – Strange spojrzał na swoją koszulkę i dzinsy. – Kiedy mnie tu zabierali, nie pozwolili mi nawet wziąć kurtki.

Klepnęła go w udo i wstała.

– Weźmiemy ją po drodze. I twój paszport.

Ulrik Strange siedział na ławce z rozdziawionymi ustami.

– Jedziesz czy nie? – spytała. – Musimy zdążyć na samolot.

\*

Godzinę później. Lotnisko Kastrup. Brix zrobił wszystko, żeby samolot rejsowy zaczekał na nich piętnaście minut. Odprowadził ich do bramki. Podał teczkę.

– To akta personalne Frederika Holsta i nakaz jego aresztowania. Kilka telefonów kontaktowych w Afganistanie. Proszę...

Telefon satelitarny w futerale, z instrukcjami.

– To powinno działać wszędzie, gdziekolwiek byście się znaleźli. Gdyby wojsko robiło wam kłopoty, dzwońcie. Strange?

Ten odzyskał już swoją kurtkę. I pewność siebie.

– Tak?

– W twoich aktach znajduje się informacja, że mówisz po pasztuńsku. Strange się roześmiał.

– Nie strzelaj. Gdzie jest toaleta? Można tu kupić piwo? To wystarczy?

Brix nie miał nastroju do żartów.

– Masz doświadczenie wojskowe. Lund nie. Chcę, żebyś ty grał tam pierwsze skrzypce. – Spojrzał na Lund. – Słyszałaś? Robisz, co on każe.

Strange znowu się roześmiał i potrząsnął głową.

– Do Stambułu lecicie trzy godziny – ciągnął Brix. – Wizy i pełnomocnictwa zostały już przesłane faksem. Kiedy znajdziecie się w Turcji, przejmie was wojsko i wsadzi na pokład jednego z samolotów lecących do Obozu Bastion. Pięć godzin. Będziecie tam rano naszego czasu. U nich będzie południe. Spróbujcie się przespać.

– Chyba nigdy nie siedziałeś w wojskowym samolocie – powiedział Strange.

Otworzyły się drzwi. Stewardesa gestem przywołała ich na pokład.

– Przez ten czas jesteście pod kontrolą wojska – dodał Brix. – Nie oddalajcie się. Wróćcie tą samą drogą. Loty są załatwione. Na Kastrup

wylądujecie za trzydzieści sześć godzin. Jakież pytania?

Żadne z nich się nie odezwało.

Brix westchnął.

– Na miłość boską, uważajcie na siebie – powiedział.

I patrzył, jak wsiadają do samolotu.

\*

Kiedy Brix wrócił do swojego biura, czekały na niego wiadomości z wojska. Z Dowództwa Operacyjnego, z Ryvangen i z innych miejsc.

Zignorował je, wezwał zespół dochodzeniowy, kazał znaleźć wszystko, co się da, na Frederika Holsta. Billingi telefoniczne, płatności kartą kredytową w okresie, gdy przebywał na urlopie. Pełen profil.

– Chcę znać wszystkie jego ruchy dzień po dniu, od chwili, gdy wysiadł z samolotu, do chwili, gdy ponownie do niego wsiadł. Gdzie przebywał w czasie, gdy popełniono morderstwa? Co wie jego ojciec?

Hedeby stała na uboczu, blisko korytarza, który prowadził do jej gabinetu. Nie musiała przywoływać go skinieniem. Wezwanie było wymalowane na jej twarzy.

Brix przeczytał notatki sporządzone przez Madsena po rozmowie z sąsiadami Holsta z Islands Brygge. Niewiele z nich wynikało, ale nie spieszył się. Wreszcie udał się do gabinetu Hedeby, zajął krzesło i patrzył, jak ona zamyka drzwi.

Była wściekła. Często bywała wściekła, odkąd Lund wróciła do Politigården. Hedeby kiedyś zaliczała się do naprawdę solidnych detektywów. Awans uczynił z niej urzędnika administracji państwowej zawiadującego budżetem i zasobami, a ona nawet tego nie zauważyła.

– Odebrałam z ministerstwa telefon z prośbą o wyjaśnienia – powiedziała.

– Nic dziwnego.

– A także od połowy armii. – Stała przy oknie i patrzyła na Brixa z góry.

Ten wzruszył ramionami.

– To się stało bardzo szybko. Strange został oczyszczony, a Lund wpadła na trop...

Podeszła do szafki z aktami, walnęła w nią pięścią. Brix starał się nie roześmiać.

– Gównu mnie obchodzi Lund i Strange! Co, u diabła...?

– Znaleźliśmy podejrzanego. Właśnie wrócił do Helmand. Jego brat walczył w oddziale Rabena. To jeden z zabitych w Afganistanie.

– I nikt mi nie powiedział?

– Brat, ten, którego szukamy, nazywa się Frederik Holst. Śledził członków oddziału Rabena. – Podał jej papiery, które dostał od Madsena. – Jest lekarzem w jednym ze szpitali polowych w Lashkar Gah.

Wzięła papiery, spojrzała na nie.

– Holst ma motyw. Był w Kopenhadze, gdy popełniono morderstwa, więc miał też możliwość. Nie mogliśmy zignorować...

– Do cholery, Lennart! – wrzasnęła. – Wiesz, że takie rzeczy muszą przejść przeze mnie.

Brix rozsiadł się wygodnie, założył długie ręce za głowę, zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Ale ty byś powiedziała „nie”, Ruth. O co więc chodzi?

Po raz pierwszy oniemiała.

– Poprzesuwałabyś trochę papierów na biurku – ciągnął. – Zadzwońłabyś do kogoś w ministerstwie, kogo by nie było. Czekalabyś do rana.

Zero odpowiedzi. Tylko te szeroko, bardzo szeroko otwarte oczy.

– Nienawidzę czekać – ciągnął. – Nie bardzo lubię być okłamywany. Holst pasuje do naszego profilu sprawcy. Samolot czekał. Zdołałem załatwić naprędce wizy i pozwolenia...

– Nie mogę uwierzyć, że mi to zrobiłeś. Po tym wszystkim...

– Samolot odleciał. Są w powietrzu. Już po wszystkim. – Wzruszył ramionami. – I tyle.

Brix podniósł, ruszył do drzwi. Za progiem stał Madsen z telefonem w ręku.

– To Ministerstwo Sprawiedliwości – powiedział, patrząc na Hedeby. – Chcą poznać aktualną sytuację.

\*

Brix poszedł do Rabena w pokoju przesłuchań. Zmęczony, nadal z ręką na temblaku, jęczał o środki przeciwbólowe, choć wcale nie wyglądał, jakby ich potrzebował.

Jeden z młodszych detektywów próbował go zmusić do mówienia. Raben zerknął na wchodzącego Brixa wzrokiem, który mówił: „Nie masz nic lepszego?”.

– Powiedz mi o Frederiku Holście – zażądał młody policjant.

Raben ziewnął.

– Jak wyglądały wasze stosunki?

– Nie mieliśmy stosunków. On był lekarzem. Lekarze nie zadają się z żołnierzami, dopóki nie muszą.

Brix usiadł.

– Jak idzie? – spytał.

– Nijak. On się trzyma tej jednej głupiej historii.

– Może dlatego, że ta głupia historia jest prawdą – podsunął Raben znużonym głosem.

– Sprytny dupek – odparł policjant. – Albo coś powiesz, albo spędzisz tu całą noc.

– Choćby i do końca świata – skwitował Raben z uśmiechem.

– Zostaw nas samych – rozkazał Brix i czekał, aż policjant wyjdzie.

Wtedy Raben przestał sprawiać wrażenie takiego pewnego siebie.

Brix przewertował papiery, zerknął na Rabena.

– Rozmawiałem z Herstedvester. Frederik Holst chciał cię tam odwiedzić. Dzwonił pięć razy. Za każdym razem odmawiałeś.

– Chcę się zobaczyć z żoną.

– W mieszkaniu Holsta znaleźliśmy kilka listów. Były zaadresowane do ciebie. – Przesunął teczkę po stole. – Wysłał je do więzienia, ale je odesłano.

– Po co mi pan mówi rzeczy, które wiem?

– Holst był na ciebie zły. Widział wideo. Winił cię za śmierć brata.

– Spytajcie o to Holsta. Nie mnie.

– Zamierzamy. Lund właśnie leci do Helmand.

Zmęczone oczy Rabena otworzyły się szeroko.

– To się nie skończy, dopóki nie wyjaśnimy wszystkiego, Raben. Dopóki się nie dowiemy, co się stało. W twoim interesie leży, żebyś nam pomógł...

Raben walnął w stół zdrową ręką.

– Pomogłem wam! Powiedziałem prawdę! – Twarz miał surową i nieruchomą. Nie odrywał wzroku od Brixa. – Jakiś oficer wymordował tę rodzinę. Ściągnął na nas talibów. Nie ja...

– Powiedziałeś, że to był jeden z naszych ludzi. Ale sprawdziliśmy. W tym czasie w ogóle nie było go w Helmand. Jak mamy w to

wierzyć...?

– Chcę porozmawiać z żoną.

Raben skierował wzrok na stół.

– Musisz się zastanowić nad swoimi zeznaniami. W części obciążającej Ulrika Strangeo. Zrób to, a my postaramy się przyspieszyć bieg spraw. Mówię ci: to nie mógł być on.

Raben się wściekał.

– Porozmawiajcie z pułkownikiem Jarnvigiem. On mi wierzy. To wszystko jest w aktach. Musicie tylko szukać we właściwych miejscach. Nie możecie słuchać ich kłamstw.

– Czyich kłamstw? – spytał Brix.

– Ludzi z sił specjalnych! – wrzasnął Raben. – Duchów. Komandosów. Facetów... – Machnął ręką na drzwi. – Facetów, którzy przychodzą i odchodzą, a my nie znamy nawet ich nazwisk. Ich kłamstw. Spytajcie Jarnviga.

– Jarnvig przebywa w areszcie. Przesłuchuje go żandarmeria wojskowa. Podobno pomógł panu wymknąć się spod nadzoru PET.

Cisza.

– Jutro odbywa się posiedzenie aresztowe w pańskiej sprawie. Niech pan sobie pomoże.

– Podobno wam mam pomóc?

– Niech pan poda historię, w którą będziemy mogli uwierzyć. – Brix popatrzył na mężczyznę siedzącego po drugiej stronie stołu. – Mogę panu coś załatwić? Lekarstwa? Lekarza?

– Już mówiłem. Chcę się widzieć z żoną.

Brix wstał od stołu.

– Dzwoniłem do niej, zanim tu przyszedłem. Problem w tym... – westchnął – że ona ma na głowie nie tylko pana.



\*

Christian Søgaaard był w domu Jarnviga, wraz z Bilalem przeglądał dokumenty w jego gabinecie.

– Żeby wszystko było jasne... – Przerwał i uważnie popatrzył na młodego oficera wiercącego się na krześle naprzeciwko. – Jarnvig przyszedł do ciebie i zażądał zapisu rozmów radiowych sprzed dwóch lat?

– Zgadza się – przyznał Bilal.

– Czemu mi o tym nie powiedziałaś?

Bilal zmrużył oczy.

– Zastrzegł, że mam nikomu nie mówić.

– Dlaczego? Co, jego zdaniem, się działo?

– Nie wiem! Pułkownik jakby nie był sobą. Był... Zadawał takie różne pytania...

Jakiś hałas dobiegł zza pleców Bilala. Søgaaard podniósł wzrok i zobaczył Louise Raben w dzinsach i skórzanej kurtce, jakby była gotowa do wyjścia.

– Cisza! – rzucił ostro do Bilala i wstał od biurka.

Do niej uśmiechnął się promiennie. Czuł się co najmniej niezręcznie.

– Cześć – powiedział. – Co tam? Idziesz gdzieś?

– Gdzie jest mój ojciec? Nie mogę go nigdzie znaleźć. Nie wrócił jeszcze?

Søgaaard przysiadł na jednym z krzeseł. Dom Jarnviga. Wkrótce jego dom. Wraz z mieszkańcami.

– Twój ojciec został zabrany na przesłuchanie. Znajduje się pod opieką żandarmerii wojskowej.

Zamrugła powiekami. Patrzyła na niego w ciszy.

– Rozmawiał z Jensem na balu kadetów. Pomógł mu uciec przed PET.

– To kłamstwo – odparła bez wahania. – Byłam z nim. Ty też.

– Kiedy tańczyliśmy, on wyszedł. Sam. Ktoś go widział.

– Kto?

– Nie wiem – odrzekł Søgaard. – Ale przekazano to generałowi Arildowi. Twój ojciec od razu się przyznał. Wiesz, jaki on jest. Nie...

Zamilkł.

– Co chciałeś powiedzieć? Że nie skłamałby? Nie próbowałby niczego ukryć?

– Nie zrobiłby tego. Przepraszam, ale... to poważna sprawa. Odkąd to wszystko się zaczęło, zachowywał się dziwnie.

Pokręcił energicznie swoją blond głową.

– Dzisiaj oskarżał mnie o rzeczy...

– Jakie rzeczy?

– Sprawiał wrażenie, jakby miał obsesję na punkcie tych morderstw.

– Jakie rzeczy? – powtórzyła.

Hałas za plecami. Søgaard widział, że Bilal w swoim zielonym mundurze stara się nie rzucać w oczy.

– Powiedział, że ukryłem rejestry rozmów radiowych. To śmieszne. Jakby wierzył we wszystkie te bzdury, które Jens wymyślił.

Objęła się ramionami, rozejrzała po salonie pełnym odznak, zdjęć i pamiątek. Szczątki wojskowego życia Torstena Jarnviga.

– Zrobię, co w mojej mocy, żeby mu pomóc – powiedział Søgaard, podchodząc do niej. – To poważny zarzut. Musiał działać pod ogromną presją. Mam nadzieję, że przy jego nieposzlakowanej opinii nie skończy się to najgorzej...

– A więc mówisz, że wierzył Jensowi? Po tak długim czasie?

Søgaard wzruszył ramionami.

– Na to wygląda. Cały ten pomysł jest szalony... – Nie umiał prowadzić takich rozmów. Nie czuł się swobodnie. – A co z tobą? Z Jonasem? Mogę ci przywieźć jakieś jedzenie czy inne zakupy?

– Umiemy o siebie zadbać, dziękuję. Chcę się zobaczyć z ojcem.

– Nie pozwolą na to. W każdym razie nie teraz.

– Wszystko, co miał, poświęcił dla wojska, Søgaard! Jak mogą go tak traktować?

– Twój ojciec rozmawiał z Jensem. Pomógł mu uciec. Czego się spodziewasz?

– Jeśli się czegoś dowiesz, chcę o tym wiedzieć. Mogę dostać chociaż tyle?

– Oczywiście. – Dotknął jej ramienia. Odsunęła się, gromiąc go wzrokiem. – Jeśli ty i Jonas...

– Już mówiłam. Nic nam nie będzie.

Zbierała się do wyjścia. Wstał, podniósł rękę, by ją zatrzymać.

– Louise. Nie sądzisz chyba, że ja mam z tym coś wspólnego, prawda?

– Nie – odparła za szybko. – Dlaczego miałabym tak uważać?

Søgaard odprowadził ją wzrokiem i wrócił do biurka.

– Powinieneś był mi powiedzieć – warknął do Bilala. – Gównu mnie obchodzą rozkazy Jarnviga. Dowiedziałem się od Arilda. Tak nie powinno być.

Przyłożył pięść do ciemnej twarzy Bilala.

– Ja jestem twoim dowódcą. Wtedy tak było. I teraz tak jest.

Po czym spojrzał na dokumenty na biurku – zapisy rozmów, mapy, szczegóły ruchów wojsk. Jednym silnym ruchem zrzucił je na podłogę.

Bilal siedział w milczeniu.

– A teraz to pozbieraj – rozkazał Søgaard, wstając.

\*

Mniej więcej w czasie gdy opóźniony samolot Lund i Strangeo startował z Kastrup, Thomas Buch patrzył, jak w Folketinget decydują się losy pakietu antyterrorystycznego.

Krabbe ni z tego, ni z owego zażądał dodatkowych informacji, więc Grue Eriksen musiał odłożyć głosowanie. Premier wezwał Bucha na krótkie a zrzędlive spotkanie w swoim gabinecie. Tam Buch ujawnił, że zespół detektywów wyruszył do Helmand przeprowadzić dochodzenie w sprawie domniemanej zbrodni wojennej. Flemming Rossing krzyczał, że znowu nie jest o niczym powiadamiany, i groził Buchowi wykluczeniem z grupy parlamentarnej. Grue Eriksen słuchał i mówił niewiele. Slotsholmen stanęło w obliczu kryzysu, jakiego Thomas Buch nie pamiętał.

I wiedział doskonale, że się do niego przyczynił.

Gdy wrócił do ministerstwa, Plough popatrzył na niego krytycznie.

– Nie grywa pan w karty, co?

– Oczywiście, że nie. A czemu?

– To się nazywa przeszarżowanie. Wiemy tylko, że policja wysłała ludzi do Helmand. Nie mamy pojęcia, czy w ogóle...

– A czy oni mają pojęcie, co lekarz może powiedzieć na temat tej ręki?

– Nie! – odparł Plough. – Gdyby tylko pozwolił mi pan zapoznać się z sytuacją, zanim otworzył pan usta. Lekarz jest teraz głównym podejrzanym o morderstwo...

– Do jutra muszę mieć więcej amunicji. Grue Eriksen nie pozwoli, by to trwało wiecznie. – Odwrócił się do Kariny. – Sprawdź, czy wojsko kontaktowało się w tej sprawie z Ministerstwem Obrony.

– Do jutra? – spytała, otwierając szeroko oczy.

- Nie mamy dostępu?
- Do pewnego stopnia. Normalnie zajmuje to tydzień...
- Nie mamy tygodnia. Na miłość boską...

Wszedł dziarskim krokiem do swojego gabinetu, siadł przy biurku, wbił wzrok w rosnącą górę dokumentów.

Karina przysunęła sobie krzesło.

– O co chodzi? – spytał.

– Mam taki pomysł: przestaniemy krzyczeć na ludzi, natomiast spróbujemy ich przekonać, że to w ich interesie leży rozmowa z nami.

Buch otworzył szufladę, znalazł batonik czekoladowy i wbił w niego zęby.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – odparł z pełnymi ustami.

– Jediną osobą, która może ci przynieść głowę Grue Eriksena, jest Flemming Rossing.

Plough jęknął.

– Nawet jeśli to prawda, Karino, dlaczego Rossing miałby z nami rozmawiać?

– Żeby się zabezpieczyć? – zasugerował Buch. – Jeśli przekonamy Rossinga, że ma więcej do stracenia, trzymając się Grue Eriksena, niż oczyszczając się...

Podrapał się po sterczącej na wszystkie strony brodzie.

– Gdyby Rossing wiedział, że to wszystko i tak wyjdzie na jaw, zadbałby o zminimalizowanie strat. Kiedy dostaniemy wiadomość od Lund?

– Lądują jutro rano – powiedział Plough. – Mają tylko jeden dzień. To chyba dużo...

Zadzwoił telefon Bucha. Odebrał bez namysłu.

Dom. Jutlandia. Jego żona Marie mówiła o dzieciach i skarżyła się, że on nie dzwoni.

Była wściekła. On też. Tamy puściły. Cały tłumiony gniew i żal spadły na niewłaściwą osobę, ostatnią, którą mógłby za cokolwiek winić. Thomas Buch krzyczał na swoją żonę, wyzywał ją, używał słów, które jego samego odrzucały.

Potem odłożył komórkę na biurko i wpatrywał się w nią, jakby to ona była za wszystko odpowiedzialna. Karina i Plough wpatrywali się w niego zakłopotani i milczący.

– Na razie żadnych telefonów od rodziny – rozkazał Buch potulnym, żalonym głosem. – Dopóki nie powiem.

Dochodziła północ. Zastanawiał się, która godzina jest w Afganistanie. Jak ta ciekawa wszystkiego, nieustępliwa kobieta, którą spotkał tylko raz, w kuchni sali bankietowej, poradzi sobie w dalekim, wrogim kraju.

\_10

\_Wtorek

\_22 listopada

Lund spała na pokładzie odrzutowca lecącego do Stambułu. Spała, gdy wsiedli na pokład pozbawionego wszelkich wygod transportowca wojskowego lecącego z lotniska Atatürka do Obozu Bastion. Po drodze się przebudziła, otworzyła oczy, stwierdziła, że trzyma głowę na ramieniu Strangego. Nie wiedział, że mu się przygląda. Widziała jego spokojną, zwyczajną twarz, oczy patrzące w dal.

Wspomnienia, pomyślała. Przypominał sobie wojsko. Może nigdy go nie opuściły. Nie było o czym gadać. Odsunęła więc od niego głowę, zsunęła się w dół na siedzeniu, próbowała znowu zasnąć, nie była

pewna, czy uda jej się to zrobić w trakcie długiego nudnego lotu do miejsca, którego nie umiała sobie w ogóle wyobrazić, choć widziała je na zdjęciach.

Z Bastionu zawieziono ich do Vikinga, do duńskiego sektora. Było tu jak w slamsach: stojące bezładnie baraki i namioty, nieustanny ruch, krążący ludzie, jakieś wyposażenie.

Gdy sprawdzono ich dokumenty, znudzony małomówny oficer przydzielił im jednego z żołnierzy jako kierowcę, po czym wskazał ekwipunek w kącie pomieszczenia. Strange jej pomógł. Ciężki hełm pokryty materiałem khaki. Kurtka tak niewygodna, że Lund nienawidziła jej od chwili, gdy Strange zaczął ją jej zakładać.

– Po co mi kamizelka kuloodporna? – spytała. – Jedziemy tylko porozmawiać z lekarzem, prawda?

Obaj żołnierze spojrzeli na nią dziwnie.

– Jedziemy za linię frontu? – spytała, zrzucając z siebie ciężki, niewygodny sprzęt.

– To Helmand – powiedział oficer. – Tu nie ma linii frontu. Albo pani to włoży, albo może pani natychmiast wracać do Kopenhagi.

Strange delikatnie wsuwał jej kamizelkę na ramiona.

– To się nazywa kamizelka balistyczna – powiedział. – Żadne czary-mary, ale może zatrzymać pocisk z AK47. Ocalić ci życie, jeśli trafimy na fugasa. Zatrzymać nóż...

– Mało przydatne, jeśli strzelą mi w głowę. Albo odstrzelą nogi...

– Lund, do diabła. Mamy podobne na komendzie. Masz ją nosić, ilekroć wychodzisz na akcję, w której może być użyta broń. Czy wtedy też o tym myślisz?

Nie chciała mu powiedzieć: zwykle pistolet to już za duży kłopot.

– W Gedser jest mi średnio potrzebna – powiedziała, po czym pozwoliła, by przeciągnął kamizelkę przez jej szczupłe ramię.

Próbowała choć przemieścić ekwipunek, tak by jej nie obcierał.

– Do twarzy pani – powiedział oficer. – Macie stąd wylecieć o dziewiętnastej. I tak będzie. Choćbym miał was do siebie przywiązać.

\*

Dwadzieścia minut później land rover podskakiwał na wyboistej kamiennej drodze, która sprawiała wrażenie, że prowadzi donikąd. Teren był suchy, nagi i górzysty, powietrze zimne i zapyłone. Okoliczne szczyty pokrywał śnieg. Żadnych wiosek. Żadnych innych pojazdów. Kierowca, najwyżej dwudziestopięcioletni, w okularach przeciwsłonecznych i ze skąpym wąsem, znał chyba drogę na pamięć. Podróżowanie nigdy za bardzo Lund nie interesowało. Helmand na pewno nie wpłynie na jej upodobania.

– Trafiliście na fatalny moment – powiedział żołnierz. – Dzisiaj rano mieliśmy dwa zamachy samobójcze. Od tygodni był spokój. I nagle te dranie wróciły.

Siedzieli obok siebie z tyłu. Strange czuł się swobodnie w kamizelce i hełmie, Lund się wierciła.

– W szpitalu koniec świata – dodał kierowca. – Niech pani zapnie hełm, proszę. I kamizelkę. Niezapięte na nic się nie przydadzą.

Strange westchnął, sięgnął do pasków i zapiął je, zanim zdążyła coś powiedzieć. Żołnierz chyba nie był uszczęśliwiony obecnością kobiety w pojeździe.

– Chcecie... się odświeżyć, kiedy dotrzemy do bazy? – spytał.

– Niech nas pan po prostu zabierze do szpitala, dobra? – odparła. – Chcemy się spotkać z Frederikiem Holstem.

Pół godziny później napotkali pierwszy pojazd. Ciężarówka z miejscowymi na pace. Może z robotnikami rolnymi. Przykucnęli z tyłu, wpatrywali się w mijającego ich land rovera. Lund widziała, jak



kierowca spina się, gdy się zbliżali. Wkrótce pojawiły się kolejne vany, kilka obitych samochodów osobowych, parę pojazdów wojskowych. Transportery, dżipy, pojazdy opancerzone.

Po godzinie wjechali do miasteczka. Kobiety i dzieci krążyły między straganami warzywnymi, twarze miały schowane pod barwnymi burkami. Mężczyźni przy drodze popijali herbatę ze szklanek. Patrzyli na wojskowego land rovera bystrymi ciemnymi oczyma.

Posterunek kontrolny. Żołnierze w mundurach z duńską flagą, z karabinami na ramieniu. Obejrzeliby dokumenty kierowcy i machnięciem ręki kazali przejechać.

Szpital wyglądał bardziej na zaniedbaną halę targową niż placówkę medyczną. Brudny parterowy budynek ceglany, na ścianie wielki czerwony krzyż namalowany byle jak na kruszącym się tynku. Lund pomyślała o nieskalanych lśniących korytarzach Rigshospitalet. Kopenhaga znajdowała się w innym świecie. Tu Lund była obca, była cudzoziemką niemile widzianą zarówno przez miejscowych, jak i żołnierzy.

Wysiadła z terenówki. Zaraz za ogrodzeniem mężczyzna w turbanie rąbał kawał surowej baraniny, dokoła latały muchy. Patrzył, jak Lund zbiera notatnik i teczki.

– Oni wszyscy tak wyglądają – powiedział Strange. – Zwyczajnie. Niewinnie. – Jego inteligentne spokojne oczy rozglądały się po otoczeniu, tak jak zapewne za każdym razem, gdy pełnił tu służbę. – Nigdy nic z nimi nie wiadomo, a potem jest już za późno.

Nad wejściem do szpitala wisiała tablica: „NIE WNOSIĆ BRONI”. Kierowca podał swoją ochronie. Oni nie mieli żadnej.

W środku było ciemno. Unosił się odór medykamentów zmieszanych ze zgnilizną. Dwoje miejscowych, starszy mężczyzna i młoda kobieta,

siedziało w kącie, przykucnąwszy na podłodze, oparci o ścianę. Kobieta zawodziła, mężczyzna patrzył szklanym wzrokiem.

– Nie moglibyście zaczekać? – spytał żołnierz przy biurku. – Mamy ofiary, wśród swoich i po ich stronie.

– Nie – odparła Lund. – Nie możemy.

Poszła dalej. Po drodze zaglądała do pomieszczeń po bokach, gdzie ludzie podpierali się kulami lub jęczeli na prymitywnych noszach. Dalej trójka Afgańczyków siedziała cierpliwie na krzesłach, w zakrwawionych ubraniach. Na głowie mieli bandaże.

Ktoś odepchnął ją na bok, warknął, by zeszli z drogi.

Nosze, na nich postać z ledwie widocznymi nogami. Albo szczątkami nóg. Dostrzegła mięśnie i kości.

Wyraz bólu i niedowierzania na twarzy żołnierza. Pielęgniarka wbijała mu kroplówkę w ramię i tłoczyła do żyły coś, co Lund uznała za środki przeciwbólowe.

Wspomnienie: Jan Meyer nieprzytomny w karetce, wstrząsany przez defibrylator.

Nienawidziła szpitali. A tego tutaj najbardziej ze wszystkich.

– Za tydzień jadę do domu – mówił chrapliwie po duńsku mężczyzna na noszach. – Do domu. Słyszysz?

Próbował podnieść głowę, dojrzeć dolną część swojego ciała.

Lund spojrzała jeszcze raz. Dwa kikuty w miejscu, gdzie powinny być stopy.

Żołnierz nie płakał. Nadął tylko policzki, wydmuchując gwałtownie powietrze, po czym padł na prymitywną poduszkę i wbił wzrok w sufit.

Strange stał w milczeniu u jej boku i patrzył.

– Załatwmy to – powiedziała.

\*

Salę operacyjną stanowił niewielki wydzielony sektor za zasłonami. Jedna okrągła lampa, dwie pielęgniarki w białych strojach, chirurg w zielonym. Na stole pacjent z maską tlenową na twarzy, oczy zamknięte, nieprzytomny. W klatce piersiowej szeroko otwarta rana. Łuszczące się ściany, niezupełnie białe, jakby ktoś przegrał daremną walkę o utrzymanie ich w czystości. W oknie postrzępiona tkanina, przez dziury w niej wlewało się białe zimowe słońce.

– Holst? – odezwała się Lund, gdy mężczyzna w zielonym fartuchu odsunął się od stołu operacyjnego i wydał kilka poleceń pielęgniarkom.  
– Jesteśmy...

– Wiem, kim jesteście. Zaczekajcie na zewnątrz, piętnaście minut. Wtedy pogadamy.

Usiedli w niewielkim pomieszczeniu z łukowatym sufitem i jednym jedynym światłem. Strange pozwolił jej zdjąć hełm. Kamizelka musiała zostać. Holst wszedł dopiero po pół godzinie, ściągnął z twarzy maskę, wrzucił ją do śmietnika i zaczął myć ręce w umywalce.

– Chcemy wiedzieć, co pan robił w Kopenhadze – zaczęła Lund, przyglądając mu się.

– Byłem na urlopie. Trzytygodniowym. Miesięcznym. Coś w tym rodzaju.

Usiadł. Wielki poważny mężczyzna z twarzą opryskliwego nastolatka. Trochę podobny do nieżyjącego brata. Frederik wyglądał na twardszego, bardziej zniszczonego wojną. Lund uderzyła myśl, że to on powinien być żołnierzem, a Sebastian lekarzem.

– I co? – spytał.

Sięgnął do szuflady, wyjął paczkę papierosów, zapalił jednego i wypuścił dym w stronę okna.

– Gdzie pan był? – spytał Strange.

– A co to was obchodzi?

– Mamy nakaz aresztowania pana. Niech pan odpowiada albo wróci pan z nami samolotem.

Sprawiał wrażenie zaskoczonego.

– Chciałem mieć trochę czasu dla siebie. To wszystko.

– Nie rozmawiał pan z ojcem? – spytała Lund.

– Niewiele. – Przesunął po biurku jakieś pudła z opatrunkami i lekarstwami, stetoskop. – Możecie mi powiedzieć, kogo miałbym zamordować? Tak przez zwykłą grzeczność.

Wyjęła z torebki zdjęcia. Anne Dragsholm, Myg Poulsen, David Grüner, Lisbeth Thomsen, Gunnar Torpe.

Holst wyjął zdjęcia Dragsholm.

– Reszta wygląda znajomo. Kim ona jest?

– Gdzie pan był? – powtórzyła Lund. – Co pan robił?

– Jestem lekarzem. Spędzam życie na ratowaniu ludzi. Nie zabijam ich. Mogliście zadzwonić. Oszczędziłbym wam drogi.

Lund odłożyła zdjęcie Dragsholm do pozostałych.

– To kobieta, która chciała udowodnić niewinność reszty. Dwa lata temu pan próbował uratować brata. Widzieliśmy jego wideopamiętnik. Słyszeliśmy, co mówił o Rabenie. – Sięgnęła do teczki, wyjęła zdjęcie oddziału z przekreślonymi twarzami. – Znaleźliśmy to w śmieciach, które wyrzucił pan z mieszkania wynajętego w Islands Brygge.

Spojrzał na twarze, na przekreślenia.

– Myśli pan, że Raben jest odpowiedzialny za śmierć Sebastiana, prawda? Anne Dragsholm chciała doprowadzić do oczyszczenia go z zarzutów.

– Nawet nie wiem, kim jest ta kobieta...

Holst zgasił papierosa. Ktoś podszedł do drzwi i próbował z nim porozmawiać. Odprawił go ruchem ręki.

– Wiemy, że próbował pan skontaktować się z Rabenem – podjął Strange. – On odsyłał pańskie listy.

– Naprawdę?

– Niech pan zacznie mówić – powiedziała Lund. – Przebyliśmy długą drogę. Nie wrócimy z pustymi rękoma. Lepiej niech pan w to uwierzy.

– Marnujecie czas. Nikogo nie zabiłem. Dlaczego...

Strange zaklął głośno, walnął pięścią w biurko. Było to tak gwałtowne i tak głośne, że Lund podskoczyła.

– Nie wciskaj nam kitu! Miałeś ich zdjęcie. Poprzekreślałeś ich, jednego po drugim.

– To taka gra – odparł Holst, wzruszając ramionami. – Dla zabicia czasu.

– Był pan tu, gdy przywieziono pańskiego brata. – Lund rozejrzała się po żalonym szpitalu polowym.

Zmrużył oczy, nie patrzył na nią.

– To musi boleć, ktokolwiek tu trafi – ciągnęła. – Ale własny brat, ranny tak jak pozostali...

– Tak, tak! Trafiła pani w sedno!

– A potem dowiedział się pan, że Raben i pozostali są winni. Ale żyli, a on leżał w kostnicy.

Holst wymierzył w nią długi blady palec.

– Trzymaj się z dala od bohaterów – powiedział cichym zniszczonym głosem. – To moja rada. Bo zginiesz.

– Więc Raben ma na rękach krew pańskiego brata?

– Och, tak! – krzyknął. – I mam nadzieję, że ten gnój szczególnie w piekle. Ale...

Czekali. Długo.

– Tak to bywa – rzekł w końcu. – Raben dowodził. Nie ma prawa, które by mówiło, że nie wolno zapędzać takiego dzieciaka jak Sebastian w gniazdo szerszeni. Co mogłem zrobić?

Roześmiał się.

– Mogłem tylko zrobić niespodziankę. W tych szczątkach, które przywieźli, znalazłem jedną część ciała za dużo. Rękę.

Odwrócił wzrok. Widać było, że wspomina.

– Pomyślałem, że jeśli ją dorzucę, to ktoś w Kopenhadze zacznie zadawać pytania. Krążyło mnóstwo plotek. Jak to wymordowano całą rodzinę.

– Myśli pan, że oni to zrobili? – spytał Strange.

– A kto? Nikt nie uwierzył w tę bajkę o oficerze. Myślałem...

Sięgnął po papierosa i zapalił go.

– Myślałem, że armia to wszystko wyjaśni. Sprawdzi. Odkryje prawdę. My nie tuszujemy takich spraw. Ale... – Ponury przelotny uśmiech. – Tu też się myliłem. Prokurator wojskowy wykluczył wersję, że zginął jakikolwiek cywil. Wszystko uszło im na sucho, tylko Raben trafił pod klucz, na własne życzenie.

Lund zerknęła do dokumentów.

– Ręka należała do zamachowca samobójcy – powiedziała.

– To była ręka. Nie wiem czyja.

– Był pan wściekły. Sporządził pan fałszywy raport medyczny...

– Ta ręka była wśród szczątków z wioski! Ktoś powinien był zbadać, co tam zaszło.

– Ma pan kłopoty, Holst – powiedziała.

Znowu ten urywany śmiech.

– Coś takiego. Chyba się załamie. – Pochylił się do przodu. – Sebastian umarł tutaj, za rogiem. Miał przebite płuco. Nic poza tym. Gdyby to się zdarzyło w Kopenhadze, nadal chodziłby po świecie. To nic wielkiego. Ale tutaj...

Jego oczy obieżyły pokój.

– Nie mogłem go uratować. Musiałem patrzeć, jak umiera. A ten psychopata Raben, ten idiota, który zapędził go do tej wioski, wziął drogiego prawnika, żeby ich z tego wyciągnął. Dziwne, że nie dostał medalu. Czy byłem wściekły?

Wybuchnął gniewem. Obie ręce, wprost z sali operacyjnej, waliły mocno w biurko.

– Tak! – ryknął Frederik Holst. – I to jak!

Lund czekała.

Po chwili Holst się pozbierał, po czym dodał tym samym bezbarwnym cichym głosem, którym mówił wcześniej:

– Ale to nieważne, jak bardzo jestem wściekły. Sebastianowi nie przywróci to życia. Co więc miałem robić? Mogłem tylko znowu próbować go ocalić. Codziennie próbuję, na tym cholernym stole operacyjnym.

Holst siąknął nosem, zdusił papierosa.

– I tylko to się liczy – powiedział, przesuwając po stole zdjęcie ze skreślonymi twarzami. – Przepraszam, że was rozczarowałem.

\*

Nic więcej nie zdołali wyciągnąć z Frederika Holsta. Musiał pracować. Kolejny pacjent – bojownik talibski, poważnie ranny, wrzeszczący na pielęgniarki.

Z telefonu satelitarnego Lund zadzwoniła do Kopenhagi.

– Holst nie może nam wytłumaczyć, co robił w czasie, gdy popełniono morderstwa – zameldowała Brixowi. – Albo może, ale nie tłumaczy.

– Nieważne. Zrobił to?

Nawet przez tysiące kilometrów i połączenie satelitarne dotarł do niej jego niepokój.

– Nie sądzę.

– Jezu, Lund. Chcesz mi powiedzieć, że to była strata czasu?

– Jeszcze nie wiem. – Znowu byli w sali ogólnej. Pielęgniarki i inny lekarz zebrali się przy żołnierzu, którego wcześniej widziała. Tego, który stracił stopy. – Raben powiedział coś nowego?

– Trzyma się swojej wersji.

– Tu wciąż się przewija nazwisko Søgarda – skłamała. – Dowodził, kiedy to się stało. Wszystko musiało przechodzić przez niego.

– Spakuj okulary przeciwsłoneczne i wracaj, dobra? Søgard to opryskliwy, wredny drań. Nic na niego nie mamy.

Cisza.

– Lund? Lund!?

Nie mogła odwrócić wzroku. Pielęgniarki odsunęły się od łóżka rannego. Poza jedną młodą kobietą o szklistych smutnych oczach. Naciągała zielone prześcieradło. Zakrywała twarz duńskiego żołnierza, który chciał tylko wrócić do domu. Uniknąć burzy przez jeszcze jeden tydzień. Przeżyć.

Strange stał obok niej. Teraz przesunął się tak, by zasłonić jej widok.

– Co mówi Brix? – spytał.

– Że powinniśmy wracać do domu.

Strange wziął jej hełm, ostrożnie włożył go na głowę Sarah, zapiął paski i spojrzał jej w oczy.



– Brix ma rację.

\*

Ruth Hedeby patrzyła z drugiego końca korytarza, jak Brix kończy rozmowę. Znali się już bardzo długo. Była bystrą, wrażliwą kobietą. Umiała czytać z jego twarzy.

– Na miłość boską, Lennart, powiedz mi, że ta cała wyprawa miała sens. Że to nie był strzał w powietrze.

Podszedł do niej. Nie chciał, by ktoś ich słyszał.

– Początki zawsze są trudne.

– Nie bądź taki enigmatyczny. Cały czas mam na głowie ministerstwo, parlament i PET.

Brix kiwnął głową.

– Myślę, że nastąpił przełom w sprawie – dodała.

Uśmiechnął się.

– Nastąpił, Lennart?

– Minister sprawiedliwości na pewno zrozumie...

– Jego posada wisi na włosku. I pewnie niedługo już powisi. – Pod pachą miała gazetę. Wyjęła ją. Na zdjęciu Thomas Buch wyglądał na wściekłego. Jakby rzucał bezpodstawne oskarżenia. – Nie licz na niego.

– Ciągłe nad tym pracuję.

– Za słabo. Teraz jesteśmy pod lupą. Wszystko, co robimy, jest analizowane.

– Co nowego?

– To – powiedziała, szturchając jego marynarkę. – Nie rób już nic bez mojej wiedzy. Nie chcę kolejnych niespodzianek. Albo zawieszę cię bez chwili wahania.

Patrzył, jak odchodzi, jak wraca do swojego gabinetu. Spytał Madsena, co się działo.

Niewiele. Intensywne sprawdzanie oficerów nic nie dało.

– Jeśli to nie Frederik Holst – powiedział Madsen – to zostaje nam Raben.

– Jak Raben mógł to wszystko zrobić? – spytał ze znużeniem Brix. – Przecież siedział w Herstedvester.

Podszedł do niego jeden z detektywów z nową teczką.

– Sprawdzaliśmy zakupy zrobione na nazwisko Pera K. Møllera. Nie używał karty kredytowej, tylko gotówki. Skupował głównie używane rzeczy od osób prywatnych. Gdyby kilka z nich nie wysłało rachunków do matki Møllera, nigdy byśmy się o tym nie dowiedzieli.

– Co kupił? – spytał Brix.

– Na razie – mężczyzna spojrzał na listę – mamy kamerę wideo, laptop, egzemplarz *Anarchistycznej książki kucharskiej*. Poradnik, jak zrobić bombę. Wszystko zostało wysłane na skrytkę pocztową w tym samym miejscu, którego używał Brat w Wierze.

Brix wziął spis.

– Może wynajął coś na nazwisko Møllera? Magazyn czy coś takiego?

– Nic takiego nie znaleźliśmy. Ale może coś mamy. – W notatniku detektyw miał kolejne zapisy. – Komórka, której prawdopodobnie użyto do uruchomienia bomby na parkingu Grünera, została skradziona. Karta SIM znowu się uaktywniła.

Madsen podszedł do nich i słuchał.

– Gdzie?

– W pobliżu Ryvangen.

– Na terenie koszar? – dopytywał Brix.

– Nie wiem, szefie – odparł detektyw. – Sygnał był zbyt słaby.

Brix przyłapał się na tym, że nie może się doczekać powrotu Lund.

– To się kupy nie trzyma. Dlaczego miałby znowu używać tego telefonu? Wie, że go szukamy.

– Każdy popełnia błędy, prawda? – zasugerował Madsen.

Brix zastanowił się chwilę, po czym wydał rozkaz natychmiastowego wyjazdu zespołu. Od razu też postanowił nie mówić o tym Ruth Hedeby.

– Dzisiaj odbywają się tam uroczystości pogrzebowe – zauważył Madsen. – Msze za tych zamordowanych żołnierzy. Wojsku się to nie spodoba.

Brix zerknął na zegarek. Zastanawiał się, która godzina jest w Helmand. Lund zostało zaledwie kilka godzin.

– Przeżyję – odparł.

\*

Land rover znowu pokonywał wyboiste górskie drogi pomiędzy szpitalem polowym a Obozem Viking. Kierowca miał rozkaz odstawić ich prosto na lotnisko Obozu Bastion i wsadzić do samolotu odlatującego do Stambułu.

– Może zatrzymamy się w Vikingu i popytamy o Søgaard – podsunął Strange, gdy podskakiwali na tyle samochodu. – Mamy jeszcze czas.

Ten pomysł średnio ją zainteresował. Wojsko już przekazało im wszystko, co uznało za stosowne. Wydawało się mało prawdopodobne, żeby ich opiekun zajechał do strefy działań wojennych.

– Powiedz mi, co się dzieje na misji – poprosiła. – Siły specjalne. – Spojrzała na niego. – Co musicie robić.

– Na przykład? – spytał.

Trochę się spodziewała, że będzie nieufny.

– Jak działacie? Jak się komunikujecie?

Spojrzał na nią.

– Ja niewiele robiłem. Naprawdę.

– Powiedz mi!

– Zawsze tworzymy pięcioosobową grupę. Chodzimy w miejsca, w które nie zaglądają ludzie o zdrowych zmysłach. Głównie zajmujemy się wywiadem. Nie walką. To zbyt ryzykowne.

– Pozostawaliście w kontakcie z innymi siłami? Naszymi? Brytyjskimi? Amerykańskimi?

Roześmiał się.

– Tu nie ma żadnych Amerykanów. Odpowiedź brzmi „nie”. Działamy potajemnie. Kiedy robi się gorąco, strzelamy do wszystkiego, co się rusza, i mamy nadzieję, że wyjdziemy z tego w jednym kawałku.

– Wskazał ponurą okolicę. – To ziemia niczyja. Nie przystajesz na pogawędkę. Ale zawsze przemieszczamy się w piątkę. Zespołem. Poza tym... czy Arild nie mówił, że tu w okolicy nie było żadnych oddziałów specjalnych?

Hełm nie był zbyt wygodny. Kamizelka ciągle jej przeszkadzała. Poklepała kierowcę w ramię.

– Możemy się zatrzymać?

– Nie może pani poczekać do lotniska? – spytał i jechał dalej.

– Nie.

Zaklął i zjechał z wyboistej drogi.

Lund wysiadła i rozejrzała się. Po chwili dołączył do niej Strange.

– Co jest? – spytał.

Kierowca też wysiadł i niespokojnie rozglądał się po skalistych wzgórzach.

– Ile stąd jest do wioski, w której zaatakowano oddział Rabena?

Strange uderzył się dłonią w czoło.

– Ty chyba żartujesz.  
– Chcę ją zobaczyć.  
– Nie jesteśmy turystami na jednodniowej wycieczce!  
– Wiem – odparła i spojrzała na kierowcę. – Może nas pan tam zawieźć? Ile to by potrwało?

Żołnierz pokręcił głową.

– Nie macie pozwolenia.  
– Jak to nie mamy pozwolenia? – krzyknęła na niego. – Myśli pan, że przysłali nas tu z Kopenhagi, żeby dyrygował nami jakiś kierowca? Mamy nakazy aresztowania i wizy. Możemy...

– Nie możecie opuścić strefy wojskowej – powiedział żołnierz. – I koniec.

Przysunęła się o krok, ujęła pod boki.

– Mamy wszystkie pełnomocnictwa z Ministerstwa Sprawiedliwości. Proszę... – Wyciągnęła telefon satelitarny. Brix miał rację. Chyba działał wszędzie. – Zadzwońię do Kopenhagi. Połączę się z samym ministrem i powiem mu, że jakiś młodzik nie chce nas puścić...

– Lund! – krzyknął Strange.

Zgromiła go wzrokiem. Zaczęła wciskać guziki.

– Jak się pan nazywa? – Przeczytała naszywkę na jego mundurze. – Siegler. Dobra.

Żołnierz wrócił do land rovera, zaczął przeglądać dokumenty. Lund się nie połączyła.

– Czy jest tam napisane, że nie możemy jechać do wioski? – spytała.

Milczał.

– Jest?

Mężczyzna znowu rozejrzał się po wzgórzach, wypatrując jakiegoś ruchu.

– Muszę was odstawić na czas do Bastionu.  
– Zgadza się – odparła Lund. – Zadzwoń do szefa miejscowej policji. Pojawił się w raporcie prokuratora wojskowego. Z nim też chcę pogadać.

\*

Policja znalazła Rabenowi prawnika. Młoda smętna kobieta, która wyglądała, jakby wyciągnęła pechową zapałkę w losowaniu klienta.

– Zostanie pan oskarżony o włamanie, kradzież samochodu, posiadanie broni, bezprawne uwięzienie, przemoc i groźby karalne.

Usiadła przy biurku w pokoju przesłuchań i wertowała papiery.

– Tyle na początek. Przyzna się pan czy nie?

Rękę miał ciągle na temblaku, chociaż ból na tyle osłabł, że mógł nią trochę ruszać.

– Przyznaje się pan do wszystkich zarzucanych czynów?

– Czy moja żona się kontaktowała?

Kobieta pokręciła głową.

– A co z policjantami, którzy pojechali do Helmand?

– Niech pan nie oczekuje cudów. Ta historia o oficerze tylko panu szkodzi.

– Ale to prawda.

Wskazała na leżące przed nią papiery.

– I tak to paskudnie wygląda. Nie ma co pogarszać sytuacji, prowokując ludzi.

Roześmiał się.

– Ja prowokuję?

– Tak. Zapowiada się długi wyrok. Jeśli sąd orzeknie, że jest pan na tyle niezrównoważony, że nie może żyć w społeczeństwie, może się

przeciągać w nieskończoność. – Czekala, aż jej słowa dotrą do niego. – Rozumie pan, co mówię? Sędzia może postanowić, że nie powinien pan wyjść na wolność już nigdy.

– Wie pani może, czy Louise próbowała mnie odwiedzić?

– Nie próbowała. – Adwokat zgarnęła dokumenty do teczki. – Ale ktoś inny próbował. Policja wyraziła zgodę. Chyba nie mieli wyboru...

Wstała, podeszła do drzwi i pukaniem dała znak, by je otwarto.

– Niech mi pan pomoże, Raben. Niech mi pan da coś, co mogłabym wykorzystać.

Potem zniknęła, a na jej miejsce pojawiła się niska żwawa postać. Granatowy mundur. Baretki i wstęgi. Rude włosy, jasne czujne oczy, uśmiech tak nieszczerzy, że aż kłuło w oczy.

\*

– Nie musisz salutować – powiedział Arild, siadając. – Nie jesteś już przecież wojskowym, prawda?

Raben stał przy oknie, opierając się o parapet. Patrzył zazdrośnie na szary świat na zewnątrz.

– Zabawne, wiesz. Tyle o tobie słyszałem. Czytałem twoje akta. Sporo tego. Nie masz nic przeciwko mojej wizycie? – Wyciągnął rękę. – Generał Arild z Dowództwa Operacyjnego. To sprawa oficjalna.

Raben ani drgnął.

– Ach, doskonale – mruknął gość, pasując.

Wziął krzesło prawniczki, usadowił się wygodnie.

– Możemy komplikować sprawę, jeśli chcesz. Rozumiem, że masz poczucie, że cię zawiedliśmy. Mogę cię zapewnić, że jest mi bardzo przykro, że tak myślisz.

– Naprawdę?

Arild wyjął jakieś dokumenty.

– Byłeś dobrym żołnierzem. Lojalnym, zdolnym. – Zerknął na niego.  
– Pomysłowym. Jeśli będziesz się trzymał tych bzdur, zaszkodzisz i sobie, i wojsku. Nie wierzę, że tego chcesz.

Długopis, kartka z miejscem na podpis.

– Rozwiązanie tego problemu leży w twoich rękach. Siadaj, na miłość boską!

Raben wykonał polecenie, nie mógł się powstrzymać. W głosie tego człowieka było coś takiego...

– Pomóżmy sobie nawzajem – zasugerował Arild. – Zamiast tej bezsensownej walki...

– Jeśli chce pan, bym wycofał zeznania, nie mamy o czym mówić.

Arild patrzył przenikliwie, zimno. Postukał kartkami o biurko, by je wyrównać.

– W imieniu armii chciałbym ci zaproponować rekompensatę. Mamy taką możliwość, by dostosować polisę ubezpieczeniową, którą wykupiłeś, do twojego kontraktu. Zależnie od naszego uznania...

– Niech pan spierdala.

Arild przez chwilę wpatrywał się w sufit, a potem znowu skierował wzrok na Rabena.

– To nie dla ciebie. To dla twojej żony i syna. Gdybyś zginął w akcji, żona miałaby prawo do renty. Przy odrobinie dobrej woli z obu stron możemy zmienić warunki ubezpieczenia. – Podniósł papiery i pomachał nimi. – Aby obejmowała również wypadek długotrwałej choroby. – Znowu ten ponury, zimny uśmiech. – To by bardzo ułatwiło życie Louise i Jonasowi. Na pewno to doceniasz.

Arild potrząsnął piórem.

– W zamian proszę tylko o jedno... – Mężczyzna w mundurze wzruszył ramionami. – Rozumiesz doskonale. To zależy od ciebie.



Wziął papiery i podał je Rabenowi.

– To wyłącznie twoja decyzja. Louise to czarująca młoda kobieta. Na pewno znajdzie sobie nowego męża. Może oficera. Pozbawiona dochodów...

Arild rozejrzał się po pokoju.

– Trudno by się jej było dziwić.

\*

Louise Raben raz zadzwoniła do Politigården, by sprawdzić, jak się czuje jej mąż. A pięć razy zadzwoniła do aresztu wojskowego, starając się o rozmowę z ojcem.

O dziewiątej trzydzieści po raz kolejny spróbowała dotrzeć do żandarmerii wojskowej. Wychodząc ze szpitala – w płaszczu, z szalem na szyi – utknęła na centrali, którą błagała o połączenie z oficerem.

W końcu dotarła do tego samego człowieka, z którym już dwukrotnie rozmawiała tego ranka.

– To znowu pani? – spytał wesoło.

– Proszę posłuchać. Mój ojciec jest u was od wczoraj. Chciałabym z nim porozmawiać.

– Jest przesłuchiwany.

– Jezu Chryste! Gdyby był zwykłym przestępcą, miałabym prawo do rozmowy.

– O ile wiem, doskonale zna pani temat – odparł tamten, śmiejąc się. – Wierzę pani na słowo...

– To mój ojciec. Dobry oficer. Zechce pan...?

– Nie mogę rozmawiać o aresztantach. Nie przez telefon. Kiedy dostanie pozwolenie na odwiedziny, dam pani znać. – Chwila ciszy. –

Czyżbym pani jeszcze tego nie mówił? Ach owszem, mówiłem. A pani nadal marnuje mój czas.

Chciała krzyknąć. Pomyślała o mężu, wściekłym, robiącym gorsze rzeczy.

– Przepraszam, że na pana nakrzyczałam. Mamy tu trudną sytuację. Dzisiaj odbywają się uroczystości żałobne.

Cisza. Niemal widziała, jak bezgłośnie mówi do słuchawki: „Doprawdy?”.

– Niech pan coś dla mnie zrobi – błagała. – Proszę mu przekazać wiadomość. Niech mu pan powie...

– Żadnych wiadomości. Już pani mówiłem.

– No i świetnie! Dzięki, ty...

Połączenie zostało przerwane. Bezgłośnie wypowiedziała długie i mocne przekleństwo, gdy radiowóz na sygnale przemknął przez bramę do ceglanych koszar, błyskając niebieskim światłem na dachu. Za nim nadjechały trzy kolejne, również na sygnale. I biała furgonetka, która zatrzymała się gwałtownie, po czym wysypali się z niej jacyś ludzie.

Søgaard miał na sobie mundur galowy. Nieskazitelnym, gotów do służby. Podszedł do wysokiego, małowzrostnego policjanta z Politigården, gdy ten wysiadał z pierwszego radiowozu, i zaczął wykrzykiwać rozkazy do ludzi gromadzących się wokół nich.

– Co tu się dzieje, do cholery?! – krzyknął Søgaard. – Nie zostałem uprzedzony...

– Nie uprzedzamy o nalotach. – Policjant wyciągnął legitymację i pokazał ją majorowi. – Lennart Brix, szef Wydziału Zabójstw. Pamięta mnie pan?

– Dzisiaj odbywają się uroczystości żałobne.

– Postaramy się nie przeszkadzać – powiedział Brix, wyciągając plik kartek z kieszeni ciepłego granatowego zimowego płaszcza. Pokazał je

Søgaardowi. – To nakaz rewizji. Mamy powody uważać, że są tu ukrywane ważne dowody w sprawie.

– Jeśli mi pan powie, czego szukacie...

Policjant uśmiechnął się do niego.

– Pewnie pan teraz tu dowodzi, Søgaard. To był szybki awans, co?

Bez odpowiedzi.

– Jeśli nie chce pan równie szybkiej degradacji, radzę usunąć się z drogi – dodał Brix. – Poproszę kogoś, kto będzie miał wszystkie klucze. Nikt nie może opuścić terenu bez mojej zgody.

Wsadził nakaz za pazuchę Søgaarda, odszedł i pokierował ludźmi, wysyłając ich do magazynów.

Louise Raben podeszła bliżej, zainteresowana nagłym cieniem strachu na twarzy Søgaarda. Jeszcze nigdy go takiego nie widziała.

Dołączył do niego Said Bilal. Równie elegancki, w czarnym berecie, z baretkami. I jak zawsze bez śladu uśmiechu.

– Co się dzieje? – spytał.

– Zadzwoń do generała Arilda – rozkazał Søgaard.

Bilal przyglądał się policjantom.

– Czego oni chcą tym razem?

– Rób, co mówię! – wrzasnął Søgaard. – Kurwa mać!...

Podeszła bliżej, przyglądała mu się. Zauważyła gniew. I brak uśmiechu.

– Zrób to, Bilal, dobra? – dodał ciszej. Nie patrzył jej w oczy.

\*

Pat na Slotsholmen. Karina załatwiała telefony. Buch rozpaczliwie czekał na wiadomości z Afganistanu.

– Partia Krabbego daje mu popalić – powiedziała, rozłączając się. – Nie lubią, jak ktoś robi aferę.

Buch chodził po gabinecie, szorując zęby szczoteczką, którą znalazła mu Karina. Weszli ludzie od przeprowadzek, gotowi na jego rezygnację. Wszędzie stały kartony.

– Porozmawiam z nim. Krabbe chce tę sprawę wyjaśnić równie bardzo jak ja.

Skrzywiła się.

– Co? – spytał.

– Tak czy inaczej, on chce odnieść polityczne korzyści, Thomasie. I do tego dąży.

– Nieważne. – Skończył szorowanie, wziął szklankę wody, wypłukał gardło i wypluł wodę z powrotem do szklanki. – Policja naprawdę wraca bez żadnych dowodów?

– Plough wie o tym więcej niż ja.

– Gdzie on jest, do cholery? Dlaczego znika zawsze, gdy go potrzebuję.

Słuchała go półuchem. Jeden z tragarzy chciał instrukcji. Odszedł z dwoma kartonami teczek.

– Prasa postawiła na tobie krzyżyk. Trzech członków parlamentu oskarża cię o zdradę stanu.

– Co? – Twarz Bucha rozgorzała gniewem. Pogmerał palcami we włosach. – Zdradę stanu? W którym wieku ci durnie żyją?

Wszedł Plough. Szary garnitur, krawat. Przykładowy urzędnik państwowej służby cywilnej.

– Potrzebny nam dowód, że premier zataił ten pierwszy raport medyczny – powiedział Buch. – Gdzieś ty był, na miłość boską?

Plough stanął przed nim z rękoma w kieszeniach. Największa oznaka buntu, na jaką było go stać. Wskazał na twarz Bucha. Pasta do zębów na brodzie. Karina podała ministrowi serwetkę i kazała mu to zetrzeć.

– Jedyne dowód, jaki widzieliśmy – ciągnął Plough – sugeruje, że lekarz zadowolony się poprawionym raportem. Nikt nie twierdzi, że Grue Eriksen mordował cywilów. Te twoje oskarżenia...

Buch błądził myślami gdzie indziej.

– Thomas! – jęknął Plough błagalnie. – Walcz tylko w bitwach, które masz szansę wygrać! Powinniśmy się skupić na Rossingu. Wiemy, że był w to wplątany. Wiemy, że coś ukrywa.

– Rossing nie zrobiłby tego sam. Nie ma jaj. Gdzie on jest?

Karina zerknęła na plan dnia członków rządu wyświetlony na ekranie komputera.

– Na nabożeństwie żałobnym w Ryvangen. Za dusze zamordowanych żołnierzy.

Buch poszedł po marynarkę. I dopiero po chwili zrzucił koszulę, w której spędził poprzednią noc, a włożył nową.

– Załatw mi samochód.

\*

Kwiaty i cztery trumny zakryte duńską flagą stały obok czarnej kamiennej chrzcielnicy. Dźwięk samotnej trąbki niósł się po maleńkiej kaplicy koszar Ryvangen. Panował tu chłód. Flemming Rossing dygotał tuż obok katafalków, wpatrując się w bukiety i leżące na wiekach czapki pułkowe.

Msza się opóźniała. Policja przeszukiwała teren koszar. W czasie postępowania żołnierze nie mogli opuszczać swoich kwater. Tylko mistrz ceremonii, w czarnej marynarce, czarnym krawacie i białej koszuli, dołączył do Rossinga i trębacza w kaplicy. Krewni czekali

w kantynie. Jeśli przeszukanie by się przedłużyło, żaden żołnierz ani oficer nie wzięłyby udziału w uroczystościach.

Otworzyły się drzwi. Do środka dziarskim krokiem weszła wielka, ciężka postać. Rossing obejrzał się, popatrzył i wziął głęboki zbolący oddech.

Buch usiadł w ławce za nim.

– Ma pan dla mnie nową bajkę? Co pan tu robi? Został pan zaproszony?

Buch odpowiedział głosem ochrypłym i cichym:

– Wiem, że mi pan nie ufa. Ale więcej nas łączy, niż pan sądzi.

Rossing nie odrywał wzroku od trumien i czerwono-białych flag.

– Mam nadzieję, że to nieprawda. Słyszałem, że pańska mała wyprawa do Afganistanu okazała się bezowocna. To dopiero niespodzianka. Nic dziwnego, że jest pan zdenerwowany.

Ciche, wyszemrane przekleństwo tuż przy uchu Rossinga.

– Niech pan nie zgrywa przede mną nadętego dupka – wysyczał Buch.  
– Myśli pan, że służył wyższym celom?

– Służyłem.

Wielkie ramię Bucha wskazało trumny tuż przed twarzą Rossinga.

– Sądzi pan, że oni by się z tym zgodzili?

– Oni właśnie są powodem. Każda trumna przypomina mi, że musimy kontynuować nasze starania, żeby żadna śmierć nie poszła na marne.

– To polityczne gadki, puste frazesy. Doskonale pan o tym wie. Nie chodziło o wojnę, o zwycięstwo. W każdym razie Grue Eriksenowi o to nie chodziło. Chodziło o władzę, pieniądze i głosy.

Rossing odwrócił się i wpatrzył groźnie w Bucha. Nic nie powiedział.

– Wiem, że nie zrobił pan tego sam, Rossing. Pan dostaje rozkazy i wykonuje je. Ci ludzie... – jego głos był donioślejszy niż zwykle,

brodata twarz wykrzywiła się z gniewu – zginęli z powodu tamtych wydarzeń.

– Tego pan nie wie...

– Niech pan więc zaprzeczy! – ryknął Buch. – Ma pan obowiązek, kurwa! Monberg miał przynajmniej sumienie.

– I ono go zabiło.

Buch wściekle wyrzucił ręce przed siebie.

– A kto zabił ich?

Podszedł do nich mistrz ceremonii.

– Musi pan wyjść – powiedziała. – Stanowczo żądam. To zachowanie jest niestosowne.

– Niestosowne? – Buch wpatrywał się w Rossinga, kręcąc głową. – To dobre słowo, prawda?

– Proszę wyjść albo wezwę ochronę! – powiedział mężczyzna bardziej zdecydowanym tonem.

– On zwali winę na pana – krzyczał Buch, idąc do drzwi. – Tak jak zrobił to z Monbergiem. I ze mną.

Rossing siedział z zamkniętymi oczami, z kamienną i poszarzałą twarzą.

– Jesteśmy sobie potrzebni – dodał Buch. – Jeśli się pan na to zdobędzie, wie pan, gdzie mnie szukać.

\*

Po czterdziestu minutach rewizji Brix i Madsen przechodzili przez kwatery oficerskie, patrząc, jak policjanci przetrząsają biurka i szafki.

Nie znaleźli kompletnie nic.

– Spróbuj jeszcze raz zadzwonić – rozkazał Brix.

– Już to robiłem – odparł Madsen. – Może bateria się wyczerpała.

– Szukaliście w piwnicach? W podziemiach...

Weszli do holu.

– Wielki obiekt – powiedział Madsen, podziwiając piękny sufit i rzeźbione schody. – Z tymi ludźmi, których mamy do dyspozycji, przeszukanie potrwa kilka dni.

– Macie sprawdzić każdy centymetr kwadratowy. Nieważne, jak długo to potrwa. Coś tu jest. Musi być...

Urwał. Po schodach schodził mężczyzna w granatowym mundurze, o rudych włosach, ostrej inteligentnej twarzy stężącej z gniewu. Generał Arild trzymał telefon przy uchu i mówił coś szeptem.

– Chwileczkę! – powiedział głosem tak władczym, że w zasadzie nie musiał go podnosić.

Zawiesił rozmowę.

– Wiem, co pan powie – zaczął Brix. – Niech pan sobie daruje. To oficjalne dochodzenie policyjne. Nie zostaniemy tu na zawsze, przeżyjecie.

Ponure oczy Arilda patrzyły na niego nieruchomo. Podał Brixowi telefon.

– Do pana.

Brix wyrwał mu komórkę z ręki. Wiedział, kto jest po drugiej stronie.

– Co ty wyprawiasz, do cholery?! – wrzasnęła Hedeby w słuchawce.

– To nie jest dobry moment.

– Pakuj się i wracaj. To rozkaz. Jak śmiesz?...

Podszedł Søgaard i dołączył do Arilda. Stali obok siebie, ze splecionymi ramionami, twarzami spokojnymi i pewnymi siebie.

– Ja tu dowodzę – odparł Brix. – Biorę na siebie pełną odpowiedzialność za zaistniałą sytuację. Kiedy rewizja dobiegnie końca, wrócę do ciebie.



– Nie tym razem. Rozmawiałam z komendantem okręgowym. Nie dowodzisz już. Wynoś się stamtąd.

Odsunął telefon od ucha. Usłyszał jeszcze ciche pytanie: „Lennart?...”.

Arild wyciągnął rękę i wyjął mu z dłoni swój telefon.

– Jeśli nie znikniecie stąd w ciągu pięciu minut – powiedział – niech Bóg ma pana w opiece.

Posłał mu jeszcze najzimniejszy ze swoich uśmiechów, zrobił w tył zwrot i odszedł, a Søgaaard posłusznie udał się za nim.

Brix stał w zimnym holu, przez chwilę niezdolny do myślenia. W przeszłości sam zawieszał oficerów. To nigdy nie było łatwe.

Zadzwoił jego telefon.

– Słucham?

– Znaleźliśmy coś w piwnicy. Musi pan tu przyjść.

\*

Dwie kondygnacje pod mesą oficerską. Rury centralnego ogrzewania, blade światła, brud i chłód. Brix i Madsen włożyli lateksowe rękawiczki i podeszli do grupy funkcjonariuszy zebranych przy drzwiach na końcu korytarza.

Szatnia. Szeregi drewnianych drzwi, wszystkie otwarte. Kobieta z ekipy technicznej świeciła latarką do jednej z nich, mniej więcej środkowej. Mężczyzna, który jej towarzyszył, sięgnął do wnętrza.

Telefon z błyskającym zielonym wyświetlaczem.

– Mamy to – powiedział. – Ta sama karta SIM, której użyto do uruchomienia bomby.

Na półce pod telefonem leżała długa, czerwona metalowa kasetka. Zamknięta na niewielką mosiężną kłódkę.

Brix wskazał znalezisko.

– Zajrzyjmy do tego.

Kobieta wzięła przecinak i jednym ruchem zdjęła kłódkę. Brix ominął ich, pochylił się, otworzył pokrywę. Ktoś włączył latarkę.

Wyjął pierwszy z wierzchu przedmiot. Połyskujący kawałek metalu. Nieśmiertelniki na łańcuszku, przecięte na pół, jeden z nich pokryty zakrzepłą krwią.

Brix wyprostował się i zamknął drzwi. Spojrzał na nazwisko właściciela szafki.

Søgaard.

Zadzwoił do Ruth Hedeby.

– Posłuchaj mnie choć raz, dobra? – rzekł, gdy zaczęła jęczeć.

\*

Właściwie to nawet nie była wioska. Raczej skupisko zrujnowanych budynków otoczonych niskim murem, w którym czas i działania wojenne poczyniły mnóstwo wyłomów. Kilka domów skleconych z błota i cegieł, obróconych w potrzaskane szczątki. Przed konstrukcją, która kiedyś musiała być bramą, mniej więcej dziesięcioletni chłopiec karmił niewielkie stado kóz. Uciekł na widok land rovera.

Lund wysiadła ze Strangem. Kierowca wziął swój karabin automatyczny i dołączył do nich. Wioska leżała w długiej dolinie otoczonej nagimi polami. Przy pierwszym z brzegu domu stał spalony pikap. Widniały na nim czarne brzydkie ślady, niewykluczone, że po wybuchu bomby.

Nieco dalej zaparkowała biała furgonetka z niebieskim światłem na dachu. Tęgi mężczyzna w granatowym policyjnym mundurze opierał się o jej burtę i palił papierosa. Dwaj inni, w długich szatach i turbanach, siedzieli z tyłu, z karabinami przerzuconymi przez ramię.

– Salam alejkum – powiedział żołnierz, podchodząc do nich.

Policjant rzucił papierosa na ziemię, zdeptał go, spojrzał im w oczy i przywitał uściskiem dłoni. Z Lund na końcu.

Nie powiedział ani słowa, tylko zdjął karabin z pleców i poprowadził ich na środek terenu. Dwóch jego ludzi zamykało pochód.

Strange trzymał teczkę. Trudno było połączyć jej zawartość ze zrujnowanym domem, który pokazał im policjant. Dym po ataku samobójczym pokrył czernią front budynku. Przez wybite okna wdzierały się podmuchy ostrego zimowego wiatru. Większość mebli zniknęła. Zostało tylko kilka połamanych krzeseł i niewielki stół w pokoju dziennym.

Strange ruszył po schodach na górę.

– Zgodnie z ustaleniami dochodzenia, ludzie Rabena zabrali rodzinę na górę.

Trzy pomieszczenia, tylko jedno sensownej wielkości. I znowu zniszczone meble. Brudny kocioł, na podłodze potłuczone szkło i łuski pocisków. Lund podniosła jeden. Strange podszedł do niej i popatrzył.

– Kaliber 5.56 – stwierdził. – Od M-95 duńskiej armii. To tutaj.

Weszła do niewielkiego sąsiedniego pomieszczenia. Otworzyła starą skrzynię. Próbowała przetrząsnąć potrzaskane drzwi i szafki. Wyglądało tu jak po przejściu zabójczego huraganu.

Wrócili na dół. Wielki kominek pokryty sadzą i wilgotny. Krzywy kuchenny stół.

– Tu żołnierze spali na zmianę – powiedział Strange, przeglądając notatki.

Jeden materac. Podniosła go, obejrzała. Żadnych śladów krwi.

Obok znajdowała się sień. Za drzwiami zdjętymi z zawiasów.

– Tu zabito rodzinę? – spytała Lund.

– Zgodnie z twierdzeniami Rabena. – Strange kiwnął głową. – Powiedział, że ciała przeniesiono jedno pomieszczenie dalej.

Wyjął latarkę, otworzył kolejne rachityczne drzwi. Dostrzegli puste pomieszczenie.

– Nie ośmielili się stąd wyjść?

Strange pokręcił głową.

– Skoro tam byli talibowie, to nie. Jak mogli wyjść?

– Ale tu nic nie ma! Tylko parę łusek. Żadnej krwi. Żadnego śladu po jedzeniu. Można by... – to się wydawało niedorzeczne – można by pomyśleć, że tu nikt nie mieszkał. – Odchyliła postrzępioną brudną zasłonę i wyjrzała na smętny spalony krajobraz. – I że nikt tu nie umarł.

Kierowca zaczynał się niepokoić.

– Skończyliśmy? – spytał.

– Mamy mnóstwo czasu – odparła Lund. – Chcę porozmawiać z policjantem. Może pan tłumaczyć?

Wrócili do największego pomieszczenia. Policjant siedział na krześle, dwaj mężczyźni, z którymi przyjechał, stanęli nad nim niczym strażnicy. Wszyscy palili. Ten w granatowym mundurze był najwyraźniej znudzony, a na pewno opryskliwy.

– Kto tu mieszkał? – spytała Lund.

Zaczekała na przetłumaczenie.

– Pięcioosobowa rodzina. Niektórzy uważali, że ojciec rodziny jest baronem narkotykowym, który dawał pieniądze talibom – przekazał w końcu żołnierz.

– Czy on uważa, że tę rodzinę zabili duńscy żołnierze?

Policjant ziewnął, wstał, otrzepał brudną czapkę i sięgnął po karabin. Powiedział coś powoli.

– Nie – przetłumaczył żołnierz. – Mówi, że po rodzinie nie ma śladu.

Lund nie odrywała oczu od Afgańczyka.

– Zatem tak po prostu zniknęli?

– To się zdarza – odparł żołnierz. – Niech pani nie naciska.

Na podłodze coś leżało. Wyglądało jak drewniana rakieta, z rączką. Lund podniosła ten przedmiot.

– Co to jest?

Policjant wykonał gest, jakby jadł, i coś powiedział.

– To na chleb – przetłumaczył żołnierz. – Rodzina prowadziła piekarnię.

– I sprzedawała narkotyki talibom? – spytała Lund.

– Tak bywa.

– Gdzie piec?

Długi potok pasztuńskiego.

– Mówi, że wszystko zostało zniszczone.

– W takim razie niech pokaże, gdzie stał piec.

– Lund – szepnął Strange.

– Co?

– Nie jesteśmy tu mile widziani. Musimy się zbierać.

Za domem znajdowało się podwórko. A za nim kilka niskich budynków.

– Jeszcze nie skończyłam – powiedziała.

\*

Buch siedział przy biurku, patrzył, jak wynoszą kartony, i słuchał Plougha narzekającego na konfrontację w kaplicy w Ryvangen.

– Thomas – narzekał. Teraz już zawsze mówili sobie po imieniu. – Co chciałeś zyskać?

– Rossing nie jest głupcem – powiedział Buch. – Wie, że następnym razem Grue Eriksen może jego wziąć na cel. Dałem mu szansę. Nie skorzystał. Podzwoniłem trochę po adwokatach, by pogadać, jakie mamy wyjścia. Chcę, żebyś z nimi usiadł...

– Mamy teraz większe problemy na głowie! – krzyknął Plough.

– Na przykład?

– Dochodzenie Lund w Afganistanie.

– Co z nim? – Buch potrząsnął głową. – Skoro ona przejechała taki kawał drogi...

– Opuściła strefę wojskową bez pozwolenia.

– Więc wyślij jej pozwolenie.

– Nie masz pojęcia, jak to się załatwia. Afganistan to operacja NATO. Obowiązują przepisy międzynarodowe. Myśmy je złamali. Dowództwo Operacyjne jest wściekłe. Brytyjczycy się wkurzyli...

– A kiedy oni się nie wkurzają?

Do drzwi energicznie zapukała Karina. Ostatnio nie ubierała się już tak oficjalnie, jakby jej dni też były policzone. Miała na sobie czerwoną bluzkę i obcisłe dzinsy.

– Na zewnątrz czeka minister obrony – powiedziała zdumiona. – Chce się z tobą spotkać na osobności. Mam...?

Buch klasnął w dłonie i w jednej chwili zerwał się z krzesła. Rossing wszedł i zaczął czekać, aż Karina i Plough wyjdą.

– Jeśli przyszedł pan w sprawie jakichś trywialnych pozwoleń dla policji w Helmand, to niech pan sobie daruje – powiedział Buch.

– Nie – odparł Rossing z krzywym uśmiechem. – Opuściłem już sobie zgadywanie, co pan jeszcze wymyśli.

– Czym więc mogę panu służyć?

Rossing siadł przy oknie. Wyglądał inaczej. Być może na pokonanego.

– Zawsze byłem lojalny wobec Grue Eriksena. Jakżeby inaczej?

– Gratulacje.

Przymknięte oczy Rossinga otaksowały go powoli.

– Czasami oznaczało to kompromis. W kwestiach polityki. Zasad. Taka jest polityka.

– Ja bym powiedział, że taki jest kompromis.

– Sprawuje pan urząd od tygodnia i poucza mnie pan? – Rossing powiedział to bardziej ze smutkiem niż z gniewem, zauważył Buch ku swemu zaskoczeniu. – To nie jest łatwe. Nie jest proste. Kiedy usłyszeliśmy te opowieści o zabitych cywilach...

Wyjrzał za okno.

– Wiele się działo. Potrzebowaliśmy większych funduszy. Więcej żołnierzy. – Minister obrony wyglądał na zmęczonego, wręcz zmordowanego. – Jedna decyzja zawsze pociąga za sobą następną. Pan przewrócił kostki domina. Jedna gdzieś się przewraca, a za nią cały rząd. Premier i ja postanowiliśmy odłożyć na później śledztwo w sprawie ręki. Nie miałem pojęcia, do czego to doprowadzi.

Rossing pochylił się do przodu i spojrzał Buchowi w oczy.

– Gdybym miał chociaż cień pojęcia... Biedny Monberg. Te wszystkie morderstwa...

Buch siadł obok niego i czekał.

– Może powinno mi się zapalić czerwone światełko – szeptał Rossing.  
– Nie jestem dumny...

– Jakie światełko?

– Lekarze, którzy oglądali tę rękę, dostrzegli jakieś niespójności. Nam się to wydawało nieprzekonujące. Wywiad wojskowy przekazał nam, że

wśród ofiar nie było żadnych cywilów.

– Rossing. Jest pan ministrem obrony. Akurat pan mógł bez problemu dociec prawdy...

Ptasia głowa odchyliła się do tyłu i Flemming Rossing roześmiał się – mocno i szczerze.

– O Boże. Pan czasami jest jak dziecko. Myśli pan, że wiem wszystko? Wyobraża pan sobie, że oni mi przekazują wszystkie szczegóły? Albo że ja chcę tego słuchać? To jest wojna. To jest rząd...

– Jakie niespójności?

Rossing znowu odwrócił twarz do okna. Wydawał się nieobecny, jakby nie chciał, żeby ktokolwiek go teraz oglądał. Sięgnął do kieszeni i wyjął jakieś dokumenty. Zaczął czytać:

– „...znajduje się tatuaż wykonany henną”.

Podał kartkę Buchowi.

Ten popatrzył. Zdjęcie urwanej ręki. Na dłoni widniał brązowy owalny tatuaż.

– Skonsultowaliśmy się z ekspertami – ciągnął Rossing. – Powiedzieli, że to rysunek typowy dla Hazarów. Oni nienawidzą Talibów. I boją się ich, nie bez powodu. I jeszcze to... – Wskazał drugi palec. Obrączka z jasnego metalu. – To złota obrączka. Talibowie nie noszą złota. To kobieca ręka. Nie może należeć do zamachowca samobójcy.

Przez jakiś czas Thomas Buch nie znajdował słów. Potem ośmielił się zadać pytanie.

– Premier o tym wie?

Flemming Rossing zamknął oczy.

– To nie jest nigdzie odnotowane.

– Ale wiedział?



Krótki śmiech.

– Jeszcze pan tego nie zrozumiał? Gert wie o rzeczach, o których niby nikt mu nie mówił. Robi mu się przysługi, o które nigdy nie prosił. Dlatego jest premierem. Dlatego sprawuje władzę. Jest jednym z tych, wobec których wszyscy mamy zobowiązania. – Rossing przyglądał się uważnie Buchowi. – Nawet pan.

Po czym wstał.

– Dlaczego pan mi to mówi? – spytał Buch.

– Tego pan chciał, prawda?

– Ale dlaczego? Dlaczego teraz?

– Biedny Buch. – Rossing potrząsnął głową. – Nie czuje pan, że nadchodzi trzęsienie ziemi? – Postukał w dokumenty. – Idę teraz. To dla pana. Niech pan zrobi z tym, co pan chce.

Dobre pięć minut później Buch zaczął zastanawiać się nad słowami Rossinga. Potem wezwał Plougha i Karinę, poprosił, by siedli przed biurkiem, i na chwilę odesłał tragarzy.

– O co chodzi? – spytał Plough nieufnie.

– Zmiana strategii – powiedział Buch, podając im dokumenty dotyczące ręki.

– Nie podobał mi się wyraz twarzy Flemminga Rossinga – warknął Plough. – Chcesz mi powiedzieć, że teraz wy dwaj jesteście przeciwko Grue Eriksenowi?

– Przeczytajcie, co mi dał – powiedział Buch i zaczął, aż oboje obejrzą zdjęcie z tatuażem i dołączony raport.

– Dlaczego mamy mu zaufać? – spytała Karina. – Po tych wszystkich kłamstwach. Po tych wszystkich sztuczkach? Skąd nagle u niego przyływ wyrzutów sumienia?

– To nie ma nic wspólnego z sumieniem – odrzekł Buch. – On się boi. Używa mnie, by ostrzec Grue Eriksena. Porozmawiam z Krabbem.

Dajcie mi coś od Lund. Dowiedzmy się, co mamy od PET. Policja.

Plough wiercił się na krześle.

– Tak? – spytał Buch.

– Erik König został zwolniony w trybie natychmiastowym. Na polecenie kancelarii premiera.

– Jestem ciągle ministrem sprawiedliwości! Tylko ja mogę go zwolnić!

– A Grue Eriksen jest premierem. Już po wszystkim. Königa nie ma. – Plough zmarszczył nos w zdumieniu. – Spytałem go dlaczego, ale mi nie powiedział. Jutro zostaniemy powiadomieni, kto go zastąpi. Trochę mnie to niepokoi...

\*

Brix umieścił Søgarda i Madsena w pokoju przesłuchań. Zniknęła kurtka majora. Została zwykła wojskowa koszula, beret na stole. Nie wyglądał na zaskazanego.

– To śmieszne – narzekał. – Mówiłem już miliony razy. Nie korzystałem z tej szafki od miesiąca. Czysty przypadek, że zostało tam moje nazwisko.

– Przypadek?

– Właśnie.

– A to następny przypadek. – Madsen stał przy oknie, patrzył z góry na mężczyznę przy stole. – Telefon, który w niej znaleźliśmy, posłużył do zamordowania Grünera.

Søgard wzruszył ramionami.

– Skoro tak pan mówi. Nie należy do mnie.

Brix miał już dość tej gry. Otworzył teczkę, którą właśnie przysłano z laboratorium. Zdjęcia przeciętych nieśmiertelników znalezionych

w szafce Søgaard.

– Proszę na to spojrzeć i powiedzieć mi, że to też przypadek. W laboratorium sprawdzono wszystkie połówki.

Søgaard spojrział na zdjęcia i nic nie powiedział.

– Pasują do połówek znalezionych przy ofiarach – ciągnął Brix, rozkładając pięć fotografii: zakrwawiony metal i łańcuszek. – To pana obciąża, Søgaard. Lepiej niech pan zacznie udzielać odpowiedzi.

– Jakich? – Ledwie spojrział na zdjęcia. – Nigdy wcześniej tego nie widziałem. Nie mam pojęcia, skąd się tam wzięły.

Brix rzucił na stół torebkę dowodową.

– Co to jest? – spytał.

Søgaard poluzował czarny krawat. Wziął torebkę i rzucił ją z powrotem na stół.

– Klucz. Nigdy go nie widziałem.

– Postawię panu zarzut popełnienia pięciu morderstw – powiedział Brix.

– No to popełni pan wielki błąd.

– Powiedział pan, że nie znał Anne Dragsholm. To kłamstwo. Wiedział pan, że stara się o wznowienie sprawy.

– Boże, jakie to nużące...

– Postawimy panu zarzuty – powtórzył Brix. – Do czasu zakończenia śledztwa zostanie pan umieszczony w pojedynczej celi. Kiedy uznamy to za stosowne, wydamy zgodę na wizyty. – Zebrał zdjęcia, odwrócił się do Madsena. – Zabierz go stąd.

– Chwileczkę.

Søgaard nie wyglądał już tak zuchwale.

– No więc poznałem się z tą Dragsholm. Zadzwoiła do mnie, do koszar, naciskała o spotkanie. Nadęta krowa, która nie rozumie, co

znaczy „nie”. Powiedziałem jej, że wersja Rabena to stek kłamstw. Nie uwierzyła mi, więc posłałem ją do wszystkich diabłów. – Sięgnął po beret. – I to wszystko.

– Skłamał pan – powtórzył Madsen.

– Nie chciałem się w to pakować. Dlaczego miałbym zabijać własnych ludzi?

Brix szurał zdjęciami, słuchał.

– A gdybym ich zabił – podjął Søggaard – naprawdę sądzicie, że byłbym na tyle tępy, by zostawiać obciążający mnie telefon, włączony, w szafce z moim nazwiskiem?

– Zobaczymy, co pomyśli sędzia, dobrze? – odparł Brix.

– Nie! – Søggaard zaczął się naprawdę bać. – To wszystko nie tak. Nie przejęliśmy się Dragsholm. Historia Rabena to czysta bzdura.

– My? – spytał Brix. – Pan i Jarnvig?

– Nie. Pułkownik czasami jest stanowczo zbyt dociekliwy. Nie zamierzałem mu o tym mówić.

– Zatem kto?

– Said Bilal. On był moim zastępcą, gdy Jarnvig był w Kabulu. Kiedy było prowadzone dochodzenie, zajmował się raportami radiowymi. – Søggaard postukał w stół. – Może potwierdzić moje słowa.

Brix wyjął długopis i podkładkę, zapisał kilka rzeczy.

– W jaki sposób Bilal zareagował, gdy Dragsholm zaczęła rzucać oskarżenia?

– Wściekł się jak cholera. Zupełnie jakby go to dotknęło osobiście. Bilal jest muzułmaninem, ale przede wszystkim Duńczykiem. Nienawidzi tych fanatyków bardziej niż ktokolwiek inny. Porządny człowiek. Lubią go w Dowództwie Operacyjnym. Zwłaszcza Arild. To on zobaczył Rabena z Jarnvigiem i powiedział o tym Arildowi. Pewnie...

– Søggaard uśmiechnął się szyderczo – w dzisiejszych czasach ciemna twarz dobrze wypada na plakatach rekrutacyjnych.

– Said Bilal ma dostęp do tych szafek w piwnicy?

– Daj pan spokój. On ledwie samodzielnie myśli.

– Ma dostęp?

Søggaard coś sobie przypomniał. Podrapał się po głowie.

– Jakiś tydzień temu mówił, że nie powinniśmy z nich korzystać. Sufit grozi zawaleniem czy coś takiego.

– Nikt o tym nie wspomniał, kiedy schodziliśmy na dół – zauważył Madsen.

Søggaard ścisnął nerwowo swój beret majora.

– Nikogo nie zabiłem – powiedział. – Marnujecie czas, jeśli próbujecie na mnie to zwalić.

\*

Prawniczka wróciła. Widać musiała rozmawiać z Arildem. To było oczywiste.

– A zatem wszystko uzgodnione? – spytała, gdy szli przez korytarze komendy w stronę samochodu, który miał go zabrać do szpitala. – Wycofa pan zeznanie o oficerze i ofiarach cywilnych?

Towarzyszyło im trzech policjantów. Krzepkich gości. Jeden dźgnął Rabena w klatkę piersiową, gdy uznał, że idzie on za wolno.

Ten wydał zduszony jęk. Rękę miał wciąż na temblaku. I kulał.

Prawniczka się zirytowała.

– Wczoraj postrzeliliście tego człowieka – krzyknęła na policjanta. – Nie popychajcie go.

– Będziemy mu towarzyszyć aż do szpitala – odparł detektyw. – Kiedy powie nam, że jest zdrowy, pójdzie do więzienia.

Przechodzili przez główną salę dochodzeniowców. Zdjęcia na ścianach. Zakrwawione ciała. Broń. Nieśmiertelniki.

Raben wpatrywał się w nie. Potem zerknął na trzech policjantów.

Senni ludzie, którzy mieli się za twardzieli – niczego więcej nie potrzebował.

Przy zdjęciach stała grupka detektywów. Adwokat, bystra szybka kobieta, która, jak sądził, korzysta z każdej okazji, kazała mu zaczekać chwilę i poszła z nimi pogadać.

Raben spojrział na policjantów i uśmiechnął się. Potem podniósł rękę, tę na temblaku, i się skrzywił.

– Postrzał to nic fajnego. Drugi raz w ciągu dwóch lat. Muszę mieć pecha.

– No raczej – mruknął ten, który go popchnął.

Raben tylko się znowu uśmiechnął. Adwokat wróciła. Wyglądała na zadowoloną.

– Nie będziemy mieli jutro posiedzenia aresztowego. – Zerknęła na mężczyznę dokoła niego. – Proszę, żeby w szpitalu trzymano go pod nadzorem. Dopóki nie pójdziemy do sądu...

– Skąd to spóźnienie? – spytał.

– Podobno złapali mordercę. Major Søgaard siedzi w areszcie, ma mieć postawione zarzuty. W jego szafce znaleziono dowody.

– No na miłość boską! – krzyknął Raben. – Søgaard? Żartujecie sobie?!

Jego reakcja nie spodobała się pani adwokat.

– Trudno sprawić panu radość. Całemu światu pan powtarza, że jest w to zamieszany ktoś z wojska.

– To nie był Søgaard. On nie był Perkiem. Nie mógł być...

– Możemy już iść? – spytał wielki policjant.

Po czym pchnął Rabena w stronę wyjścia.

Szli i szli. Przez korytarze z czarnego marmuru na wysoką klatkę schodową prowadzącą do głównego wejścia.

– Nie mogę jechać z wami do szpitala – powiedziała prawniczka, zerkając na policjantów. – Nie wolno wam zadawać mu pytań pod moją nieobecność. Czy to jasne?

Bez odpowiedzi.

Znowu utykał, powoli pokonując schody.

– Søgaaard mógł coś ukrywać, ale nie jest mordercą – ciągnął.

– Może byś się zamknął i szedł? – warknął pierwszy z detektywów. – Nudzisz mnie.

– To ranny człowiek – krzyknęła na niego prawniczka.

– To gnojek, który nas w kółko zwodzi...

– Søgaaard tego nie zrobił! – krzyknął Raben.

– Naprawdę? – Policjant skrzyżował ramiona i zatrzymał się na schodach. – Znaleźliśmy w jego szafce drugie połówki nieśmiertelników. Jak to wyjaśnisz, dupku? A teraz ruszaj.

Delikatne pchnięcie, a Raben niemal się zatoczył. I przewróciłby się, gdyby policjant nie trzymał go pod ramię.

Koniec jednego odcinka schodów. Przed nimi następny.

– Moja żona i syn są w koszarach – krzyknął do niego Raben. – To znaczy...

– Naprawdę już mnie...

Raben krzychał. Podszedł drugi policjant, kazał mu się uspokoić, pchnął go w plecy.

Adwokat znowu zaczęła krzyżeć. Patrzyli, jak Raben w więziennym kombinezonie zatacza się do przodu, macha jedną ręką, a drugą,

uwięzioną na temblaku, próbuje się asekurować. Przelatuje przez drugie schody i spada dalej, aż na sam dół.

– Cholera – zaklął wielki policjant, dopadłszy Rabena. Podtrzymał mu głowę, szukał pulsu. – Musi natychmiast jechać do szpitala.

\*

Noc w koszarach. Cichych i pustych, bo ostatnia grupa żołnierzy odjechała do Helmand. Większość wieczoru Louise Raben próbowała znaleźć ojca. Teraz zniknął też Søgaaard. Jednostką chyba już nikt nie dowodził.

Przeszła po pustych biurach, szukając kogoś, z kim mogłaby porozmawiać, komu pozawracałaby głowę. W końcu w magazynie broni znalazła Saida Bilala czyszczącego karabin.

Kiedy weszła, nie podniósł wzroku. Nigdy się nie uśmiechał. Nigdy nie reagował.

– Bilal – powiedziała. – Co tu się dzieje, do diabła? Żandarmeria nie chce mi powiedzieć, kiedy wypuszczą mojego ojca.

Trzymał karabin w ramionach, gładził naoliwioną lufę. Spojrzał na nią groźnie i nic nie powiedział.

– I co tu robiła policja, u licha? – pytała.

– Nie wiem – odparł ze wzruszeniem ramion. – Pojechali już. Zabrali ze sobą Søgaaarda.

Przykucnęła koło niego, próbowała zajrzeć w jego nieruchomą twarz.

– Mój ojciec dowiedział się, że ktoś ukrywał raporty radiowe z czasu misji Jensa. Nie pokazał ich prokuratorowi wojskowemu.

Wrócił do karabinu, wyjął magazynek, sprawdził go w bladym świetle.



– Kto mógłby to zrobić? – spytała. – To musi być jakiś żołnierz stąd. Ktoś, kto służył w tym oddziale.

Wstał, uciekł wzrokiem.

– Nie obchodzi cię to, Bilal? Nie rozumiesz, jakie to ważne? To pokazuje, że Jens miał rację. Ktoś go zrobił...

– To wojna! – ryknął Bilal, a jego ciemne oczy wypełniła taka furia, że Louise aż się przeraziła. – Nigdy tam nie byłaś. Nie wiesz, jak to jest.

– Nie mów tak – odparła cicho. – Widziałam, jak to jest. Ktoś zrobił mojego męża...

– Nie było żadnych wiadomości. Nikt niczego nie ukrywał. Raben był awanturnikiem. Szkoda tylko, że zabrał ze sobą pozostałych. – Gniewnie spojrzął na jej twarz. – Że nie poszedł sam.

Nie ustępowała.

– Mój ojciec tak nie uważa, prawda? Ma dowód. Może ten sam człowiek podrzucił te rzeczy do szafki Søgaard...

Bilal zaklął. Po raz pierwszy słyszała, żeby klął. Odłożył karabin na stół, wstał i podszedł do skrzyń z bronią.

– Skoro znaleźli te rzeczy, Søgaard musiał je tam włożyć – powiedział. – Bo kto inny? To kretyn. Mówiłem wszystkim, żeby tam nie chodzili. Sufit grozi zawaleniem...

– Kto zajmował się radiem dwa lata temu, Bilal?

Kolejny karabin w jego rękach. Trzymał go tak, jak wszyscy. Jakby broń była częścią jego ciała.

– Jesteś pielęgniarzką. Trzymaj się tego, za co ci płacą.

– Jestem żoną Rabena! Córką twojego pułkownika. Dwaj najważniejsi dla mnie mężczyźni siedzą po uszy w gównie, bo...

– Połączenia radiowe rejestruje komputer! – krzyknął. – To tylko lista komunikatów. Nic poza tym.

Nie zamierzała odpuścić.

– Powiedzmy, że ktoś rozpracował, jak skasować zapisy w komputerze. Domyślam się, że Søggaard mógł to zrobić. Jest dowódcą. Kto jeszcze?

Wciął magazynek od karabinu, zajrzał do środka, przebiegł palcem po zamku i zatrzasnął go w środku.

– Nie mogę o tym rozmawiać – powiedział. – To są sprawy armii. Nie twoje.

– Zadzwoń do tego gnoja Arilda! Dowiedz się, kto doniósł na mojego ojca o balu kadetów.

Patrzył na nią.

– Co?

– Ale ty jesteś tępy. Gdy tylko mój ojciec zaczął drążyć sprawę, ktoś kazał go aresztować. Dlaczego? Bo drążył. Jeśli się dowiemy, kto...

Podszedł, stanął przed nią. Młoda, obca twarz bez wyrazu.

– Zadzwoń – nalegała. – I na policję. Oni muszą wiedzieć. – Pokręciła energicznie głową. – Jeśli ty tego nie zrobisz, ja...

Bilal powoli wyjął telefon z kieszeni. Patrzyła, jak jego palce przebiegają po klawiszach.

Nie dzwonił.

– Czekam... – zaczęła.

Rozejrzał się po pustym magazynie, schował telefon do kieszeni.

Wyciągnął rękę, chwycił ją za gardło i ścisnął.

\*

Kierowca patrzył, jak Lund rozwała potraskane stoły w piekarni. Był coraz bardziej zdenerwowany.

– Rozmawiałem z bazą – powiedział. – Mamy się stąd natychmiast wynosić.

Miała w palcach drzazgi. Zacięła się kilka razy. I nic nie znalazła.

Strange opierał się o framugę, ramiona splótł na piersi, milczał.

– Chcę zobaczyć ten piec – powiedziała. – Gdzie on jest?

Afgański policjant zawołał z sąsiedniego pokoju. Znalazł inny kominek, pełen sadzy i nadpalonych polan.

Lund popatrzyła.

– To nie jest piec – powiedziała. Patrząc na niego, powtórzyła: – Piec!

– To na pewno pomoże – mruknął Strange.

Rozległ się trzel. Dzwonił telefon satelitarny w jego kieszeni.

Zdesperowany Afgańczyk wyrzucił ręce w powietrze. Powiedział coś, czego nie zrozumiała, ale ton odczytała trafnie.

Wparadowała do pierwszego pomieszczenia. Na końcu ułożono stos drewna. Rzuciła się na nie, gdy jeden z Afgańczyków skierował na nie światło latarki.

W końcu zobaczyła kupę potrzaskanych cegieł i bloków. Wyglądały, jakby ktoś spejalnie je poupychał, by coś ukryć.

Afgańczyk i żołnierz stali tuż za nią.

– No właśnie – powiedziała. – Musimy to wszystko wybrać i zobaczyć, co tam jest.

Dwaj mężczyźni zaczęli rozmawiać po pasztuńsku. Afgańczyk podniósł rękę do głowy w wymownym geście.

– On uważa, że pani zwariowała – powiedział żołnierz. – Ja się z nim zgadzam.

– To, co się tu wydarzyło, doprowadziło do morderstwa! – krzyknęła na nich. – Całej rodziny.

– Tego nie wiemy, Lund – powiedział Strange, kończąc rozmowę.

– Ależ wiemy! – krzyknęła.

Wymierzyła palec w twarz Afgańczyka. Nie spodobało mu się to.

– Jeśli coś o tym wiesz, masz mi natychmiast powiedzieć. Rodzina, na miłość boską! Matka, ojciec. Trójka dzieci.

Żołnierz tłumaczył. Policjant sprawiał wrażenie znudzonego.

– Muszę wiedzieć, co się z nimi stało! – wrzeszczała Lund.

Ku jej zdumieniu krzepki brodaty mężczyzna spojrzał na nią i zaczął się śmiać. Powiedział coś do żołnierza.

– Na wypadek gdyby pani nie zauważyła, tu codziennie umierają rodziny – usłyszała. – Od kiedy to kogokolwiek z was obchodzi?

Afgańczyk popatrzył na nią groźnie, zapalił papierosa.

Lund pokręciła głową zdumiona, wściekła.

– Co to, kurwa, ma znaczyć? Ej, ej!

Dopadła go i chwyciła za ramię. Zły pomysł. Nie spodobało mu się, że kobieta zrobiła coś takiego, chwycił więc za karabin. Lund się nie przestraszyła.

– Ej! Koleś! – darła się. – Kiedy ludzie giną, to jest ważne, nawet tutaj. Co jest z tobą, na Boga?! Masz to w dupie czy co?

Patrzyła na niego płonącym wzrokiem.

– Przetłumacz to, do cholery!

On coś mówił. Nie była pewna, czy dobrze.

– Powiedz mi, co się stało – rozkazała Lund, klepiąc komendanta po niebieskiej bluzie. – A może ten mundur jest tylko ponurym żartem? Co się stało z ciałami? Stoisz na straży prawa. Musiałeś coś widzieć, coś słyszeć.

Patrzył jej w oczy z kamiennym spokojem. I nie było to miłe spojrzenie.

– Ktoś ich pochował? Skremował? Zabrał ich gdzieś?

Coś, czego żołnierz nie przetłumaczył.

– Gównu cię to obchodzi, co? – krzyczała Lund. – Nic dziwnego, że nie żyją...

Przysunął się tak blisko, że ich twarze niemal się zetknęły. Odepchnął ją swoim wielkim brzuchem. To jeszcze bardziej rozwścieczyło Lund.

Strange pierwszy wskoczył pomiędzy nich. Wyciągnął rękę, powstrzymując Afgańczyka. Powiedział coś po pasztuńsku, potem do niej po duńsku.

– Spokojnie, Lund. To ich kraj. Nie nasz.

– Przyjechaliśmy tu, Strange! Jeśli zabiliśmy tę rodzinę, jesteśmy odpowiedzialni...

– Sprawdziliśmy wszystko. Nie ma pieca. Nie ma ciał. Nie ma żadnych śladów niczego.

– Zdarza się...

Strange podał jej telefon.

– To Brix. Chce z tobą rozmawiać. Twierdzi, że złapali mordercę.

Lund wzięła telefon, wyszła na zewnątrz, słyszała, jak jej towarzysze mówią coś do Afgańczyka, sądząc po tonie, uspokajają go.

– Natychmiast wsiadajcie do samolotu – powiedział Brix. – Mamy na głowie Ministerstwo Obrony i całą armię.

– Co się stało?

– Wygląda na to, że to Said Bilal.

Patrzyła na zniszczone podwórko, na dom obrócony w stos gruzów. Tu zginęła rodzina. Wiedziała to. Wciąż słyszała ich krzyki.

– Bilal wiedział, że Dragsholm wznawia sprawę – ciągnął Brix. – Znaleźliśmy w koszarach drugie połówki nieśmiertelników. Próbował wrobić Søgarda.

– W koszarach? Czemu Bilal miałby tam coś chować? On nie jest Perkiem...

– Bilal zniknął. Prawdopodobnie jest z nim Louise Raben. Wsiadaj do tego cholernego samolotu, dobra?

Połączenie przerwano. Lund przypomniała sobie twarz młodego żołnierza. Wydawał się taki służalczy. Wykonawca. Nie wódz.

Kierowca chwycił ją za ramię.

– Naprawdę musimy jechać – powiedział.

\*

Buch zadzwonił do kancelarii premiera, domagając się kolejnego spotkania. Ku swemu zdumieniu dopiął celu. Gert Grue Eriksen siedział przy stole, na centralnym miejscu, Kahn po jego lewej stronie. Buch zajął miejsce naprzeciwko. Rossing wszedł i siadł obok niego.

Premier patrzył, jak minister obrony zajmuje to miejsce. Długie, twarde spojrzenie.

– Mamy dużo do omówienia – zaczął Buch niepytany. Znalazł swój najlepszy garnitur, czystą niebieską koszulę, ciemny krawat. Włosy miał schludne, brodę przystrzyżoną. Tak jak nalegała Karina. – Jak może panowie wiedzą, dochodzenie w Afganistanie na razie ujawniło niewiele nowego. To niczego nie zmienia. Doprowadziliśmy do afery. Mamy to na sumieniu. Plamę na historii tej partii i naszego rządu.

– W kółko to samo – przerwał mu Kahn. – To wszystko? Policja nic nie znalazła?

– Jeszcze nie. Ale jeśli mogę kontynuować...

– Podał pan w wątpliwość uczciwość premiera – nie rezygnował Kahn. – Nie będę już słuchać pańskich wymysłów.

– Co zatem tu robimy? – Buch się roześmiał. – Nie zebraliśmy się po to, by omówić fakty?

Grue Eriksen pokręcił głową.

– Mamy lepszy powód, Thomasie – powiedział. – Wysłuchaj uważnie, proszę. To dla mnie niełatwe. Dostałem informację...

Podał Kahnowi brązową teczkę, a on od razu wiedział, co robić. Rozdał wszystkim zestawy dokumentów.

– Stało się oczywiste, że minister obrony nas oszukał – ciągnął Grue Eriksen.

Rossing wpatrywał się w lśniący blat, jakby spodziewał się tych słów.

– Zataił zeznanie eksperta.

Dokumenty spoczęły przed nimi. Odcięta ręka z hazardem tatuażem. Rossing wpatrywał się w nią dłuższą chwilę, a potem skierował wzrok na Bucha.

– To zeznanie sugeruje, że ręka znaleziona w Afganistanie i przewieziona tutaj nie należała do talibańskiego zamachowca samobójcy. Te informacje zostały zatajone, by uniknąć podejrzania o ofiarę wśród ludności cywilnej.

– To nieprawda... – zaczął Rossing.

– Chciałbym w to wierzyć – odrzekł Grue Eriksen. Przerwał, popatrzył na Rossinga siedzącego po drugiej stronie stołu. – Ale nie wierzę. Odwołuję pana ze stanowiska ministra obrony ze skutkiem natychmiastowym. Pańskie działania staną się przedmiotem dochodzenia PET, która sprawdzi, czy należy panu postawić zarzuty kryminalne...

– Powiedz to, Rossing! – krzyknął Buch. – Powiedz Kahnowi. To on kazał ci ukryć te dokumenty. – Wskazał palcem drugą stronę stołu. – Ten cholerny, skandaliczny ślad prowadzi prosto do niego...

– Jeśli chodzi o ministra sprawiedliwości – ciągnął Grue Eriksen – sytuacja jest równie poważna.

– Och, na miłość boską – jęknął Buch.

Gwałtowny ruch srebrną głową. Spojrzenie polityka, raczej smutne niż gniewne.

– Mógł pan wykorzystać swoje talenty dla dobra kraju, Thomasie. Pan zaś nadużył swojego stanowiska, by przypuścić nieprzemyślany i nieusprawiedliwiony atak na mnie.

Buch próbował spojrzeć w oczy Kahnowi.

– Niech pan posłucha. Premier poinstruował Rossinga, co ma zrobić. Ze znanych sobie powodów...

– W tej kampanii oszczerstw – kontynuował Grue Eriksen – minister sprawiedliwości wykazał się skandaliczną niedbałością w posługiwaniu się poufnymi informacjami. Przekazywał dokumenty opatrzone klauzulą tajności osobom całkowicie do tego nieuprawnionym. Jest to oczywiste pogwałcenie Ustawy o tajemnicy państwowej i nowy dyrektor PET przeprowadzi w tej sprawie dochodzenie, podobnie jak w sprawie poczynań Rossinga...

– Ha! Więc wykopałeś go, żeby wsadzić swojego człowieka! Teraz rozumiem. Czy już nawet König nie stosował się do twoich rozkazów? Czy my żyjemy w średniowieczu, Gert? Czy ty jesteś średniowiecznym królem, który rozkazuje wyprowadzić mnie na plac i ściąć?

Na znak premiera urzędnik wstał i otworzył drzwi. Policjanci w mundurach. I funkcjonariusze po cywilnemu. Rossing wstał i zapiął marynarkę, jakby był na to gotowy. Buch ciągle miotał obelgi w stronę niskiego spokojnego mężczyzny naprzeciwko.

– To się tak nie skończy – warknął, gdy ktoś brutalnie chwycił go za ramię.

– Obaj natychmiast opuście ten budynek i zostaniecie przewiezieni do aresztu. Nie możecie nic ze sobą zabrać. Nie muszę chyba dodawać, że nie piastujecie już swoich stanowisk.



Dwaj policjanci w mundurach przytrzymali wielką postać Bucha. Krzyczał i starał się wyrwać.

– Odejdź z godnością, Thomasie! – krzyknął Grue Eriksen, po raz pierwszy podnosząc głos.

Buch był wielkim mężczyzną. Swoimi tłustymi ramionami odtrącił policjantów, a oni odskoczyli w głąb pomieszczenia.

Następnie podszedł do drzwi.

– Mogę iść sam – krzyknął i rzeczywiście szedł, dopóki tamci go nie dogonili i nie wypchnęli na korytarz, gdzie kłębili się już przedstawiciele mediów.

Mógł się domyślić, że ktoś ich powiadomił. Wszyscy tam byli. Telewizja, radio, gazety.

Rossing szedł z podniesioną głową, milczący. Buch za nim, spocony, zdyszany, znowu rozczochrany. Przepychał się przez tłum.

Ktoś podsunął mu mikrofon. I zadał jedno głupie pytanie:

– Jesteście winni? Buch? Rossing? Jesteście winni?

Marie zobaczy to w telewizji w Jutlandii. Ich ostatnia rozmowa była okropna.

Thomas Buch po raz ostatni wyrwał się więc policjantom, którzy trzymali go pod ramiona.

Dopał najbliższej kamery i powiedział jedno jedyne słowo:

– Nie.

\*

Zanim land rover wrócił na główną drogę, zrobiło się ciemno. Lund była skonana, w głowie kłębiły się pytania. Ciężka kamizelka balistyczna wydawała się jej niepotrzebna. Ale gdy próbowała ją ukradkiem rozpiąć, dopadł ją Strange.

Księżyc świecił jasno. Śnieg na szczytach wyglądał malowniczo.

– Dlaczego? – spytała.

Nie odpowiedział.

– Dlaczego? Gdyby nie było ofiar cywilnych, Dragsholm nie miałyby powodu do śledztwa. Dlaczego zabito tych ludzi?

– Jezu, Sarah. Nie możesz wiedzieć wszystkiego. Jutro będziemy w Kopenhadze. Wtedy spytasz Brixa.

Westchnął.

– Nie powinnaś tak rozmawiać z Afgańczykiem. Oni tego nie rozumieją.

– Gównu go obchodziła ta rodzina.

– Może ma na głowie więcej spraw, niż sądzisz. To Helmand. Nie Vesterbro.

– Dlaczego Bilal zabrał Louise Raben? Myślisz, że oni dwoje...?

Strange się roześmiał.

– Søggaard ma na nią oko. Nie zauważyłaś?

– Może – mruknęła. – Nie sądzę, żebym dużo zauważała, odkąd mnie przywlokłeś z Gedser.

– No cóż – rzekł wspaniałomyślnie. – Musimy odstawić cię do domu. A tam... – ruchem ramienia wskazał oświetloną przez księżyc bezkresną przestrzeń – podkomisarz Lund dopilnuje, by wszystko wyszło na jaw. Wszystkie czarne charaktery dostaną za swoje...

– Złośliwy drań – skwitowała, ale roześmiała się.

On też się uśmiechnął.

– Nieprawda. Mówię poważnie. Dostrzegasz rzeczy, których inni nie widzą. Wiesz o ludziach więcej niż oni sami o sobie. Co nimi kieruje. Co ich boli. A przede wszystkim jesteś najbardziej upartą, kłopotliwą i denerwującą...

To był odruch. Sięgnęła po jego rękę, ścisnęła ją. Spojrzała mu w oczy. I puściła.

– W tym domu stało się coś złego – powiedziała. – Mówię ci.

– Kurwa! – krzyknął kierowca i zahamował tak gwałtownie, że powpadali na siebie. – No to mamy przerąbane.

Lund zerknęła ponad jego ramieniem.

Wąską drogę gruntową blokował biały pikap ustawiony pomiędzy dwiema skałami. Pięciu ludzi w długich ciężkich afgańskich szatach, z karabinami na ramieniu szło w ich stronę. Jeden z nich szarpnięciem otworzył drzwi terenówki, drugi trzymał ich pod bronią. Światło latarki omiotło wnętrze pojazdu. Słyszała słowa, których nie rozumiała.

Rozkazy. Tak to brzmiało.

– Chodzi im o was. – Kierowca podniósł rękę. Był przerażony. – Lepiej róbcie, co każą.

\*

Piętnaście minut drogą tak wyboistą, że Lund zastanawiała się, jakim cudem furgonetka się nie przewróciła. Potem gdzieś przed nimi pojawiły się światła. Kolejny pikap. Wzrok Lund przyzwyczał się już do ciemności.

Wrócili do zniszczonej osady, stali przed tamtym domem.

– Ruszać – rozkazał im jeden z Afgańczyków, podnosząc starodawną lampę naftową i przykładając do niej zapalniczkę.

Na jedynym ocalałym krześle siedział gruby szef policji i uśmiechał się szeroko.

– No? Zdziwiłaś się, wściekła kobieto? – spytał łamaną angielszczyzną.

Lund stała w milczeniu.

– Mamy tu dużo niespodzianek. – Dalej się uśmiechał, mówiąc coś po pasztuńsku do pozostałych, a oni rechotali. – Niektóre nie są takie miłe.

Wstał, przysunął się do niej, czuła słodki zapach w jego oddechu.

– Nie chciałem, żebyś odjechała z pustymi rękami. Mam więc dla ciebie mały prezent. Chodź! Chodź!

Ktoś pchnął ją w plecy. Lund wyszła na podwórko za domem. Strange podążył za nią.

Tam czekało kolejnych dwóch mężczyzn. Usunęli cegły i bloki z zamurowanej dziury w głębi piekarni i odsłonili wielki czarny otwór.

Dwie lampy stojące na podłodze rzucały w głąb ostre promienie. Policjant podszedł pierwszy. Mężczyźni bez słowa odsunęli się z drogi. Afgańczyk pochylił się, zajrzał do środka, wyłonił się z powrotem, trzymając coś w rękach.

Gdy podawał jej ten przedmiot ceremonialnym gestem, który mógłby towarzyszyć przekazaniu cennego daru, Lund poczuła się przemarznięta, przerażona i bardzo daleka od domu. Tym przedmiotem była czaszka dziecka. Poczerniała od dymu i ognia. W kości widniała nierówna dziura po kuli.

– Teraz zadowolona? – spytał policjant swoją śpiewną angielszczyzną.

Lund wzięła od niego lampę, podeszła do pieca. Zajrzała do środka.

Więcej kości. Żebra. Ręka. I w pyle coś metalowego.

Podniosła to ołówkiem. Starych nawyków ciężko się pozbyć.

Był to nieśmiertelnik brudny od sadzy. A na nim nazwisko: Per K. Møller, i numer: 369045-9611.

Policjant trzymał w ręku torbę. Z rafii. Trochę zniszczoną, ale z pięknym wzorkiem z boku.

– Weź ze sobą, co chcesz – powiedział. – To twoje.

\*

Z Politigården do Rigshospitalet było dziesięć minut jazdy. Raben został z tyłu, mrugał powiekami, jęczał, jego oddech się rwał.

Teraz byli z nim tylko policjanci. Zmartwieni.

Kiedy radiowóz, błyskając niebieskim światłem, wjechał na podjazd dla karetek, funkcjonariusze pobiegli do wejścia, wzywając pomocy. Lekarza. Nosze.

Zaczekał, aż znikną z pola widzenia, po czym wy dostał się przez drzwi z drugiej strony. Jak najspieszniej, kuśtykając, uciekł w wilgotną noc, cały czas trzymając się w cieniu.

Spomiędzy drzew usłyszał, jak krzyczą, i obejrzał się na chwilę. Zobaczył pielęgniarzy z noszami, lekarzy w zielonych strojach i zdumionych policjantów miotających przekleństwa.

Ale nie czekał.

Miał sprawy do załatwienia.

\_11

\_Środa

\_23 listopada

\_11.04

Samolot ze Stambułu zawiózł ich wprost na ruchliwe lotnisko Kastrup i do świata, który Lund znała. Gdy tylko stanęli na duńskiej ziemi, Strange chwycił gazetę. Z nagłówka dowiedział się o kryzysie rządowym. Rossing, minister obrony, został usunięty za ukrywanie zbrodni wojennych w Afganistanie. Buch siedział w areszcie za złamanie przepisów Ustawy o tajemnicy państwowej.

Lund zerknęła na artykuły i nic nie powiedziała. Zniszczona rafiowa torba zwisała z jej prawego ramienia, skrywając poczerńiałe kości, dziecięcą czaszkę i nieśmiertelnik nieżyjącego żołnierza.

Całą drogę do strefy przylotów Strange rozmawiał przez telefon. Jej to było na rękę.

– Bilal zabrał wojskowego mercedesa – powiedział po rozmowie z komendą. – Mamy alarm, wszyscy go szukają, łącznie ze służbą graniczną.

– On myśli, że jest bardziej duński niż my. Nie wyjedzie za granicę. A co z Louise?

Zmarszczył brew. Nie wyglądał na zmęczonego. Ani na zdenerwowanego czy zaskoczonego ich znaleziskiem.

– Chyba ją porwał. Raben znowu zniknął.

– No na miłość boską...

Nie czuła się najlepiej po długiej trudnej podróży. Za dużo myśli kłębiło się jej w głowie.

I znowu to wzruszenie ramion.

– Wymknął się naszym, kiedy wieźli go do szpitala – powiedział. – To nic wielkiego. W jego stanie...

– On się szkolił z Jægerkorpset. Siły specjalne i Bóg raczy wiedzieć co jeszcze. Myśli, że jest nieśmiertelny.

Mówiąc to, nie mogła oderwać od niego wzroku.

– Nigdy tak nie myślałem – powiedział Strange z tą samą skromną niewinnością. – Ale z pewnością nie dorównuję klasie Rabena. Postrzeliłem go w ramię. Niedługo go znajdziemy.

Wyszli do holu przylotów. Torba wydawała się Lund coraz cięższa.

– W szafce Søgaardra znaleźli klucz – podjął Strange. – Bilal wynajął magazyn, gdzie zaplanował wszystkie morderstwa. I jest tam maszyna do robienia fałszywych nieśmiertelników. Inne rzeczy...

– Gdzie jest Brix?

– Nie jestem jego aniołem stróżem.

Sądząc po głosie, robił się zły, a to było coś niezwykłego.

– Muszę do łazienki – oznajmiła.

Nie musiała. Potrzebowała tylko trochę miejsca. Ale i tak ruszyła w stronę toalet, a Strange za nią.

– Sarah? – powiedział, doganiając ją. – Co się dzieje? Przez całą drogę powrotną prawie się do mnie nie odzywasz.

Zatrzymała się, popatrzyła na niego, zastanawiała się, co powiedzieć.

– Jestem zmęczona. To była długa podróż...

– To wszystko?

– Juhuuu! – krzyknął tuż obok znajomy głos. – Witajcie!

Lund poczuła, że ziemia usuwa się jej spod nóg. Jej matka i Bjørn uśmiechnięci promiennie wychodzili ramię w ramię z innej bramki.

– Jakie to miłe, że po nas wyszłaś – powiedziała Vibeke i pocałowała Lund w policzek.

Matka pachniała perfumami. Lund domyślała się, że ona nie pachnie.

– A gdzie w końcu pojechaliście? – spytała.

– Do Pragi! Przecież ci mówiłam.

– Hulaliśmy! – dodał Bjørn, prawą ręką naśladowując gest picia.

Vibeke objęła Lund ramieniem, przytuliła ją mocno i wyszeptała do ucha:

– Co u ciebie, Sarah? W hotelu śnił mi się potworny koszmar. Że jesteś gdzieś sama, leżysz bez życia. A ja nic nie mogę zrobić, żeby cię ożywić.

– Mamo...

– Płakałam! Mark płakał! To się wydawało takie prawdziwe.

Strange powiedział, że idzie po samochód. Matka uszczypnęła się w ramię.

– Tak się cieszę, że nie wykonujesz już tej strasznej pracy. Powinnaś zostawić to mężczyznom. Bjørn i ja postanowiliśmy odwiedzić cię w Gedser. Tam musi być mnóstwo ciekawych rzeczy.

Lund powiedziała Strangemu, że pojedzie taksówką z matką i Bjørnem.

Nie ruszył się.

– Na pewno?

Wzruszyła ramionami.

– A czemu nie? Ty weź samochód.

– Och! – krzyknęła Vibeke. – Jaka piękna torba! Prześliczna. Skąd ją masz?

Już sięgała do środka.

– To nic takiego. – Lund wyrwała torbę spod ręki matki. – Naprawdę. Idziemy?

\*

Lund wsadziła ich na tył taksówki, a sama usiadła z przodu. Starła się rozmawiać jak najciszej. Brix był zajęty. I sądząc po głosie, wreszcie zadowolony.

– Dlaczego zostawiłaś swojego przyjaciela? – spytała z tyłu Vibeke.

Lund odwróciła się i wskazała telefon.

– On mi się podoba – oznajmiła jej matka. – Wydaje się taki miły.

Lund wróciła do Brixu.

– Znaleźliśmy szczątki dwóch osób dorosłych i trójki dzieci.

– To pewne? Nie ma pomyłki?

Rafiowa torba stała na podłodze taksówki między jej nogami.

– Pewne. Zostali spaleni w piecu. Potem ktoś zamaskował otwór gruzem.



– Dobra robota. – Słyszała, że szef jest pod wrażeniem. – Przekazałem twój wstępny raport.

– W czaszce dziecka jest otwór po kuli. Wygląda to na egzekucję, nie na strzelaninę.

– Znalazłaś coś na Bilala?

– Nie. Znaleźliśmy nieśmiertelnik Møllera. Raben mówił prawdę. Mamy z wojska listę aktywnych oficerów sił specjalnych?

– To już nie ma znaczenia. – Wróciło dobrze znane zniecierpliwienie. – Mówiłem ci. Szukamy Bilala. Wszelkie zabójstwa w Helmand zostaną zbadane przez wojsko.

Jej matka słuchała uważnie. Nic nie dało się ukryć.

– Nie możemy tak tego zostawić. To nie Bilal podszywał się pod Perka. On był w bazie, zajmował się radiem. Może brał udział w tuszowaniu zbrodni, ale to nie on zabił tę rodzinę.

– Wojsko...

– Na miłość boską, to wyglądało jak mord rytualny. Jak na tych tutaj.

– Bilal...

– Bilal nie jest mordercą. To ktoś inny. – Chwila ciszy. Nie dało się tego uniknąć: – Trzeba znowu przyjrzeć się Strangemu. On był taki... – To jej nie dawało spać całą drogę powrotną z Helmand, a teraz musiała się z tym zmierzyć. – Jakby był u siebie. Jakby należał do tego miejsca.

Usłyszała nagły gniew w jego głosie.

– Arild kategorycznie zapewnił, że Strangego nie było w Afganistanie, gdy to się stało.

– A ty sądzisz, że można mu wierzyć?

Chwila ciszy.

– Zapomnę, że to powiedziałaś.

Podał jej adres w Vesterbro i poprosił, by przyjechała, gdy będzie mogła.

– Brix! Brix!

Ale już się rozłączył. Dojechali do ulicy, przy której mieszkała Vibeke.

– Musimy powiedzieć kierowcy, gdzie ma się zatrzymać – odezwał się z tyłu Bjørn.

Jej matka była blada. I już się nie uśmiechała.

– Mamo. – Lund przyłożyła dłoń do jej policzka. – To był tylko sen. Wszystko w porządku. To tylko praca. Tym się zajmuję.

– Nie wiem, czym się zajmujesz, Sarah. I nie chcę wiedzieć.

\*

Najszybszy prysznic, zmiana ubrań. Potem taksówką do miejsca, które znaleźli. Koło Det Ny Teater, w pobliżu Vesterbrogade. Brix czekał na nią przy drzwiach.

– Bilal zostawił klucz w szafce Søgaardra razem z komórką – powiedział, wprowadzając ją przez brudne wejście do niewielkiego warsztatu. – Razem z odłamanymi połówkami nieśmiertelników.

Wielkie pomieszczenie, białe kafelki, wszędzie ślady żółtego markera, jasne zimowe światło wpływające przez wysokie okna.

– To budynek dla ludzi uruchamiających własne firmy – powiedział Madsen, stąpając cicho w niebieskich ochraniaczach. – Nikt inny się jeszcze nie wprowadził, więc Bilal był tu sam.

Na stole stał laptop. Na ekranie znieruchomiała, przerażona, zakrwawiona twarz Anne Dragsholm.

– Nie powinniśmy poczekać na Strangeo? – spytał Brix.

– Bierzmy się do roboty.

Lund cały czas taszczyła ze sobą rafiową torbę.

– Mamy kamerę, z której korzystał – mówił Madsen, wskazując długi stół roboczy pod oknem. – Komputer. Ślady materiałów wybuchowych. Akta personelu Ryvangen na twardym dysku.

Sześć komórek ułożonych równo. Instrukcje, jak przygotować ładunek wybuchowy.

– Wszystko pasuje do morderstw – powiedział Brix.

Książki o talibach i islamskich ekstremistach. Terroryzm i siły specjalne.

– Noże. – Madsen podniósł plastikową torebkę. W środku znajdowały się dwa ostrza.

Tyle dowodów, tak starannie wyłożone.

– Bilal jest muzułmaninem – podjął Brix. – Ale wszyscy mówią, że nienawidzi islamistów.

Lund spojrzała na ostre wygięte ostrza, na plamy krwi.

– Dlaczego...? – spytała.

– Bo twierdził, że oddział Rabena to zdrajcy – przerwał jej Brix. – Bilal uważa się za lojalnego Duńczyka. Oskarżenia Rabena, obciążenie oficerów winą za zabicie cywilów mogło zniszczyć reputację armii.

Obróciła się na pięcie, rozejrzała dookoła. Kręciło się tu pięciu techników w białych kombinezonach.

– I on to wszystko zrobił? Sam?

Brix wskazał na ścianę. Wydruki ze strony internetowej Kodmaniego.

– Wymyślił Ligę Muzułmańską. Był Bratem w Wierze. Mamy maile w laptopie. Próbował zrobić Kodmaniego. – Brix popatrzył na nią. – Udałoby mu się, gdyby nie ty.

Nie zabrzmiało to pocieszająco.

Obok wydruków wisiały zdjęcia. Stare zdjęcia. Niektóre rozpoznała. Egzekucje zdrajców z czasów wojny. Ścigani przez członków Ruchu Oporu, zastrzeleni na ulicy. Te same zdjęcia widziała we Frihedsmuseet w parku Churchilla, kiedy ścigali Skåninga. Ciała skulone i zakrwawione na brudnym bruku. Listy ostrzegające, że ktoś jest następnym *stikke* na liście.

– Domyślam się, że znał historię – powiedział Brix, przyglądając się jej, kiedy patrzyła na zdjęcia. – Dlatego zabrał Dragsholm do Mindelunden.

Lund nie znosiła błędnego rozumowania.

– W Mindelunden nie zabijano zdrajców. Mordowano tam bohaterów. To się nie trzyma kupy.

Popatrzył na nią groźnie.

– Dragsholm była pierwszą ofiarą. Chciała wznowienia sprawy. Poznali się kilka miesięcy temu.

Kolejne zdjęcia. Trzy oryginalne słupy z Mindelunden. Ofiara w Afryce Południowej, spalona z oponą na szyi. Młody mężczyzna, kobieta mniej więcej w tym samym wieku, oboje patrzący obojętnie przed siebie, gdy nazistowski oficer zakładał im stryczek pod prymitywną szubienicą.

Potem zdjęcia portretowe z wojskowych akt wszystkich żołnierzy oddziału Rabena i przypadkowa fotografia Dragsholm idącej ulicą.

– Bilal wynajął ten przybytek niedługo później.

– Wiesz to? – spytała. – Możesz go powiązać z tym miejscem? Odciski palców? DNA? Dokumenty?

– Daj nam czas, na miłość boską – odparł zmęczonym głosem. – Facet uciekł z Ryvangen. Porwał córkę Jarnviga. Dowodów na pewno zebraliśmy dość...

Miała dość patrzenia na te ściany. W tym wszystkim był jakiś zdeterminowany, obsesyjny zamysł. Nie była tylko pewna, czyje to dzieło.

– Ktoś go tu widział?

– Budynek jest pusty. Kto miałby go zobaczyć?

Podeszła do wysokiego szefa Wydziału Zabójstw.

– Zatem jedynym dowodem, że to rzeczy Bilala, jest kluczyk w koszarach?

– Lund! – Znowu zaczynał się wściekać. – Najpierw doprowadza do zwolnienia pułkownika, bo ten żąda raportów radiowych. Potem porywa Louise Raben i zabiera ją Bóg wie gdzie. Czy to ci wygląda na działania niewinnego człowieka?

– Jest przerażony. Jarnvig przesłedził te raporty?

Skrzyżował ramiona.

– Chcesz mi więc powiedzieć, że Bilal się nie liczy? I że nikt inny tego nie widzi, tylko ty?

– Liczy się – przyznała. – Może nam pomóc w odnalezieniu tamtego oficera. Ale to jeszcze nie czyni go zabójcą. Po co Bilal miałby chować komórkę i klucz w koszarach? Kto kazał wam tam szukać?

– Ty byłaś w Afganistanie...

– Dragsholm powiedziała, że znalazła oficera. Tego, który udawał Perka. Od tego się zaczęło. Bilal był w bazie, gdy Raben poszedł do tej wioski, zajmował się radiem. To nie mógł być on.

Lund wskazała szerokim gestem stół, zdjęcia na ścianie.

– To niczego nie dowodzi. Raben cały czas miał rację. Trzeba było go posłuchać. Oskarżył Strange'go...

– Sprawdziliśmy Strange'go na wszystkie sposoby! – wrzasnęła na nią szef. – Został zdemobilizowany na długo przed tym incydentem. Nie

było go w Afganistanie. To nie mógł być on. Co ci jest, do cholery?!

Wzięła do ręki rafiową torbę, wyłożyła jej zawartość na stół. Małeńka poczerniała czaszka z dziurą po kuli. Szkielet ręki. Suche okopcone kości.

– To mi jest.

Technicy wpatrywali się wstrząśnięci to w nią, to w kości. Potem spojrzeli na drzwi.

Lund westchnęła. Wiedziała, co tam zobaczy.

Ulrik Strange. Włosy świeżo umyte. Policzki ogolone. Twarz pewna siebie i niewinna. Czyste ubrania. Gotów do pracy.

Ona czuła się brudna pomimo kąpeli. I trochę winna. Ale nie za bardzo.

Brix nic nie powiedział.

Strange też nic nie powiedział, tylko odwrócił się plecami i wyszedł.

\*

Jasny dzień, zimny. Prawie jak w Afganistanie. W końcu świeciło im to samo słońce. On opierał się o czarnego forda. Ona zdjęła niebieskie ochraniacze na buty, rękawiczki i podeszła do niego.

Też oparła się o samochód, z rękoma w kieszeniach.

Strange się jej przyglądał. Trudno było zgadnąć, co się maluje na jego twarzy. Smutek? Wstręt? Gniew? Ta twarz wydawała się tak spokojna, tak beznamiętna, że skrajne emocje po prostu ją omijały.

– Co z tobą? – spytał cichym spokojnym głosem. – Dlaczego robisz takie rzeczy?

Zakasłała, wzruszyła ramionami.

– Nie spałam całą drogę powrotną. To pewnie jet lag. Nie wiem.

Patrzył, jak funkcjonariusz w mundurze wnosi jakiś sprzęt, schylając się pod taśmą policyjną.

– Zupełnie jakby cały świat był winny, dopóki ty mu nie udowodnisz niewinności. – Lund spojrzała na niego pytająco. – Ty. Nikt inny.

To całkiem ciekawe spostrzeżenie, pomyślała Lund. I dość trafna teoria.

– Czasami – ciągnął Strange – mam poczucie, że co nieco we mnie lubisz.

– Bo lubię!

– Masz cholernie zabawny sposób okazywania tego.

– Rzeczywiście.

Czekała, aż powie coś jeszcze. Ale się nie doczekała.

– Więc – powiedziała, klasnąwszy w zimne dłonie – skoro już oczyściliśmy atmosferę...

– Jezu! – krzyknął Strange tak wściekle, że jeden z policjantów pilnujących budynku odwrócił się w ich stronę.

– Przepraszam, dobra?

– Przepraszasz? – Kiwnął głową. – I to wszystko, co masz do powiedzenia?

Lund zmarszczyła czoło.

– Czego jeszcze chcesz? Przepraszam. Myliłam się. Nie mogę zebrać myśli. Próbuję to naprawić.

Nic.

– OK?

Ciągle nic.

– OK? Czy mam iść do Brixa i poprosić o bilet na autobus do Gedser?

– Dobry pomysł – odparł z cichym śmiechem, którego nie umiała zinterpretować. – Zatem co teraz?

– To nie jest oczywiste? Musimy znaleźć Bilala.

Mówiąc to, rozglądała się po okolicy. Próbowła sobie wyobrazić, że przychodzi tu żołnierz. Nawet bez munduru.

– Musimy też porozmawiać z Søgaardem o raportach radiowych.

Przeszła na drugą stronę ulicy, spojrzała na plakaty w imigranckiej księgarni naprzeciwko.

– Bilal musi nienawidzić ekstremistów – powiedział Strange, podążając za nią. – Wysłał to wideo na sam koniec ramadanu.

– A to ma jakieś znaczenie? – spytała.

– Nie wiem. Może sam jest ekstremistą, tylko na odwrót.

Lund wskazała ściany. Plakaty z podżegającymi kaznodziejami, po duńsku i arabsku.

– Jeśli to Bilal, to nie musiał daleko szukać inspiracji.

W oknie stała stara książka. *Muslimsk Liga*. Liga Muzułmańska.

– Halo! – zawołał ich Brix. Właśnie wychodził z budynku, z Madsenem i paroma innymi osobami. – Bilal wziął z Ryvangen wojskowego mercedesa. Widziano go, jak zmierzał na zachód. Jedziemy?

Nie mogła oderwać wzroku od witryny księgarni.

– Lund! – krzyknął jej szef. – To dotyczy też ciebie. Prawda?

– Prawda – powiedziała i w ślad za Strangem podążyła do samochodu.

\*

W południe żandarmeria wypuściła Torstena Jarnviga z aresztu. Pojechał wprost do Ryvangen. Wszędzie było pełno policji. Nikt już na to nie narzekał.



– Ma pan jakiś pomysł, gdzie może się znajdować pańska córka? – spytał Jarnvig młody detektyw, gdy ten dotarł do swojego gabinetu.

Søgaard zaczął się już tu urządzać. Wstawił szafki na akta, komputer.

– Nie. Ona ciągle węszyła. Od początku wierzyła Rabenowi. Może powinienem był...

Jej zdjęcie stało na biurku. Najwyraźniej Søgaard postanowił go nie usuwać.

Jarnvig miał na sobie zwykły mundur polowy. Bez dystynkcji. Może już nigdy nie będzie ich miał. W tej chwili nie odczuwał tego jako straty.

– Musimy sprawdzić wszystkie miejsca, w których Bilal coś trzymał.

– Do diabła z tym! – krzyknął Jarnvig. – Moja córka zaginęła. Co robicie, żeby ją odnaleźć?

Policjant nie zwracał sobie głowy odpowiedzią.

– Myśli pan, że Bilal coś jeszcze ukrywał? Poza tymi rzeczami, które znaleźliśmy?

– Spytajcie w Dowództwie Operacyjnym – warknął Jarnvig. – Spytajcie Arilda. Bilal był jego pupilkiem.

Detektyw zmarszczył brew.

– Krzyczenie na mnie w niczym nie pomoże. Wie pan może, dokąd pojechał?

Jarnvig spojrzał na niego wściekłym wzrokiem.

– Pan się specjalizuje w głupich pytaniach? Oczywiście, że nie wiem. Gdybym wiedział, już by mnie tu nie było.

Ciche pukanie do drzwi. W progu stał Jonas w zimowej kurtce i szaliku. Wyglądał żałośnie.

– To wszystko? – spytał Jarnvig detektywa.

– Wiedział pan, że Bilal nienawidzi islamistów?

Jarnvig wznosił oczy do nieba.

– Na miłość boską. On trzykrotnie wyjeżdżał na wojnę z talibami. Wie, do czego są zdolni. Jak się panu zdaje: nienawidzi islamistów?

– Pytam pana.

– Myślę... – To było dobre pytanie, chociaż Jarnvig nie chciał tego uznać. – Myślę, że on zawsze sprawiał wrażenie doskonałego żołnierza. Sumiennego. Lojalnego. Posłusznego. – Chwila przerwy. – Czasami nawet przesadnie posłusznego. Nie miał szans wspiąć się wyżej, niż dotarł do tej pory. W samodzielnym myśleniu nie był najlepszy.

Z kwatery Bilala wyszedł inny policjant.

– Proszę na to spojrzeć – powiedział. – Włamałem się do jego szafki. Interesujące rzeczy.

Wycinki z gazet. Wszystkie pięć ofiar, ze zdjęciami, przyklejone do kartonu. Kilkadziesiąt sztuk.

– Doskonały żołnierz – powiedział pierwszy policjant i roześmiał się. Pokazał wycinki Jarnvigowi. – Jeśli się pan czegoś dowie, proszę koniecznie nas powiadomić. To samo dotyczy Rabena. On też musi odpowiedzieć na mnóstwo pytań.

Jarnvig odprowadził ich wzrokiem. A gdy wyszli, Jonas przemaszerował po pastowanej podłodze, wymachując rękoma jak prawdziwy żołnierz.

– Masz na sobie kurtkę – powiedział Jarnvig, pochylając się i zapinając górne guziki. – Bawiłeś się na podwórku?

Zero odpowiedzi. To samo co zwykle bezradne spojrzenie.

– Joakim z rodzicami przyjadą zabrać cię do kina. To dobrze, prawda?

– Gdzie mama?

Jarnvig się uśmiechnął. Uśmiech wydawał się konieczny przy okłamywaniu dzieci.

– Założę się, że tu będzie, kiedy wrócisz.

Kolejny fałszywy uśmiech. Po raz pierwszy zauważył, że to nie działa.

– To samo mówi tata – powiedział Jonas cichym urażonym głosem.

Chłopiec nachylił się do twarzy dziadka i zerkając cały czas na dwóch policjantów na korytarzu, wyszeptał mu do ucha:

– To sekret, dziadku. Czeka na ciebie przy ogrodzeniu na tyłach. Tam, gdzie jest wieża.

Dwoje dziecięcych oskarżycielskich oczu.

– Nie wygadasz, prawda?

Jarnvig pociągnął chłopca za kurtkę.

– Nie wygadam, Jonasie. Obiecuję.

\*

Czekał w krzakach przy wyjściu ewakuacyjnym, nieopodal rzadko używanej wieży strażniczej. Jarnvig otworzył bramę, wyszedł na zewnątrz i od razu stanął przed Rabenem.

– Policja wie, dokąd ją zabrał?

– Nic, kurde, nie wiedzą.

Miał na sobie brudną granatową kurtkę, która wyglądała na wyciągniętą ze śmietnika. Jedną rękę trzymał jakoś dziwnie.

– Nie powinno cię tu być, Jens. Jesteś chory.

– W szpitalu na nic się nie przydam, prawda? Dokąd on mógł pojechać?

– Sprawdziliśmy wszystkie obiekty wojskowe, jakie nam przysły do głowy. – Chwila przerwy. – Normalnie masz tyle pomysłów. Gdzie on może być, jak sądzisz?

Raben pokręcił głową.

Jarnvig położył mu rękę na ramieniu.

– Ludziom dzieje się krzywda, gdy jesteś w pobliżu. Nie chcę, żeby to spotkało Louise. Trzymaj się od tego z daleka.

– Teraz jesteśmy sobie równi. Musimy sobie pomagać.

– To wszystko twoja wina! – A ciszej dodał: – Louise ciągle próbowała ci pomóc. Rozpytywała. Robiła rzeczy, których nie powinna robić.

– Cały czas mówiłem prawdę. Dlaczego mi nie wierzyłeś?

Jarnvig zamknął na chwilę oczy.

– Bo nie chciałem. Zadowolony? Możemy to na razie zostawić i zająć się Louise?

Rabena chyba zadowolilo to wyznanie.

– Bilal jeździł na biwaki na stary teren wojskowy w pobliżu Hillerød. Może zaczniemy tam?...

– Ty musisz się trzymać z daleka.

– I zostawić to tobie i tym idiotom z policji?

Jarnvig poddał się i wrócił do bramy, do swojej zielonej terenówki. Zadzwoił telefon. Odebrał tak szybko, że niemal upuścił aparat.

– Halo? Halo?

Łagodny głos, z lekkim akcentem, daleki i obojętny.

– W obliczu wroga musimy trzymać się razem.

Jarnvig próbował wyobrazić sobie otoczenie. Nie słyszał samochodów. Tylko cichy śpiew ptaków.

– Nie jesteśmy wrogami! – powiedział Said Bilal. Jego bezbarwny, monotony głos wzniósł się o kilka tonów. – Nigdy nie byliśmy...

– Gdzie jesteś? – spytał Jarnvig. – Odpowiedz.

– Nie jesteś już moim pułkownikiem. Zdegradowali cię, pamiętasz?

W jego głosie pobrzmiwała dziwna mieszanka strachu i fascynacji.

– Gdzie jesteś? – spytał ponownie Jarnvig, wiedząc, że Raben już stoi obok niego z lśniącoymi oczami, wyczekując wiadomości.

– Wykonuję swoje obowiązki. Nic poza tym. Robię, co mi kazano. Jak przystało na żołnierza.

– Gdzie jest Louise? Ona nie ma z tym nic wspólnego.

Krótki śmiech.

– Nie wezmę na siebie winy. Nigdy...

Zamilkł.

– Bilal! Wracaj!

– Odwróciłeś się ode mnie. Po wszystkim, co zrobiłem. Cała ta praca, cała lojalność. Ciągle było ci za mało. I tylko z tego powodu...

– Nikt się od ciebie nie odwraca! Policja znalazła dowody...

– To nie moje rzeczy. Ktoś próbuje mnie zrobić. Nie rozumiesz?

Rześki wiatr muskał ten zapomniany zakątek Ryvangen. Słońce zniknęło. Nadciągał deszcz.

– Masz moją córkę. Puść ją. Możemy o tym porozmawiać. Mogę zapewnić...

– Nic nie możesz – przerwał mu Bilal. – Też jesteś skończony. Powiedz generałowi Arildowi, że ma mnie z tego wyciągnąć. Gdyby nie...

– O czym ty mówisz, na miłość boską? – krzyknął Jarnvig.

Nagły ruch. Zdrowa ręka Rabena wyrwała Jarnvigowi telefon.

– Daj mi Louise – rozkazał cichym, spokojnym, zdecydowanym głosem.

– Rozmawiam z Jarnvigiem, nie z tobą!

– Nie będzie żadnych ustaleń, dopóki nie usłyszę Louise, Bilal. Żadnych.

\*

Said Bilal podszedł do skradzionego mercedesa, otworzył tylne drzwi. Była tam, gdzie ją zostawił poprzedniego wieczoru. Usta miała zaklejone srebrną taśmą. Wojskową skarpetą zawiązał jej oczy.

Zerwał taśmę, nie przejmując się, że Louise krzyczy z bólu.

Córka pułkownika. Patrzyła na niego z góry, jak cała reszta.

Przyłożył jej telefon do ucha, pod opaską na oczach.

– Louise? – powiedział Raben.

– Jechaliśmy półtorej godziny – wypaliła od razu. – Gdzieś pod ziemią...

Bilal wyrwał telefon, mocno walnął ją pięścią w usta. I dla pewności jeszcze raz.

Patrzył, jak cierpi, jak krzyczy. Kiedy krzyki ucichły, przyłożył telefon do swojego ucha.

– Nie waż się więcej tknąć mojej żony – warknął Raben cichym, twardym głosem.

– Za późno. – Bilal się rozejrzał. Znał to miejsce. Nie mogli go znaleźć, nie według jej wskazówek. – Wieczorem znowu zadzwonię. Ściągnij Arilda. Jeśli skontaktujesz się z policją, zabiję ją.

Otworzył telefon, wyjął baterię i wyrzucił ją na ziemię.

Z nosa Louise Raben płynęła krew. Czerwony strumyk wpływał jej do ust.

– Bilal – powiedziała łamiącym się, błagalnym głosem. – Wypuść mnie. Co się dzieje? Nigdy nie zrobiłam ci krzywdy.

Młody oficer zatrzasnął drzwi, rozejrzał się. Wokół widział tylko płaskie nagie łąki. Przeszedł na przód samochodu, wsiadł i ruszył.

\*

Bucha trzymano w pokoju przesłuchań w Politigården całą noc. Przesłuchiwali go kolejni opryskliwi oficerowie PET, którzy w zasadzie nie słuchali tego, co mówił. Około szóstej rano pozwolili mu zadzwonić do Marie. To było niemal równie straszne jak przesłuchanie.

Teraz był środek dnia i pojawiła się nowa zmiana, jeden młody oficer, jeden w średnim wieku. Ubrani w ciemne garnitury, mieli nieruchome obojętne twarze. Żaden z nich długo nie siedział. Buch odnosił wrażenie, że czekają na właściwy moment. Marnują jego czas. Nie był prawnikiem, ale ani przez chwilę nie wierzył, że zrobił coś, co mogłoby skutkować aktem oskarżenia.

– Proszę nam wszystko jeszcze raz opowiedzieć – polecił funkcjonariusz znajdujący się bliżej.

Prawą ręką Buch otarł spocone czoło.

– To sprawa polityczna, nie kryminalna. Jeszcze nie. Premier wiedział, że mam dowody jego nadużyć. Minister obrony był gotów to potwierdzić. Grue Eriksen w jakiś sposób się o tym dowiedział. Próbował więc zwalić winę na nas. – Buch uśmiechnął się do każdego z nich po kolei. – Dzięki wam. Jakie to uczucie być wykorzystanym?

– Problem w tym – odezwał się młodszy oficer – że Rossing nie potwierdzi pańskich słów. Został zwolniony i nie postawiono mu zarzutów.

– Bo Grue Eriksen go dopadł. Zaproponował mu układ, jak sądzę. To nie zmienia faktów...

– Skąd premier mógł znać pańskie zamiary? – spytał drugi oficer.

– Ktoś go ostrzegł! Przecież to oczywiste! A wyście mnie zatrzymali na całą noc bez powodu.

– Bezpieczeństwo narodowe to nie powód? – spytał młody.

– Nie zrobiłem nic, co by naraziło na szwank bezpieczeństwo narodowe. Wręcz przeciwnie. Bronię go.

Na biurku pod oknem leżała teczka. Obaj podeszli do niej i wzięli jakieś papiery.

– Zobaczmy – powiedział starszy. – Poufna notatka PET wyciekła z pańskiego biura.

– Nie miałem z tym nic wspólnego.

– Spotkał się pan z zawieszoną w obowiązkach policjantką Sarah Lund. Po co?

– Byłem ministrem sprawiedliwości. Lund była zawieszona tylko na chwilę. Teraz znowu jest na służbie, zdaje się. W czym problem?

Tego tematu nie chcieli ciągnąć.

– Odwiedził pan swojego poprzednika, Monberga, a on chwilę potem odebrał sobie życie.

– Proszę mi wskazać, co zrobiłem nielegalnego.

– Pańska sekretarka weszła do bazy danych bez uprawnień.

– Moja sekretarka! Nie ja!

– Utrudniał pan śledztwo PET. Bronił pan organizacji islamistycznych i ich praw. Kontaktował się pan z dziennikarką, która dostarczyła panu poufne informacje, zdobyte podczas pracy w Ministerstwie Obrony.

Buch miał ochotę schować twarz w dłoniach i zasnąć.

– Och, na miłość boską. Czy jestem przesłuchiwany całą noc, bo nie przypadłem do gustu wam i waszemu nowemu szefowi, kimkolwiek on jest?

– Prowadzimy wojnę! – powiedział młodszy i w końcu usiadł. – Osłabianie rządu i podkopywanie naszej demokracji określa się jednym słowem: „zdrada”. – Machnął ręką. – Nieważne, czy gdzieś tam zginęli jacyś Afgańczycy. To jest zdrada. Zdrada ojczyzny.

Buch jęknął, zamknął oczy, zasłonił ziewnięcie zmęczoną brudną ręką.



– Podtrzymuje pan swoje oskarżenia wobec premiera?

– Nie. – Długie, pełne powagi kiwnięcie głową. – To właśnie chcecie usłyszeć?

– To dobry początek – powiedział młody oficer, uśmiechając się do kolegi.

– Świetnie – dodał Buch. – Zamierzam pójść jeszcze dalej. To Grue Eriksen jest zdrajcą. Gdybyście nie byli pozbawionymi kręgosłupa tchórzliwymi kreaturami, trzymalibyście go tutaj, świecilibyście mu lampą w oczy i nie dawali zasnąć przez całą noc. W nadziei, że go złamiecie. To zdrajca, a wy z nim kolaborujecie. Jesteście kolaborantami...

Pukanie do drzwi. Ktoś na zewnątrz powiedział, że jest już adwokat. Wysoki szary mężczyzna wszedł i rozmawiał cicho z oficerami PET, tak żeby Buch nie słyszał.

– Halo! Co tu się dzieje? – Znowu walnął pięścią w stół. – Czy ja jestem niewidzialny?

Z tym tekstem o kolaborantach przesadził. Za to mógł przeprosić.

Nagle jednak starszy z oficerów odwrócił się do niego i rzekł:

– Ktoś na pana czeka na zewnątrz.

– I mogę się z tym kimś zobaczyć?

– Jasne. Może pan iść.

\*

W owalnym holu przy schodach Politigården czekali Karina i Carsten Plough.

– Muszę powiedzieć – oznajmił filuternie Plough na widok Bucha – że po raz pierwszy wyciągam ministra z więzienia.

– Zawsze musi być ten pierwszy raz – odparł Buch. – Poza tym nie jestem już ministrem.

– Ani ja nie jestem sekretarzem – dodał żałośnie Plough.

– Ale jesteś wolny – powiedziała Karina. – To już coś, prawda?

– Tak – przyznał Buch. – Ale dlaczego?

– Lund znalazła coś w Afganistanie. – Karina miała teczkę ze zdjęciami. – Spójrz.

Mała czaszka z dziurą po kuli. Okopcony nieśmiertelnik.

– Tego szukała, gdy opuściła strefę – dodał Plough. – Policja ściga teraz duńskiego żołnierza. Popęłił ostatnie morderstwa, by zapobiec wznowieniu sprawy.

– A oficer, który zabił tych ludzi w Helmand?

– Wojsko mówi, że samo się tym zajmie – powiedziała Karina bez zapału. – Choć ponieważ nigdy nie znaleźli tamtych ciał... – Spojrzała na niego. – Nie można wygrać wszystkich bitew, Thomasie.

Ta dwójka cały czas przy nim trwała. Zniszczyli, może bezpowrotnie, swoje kariery wyłącznie przez wrodzone poczucie sprawiedliwości.

– Dziękuję – powiedział Buch ze szczerego serca. – Czy to będzie za wiele, jeśli poproszę, byście zorganizowali spotkanie grupy parlamentarnej? Bez Grue Eriksena.

– Możemy spróbować – odparł Plough.

Ta charakterystyczna nuta ostrzeżenia chyba nigdy nie miała zniknąć z głosu Carstena Plougha.

– Mów, co ci leży na sercu.

– Nie masz nic na Grue Eriksena – przypomniał Plough. – Mówiłem już. Powinieneś się skupić na Rossingu. Wiemy, że kłamie. Możemy to udowodnić.

Buch się roześmiał.

- Ach, o tym mowa...
  - To premier cię stąd wyciągnął – dodał Plough.
  - Skoro sam mnie tu wcześniej wsadził, to chyba właściwe, nie sądzisz? Możesz załatwić to spotkanie?
- Plough nie ruszył się z miejsca.
- Nie chcę, żebyś spektakularnie przegrał. Zastanów się dobrze...
  - Tak zrobię – obiecał Buch. – A teraz możemy się wynieść z tej dziury?

\*

Zanim Buch dotarł do Folketinget, rozniosły się najświeższe wieści. Całe stado dziennikarzy i ekip telewizyjnych zablokowało wejście.

- Wraca pan do rządu?
- Popiera pan premiera?
- Stanie pan przed sądem?
- Podtrzymuje pan swoje zarzuty?

Buch wiedział, że teraz ma się tylko uśmiechać i precisnąć do drzwi. Doświadczenie go zmieniło. Może w końcu uczyniło z niego polityka.

W jego starym gabinecie, wciąż niezajętym w oczekiwaniu na przetasowanie, czekał Kahn.

- Gdzie są wszyscy? – spytał Buch.
- Poprosili, bym przyszedł sam – odparł minister spraw wewnętrznych. – Lepiej nie robić za dużo szumu.

Buch uświadomił sobie, że w całym zamieszaniu zapomniał umyć zęby. Podeszedł więc do biurka, wyjął trzymaną tam szczoteczkę i małą tubkę pasty, nalał wody do szklanki. Plough i Karina w milczeniu patrzyli na niego, stojąc przy biblioteczce obok drzwi.

– Przepraszam za nieład – powiedział, sadowiąc się na biurku. – Jak pan może wie, wychodziłem w pośpiechu.

I zaczął myć zęby.

– Wczoraj wszyscy się spieszyliśmy – odrzekł Kahn. – Nie znaleźliśmy wszystkich faktów. Musimy chronić partię.

– Za wszelką cenę? Kosztem prawdy?

– Jasne, jasne. Niech pan na mnie nakrzyczy. Musi pan przyznać, że to była bardzo niewiarygodna historia. Bardzo nam przykro. Dobra?

– Przeprosiny przyjęte. A teraz musimy się spieszyć. Mamy tylko dwie możliwości.

Kahn zerknął na Plougha i Karinę.

– Albo Grue Eriksen złoży rezygnację – ciągnął Buch – albo go do tego zmusimy. Porozmawiajmy z nim najpierw na osobności i sprawdzmy, czy zachowa się przyzwoicie i rzuci się na własny miecz.

– Będą wybory powszechne. A my je przegramy – zauważył Kahn ze znużeniem.

– To jest powód, by nie robić tego, co należy? – spytał Buch.

– Niech mnie pan posłucha, Thomasie. Premier chce się z panem spotkać. Wyznacza nowych ministrów. Czeka pana awans.

Buch odwrócił się do okna i do skręconych smoków, podszedł do drzwi i wskazał je szczoteczką do zębów.

– Wynoś się pan – powiedział.

– Lubi pan być ministrem! – krzyknął Kahn.

– Wynocha!

Kahn opuścił gabinet z nieodłączną skwaszoną miną.

– Krabbe i premier są w tej sprawie jednomyślni. Rossing panu nie pomoże. Czas dorosnąć.

– Niech pan zaczeka, aż wyjaśnię Krabbemu parę rzeczy. Dziękuję! Dziękuję! Do widzenia! Galopem!

Buch zatrzasnął za nim drzwi. Karina i Plough patrzyli oniemiała, z szeroko otwartymi oczyma.

– Tak? – spytał Buch. – Co jeszcze mogę zrobić? Krabbe! – Podniósł gruby palec. – Poszukajmy Krabbego.

Carsten Plough zakrył ręką oczy, pokręcił głową, a potem powoli wyszedł za drzwi.

\*

Søgaard ciągle siedział w Politigården. Osobista decyzja Brixa. Nie lubił tego człowieka i nie spieszył się z jego wypuszczeniem.

Teraz major miał na sobie kombinezon więzienny i groziło mu oskarżenie o współudział. Lund i Strange siedzieli w pokoju przesłuchań i patrzyli, jak Søgaard przechadza się nerwowo pod oknem. Wreszcie zaczął okazywać strach.

– Niech nam pan opowie o kontaktach Bilala – zaczęła Lund. – Przyjaciele? Rodzina?

Søgaard przyciągnął krzesło do stołu, usiadł i spojrzał na nią wściekły.

– Byłem jego dowódcą. Nic poza tym. Dlaczego, na miłość boską, ciągle tu siedzę?

Lund postukała palcem w stos dowodów leżących przed nim.

– W logach znajduje się jednoznaczny dowód, że skasowano część komunikatów radiowych. Pan prowadził dochodzenie. – Søgaard wziął do ręki wydruk i spojrzał na niego. – Dlaczego pan tego nie znalazł?

Nie odpowiedział. Lund kiwnęła głową.

– Nie sprawdzał pan tego osobiście, prawda? To poniżej pańskich kwalifikacji. Przekazał pan więc komuś to zadanie. Niech no zgadnę...

– Oczywiście, że poprosiłem Bilala, by to sprawdził! To on był odpowiedzialny za radio.

Strange wyrzucił ręce w górę i wybuchnął śmiechem.

– Poprosił więc go pan, żeby poprowadził dochodzenie we własnej sprawie? Ręce opadają.

Lund pokazała Søgaardowi nowe zdjęcia z laboratorium. Czaszki i kości, które przywiozła z Helmand.

– Wiemy na pewno, że zabito cywilów. Nie ma już co zaprzeczać. Był tam oficer. Raben mówił prawdę.

– Raben gadał jak szaleniec...

– Mówił prawdę! Bilal skasował część logów. Pańscy ludzie byli świadkami zbrodni wojennej. Nie jestem w stanie uwierzyć, że nie miał pan pojęcia, że coś się dzieje.

– Nie. – Ciągle patrzył na logi. – Zapewniano mnie, że nic się nie wydarzyło. Nie wiedziałem o komunikatach radiowych. W tym domu niczego nie znaleźliśmy.

– Ponieważ nie szukaliście – rzuciła mu Lund prosto w twarz. – Przy następnych awansach nie wypadnie pan najlepiej...

Pukanie do drzwi. Strange podszedł zająć się sprawą.

– Nie odpowiadam za Bilala. – Søgaard opadł na oparcie znużony. – Jego spytajcie.

– Wiedział pan o wiadomości nadanej pięć dni wcześniej. Że do wioski kieruje się jednostka sił specjalnych. Kto to był?

Przyłożył rękę do głowy.

– Nie widziałem tej wiadomości!

Wstała od stołu, podeszła do okna, z rękoma opartymi na biodrach wpatrywała się w deszcz spływający po szybie.

– Tak naprawdę niewieloma rzeczami pan dowodził, prawda? – spytała Lund, patrząc na brudne szkło.

– Pani nie wie, jak to jest...

– Niech mnie pan posłucha, Søgaard. Pańska przyszłość w wojsku zależy od tego, jakich udzieli mi pan odpowiedzi. Człowiek, który zamordował tamtą rodzinę, podszył się pod Pera K. Møllera. Czy Bilal znał Møllera?

Odpowiedział po chwili namysłu.

– Nie wiem, czemu miałyby znać.

– Czy Bilal był przy śmierci Møllera?

– Nie sędzę.

– Czy ktoś z sił specjalnych, jakiś jæger... ktoś z tych ludzi był w pobliżu, kiedy to się stało?

– Nie. W chwili wybuchu Møller był sam. Pojechał wprost do najbliższego szpitala polowego w Lashkar Gah.

Odwróciła się i spojrzała na niego.

– Miał przy sobie nieśmiertelnik?

– Dlaczego miałyby nie mieć?

Wzięła zdjęcia, pokazała mu osmalony nieśmiertelnik, który znalazła w Helmand. W jednym kawałku.

– Niech mi pan to wyjaśni.

– Nawet nie będę próbował.

Lund nie odrywała od niego wzroku.

– Gdyby zgłosił się do pana oficer służb specjalnych i powiedział, że potrzebuje nowego nieśmiertelnika na tajną misję...

– Tak nie było! Niech pani nie wymyśla.

– Gdyby. Mógłby pan przejrzeć listę niedawno poległych. Wybrać któreś nazwisko. I załatwić przygotowanie nowego nieśmiertelnika. –

Sięgnęła ręką do głowy, przegarnęła palcami długie ciemne włosy. – Może nieśmiertelnik Møllera zaginął. Albo ktoś go zabrał. Jeśli to tajna misja, może dali mu nowy. Jak fałszywy paszport.

Søgaard siedział sztywno na krześle.

– Ale taki rozkaz to nie pański poziom, prawda? Domyślam się, że Jarnviga też nie. Taką decyzję musiałyby podjąć ktoś tutaj.

– Nigdy w życiu nie robiłem takich rzeczy. Nikt mnie nigdy o nic takiego nie prosił.

– A gdyby poprosił?

Bez odpowiedzi. Pukanie do drzwi. Strange.

– Znaleźli mercedesa Bilala pod Hillerød. Ani po nim, ani po kobiecie nie ma śladu. Musiał ukraść nowy wóz.

Wstała do wyjścia.

– A co ze mną? – krzyknął Søgaard, gdy Lund podchodziła do drzwi.

– Pan może poczekać – odparła.

\*

W sali ogólnej panował gwar, bo Brix zebrał tam cały zespół. Wcześniej założono podsłuch w telefonie Jarnviga i przechwycono rozmowę z Bilalem.

– Co powiedział? – spytała Lund. – To ciągle...

– Twierdzi, że został wrobiony. Chce, żeby Arild go z tego wyciągnął.

Lund usiadła obok policjantki przy komputerze.

– Bilal zawsze był tylko żołnierzem, nikim więcej. Będzie szukał kryjówki w jakimś obiekcie wojskowym. Tam, gdzie zostawił mercedesa...

– Tam nie ma żadnych obiektów wojskowych – powiedział Brix. – Sprawdziliśmy.



– Teraz nie ma – poprawił go Strange. – W czasie zimnej wojny było ich tam całe mnóstwo. Myśleliśmy, że wkroczą do nas Rosjanie, pamiętacie?

Lund przejechała palcem po monitorze, nie przejmując się tym, jak bardzo drażni siedzącą przed nim policjantkę.

– Co to za obiekty?

– Rozmaite – odrzekł Strange. – Podziemne koszary. – Jego łagodna twarz stwardniała. – Mieliśmy się tam chować i czekać. Kiedy najechali nas hitlerowcy, zginęło tylko szesnastu duńskich żołnierzy. Wiadomo było, że z Rosjanami tak lekko nie pójdzie.

– Wyobrażam sobie – mruknęła Lund, myśląc na głos. – Sprawdziliśmy te porzucone obiekty?

Wstała, podeszła do ściany, spojrzała na zdjęcia dowodowe. Poczerniała czaszka z Afganistanu znalazła się teraz obok zakrwawionego ciała Anne Dragsholm i czterech żołnierzy batalionu Ægir.

– Chcę, żeby ktoś się skontaktował z Frederikiem Holstem – powiedziała do najbliższego detektywa. – Jest lekarzem w szpitalu polowym w Lashkar Gah.

Dotarła do zdjęcia okopconego kawałka metalu, który wyciągnęła z pieca znalezionego przez afgańskiego policjanta w tym smutnym niewielkim domu.

– Zadzwońcie do niego i spytajcie, co się stało z nieśmiertelnikiem Pera K. Møllera.

Przez salę przebiegł szmer.

– Lund! – zawołał Strange od wejścia. – Mamy coś! Bierz płaszcz. Jedziemy.

– Spytaj go, czy w tym czasie przebywali w szpitalu jacyś żołnierze sił specjalnych – dodała. – I zdobądź ich nazwiska. Czy to jasne?

– Jasne – potwierdził młody funkcjonariusz. – Zrobię to.

Chwyciła z szafki swoją kufajkę. Spojrzała na pistolet, sięgnęła po niego. Strange miał rację. Wiedziała, że na drugiej półce leży kamizelka kuloodporna. Leżała tam cały czas od powrotu Lund do Kopenhagi. Nikt o niej nie wspominał. Nikt jej nigdy nie powiedział, jak się tego używa. Co prawda nie bardzo ją to obchodziło. A teraz wiedziała.

\*

Lasy na północ od Hillerød były gęste i ciemne. Wojskowy mercedes terenowy jechał powoli wąską dróżką. Jarnvig siedział za kierownicą. Wściekły.

– To idiotyczne. Nie możemy tak szukać.

– Bilal tu przyjeżdżał – powiedział Raben. – Mówił mi o tym. Można się tu włamać. Zejść pod ziemię. Pooglądać obiekty z czasów zimnej wojny.

Wskazał ogrodzenie przed nimi. Za nim ciągnął się płaski zielony teren, w oddali las. Żadnych budynków. Ani śladu.

– Powinniśmy zadzwonić na policję – powtórzył Jarnvig po raz kolejny.

Przy drodze stał sklep.

– Jedź dalej, dobra? – odparł Raben.

– Teraz ty mi rozkazujeś? Trzeba było się skontaktować z Arildem. Bilal go wielbi. Jeśli ktoś może się z nim dogadać...

Przydrożny sklep służył głównie miejscowym biwakowiczom. Warzywa i owoce. Gaz. Ubrania. Podstawowe zaopatrzenie.

– Popytam – powiedział Raben.

Kazał Jarnvigowi zatrzymać samochód. Obaj weszli do walącego się przybytku. Za ladą stał niski brodaty mężczyzna.

– W czym mogę pomóc? Mamy świeże ziemniaki...

– Jesteśmy z wojska – odrzekł Jarnvig. – Szukamy dezertera. Pewnie w mundurze polowym. Zachowuje się, jakby był trochę przestraszony. Jest...

– Jest chory – wtrącił Raben.

– W jakim sensie? – spytał mężczyzna, sięgając pod ladę.

– W groźnym. Wygląda młodo. Ma jakieś dwadzieścia osiem lat. Ciemne włosy. Ciemna skóra. Imigrant. Pewnie chciałby kupić jedzenie albo...

Brodaty sklepikarz wyciągnął spod lady dwururkę i trzymał ją niedbale.

– O tej porze roku niewielu ludzi tu zagląda. A ci, co zaglądają... czasami zachowują się bardzo dziwnie. – Spojrzał na nich. – Zatem w jakim sensie groźnym?

– Poradzimy sobie z tym – powiedział Raben.

Mężczyzna ruchem głowy wskazał Jarnviga.

– Już drugi żołnierz wchodzi tu z bronią u pasa. Mnie by aresztowano, gdybym tak chodził.

– Dokąd poszedł? – spytał Raben.

Tamten się roześmiał.

– Do sklepu to się wchodzi, żeby coś kupić, tak przez grzeczność. Każdy to wie.

Jarnvig coś burknął, kiwnął na stojak z papierosami i rzucił na ladę pięćdziesiąt koron.

– Paczkę prince'ów.

– Tu prince'y kosztują setkę, proszę pana – powiedział sklepikarz z szerokim uśmiechem. – Koszty transportu, sam pan rozumie.

Raben robił się wściekły. Jarnvig dorzucił drugi banknot.

– Gdzie...? – zaczął Raben.

– Jedźcie w lewo. Sto metrów stąd zjechał na stary szlak w lesie. Od lat nie widziałem, żeby ktoś z niego korzystał. Powinniście go znaleźć choćby po śladach opon.

– Była z nim kobieta? – spytał Jarnvig.

– Ja żadnej nie widziałem. Chcecie jeszcze coś kupić?

Ale Raben już pędził do mercedesa.

\*

Torsten Jarnvig siedział teraz na miejscu pasażera, rzucało nim na wszystkie strony, gdy Raben gnał jak szalony po zarośniętym szlaku.

Przed sobą widzieli ślady opon tylko jednego samochodu. Mogli go śledzić. I zrobiliby to. Ale Raben był jægerem, tak jak Jan Arild wiele lat temu w Zatoce, na Bałkanach i w miejscach, o których się nie mówiło. Łapał trop niczym pies i ruszał w pogoń.

Las był iglasty, gęsty i ciemny, nawet zimą. Sądząc po stanie gruntu, przejeżdżał tędy tylko ten jeden samochód.

Skrzyżowanie. Raben nawet się nie zatrzymał, tylko skręcił ostro w lewo, biorąc zakręt z taką prędkością, że mercedes omal się nie przewrócił. Jarnvig złapał mocno uchwyt, ale nic nie powiedział. Nie miałyby to sensu.

Szlak stał się węższy. Przed nimi ukazała się otwarta przestrzeń. Z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę wypadli na polanę. Na skrawku betonu stała czarna terenówka. Po prawej wznosiła się przerdzewiała niska wieża strażnicza. Raben zahamował, skręcił kołami i zatrzymał się.

W samochodzie nikogo nie było. Za nim zobaczyli stare ogrodzenie zwieńczone drutem kolczastym. Żółta tablica, chwiejna i pochylona pod kątem czterdziestu pięciu stopni: „Teren wojskowy. Nie wchodzić”.

Raben wyciągnął rękę. Jak długo Torsten Jarnvig o tym myślał? Tak jak na pustyni irackiej, gdzie był z Janem Arildem, i zastanawiał się, jak ujść z życiem.

Wyjął z kabury wojskowy pistolet i mu podał.

– Zadzwoń na policję – polecił Raben.

– Mam cię ubezpieczać?

Arild też tak czasami na niego patrzył.

Spojrzeniem: „Chyba żartujesz”.

– Tam na dole jest miejsce dla tysiąca żołnierzy – wyjaśnił Raben. – Radia nie będą działały. Nie będą wiedzieli, gdzie jestem. – Zbolały, zgorzkniały wyraz twarzy. – I jeszcze im powiedz, że wolałbym nie zostać znowu postrzelony.

I ruszył przez ogrodzenie.

\*

Wejście znalazł po dłuższej chwili. Zimna wojna. Ta konstrukcja miała służyć za schron na wypadek wybuchu nuklearnego. Obiekt zamknięto, zanim Raben wstąpił do wojska. Ale podobno nigdy do końca go nie zlikwidowano. Jakiś bystrzak zdał sobie sprawę, że nawet pięćdziesięcioletni impas pomiędzy światowymi potęgami nie oznacza pokoju na świecie. Może jeszcze nadejdzie czas...

Raben przypomniał to sobie, gdy przesuwiał się przez ciężkie stalowe drzwi prowadzące do opuszczonej strażnicy otoczonej tarniną i dzikim bzem. Miał latarkę, ale jej nie potrzebował. Obiekt był oświetlony jak Strøget na Gwiazdkę. Dwa rzędy żarówek na białym suficie prowadziły w dół kamiennych schodów, które zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Zasilanie najwyraźniej działało.

Raben pewnie trzymał w dłoni P210 Jarnviga. Stopień po stopniu powoli schodził w głąb ziemi. W zimnym zatechłym schronieniu nie

było gdzie się ukryć. On nie mógł się ukryć, ale Bilal też nie.

\*

Buch znalazł Erlinga Krabbego na głównych schodach Folketinget.

– Kilka razy się panu nagrałem...

Ludowiec patrzył jeszcze bardziej wymijająco niż zwykle.

– Miałem oddzwonić. Po następnym spotkaniu. Proszę posłuchać...

Deputowani i urzędnicy chodzili w górę i w dół, zerkając na nich. Krabbe zszedł na następny podest, zniknął w mroku korytarza. Buch ruszył za nim.

– Niech mi pan tylko powie – błagał – dołączy pan do opozycji, by obalić Grue Eriksena?

Erling Krabbe zagryzł swoją bladą dolną wargę i milczał.

– Do diabła! – warknął Buch. – Wie pan, że on nie nadaje się na to stanowisko. Jest winny jak cholera. W Helmand znaleziono dowody, że ta rodzina została zamordowana.

– Ma pan na to tylko słowo Rossinga, a on postanowił wziąć winę...

– Rossing to kozioł ofiarny! I to zadowolony. Nie stanie przed sądem. Za półtora roku wróci do polityki. To wszystko prawda. Pan też to wie.

Krabbe zerknął na zegarek tak szybko, że na pewno nie sprawdzał godziny. I ruszył przed siebie.

Buch szybkim ruchem chwycił go za ramię.

– Co tu się dzieje, do cholery? – spytał. – Mam prawo wiedzieć.

Krabbe pozdejmował ze swojego ramienia grube palce Bucha.

– Nie pójdę do łóżka z Birgitte Agger, dopóki tego nie przemyślę. Nie sądzi pan chyba, że jej chodzi o sprawiedliwość.

– To nie jest kwestia polityki. Chodzi o dobro i zło...

Erling Krabbe wpatrywał się w niego, jakby zobaczył coś nowego.

– Dla pana to naprawdę jest czarno-białe? – Roześmiał się. – Dla mnie pewnie też kiedyś było. Ale już nie jest i nigdy nie będzie.

Zawrócił do schodów i ruszył w dół.

– A więc to pan puścił farbę, tak? – krzyknął za nim Buch, a jego głos odbił się od ścian, aż przechodzący zaczęli odwracać głowy. – Kiedy powiedziałem panu, że Rossing się przyznał. Poleciał pan prosto do Grue Eriksen, jak przystało na jego fagasa?

Krabbe zawrócił zdumiony. I urażony.

– O czym pan mówi, na Boga?!

– Tylko panu powiedziałem! Nikomu innemu.

Erling Krabbe skrzyżował swoje chude ramiona i czekał.

– Oprócz... mojego personelu – dodał Buch już spokojniej. – Ludziom, którym oczywiście ufam.

Krabbe roześmiał mu się w twarz.

– Och, naprawdę. Czy ten tydzień na ministerialnym stołku niczego pana nie nauczył? Tutaj nikomu nie może pan ufać.

Klepnięcie w ramię. Spojrzenie, które wydawało się niemal życzliwe. Wyciągnął rękę na pożegnanie.

– Zadzwoń do pana, gdy podejmę decyzję – powiedział Krabbe.

Buch uścisnął jego suche zimne palce i odprowadził go wzrokiem.

Wrócił niekończącymi się korytarzami do Ministerstwa Sprawiedliwości, w głowie mu się kotłowało.

Karina siedziała samotnie przy biurku.

– Dzwoniono z kancelarii premiera, że chcą zorganizować spotkanie – powiedziała, gdy wpadł do biura. – Odmówiłam. Mam nadzieję, że postąpiłam właściwie.

– Chyba tak. – Buch podszedł do swojego biurka. – Kto wczoraj przygotowywał dokumenty? Po tym, gdy przyszedł tu Rossing i poprosiłem, żeby ktoś zanotował, co wam potem powiedziałem?

– Plough – odparła Karina. – Ja chciałam, ale on nalegał.

– Kto przepisywał to na komputerze? Która sekretarka?

Szarpnęła pasmo swoich blond włosów.

– Plough zrobił to osobiście. Powiedział, że sekretarki mają dużo innych zajęć.

– Czy ktoś mógł zobaczyć jego raport i ostrzec Grue Eriksena?

– Nie! Wydrukował go i dał mnie. Potem poszedł do gabinetu premiera...

Buch patrzył na nią.

– No, na miłość Boską, Thomas! Chodziło o placówkę w Skopje. Interweniowałeś w jego sprawie, prawda?

– Dzwonili po niego z kancelarii?

– Nie pamiętam. Spytaj go, jak wróci.

– Gdzie on jest?

– Nie wiem. Czy my teraz...?

Przetrząsał dokumenty, rozrzucając je dookoła.

– Skąd Birgitte Agger wzięła tajną notatkę? Dowiedzieliśmy się tego w końcu?

Skrzyżowała ramiona.

– Plough się tym zajmował. Do niczego nie doszedł.

Buch podszedł do najbliższej góry dokumentów i zaczął ją przetrząsać zdenerwowany.

– Gdzie są informacje o oddziale wojskowym? O Ægirze?

– Thomas! – krzyknęła Karina wysokim, przeszywającym głosem. – Co się dzieje?



W papierach nic nie było. Buch podniósł je, przeniósł na sofę, patrzył, jak latają po pokoju.

– Uspokój się – rozkazała. – Nie będę z tobą rozmawiać, jeśli będziesz się tak zachowywał. Pójdę zaraz...

Kopnął stos kartonów z aktami, zatoczył się na biurko. Cały czas tu leżała. Lista żołnierzy w oddziale Rabena. Zdjęcia, profile.

Ruszyła w jego stronę, gotowa przemówić mu do rozsądku.

– Posłuchaj, Thomasie. Wiem, że Plough był zły na Rossinga. Nigdy go nie lubił. Ale nie chciał też, żebyś szedł do premiera, bo uważa, że nie masz szans wygrać.

Buch wertował kartki. Myg Poulsen. Raben. Lisbeth Thomsen. Zdjęcia, krótki opis służby i dane osobowe.

Zdjęcie, na które chyba nigdy nie spojrział. Nie było powodu.

– Plough ma syna?

Jęknęła.

– Miał. Zginął w zeszłym roku. Plough bardzo to przeżył.

– W wypadku samochodowym?

Kiwnęła głową.

– Plough mieszka w Nørrebro? Na jakiej ulicy?

– Baggesensgade. Czemu pytasz?

– Jeśli mam jeszcze kierowcę – powiedział Buch, ruszając do drzwi – przekaz mu, że idę do samochodu.

– A jeśli nie masz?

Buch pomacał się po kieszeniach, zajrzał do portfela.

– Mogłabyś mi pożyczyć na taksówkę?

Karina Jørgensen podała mu dwieście koron, po czym podeszła do biurka i wzięła do ręki teczkę.

Była otwarta na danych żołnierza, na którego nikt dotąd nie zwracał uwagi.

Hans Christian P. Vedel. Zginął w wypadku samochodowym na moście Øresund. Policja orzekła, że było to samobójstwo.

Adres na Baggesensgade.

– Thomas... – zaczęła, ale Bucha już nie było.

\*

Lund i Strange jechali pierwszym samochodem, który natknął się na Jarnviga stojącego przed wejściem do podziemnej budowli.

Ciężkie stalowe drzwi były otwarte. Długa klatka schodowa, droga oświetlona lampami.

– Są tam. Raben ruszył za nimi – rzekł Jarnvig.

– Jest uzbrojony? – spytał Strange.

Pułkownik skinął głową.

Lund wyjęła broń, Strange zrobił to samo. Na miejsce docierały kolejne radiowozy. Z pierwszego dobiegło do nich dwóch policjantów.

– Musi być więcej wyjść niż to jedno – powiedział im Strange. – Postarajcie się znaleźć jakieś plany tego obiektu. Zabezpieczcie wszystkie wyjścia. Przekażcie Brixowi, żeby nikt nie wchodził, dopóki wszystkiego nie sprawdzimy.

Pierwszy z funkcjonariuszy wyglądał na nieprzekonanego.

– Jeśli zaczekasz chwilę, sam mu to powiesz...

– Tam jest moja córka! – krzyknął Jarnvig.

Lund ruszyła w dół, z pistoletem przed sobą, nasłuchując. Pachniało tu jak w wielkim gnijącym grobowcu, powietrze było zatęchłe.

Strange szybko ją dogonił. Prawie biegiem pokonali pierwszy odcinek schodów i zatrzymali się na dole. Tu wszystko było inaczej. Podłoga

miejscami popękana i wilgotna. Ściany jak wyciosane w skale. W równych odstępach znajdowały się drzwi, które musiały prowadzić do podziemnych biur, koszar, magazynów.

– Jak to jest wielkie? – spytała, gdy Strange poszedł do przodu, patrząc na prawo i lewo.

– Bóg raczy wiedzieć – mruknął. – Jak, u licha...?

Dźwięk w oddali. Kroki, głośne i szybkie, trudne do zlokalizowania, bo odbijały się echem od ścian.

Strange rozejrzał się, nasłuchiwał, wskazał na prawo i ruszyli biegiem.

\*

Raben zszedł do wnętrza podziemnego obozu, sprawdzając kolejno drzwi. Na razie wszystkie były otwarte. Aż nagle natknął się na zamknięte. Na czerwonej farbie widniał numer 44.

Podparł je zdrowym ramieniem, poczuł, że stare żelazo skrzypnęło, po czym ustąpiło pod jego ciężarem.

Wszedł z pistoletem w rękę, trzymany nisko, w gotowości.

Natknął się na kolejny sektor, pokoje i korytarze. Ukryta fala wściekłości, która miała runąć na rosyjskie wojsko. Ale ono nigdy nie nadeszło.

Z niedaleka dobiegł go jakiś dźwięk.

Jej głos. Krzyczała z bólu i strachu.

Raben oparł się o wilgotną ścianę, ceglana, nie skalną. Potem przesuwał się powoli, cicho do przodu, dotarł do końca, zobaczył jasne światła za czymś, co wyglądało jak szerokie pomieszczenie po prawej.

Krótką chwilą na rozeznanie. Wyjrzał za drzwi, cofnął głowę.

Zobaczył ich w następnym pomieszczeniu. Louise na kolanach, ze związanymi rękoma. Bilal przykładał jej pistolet do głowy. W pomieszczeniu znajdowała się siłownia. Wielkie archaiczne generatory stały wzdłuż jednej ściany. Dużo miejsca, żeby podbiec i się schować.

To co prawda nie wchodziło w grę. Bilal też był dobrym żołnierzem. W chwili gdy Raben wystawił głowę z za drzwi, wiedział, że został dostrzeżony.

Po chwili Bilal wrzasnął nerwowo:

– Wyjdź tak, żebym cię widział!

Raben nie ruszył się z miejsca.

– Wyłaź albo odstrzelę jej łeb.

Raben wyszedł z rękoma wzdłuż boków, z pistoletem wymierzonym w podłogę.

Louise podniosła na niego zmęczone, przerażone oczy. Nos miała zakrwawiony i posiniaczony. Bilal wplótł palce w jej włosy, przytknął pistolet do czaszki.

Said Bilal nie wydawał się przerażony. Krótkie ciemne włosy, chłopięca twarz, przepisowy mundur. Wzór żołnierza.

– Odłóż broń – rozkazał. – Rzuć ją!

Raben natychmiast przykucnął, położył czarny pistolet na posadzce, potem pchnął go po podłodze tak mocno, że zatrzymał się przed stopą Louise.

– Gdzie Arild? – spytał Bilal. – Mówiłem, że macie mnie nie szukać.

– Czasami nie wszystko nam się udaje – odparł Raben, wzruszając ramionami. – Puść ją. Masz teraz mnie. Czegokolwiek chcesz, weź mnie. Nie moją żonę...

Pistolet oderwał się od jej głowy, a skierował prosto w twarz Rabena.

– Gdybyś tylko trzymał tę swoją cholerną gębę na kłódkę! To wszystko by się nie zdarzyło.

– Ale się zdarzyło.

– To nie byli cywile, tylko talibscy informatorzy! Finansowali tych łajdaków.

– Dzieci tego nie robiły...

– Nie gadaj mi o dzieciach! Nie...

Rabenowi stanęło serce. Ręka Bilala, trzymająca pistolet, była nieruchoma jak skała. Nagle dobiegł ich odgłos zbliżających się kroków.

\*

Lund dotarła pierwsza. Podeszła do Rabena. Widziała, jak pistolet Bilala kieruje się na nią.

– Przestań – powiedziała, siląc się na spokój. – Odłóż broń. Puść ją. Nie możesz...

Jego palce jeszcze mocniej chwyciły tłuste czarne włosy Louise. Pistolet skierował się na jej głowę. Krzyknęła z przerażenia i bólu.

– Nie! – wrzasnęła Lund, stanęła przed Rabenem z bronią wyciągniętą przed siebie, obie ręce na rękojeści, mierzyła w mężczyznę w mundurze.

– Wyjdźmy stąd. Możemy to obgadać. Chcę usłyszeć...

– Nie jesteś z wojska – wypalił do niej.

– Co Louise ma z tym wspólnego? – krzyknęła Lund. – Wypuść ją...

– Nie jesteś z wojska! Ja tylko wykonywałem obowiązki. Robiłem to, co mi kazano.

Jeszcze jeden krok w jego stronę. Broń nieruchomo. Kiepsko strzelała. Może on o tym wiedział.

– Wierzę ci, Bilal. Mogę ci pomóc. Ale musisz wypuścić Louise.

Kolejny krok, Raben też się przesuwał w jego stronę.

Nagle otworzyły się drzwi i wszedł Strange z podniesioną bronią, twarzą spiętą i zdeterminowaną.

Bilal spojrział w lewo, spojrział w prawo, na chwilę podniósł wzrok i w końcu spojrział na Lund. Palce we włosach Louise zwolniły chwyt. Kolanem pchnął ją do przodu.

– Idź! – rozkazał.

Lund nie patrzyła, jak kobieta wstaje z trudem z podłogi, po czym wpada w ramiona męża.

Coś się tu nie zgadzało.

– Wynoś się, Raben – rozkazała. – Zabierz ją na górę i...

Bilal się pocił. I płakał. Strange wysunął się, cały czas trzymając broń w gotowości. Ani na chwilę nie spuszczał wzroku, przysunął się do Lund.

– Wykonywałem tylko obowiązki – powtórzył młody oficer, stając wyprostowany przy zabytkowym generatorze.

– A co dokładnie? – spytała Lund.

– Nie jesteś z wojska – powiedział znowu, ale tym razem łagodniej.

Pistolet trzymał swobodnie u boku. Nie stanowił prawdziwego zagrożenia. Lund podeszła bliżej.

– To były tylko drobiazgi, Bilal. Skasowałeś komunikaty radiowe. Ktoś ci kazał. Kim był ten oficer? Co było w komunikacie?

Nieproszone pochylił się i rzucił pistolet na podłogę. Potem znowu stanął wyprostowany.

– Dobrze...

Już nie słuchał. Patrzył prosto przed siebie. Niewidzącym wzrokiem.

– Lund – powiedział Strange. – Nie podoba mi się to. Tu się coś dzieje.

– Nic się nie dzieje – odparła bez przekonania. – Śmiało, Bilal. Chodźmy stąd. Możemy pojechać do dowództwa. Będziesz bezpieczny. Ściągniemy ci adwokata. Możemy pogadać...

Bilal odpinał kamizelkę. Lund patrzyła i czuła, że krew z niej odpływa.

Miał pas. Kable i paczki. Różowe laski dynamitu jak sztuczne ognie. Znajomy kształt granatu.

Strange już nic nie powiedział. Rzucił się biegiem, chwycił ją za kurtkę, niemal poderwał ją z ziemi i pchał z powrotem w stronę wyjścia.

Usłyszeli jeszcze głos. Doniosły i pewny. Słowa wojskowego recytującego długo powtarzany w pamięci refren:

– Za Boga, króla i Danię! – zawodził Said Bilal.

Czerwone drzwi były coraz bliżej. Widziała już numer 44. Skręcali w ich stronę.

Ryk eksplozji. Świat zmienił kolor na ognisty. Coś poderwało z ziemi ją i Strangego, rzuciło do korytarza na zewnątrz, aż grawitacja ich przyciągnęła i twarde wilgotne płytki wbiły się w jej ciało, twarz i ręce.

Kiedy się ocknęła, on nadal ją obejmował. Dłońmi chroniąc jej głowę, zasłaniał ciałem niczym zbroja.

Dokoła nich leciał iskry. Unosił się zapach kordytu i materiałów wybuchowych. A za tym świeży ostry zapach krwi.

\*

Dom Carstena Plougha był równie niepozorny jak on sam. Zwykły parterowy budynek przy długim podjeździe, niemal niewidoczny z ulicy. Thomas Buch zdał sobie sprawę, że nie spodziewał się niczego konkretnego. Nie miał pojęcia, jak mieszka Plough, spokojny, zamknięty w sobie mężczyzna.

W oknach się świeciło. Frontowe drzwi były otwarte. Buch zapukał i wszedł.

W kuchni stały niedomyte naczynia i puste kartony po gotowych daniach. Dalej bezładny salon pełen kartonów. Na ścianie mapa świata. Półki pełne książek.

Na biurku dwa otwarte kartony. W środku medale. Wojskowe. Za służbę w Afganistanie.

Fotografie w ramkach. Na większości ten sam mężczyzna, od czasów szkolnych do dorosłości. Uśmiechnięty. Nie ta gburowata, niepewna postać ze zdjęcia z akt wojskowych.

Buch sięgnął po pierwszą z brzegu fotografię i stwierdził, że jest między nimi jakieś podobieństwo. Gdyby Plough uśmiechnął się swobodnie, wyglądałby właśnie tak. I może kiedyś tak wyglądał. Zanim w jego życiu pojawili się Frode Monberg, Flemming Rossing i – trzeba to było sobie powiedzieć – Thomas Buch.

Ciężko było odstawić to zdjęcie. Buch pomyślał o swoich córkach, zastanawiał się, czy któraś z nich będzie chciała pójść do wojska. W dzisiejszych czasach oznaczało to bezpieczne pieniądze, a tego zawsze było za mało. Sposób na spłacenie kredytu na college. Na zabezpieczenie dziecka.

Usłyszał znajome kroki, obrócił się i zobaczył Carstena Plougha.

– Przepraszam – powiedział Buch, odkładając zdjęcie na biurko. – Pukałem, ale nikt nie otwierał. A drzwi były otwarte.

Plough miał na sobie koszulę w zielono-niebieską kratkę i dżinsy. Wyglądał w nich zupełnie inaczej.

– Hans Christian Plough Vedel. Vedel to nazwisko mojej żony. W wojsku zawsze mówili na niego HC.

Wysoki urzędnik podszedł i spojrzał na zdjęcie.



– On jedyny z oddziału wyszedł z tego bez szwanku. To był cud. W każdym razie wtedy tak myślałem.

Spokojna i łagodna twarz Plougha zmarszczyła się ze smutku. Wziął z biurka parę książek w miękkiej oprawie, ustawił je w równym stosie.

– Hans powiedział nam, że w wiosce doszło do jakiegoś incydentu. Że był tam oficer i zabito kilku cywilów. A potem przyszedł prokurator wojskowy i nazwał go kłamcą. Szaleńcem, jak Rabena. – Zjadliwy uśmiech. Buch jeszcze nigdy takiego u Plougha nie widział. – To wydawało się niemożliwe, prawda? Duński żołnierz nigdy nie zrobiłby czegoś takiego.

Kolejne książki. Buch zastanawiał się, czy Plough w ogóle wie, że się pakuje.

– Zmienił zeznania, bo wojsko na niego naciskało. Ale myślę, że to tylko pogorszyło sprawę. Rozumiesz... – Postukał się w głowę. – Wiedział, że nie jest wariatem. Nie miał wątpliwości, co widział. Ale armia mówiła inaczej, a armia nigdy nie kłamie. Ja również uwierzyłem armii. A Hans czuł się coraz gorzej.

Przy oknie stał fortepian. Plough wziął z podstawki arkusze z nutami, wrzucił je do kartonu.

– Rok temu wjechał pod prąd na most Øresund. I to był koniec.

Oglądał zdjęcia jedno po drugim, kręcił głową, jakby mówił: „Później”.

– To był też koniec mojego małżeństwa. Psuło się między nami od powrotu Hansa. – Bardzo przelotny i bardzo gorzki uśmiech. – Byłem urzędnikiem, rozumiesz? Miałem obowiązek stać po stronie władzy. Oddałem się więc bez reszty pracy, jeszcze bardziej niż kiedyś. I nagle... – Jasna, zjadliwa nuta w jego głosie. – Pewnego dnia pojawiła się Anne Dragsholm i spytała o Monberga. Mojego ministra. – Wycelował swój zaborczy palec w Bucha. – Mojego. Wiedziała, że Hans nie kłamał,

podobnie jak Raben. Bo Dragsholm zrobiła coś, czego nie mogły zrobić te wszystkie bystrzachy z Dowództwa Operacyjnego. Znalazła oficera.

I znowu książki. W końcu Plough starannie zamknął karton.

– Nie zapomnę tego dnia. Siedziałem przed domem na ławeczce i jadłem kanapkę, piłem wodę z butelki. Myślałem, że jestem najbardziej obmierzłym, nikczemnym człowiekiem na ziemi. Bo mój syn mnie potrzebował, a ja uznałem go za szaleńca i kłamcę. Podczas gdy on cały czas po prostu mówił prawdę.

Dźwignął karton i zestawiał go na podłogę. Wziął pusty. Wyjął kolejne książki z biblioteczki.

– Jestem lojalny i łatwowierny. Uwierzyłem więc Monbergowi, gdy powiedział, że się tym zajmie. Ale potem Dragsholm zamordowano, a on nadal nic nie robił. – Zimny śmiech, tak niepodobny do Plougha. – Tylko jak tchórz i głupiec próbował odebrać sobie swoje żalosne życie.

– A potem przyszedłem ja. Tępy i niewinny, łykający każdą gadkę – powiedział Buch. Sam się zaniepokoił jadem, który przebijał w jego słowach.

Plough wyglądał na urażonego.

– Co mogłem zrobić? Monberg mnie zawiódł. Musiałem cię naprowadzić na sprawę! Więc puściłem tę notatkę PET. Tak! Ja! Cichy jak myszka Carsten Plough, najbardziej dyskretny i rzetelny urzędnik Slotsholmen. Dopilnowałem, żeby Karina znalazła dziennik Monberga. Wysypałem okruszki dla mojego spasionego wróbelka, a ty je wszystkie wydziobałeś, Buch, co do jednego. I to z większym zapalem, niż sądziłem.

– Na miłość boską! Mogłeś pójść na policję!

Znowu ten gorzki śmiech.

– Przez osiem dni byłeś ministrem, a tyle się jeszcze musisz nauczyć. Oczywiście, że nie mogłem. Erik König od lat był marionetką Rossinga.

Ci dwa byli w zмовie na długo, zanim się to wszystko wydarzyło. König bardziej podlegał Ministerstwu Obrony niż nam.

– W takim razie do Politigården...

– Gdzie od razu przekazano by sprawę do PET. Uwierz mi. Znam ten system. Połowę z tego sam wymyśliłem. – Książki poszły w zapomnienie. – Ale nie miałem dowodów. Aż do wczoraj. A wtedy... – Najszerszy i najszczęśliwszy z uśmiechów. – Dałem je premierowi.

Promiennie uśmiechnął się do Bucha.

– Grue Eriksen nie wahał się ani chwili. Nie miał wątpliwości jak ty.

Buch zamknął oczy i jęknął.

– Oczywiście, że nie! Musiał ratować własną skórę.

– Nie. Monberg mi powiedział. Miał spotkanie z Rossingiem. Gdy tylko wrócił, sprawa była zamknięta. Z miejsca.

Buch wziął z biurka książkę w miękkiej okładce. Western. Wyglądała znajomo.

– Dzięki za ten prezent – powiedział Plough. – Ale to nie w moim guście.

– Powinieneś był komuś powiedzieć.

– Kto by mi uwierzył? – Plough dotknął jego ramienia w dziwnym i nieoczekiwanym jak na niego geście. – Nie ty. W każdym razie nie na początku. Thomas... Jest mi naprawdę przykro, że tak się to potoczyło. Ale ty i Karina sobie poradzicie.

Kolejna książka. Przewodnik po Manhattanie.

– Kiedy rozmawiałem z premierem, spytał mnie, czy naprawdę chcę jechać do Skopje. Czy może wolałbym gdzie indziej. Więc powiedziałem...

Plough przejrzał rodzinne fotografie, wybrał jedną, pokazał ją Buchowi, któremu na ten widok stanęło serce.

– Że do Nowego Jorku. Oczywiście.

Młodszy Carsten Plough. Ciemne włosy. U jego boku śliczna szczęśliwa żona. A z nimi wysoki uśmiechnięty syn, dwunasto-, najwyżej trzynastoletni. Stali na tarasie widokowym World Trade Center. Ubrania z innej epoki. Wszystko z innej epoki.

– To były nasze najdroższe wakacje w życiu – przyznał Plough. – Chciałem, żebyśmy zapamiętali je na zawsze.

Wpatrywał się w zdjęcie: utracone twarze, utracony świat. Utracona rodzina.

– W marzeniach nie ma nic złego, prawda? Będiesz teraz następcą tronu, Thomasie. Karina może być twoją prawą ręką...

– Tyle lat, Plough. Tyle lat służby, a ciągle nie wiesz, jak to działa? Monberg z tobą pogrywał! Co jeszcze ukrywasz?

Ukradkowe zerknięcie, które też zaskoczyło Bucha.

Obszedł biurko, postukał urzędnika w kraciatą koszulę.

– Powiedz mi, do cholery, albo cię wykończę tak jak ich.

– Musisz już iść.

W jego głosie na powrót pojawił się sztywny ton.

– Jezu! – Buch miał ochotę krzyczeć. – Robiłeś to, czego oni cały czas chcieli. Pomogłeś niewłaściwej osobie. Podliziałeś się facetowi, który doprowadził twojego syna do śmierci...

To spadło nie wiadomo skąd. Uderzenie w twarz. Jak wyzwanie do pojedynku. Albo sprzeczka między dziećmi. Buch pomacał policzek. Prawie nie bolał. W każdym razie nie fizycznie.

– Właściwi ludzie zostali ukarani. Byłem to winien swojemu synowi.  
– Wyciągnął rękę w stronę drzwi. – Wyjdź. Stanowczo tego żądam.

Za statecznymi okularami w rogowej oprawie pojawiły się łzy.

Thomas Buch wziął ze stołu swój stary western, zastanowił się, dlaczego w ogóle dał go Ploughowi. Nawet on już nie lubił takich książek. Ten podział na dobrych i złych... Za dużo czerni i bieli, ani krztyny szarości.

– Dobranoc – powiedział, po czym wyszedł na ciemną zimną ulicę.

\*

Raben znowu siedział w pokoju przesłuchań w Politigården, przed tą samą prawniczką co dzień wcześniej. Nie mógł odgadnąć, czy ona jest na niego zła za to, że uciekł policjantom, czy cieszy się, że udowodnił prawdziwość swoich słów.

Tak czy owak, nie miało to znaczenia. Teraz siedziała obok niego Louise. Na stole leżała ugoda, lepsza, chociaż nadal zawierała pewne warunki.

– Nie sądzę, żeby były jakieś wątpliwości, czy tym razem przyjmą pańską wersję – powiedziała prawniczka. – Pozostaje jednak kilka rzeczy do załatwienia. Nadal musi pan odwołać swoje oskarżenia wobec tutejszego oficera.

Ramię miał na nowym temblaku. Louise obmyli twarz. Raben nic nie powiedział.

– To oczywiste, że pańskie zarzuty były właściwe. Oznacza to, że odsiedział pan dwa lata wyroku za coś, co się nie wydarzyło. Jakikolwiek dostanie pan wyrok za przestępstwa popełnione teraz, jestem pewna, że karę już pan odbył.

– To znaczy, że jestem wolny? – spytał. – Mogę iść do domu? Zobaczyć się z synem?

– Może się pan zobaczyć z synem. Ale będzie pan musiał pozostać w areszcie do posiedzenia sądu. Myślę, że to potrwa najwyżej tydzień, może dwa.

Spojrzał na nią groźnie.

– Czekał pan bardzo długo, panie Raben! – krzyknęła kobieta. – Na miłość boską, niech pan będzie cierpliwy! Poprosiłam o umieszczenie pana w Hørserod. To zakład o charakterze otwartym. Miły jak na więzienie. – Spojrzała na Louise. – Będziecie tam mieli kwaterę rodzinną. Możecie mieszkać całą trójką. Najwyżej dwa tygodnie. Potem zostanie pan zwolniony. Najpierw za poręczeniem. Ale za to, że panu nie wierzyli, muszą odpowiedzieć. Nawet sobie tego nie wyobrażam.

– Jonas... – wyszeptał.

– I radzę panu pozwać państwo o odszkodowanie. Wygra pan. Sława. – Położyła na stole kartkę. Raben spojrzał na nią. Jego pierwotne zeznanie, w którym wskazywał Strange'go jako oficera z Helmand. – Tylko proszę... musi pan podpisać oficjalne zeznanie wycofujące obciążenie policjanta. Dopóki to nad nami wisi...

Spojrzał na Louise.

– Możemy zostać na chwilę sami?

– Oczywiście – powiedziała pani adwokat i wyszła.

Odwrócił się do swojej poobijanej, zmęczonej żony, nie widział brudnych ubrań, krwi, siniaków.

– Jeśli chcemy... – zaczął.

Jej głowa opadła na jego ramię. Ręka znalazła jego dłoń. On musnął wargami jej ciemne brudne włosy.

– Zrobię wszystko, czego chcą – wyszeptał. – Cokolwiek...

– Jeśli wrócisz do domu, reszta w ogóle mnie nie obchodzi.

Żołnierskie palce znalazły jej policzek. Były zbyt szorstkie dla niej. Zbyt chropowate, zbyt brudne od prac, które wykonywał. Ale jej to nigdy nie przeszkadzało. I teraz też nie. Podniosła usta, przysunęła je do jego warg i czekała.

To był krótki i niezręczny pocałunek. Jedyne, jakiego mogła oczekiwać od męża. To, co było między nimi dobre, pochodziło tylko od niej, a nawet nie zdawała sobie z tego sprawy. On jej dawał wyłącznie siebie, swoją miłość i oddanie. I gdzieś po drodze im się nie udało.

Ale tym razem będzie inaczej, pomyślał. Gdy tak ją trzymał, czuł zapach błota i stęchlizny tego podziemnego piekła, z którego się wydostali.

Raben znowu pocałował żonę i wstał, przysunął swoje zbolące ciało do stołu i podarł zeznanie na kawałki, które rozrzucił po podłodze.

\*

Jarnvig znowu był w Ryvangen. Przywrócony do stopnia pułkownika Dowództwa Operacyjnego. Søgaard wysłano na przepustkę, by oczekiwał na śledztwo w sprawie traktowania przez niego podkomendnych. Jego miejsce zajął nowy major, sympatyczny człowiek z południa kraju.

Nie mieli za wiele czasu na rozmowy. Jarnvig ciągle dzwonił – do Obozu Viking w Helmand, do znajomych w Danii, domagając się natychmiastowego wznowienia dochodzenia w sprawie incydentu, o którym doniósł Raben.

Daleki głos w Afganistanie słuchał jego rozkazów.

– Proszę natychmiast wysłać tam oddział żandarmerii wojskowej. Zajrzyjcie pod każdy kamień. Przesłuchajcie afgańskiego policjanta, którego znalazła Lund. Nie do wiary, że ona w jeden dzień odkryła więcej niż my w trzy miesiące.

– Mnie tu wówczas nie było, panie pułkowniku – zauważył mężczyzna oschle.

– Ale teraz pan jest, majorze, i ma pan wykonać zadanie. Niech pan się bierze do roboty i informuje mnie na bieżąco.

Zakończył rozmowę. Nowy podwładny stał przed jego biurkiem. Nie sztywny i poważny jak Søgaard. Wyglądał raczej jak cywil, który znalazł gdzieś mundur.

– Są jakieś wiadomości od generała Arilda? – spytał Jarnvig. – Muszę z nim porozmawiać.

– Nie ma. Dzisiaj wieczorem przyjeżdżają żołnierze na nową zmianę. Jeśli można, chciałbym ich osobiście przywitać...

– Nie, nie – powiedział Jarnvig, nie podnosząc wzroku znad stosu papierów na biurku. Większość z nich stanowił pierwotny raport w sprawie zeznań Rabena. – Dziękuję, ale poradzę sobie.

– Myślałem... Pańska córka wróciła. Chce się z panem zobaczyć. Wygląda... – Skrzywił się. – Wygląda na wykończoną. Naprawdę. Jeśli będzie mnie pan potrzebował...

– ...to dam panu znać. Proszę ją wprowadzić.

Nowy major kiwnął głową w stronę okna.

– W tej chwili jest w pańskim domu. Pakuje się. Chyba zamówiła taksówkę do Hørserod.

Jarnvig zdjął okulary do czytania.

– Do Hørserod?

\*

Dwie torby pełne ubrań. Do drugiej Jonas usiłował spakować swój plastikowy miecz.

Ryvangelen było jak zamek, swoista twierdza. Chroniło ją. A także zamykało i więziło. Jak rodzina. Kompromis pomiędzy bezpieczeństwem a wolnością. Omal nie dobiła targu, za który zapłaciłaby zbyt wysoką cenę. Łóżko za tymi drzwiami. Ona nad Søgaardem...



To nie miało nic wspólnego z nim. Ani z Jensem. Chodziło o rolę armijnej żony i matki. Kolejny lojalny sługa w rodzinie. Był czas na to, ale i był czas na uwolnienie się. Należało objąć tych, których się kocha, którzy się naprawdę liczą, i odejść.

Przerwała pakowanie i wciąż wpatrywała się w niepościelone łóżko, gdy wszedł jej ojciec.

Uśmiechnęła się do niego. Wiedziała, co będzie.

– Musimy jechać, tato.

– Mogę spytać, dokąd?

– Do Hørserod. Do Jensa. Dają nam rodzinną kwaterę. – Podniosła apaszkę, wepchnęła do torby z koszulkami Jonasa. – Można tam swobodnie wchodzić i wychodzić. I nadal mogę pracować w szpitalu.

Tak dużo czasu spędziła pod prysznicem, zmywając z siebie brud i wspomnienia miejsca, do którego zabrał ją Bilal. Siniaki się goiły. Mieli przed sobą światło, jeszcze słabe i bezkształtne, ale ona już je widziała. Nosilo imię, którego ona od dawna nie słyszała. Przyszłość.

– Musimy się wynieść z Ryvangen.

– Żeby mieszkać w więzieniu?

– To nie potrwa długo. Prawniczka powiedziała, że wypuszczą Jensa za dwa, trzy tygodnie. – Poklepała Jonasa po głowie. – Tyle możemy poczekać, prawda?

Bardziej koncentrował się na swoich zabawkach niż na ich rozmowie, wciąż starając się wpakować jak najwięcej rzeczy do torby. Plastikowe smoki, miecze.

Wstała, podeszła do ojca, wyjęła klucze z torebki i podała mu je.

Wyglądał jak człowiek zdradzony. Pozbawiony czegoś, co należało do niego.

Żołnierze, pomyślała. Porządni ludzie. Dobrzy. Trzymają się kurczowo rzeczy, które kochają, silnie i pewnie.

– Tato... – Objęła go i pocałowała w szorstki policzek. – Zobaczymy się jutro. I pojutrze. I za tydzień. – Dotknęła jego twarzy, spojrzała w zbolące oczy. – Nie opuszczamy ciebie, tylko Ryvangen.

– Właśnie – wyszeptał.

Mężczyznom zawsze brakuje słów, gdy dochodzą do głosu emocje.

Jonas podszedł do dziadka i podał mu coś. Wojownika z tarczą i mieczem. Wcisnął go w pomarszczone palce Jarnviga.

– Zaraz przyjedzie taksówka – powiedziała i znowu pocałowała ojca, bardzo szybko. – Zadzwoń. Chodź, Jonas.

Wyszli, nie oglądając się za siebie. Jarnvig odprowadził ich wzrokiem, ściskając żołnierzyka od wnuka.

Potem usiadł przy stole jadalnym i próbował sobie wyobrazić, jak dom będzie wyglądał bez nich. Pozbawiony energii i ciepła Louise. Dziecięcej ciekawości Jonasa i jego zabaw.

Będzie martwy, pomyślał Jarnvig. Jeszcze jeden ceglany klocek w labiryncie, którym było Ryvangen.

Zadzwoił jego telefon. Następca Søgaard.

– Chciał pan, żebym znalazł generała Arilda – powiedział.

– Tak...

– Właśnie tu jest.

\*

Arild siedział w jego biurze, pałac i przeglądając dokumenty na biurku. Jarnvig zdołał się tylko uśmiechnąć z zakłopotaniem.

– Ach, daj spokój, Torstenie – powiedział generał. – Nie będziesz chyba robił fochów? Jak małe dziecko?

Jarnvig usiadł na swoim krześle. Arild naprzeciwno.

– Nie wiem, o co ci chodzi.

Generał ruchem ręki wskazał gabinet.

– Wróciłeś tu. Znowu dowodzisz Ryvangen. Jesteś pułkownikiem. Louise nic się nie stało. Nie jest źle. Gdybym chciał, mógłbym cię postawić przed sądem.

– Raben miał rację.

Arild uśmiechnął się wzgardliwie.

– I co z tego? Był zbiegłym przestępcą, a ty mu pomogłeś w ucieczce przed PET. Ale co tam. To przebrzmiała sprawa.

Jarnvig kiwnął głową bez słowa.

– Ale się porobiło! – dodał Arild, wciąż się uśmiechając, jakby to wszystko było grą. – Młody Bilal nie dał nam szans. Dopilnował, żebyśmy się nigdy nie dowiedzieli, co się naprawdę stało w Helmand.

– Ty wiedziałeś, prawda?

– Ja? – Arild odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się. Czasami wyglądał jak młodzieniec. Taki wysportowany, że nawet jutro mógłby wrócić do czynnej służby. Może wrócił. – A skąd miałbym wiedzieć? Jestem urzędasem w Dowództwie Operacyjnym. Moje życie jest jeszcze nudniejsze niż wasze.

Jarnvig przyglądał mu się, po każdym swobodnym geście, każdym lekkim zaprzeczeniu coraz bardziej przekonany.

– Wierzysz mi, prawda? – spytał Arild.

– Nie – odrzekł Jarnvig z całkowitą pewnością. – Wiem, jak to się odbywa. Kiedyś robiłem to z tobą...

– To było dawno temu. Teraz jest inaczej.

– Nic na papierze. Żadnych śladów, które mogłyby cię pogrążyć.

– To bajka – upierał się Arild.

– Jeśli masz mi coś do powiedzenia, generale, powiedz to teraz. Nie będziesz tego dłużej tuszował. Policja prowadzi śledztwo. Ministerstwo.

Powiedz mi, a zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby naprawić ten bajzel. Nie chcę, by ta sprawa zaszkodziła wojsku...

– Ależ z ciebie się zrobił zadowolony z siebie mały kretyn – oznajmił Arild, po czym wydmuchnął dym w stronę sufitu. – Ty naprawdę nie widzisz dalej niż do muru tych żalonych koszar, co? Nie masz pojęcia, jaki świat się zrobił skomplikowany.

– Duński oficer morduje niewinną rodzinę. Co w tym skomplikowanego?

– Dużo – odparł Arild. – Musimy się chronić nawzajem. – Walnął pięścią w stół. – Siebie nawzajem! Nikt tego za nas nie robi. Politycy na Slotsholmen odgrywają kawiarnianych generałów. Media czyhają, jakby tylko przy każdej okazji nas zdeprecjonować i zrzucić na nas winę. I z każdym rokiem wysyłamy na śmierć coraz więcej ludzi... – Wzruszył ramionami. – I parę kobiet. Z powodów, o których dawno temu zapomnieliśmy, nawet jeśli je kiedyś znaliśmy.

– Albo okłamałeś policję, albo nie.

– Tak? Jeśli nawet okłamałem... to co?

– Własnym uszom nie wierzę...

– Uwierz, Torstenie, albo, jak Boga kocham, postawię cię przed sądem. Tak, policja do mnie przyszła. Mieli nazwisko oficera sił specjalnych. Człowieka, który służył odważnie i z oddaniem.

Jarnvig skrzyżował ramiona i czekał.

– Podejrzewali go – ciągnął Arild. – Powiedziałem im, że sprawdziłem w aktach i że został zdemobilizowany pół roku wcześniej. – Postukał kłykciami w biurko. – Nawet nie był w Afganistanie w tym czasie. – Niski muskularny mężczyzna napiął ramiona, przypatrując się Jarnvigowi. – To nie była do końca prawda. Był tam. Ale w aktach tego nie znajdziesz.

– To była nasza strefa – powiedział Jarnvig. – Powinniśmy o tym wiedzieć.

– To nie była wasza sprawa. Jak sądzisz, dlaczego kazałem Bilalowi usunąć te raporty radiowe? Ważne było, żeby nie pozostał ślad...

– On zabił tę rodzinę!

– Nie wiesz, co się stało! – krzyknął Arild. – To był wyszkolony komandos sił specjalnych. Nie jakiś narwaniec ani zbrodniarz wojenny.

Jarnvig chwycił długopis i notes i zaczął pisać.

– Opuść sobie – rozkazał Arild.

– Będzie dochodzenie.

– Nie wykaże nic więcej niż to poprzednie. Rodzina, która zginęła, nie była niewinna. Ojciec finansował talibów poprzez dostawy narkotyków. Był informatorem, oszustem i mordercą.

– Będzie dochodzenie – powtórzył Jarnvig.

Arild zaklął, pokręcił energicznie głową i roześmiał się głośniejszym niż kiedykolwiek.

– Ty mały kretynie – powiedział, ocierając oczy. – Nigdy do końca nie zrozumiałeś, o co chodzi tam, w Afganistanie, co? Myślałeś, że wystarczy być żołnierzem, słuchać i wykonywać rozkazy.

– Wynoś się – powiedział Jarnvig, patrząc groźnie na Arilda.

– I masz rację, na ogół tak jest – ciągnął generał. – Ale tam wszystko jest popierdalone. Talibowie nie przestrzegają zasad. Im bardziej sami ich przestrzegamy, tym większymi jesteśmy frajerami.

– Wynoś się!

Arild nawet nie drgnął.

– Wiesz, dlaczego przestałem chodzić z tobą na polowania? – spytał.

Cisza.

– Bo tego też nie rozumiałeś. Zawsze czekałeś, aż zdobycz do ciebie przyjdzie. Myślałeś, że wystarczy się gdzieś ukryć i mieć nadzieję, że zjawi się zwierzyna.

Arild wstał. Żyłasty, żwawy, mundur generalski, pistolet u boku. Zdjął z wieszaka swój zimowy płaszcz.

– Nie o to chodzi w polowaniu – rzekł. – Jæger tropi swoją zwierzynę. Śledzi ją. Rozpoznaje. Potem...

Dłoń złożona w pistolet, palec jak lufa wycelowany w głowę Torstena Jarnviga.

– Bum!

– Nigdy więcej się tu nie pokazuj. Nie zbliżaj się do mnie ani do moich ludzi...

Arild wepchnął ręce w kieszenie i uśmiechnął się.

– Czy wyraziłem się jasno? – warknął Jarnvig.

– Jesteś spięty. Za dużo stresu, jak sądzę. Weź tydzień wolnego. To rozkaz. Kiedy wrócisz, oczekuję, że przygotujesz następną zmianę równie silną i gotową jak ostatnią. Zajadę sprawdzić...

– Nie.

– Torsten. Czy mam ci to przeliterować? Czy naprawdę jesteś taki durny, żeby nie zrozumieć sugestii?

Arild poklepał się po kaburze, zapiął płaszcz, włożył skórzane rękawiczki, po czym spojrzał na pułkownika.

– Podpierdol mnie, a cię wypatroszę – rzekł po prostu. – Podpierdol mnie, a pożałujesz, że się w ogóle urodziłeś. I ty, i twoja żałosna rodzina.

Z jego kieszeni dobiegł dźwięk telefonu. Arild spojrzał na esemes i odłożył komórkę.

– A teraz musisz mi wybaczyć – powiedział. – Mam dotrzymać towarzystwa ciekawszym osobom.

\*

Nie znosiła, kiedy ludzie pili w pracy. Alkohol można było spożywać w wielu miejscach, a Politigården na pewno do nich nie należała.

Lund patrzyła, jak się zbierają, gdy sama siedziała przy biurku, które dzieliła ze Strangem. On z puszką coli w ręku przesuwiał się od jednego policjanta do drugiego, cały w uśmiechach. Brix był dowódcą, ostatecznie udowodnił, że ma rację, i teraz stał ze szklanką whisky w ręku, jakby ostentacyjnie. Ruth Hedeby spijała każde słowo z jego ust, chociaż jej starszy wiekiem mąż stał samotnie, znudzony i milczący, po drugiej stronie sali, obok jednego z młodszych detektywów, który był zbyt niezręczny i zbyt nieśmiały, żeby się z nim bliżej zapoznać.

Patrzyła na Brixa opowiadającego dowcipy, na rozchichotaną Hedeby popijającą wino z kieliszka. Jej błyszczące oczy ani na chwilę nie odrywały się od jego wyrazistej twarzy. Między tą dwójką coś było. Lund to po prostu wiedziała.

Strange spojrział na nią, uśmiechnął się szeroko, a jego twarz, kiedyś pełna bólu i niepewności, teraz wydawała się szczęśliwa, zadowolona.

– Chodź – powiedział bezgłośnie, machając na nią ręką.

Uśmiechnęła się.

– Za chwilę – odparła.

Po czym napiła się piwa z butelki, którą wcisnął jej Brix, i odwróciła się plecami do nich wszystkich.

Zdjęcia zamordowanych wciąż wisiały na ścianie. Anne Dragsholm i Lisbeth Thomsen. Myg Poulsen, David Grüner i Gunnar Torpe.

Jeszcze nie trafiło tu zdjęcie Saida Bilala, rozerwanego na kawałki w podziemnym labiryncie pod Hillerød. Ani zdjęcia afgańskiej rodziny wymordowanej przed dwoma laty we własnym domu. Nigdy nie dostąpią tego wątpliwego zaszczytu. A wkrótce reszta też zniknie.

Sprawa zamknięta.

Podszedł do niej Madsen.

– Musimy zabrać akta. Brix mówi, żeby je zanieść do archiwum przed północą.

– Jasne – odparła ze wzruszeniem ramion. – Czemu nie?

Madsen dał znak mundurowemu, a ten podszedł po kartony.

– Czy ktoś się skontaktował z Frederikiem Holstem, tak jak prosiłam?

Madsen spojrzał wzrokiem winowajcy. Miły, cichy, porządny, nieambitny człowiek, pomyślała. Taki, który zawsze robi to, co mu się każe.

– Ktoś dał mu twój numer i poprosił, żeby oddzwonił. Nie było czasu go ścigać. Przepraszam. Chcesz, żebym...?

– Nie.

O jeszcze jedną rzecz poprosiła i właśnie ją dostała. Dwie karki papieru z archiwum, z akt tak starych, że nawet nie rozpoznała stempla Politigården. Czytała je, gdy Madsen z mundurowym krążyli z pudłami.

Gdy przyszli po ostatnią porcję, zatrzymała go.

– Byłeś przy przeszukaniu koszar kilka dni temu, prawda?

– Tak. – Madsen się roześmiał. – Nieźle było. Ci to muszą nas kochać.

– Dlaczego wtedy nie znaleźliśmy niczego w szafce Søgaardar?

– Bo niczego nie było. Sprawdzaliśmy. Bilal musiał te rzeczy ukryć później, kiedy poczuł, że pali mu się grunt pod nogami.

Te stare akta pochodziły z 1945 roku. Nie mogła sobie wyobrazić ówczesnej Kopenhagi. Ani Politigården, która z trudem staje się na powrót duńska, wolna, po tym jak stanowiła część nazistowskiej maszyny.

– Czyli wszystko przeszukaliśmy?

– Właśnie tak! Idziesz z nami pić czy nie?



– Idę, idę. – Patrzyła, jak Madsen zapełnia dwa pozostałe kartony. Czas się kończył. – Dowiedzieliśmy się w końcu, jak Dragsholm znalazła tego oficera? No wiesz – starała się nie mówić z sarkazmem – tego, którego wojsko ścigało.

– Nie. – Madsen się skrzywił. – Przejrzałem akta sprawy. To była jakaś wariatka. Widać to po jej sposobie pisania. My wszyscy jesteśmy łajdakami. Spotykała się z żołnierzami. Z innymi prawnikami. No i z nami.

Lund wytrzeszczyła na niego oczy.

– Z nami? Tutaj?

– Nie. Miała tylko jedno spotkanie – poprawił się. – W dzienniku zanotowała, że rozmawiała w sądzie z jakimś oficerem.

– Tak się z nami skontaktowała? – spytała bardzo ostrożnie. – Że podeszła do kogoś, kogo spotkała w sądzie?

Temat zaczynał go nudzić.

– To tylko zdanie w jej dzienniku, Lund. Sprawdziłem to. Nic nie potwierdza tej wersji. Nigdy tu nie dzwoniła, to pewne.

– Ale musiała. Kiedy badała sprawę...

– Nie – powiedział stanowczo. – Wynajęła prywatnych detektywów. Poza tym... – Wzruszył ramionami, zerknął zazdrośnie na tłum za drzwiami. – Co mogliśmy jej powiedzieć? Dopóki ty się nie pojawiłaś, nie mieliśmy pojęcia, że w Afganistanie naprawdę coś się stało.

Został jeden karton. Lund stwierdziła, że trzyma na nim rękę.

– Mogę to wziąć? A potem przyniosę ci piwo.

Oddała mu czarne pudło.

– Kto dowodził przy pierwszym przeszukaniu w Ryvangen? Zaglądał do szafek i do całej reszty?

– Kurczę, nie pamiętam! Wszyscy pracowaliśmy dniem i nocą. Ty się chociaż przejechałaś do Afganistanu i z powrotem. Chodźmy... – wykonał wymowny gest – no wiesz, gul gul.

– Ulrik Strange?

Wolną ręką sięgnął po pudło.

– Zgadza się! Strange. A co?

Lund myślała. On pociągnął za karton.

– Mogę?

– Proszę – powiedziała i odprowadziła go wzrokiem.

Numer do Holsta ciągle miała na podkładce. Siedząc samotnie przy biurku, wybrała go, połączyła się za pierwszym razem.

– Mówi Lund. Kiedy proszę, żeby pan do mnie oddzwonił, oczekuję, że pan to zrobi.

– Przepraszam – powiedział zjadliwy głos po drugiej stronie. – Ciągłe mi coś przeszkadza. Bomby. Kule. Ciała. Wie pani, jak to jest.

– Co się stało z nieśmiertelnikiem Møllera?

Cisza.

– To ważne, Holst. Co się stało z jego nieśmiertelnikiem?

– A jak pani sądzi? Zrobiłem to, co zawsze. Przełamałem go i wsadziłem oba kawałki do worka z ciałem. To ważne?

– Rodzice nigdy nie dostali nieśmiertelnika.

– Ja go tam wsadziłem, Lund! – krzyknął trzy tysiące mil dalej. – Jeśli nie dotarł do Kopenhagi, to znaczy, że ktoś go zabrał.

I zrobił nowy, który teraz leżał w torebce dowodowej, poplamiony dymem z pieca piekarza, kiedyś pełnego ludzkich kości.

– Mógł go ktoś zabrać w Afganistanie?

– O co chodzi?

– To pytanie. Czy ktoś go mógł zabrać, zanim ciało znalazło się w samolocie?

– W żadnym razie, Lund. Traktujemy naszych poległych z szacunkiem. Czasami z większym niż żywych. Gdyby ktoś został przyłapany na kradzieży nieśmiertelnika poległemu... Nawet sobie tego nie wyobrażam.

– Dziękuję – powiedziała.

Piwo się skończyło. Trzeba się było pointegrować.

\*

To musiał być Brix. Nikt inny tak naprawdę jej nie słuchał. On zresztą też nie zawsze.

Przechadzała się pośród morza ciał. Mundurowi spoceni po całym dniu pracy. Kobiety z Wydziału Kryminalistyki. Kilka osób z centrali. Robiło się z tego spore przyjęcie. Ktoś wepchnął jej w rękę kolejne piwo, a ona nawet nie zauważyła kto.

Jedna strona sali zaliczona. Już miała ruszyć w drugą stronę, kiedy zatrzymała ją czyjaś ręka.

Lund spojrzała. Pomalowane paznokcie. Staranny manikiur.

Ruth Hedeby uśmiechała się do niej chyba po raz pierwszy. W każdym razie Lund nie przypominała sobie innego razu. To był niepokojący widok.

– Góra chce, żebym ci to powiedziała, Lund: dobra robota.

Chciała ruszyć dalej. Hebeby miała inne plany.

– W końcu zamknęliśmy sprawę – stwierdziła, trzymając Lund za ramię. – Wielkie dzięki...

– Tak pani sądzi?

– Tak! – Lojalna kobieta. Można było na niej polegać. Pracuję. – Muszę przyznać... – Zatrzepotała rękami w udawanym ubolewaniu. – Miałam wątpliwości. Kiedy Lennart... kiedy Brix po panią posłał... Wydawało mi się to nierozważne.

Wyniosłe spojrzenie. Wino poszło jej do głowy.

– A kiedy panią poznałam, wydało mi się to jeszcze bardziej nierozważne – dodała. – Liczy się pierwsze wrażenie. Powinna pani o tym pamiętać.

– Liczy się to, żeby szukać tak długo, aż się dotrze do prawdy.

Hedeby bardzo chciała, żeby jej podziękowano. Chciała wziąć udział w tej chwale, która wisiała w powietrzu.

– Są spore szanse, że nie zostanie pani odesłana do Gedser.

– Lubię Gedser – skłamała Lund. – Dużo ptaków.

– Ptaków?

Lund machnęła ręką w stronę sufitu. Poćwierkała.

– Na niebie. Przepraszam bardzo...

Brix rozmawiał z krzepkim mężczyzną z góry. Jednym z tych w garniturach, co to biegają po budynku i nie kalają się kontaktem z szaraczkami.

– Możemy porozmawiać? – spytała Lund, przerywając im rozmowę.

Garnitur zamilkł, spojrział na nią groźnie i odszedł. Brix wyglądał... na rozczarowanego. Znowu.

– O co chodzi?

– Tego dnia, gdy Strange pojechał do ośrodka dla uchodźców w Helsingør... Kiedy ja goniłam mordercę Gunnara Torpego... Ktoś sprawdził jego alibi?

– Tak – odrzekł zbolalym głosem.

– Był z innym oficerem?

– Nie. Rozdzielili się wcześniej. O co chodzi?

Rozejrzała się po zatłoczonej sali.

– Gdzie on zniknął?

– Pracuje – odparł Brix ze wzruszeniem ramion. – Nie wiem czemu. Mogłem znaleźć kogoś innego.

– Do czego?

– Do odwiezienia Rabena do Horserød. Są na dole w garażu.

Horserød. Obraz w głowie. Nieporadne rysunki w muzeum. Smutne postaci, głodujące, wędrujące przez śnieg. Lund mimowolnie rozglądała się po sali, zastanawiając się, jak tu wtedy wyglądało.

– Byłeś kiedyś we Frihedsmuseet? – spytała Lund i patrzyła, jak przystojna twarz Brixa krzywi się w zdumieniu. – Niemcy w piwnicach torturowali ludzi. – Wzruszyła ramionami. – W tym kilku duńskich policjantów. Potem zabrali ich do Mindelunden i te słupy...

– Znam tę historię, dziękuję – przerwał jej. – Nie teraz, Lund. Napij się. Spróbuj... Nie wiem. Wyluzuj trochę. Jeśli możesz.

– Lennart! – zawołał radosny głos za jej ramieniem. Hedeby cała w uśmiechach. – Musisz się przywitać z moim mężem. – Rozpromieniła się do nich obojga. – Bardzo chce cię poznać.

– No ja myślę – mruknęła Lund, po czym ruszyła przez morze ciał w stronę szafek.

\*

Zeszła na dół. Białe policyjne motory, granatowe radiowozy. Gąszcz rozchodzących się stąd pokojów i korytarzy. Nigdy wcześniej o tym nie myślała, ale teraz wydawało jej się to oczywiste. Ten podziemny labirynt był większy niż rozległa Politigården, wdzierał się tunelami pod miasto, pod sąsiednie budynki.

Siedemdziesiąt lat temu nikt nie słyszał krzyków. Ale na pewno wiadano, że ci ludzie tu są.

Wychudzone, zagłodzone postaci w Horserød. Upiorne głosy na zakurzone, cuchnącym parkingu. Przeszłość nie umarła. Trwa.

Lund szła, aż usłyszała głosy. Strange obok swojego czarnego forda. Mundurowy pomagał Rabenowi wsiąść na tył. Mimowolnie pchał jego głowę w dół. Nawyki...

– Jesteś wolny – powiedział Strange. – Ja się tym zajmę. Wypij za moje zdrowie.

Przyglądała się, ukryta w cieniu. Mundurowy podrapał się po głowie.

– Na pewno? Powinno być nas dwóch.

Strange się roześmiał.

– Jedno ramię ma na temblaku, a za tydzień czy dwa i tak będzie wolny jak ptak. Nie sądzę, żeby nam robił jeszcze jakieś kłopoty. – Walnął mocno w dach samochodu, ciągle uśmiechając się do policjanta. – Prawda?

Ze środka nikt nie odpowiedział.

– Zostaw mi piwo! – krzyknął Strange do mundurowego. – Wrócę za jakąś godzinę.

– Nie ma mowy – roześmiał się policjant. – Niech każdy sam dba o siebie.

Strange uśmiechnął się szeroko i odprowadził go wzrokiem. Wyglądał na zaskoczonego, gdy z ciemności wyłoniła się Lund.

– Jadę z tobą – oznajmiła.

Długa chwila ciszy.

– Dlaczego?

– Bo tak. – Wyciągnęła rękę. – Musimy pogadać. Ja chcę prowadzić.

– O co chodzi, Lund? Ominie cię impreza.

– Nie mam nastroju. Daj mi kluczyki.

Burknął coś, rzucił jej kluczyki, wsiadł na siedzenie pasażera. Lund zajęła miejsce za kierownicą i spojrzała we wsteczne lusterko. Raben obserwował każdy ich ruch. Miał zapięty pas. Wzmocnione drzwi były zablokowane. Nigdzie się nie wybierał.

– Co jest? – spytał Strange.

– Horserød – odparła.

– To w głębi lądu, niedaleko Helsingør.

– Wiem, gdzie jadę, dzięki.

Pokonała rampę i wyjechała na zatłoczone wieczorne ulice, ciesząc się, że się wyrwała.

\*

Po pięciu minutach Strange zrobił się niespokojny.

– Śledzi nas jakiś samochód – powiedział, gdy próbowali wydostać się z centrum.

– Jak samochód?

– Za nami. Śledzi nas.

Raben cały czas nie odzywał się ani słowem.

– Masz paranoję. Jest duży ruch. Wszyscy się śledzą.

– Tak, jasne. – Zerknął na deskę rozdzielczą. – Może włączę muzykę?

Nie czekał na odpowiedź. Radio było nastawione na stację z muzyką klasyczną. Opera. Wybór należał do niego. To był jego samochód. Nie był zwyczajnym policjantem.

Słuchała przez dwadzieścia minut, po czym wyłączyła muzykę.

– O czym więc chcesz pogadać? – spytał.

– Zaraz przejdę do tego.

Znajdowali się niedaleko dworca Øresund.

– A dlaczego jedziemy dokoła?

Zerknęła na niego.

– Chcę ci coś pokazać.

Przejechała jeszcze kawałek i skręciła.

– Daj spokój – powiedział Strange. – Do Horserød jedzie się prosto.

– To nie potrwa długo.

Byli blisko Ryvangen. Przypomniał się jej kolejny kawałek historii widzianej w muzeum. Armia duńska długo korzystała z koszar, nim naziści uczynili z nich swoją bazę. Strzelnica w Mindelunden najpierw służyła żołnierzom, potem Niemcy mordowali tu patriotów. Tylko tory kolejowe oddzielały teraz koszary od miejsca pamięci, którym stało się Mindelunden. Wkrótce dotarli do parku i skręcili w ślepią uliczkę ciągnącą się wzdłuż szeregu grobów, posągu matki z zabitym synem, trzech słupów na strzelnicy.

– Co się, do cholery, dzieje? – spytał Raben zaniepokojony. – Żona na mnie czeka. Syn...

– Siedź spokojnie – rozkazała Lund, po czym wjechała na pusty parking, wyłączyła silnik, wysiadła i stanęła pod nagimi zimowymi drzewami.

\*

Jasna noc. Półksiężyc. Na ziemi tworzył się szron. Panowała tu cisza, chociaż dalej za Parkiem Pamięci Lund widziała światła niskich drewnianych budynków niedalekiej szkoły.

Strange wysiadł z wozu. Lund zamknęła go pilotem. Strange stanął obok niej.



– Coś się dzieje – powiedziała. – Chodzi o Brixa. Wydaje mi się, że on kogoś kryje.

Pod lekką marynarką miał niebieską poliestrową kamizelkę. Pewnie było mu zimno. W każdym razie nie był zadowolony.

– Brix? – Pokręcił głową.

Przejechał pociąg, głośna metaliczna błyskawica tocząca się przez noc.

– Musisz coś zobaczyć – powiedziała, gdy z powrotem zapadła cisza. Pchnęła drewniane drzwi, boczne wejście do Mindelunden.

– Cholera jasna, Lund – jęknął Strange. – Mamy odwieźć więźnia do Horserød. O co ci chodzi?

Minęli długie listy nazwisk, minęli groby i zamarłą matkę z synem.

Księżyc świecił zadziwiająco jasno. Przed jego promieniami nic się nie mogło ukryć.

– Chociaż z rozkoszą pobyłbym z tobą sam na sam – ciągnął, podążając za nią – to tutaj nie jest zbyt miło. Nie możemy skoczyć na jakąś pizzę i piwo? Kiedy już odstawimy naszego kolegę.

– To miejsce pamięci duńskiego Ruchu Oporu.

Miejsce, w którym wszystko się zaczęło, gdy ona jeszcze tropiła przemytników narkotyków i imigrantów w Gedser.

– Wiem.

Odgłos jej kroków, silnych i stanowczych, niósł się po ścieżce.

– To byli bohaterowie wojenni. Said Bilal też uważał się za patriotę. Wielbił takich jak oni.

Dogonił ją i spojrzał jej w twarz.

– Szkoda, że nie możemy go o to spytać, prawda?

– Bilal nigdy by nie zostawił w takim miejscu Anne Dragsholm. Na cmentarzu męczenników? Ona była *stikke*, prawda? Zdrajcą. Renegatem.

Kimś, kto chciał wciągnąć armię... całą Danię do rynsztoka.

Pomachał rękoma przed sobą.

– Nie chcę się powtarzać, ale... nie możemy go o to spytać.

Lund szła dalej.

– Bilal usunął logi. Pomógł zatuszować to, co się wydarzyło w Helmand. Ale nie zabił jej. Ani pozostałych.

Stanął, z rękoma w kieszeniach, ze znudzoną miną.

– To dlaczego porwał żonę Rabena?

Potrząsnęła głową.

– Boże, jaki ty jesteś czasami tępy. Chciał, żeby armia przyszła go uratować, bo ktoś próbował na niego zważyć odpowiedzialność za czyny, których nie popełnił. Ale się przeliczył...

Lund odwróciła się i popatrzyła na drzewa i blade pomniki.

– Oni zostali zamordowani przez osobę, dla której to miejsce miało inne znaczenie.

– Co to wszystko ma wspólnego z Brixem?

Zbliżali się do terenu dawnej strzelnicy z trzema uświęconymi słupami.

Szła i szła, i w ogóle na niego nie patrzyła.

– Brix osłania prawdziwego zabójcę.

Wyglądały jak skurczone totemy. Albo relikty z zaginionego Stonehenge. Część rytuału, ceremonii, która została zapomniana, a nawet ci, którzy ją pamiętali, nie do końca rozumieli.

– Stań tutaj – powiedziała, wskazując mu miejsce pod środkowym palem.

– Co...?

– Dragsholm się bała. Wiedziała, że ktoś po nią przyjdzie. Zainstalowała w domu mnóstwo alarmów. Zamówiła czujniki do

ogrodu. Wynajęła ochronę.

Tu pod nisko wiszącymi gałęziami było za ciemno. Potrzebowała światła księżyca.

– Chodź – rozkazała i weszli na szaniec za słupami. Tu miały trafić zbłąkane kule, które nie sięgnęły celu.

Stanąła na górze, trochę zdyszana, rozejrzała się.

Zatrzymała wzrok na jego spokojnej twarzy oświetlonej przez księżyc.

– Ale nie poszła na policję. Ani razu. Myślała, że ktoś chce ją zabić. I ani razu do nas nie zadzwoniła.

Strange wzruszył ramionami.

– Może nie była pewna.

– Była pewna.

– W takim...

– Znalazła go. Wiedziała, kim jest ten oficer. Ktoś z Dowództwa Operacyjnego rozmyślnie dał mu tożsamość Møllera. Podrobiono nawet nieśmiertelnik.

Strange objął się ramionami dla ochrony przed zimnem, milczał.

– Dragsholm wiedziała, że on pracuje w Politigården. Powiedziała o tym Monbergowi. A ten nic nie zrobił. Nie ma innego wyjaśnienia.

– Lund...

– Nic innego nie pasuje. A potem nagle znajdujemy te wszystkie obciążające dowody w Ryvangen. Chociaż przeszukaliśmy to miejsce kilka dni wcześniej. Nie rozumiesz?

Wpatrywał się w pokrytą szronem trawę i potrząsnął głową. Lund podeszła do niego i dotknęła jego marynarki.

– Ktoś je podłożył w czasie rewizji.

– Sam prowadziłem rewizję. Niczego nie podłożyłem.

– W takim razie... – wzruszyła ramionami – to musiał być ktoś z zespołu.

Sięgnął ręką do jej ramienia. Zajrzał jej w oczy. Zastanawiała się, jaki mają wyraz. Współczucia? Może nawet litości.

– To się właśnie wydarzyło ostatnim razem, prawda? Z Meyerem. Ty nie odpuszczisz, chociaż jest już po wszystkim.

– Wtedy nie było po wszystkim. I teraz też nie jest.

– Może nie jest. – Chwycił ją mocno. – Ale proszę, zostaw to. Na miłość boską...

Lund się odsunęła.

– Rozmawiałś o tym z Brixem? – spytał.

– Jeszcze nie. Myślisz, że mogę mu zaufać? On chce mnie odesłać do Gedser.

– Możemy temu zapobiec! Porozmawiajmy z nim. My oboje. Nie wrócisz do Gedser. Ale...

Opuścił swoją siwiejącą głowę, jego oczy wwierciły się w jej źrenice.

– Nie możesz bez końca mącić. Odwozimy Rabena. Wracamy na imprezę. Mamy kilka piw. A jutro... – Przypomniała sobie, jak ją prawie pocałował. Teraz też tak wyglądał. Na młodego i wrażliwego. – Jutro podejmiesz decyzję. W każdej sprawie.

– Jutro – szepnęła.

– Dasz mi kluczyki? Mogę prowadzić?

Obejrzała się na groby i tablice pamiątkowe z ich nieskończoną listą nazwisk.

– Nie znalazłam twojego dziadka na murze.

Strange zmrużył oczy. Przesunął stopy.

– Nie znalazłam też jego nazwiska na podwórku pamięci w Politigården – dodała. – A to dziwne. Jest tam każdy policjant zabity

przez nazistów. Każdy, którego wywieziono do obozu koncentracyjnego.

Spojrzała mu w twarz.

– O co chodzi?

Zero słów. Jego oczy się zmieniły. Teraz były takie jak w Helmand. W tym momencie stał z nią inny Ulrik Strange.

– Nie pytałam z ciekawości – dodała. – Znam odpowiedź. Po prostu chcę ją usłyszeć od ciebie.

\*

Buch nie pojmował, dlaczego wciąż ma ministerialny samochód. Niemniej jednak gdy wyszedł z domu Plougha, okazało się, że wózek czeka na niego. Z tyłu siedziała Karina, z założonymi rękoma i wściekłą miną.

– Może powinniśmy wziąć taksówkę – powiedział, wsadzając głowę do środka.

– Czemu?

Nie miała dobrego nastroju. To było oczywiste.

Bo samochód należał do nich, pomyślał. Jak wszystko inne. Mogli mieć podsłuch w dachu. Coś, co przekazywało każde słowo Bucha do srebrnowłosego mężczyzny, ojca narodu, usadowionego w gabinecie starego króla nad błotnistym placem jeździeckim, po którym krążyły konie. Tak jak on. Idąc donikąd.

– Wsiadaj po prostu, dobra? – powiedziała.

Wsiadł i przez dziesięć minut się nie odzywał, zamyślony, gdy jechali powoli przez nocne ulice. Potem przekazał jej słowa Plougha.

– To nie może być prawda – krzyknęła. – Znasz Plougha. On nie dopuściłby się żadnego przecieku. Geny by mu na to nie pozwoliły. Poza tym...

– Zrobił to, Karino.

– Byłam z nim codziennie.

– Zrobił to! Powiedział mi! – Dzielnice mieszkalne zostały daleko za nimi. Teraz jechali przez centrum. Światła, hałas, ludzie. Szara wyspa Slotsholmen, gdzie Absalon zbudował niegdyś swoją twierdzę i założył miasto o nazwie Kopenhaga, była coraz bliżej. – Jest z tego dumny.

– Na miłość boską, dlaczego?!

Była w tym jakaś logika. To Buch musiał przyznać.

– Ponieważ jedyne, o czym marzy, to zemsta. Jego zdaniem winę ponosi Rossing. Nie Grue Eriksen. Nie wielki starzec.

Zawyła z wściekłości.

– On nie jest głupcem, Thomasie! Musi wiedzieć coś, co obciąża premiera. Coś...

– Nie wie. – Posępny wzrok Bucha uciszył ją. – A nawet jeśli wie, to nie powie. Plough stanowi część systemu. Ten system go awansował. Uczynił go tym, kim jest. Bardzo ciężko przeżył naruszenie jego małej części. Prosić go, by podkopał całość...

Buch położył jej rękę na ramieniu, by na niego spojrziała.

– Naszym przeciwnikiem nie był Rossing. Ani Grue Eriksen. Na pewno nie Plough. Walczyliśmy...

Slotsholmen. Tam, przed nimi. Wszystkie te budynki, ministerstwa i parlament, mieszkanka urzędników, ogród z pomnikiem Kierkegaarda.

– Walczyliśmy z tym. – Buch ruchem ręki wskazał szare kształty przed nimi. – Plough uważa, że postąpił właściwie. Był lojalny. W pierwszej kolejności wobec systemu. W ostatniej wobec syna. – Zerknął na nią. – A kim my byliśmy?

Ona była bystrą, ambitną, niebezpieczną młodą kobietą, pomyślał. Od kilku dni nie rozmawiał swobodnie z żoną. Jakaś jego część, część,

której nienawidził, patrzyła na Karinę, myślała o Monbergu i zastanawiała się...

– Thomas – powiedziała Karina bardzo powoli. – Wiemy na pewno, że premier był zamieszany w spisek, w wyniku którego zamordowano ludzi. Zamordowano ich!

– To prawda – przyznał, gdy długi czarny samochód zajechał pod wejście do ministerstwa.

– Nie możemy pozwolić, by się z tego wykręcił. Jak mógłbyś spojrzeć w lustro? – Dotknęła go ręką, miękką, delikatną i ciepłą. – Znam cię na tyle...

Buch zabrał palce, spojrzął na drzwi, przez które już nigdy nie przejdzie jako minister.

Lubił tę pracę. Był w niej dobry.

– Nie obchodzi mnie moja kariera – wyszeptała, patrząc na niego, na każdą minę jego brodatej twarzy z wielkim podbródkiem.

Samochód się zatrzymał. Kierowca czekał na polecenia.

– Nie poddam się! – powiedział za szybko. – Wierz mi.

– Dobrze. – Poklepała go po kolanie. – To co robimy?

Buch wysiadł. Noc była zimna, ale nie padało, a splecione smoki, z którymi nauczył się żyć, wyglądały, jakby tańczyły na tle najjaśniejszego księżyca, jaki widział w ostatnich tygodniach.

Podszedł do wejścia, otworzył przed nią drzwi.

– Co teraz robi Grue Eriksen? – spytał.

– Rozmawia z ludźmi o przetasowaniach. Masz tam być. Żeby odebrać nagrodę za zamknięcie ust.

– Jak szybko dałabyś radę zwołać konferencję prasową?

– Gdybym miała jakąś dobrą przynętę... za pół godziny.

– Więc zrób to, proszę – powiedział, po czym skręcił w prawo, by podjąć długi marsz przez wewnętrzny labirynt Slotsholmen, w prawo, w lewo, w górę, w dół, aż znalazł się w pałacu Christiansborg. Tam popytał. Znalazł właściwe pomieszczenie.

Premier był sam. Nieco przygarbiony, plecy zaokrąglone, choć i wcześniej Buch coś takiego zauważył. Twarz tak znajoma, że większość Duńczyków sądziła, że towarzyszyła im całe życie. Dobroduszny. Niezawodny. Pobłażliwy. Człowiek, na którym można polegać.

Gert Grue Eriksen uśmiechnął się na jego widok.

– Witaj, Thomasie. – Wskazał krzesła wokół stołu. – Zajmie pan któreś? Musimy naprawić stosunki, nieprawdaż? Chcę dopiąć dziś przetasowania. – Wyciągnięta ręka, Buch bez namysłu podał swoją. – Cieszę się, że najpierw możemy sobie porozmawiać. Te problemy z PET...

Premier zmarszczył czoło.

– Obawiam się, że ci oficerowie przesadzili z zapałem do pracy. Chyba uznali pana za winnego dymisji Königa. A to niesłusznie. Teraz już mają tę świadomość.

Nie wiedzieć czemu po tym uścisku dłoni Buch wpatrzył się w swoją rękę. Spocona, brzydka, grube palce poznaczone bliznami z pierwszych lat na gospodarstwie. Ręka robotnika, nie polityka. Takie ręce mieli ostrożni, zwyczajni ludzie, którzy nie podawali dłoni nikomu, dopóki mu się uważnie nie przyjrzeni.

– Jestem ci winien wyjaśnienie – powiedział Grue Eriksen, gdy Buch usiadł.

\*

– Dlaczego ty nie możesz odpuścić?



Strange stanął przed nią, znowu wyglądał tak jak w Helmand. Żołnierz wykonujący swą powinność. Wyzbyty emocji. Gotujący się do służby. Do walki. Do gniewu.

– Nie mogę odpuścić, dopóki nie skończę sprawy.

– Niektóre sprawy nigdy się nie kończą, Sarah. Lepiej odejść.

– Twój dziadek nie był bohaterem. Był zdrajcą. *Stikke*. Pracował dla nazistów. Torturował patriotów w podziemiach Politigården. Przywoził ich tu, żeby zginęli przywiązani do tych słupów, rozstrzelani.

Strange skrzyżował ramiona na piersi i kiwnął głową.

– Aż pewnego dnia – ciągnęła Lund – grupa bojowników Ruchu Oporu o nazwie Holger Danske dopadła go przed Dworcem Głównym. Zastrzelili go na ulicy.

Nie ruszał się, nic nie mówił.

– To wszystko jest w archiwach Politigården – ciągnęła. – Nie we Frihedsmuseet. Sprawdziłam. Wyobrażam więc sobie...

Myśl. Wyobrażaj sobie. W tym była dobra.

– Wyobrażam sobie, jak pewnego dnia młody absolwent szkoły policyjnej przychodzi na staż. Myśli, że jego nieżyjący dziadek był bohaterem. Bo tak mu powiedział ojciec. Postanawia więc sam zajrzeć do archiwów. – Przysunęła się do niego, starając się patrzeć mu w oczy. – A kiedy poznaje prawdę, idzie do domu i robi to, co zrobiłoby każde dziecko. Wyrzuca ją z siebie.

– Ty nie jesteś normalna – mruknął Strange.

– To nie o mnie. O tobie. Ty taki jesteś.

Oczy w końcu drgnęły. Patrzyły na nią zimno.

– To już nie boli, wybacz.

– Czy twój ojciec też okłamywał siebie? Czy udawał...? – spytała.

– Wszyscy pragniemy bohaterów. Tylko nie chcemy myśleć o kosztach.

– I wtedy uciekłeś do wojska. Boże... – Pokręciła głową. – Ależ musieli cię tam pokochać. To całe odziedziczone poczucie winy. Ktoś, kto musi coś udowodnić. Żołnierz z rodziny wojskowej, a z taką tajemnicą na sumieniu. Kiedy przywlokłeś tu Dragsholm, czy to się wyrównało? Zdrajca za zdrajcę? Jak się czułeś, kiedy powiedzieli, że to nie wystarczy?

Nic.

Lund wróciła na szaniec. On przemknął za nią.

– Daj spokój, Strange. Sam to powiedziałaś. Jesteś zwykłym żołnierzem. Nie dowódcą. Ktoś cię do tego namówił. Ktoś dał ci kod do magazynu amunicji w Ryvangen. Załatwił podrobienie nieśmiertelnika. Kazał ci zabić tych ludzi w sposób tak potworny, byśmy myśleli, że zamordowała ich banda terrorystów...

– Dość.

– Ta część ci się nie podobała, co? – ciągnęła. – Torturowanie Anne Dragsholm. Pocięcie na strzępy Myga Poulsena i pastora. Zamykanie człowieka na wózku w jego...

– Daj sobie, kurwa, choć raz spokój! – wrzasnął wściekły.

Lund zamilkła. Przestraszyła się. Jego. Ale bardziej swojej rosnącej furii.

Powoli, jak kot zakradający się po łup, zbliżył się do niej, obszedł ją raz, wrócił i spojrzał jej w twarz.

– Ty masz coś z głową – powiedział.

Nawet nie mrugnęła okiem. Nie mogłaby, choćby chciała.

– I o to właśnie chodzi. Dlaczego się na to zgodziłeś?

Podniósł rękę, dotknął jej policzka, przesunął palec po suchych ustach, musnął delikatną linię szyi. Cofnął rękę.

– Dlaczego? – spytała znowu.

– Bo niektóre rzeczy wracają i nie dają spokoju. – Spojrzał na słupy, na szaniec za nimi. Głos mu złagodniał. Jakby mówił ktoś młodszy. – Tak się stało w sądzie zeszłego lata. Było gorąco. – Wzruszył ramionami. – Miałem koszulę z krótkimi rękawami. Ta Dragsholm podeszła i chciała ze mną rozmawiać o Helmand. Nagle zobaczyła tatuaż. Te wszystkie pytania. Musiała spojrzeć mi w twarz i...

Kiwnął głową.

– Ona była jak ty. Nie zamierzała się poddać. Wiedziała. I ja wiedziałem. Wszyscy myśleliśmy, że tamten koszmar odszedł do przeszłości. Ale...

Lund wyjęła telefon.

– Musisz się przyznać. Dzwonię do Brixa...

Wyrwał jej komórkę, rzucił ją na trawę w dole.

– Nie wiesz, co się stało! Nawet sobie nie myśl, że wiesz!

– Wiem, że zamordowano pięć osób. To na razie wystarczy. Wiem, że nie zrobiłeś tego sam. Ktoś cię nakłonił...

– Ty, kurwa, zupełnie nic nie rozumiesz!

– Powiedz prawdę, Strange – mówiła spokojnie. – Czy to takie trudne?

– Powiedziałem kiedyś prawdę swojemu ojcu. Nie chciał słuchać. Zobacz, dokąd mnie to zaprowadziło...

– Pięć osób nie żyje.

– Każda z nich była zdrajcą!

Hałas, jakiś krzyk, wrzask rozległ się w małym zagajniku Mindelunden. Przez chwilę nie mogła myśleć. Nawet gdy zobaczyła pistolet przystawiony do klatki piersiowej.

– Nie strzelisz mi w głowę? – spytała, patrząc mu w oczy. – Czyż nie tak cię uczyli?

Żadnego ruchu. Żadnego drgnienia na jego twarzy.

– Nie mogłeś mnie zabić wcześniej. Nie zrobisz tego również teraz.

Odsunęła się od niego, odwróciła. Wiedziała, że on się nie rusza. Rozglądała się po trawie, szukając błysku ekranu. Znalazła telefon, podniosła go. Ruszyła w stronę trzech słupów.

Nie słyszała za plecami żadnego dźwięku. Przyłożyła telefon do ucha.

Zerknęła na koniec niewielkiej otwartej przestrzeni w gaju Mindelunden.

Dostrzegła tam inną postać, tam gdzie kiedyś mógł stać strzelec. Rozpoznała pozycję. Nogi rozsunęte, ramiona wyciągnięte, broń trzymana oburącz.

Lund słuchała operatora centrali, gdy to się stało. Najpierw żółty błysk ognia, a potem dźwięk.

Za jej plecami rozległ się okrzyk bólu. Odwróciła się.

Ulrik Strange klęczał. Przyciskał ręce do klatki piersiowej. Z ust tryskała mu krew.

Kolejna eksplozja. Szarpnął się do tyłu tak silnie, jakby był lalką, której sznurki ktoś gwałtownie poderwał.

Telefon wypadł jej z ręki.

Obróciła się na pięcie.

Jeden błysk i kula dosięgła ją z takim impetem, że zatoczyła się do tyłu, padła na coś, co mogło być tylko pierwszym słupem, i tam znieruchomiała jak tarcza na strzelnicy, w srebrnym księżycowym świetle.

Walczyła o oddech. I próbowała myśleć.

Potem kolejny bezlitosny wybuch, uderzenie, po którym obróciła się wokół własnej osi, przyciskając ręce do piersi, i padła na gęstą zimną trawę, w ciemności, w zapach błota i śmierci.

\*

– Nie. – Buch gniewnie pokręcił głową. – Nie chcę tego słuchać. Mam tego dość. Może pan sobie zatrzymać te wszystkie ministerialne stołki. Te swoje łapówki.

Oczy Grue Eriksena rejestrowały informacje.

– Wiem, że Plough dał panu amunicję, by zrzucić wszystko na Rossinga. Jeszcze jedna marionetka do manipulowania, co?

Najsłabszy, a najbardziej polityczny z galerii uśmiechów Grue Eriksena. Podeszedł do drzwi, zamknął je, sprawdził, czy na pewno są sami.

– Myśli pan, że się z tego wykręci?! – krzyczał Buch. – Tego pan nie zatuszuje. Zwołuję konferencję prasową. Powiem im wszystko. Potem powiem to parlamentowi i PET. Każdemu, kto będzie chciał słuchać.

– Thomasie...

Grue Eriksen wsadził ręce do kieszeni spodni, ewidentnie zirytowany.

– Mam dokumenty – ciągnął Buch. – Wszystkim je pokażę. Może mnie pan zamknąć za złamanie Ustawy o tajemnicy państwowej, proszę bardzo. Koniec nadchodzi.

– Proszę...

– Ukrywał pan morderstwo. Przez pana zginęli ludzie.

– Jestem przywódcą tego kraju. Mamy wojnę. Tę samą wojnę, w której zginął pański brat...

– Jeppe zginął w Iraku!

– To ta sama wojna – odparł Grue Eriksen spokojnie. – Tylko trwa i trwa.

Na chwilę Buchowi zabrakło słów.

– Niech mi pan nie wciska tego kitu – powiedział. – Nie... Ja wiem, że pan za tym stoi. Mogę to udowodnić.

Wstał, podszedł do drzwi.

– Naprawdę chce pan stąd wyjść, nie wiedząc dlaczego? – zawołał premier. – Jakoś mi trudno w to uwierzyć. Jest pan dociekliwy. Wszyscy się o tym przekonaliśmy...

Buch zatrzymał się z ręką na klamce.

– Tyle kłamstw mi już naopowiadano.

– To prawda – przyznał premier. – Większość ja sam. Wtedy wydawało mi się to właściwe. Może się myliłem. Ale...

Buch zaczął wychodzić.

– Nie tuszowaliśmy zabójstwa cywilów – powiedział Grue Eriksen głośno i pewnie. Na tyle, że Buch się zatrzymał. I odwrócił.

Premier patrzył groźnie, założył ramiona, przysiadł na polerowanym stole.

– Na wojnie czasami giną zwyczajni ludzie – powiedział smętnie. – To się zdarza. Niekiedy na skutek błędnego planu. Czasem przez przypadek. Ale koniec końców... ludzie wybaczą. Rozumieją.

– Więc co? – spytał Buch, ruszając do niego z powrotem.

– Problemem był oficer. Widzi pan... jego tam nie było.

– Znowu zagadki...

– No właśnie – przyznał Grue Eriksen. – Nic dodać, nic ująć. Myśli pan, że siedzę przy swoim biurku i tylko patrzę, jak cały świat paraduje przede mną? Że mówię tylko „tak” lub „nie”? Nawet w odniesieniu do spraw wewnętrznych w najlepszym wypadku czuwam z daleka,

przekazując zadania takim świetnym ludziom jak pan. Tak jak pan przekazuje je innym...

– Niech mi pan nie schlebia.

– Nie schlebiam. Tego oficera tam nie było. Wypełniał tajną misję. Na którą nie mieliśmy zgody Komitetu Bezpieczeństwa.

Palec Bucha powędrował w górę.

– Musi pan mieć taką zgodę. Tego wymaga prawo.

– Prawo wymaga – przyznał Grue Eriksen. – Niech pan to powie naszym żołnierzom w Helmand. Wyobraźmy sobie taką sytuację... wiadomo, że pewien pomniejszy lokalny przywódca finansuje talibów. Dostarcza im informacje, broń, pieniądze. – Spojrzał w sufit, jakby to wszystko wymyślał. – Wyobraźmy sobie, że dostajemy cynk, że on ma uciec. Wie, że jesteśmy na jego tropie, rozumie pan. Nasze służby mają dzień, najwyżej dwa, żeby się tam dostać. Przesłuchać go. Zabrać go do aresztu. No i?

– No i?

– Kiedy zgłasza się do mnie Dowództwo Operacyjne, co mam powiedzieć? Żeby zaczekali, aż wszyscy posprawdzamy terminarze, odbędziemy uzgodnione spotkania komitetów, randki, wieczory w operze? W wypadku Monberga spotkania z różnymi kochankami? Mam powiedzieć tym dzielnym ludziom walczącym w beznadziejnej wojnie na okrutnej dalekiej ziemi: zaczekajcie z tydzień, a wtedy może wam coś odpowiem?

Buch milczał.

– Co pan by zrobił, Thomasie? Każda moja decyzja w tajnej sprawie następnego dnia jest znana na ulicach Kabulu. To panu gwarantuję.

– Wiedział pan cały czas, kim jest ten oficer.

– Nie. Nie wiedziałem i nie wiem. Czy pan mnie w ogóle słucha? Nie chcę wiedzieć. Nie pytałem. Rozumiałem jedynie, że muszę podjąć

decyzję. Brakowało nam pieniędzy. Brakowało nam żołnierzy.

– Mógł pan coś zrobić, żeby to powstrzymać. Kiedy zamordowano Anne Dragsholm...

– To jest prawdziwy świat! – warknął Grue Eriksen. – Nie taki, jak nam się podoba. Dania prowadzi wojnę i ją przegrywa. Talibowie są coraz silniejsi. Wykorzystują każdą naszą słabość. Gdybyśmy podali im aferę na talerzu... Jak pan myśli, co by zrobili? Siedliby wokół stołu i poszukaliby rozwiązania? Jak pan myśli, jak się czują rodzice żołnierzy wracających do domu w trumnach? Czy oni by panu podziękowali? Czy mnie?

Odsunął krzesło od stołu, usiadł, na chwilę oparł głowę na dłoniach. Przez moment wyglądał staro, jakby był bardzo zmęczony, ale zaraz powrócił polityk.

– Kiedy zostałem ministrem, byłem taki jak pan. Gorliwy. Zdecydowany robić same właściwe rzeczy. Dopilnować, by sprawiedliwości stawało się zadość. Ale na mi... – Jego zaciśnięta pięść walnęła w polerowane drewno. – Nic nie jest takie proste. Żyjemy w niebezpiecznym, podzielonym świecie. Jeśli pan tu trochę posłuży, sam się pan przekona. Pewnego dnia ktoś panu powie, że za rogiem dzieje się coś złego. Tak złego, że nie będzie pan chciał o tym słuchać.

Rozłożył dłonie.

– I co pan wówczas zrobi? Poprosi pan o raport i o przedstawienie innych możliwości. A oni powiedzą... – Grue Eriksen zamknął na chwilę oczy – powiedzą, że lepiej, żeby pan o tym nie wiedział. Tak jak kiedyś powiedzieli mnie...

Buch przypomniał sobie, jak wypowiadał dokładnie te same słowa. Chyba całe wieki temu.

– Jeśli my nie weźmiemy na siebie tej odpowiedzialności – odezwał się Buch – to kto?



– Wszyscy – odpowiedział Grue Eriksen cichym, załamany głosem.  
– Nikt. Pan. – Krótki, smutny śmiech. – Ja, kiedy do późnej nocy nie mogę zasnąć. Sumienie to coś wspaniałego. Zwłaszcza pańskie. – Chwytał Bucha za ramię. – Potrzebujemy go tutaj. Musi nam przypominać, żebyśmy się nie posunęli za daleko...

– Zginęli ludzie!

– Wiem. I czasami trzeba powiedzieć temu prawemu, dokuczliwemu sumieniu, by się zamknęło. Żeby zapomniało o demokracji, by walczyć o demokrację. – Ręka na ramieniu Bucha zacisnęła się mocniej. – Myślałem, że akurat pan to zrozumie. Gdyby był tu dzisiaj z nami pański brat...

– Niech mi pan nie wyjeżdża z umarłymi! – krzyknął Buch. – Już i tak mam ich dużo w głowie.

– Ja mam więcej – powiedział Grue Eriksen niemal szeptem. – I wszyscy znają mnie z nazwiska.

Rozejrzał się po sali.

– Gdy przekraczamy most na Slotsholmen, zawieramy pakt z diabłem. Pan dowiedział się o tym po trudnej lekcji. Potrzebuję pana, Thomasie. Potrzebuję pańskiej inteligencji, pańskiej niewinności. – Roześmiał się. – I pańskiej doprowadzającej do szału naiwności też.

Premier wstał, położył na ramieniu Bucha silną i pewną rękę.

– Jeśli popełnię błąd, musi mi pan o tym powiedzieć. Pomóc mi, bym rządził lepiej. Dopilnować...

– Pan chyba postradał zmysły. – Buch wyrwał się z uchwytu Grue Eriksena. – Kiedy powiem to wszystko Krabbemu i Birgitte Agger, będzie pan skończony. Do rana pana nie będzie.

– Ciągle nieprzekonany, co? – Grue Eriksen uśmiechnął się. – Ciągle pana wstrzymuje ten dziecięcy upór...

– Mam tego dość...

– Nie ma o czym mówić i nie ma komu słuchać. Ta tajemnica jest już znana. Proszę...

Grue Eriksen zdecydowanym, żołnierskich krokiem podszedł do wielkich dwuskrzydłowych zdobionych gwiazdami drzwi na bocznej ścianie sali.

– Proszę poznać tych, którzy już poznali moją opowieść. I zgodzili się, że najważniejsze jest kontynuowanie walki w słusznej sprawie.

– Te gierki...

– Żadne gierki – odparł premier szybko. – Nie ma stron. W sprawie wojny jesteśmy jednością. Tak jak pan zawsze chciał.

Drzwi rozchyliły się powoli. Za nimi stała grupa ludzi. Buch wszedł i stanął, wstrzymując oddech, spocony, wiedząc, co zobaczy.

Był tam Erling Krabbe. I Birgitte Agger. Przywódcy partii mniejszościowych. Wszyscy członkowie gabinetu. Polityczna rodzina królewska Slotsholmen, oficjalnie wrogowie, zebrani tu jednomyślnie.

Gert Grue Eriksen wszedł pomiędzy nich, stanął pośrodku, odwrócił się i kiwnął ręką.

– Thomas! – krzyknął wysoki głos za plecami Bucha.

Nie ruszył się.

– Thomas. – Karina Jørgensen podeszła szybkim krokiem i stanęła przy nim. Teraz ona ciągnęła go za ramię. – Są już dziennikarze. Czekają na ciebie.

\*

Pistoletem neuhausen wybił okno w drzwiach samochodu Strangeo, zwolnił zamek, wyciągnął ze środka skutego mężczyznę. Poprowadził go przez wyłamane drewniane drzwi do Parku Pamięci, na strzelnicę i pod słupy.

Na ziemi leżały dwa nieruchome ciała. Musiał znaleźć kluczyki do kajdanek. Strange je miał.

Potrzebował planu i jakiejś bajki, ale tę miał prawie gotową.

Raben potoczył się po trawie, przeklinając i krzycząc.

Kopniak w brzuch, drugi w brodę. I cios neuhausenem w twarz. To go uciszyło.

– Niewdzięczny gnojek – warknął i kopnął go raz jeszcze, tym razem w genitalia.

Wytarł pistolet szmatką wyjętą z kieszeni, przykucnął przy sapiącym mężczyźnie, wcisnął pistolet w jego palce, wypalił dwukrotnie w ciało leżące kilka metrów dalej.

Patrzył, jak ciało Strangego podskakuje i drga od siły uderzenia. Kobieta nie poruszyła się, odkąd do niej strzelił. Leżała za daleko. Na razie mogła tam zostać.

Plan.

Przyniósł dwa pistolety. Ten, z którego właśnie strzelił, wrzucił w trawę pod słupami. Wyjął drugiego neuhausena, stanął nad zdyszczanym, dławiącym się kształtem na ziemi.

– Ty go do tego namówiłeś – mruknął Raben, po czym otarł usta granatowym rękawem, ścierając krew i trochę trawy. – Znajdą cię...

Roześmiał się.

– Nie, nie znajdą. Myślisz, że kogoś obchodzi zastrzelenie takiej gnidy jak ty? Poza tym... – Na chwilę się odprężył. – Ty naprawdę nie pamiętasz, co? Myślałem, że tylko udajesz. Ale nie...

– Czego nie pamiętam?

Przykucnął, popatrzył.

– To ty zacząłeś. Ty zastrzeliłeś pierwsze dziecko. Strange był dobrym oficerem. Rozsądnym. Zabiłby każdego, ale na pewno nie bez powodu.

– Wzruszył ramionami. – Nigdy nie umieściłeś tego w zeznaniach. Ale Strange nam powiedział. I twoi ludzie też. Jak sądzisz, dlaczego tak się ciebie bali?

Odchylił głowę do tyłu. Zaśmiał się do księżyca.

– Tyle czasu spędziłeś na pogoni za potworem, Raben. I nie wiedziałeś, że sam nim jesteś.

– Kłamca, kłamca... – Głos Rabena, cichy, przerażony, ledwie przedostawał się przez zdławione gardło. – Ty jebany kłamco...

Dwa kroki bliżej. Czarna lufa neuhausena dotknęła czaszki Rabena.

– Po co miałbym kłamać? Zastrzelę cię. Tak jak ty zastrześliłeś ją. Pozostałe dzieci. Matkę. – Zerknął na ciało za plecami. – On zabił ojca. Ale ten łajdak wspierał talibów, więc mu się należało.

– Zamknij się...

– Ty zacząłeś. Ty i twoja wściekłość. Zamordowałeś te wszystkie dzieci, bo – wolną ręką zakręcił młynka przy skroni – zwariowałeś. A winieś każdego, tylko nie siebie. Daj spokój...

Lufą szturchnął głowę Rabena.

– Teraz pamiętasz? Potem zamieniłeś się w chlipiący wrak. Jeden wielki ból i żal. Straciliśmy dobrych żołnierzy...

– Arild...

– Generale. Choć przez chwilę w swoim żalonym życiu zachowuj się jak przystało na żołnierza.

Podszedł do ciała Strangego, przeszukał jego kurtkę, wyjął kluczyki, które na oko pasowały do kajdanek. Wrócił i pomachał nimi mężczyźnie na ziemi. Raben płakał, szlochał i dygotał.

– Nareszcie – powiedział mężczyzna z bronią. – Odblokowaliśmy pamięć, co? Chyba trochę za późno...

Wyjął telefon, wybrał numer Politigården, połączył się z – sądząc po odgłosach – jakąś imprezą.

– Brix? Pan pije?

Zjadliwa odpowiedź.

– No to może pan przestać – mówił Arild. – Dzwonił do mnie Raben. Chce się spotkać w Mindelunden. Powiedział, że jeden z pańskich policjantów próbował go zabić.

Arild zaczekał, aż jego słowa dotrą do rozmówcy.

– Raben wziął skądś broń. Postrzelił ich oboje. Ten szaleniec jest na wolności. – Chwila przerwy. – Myślę, że teraz chce dopaść mnie.

– Niech pan się nie rusza z miejsca – rozkazał Brix.

Zamknął telefon, spojrzął na dygoczącego mężczyznę na ziemi. Podniósł broń.

Usłyszał jakiś hałas.

Pewnie pies. Albo lis.

Przejechał pociąg, błysnęły światła. Arild podniósł pistolet. Nagle coś go uderzyło.

\*

Bolało ją.

Zabolało jeszcze bardziej, gdy policyjnym pistoletem walnęła w głowę Jana Arilda, a on padł z jękiem na ziemię, wypuszczając broń, która skryła się w trawie.

Lund zakasłała.

Spojrziała na nieruchomy, smutny, znajomy kształt na ziemi.

Żadnego ruchu. Ani oddechu. W jasnym świetle księżycy było to widoczne jak na dłoni.

Czuła się, jakby ją koń kopnął w klatkę piersiową. Odpięła kurtkę, zdjęła kamizelkę kuloodporną, której miała już serdecznie dość. Dzisiaj po raz pierwszy wyjęła ją z szafki w drodze do samochodu Strangego, wspominając jego słowa.

Żadne czary-mary.

Zastanawiała się, kiedy przestanie słyszeć ten łagodny dociekliwy głos.

Stała, gdy mężczyzna w ciężkim wojskowym płaszczu ocknął się na ziemi, zaczął się śmiać i rozglądać.

Miał lisią twarz. Długi ostry nos. Maleńkie oczka. Teraz skupione na niej.

– Raben – powiedziała szybko. – Znajdź pistolet tego gnoja, dobra? Raben?!

Postać w granatowym kombinezonie siedziała skulona, w rozsypce. Załamana, może na zawsze.

Lund słyszała każde słowo ich rozmowy i czuła, jak rozjaśnia się jej w głowie. Strange był żołnierzem sił specjalnych. Zdolnym do wszystkiego, pod warunkiem, że tego wymagał obowiązek i dowódca. Ale nie zabijał dzieci dla zabawy. Tylko wrogów. I każdego, kto zasługiwał na nazwę *stikke*, przekleństwo zbyt mu bliskie.

Ciągle się nie ruszał.

– Raben! Gdzieś tu jest pistolet. Ja mam swój. Nie jestem... – Jak to powiedzieć? Jej obolała głowa rozpaczliwie szukała odpowiednich słów. – Nie jestem w tym dobra. Musisz mi pomóc...

– Nie pomoże, głupia dziwko – roześmiał się Arild w trawie.

Palcami sprawdzał ranę w rudych włosach. Krew, czarna w świetle księżyca. Niedużo.

– Dzięki za to – powiedział swoim okrutnym roześmianym głosem. – Pasuje do mojej historii.

Oderwał głowę od ziemi. Rozglądał się. Wyciągnął prawą rękę, jakby chciał coś chwycić.

Powoli pojmowała, co oznaczają jęki Rabena. Tego człowieka już nie było. Przestał istnieć jeszcze w tamtym domu w Helmand, zabijając dziecko dla kaprysu, zaczynając masakrę, która zostanie w nim na zawsze.

– Nie wyłgasz się z tego – powiedziała Lund. Trzymała pistolet oburącz. Mierzyła do niego, niepewnie. Inaczej nie mogła. – Nie ruszaj się.

Arild uśmiechnął się do niej szeroko.

– To drobiazg. Zaliczyłem gorsze rzeczy. I pochowałem lepszych od ciebie. – Nie bał się. Ani przez chwilę. – Kim ty jesteś, jak ci się zdaje? Jesteś jak on... – Arild ruchem głowy wskazał Rabena, który kołysał się w przód i w tył, zalewając się łzami. – Pionkiem przepychanym po szachownicy, której nawet nie widzisz. Ja cię przesuwam...

Podniósł się już na kolana i rozglądał się.

– ...przesuwam cię. Tak jak przesuwalem Strange'go. A gdzieś tam... ktoś, kogo nie widzę, przesuwam mnie.

Czarny kształt połyskiwał w trawie niedaleko słupów. W zasięgu jego ręki. Dostrzegli go jednocześnie. Arild przyglądał się jej z przechyloną głową.

– Palce masz niepewne, Lund. Ramiona ci drżą. Nawet nie trzymasz prawidłowo broni. Jesteś beznadziejna, kobieto. Od początku byłaś beznadziejna.

– Jeśli ruszysz się z miejsca, przysięgam...

Ale on już ruszył, szybki jak ścigane zwierzę przetoczył się w kierunku czarnego pistoletu, swojego talizmanu.

Teraz go zobaczyła, poczuła. Czerwony ryk rósł w jej głowie, aż wypełnił ją tak, że została tylko wściekłość i nienawiść, dzika

i pierwotna.

Pierwsza kula trafiła go w ramię. Wrzasnął z bólu, przechylił się w jedną stronę, padł na trawę, ściskając ranę i wpatrując się w Lund z wściekłością.

Druga w klatkę piersiową, a Lund nawet nie wiedziała, że pociągnęła za spust.

Leżał na ziemi, a krew wypływała miarowo z jego rozwartych ust.

Dalej nie liczyła. Strzelała i strzelała, aż iglica uderzyła w pustkę. Słuchała wycia Rabena. Potem rzuciła gorący zbędny już pistolet na wilgotną gęstą trawę.

Stała tam, obok zwłok Strangego i poszarpanego, rozdartego ciała Arilda. Pot ostygł na skórze, zrobiło się jej zimno. W miejscach, gdzie kule uderzyły w kevlar, tworzyły się dwa siniaki.

Usłyszała zbliżające się syreny, na szosie błyskały niebieskie światła.

Ruszyła w ich stronę, nie odrywając oczu od ścieżki. Opuszczała Mindelunden, nie patrząc na groby, na długą listę nazwisk. Ani na matkę z martwym synem w ramionach.

Przed nią pojawiła się jakaś postać, ale Lund ledwie na nią spojrzała. Był już Brix. I Madsen. Strange powinien być z nimi, ze spokojną twarzą, skupionymi oczyma, mówiący jej, że ma wsiadać do samochodu. Jechać do domu. Spać. Zapomnieć.

Zapomnieć.

– Lund – powiedział Brix, gdy minęła go, patrząc w ciemną noc. – Lund?!

\*

Torsten Jarnvig zignorował ostatni rozkaz Arilda i powitał żołnierzy, którzy pod jego okiem mieli się przygotować na następną zmianę.



Patrzył, jak stoją na baczność przed świetlicą w Ryvangen. Wpoi im regulamin i wojskową dyscyplinę.

W ciepłym i wygodnym apartamencie rodzinnym w otwartym zakładzie karnym Horserød Louise Raben siedziała na kanapie z przysypiającym Jonasem na kolanach, zastanawiając się, kiedy dotrze jej mąż. Gładziła miękkie włosy synka. Uśmiechała się na myśl o czekającej ich przyszłości.

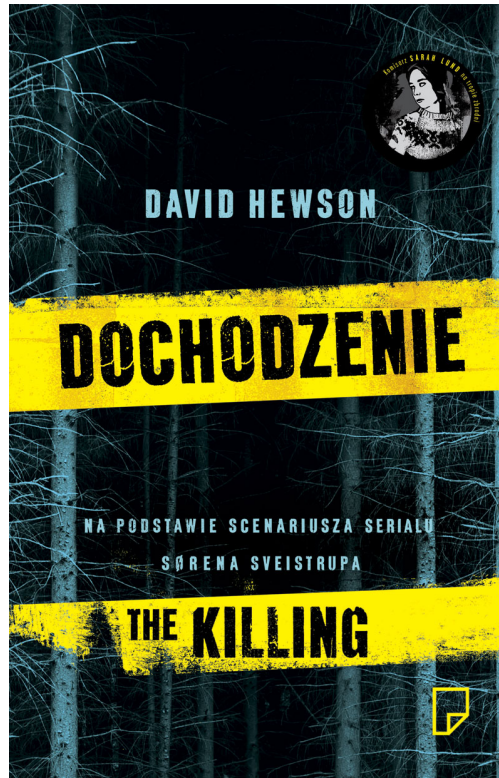
Przy długim rzędzie marmurowych płyt, na których wypisano nazwiska dawno poległych, leżał Raben w brudnym więziennym kombinezonie, bez zmysłów, zwinięty w kłębek, zdolny tylko do łez, zbyt przerażony, by zbliżyć się do prawdy.

A na Slotsholmen, wyspie Absalona, Thomas Buch stał przed otwartymi drzwiami prowadzącymi do sali, z której przywoływał go gestem Gert Grue Eriksen. I Birgitte Agger. I Krabbe, Kahn i wszyscy pozostali. Król i wszyscy jego książęta, przyjaciele i wrogowie, uśmiechnięci, z otwartymi ramionami. I tylko Karina zatrzymywała go miękkimi stanowczymi palcami.

Nie spojrzał na nią, gdy puściła jego rękaw. Nie spojrzał na nią, gdy Grue Eriksen zamknął czarne drzwi i poprowadził go w tłum, gdzie stukały kieliszki, obowiązywały rozmowy o niczym i nikt nie mówił o przeszłości, która wkrótce zostanie zapomniana i zniknie bez śladu.

Dokąd miał iść, jak nie tu? Teraz już wiedział, że nie ma innego wyboru.

**W SPRZEDAŻY , CZĘŚĆ I**



[marginesy.com.pl/sprzedaz\\_wysylkowa.html](http://marginesy.com.pl/sprzedaz_wysylkowa.html)

**Wciągająca powieść  
napisana na podstawie scenariusza  
najlepszej produkcji kryminalnej ostatnich lat!**